

Zofia Kossak
Krzyżowcy

Tom trzeci
Wieża trzech siostr

Rozdział pierwszy

W KTÓRYM JEST O SROGIM BOJU DOBRYCH RYCERZY KRZYŻOWYCH Z NIEWIERNYMI, STOCZONYM W DOLINIE ZWANIEJ DORYLEA

Rzeka Sakara nie szumi jak rzeki ojczyste. Skąpą wodę sunie ostrożnie po mule. W powietrzu ostry nocny chłód ziębiący niemile kości. W tych krajach nie masz ciepłych, wonnych nocy, jako w ojczyźnie bywa. W dzień upał, tamujący żarem dech, w nocy dokuczliwe zimno. Między tymi dwoma nie ma przejścia ani miary. Na ustach trwa słony posmak jak nad morzem, ale bez wilgoci morza, a zapadający nagle wraz z nastaniem nocy chłód nie rzeźwi i nie raduje.

W niewielkim swym namiocie biskup Ademar siedział nieruchomo. Sen go odleciał od natłoku myśli. O krok przed nim, wsparty o płótno ściany stał krzyż, i -dowódca świętej wyprawy wpatrywał się w znak zbawienia z takim natężeniem, że otaczająca rzeczywistość ginęła mu z oczu. *Vis iugeie Deum, fugę ad Deum* — mówił święty Augustyn. Strwożony ciężką na nim odpowiedzialnością, biskup chronił się w cień krzyża. Na rozstaju dróg pustynnych, zagubionych w daie-czyźnie, czepiał się jego ramion jako jedynej ostoi. Zawisnąwszy na nich duszą, sercem i umysłem, topił się, jak wosk na świecy, w strzelistej modlitwie. Wzdychał niewymownie ciężkim wzdychaniem, żebrząc Parakleta o łaskę Ducha Świętego, który by mu wskazał właściwą ścieżkę na pustyni i właściwe słowa, mogące trafić do serc. Rozmyślał nad dziejami ostatnich dwu lat, z obezwładniającym smutkiem stwierdzając, że święta, krzyżowa wyprawa nie była, jak dotąd, świętą by w najmniejszym stopniu. Wydało się niegdyś genialnemu szaleńcowi Urbanowi, że można ludzkość oderwać od samej siebie, odmienić i porwać wzwyż. W miejsce trzech zasadniczych namiętności-żywiołów, rządzących stadem ludzkim: głodu, chuci, żądzы władzy, narzucić siłę potężniejszą, głębszą, zdolną przeobrazić i zbawić świat: siłę pożądania Boga... Tak się Urbanowi zdawało... Były chwile, w których on, Ademar, przeuczony wątpiciel, wierzył w to również. Podzielił olbrzymie zamysły przyjaciela. Dał się unieść wielkiej fali, która zdawała się odmieniać serca. Lecz fala opadała zaledwie wzniesiona i cóż się działo teraz z nim, Ademarem, cóż się działo z niezliczoną rzeszą obozującą wokół, oderwaną od swoich korzeni, rzuconą w nieznany świat?! Dokąd szli? Gdzie święty zapał, który wieść powinien? Gdzie szczęśliwa radość pielgrzymów zdążających ku zbawieniu? Gdzie owo upragnione pożądanie Boga mające świat przeobrazić? Czy każdy z idących nie był zajęty wyłącznie samym sobą i bezpodzielnie poddany panowaniu tamtych trzech potęg wieczystych: głodu, chuci, żądzы władzy?!... Czy każdy pojedynczy lub zbiorowy postępek nie wypływał z jednej z nich?

...Więc dokąd idziemy i po co?!!!

...Kto nas wieździe?...

Podniósł udręczone oczy i napotkał krzyż. Krzyż! Jedyne ostoję, opiekę, otuchę!... Cokolwiek by się działo, poszli jednakże dla Krzyża, nieśli Krzyż, zwali się krzyżowcami, i Krzyż nie mógł się ich zaprzecć. Dla tej jedynej przyczyny, że Krzyż jaśniał na początku i na końcu ich drogi, Bóg musiał okazać miłosierdzie pomimo grzechów krzyżowców. O święty Znak Zbawienia, Znak Miłosierdzia i Łaski!

Przeżegnał się żarliwie raz, drugi i trzeci. Ze wzruszeniem poczuł, jako z tego prostego ruchu, co każdemu chrześcijaninowi jest przyrodzony i nieomal bezwiedny, spływa na udręczoną duszę ukojenie. Jak gdyby w czcigodnym ruchu tkwiła potężna magia, mająca zdolność łączenia człowieka z tajemnymi źródłami Mocy i Opieki. Na jedno mgnienie słabość człowieka mogła czerpać z nich skrzepienie, mogła się wzmóc i zasilić. Przeżegnał się znów po trzykroć, powoli teraz, z namysłem, doszukując się przyczyny cudu, niezawodnej symboliki, mającej własność zaklęcia.

...Oto pobożnie złożone palce dotykają czoła znacząc tym dostojeństwo Pana, który mieszka na wysokościach... *Gloria in excelsis, gloria!*... Pobożnie złożone palce znaczą zarazem, że słowo było Myślą Ojca, co patrząc w samego siebie, wyłonił i wyraził Istotę swoją, wieczystą, nieodgadnioną, niezniszczalną i wszechmocną...

Z wyżyny czoła, dziedziny Myśli Boskiej, dłoń kieruje się niżej serca, w dołek podpierśny, gdzie niewiasta czuje pierwsze ruchy swego dziecka. To oznacza zejście Słowa z wyżyny niebieskiej i

wcielenie w rodzaj ludzki...

Teraz szeroki ruch od lewej do prawej, od Wschodu do Zachodu... Od Wschodu bowiem do Zachodu wielkie jest Imię Jego, Imię, przed którym rozstępują się morskie głębiny. Duch twórczy, Gołębicą świętą przesywa świat na kształt błyskawicy, przejmuje serca, wypełnia je i nasycza... Duch Święty, najmniej znane oblicze Boga, najmniej przez ludzkość poszukiwane, a przecie równie niezbędne jak Wszchemoc, równie jak Miłość życiodajne...

...*In Nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti...*

Dłoń ludzka znaczą krzyż święty, wielbiąc Trójcę Przenajświętszą, a przyroda, świat cały, stworzenie wszelkie odpowiada:

Amen.

Niech się stanie.

O święty Znak Krzyża, puklerzu mocny, zaszczyście bezpieczny! Święty Dionizy Areopagita widział cię napełniającym cały świat na wieki przed Odkupieniem. To, że Chrystus poniósł Mękę Krzyża, a nie inną, było koniecznością przygotowaną od stworzenia świata. Czworogranny kształt dwu osi, przecinających się w środku, uderza oczy, gdzie spojrzeć. Ptak lecący rysuje na niebie skrzydłami swoimi krzyż. Krzyż tworzą promienie miesiąca i gwiazd śledzone zmrużonym okiem. Obraz krzyża czynią: człowiek płynący, maszt przecięty reją, rękojeść sochy i miecza... Poganin Plato pisał o czterech stronach świata, czterech punktach kardynalnych horyzontu: Potęga Boga rozłożyła się w krzyż ponad ziemią...

Wszędzie krzyż! Wszędzie jego podobieństwo! Człowiek modlący się składa ręce w krzyż lub rozciągając ramiona czyni krzyż z samego siebie... Nakazuje to bezwiedny tajemny instykt modlitwy, tak przemożny, że pogański posąg *Pielas publica*, stojący w Rzymie na Forum, miał również ręce rozłożone w krzyż... Na krzyż przełożył dłonie patriarcha Jakub, błogosławiąc swych synów przed śmiercią... Krzyż z rozpostartych ramion uczynił Mojżesz, modląc się na górze o zwycięstwo nad Amalekitami... Mdlejące ramiona starego człowieka podtrzymywali Hur i Aaron, bacząc by Krzyż nie przestał ani chwili czuwać ponad walczącymi... Od początku świata Krzyż jest rozstajem, na którym mijają się życie i śmierć — przeto owocem Jego Zmartwychwstanie...

Tak pisze święty Dionizy Areopagita, najlepszy patron dobrego miasta Paryża, i biskup poczuł się skrzepiony samym wspomnieniem tych słów. Iście, zawierały one prawdziwą treść zagadnienia. Ponad światem i wszechświatem, ponad ziemią i gwiazdami, nad wszystkim, co żyje i umiera, rodzi się i znika, władanie sprawuje Krzyż.

Krzyż, widomy znak Boga Przedwiecznego.

Więc cóż może grozić człowiekowi uzbrojonemu w ten znak?

Nie wiedzieć skąd ogarnęło nagle biskupa przekonanie, że wszystko na świecie sprowadza się do jednego tylko zapytania: być chrześcijaninem czy nie być? Kto nie jest chrześcijaninem — wątpi i płacze, drży przed grzechem i szatanem, tęskni, lęka się, rozpacza, błądzi, szuka, woła jak dziecko wśród nocy. Kto nim jest w całkowitym znaczeniu tego wyrazu, kto posiadał niezbitą pewność istnienia Bożego, staje się panem wolnym, ufnym, spokojnym, radosnym i mężnym. Nic mu nie straszne ni dziwne. Każda go droga dowiedzie do celu, bo Bóg jest wszędzie i na każdej drodze. Nic go nie zasmuci, nie zaniepokoi, nie przerazi. Co mu śmierć? Co mu szatan i jego niezdarne namowy?

Czymże jest szatan w ogóle? Czyż Chrystus Pan nie rzekł uroczyście: „Dana mi jest wszelka władza nad niebem i ziemią”? Więc gdzież leży władztwo szatana?...

Nie trzeba się Kusiciela obawiać, można jedynie litować się nad nim, jak się litował święty Marcin, dobry biskup z Tours. Bezsilny to cień Dobra, słaniający opadłe skrzydła po świecie. Na Imię Jezus niech wszelkie kolano upada, niebieskie, ziemskie i piekielne... Cień musi upaść przed Krzyżem. Znaczenie Księcia Ciemności wyolbrzymił tylko strach.

Marny pogański strach, niegodny chrześcijan, synów Zwycięzcy nad Złem. Ten haniebny lęk nadał Potępionemu rozliczne imiona, a każde imię wzmagало jego znaczenie i wagę. Malus... Zabulus alias Suggestor... Tentator... Pan Wieku... (pozostawmy mu ten ostatni tytuł! Bóg jest Panem nad Wiekami). W rzeczywistości zarówno upadłemu archaniołowi, jak niezliczonej rzeszy demonów wschodnich, zachodnich, północnych, południowych, wodnych, ziemnych, skalnych i ogniowych, przysługiwało jedno tylko litośnie wzgardliwe miano: Zwyciężony, Odrącony... Victus... Reprobatus...

Jak ciasny uwierający stopę but, niewygodny pancerz, dokuczliwa włosienica, opadły z biskupa wszystkie dotychczasowe duszne i myślowe udręki. Legły na ziemi, gdy on rozprężył się duchowo w nieporównanym poczuciu odrodzenia się, wyzucia z wszelkich trosk. Odetchnął radośnie, głęboko.

Szczęśliwe podniecenie wypełniało ciało i duszę. Czuł się lotny, nieomylny, jasnowidzący, próżen zwątpienia i strachu. Wszystkie sprawy znalazły się nagle na właściwym miejscu, uchyliły rąbka swego tajemnego sensu. Nie należało lękać się niczego. Piotr Eremita zgrzeszył dufaniem bezmyślnym i ślepym, składającym wszystko na Boga bez wysiłku ze strony człowieka; on, Ademar, czy nie grzeszył ciężiej od tego prostaka niewiarą? Gdy Mojżesz prowadził lud swój przez pustynię, napotkał te same przeszkody, na pozór nie do zwalczenia. Lecz że wiodło go Imię, Imię, które Bóg mu zwierzył w grzmotach i błyskawicach na górze Synaj — morze schło, woda wytryskiwała ze skał na rozkaz *Stróża Straszliwego Imienia*, Po długiej wędrówce doprowadził lud, gdzie chciał. Podobnie musi się stać z krzyżowcami, których wiedzie Znak Zbawienia. Byle go nie stracić z oczu, byle go mieć ustawicznie przed sobą! Natenczas zwalczą wszystkie przeszkody, wytrzymają trudy i dojdą! Dojdą pomimo grzechów i słabości ludzkich. Chromający, upadający, zzymający dojdą jednakże do świętego celu... Prawdę mówięś, Urbanie!

Odetchnął ponownie, głęboko, radośnie. Nie czuł, że wciąga w pierś gorzko-słony pył pustyni. W głowie miał jasność, w sercu niepojęte wesele. Tajemnicza nieuchwytna Łaska Boża spadła nań bezcennym darem, okryła i pochłonęła. Największy z cudów, siła spływająca wprost od Stwórcy ku stworzeniu, dar, o który modlą się latami pustelnicy w puszczy, pobożni zakonnicy w celi, promień, co niejednokrotnie omija świętego, a spada na nie oczekującego go grzesznika lub zbrodniarza, jedna chwila bezpośredniego zetknięcia się z Bogiem, wystarczająca, by duszę na całe życie oczyścić i ubłogosławić...

W poczuciu doznanego szczęścia, pełni nadziejskiej, rozsadzającej swym bogactwem dusze, niezdolny objąć promiennej radości, nie mający przy sobie nikogo, z kim by mógł się nią podzielić, dygoczący i zalany łzami, Ademar de Monteil upadł na ziemię i łkał...

Rzeka Sakara sunie leniwo po swym mulistym podłożu. Nad brzegami migocą ogniska z suchego nawozu. Drzewa tu nie masz. Przy -ubogim, smrodliwie dymnym ognieku grzeją się zarówno rycerze, jak służba. Przy większych panowie, przy mniejszych poddani, zwykła obozowa gawiedź.

A jest tej gawiedzi bezmiar. W ogólnej liczbie wojska znacznie niniejszy odsetek stanowi rycerstwo. Reszta to giermki, pacholki, lutnisi, psiarczyki, sokolnicy, zwykli piesi, mi-lites, gregarii, ścierały, seryensy, woźnice, plebs imbellis, niezliczony ogon wielkiej armii.

Pomiędzy nich przesiąkło niemało włóczęgów z hołoty Piotrowej, co pozostała w Bizancjum, gdy główną bandę wyprawiono pod Civitot. Pozostali rabowali, łazęgowali po przedmieściach „Grodu Strzeżonego przez Boga”, wielu wyłowił nykteparchos i utrupił cichaczem bez sądu, sporo ich jednak ostało i przyłączyło się do wojska, przeważnie bez wiedzy panów. Zali który z wielmożów troszczył się o to, ilu ma pacholków? Chyba gdyby mu ich nie stało. Niezliczona ta rzesza sług kradła, co się dało, odziewała się szmatami zdartymi z trupów po bitwie, żyła z odpadków ze stołu pańskiego, w boju stawała zawzięcie i okrutnie, nie dbając, o co się bije, a marząc o jednym: zebrać jakie takie mienie, wrócić do kraju bogatym i wolnym!

W tych tłumach siedzących w sercu Azji Mniejszej przy skąpych ogniskach z suchego nawozu, wśród tych ludzi o imionach prostackich, częstokroć cudackich, pozbawionych przydomka ojcowskiego, którym księża półgębkiem przyznają duszę nieśmiertelną, lecz ani panowie, ani oni sami w to nie wierzą, budzą się pod wpływem podróży nowe poglądy i nowe uczucia.

Co wydawało się drzewiej być porządkiem rzeczy równie nieodmiennym, jak śmierć sama albo narodzenie, poczyna wchodzić w wątpliwość, niejasną, zrazu nieświadomioną, przecie wątpliwość. I tak, niezłomnie pewnym było dotychczas, że sługa zrodzony jest do posłuchu, a pan do władania. Sługa do pracy i gnoju, rycerz — do swobody i boju. Temu sądzone być panem, temu rabem. Rabami narodzą się dzieci i wnuki poddańca, panami, dziedzicami zrodzą się dzieci i wnuki rycerza. Taki jest porządek rzeczy, nieśmiertelnie skroś wieków trwający. Jak ryba żyje w wodzie, tak ty, przy-pisańcze nieurodzony, żyjesz w smrodzie, znoju i poddaństwie. Jak orzeł szybuje ku słońcu, tak rycerz leci ku sławie, zaszczytom i wielkim przygodom. Tak jest, tak ma być, tak będzie. Źle to czy dobrze — nie warto roztrząsać. Nic nie odmieni Doli, jaką dały Rożenice.

A oto teraz, w długiej, blisko dwuletniej podróży, prosty ten pogląd zaczynał ulegać pęknięciom. Już kiedyś stary py-skacz i pijak, Błazej, z pocztu grabiego de Blois, gadał głośno przy ognisku, że jakby sługi odeszły, to cóż? panowie rycerze musieliby sami obrządzać konie, musieliby, bo innych sług tu nie najdą... I robiliby, oho, i korona by im z głów nie spadła...

— Cichajcie, bo będę naprowadzicie... • — miarkowali go inni, oglądając się niespokojnie wkoło.

— Co mam cichać? Taki sam człowiek jak ja. Tak samo mać go rodziła, jeno że onego na łożu, a mnie podle chlewa...

— Grzeszne gadanie — powiadali inni. Błażej milkł, sam wytrzeźwiawszy nie wierząc jeszcze w to, co po pijanemu butnie prawił. Lecz posiew raz rzucony zostawał. Rodziła się niechęć, z niechęcią nienawiść. Dlaczego dawniej nie czuli tej nienawiści gotowej, żyjącej w nich z dziada pradziada? Och, to proste. Popatrzmy na zimę: jest sroga. Luty zwier nie kęsa jak ona. A najgorzej dokucza biedocie gołocięj, bez dachu, bez ciepłej strawy. Któż by jednak klął zimę albo się na nią porywał? Chyba szalony. Zima musi być. Wiadomo. Dopust Boży. Trzeba ją cierpieć. I ludzie znoszą cierpliwie. Ale niech ho by jaki mędrzec albo święty ogłosił światu, że zimy może nie być, że można ją wygnać... Dopłeroż by się wszyscy rzucili! Miły Boże! Zapiekiłyby krzywdy kiedykolwiek od mroźnej staruchy doznane, przywiałyby wspomnienia wszystkich dokuczliwości... I ziąb, i głód, i odmrożone stopy, i zgrabiałe dłonie... Precz z zimą! Precz!...

Tak właśnie jest z panami.

Rycerze czują po trosze tę zmianę, mimo woli stają się wyrozumiańsi, jak gdyby życzliwsi. Poczynają pojmować, że jeśli niedbały pachoł porzuci służbę, skryje się w innym obozie, przejdzie do Greków lub pogan, położenie pana będzie nie do pozazdroszczenia. Jak to mówił po pijanemu stary Błażej, rycerz z giermkim będą musieli sami poić i oprzątać konie, warzyć strawę, czyścić rzędy, troskać się o tysięczne sprawy powszednie, dotychczas urodzonym nie znane. Więc też bezwiednie powściągają dłonie, tak skore dawniej do bicia.

Niestety, nikt im tego nie liczy za dobro. Każdy poddany ma wzrok ostrowidza. Pobudki wyrozumiałości są jawniejsze dla sług niż dla samych rycerzy. Śmieją się w kułak z łaskawości, nigdy drzewiej nie znanej.

- Musimy im się póki wysługiwać, bo inaczej zarcia nie dostaniemy ani wiemy, dokąd iść... — powiada Klimek, towarzysz Błażeja — ale skoro wyjdziem z tych okrain... No!

— Sprawiedliwie gada... Ino wyjdziem...

— Jeśli nas tu diabeł nie zmamił na stracenie... — wzdycha inny. — Grabiami na wodzie powrót pisany...

— Iście, co wciąż dalej i dalej odchodzim... Nie wiada, czy to kto swojackie strony obaczy...

— Ej, miłyż ty Boże! Boże!...

— Masz się czego sumować! Wielas sam rozkoszy nażył. Klejmo ci zlazło ze skóry czy co?... .

...Oj, nie zlazło. Czerwieni się jak wieczysty znak poddaństwa, łatwy do rozpoznania każdemu, przecie są tacy, co tęsknią za krajem, okrutnie tęsknią. Prawda, że ciężkie tam mieli życie, od dzieckich lat nie znając nic innego jak poniewierkę, głód, strach. Jednakże wiedźma-tęsknica, co serca zżera, a leku na nią nie masz, czepiła się ich i ssie. Podobno od wstrzykniętej przez nią słabości cień własny opuszcza człowieka i wraca w rodzinne strony. A wiadomo każdemu, co jest wart człowiek bez cienia...

Tym, ledwo oczy przymkną przy ognisku, widzą się bory jodłowe, słońce nad wilgotnymi łągami, skiby rozoranej ziemi. Chleb z tych skib zabierze pan, ale miło przypominać tłustą lepkość dobrej roli. ...Powrócić tamoj, powrócić...

- Głupiśta! Wyszczekacie zło takim gadaniem jak wilka z lasu... Ani mi się śni powracać... Żeby mnie znowu na pańskie pędzali?...

— Więc jakże? Tu ostać...

Klimek, Błażej i paru innych śmieją się z wyższością. W tej pustaci nikt żywy nie zostanie z dobrawoli. Lecz między pustynią pogańską a księstwem barona leży cały wielki świat, przez który wędrowali przecież, którego ogrom widzieli, zdeptali. Są urodzajne krainy, gdzie żyć, nie umierać. Tam zmówimy się jednego dnia i rzucimy panów... I pójdziem, i zało-żym własne księstwo, gdzie my będziemy panami!

To Klimek mówi podrywając się uniesiony własnymi słowami. Reszta milknie przerażona.

— Cicha j i Cichaj!

— Doniesie kto...

— Biedę na wszystkich sprowadzisz...

— Siadaj, diable, i milcz!... Panem mu się być zachciało!

— A zachciało mi się i będę! A wy, durne łby, siedzta w gnoju, kiej wam miłol... — parska oburzony pachoł i odchodzi. Pozostali milczą chwilę odurzeni niespodziewanym zuchwalstwem.

— Zaraza nie chłopak... Ot, wymyślił... Księstwo mu po głowie chodzi... — mruczy gniewnie

stary Mateusz Chudoba. — Moiściewy, a może on i słusznie gada?... — Cichajcie, bo mnich tu idzie, mnichy to pańskie powierniki. — Wiadomo.

Takie pogwarkł snuje czeladź siedząc przy ognisku, na spieczonej, wyschłej ziemi, i dygocząc z zimna. Ogień z bydlęcego gnoju nikogo nie zagrzeje. Bardziej sute, wzmocnione przydatkiem drzewa, są ogniska panów rycerzy leżące opodal. Bije od nich głośny gwar, przeradzający się często gęsto w kłótnię. Niedawne zdradzieckie podejście Greków, konieczność opuszczenia z niczym Nicei, pod którą tyle czasu i sił zmitrężono, uciążliwy pochód w upale i suszy sprawiały, że rycerze byli kąśliwi jak pszczoły w czas rojny. Warczeli na siebie o byle co. Spalona latem Frygia nie była wprawdzie rzeczywistą pustynią, z którą mieli spotkać się dopiero później, niemniej pochód przez nią wydawał się rycerstwu nieznośny. W dzień bury tuman, tamujący oddech w piersiach, otaczał szeregi nieustającym obłokiem. Studnie były rzadkie i niewystarczające. Wyschłe strumienie, zwane wadi, toczyły w łożysku kamienie, miasto wody. Z pobladłego nieba prażyło bezlitosne słońce. Jak wspomnienie z innego życia majaczyły poranne obfite rosy, nawalne deszcze, tryskające z brzuchaty, niby przebitych nagle obłoków. Czy się je kiedy otaaczy?

Ta sama wiedźma-tęsknica, zasiadająca co ino z czeladzią, przymkła się teraz k'rycerzom, dojęła skroś piersi do serca ł ssie....

Nie odgoni jej żadne zakłęcie. Nie pomoże żaden lek.

Niezdolni zsuć z siebie zmory, rycerze burzą się i gorlą. Nie wiedząc, na kogo się gniewać, parskają wzajemnymi żalami. Coraz gwałtowniejsze sprzeczki buchają o byle słowo. Coraz ciężiej wytrzymać w obozie.

Stanąwszy na wzgórzu opodal kręgu ognisk, widać daleko inne liczne ognie mające ledwo, ledwo w przejrzystości nocy. To wojska normandzkie, które, jak to zostało umówione pod Niceą, wędrują teraz z osobna. Jedni rycerze nie chcą nic wiedzieć o drugich.

Biskup wzbraniał się, jak mógł, ale nadaremnie.

- Słuszna iść podwójnym szlakiem — dowodził — gdyż itwiej wtedy o wodę... Dwóch się tam nie pożywi, gdzie dla jednego wystarczy... Ale łączność ustawiczną trzeba mieć, strażę wspólnę zaciągnąć, o każdym kroku wzajemnie wiedzieć, aby w niebezpieczeństwo nie popaść...

Nie chcieli słuchać tych rozsądnych słów. Żadnej łączności, żadnej styczności! Każdy da sam sobie radę i nie potrzebuje drugiego. — Nie chcemy mieć nic wspólnego z tymi fałszywcami —• powiadali Rajmundowi. A Normani zapewniali ze swej strony, że świat im poweseleje, gdy nie będą potrzebowali oglądać czarniawych zjadaczy czosnku. Spotkają się dopiero w Jeruzalem, jak Bóg da... A kto pierwszy tam przyjdzie, obaczym...

— My, bez ochyby... Tuluza! Tuluza!

- Klnę się na rany Chrystusa, że my! Normandia! Normandia!

- Na krew świętego Januarego! Wół jeszcze nigdy orła nie wyprzedził!

— Chyba samego siebie nazywacie wołem?

— Pax! Pax! Schowajcie miecze na Saracenów, szlachetni! panowie!

— I chrześcijanin wróg, gdy gada szkodliwie...

— Nieprawda! Tu bratem musi być każdy chrześcijanin! Jedyny wróg, z którym wam wolno walczyć, to poganie!

— Gdzie te pogany? Ani śladu po nich...

— Skąd wiecie, zali zasadzki ninie nie gotują?

— Zasadzkę? Wasza Wielbność! Poznały juchy, z kim sprawa, i dunęły... Nie oparły się pewnikiem aż w Jeruzolimie...

— A może tylu ich tylko było, wielu pod Niceą zginęło?

— Nie Iza się na to ubezpieczać... Ostrzegam i proszę... — przedkładał biskup, ale bezskutecznie. Rozdzielili się. Pro-wansalczycy i Lotaryńczycy wzięli się na prawo, Normanowie, Flandryjczycy, wojska Boemunda, Szczepana i Hugona na lewo. Odszdzili się od siebie o dobrych parę mil i zamierzali rozejść jeszcze dalej. Na razie obozowali jedni i drudzy nad rzeką Sakarą, błogosławiąc jej skąpą zamuloną wodę. Należało co prawda zrobić tu dłuższy postój, dać folgę ludziom i koniom, lecz wodzowie drżeli, że współzawodnicy rozpoczną pochód wcześniej, zyskają na czasie i pierwsi dojdą do Jeruzalem lub stoczą bój z poganami. Ta obawa skłoniła ich do porzucenia rzeki po jednym noclegu.

Pogan jak dotąd nie było widać istotnie. Nie było ludzi w ogóle. Nieliczne ubogie wioski, zarówno arabskie, jak greckie, stały opuszczone. Kamienne domki o płaskim dachu i niskim wejściu ziały

pustką. Widno mieszkańcy schronili się przed nadejściem wojsk, w sobie tylko znajome kryjówki. Kraj stawał się coraz bardziej pustynny, upał coraz cięższy. Spalony, równy step stał się nieskończenie, nie zdradzając nigdzie wody świeżością zieleni. Prowansalczyki i Normanowie wędrowali już trzy dni. Prowansalczykom powiodło się lepiej, gdyż na szlaku swym napotkali dużą osadę Leuka o bogatych studniach i odnowili zapas wody w skórzanych przytroczonych do siodła worach. Normanowie nie trafili na żadną wodę i trzeciego dnia pochodu, wysączywszy ostatnie krople ciepłego, cuchnącego skórą płynu, szli ślaniając się z gorąca i umęczenia.

Daleko na widnokręgu błękitniały góry. Widok ten dodawał sił. Ormianin przewodnik zapewniał Arnulda, kapelana nor-mandzkiego Roberta, że z gór wypływa rzeka, która w górnym biegu zachowała niewątpliwie wodę. Będzie woda! Przed wieczorem będzie woda! Będzie cień, będzie pasza! Iść! Iść! Jakoż spopieliałe od suszy, kamieniami zasłane łożysko strumienia, wzdłuż którego posuwali się od dwu dni, jęło ciemnieć i wilgotnieć. Spuszczone ze smyczy psy wybiegły naprzód, skomląc z uciechy i węsząc niedaleką wodę. Woda! Woda! Żwir na dnie suchego wadi stał się wyraźnie mokry. Piesi chwyтали go w garść i przykładali z rozkoszą do ust i spieczonej twarzy. Porządek pochodu przysł. Każdy wyrwał naprzód, jak mógł, by pierwszy dopaść nie zmaconej jeszcze wody. Góry były coraz bliższe.

—•...Zowią je Dogorganhi lub Gorgoni, a tamte podle, Ozel-lis — objaśniał kapelana Ormianin. — Na ten potok poganie wołają Sareh-Su, czyli Żółta Woda, zasię dolinę, z której wypływa, mianują Dorylea. Jest i wieś tej samej nazwy. Dory-lea to po grecku, po pogańsku Ineu-Su, czyli Pieczary, bo w górach naokoło pełno jest pieczar przez tutejsze demony, zwane dżinami, wierconych. W jednych tutejsi grzebią zmarłych, w drugich sami mieszkają. Zobaczycie je, panie, stąd... Spojrzeli obaj uważnie, przysłaniając oczy dłońmi, bo słońce zniżało się już ku zachodowi. Pieczar nie było widać. Zbocza gór pokrywał jednostajny, niski las.

— Dziwaczny jakiś bór... Chyba krze?... — zauważył Arnuld i urwał spojrzawszy w osłupiałą twarz przewodnika.

— Tam las nie rośnie... — wybąkał tenże dygocząc. •— Więc cóż to jest?

— Nie wiem...

— To wojsko! Saraceny! — zakrzyknął kapelan wyteżywszy wzrok. — Nie myślę się! Saraceny! Wasza Miłość! — rzucił się ku Robertowi — trąbić do bitwy! Nieprzyjaciel tuż!

— Saraceny! Saraceny! — okrzyk poszedł po szeregach. Zapanował nieopisany zamęt. Trąby ryczały chrapliwie, powiększając wrzawę. Ci, co się już napili, bieгли stawać w szyku. Nad brzegiem rzeki utworzył się zator spragnionych ludzi i koni.

— Nie godzi się zaczynać bitwy pod wieczór! Czeakać rana! — wołają niektórzy. Iście, w ojczyźnie nikomu by na myśl nie przyszło walczyć pod noc, gdy za chwilę na Anioł Pański będą dzwonić. Lecz muzułmanie nie czekają, pragnąc wyzyskać panujące wśród Latyńców zamieszanie. Już się ruszyli ze wzgórz. Las ożył. Cała dolina i otaczające ją góry drgają, ruszają się, pokryte nieprzejrzany mrowiem nieprzyjaciela. Jest ich moc nieprzeliczona, jak gdyby zesłi się tu z całej ziemi, jakby wyczarowały ich dżiny lub wyłoniły pieczary z wnętrzości gór. Gaj buńczuków ponad nimi. Nad buńczukami okrzyk: *Allah akbar!* — rzucony przez trzysta tysięcy piersi.

To Kiliż-Arslan zebrał cały islam i znalazłszy dogodnie oparcie w górach czeka tutaj, żądny, by pomścić Niceę.

...*La ilah el Allah, Mohammed rasul Allah!*!...

Już się ruszyli do natarcia, już spływają z gór, już się wywalają strumieniem z wąwozów. Suną ooraż szybciej jak górska lawina, rozlewają pstrym morzem. Morze wygina się sprawnie w łuk, w sierp, w kształt miesiąca rogami zwróconego ku wrogowi. Rogi stanowią wysunięte naprzód skrzydła mające otoczyć i zdławić Latyńców.

O, nie tak skoro! Szybko ustawiają się trzy poszczególne człony armii, głęboko zebrane w szeregi, długą linią broniące dostępu. Pośrodku wysunięci nieco w przód, godząc wprost we wnękę muzułmańskiego miesiąca, stają Robert normandz-ki i Szczepan de Blois. Na prawo od nich Boemund z Tan-kredem. Na lewo Robert flandryjski ze Swenonem i grabią de Vermandois. Już się związali, już szcęk broni, łoskot uderzanych mieczami tarczy niesie się ku górom, powraca odbity echem.

Z rycerzy mało który zdążył napić konia, zacerpnąć hełmem tak oczekiwanej wody. Nie pora myśleć o pragnieniu, gdy zmierzyć się trzeba z całą potęgą muzułmańską Wschodu. Będzie pora pić, gdy zwyciężą. Napoją się wtedy do syta ci, co nie polegna...

Lecz nieznanym wyrokiem Doli przeznaczone zwycięstwo lub klęska nierychło jeszcze nastąpi. Prędki mrok już zaległ podgórze, schodzi na dolinę. Za chwilę ukaże się miesiąc. Bić się P^{ZY} miesiącu niedobra

to wróżba. I grzech. Ale cóż począć? Nikt boju nie zaprzestaje. Walczą w gęstniejącym cieniu, potem w zupełnej oćmie. Nareszcie nie mogąc odróżnić swoich od cudzych stają i stać będą nieruchomo do rana, nie schodząc z koni, nie jedząc i nie pijąc, nie wypuszczając broni z ręki. Z pierwszym promieniem słońca opuszczają miecz wzniesiony z wieczora.

Sen nie ima się nikogo. Na rozkaz Boemunda (zaraz na początku bitwy Boemund objął nie pytany naczelne dowództwo i pozostali książęta poddali mu się bez oporu, wiedząc, że w rzutkości dowodzenia jeden Rajmund St. Gilles może się z nim zrównać), na rozkaz Boemunda zatem czeladź z pomocą pieszych utwierdza warowny obóz oparty o rzekę, mający zabezpieczyć tyły armii. Wyprężone wozy szczepiają łańcuchami poczwórnym szeregiem. W środku obozu umieszcza się niewiasty, dzieci, chorych, słabych, wszystko, co w boju może być zawadą.

Piorunem rozkazane, piorunem wykonane. Pędem zderzając się w ciemni, zajeżdżają wozy, duchem wyprężają konie. Ciury, woźnice, pachołki zwijają się jak w ukropie. Nim świt nadejdzie, poczwórny kwadrat wozów złączonych łańcuchami, powrozami w częstokół nie do zdobycia, obsadzony drugim murem szczytników i toporników, będzie gotowy. Namioty szlacheckich pań rozbite.

Bezsenna noc szybko mija w gorączce oczekiwania. Nasiąka srebrną bladością. Na lewo zza wzgórza wytryskują dwa długie jaskrawe promienie, jak owe, co zdobyły głowę Mojżesza, schodzącego z góry po rozmowie z Panem, za nimi nagle, niby wypłute z katapulty, wystrzela słońce czerwoną kulą, od razu palącą. Każdy kształt przybiera barwę fioletową, obrzeżoną płomienną otęczą.

- *Ave maris Stella!*!... — intonują potężnym chórem rycerze.

- *La ilah el Allah, Mohammed rasul Allah!*

Górze! Górze! Niby na skinienie bitwa rozpętuje się na całej przestrzeni doliny, odbija echem o góry.

Walka przybiera od razu największy impet, zaciekłość, zawziętość. Muzułmanie usiłują użyć zwykłej swej taktyki odciągnięcia nieprzyjaciela pozorną ucieczką, obskoczenia, okrążenia. Lecz Latyńcy już poznali pod Niceą te zdradzieckie sposoby pogańskie. Nie dają się unieść zapałowi i ciasno dzierżą szeregi. Nawet porywczy pan de Melun nie wyskakuje za pierzchającym rzekomo nieprzyjacielem. Pamiętają o tym, by nie dać rozerwać szyku, nie wysforować się w przód pod żadnym pozorem. Strzały świszczą, syczącą chmurą spowijając głowy nie są zbyt straszne, byle oczy dobrze słonic; groźne dla sług, odskakują od pancerzy panów. W ręcznym zaś spotkaniu twarzą w twarz Latyńcy mają przewagę dzięki swej strasznej sile. I stojąc nieruchomo w miejscu, walczą jak gdyby w natchnieniu, uniesieniu. Rąbią niby drwale. Dziwni drwale, co nie posuwają się naprzód, jeno las sam podchodzi ku nim coraz nowym nieprzebytym gąszczem. Zasięki zwalonych ciał rosną. Jeżeli opiekuńcze cienie dziadów towarzyszyły rycerzom aż tutaj, radują się dziełu wnuków. Radują się święty Jerzy, święty Michał i święty Teodor, chwalebni rycerze niebiescy. Męstwo Normanów nie mniej jest świetne jak męstwo Paryżan. Flan-dryjski spokój stanowi najwyższy wyraz uniesienia bojowego. Duńczycy nie zwykli oszczędzać życia ni siebie. Patrzą jasnymi oczami bez zmrużenia powiek na nieprzeliczoną ciżbę wrogów, otaczającą zewsząd tak, że potężna armia normandzka zdaje się być wśród nich wyspą zagubioną w morzu. Nie stoją o to. Śmierć — przyjaciółka rycerza. Pięknie, gdy ślubne łoża uścielone na polu bitwy. Jedyna troska: zginąć walecznie i mężnie. O resztę niech się Bóg kłopotuje.

Kiedyś, kiedyś po wiekach przemyślny rodzaj ludzki wynajdzie broń palną, straszliwe samopały, muszkiety, kolubryny, moździerze, armaty, działa szybkostrzelne, karabiny maszynowe, które kosić będą wroga, bez wysiłku ze strony człowieka. Wojny staną się jeszcze krwawsze, a mniej utrudzające. Lecz walczący z zastępami Kilidż-Arslana rycerze nie wiedzą jeszcze nic o tych sposobach. Ognia greckiego, który ro-zegnałby dzikie plemiona pustyni, nie chcieli przyjąć od Bi-zantyńczyków, trzymając go za broń niegodną dobrych rycerzy. Tysiące, tysiące trupów, leżących teraz zwałem dokoła nich, to wszystko robota ręczna. Nie podniesie się miecz bez naprężenia ramienia. Tarcza nie osłoni głowy przed ostrym dziirytem, jeżeli jej szybko lewa ręka nie przerzuci i nie wzniesie. Ani czekan rozwali czaszkę przeciwnika bez przegięcia całego tułowia i głębokiego wydechu. Ciągła praca wszystkich mięśni, ciągły wysiłek woli, przytomności, bystrości, uwagi. Na tym polega precudowna gra rycerska, tak namiętnie ulubiona, męska radość celnych sztychów, piorunowych cięć, młyńców chroniących głowę świetlistą obręczą. Jeno że gry tej nie można dłużyć w nieskończoność... Mięśnie

największego nawet siłacza znają kres swej wytrzymałości. Przyjdzie chwila, że ustaną, wypuszczając z zeszywniałych dłoni miecz.

Na to liczy, tego się spodziewa sułtan Kilidż-Arslan. Podziwia wściekłe męstwo Franków, lecz ufny w swe trzykrotnie przeważające siły, oczekuje spokojnie końca rozprawy. *Allah akbail* Niech będzie pochwalony Prorok, który doświadczywszy wpieryw swych wiernych, dał im teraz sposobność tak

pięknego boju! Błogosławione jego imię! Pod Doryleą będzie pomszczona Nicea!
Kapelan Roberta z Normandii, Arnuld, który pierwszy wczoraj zoczył nieprzyjaciela, kręci się niespokojnie po obozie. Co tu gadać, położenie jest kiepskie. Nasi nie wydzierzą. Dość zastanowić się chwilę: wojska muzułmańskie czekały wypoczęte w chłodzie. I teraz te, które nie biorą udziału w walce, stoją w cieniu wzgórz. Natomiast Latyńcy przyszli półżywi ze zmęczenia, wyczerpani trzydniowym pochodem bez wody. Zaledwie część zdołała napić się i napoić konie przed rozpoczęciem bitwy. Stali bez snu i pokarmu całą noc. Walka toczy się na otwartym polu, w pełnym żarze słonecznym, od którego serce mdleje. Jak długo w tych warunkach zdołają wytrzymać?

A. Arnuld z trudem prześlizguje się między wozami, między szeregami pieszych i konnych. Chwyta swojego księcia za strzemię.

— Może by się jakoś dało przemknąć ku Rajmundowi — mówi wahająco. — Niechby z tyłu uderzyli...

- Ubiłbym jak psa tego, co by chciał to zrobić — parska wściekle krótkoudy. — O pomoc ich

prosić!? Dopieroż by się czwanili!

- Nie o pomoc, ale żeby łątniej zgnieść pogaństwo...
— Ubiję jak psa każdego, ubiję i ciebie... Strach cię już obleciał, co?
Arnuld cofa się bez słowa, co nie oznacza zresztą, żeby zamiaru poniechał. Wraca do obozu. Pośrodku twierdzy, uczynionej z wozów ustawionych poczwórnym szeregiem, znajduje się niewielkie wzgórze, z którego można objąć niezgorzej pole bitwy. Gromada kobiet stoi tam patrząc z niepokojem. Florina z duegną i dworkami, smutna, obojętna jak zwykle Willibalda ze swymi dziewczkami. Szlachetne Gwenona Le Grand, Alberta-Brygida, małżonka pana de Regnier. Urodziwa Małgorzata du Grpi, Placyda, poślubiona przed samą wyprawą Rogerowi de Barneville, i kupa innych.

Arnuld staje między nimi rozglądając się badawczo wokoło. Zły jest, że mu jazgot niewieści przeszkadza w namyśle. Z obecnych bowiem szlachetnych pań tylko Florina i Willi-balda milczą. Pozostałe biadają, narzekają, modlą się, wykrzykują z uniesienia nad męstwem swoich, złorzeczą poganom. Powstający stąd zgiełk gęszy wrzawę bitwy.

Starając się nie słyszeć, Arnuld rozważa. W najlepszym razie nasi wytrzymają do wieczora... W najlepszym razie... Nie ma chwili do stracenia... Ubiję jak psa — mówił Robert. — A jużci! Giń sam, głupcze, jeśli chcesz, inni chcą żyć... Nikt nie będzie na ciebie zważał... Jeno gdzie szukać tamtych?... Jak daleko mogą być?... Zwołuje czterech giermków spomiędzy bystrzejszych. Giermków, nie rycerzy, bo z tymi trzeba by kolejno stoczyć spór, godzi się czy nie przyzywać Prowan-salczyków. Konie napoili z putni. Czterech pojedzie, on, Arnuld, piąty. I pięć koni zapasowych.

Mozolnie rozgradzają wozy, by wyprowadzić konie. Przechodzą przez pierścień pieszych. Woje nie czynią przeszkody. Znają kapelana, że jest prawą ręką i głową księcia normandzkiego. Byle muzułmany nie spostrzegły odjeżdżających i nie puściły za nimi pościgu!

Nie spostrzegli widocznie albo nie mogą przebrać się przez rzekę. Dziesięć koni, pięciu jeźdźców mknie przez spalony step. W ich szybkości zbawienie całej armii. Więc pędzić! Pędzić! Niechać konia, gdy ustanie, i przesiąść się na drugiego... Znowu pędzić! Żywo! Żywo!

...Ale dokąd?

Na świętego Maksencjusza, dokąd? Nie ma wszakże żadnej łączności. Od trzech dni obie armie nic o sobie wzajemnie nie wiedzą. Tamci mogli się zatrzymać, mogli skrócić na wschód lub, przeciwnie, przyspieszyć pochód i znajdować się już na południe od Dorylei... Któż zgadnie, czy są o pół dnia drogi, o dzień, czy o dwa?

Przeklinając głupotę baronów, Arnuld pędzi wprost na wschód. Byle szybciej, byle prędzej! I pędzą. Kopyta dudnią po stepie.

Walka toczy się bez wytchnienia. Mijają minuty za minutami, każda odmierzona ciosem niechybnego miecza. Mijają godziny za godzinami, każda wydzwoniona szelestem krwi, łomoczącej w obolałą z utrudzenia czaszkę. Słońce nie tłumi ani na chwilę swego okrutnego blasku. Powietrze stoi rozżarzone sępem. W zeschniętych wargach szerniały język przywarł do suchego podniebienia.

— Stój, słońce! — wołał Jozue. — Śmij się, słońce! — wołaliby raczej Latyńcy. Niech straszna oślepiająca kula stoczy się w końcu na zachód. Niech szernienie i zatonie w morzu! Niech nastaną chłód i mrok.

Ale minuty i godziny mijają powoli. Do wieczora wciąż daleko. Tylko zasieki z trupów wznoszą się coraz większe. Tylko coraz gęściej ubywa obrońców. Tylko coraz trudniej wnieść mdlejące ramię...
Niewiasty, zamknięte w warownym obozie, wyczuwają grozę położenia. Niepokój pędzi je z miejsca na

miejsce. Chciałyby coś zrobić, czymś pomóc. Zanosłyby chętnie swoim wody, jak to zrobiły Prowansalki pod Niceą, lecz jak się tu przedrzeć przez poczwórny łańcuch wozów!? Przymusowo beczynne, siedzą gromadkami w namiotach. Pachołcy, prześlizgujący się pod wozami, przynoszą coraz gorsze wiadomości. Co będzie, co będzie? Boże miłościwy, ratuj!

Florina siedzi sama w swym namiocie, szczupłymi, dziewczęcymi ramionami objąwszy kolana. Chmurnie patrzy przed siebie. Jej gorąca krew aż kipi przeciw przymusowej niewieściej bierności. Stać by chciała przy Swenonie, walczyć przy nim, zginąć z nim, jeśli kres ich dziś sądzony, a nie siedzieć tu bezradnie, czekając wypadków. Z niechęcią obraca głowę ku wchodzącej duegnie Boninie.

Bonina płacze. Łzy spływają po jej pocziwej twarzy.

— Święci męczennicy! — biada. — Co ino przyszedł do szlachetnej Gwenony Ormianin przewodnik, którego kapkę po łacinie gada... Ten prawi, że Saraceny żadnej białce nie przepuszczą, wszystkie mordują od razu... Chyba że która wielmi gładka i strojna, to do haremu ją biorą na rozpustę... Co będzie, gołąbko moja!? Święci patronowie Burgundii, ratujcie! Co będzie?

Florina wzrusza ramionami w wzgardliwą niechęcią. Kobiety z jej rodu nie dostają się żywe w ręce wroga. Czyż Bonina o tym nie wie? Nie grozi im pohańbienie. Ona też potrafi zadać sobie śmierć w odpowiedniej chwili. Nie darmo w jedwabnej jałmużniczce nosi mały złoty sztylet...

— ...Gołąbko moja, gołąbko! — szlocha duegna. Chwyta się za głowę z rozpacz, okręca w kółko jak postrzelona, klęka do modlitwy, zrywa się i ostatecznie biegnie z powrotem do namiotu szlachetnej Gwenony. A nuż są jakie nowe wiadomości?

Wiadomości nowych nie ma, natomiast jest kilkanaście niewiast. Ormianin po raz dziesiąty powtarza w łamanej łacinie, dopomagając sobie gestami, że starki, jak ta... (wskazał na Boninę, co ją wielce ubodło) dostaną po gardle, zaś młode i gładkie jak ta... (spojrzał na Gwenone, która uśmiechnęła się mile) będą oszczędzone. Mówiąc marszczył twarz w fałszywie współczującym uśmiechu. Sam o sobie nie lękał się zbyt. Miał zamiar w rozstrzygającej chwili nałożyć na głowę turban, ukryty przezornie w kieszeni i powitać wkraczających zwycięzców wyznaniem wiary Proroka.

Kłoniąc się głęboko, pytał, zali szlachetne panie pozwolą odejść niegodnemu słudze? Obiecał powiadomić je natychmiast, gdyby zaszło coś nowego, i wysunął się ostrożnie z namiotu. Pozostałe wdychają i jęczą. Drżą na myśl o śmierci. Dobrze wojom spoglądać zuchwale w ślepią kostuchy, gdy i sami nią szafują. Gorzej to czynić białogłowom, siedzącym bezradnie jak ptaki w potrzasku, czekające, rychłoli ptasznik przyjdzie i łby im ukręci. Śmierć nieuchronną przeżywają po sto razy, aż zmieni się ona w nieznośną udrękę. Naprężenie oczekiwania przechodzi w rozdrażnienie, w szal lęku, w bezsilną rozpacz, w sprzeciw całej istoty, która nie chce ginąć. Chce żyć, żyć! Obawia się zgonu, obawia się chwili mordy, obawia się męki konania. Płaczą i łamią ręce. Łamiąc wyczuwają swe krągłe, białe lub śniade ramiona i zdejmują je nieopisany żal nad własną młodością i krasą. Nad własnym ciałem, urodziwym, bogatym, płodnym, które ma zostać unicestwione, oddane na żer robakom. Dlaczego, za co? One nie chcą tego, nie chcą za nic! Za wszelką cenę żyć! Tułają się do siebie, kryjąc wzajemnie głowy na ramiona i, szlochając, modlą się do Boga o miłosierdzie. Niech im użyty żywota, niech pozwoli okwitnąć, przekwitnąć, zbabieć, postarzeć spokojnie. Niech im nie ukraca dni! Wydaje im się, że dopiero żyć zaczęły, niczego jeszcze nie знаły, a los im każe umierać!

Florina, co siedząc samotnie w namiocie, pięści dumnie złocistą ręką mizerykordii, pragnie żyć również. Życie leży wszak przed nią całe, jeszcze nie zaczęte. Ale ona pochodzi z krwi panów Burgundii, z rodu, gdzie białogłowy dorównują mężom. I w przeciwieństwie do tamtych kobiet myśli teraz o jednym tylko: by umrzeć tak, jak należy.

Willibalda, małżonka Omera de Guillebaut, nie płacze również i nie jęczy. Czeka z tępą rezygnacją, co los zdarzy. Nie wyobraża sobie, by śmierć mogła być czymś gorszym od życia. Jej życia. Ma go już dosyć, za dosyć. Napoiła ją goryczą

i wstydem po brzegi. W duszy ma z dawna jedno tylko marzenie. Nie widzieć Omera. Odejść! Jeżeli to marzenie może się skutecznym tylko przez wrota śmierci, niech śmierć będzie pozdrowiona!

Czas wlecze się wolno jak ślimak lub utrudzony dziadyga. Nigdy jeszcze żaden dzień nie był tak długi. Z oddali dochodzi zgiełk bitwy, jednostajny jak szum morza. Wystraszone kobiety to kryją się po kątach namiotów, to rade by zagrzebać się w ziemi "jak krety, to na zeschęj, skalistej caliźnie szukają jakiejś kryjówki, to wracają z rozpaczą na wzgórze, by zobaczyć, co się dzieje. Czy Bóg pomocy nie zsyła? Stanąwszy na wzgórzach nie trzeba być mężem wprawnym w ocenianiu boju, by poznać, że klęska Łatyńców jest już prawie dokonana. Wprawdzie okrutne słońce chyli się na koniec w dół, spóźniona to jednak ulga. Opór rycerzy słabnie widomie. Podnoszą jeszcze ramiona i walczą, ale czynią to jak we śnie, na poły bezwiednymi ruchami. O jedno już im tylko chodzi: zginąć z mieczem w garści. Gina też coraz to liczniej.

Muzułmanie nacierają coraz zapalczywiej. Las poczyna ogarniać drwali.

Bacznie zważający na wszystko sułtan Kilidż-Arslan uznaje porę za odpowiednią do ostatecznego natarcia. Cztery pułki, czyli dżamaty, oczekujące dotąd beczynnie w wąwozie, ruszają pędem, zataczają koło, spadają jak sępy na osłabłe prawe skrzydło gaurów. *Allah akbar! AUah akbar!* Już się przedarli przez jezdnych, już walczą z pieszymi, już rozrywają szepione łańcuchami wozy. Jeszcze parę minut a obóz będzie zdobyty, nieprzyjacieli na tyłach rycerstwa.

Z krzykiem niewiasty zbiegają ze wzgórza. Zebrane w namiocie skomlą ze strachu i grozy. Darmo było cały dzień myśleć o czekającym zgonie. Gdy zła godzina nadchodzi, umysł, miasto się z nią oswoić, odczuwa jeszcze większe przerażenie... Wszystko raczej, 'byle nie śmierć! Byle nie śmierć! I oto szlachetna Alberta porywa się nic nie mówiąc, z zaciśniętymi ustami, zrzuca białą podwikę ukazującą z twarzy tylko wąski trójkąt, zdziera sztywny kaftan z frędzlą, przysługujący żonie nobila, zdziera cztery kiecki, grube giezło, staje dygocząca, naga, rękami wygładzając czerwone zmarszczki odcisnięte na ciele przez sznurki spódnicy. Pozostałe kobiety patrzą na nią w zdumieniu, aże nagle pojawił się, co czyni, rozdziewają się pośpiesznie za jej przykładem. Zrzucają ciężkie

latyńskie stroje, w których ani poznasz, czy białogłowa jest młoda czy stara, prosta czy krzywa, gładka czy szpetna... Niech je Saraceny obaczą, jakimi są, niech zabiorą do haremów, na poniewierkę, niewolę, mniejsza z tym, byle nie zabijali, nie zabijali!

Willibalda patrzy ze zgorzonym zdziwieniem i cichaczem wychodzi. Nie pójdzie za ich przykładem na pewno. Nie bałaby się pracy, niewoli, ale dostać się w ręce nowego mężczyzny? O, nie! Modli się o jedno tylko: by ją zabito szybko i bez bólu.

Do namiotu, gdzie Florina siedzi jak skamieniała, Bonina duegna wsuwa się nieprzytomnym, błędnym krokiem. Głową trzęsie dziwacznie w rozterce.

— Już czas? — pyta Florina bezdźwięcznie, ujmując rękę sztyletu.

Lecz duegna nie odpowiada. Nie słyszy, nie widzi swej wychowanki. Dygocząc jak w febrze, rozpina z przodu suknię ukazując żółtą zniszczoną szyję i suche, płaskie piersi. Otworzywszy gotowalnię różuje policzki.

— ...Powiadają... — bełkocze — ...że nie ubiją..., tych... które...

Florina patrzy na nią z osłupieniem. Stara Bonina oszalała najwidoczniej.

— Co robisz? Co to znaczy? — krzyczy rozkazująco. Duegna przytomnieje, upuszcza barwiczkę. Pada na ziemię ze szlochem. Wślizguje się gdzieś za skrzynię. Na zewnątrz wrzaski, jęki, tętent koni, szcęk oręża. Walka toczy się w samym obozie tuż koło namiotów. Poganie wpadną lada chwila... Już... Już... O Jezu!... Już...

Rajmund St. Gilles pędzi wyprzedzając swoich o dobre kilkadziesiąt kroków. Raz po raz obraca się ku nim, ze złością i rozpaczą daje znaki dłonią, by śpieszyli, poganiali! Leżą jak żółwie, jak smoła, jak gówno! Prędeż, prędeż, jeszcze prędeż!

Oddział, który wiedzie, składa się z tysiąca ludzi. Wybrano doń co najlepsze, najściglejsze, najwytrwalsze konie. Jednakże porywczemu grabiemu zdaje się, że ciągną jak woły. Reszta armii pod wodzą biskupa i Godfryda gna z nimi, lecz mimo wszelkich wysiłków nie nadąży wcześniej jak za kilka godzin.

...Prędeż, prędeż! Chrapią z wysilenia konie, jeźdźcom pot zalewa oczy. Spieszą tak, jak śpieszyć tylko mogą prawi rycerze, dążący rycerzom na pomoc.

I w momencie, gdy mużułmanie na prawym skrzydle wdzierają się już zwycięsko do obozu, skąd uderzą na tył armii i rozgromią ją ostatecznie, z lewego Rajmund St. Gilles wali się na nich jak orkan, jak wicher pustyni, jak piorun. Na-skoczył tak z nagłą, z takim impetem i siłą, że przerywa pierścień jazdy mużułmańskiej, dociera do swoich, zawraca i znów uderza.

— Bóg tak chce! Śmiało, Normany! Tuluza! Tuluza!

...Śmiało, Normany?! Im tego mówić nie trzeba. Jednakże ten okrzyk z ust współzawodników ocuca zmysły niby cięcie biczem, zajątrza pasję, porywa ciała do nadludzkiego wysiłku. Ciż sami, co przed chwilą omdlewali półprzytomni, z zażartą furią rzucają się znów do walki. Przez wyłom w wozach w ślad za Saracenami wpadają do obozu Normany i Swenon ze swoimi Duńczykami. Walczą zaciekle w wąskim okólniku, wypierają Saracenów, mordują ich, wyrzucają precz za wozy.

Gdy jedni kończą wyprzątać nieprzyjaciela, drudzy zeskakują z koni. Niepokój ich ogarnia o żony. Jak dawno Sarace-ni plądrują w obozie? Co się dzieje z niewiastami? Gdzie one? Rycerz Le Grand wpada do pierwszego namiotu, za nim inni. Stają oszołomieni. Co to znaczy? Nagie kobiety leżą na ławach pod ścianami. Umalowane policzki, klejnoty na dłoniach i piersiach... Naprzeciw wejścia Gwenona, Gwenona Le Grand, z zalotnym półuśmiechem na skrzywionej strachem twarzy unosi się z postania zapraszająco i z przeraźliwym wrzaskiem opada kryjąc głowę w ramionach. Poznała męża. Reszta gółek porywa się z

piskiem, przypada do ziemi, gorączkowo poczynając wciągać na się porzucony przyodziewek. Rycerze patrzą chmurnie. Nie rozumieją, dlaczego niewiasty są rozebrane jak w łaźni.

- Kto wam kazał zewlec szaty? — pyta surowo Le Grand;

Niewiasty milczą. Są zmiażdżone, zawstydzone. Urodziwa Małgorzata du Grai chwyciła giezło znacznie mniejszej i szczuplejszej od niej Placydy de Barneville. Wbiła w zbyt wąskie otwory głowę i ramiona, i teraz szamoce się bezradnie, twarz i barki mając spowite płótnem, różowe, krągłe pośladki podrygujące z wysiłku wystawiając ku mężowi

obcym rycerzom. Inne, narzuciwszy na ramiona radna, kie-ki, co się dało, siedzą skulone, szczękając zębami.

Kto wam kazał? — dopytują Le Grand, de Regnier.

Omer de Guillebaut wciska się do namiotu i wybucha jadowitym śmiechem. Wstręt i nienawiść do kobiet uczyniły go przenikliwym.

— Kto im kazał? — powtarza. — Łacno odgadnąć. Same się rozdziały, by ołśnić poganów! Samki plugawe, obmierzłe!

Gwenona wybucha głośnym płaczem. Małgorzata jej wtóruje. Ten płacz brzmi jak przyznanie. I rycerze stają znieruchomiali, obezwładnieni niepojętym wstydem. Boże, Boże, czyż możliwe? Twardym mężom, co walczyli cały dzień jak bohaterowie, co stawali jak Olivier, Roland lub Keus, dobry podczaszy, zda się, że otwiera się przed nimi przepaść, od której widoku można oszaleć. Ich niewiasty...! Ich niewiasty...!

— Ladaczнице! — pieni się Omer de Guillebaut.

Du Grai przeciera energicznie ręką oczy, jak gdyby ze snu i woła:

— Ejże, szlachetni panowie! Tam się biją bez nas!

— Prawda! — wszyscy oddychają z ulgą i wychodzą tłumnie. Jak najdalej stąd, jak najdalej! Do walki, do walki, do uczciwej męskiej walki, gdzie wszystko jest zrozumiałe i jasne! Potem, potem będzie czas osądzić /tę niecną sprawę. Teraz do boju! Niech piekło pochłonie niewiasty!

Lecz Omer biegnie jeszcze do swego namiotu. Chce zaskoczyć Willibaldę nagą, bezwstydną. Nie wątpi, że ją taką zastanie. Jest przecież niewiastą jak tamte. A one wszystkie jednakie. Obok gniewu czai się w nim złośliwa triumfująca radość, że on jeden miał rację, on przejrzał białki, do których stosują się przepowiednie Merlinowe o czapli z Kalateryjskie-go kraju... On jeden, a inni mu nie wierzyli!

Wbrew przewidywaniom Willibalda nie oczekuje nago zwycięzców. Szczelnie odziana, zawita po oczy, siedzi jak zwykle w kącie namiotu. Na wchodzącego spogląda z bolesnym zdumieniem. Omer? Żyje? Nie zabito ani jej, ani jego? Paganie nie przyszli? Wszystko będzie po staremu?

— Suko! Gamratko! Dziewko! — ryczy mąż. — Rozdziewa-łaś się jak tamte.

— Nie jestem rozdziana — odpowiada Willibalda. Ale Omer nie chce widzieć tego, co oczywiste.

— Rozdziewałaś się! — powtarza z uporem. — Czeakałaś na pogańską rozpustę!... Bestia plugawa! Poćpiega!

Potrząsa nad nią pięściami z wściekłością, tupie nogami. I w udręczonej, bezbronnej kobiecie zrywają się nagle gniew

j bunt. Ach, dosyć już! Dosyć! Czego on chce od niej! Wyzwolić się od tego kata, wyzwolić za wszelką cenę!

— Zawiodłaś się, że mąż przyszedł, nie poganin... — syczy zjadliwie Omer. — Widziałem, jak spojrziałaś... Ścierwo przeklęte! Wolałabyś poganina!

— Wolałabym — przyznaje ona zuchwale.

— ...Co!/? — Omer jak ogłuszony cofa się o krok.

A w niej coś się przerwało, pękło. Powstaje na równe nogi.

— Wolałabym! — powtarza bez tchu — nie cierpię cię, głupcze, okrutniku! Nie cierpię!

Nienawidzę! Bodaj cię Bóg za moje krzywdy pokarał! Wolałabym żyć z chłopem, ze sługą, z poganinem niżli z tobą! Z poganinem! Słyszysz!

- ...Ach, ty... Milcz!... — nieprzytomny ze złości Omer przebija ją mieczem. Willibalda osuwa się na ziemię bez jęku. Bóg wysłuchał jej poprzedniego życzenia. Umiera szybko i bez bólu. Ani spojrzawszy na trupa, Omer wychodzi uspokojony. Może iść walczyć. Zgładził wszeteczną. A, podła żmija! Nareszcie okazała prawdziwe oblicze! Jakimże znawcą kobiet był on, Omer, gdy nigdy jej pozornej łagodności nie wierzył... Wolałaby poganina!

Na wpół żywy z utrudzenia, zababrany jak nieboskie stworzenie krwią cudzą i własną, Swenon wbiega do namiotu żony. Florina stoi nieruchomo na środku, sztywna jak posąg. O nie, ona nie zdjęła zawicia, które zawiązuje na nie ostrzyżonym dziewiczym warkocz, nie rozpięła szat. Patrzy na niego, jakby nie

poznając.

- Florino, to ja! Florino!

- Chciałam się zabić... — szepcze ona, ukazując sztylet w zaciśniętej ciasno dłoni.

Po czym wyzwolona z nieludzkiego napięcia, w jakim trwała od sześciu godzin, pada na pierś męża z płaczem dziecinny, gwałtowny. Płacze ze zmęczenia, a zarazem radości, że są oboje żywi, że nie potrzeba umierać... Swenon tuli ją do siebie. I w nim serce taje ze wzruszenia, miłości, tklivości. Jdnośi ku sobie jej pobladła twarzyczkę, całuje ostrożnie kres od łez policzki. Jakże ją kocha, miłuje! Jest duszą jego luszy, najdroższym przyjacielem, najlepszym towarzyszem, najulubieńszym skarbem... O miła... Lecz w teże chwili Florina sztywnieje, wysuwa się z jego non, obca, nieomal niechętna. - Ślubowałeś nie całować... — powiada z wyrzutem.

...Och, to ślubowanie! Swenon wciska na głowę zrzucony przed chwilą szłom i wybiega rozeźlony. Zresztą nie pora na czułości. Bitwa przecież nie skończona. Przeciwnie, wszczęła się jakby od nowa. Nadejście pomocy nie przesądziło jeszcze sprawy na korzyść krzyżowców. Saraceni nie myślą dać sobie wydrzeć zwycięstwa już osiągniętego. Ochłonęli z zaskoczenia, wywołanego nagłym wypadem Rajmunda, i nacierają zaciekle. Wieczór nadchodzi. Drugi wieczór nieprzerwanej bitwy. Według dobrych obyczajów rycerskich walczący powinni teraz koniecznie zejść z pola na Anioł Pański. Ale nie ma komu dzwonić, nie ma dzwonów i nikt o Pozdrowieniu Anielskim nie pamięta. Nie ustąpią jedni ani drudzy. Zawziętość wzajemna doszła do kresu, gdzie nie masz innego wyjścia, jak zwycięstwo albo śmierć.

Lecz ciemność nie zdążyła jeszcze ogarnąć całkowicie ziemi, gdy z tętentem, szumem najeżdżają pierwsze oddziały lotaryńskie pod wodzą Godfryda i Baldwina. Zamieszanie rośnie. Porządek prysł. Oba wojska są przemieszane, splątane, mając nieprzyjaciela z przodu, z tyłu, z boków. W tej kotłowaninie trudno rozpoznać, gdzie swój, gdzie wróg. Latyńcy zwołują się swym zawołaniem rodowym, by się nie zgubić w ciżbie i mroku. Muzułmanie wzywają Allacha. Przeciwnicy spychają się w wąwozy, które zmieniają się w wądoły śmierci. Nikt nikogo o życie nie prosi, nikt go nikomu nie daruje. Walczą jeszcze, upadłszy na ziemię. Gaszą się wzajem jak świece. Miejscami sagi trupów są wielkie jak szańce, jak dawne mogiły wodzów. W tych mogiłach leżą splątani pospołu dobrzy rycerze i wierni wyznawcy Proroka. Konie żywych nie mogą się ruszać, nie tylko z utrudzenia, lecz nie ma gdzie stąpnąć, nie ma gdzie nogi postawić. Wszędzie trupy. Ale walka nie ustaje. Teraz oświeca ją księżyc, obojętny świadek. Wyszedł zza gór, przystanął na szczycie, wyolbrzymił cieniem stosy zmarłych, zagrzał do oporu żywych. Poza walczącymi ludźmi w przyrodzie panuje cisza, śmiertelna cisza. Milczą szakale, hieny, milczy nocne ptactwo, nie zaszeleści wiatr. Miesiąc, gwiazdy, góry, step patrzą w milczeniu na straszliwe widowisko, na zmaganie się dwóch wiar...

Rycerze śląscy przygnali tutaj z pierwszym oddziałem Rajmunda St. Gilles i czynią śmieie z plugawcami na podziw innym narodom. W takich chwilach, gdy obcy patrzą z uznaniem na ich męstwo, sprawność, znajomość wojennego rzemiosła, Ślązacy czują nie znaną przedtem dumę z przynależności do swego plemienia, krzepką radość, że są nie tylko

równi, ale lepsi od zachodnich mądrarów, a zarazem ten sam wieczny, gorzki żal, że przyszli tutaj garsteczką bez wodza, bez króla... Hej! Pokazaliby światu, co Polacy znaczą! Dziwiliby się Frankowie ich czynom, jak dziwił się dziad pana de Foix, patrząc na przewagi Chrobrowe...

Niejasne poczucie, że dźwigają na swych barkach cześć i zasługę całego narodu, podwaja, potraja siły, narzuca zgodność ruchów, doskonale zgranie w walce. Jest ich dwunastu — walczą niby jeden. Myślą zbiorowo, uzupełniają wzajem. I choć każdy z rycerzy zajęty jest dziś samym sobą, zresztą innych jak mężni tu nie ma i niełatwo się wyróżnić — jednak po całej armii między Normany i Prowansalczyki pójdzie hyr o męstwie dobrych, polskich rycerzy.

Niełatwo jednak myśleć równocześnie o zdobyciu sławy i zachowaniu żywota. By zdobyć pierwsze, rycerze nie dbają o drugie. Wsunąwszy się zbyt śmiało naprzód, już są otoczeni, obkoczeni wokół. Mimo wysiłków zepchnięto ich w stronę wąwozu. Daro rzucają się jak ryba w sieci, waląc na oślep straszliwymi ciosami. Na miejsce jednego zrąbanego wyrasta dziesięciu. Otoczeni są zewsząd. Już runął z konia Nogodzie. Ubit Ludbor Oświęta. Bluzgając krwią chyli się na kark koński gadatliwy Nowina Tarchała. Nie miną i dwa pacierze, a zginie podobnie reszta...

Głowacz Strzegonia ogląda się na braci. Żywi jeszcze, jeszcze walczą. Twarze mają kamienne, policzki zapadłe ze zmęczenia, oczy skryte w cieniu. Zginą tutaj wszyscy trzej, nie powróci żaden doma, do starego śląskiego dworzyszczka, w poświęcane progi dziadów...

...Trzeba, by wrócił choć jeden... — myśli Głowacz odpierając najeżdżającego nań napastnika o czarnej diabelskiej gębie.

...Żeby powrócił choć jeden... Więc cóż?... Chyba wołać... Ją?...

Na samą myśl mróz chodzi po kościach... — Wołać ją? Tajemniczą opiekunkę rodu? Ojciec zwierzył mu przedśmiertnie, że trzeba ją wzywać, gdy grozi rodowi zagłada, jeno, który woła — ginie.

...Trzeba — myśli Głowacz — chwila jest taka, że trzeba...

Zęby mu szczękają z trwogi, ale wołać do niego należy. On najstarszy. Podniósł się w strzemionach, pojrzał. Dokoła jedno kło. Ludzie charczą, rżęą, wyją, skruszyli już miecze, to-sry, czekany, walczą ze sobą pazurami, chwytem pięści. Ale me ustają. Jakby padło na nich zaklęcie, jakby mieli walczyć

tak w nieskończoność. Z góry świeci srebrny miesiąc... Gdzieś daleko, nieopisanie daleko, jest puszcza rodzima i dom.

— Kiej trzeba, to trzeba... — Z nagłym postanowieniem Witosław Strzegonia, zwany Głowaczem, obraca się do swoich braci, Zbyluta i Imbrama:

— Będę wołał! Spuścić przyłbice! Nie patrzeć!

I preraźliwym, nieswoim głosem, zadarłszy głowę ku niebu, krzyczy po trzykroć:

— Strzyga! Strzyga! Strzyga!

Nadleciała. Z gwizdem sunąc przez powietrze, spadła z nagła. Wśród pustyni azjatyckiej ujrzeli ją, upiorzycę słowiańską... Podwójny rząd zębów w licu trupim, szponiaste palce, śmiertelne szare radno, łysy czerep... Już siada na kark najbliższego poganina, wpija się zębami w ciało poprzez stal. Już na drugim, trzecim, czwartym... Już się mości wolna droga... Dokoła walczących pustka... Im zimny pot spływa z czoła. Ułomkami mieczów tłuką bez opamiętania, nie bacząc, że biją w próżnię. Jedna myśl: nie podnieść głowy, nie spojrzeć, nie zobaczyć jej ponownie...

Nie zobaczą. Już zniknęła. Może jej wcale nie było? W miejscu, gdzie białało śmiertelne radno, ślizga się blask miesiąca. Może to zwid był tylko? Ależ nie, musiała być, bo któż by przechód wyrąbał?...

Trupio blade z doznanego lęku i wrażenia, rycerze śląscy łączą się z Tuluzanami. I walczą dalej. Leczą Głowacza dłoń osłabła. Jak gdyby nie stało mu siły, niemrawo podnosi i opuszcza miecz. Już dwa razy Zbylut zasłonił go przed niechybną śmiercią.

— Ostaw — mruczy Głowacz — ostaw, dyć ją wołałem, to mi już trzeba zemrzeć...

I w tejże chwili, nie odparłszy w porę włóczni saraceńskiej, wali się ciężko na ziemię...

Gdy więcej niżli pięćdziesiąt tysięcy wojowników sułtana poległo śmiercią najwaleczniejszych, ulubionych Prorokowi, gdy anioł Gabriel zaniósł ich dusze do rajy, gdzie wśród zwisających powojów ł rozłożystych akacyj, i wydłużonych cieni i owoców rozlicznych, i miękko usłanych wezglówi, i dziewic, rówieśnic rozkosznych, zażywać będą rozkoszy, mężny sułtan Kilidż-Arslan struchlał i cofnął się w góry, niechając bogactwa

tego obozu pełnego żywności, paszy i bogactwa. Latyńcy zostali panami pola.

Natychmiast Rajmund z Tankredem, ani zrucając przywartych do ciała pancerzy, przesadzili swoich ludzi na zdobyczne konie i pognali za uciekającymi w ślad. Konie były za drobne dla rosnących rycerzy, ale wypoczęte i ściągłe, umiające poruszać się w górach. Szybko dopadli ostatnich szeregów pogańskich i siedli im na karkach, przynaglając do coraz większego pośpiechu. Nie mógł uwierzyć sułtan, by go ścigali ci sami ludzie, co półtorej doby walczyli, i sądząc, że Latyńcom nadeszły nowe, nieznane posiłki, nie próbował oporu. Uchodził. Mrok głębokich wąwozów pochłonał jednych i drugich.

Na zalanej światłem dolinie, nad brzegiem rzeki, z której nareszcie każdy może pić, ile zechce, biskup składa dzięki Panu Niebieskich Zastępów, który im zwyciężyć pozwolił. Wszyscy zeszli z koni, chwieją się na sztywnych nogach, zrzucili szlomy z utrudzonych głów. Wodzowie podchodzą ku sobie wyciągając niezbrojne prawice. Zawierają ponowny sojusz, ponowny układ przyjaźni. Dziękują sobie wzajemnie. Prowansalczyki Normanom za to, że im uczynili zaszczyt i wezwali do uczestnictwa w tak chwalebnyemu boju; Norma-nowie Prowansalczykom za to, że przybyli i do zwycięstwa pomogli. Obie strony prześcigają się w dworności, zapewniają o trwałej przyjaźni, której nic, nic nie naruszy... Do najbliższego starcia...

Gdy rano nadejdzie, rozpocznie się obliczanie strat. Sroga godzina! Co najprzedniejszych rycerzy legło około dwudziestu tysięcy. Legli d'Armaillac i St. Pierre de Luz, du Grai, Wilfryd Guillebaut, brat Om era, de Hauteville i Onufry de Monte Scabioso, siostrzeniec Boemundowy. Konon de Montai-gu ranny, a Godfryd nie ucierpiał wcale, jakby na potwier-

Izenie, że śmierć, stara zalotnica, ucieka przed tymi, którzy jej szukają. Legli węgierski żupan Geza Sukki de Szuha i towarzysz jego Gyor Bakócz, czterech rycerzy polskich i Raul Beaugency. Ten trzymał się na uboczu samojeden. Znalono go martwego, naszpikowanego strzałami jak święty Sebastian, bo, nie wiedzieć czemu, bez pancerza walczył. Po-bnie i pasa od czasu swej niesławy nie nosił. Wkoło leżały rąbane przez niego trupy. Chciano go zrazu rzucić między ługi pospólnie z nimi chowając, ale biskup się temu przeci-

— Krzyżowcy t. II/IV

wił i zarządził, aby dano nieszczęsnemu rycerzowi uczciwy, godny pochówek i przywrócono do czci. Włożono mu więc pancerz i pas przed złożeniem w ziemię.

Legli Bernard de St. Yalery, Eustachy de Terouenne, bracia Henryk i Godfryd de Hache, Gerard de Cherisi, Tomasz de Ferriere, Wigbert, kasztelan Lugdunu, Ludolf de Tournai, Dudon de Contz i niezliczone mnóstwo innych. A giermków, sług! Tych nikt nie zrachuje. Leżą pokotem jak snopy na polu, miejscami spiętrzeni w zwały. Nikt też oprócz lwów i hien nie będzie trudził się ich grzebaniem.

Rozdział drugi

W KTÓRYM JEST O ŚMIERCI DOBREGO RYCERZA I O SĄDZIE NAD NIEPOCZCIWYMI BIAŁKAMI

Był zwyczaj, że umierającego woja kładziono na grochowi-nach, nakrytych radnem śmiertelnym; tu jednak w Azji nie było grochowin i Głowacz, uniesiony przez braci z pola bitwy, leżał wprost na twardej ziemi, pod głowę mając podsuniętą własną, zwiniętą w kłębek opończę. Ale pod łopatki i na piersi położono mu odrobinę ziemi rodzonej, ojczystej ziemi, zabranej przed wyjazdem spod domowego progu, w węzełku za pazuchą przez każdego z rycerzy noszonej. Tak więc spoczywał jakoby w ojcowiznie i łączność między nim a duchami dziadów nie była zerwana mimo oddalenia. To jedno pocieszało nieco braci i obu Zaworów, dzielących ze Strzegoniami żałobę, jakby byli rodzonymi, poza tym bowiem, na iluż rzeczach schodziło! Mimo najlepszych chęci nie mogli zabezpieczyć Głowaczowi duszy, tak jak należało, pomóc jej w ostatniej wędrówce i oderwaniu się od ciała! Nie mówili o tym, bojąc się słowami zwrócić uwagę bogów na te właśnie braki, nie z przeoczenia ni zaniedbania, ale z niemożności płynące, i źle ich do umierającego usposobić.

Myśleli jednak ustawicznie i drżeli, czy nie pociągnie to za sobą złych skutków dla rodu w postaci niebłogosławień-stwa. Podobnie jak grochowin, nie było kaszy jaglanej, czyli brzycznej, poświęconej Dolom, co wymieszana z jęczmieniem warzonym i miodem powinna była stać trzy dni w nogach zmarłego. Nie można było upiec placków hreczanych, tatar-czuchów ani umierającemu włożyć w zanadrze pisanek biało--czarnych, woskiem kreślonych w osobliwy, śmiertelny wzór, wzór bez początku i końca, oznaczający wieczność, koło życia zamykające się za każdym człowiekiem z niewiasty zrodzonym. Brakło również ziół, którymi konającego należało obłożyć, namaścić i okadzić. Jedne miały własności lecznicze i mogłyby jeszcze zatrzymać duszę w doczesności, inne zapewniały lekką śmierć i szczęśliwe wydostanie się duszy skroś ciała.

Lecz skąd je wziąć tu, na tej obczyźnie? Nie rośla w dorylej-skiej dolinie bylica ani dziewięciśń, podbiał, żywokost, lebioda, pokrzyk, grzmotnik ni sojec, ojciec wszelkiego ziela. Darmo ich szukać. A badyli, rosnących nad potokiem zwanym Sareh--Su, czyli Żółta Woda, nie śmieli zrywać, nie znając ich właściwości.

Za to wszystko, co leżało w ich mocy, wykonali pilnie. Woda z pławionymi w niej węglami brzozowymi (spalili na ten cel łąk Głowaczowego siodła, o którym wiedzieli na pewno, że był brzezinowy) stała w misce tuż koło głowy rannego, aby dusza ulatując miała się w czym obmyć. Wprowadzili konia do namiotu, dobrego Głowaczowego wierzchowca, własnego śląskiego chowu, i koń zarżał, czując śmierć. Potem odbili koniowi podkowę z przedniego kopyta i przeciągnęli nią choremu po piersiach, plecach i brzuchu. Przed namiotem ułożyli mały stos z trudem zebranego drzewa. Gdy Głowacz zemrze, podpalą go i przeniosą ciało przez ogień, by odgonić od nieboszczyka złe duchy, a zarazem zaznaczyć, iż spalili brata na stosie uroczyście, jako niegdyś bywało, z koniem, sługami, dobytkiem, nie żałując mu zgoła niczego, gdyby nie to, że Bóg prawdziwy, Jezus Chrystus, srogo się gniewa i grozi dla duszy potępieniem wiecznym, jeżeli ciało puścić z dymem, miasto pogrześć je w ziemi. Zapalili też gromnicę, którą przyniósł de la Tour, i, nie mogąc już uczynić nic więcej, usiedli na ziemi pobok, z odkrytymi głowami, jak obyczaj każe.

Głowacz leżał nieruchomo, oczy mając zamknięte, a usta otwarte. Palcami gmerał po ziemi. W grdyce mu grało. Świszczący oddech wydobywał się jakby z trudem, chwilami zupełnie ustawał. To dusza zmagająca się

z ciałem, nie chcącym jej z siebie wypuścić.

Odwracali oczy, by nie utrudniać tej walki, usilnie myśląc

tym, jak dobrym, prawym wojem był Witosław Strzegonia, zwany Głowaczem, jak nigdy nie uchybił rycerskiemu obyczajowi ani swoim obowiązkom, jak był silny, mądry, dostały

zawsze jednaki. Sprawiedliwy mąż. Toteż Dole go szanowały. W jednym tylko musiał kiedyś pobłędzić i Rożenice urazić, wskutek czego syna nie miał. Oj, lelum!

Ze szczerym wzruszeniem przypominali, że ich wszystkich od śmierci ocalił, zwołując Tę, której imienia nie byłby teraz żaden z nich wymówił. Gdyby nie jego mądrość i męstwo, zginęliby w wąwozie całą gromadą, nie ostałby żyw ani jeden. Oj, lelum, lelum... Oj, Dolo!

Palili gromnicę, którą Zbylut trzymał tuż przy dłoni Gło--waczowej. Żółte warkocze wosku spływały na ręce jednego i drugiego, łącząc je ze sobą. Jasek Zawora śpiewał żałości-wym głosem pieśń, a raczej urywek z pieśni zapamiętanej z pogrzebu ich ojca, starego Przybywoja Zav/ory, gdy opat Gwido egzekwie odprawiał.

...O mój smętku, ma żałości — Nie mogę się dowiedzieć!, Gdzie mam pierwszy nocleg mieci, Gdy dusza z ciała uleci...

Powtarzało to po raz dziesiąty, dalej nie umiejąc ani innej modlitwy nie znając, a obecni za każdym razem powiadali: Oj, lelum, lelum! — łącząc w ten sposób wezwanie do Boga Prawdziwego i do bogów dawniejszych.

...Nie mogę się dowiedzieli, Gdzie mam pierwszy nocleg mieci, Gdy dusza z ciała uleci...

Boże ty mój! Jeżeli tak śpiewać kazał opat, choć stary Zawora umierał na swoim dworzyszczu, o staję od żalnika, na którym jego ojców grzebano — cóż będzie z Głowaczem, w odległej pustaci zeszytym? Jak trafi, jak się na tej dale-czyżnie nie zabłąka, gdzie mieć będzie pierwszy nocleg?...

Oj, lelum!

...Może miłościwy Chrystus zmieni jego duszy.ce w ptaszka, co łatwo nad morzem przeleci? Może jej da przewodnika--sokoła? Powiadają, że kukułka po dwu latach zmienia się w krogulca, potem w kanię, potem w jastrzębia, a na koniec w orła. Wtedy ma moc wieszczyć i prowadzić dusze. Może która ze śląskich kukułek przeobraziła się już w orła i Gło-wacza do domu powiedzie?

Oddech chorego stawał się coraz cięższy, chrapliwszy, na zapadłe policzki, na czoło, wystąpił kroplisty, zimny pot.

- ...Zby... Zby... Zby... lut, od... od... od..., daj świecę Imko-- rzekł Momot Zawora — M... mo... mo... że ma lżejszą

rękę... ła... ła... łączniej skona...

Imbram podsunął się ku bratu, by przejąć gromnicę. Zbylut spojrzął na niego krzywo.

- Awo — zauważył — dobrze jest, bo właśnie na płacze nam schodziło...

Imbram pokraśniał jak mak i spuścił nisko głowę. Płakał

rzeczywiście i choć się łez niegodnych mężczyzny wstydził, nie był w stanie ich powstrzymać. Nieznośny ból uciskał serce i gardło. Zdawało mu się, że widzi nieznaną pustkę, w którą odchodzi Głowaczowa dusza, pustkę, co niezadługo pochłonie podobnie ich obu. Jakże są strasznie daleko od wszystkiego, co swoje, bliskie i rodzone! Oddalenie i obcość, trudne do zniesienia w życiu, stawały się jeszcze stokroć cięższe w chwili śmierci.

Momot Zawora miał słuszość mówiąc, że Imkowa ręka będzie lżejsza, bo Głowacz otworzył oczy.

Spojrzał zupełnie przytomnie. Wleli mu do ust z miski nieco wody, tej z węglami. Przełknął. Oddech zelżał na chwilę. Poruszył wargami. Chciał mówić.

Pochylili się nad nim wszyscy wstrzymując dech, zmieniając się w słuch i uwagę. W smudze światła, padającej od wejścia namiotu, brzęczały muchy. Głowacz mówił. Co drugie, trzecie słowo rozumieli.

— ...Zbylut... Starszeństwo... Miłuj go... jak ojciec... Star-szyś... Dominus... Imko... będziezli go słuchał...?

— Na moją cześć rycerską, będę, Witosławie • — odparł z przejściem Imbram. Nie nazwał brata przezwiskiem Głowacz, lecz właściwym, dostojnym imieniem.

— ...Zbylut... będziez... miłował?...

— Będę — odmruknął zapytany, odwracając głowę. Chory znów rzeził i chrapał. Otwierał i zamykał o-czy mętne już, nie widzące.

— ...Szłomu... nie zabądzcie... — rzekł jeszcze całkiem wyraźnie.

— Nie zabędziemy — odrzekli wszyscy czterej. Gdzieżby zabyli! Szłom pod pachą, pas na sobie, miecz u boku — tak się chowało rycerza. Inaczej musiałby wracać i szukać tych rzeczy, pomsty na niedbałych krewnych dochodząc.

Myśleli, że pomarł, ale on znów oczy otworzył. Ostatnie ziemskie myśli rwały się w nim, pierzchały, zapalały i gasły. Uspokojony co do braci i szłomu, zaniepokoił się, czy nie zapomną rozbić garnka o próg?... Bogucha przygotowuje taki właśnie, jak trzeba... Bogucha... Gdzież ona?... Nie ma jej... I progu nie ma... Próg jest w domu... Dom daleko... Dom... W domu Imkowy synek... Mały synek... Choćby tu wszyscy trzej zginęli, ród nie zginie, bo ten mały jest...

Ostatkiem mdlejącej świadomości, ostatnią ziemską myślą uśmiechał się do dalekiego bratańca, gałązeczki drobnej, odziomka ledwo wzrosłego, na którym nadzieja rodu. Uśmiech-

nał się do dzieciątka, co między matką a stryjną płacze się na małych nóżkach, po dziecinnemu gaworzy, szczebioce niefrasobliwie — płoneczki, z której kiedyś stary pień odrośnie...

Poruszył sztywniejącymi palcami. Bracia nie rozumieli, co by chciał, on zaś w myśli unosił ręce i błogosławił maleńkiego. W imię Pana Jezusa Krysta i starych bogów puszczańskich. W imieniu dziadów mieszkających w stole, siestrzanie i uczciwym kęcie. Wzywał na jego główkę opieki skrzatów spod progu, pionków ze spichlerza, wszystkich mocy ziemi, wody, powietrza, świata i zaświata...

I z tym błogosławieństwem i uśmiechem skonał.

Siedzieli długo bez ruchu ni słowa, obawiając się splotać lub potracić duszę, która ważyła się nad ich głowami. Zdało im się, że słyszą jej trzepotanie w południowej rozpalonej żarem ciszy. Wzbijała się w górę jak gołąb, szukając swojego kierunku. Niechże jej Bóg przyjdzie w pomoc!

Po dobrej godzinie dopiero powstali z ziemi. Ruchy ich były wolne, uważne, obrzędowe. Zmarłemu dali w garść bi-zantyna, dwiema złotymi monetami przyłożyli oczy. U wejścia do namiotu położyli siekierę i miotłę. Pomiedzy nimi Imbram ostrożnie wysypał ziemię z własnego, noszonego na piersi woreczka.

Obcięli sobie każdy po pęku włosów i położyli zmarłemu na sercu pod kaftan, w dowód żalu, a zarazem zaufania do brata, który przez posiadanie włosów mając ich w swej mocy, na złe tej władzy nie użyje, ale na dobre. Położyli nieboszczyka na przygotowane uprzednio mary i ponieśli. U wejścia po trzykroć dotknęli ciałem rozsypanej przez Imbrama ziemi, aby zmarły pożegnał się jakoby z własnym domem, z rodzonym ojcowskim progiem. Stos płonął. Przenieśli trupa ponad nim, zatrzymując się chwilę, by złe duchy na pewno odzegnać. Gdy ruszyli dalej, Imbram i Zbylut obejrzeni się równocześnie za siebie. Dym z ogniska szedł w stronę namiotu. Schylili głowy nic nie mówiąc. Zły to znak. Jeszcze ktoś z rodu umrze niedługo... On czy ja?... — myśleli obaj.

Ziemię z progu zebrał Imbram uważnie i ukrył z powrotem w woreczku, a zewłok Głowaczowy ustawiono w największym namiocie, gdzie leżały już ochędźnie przyodziane ciała Nogodzica, Ludbora i po raz pierwszy w życiu milczącego Tarchały. Przy tych czterech zmarłych rycerzach po-

'Stali Ślązacy siedzieli, czuwając, trzy doby. Nie wychodzili z namiotu, nie odzywali się słowem, nie jedli i nie pili. *v upalnym gorącu rozkład następował szybko i już na drugi

dzień trudno było wytrzymać w namiocie z powodu straszliwego zaduchu. Głód skracał wewnętrznosci, pragnienie paliło nieznośnie. Wytrzymali jednak, gdyż zmarli byli dobrymi wojami, których należało uczcić. Po trzech dniach wyszli z namiotu na poły zatruci, sami podobni do nieboszczyków, słaniając się na nogach. Choć zgłodnieli, jedzenie wywoływało w nich mdłości. Dopiero po paru godzinach, gdy przyszli do siebie, podjęli cztery nosze i zanieśli do pieczary, którą poprzednio wynalazł Benito i wraz z resztą służby uprzętnął i przygotował. Tam złożono poległych. Przy każdym odzież zapasowa, broń, siodło, rząd i co nieco jadła. Otwór pieczary rycerze zawalili wielkimi głazami, na moc, na siłę, na odpoczywanie wieczne. Natoczonych przez nich kamieni nie odwali lew, nie prześliznie się między nimi szakał. Zmarli będą spoczywać spokojnie. Na głazach siekierą wyrąbali krzyż, a poniżej znaki rodowe Strzegoniów, Oświętów, Nowi-nów i Nogodziców, dobrych śląskich rodów puszczańskich, zabłąkanych w Azji Mniejszej.

Przymus milczenia przysł. Zmarli dostali wszystko, co się im należało, i żywi mogli powrócić do życia. Zbylut z cierpko szydlwym uśmiechem przysunął się do Imbrama.

— Na cześć rycerską obiecałeś słuchać mnie?

— Tak jest — przyznał Imbram.

—• To i pod kolana musisz mnie podjąć, wiesz?

— Mogę cię pod kolana podjąć, bracie.

Zbylut jakby zaskoczony spojrzął z bliska w nieobecne oczy młodszego.

— Et, ja tylko przecie tak gadam — odparł i odszedł. Pozostali oddalili się już wcześniej. Spieszno im było do wszystkich spraw obozowych zaniedbanych od trzech dni, które spędzili jakoby umarli. Imbram pozostał sam przy zawalonej głazami pieczarze. W przeciwieństwie do tamtych niepilno mu było wracać. Odskokzył od życia tak mocno, wpiął się w drugą stronę istnienia tak szczerze, że teraz

dziwno mu było powracać i żyć zwyczajnie jak przódzi.

Siedział więc i myślał. Myślał o dalekim domu. Dom ten, który w ostatnich miesiącach oddalił się i zbłąkitniał, przybliżył się znowu, nakrył go cieniem swej strzechy, stał się tak bliski jakby porzucony wczora. Czy w tym starym dwo-rzyszczu poznali, że umarł pan, głowa rodu? Czy wielki rzeźbiony siostrzan pękł z trzaskiem, wieczorem słycać było kołatania w stole, a ogień z pryskiem wypadł na ziemię? Czy

kret wyrzył się tej wiosny spod progu na pole? Czy zwiedziały się o zgonie pszczoły, święte mądre owady, czy przeleciały z szumem ponad domem, okrążając trzykroć dach?

Bogucha potrafiła na pewno rozpoznać prawdę z tych znaków. A cóż Ofka?! Ofka! Od jakiegoś czasu unikał wywoływania obrazu umiłowanej żony, jak gdyby czuł się w stosunku do niej winnym. A przecież winy nijakiej nie miał. Na żadną kobietę ani spojrział. Co miał jednak przed sobą ukrywać? Nie tęsknił za nią tak mocno jak pierwej. Dawniej wystarczyło, by oczy przymknąć, już mu się jawiła, czy chciał, czy nie chciał. Żywa, bliska, najulubieńsza. Dźwięk głosu, barwa oczu, kształt głowy, zarys policzków, czar uśmiechu, jedwabisty połysk włosów trwały w nim ciągle przytomne. Odczuwał dotkliwie ich nieobecność. Ani się spostrzegł, kiedy to uczucie braku jęło się zablizniać, a jasnowłosa, smukła postać — blednąc. Już teraz musiał sobie przypominać, jak wygląda. Przypominać sobie, jak wygląda Ofka! Po dwu latach zaledwie?! O Boże!

Było to tym przykrzejsze, iż nie wątpił, że ona czeka go wciąż z takim samym upragnieniem. Od jednych Godów do drugich, od drugich do trzecich. Nie wie nic. Nie wie, w którą stronę zwrócić swoją tęsknotę. Skąd go wyglądać. Lecz czeka. W głuche noce powtarza zaklęcia, błaga zorzy-siostrzyce o pomoc. Nie rozumie, gdzie się podział. Wychodzi ku gościńcowi i czeka. Gdy kopyta załopoczą, myśli, że to on. Gotuje się ręce wyciągnąć, zakrzyknąć... A on jest na kraju świata...

Ani we śnie, ani we wróżbie wieszczycy nie ujrysz tych dziwów, -tych dali, wśród których żyje twój mąż... Nie słyszał o nich w kraju nikt, nawet opat z lubiąskiego klasztoru.

Sad nad bezwstydnymi żonami miał się zacząć za godzinę, o czym biskup Ademar myślał ze wzrastającą przykrością. Dotychczas spodziewał się ciągle, że panowie normandzcy nie zechcą ujawniać swego wstydu przed całym wojskiem i że do sądu nie dojdzie. Lecz Robert Krótkoudy podjudzony przez Arnulda domagał się szerokiego rozgłosu dla sprawy.

Do biskupa należało wydać wyrok. Modlił się teraz żarliwie o światło łaski, o promień, co zeszedł nań kiedyś nocą lad rzeką Sakarą. Oby mu się znów wszystkie sprawy świata stały jak wtedy proste, na właściwym miejscu leżące, a umysł otny, jasnowfdzący i nieomylny!

Wtedy tylko potrafiłby przemówić do ludzi, natchnąć ich

potrzebą miłosierdzia i do wyrozumiałości nakłonić. Słowa jego zyskałyby należyłą moc i wagę. Bez Boskiego Sprzymierzenia czuł się pustym, nieudolnym, niezdolnym przekonać nikogo, zwątpiałym i zniechęconym.

Lecz Łaska nie nadchodziła. Natomiast zjawił się Arnuld oznajmiając, że już wszyscy na placu czekają.

Biskup spojrział na niego niechętnie.

— Nic dobrego nie wróżę z tego sądu — rzekł porywczo. — Nie mogliby wasi nobile każdy samodwa z żoną się załatwić? Wynikną nowe spory między Prowansalczykami a wami i to z waszej winy, kapelanie.

— Mojej?! — zdumiał się Arnuld.

— Wy czasu sądu nad Blanką de Montbeliard dojadaliście nieustannie niewiastom prowansalskim, że mało do bitwy nie doszło... Pomnicie chyba? Nie wiem, zaiste, po coście to czynili?...

— Z przyrodzonego wstrętu do grzechu, szczególnie grzechu rozpusty — westchnął kapelan podnosząc oczy ku niebu.

— Grzechu trzeba nienawidzić, lecz ludzi nie jątrzyć. Obawiam się, że Prowansalczycy nie zostaną dzisiaj dłużni. Zbyt dobra sposobność nadeszła. Tam chodziło o jedną białkę, tu o kilkanaście...

Kapelan nie dał się zbić z tropu.

— Gdyby szlachetnym moim księciem i panem kierowały pobudki właściwe powszednim ludziom — odparł z zapalem — ukrylibyśmy osławę między sobą, nic o niej nikomu nie mówiąc.

Ale nie dbamy o to, co inne, szczególnie Prowansalczyki, o nas powiadają. My tępimy zło. Nienawidzimy zła. Nie ukrywamy go, nawet gdy się u nas zdarzy. W obozie italskim i normandzkim jest

więcej niżli pół tysiąca szlachetnych białogłów. Pohańbiło się, zwlekając szaty, czternaście. Trzeba je przykładnie a srogo ukarać. Wypalić ten wrzód śmierdzący! Znam przestępczynię! Wszystko młode, wszeteczne próżniaczki, co dzieci ostawiły doma, a w drodze niepojętym, kto wie, czy nie diabelskim sposobem w ciążę nie zaszły... Precz z tą hańbą! Siła mamy cnotliwych niewiast wszelkiej obmowie niedostępnych i ze względu na nie nie możemy folgować grzesznicom... Mam ze sobą dwie siostrzenice, bogobojne sieroty, w klasztorzym odosobnieniu żyjące. Cóż pomyślą, widząc, że najgorsze zbrodnie uchodzą bez kary? Byłoby to jawnym zgorzeniem. Toteż nie uczynim na pewno jak Prowansalczyki, wszystko co w ich mocy czyniące, by czarownicę Blankę z zarzutu oczyścić...

Mowa Arnulda była dość zuchwała, lecz biskup nie odparł nic. Może ostatnich słów nie dosłyszał. Przenikliwym swym wzrokiem przyglądał się nienawidzającemu grzechu kapelanowi, surowemu sędziemu. Ile w słowach jego było prawdy, ile łgarstwa? O bogobojnych siostrzenicach krążyły po obozach paskudne plotki. Mówiono, że jedną Arnuld zabrał po drodze z Italii, drugą kupił w Bizancjum. Prawdy ani obu niewiast nikt nie znał prócz Arnuldowego giermka. Może były to zwykłe niegodne obmowy. Niemniej, mimo że kapelan popisywał się zawsze pobożnością, biskup spoglądał nań z uczuciem bliskim odrazy. Jakże byłby szczęśliwy, mogąc nie widzieć tego człowieka, posłyszec, że nie należy już do krucjaty! Ale Arnuld nie należał do ludzi, którzy łatwo giną.

Ademar westchnął i podniósł się z miejsca.

— Chodźmy zatem sądzić, skoro tego chcecie. Ja będę za miłosierdziem.

— My zażądamy najsurowszego wyroku. Prawo nakazuje ochłostać i nago wygnać bez powrotu.

— Wygnać!? Na pustynię!? To lepiej zabić od razu.

— Można zabić zakopując żywcem, jako mężobójczyniom czynią — zgodził się kapelan.

W namiocie Elwiry tłoczno. Zeszły się tu znaczniejsze białogłowy ze wszystkich obozów. Mężowie sprawują pono teraz właśnie sąd nad ich siostrzycami. Na co je zasądzą? Na śmierć, a przedtem na męki?

Straszno o tym myśleć.

Wprawdzie bezpośrednio po bitwie, gdy się rozeszła wieść o haniebnym postępku owych czternastu białogłów, wszystkie obecne tutaj zebrane pałały oburzeniem i pogardą. Flo-rina pierwsza wołała, że za takie tchórzostwo i bezwstyd nie ma dość surowej kary. Ale od tego czasu minęło pięć dni. Pięć dni, które winne spędziły w męce, rozpacz, niepokoju, śmiertelnej trwodze, ogólnej pogardzie i opuszczeniu. Rozzuchwalone dworki szczydziły z nich i wymyślały, pewne poparcia panów, i w sercu pozostałych kobiet powstała groza na to poniżenie, wraz z grozą litości i poczucie niewieściej wspólnoty. Wszak tu nie chodziło o proste dziewczki lub nieurodzone nałożnice, których los nie mógłby szlachetnych pań obchodzić, lecz o żony nobilów jak one. I choć wszystko, co mówiły zebrane w namiocie Elwiry niewiasty, było niedołączne i dziecinnie nieporadne, kiełkowała w nich myśl o ja-

kiejś spójni kobiecej, podtrzymania wzajemnego, z którego kiedyś, kiedyś wzrośnie wielka siła... Mówiły o udręczonej, nieszczęśliwej Willibaldzie, co nigdy oczu na żadnego mężczyznę nie podniosła, iście jak mniszka żyła, cierpliwa była i potulna jak baranek, a zginęła nędznie, pono nawet bez pochówku, i nikt się za nią nie ujął. Nikt złowrogiemu szaleńcowi słowa nie powiedział. Chodził nadal jak dobry, prawy rycerz, ją zaś ciśnięto pospołu z pachółkami i ciurami. Wspominały zmarłą Blankę de Montbeliard taką mężną, dumną, czystą, co sama śmierć sobie zadała... To znów mówiły o zaledwie poznanym, zaledwie zasłyszanym życiu Greczynek, które o wszystkim wiedzą, z mężczyznami o wszelkich sprawach, jak równe rozmawiają, nawet podobno tyle tylko dzieci mają, wiele chcą! Gdy to rozpamiętują, wzbiera w nich bunt przeciw przemocy, co im w powiciu odbiera głos, czyni bezwolną własnością najpierw ojca lub brata, potem męża. Z początku przerażone własną śmiałością, gadają teraz jedne przez drugie, żaląc się na swoją niewieścią dolę oplakaną...

Sąd! Sąd! Tłumy ciekawie cisną się zewsząd. Wszyscy wodzowie zasiedli kręgiem. Biskup pośrodku. Z boku czternastu mężów-oskarżycieli. Dwu z nich, du Grai i de Barneville poległo. Zastępują ich pociot jednego i dziewierz drugiego. Wszyscy stoją w pancerzach, surowi, nieubłagani, posepni. W duszy większość z nich żałuje, że przystali na publiczną sprawę, miasto sprać w namiocie swoją babę, ile wlezie, i na tym zakończyć. Teraz już przepadło. Choćby który czuł litość dla swej niebogi, nie godzi mu się jej okazywać.

Stoją te podsądne naprzeciw, zbite w ciasne, żałosne stadko. Zmienione do niepoznania, żółte z utrapienia,

szczerniały z niepokoju, odziane w śmiertelne, konopne koszule, wiszące luźno jak wory. Oj, lepiej było ponieść mężnie śmierć od pogan, niż znosić mękę obecną! Na co je zasądzą?! Co wymyślą!?! Boże! Boże! ...Sąd! Sąd!... Ejże, cóż to za sąd? Nikt się podsądnych o winę nie pyta. Jest ona ustalona, wiadoma, jawna. Nie mają prawa przemawiać ani się bronić. To nie sąd, tylko •w przytomności ofiar spór nad tym, jaką męką je pokarać.

W imieniu czterestu mężów nieruchomo stojących Arnuld de Rohes powtarza oskarżenie. Żąda kary przewidzianej starymi, dobrymi prawami. Gorszycielkami są, przeto jako gor-

szydełkom trzeba szaty zedrzyć, publicznie osmagać, żelazem napiętnować i nagie wygnać precz na pustynię, bez prawa zbliżania się do ludzi. Którykolwiek chrześcijanin je spotka, powinien ubić jak wściekłego psa.

Szloch rozpaczy przerażonych. Padają na ziemię, wyją, płaczą, skomlą. Łkają żałośnie, że kamień poczułby litość. Próbują czołgać się ku oskarżycielom, całować im ciżmy, skórnice. Za co je tak karzą? Cóż one winne? Same nie wiedzą, jak to się stało. Bały się, strasznie się bały. Bały się cały dzień. Nikt nie przyszedł dodać im otuchy. Odchodziły od zmysłów z trwogi. Strach je opętał. Myślały, że mężowie dawno już zginęli... Nie chciały źle czynić, nie chciały!...

O Jezu miłosierny! Miłosierny Jezu!...

Biskupa głos drga litością, gdy wstaje i mówi: że sprawiedliwość ludzka wtedy jedynie jest podobną Bożej, gdy bronią swoją przebaczenie czyni. Kara, przewidziana prawem, jest nadto surowa. Niech oskarżyciele wspomną, jak wiernymi, wytrwałymi towarzyszkami były dotąd niewiasty, jęczące tu w prochu i hańbie. Ile trudów zniosły! Ile okazały męstwa! Nie chybiły swym obowiązkom. Zmogło je zmęczenie, upał, niepewność, lęk, przyrodzona słabość, ale nie zepsucie. Ciało w nich omdlało. Słusznie mówią, że nie wiedziały, co czynią. Jakże je karać tak srogo? Wzywam was do miłosierdzia, szlachetni panowie!

- Nie ma przebaczenia dla grzechu — odpowiada Arnuld.

- Jest przebaczenie dla większych niż one grzeszników. Szlachetni wodzowie! Niech każdy pomodli się i skupi w sobie na czas dwóch pacierzy, po czym każdy kolejno powie swoje zdanie... Boże, oświeć nas! W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego!

Zapada cisza przerywana łkaniem kobiet. Tylko Omer Guillebaut podśmiewa się drwiąco. Dzisiejszy dzień to jego triumf.

— Z czego śmiejecie się, rycerzu? — pyta biskup z niezadowoleniem.

- A bo mówiłem jeszcze w Bizancjum, że białki trzeba ostawić... Nie słuchano mnie... Już drugi sąd sprawuję... Powoli przekonacie się, że wszystkie jednakie... Jak słusznie mówią przepowiednie Merlinowe... Przejrzałem to z dawna. Ja swoją niewiastę ubiłem jak sukę.

Ubiliście?! — powtarza biskup, który jeszcze o tym nie słyszał. Łagodna twarz Willibaldy staje mu w oczach. — Nigdy bym nie przypuścił, że i ona... — wzdycha.

— Nie rozdziewała się — pośpiesza wyjaśnić Omer — ale mi w oczy rzekła, mnie, dobremu wojowi, ślubnemu chrześcijańskiemu mężowi, że wolałaby żyć z poganiniem!

Szmer oburzenia przechodzi wśród rycerstwa. Ha, skoro tak powiedziała, Omer słusznie postąpił. Jeden może biskup jest innego zdania, może domyśla się, ile rozpaczy zawarły podobne słowa. Milczy jednak. Nie wskrzesi zmarłej. Niech Bóg ma w opiece jej duszą!

Alberon, urodziwy archidiakon, spogląda na Omera Guil-lebaut z ukosa. Nie przypomina sobie, by widział kiedykolwiek w życiu Willibaldę, lecz drażni go ten dziki prostak, stara „czapła z Kalateryjskiego kraju”.

— Zbyt może krewko postąpiliście, rycerzu — zauważa głośno. — Trzeba było, podobnie jak ci oto szlachetni mężo-zowie, oddać tę sprawę pod sąd Jego Wielebności i panów baronów...

— Wasze sądy są zbyt pochopne do rozgrzeszania z każdego, bodaj najcięższego grzechu — odpowiada kwaśno Omer — sprawiedliwość wolę sobie sam wymierzyć...

Znacząco i badawczo wpatruje się w archidiakona. Małe, podejrzliwe oczka Normana błyskają. Ach, ujmuje się za Willibaldą ten piękny wytwornis, którego zauważył kiedyś w Clermont, wałęsającego się koło jej namiotu! Zaraz powziął wątpliwości, jak się okazuje słuszne... Wprawdzie przez ostatnie dwa lata nie widział go nigdy w pobliżu swego obozu, jest to jednak tym bardziej podejrzane. Na pewno ukrywał się przed nim... Wprawdzie niewierna nie żyje, ale tego gacha trzeba zapamiętać i przy pierwszej sposobności przykładnie ukarać.

Biskup wzywa ponownie do modlitwy i skupienia. Niech Duch Święty zejdzie na nich i da zdrowy osąd, nie zatruty nienawiścią ni osobistymi względami. Módlmy się!

Żegnają się wszyscy krzyżem. Milczenie trwa. Ciągły, roz-paczny płacz kobiet. Krakanie sępów nad

pobojowiskiem, od którego ciągnie przeraźliwy smród. '

Rycerze myślą, a myślenie jest dla nich ciężkim ćwiczeniem. Jednakże z dobrą wola usiłują przyłożyć się do tego trudnego zadania. Co prawda, nie wszyscy. Robert normandzki myśleć nie potrzebuje. Arnuld zawczasu zapewnił go, że trzeba być surowym i takim pozostać. Podobnie mężowie oskarżyciele. Wolą nie myśleć, aby nie zesłabnąć. Jeśli baroni sami przychylają się ku łaskawości, tym lepiej. Im nie uchodzi.

Boemundowi jest doskonale obojętne, na co te głupie gęsi

zasądzą. Wypowie się za większością. Na razie ciekawi go przyczyna, skłaniająca Arnulda do tak ostrego stanowiska. Wstręt do grzechu...? Jużci! Gadajcie to komu innemu! Nie spotkaliż się kilkakrotnie w Bizancjum w dzielnicach, do których duchowni chodzić nie powinni? Boemund wie, co o tym sądzić. Chytry klecha... Bardzo chytry. Może się nieraz przydać. Warto go mieć na uwadze... Tankred usiłuje myśleć o podsądnych, ale w oczach mu staje Dżurisza, czarowna sułtanka. Na samo jej wspomnienie rycerz czerwieni się jak młodziak. Szczęście, że nikt z obecnych nie zna toku jego myśli. Dżurisza... Krzyczała i zakrywała twarz dłońmi, gdy zdarto z niej zasłonę, choć cudne jej lico mogło rozbroić każdego... Czyżby ta poganka więcej miała godności od pań chrześcijańskich?... Ej, nie, po prostu nie przyszło jej na myśl... Wszystkie one jednakie... Boją się śmierci jak dzieci... Nie można ich też karać więcej, niż się karze dzieci...

De Hainaux wsparł na dłoni wychudłą głowę o posiwiałych skroniach. Powinien zastanowić się nad sądem i wyrokiem, a myśli o Idzie! Żadnej, żadnej wieści od niej! Niedługo rok mija... Zapomniała, nie wyjechała... Czymże jest ostatecznie? Tylko niewiasta... Niewiasta, jak te oto... Poniżały się przed poganami, byle uniknąć śmierci, poniżają się teraz przed swymi mężami, znów byle uniknąć śmierci. Ach, za co on ją tak kocha!?

Ona żywie spokojna, niepomna, on zaś usycha z tęsknoty i niepokoju... Bezsenne noce, utracone dni. W pochodzie czy w bitwie, spoczynku, czy znoju, o niej jednej tylko myśli. Przesłania mu świat. Jakże ją miłował od pierwszego dnia poznania! Miłował w niej wszystko, aż do drobnej sieci zmarszczek pokrywającej skronie, aż do gorzkiej, dumnej fałdki w kątach ust, zastygłej w pierwszej połowie jej życia tak mocno, że nie ustępowała w całości nigdy, nawet pod jego pocałunkami. Miłował ją całą. Potrzebował jej do życia jak powietrza lub pokarmu. Byłby się dał każdej chwili porąbać w ćwierci za jej cześć, za jej prawość, za jej niezachwianą wierność. Wierność?... Nie było między nimi nigdy mowy o wierności, tak zdawała się rzeczą konieczną, naturalną, samą przez się z ich umiłowania wypływającą. Czyż dla niego istniała kobieta poza Idą?... Czyż a niej mógł istnieć mężczyzna poza nim?... A teraz, po roku rozłąki, ta błogosławiona pewność rysowała się i chwiała. Ko-iieta jest Idą, kobietą! Jak te... Może podlegać tym samym

słabościom. Nie odpowiadać za swoje uczucia. Może być zdolną nawet... aż do zapomnienia...

Z upodobaniem rozdrapywał własną ranę zapewniając się, że na pewno tak właśnie jest... że została, nie wyjechała... spokojnie żyje w zamku, uląklszy się drogi... Kto wie? Może i zalotników przyjmuje?...

O, na Boga! Ogarnęły go taki żal i gniew, że gdyby w tej chwili biskup zapytał o zdanie, łagodny de Hainaux gotów był dać na niewiasty wyrok potępienia.

Godfryd lotaryński modli się żarliwie. Odpowiedź jego już gotowa: miłosierdzie. Modli się jednak, by modlitwą zagłuszyć płacz kobiet, przegnać ustawicznie obecny obraz tamtej jednej umierającej, co także bała się śmierci... Powiedziała mu, że jej zgubił duszę... Myślał, że postępuje dobrze i świątobliwie, ona zaś rzekła, że postępował źle. Kto go rozgrzeszy, kto mu te wątpliwości wyjaśni? Prawie czy błędnie żył?... Och, uciec, uciec od życia!

Baldwin targa wąsy w zamyśleniu. Od niedawnego czasu utracił zwykłą pogodę. Sam nie wie, skąd się to wzięło? Dawniej, gdy myślał o możliwości śmierci Gontrany, sądził, że owdowiawszy odetchnie z ulgą. Tymczasem okazało się wręcz przeciwnie. Ostatnie słowa żony, zamienione z Godfrydem, odebrały mu spokój na długo. Przeżuwał je, rozpamiętywał, nie mogąc w żaden sposób zrozumieć. Przypominał sobie po sto razy, jak to było. Gontrana bała się umierać i chciała greckiego medyka. Pobiegł po Godfryda, mądrego starszego brata, co miał na nią wpływ zbawienny, lecz rzadko go chciał używać. Godfryd przyszedł i uspokoił Gontranę. Wszystko dotąd było jasne i zrozumiałe. Ale dalej? Skąd zmieszanie i błądność Godfryda, gdy on, Baldwin, wrócił? Co oznaczały słowa Gontrany: „Za całe życie... Tę jedną chwilę...” A Godfryd: „...grzesznym... miła...” — Miła!? Gontrana!?

Było tu coś usuwającego się spod zrozumienia. Coś się działo, może przez lata, a on, mąż, o tym nie wiedział. Czczył brata i wierzył mu bezwzględnie. A brat i żona mieli przed nim jakieś tajemnice. Zresztą dość spojrzeć na Godfryda! Jak się zmienił od śmierci bratowej! Osiwiał, postarzał, wychudł... Modlił się po całych dniach, biczował, unikał ludzi. Trudno było zeń słowo wydobyć. Baldwin, rozmyślając nad tym, dochodził do przekonania, że w całej tej sprawie został wystrychnięty na dudka, a podobna świadomość nie jest miła dla rycerza. Toteż wpadał w złość. On przynajmniej nie udawał świętego. Żył, pił, skubał dziewczki, ale nie ślaniał się jak

błądny przy łożu cudzej żony, nie zostawał przy niej, gdy obowiązkiem było iść na Radę... Nie, na kości świętego Hil-deberta, nie!

Poza tym miał drugie zmartwienie, i kłopot. Leona domagała się, by ją poślubił, grożąc w przeciwnym razie, że się zabije. Była w ciąży. Miałby więc dwa trupy na sumieniu. Oszalała ją na przemian to namiętnymi pieścizotami, na które był bardzo wrażliwy, to natarczywymi żądaniem, których nie umiał odeprzeć. - Chwilami, ta śliczna, potulna dawniej dziewczyna, z którą rad swawolił, stawała się prawie równie nieznośna jak Gontrana. Teraz! Cóż będzie po ślubie!? Po ślubie!? Ależ nikt nie zmusi mnie, żebym się z nią ożenił — "uspokajał się — nie chcę i koniec! Równocześnie jednak z przykrością czuł, że Leona gotowa postawić na swoim. Godfryd, o, Godfryd byłby na to zaradził! Wezwałby Leone i po swojemu, spokojnie, poważnie wytłumaczył szalonej dziewczce, że jako starszy nie pozwala na ten związek, że choć z nobi-lów ona, nie dla niej być księżną i że powinna czuć się nadto szczęśliwą, jeśli uznają jej bękartą za należącego do rodu. Tak, Godfryd by to zrobił. Ale Baldwin nie chciał zwracać się teraz do Godfryda z żadną prośbą.

Wszystko to sprawiało, że siedział zły i wrogi, przeklinając kobiety i niedaleki od myśli, że Omer Guillebaut ma słuszość, przypisując im każde zło świata...

Niewiasty podsądne łkały. Biskup wstał i zapytał, czy szlachetni baronowie już rozstrzygnęli tę sprawę? Czy mogą rzec w sumieniu swym, że zważyli ją i osądzili? Odrzekli wszyscy, że tak.

— Mówcie więc kolejno.

- Kara przewidziana prawem — krótko, obojętnie mówi Robert normandzki.

- Kara przewidziana prawem — powiadają Arnuld, Albe-ron i Omer (ten ostatni nie pytany).

Łkanie się wzmacnia. Cuch z pobojuwiska płynie jak ciężki tuman nad głowami. Maluczko, a do gnijących tam trupów przybędą nowe.

Biskup spogląda z żalem po wodzach. Nie śpieszą się z wyjawieniem zdania. Czekają, -co inni powiedzą. Nawet uczciwy Rajmund St. Gilles milczy...

Wahają się... Więc kto się teraz pierwszy śmiało odezwie, rozstrzygnie los oskarżonych kobiet, bo wahający pójdą za nim. Kto nim będzie?

Ten, którego nikt się nie spodziewał. Robert flandryjski, co nigdy nie zabiera głosu. Zowią go włócznią i mieczem rycerstwa. Jego męstwo i prawość są równie wielkie jak mało-mówność. W sprawy kobiece nie wgląda. Żonę, spokojną Fłan-dryjkę, zostawił w domu. Na wyprawie żyje w czystości. Może dlatego właśnie na wezwanie biskupa on jeden myślał o pod-sądnych i ich sprawie, nie o jakiejś swojej, szczególnie go obchodzącej kobiecie.

Mówi powoli, zacinając się z lekka jak człowiek niezwyklej mównicy, marszcząc z natężeniem Czoło, niepewny, czy swą myśl ściśle wyrazi.

— ...Białki, jeże tu sądzim — powiada — postąpiły niegodziwie i żaden dobry rycerz nie zechce mieć takiej żony w uczciwym, ślubnym łożu. Ale nie Iza nam ubijać ich albo na zgubę wyganiać. Niech żywią osobno, pokutę odprawiając, która surowa ma być, z mężami żadnej sprawy nie mają, lecz niech dalej z nami wędrują. Bo ślubowały wziąć krzyż, a nie godzi się w spełnieniu ślubów przeszkadzać... Wolen każdy mąż po powrocie doma napędzić swoją jako poćpiegę, przeca tutaj, te białki, choć zesromocone, są krzyżowcami jak my...

— Niewiasty krzyżowcami! Dla śmiechu mówicie, księżę! Cóż ich ślubowanie warte?!

— Ojciec święty niewieście ślubowanie przyjął i zwoił im krzyż włożyć, przeto ważne ono jest — odpowiada z naciskiem Robert, który gdy raz zacznie mówić, nie lubi, by mu przerywano. —

Powiadam, że grzech śmiertelny weźmiecie na duszę utrupiając te białki, bo nie dla waszej rozkoszy poszły, nie jako żony, ale dla obrony Grobu Świętego, i tej władzy, jaką mąż nad żoną, wy ninie nad nimi nie macie!

Siada ciężko. Skończył i nie przemówi rychlej jak za tydzień. Po chwili zdumienia wybucha tumult sprzeciwu. Mężowie nie rnąją władzy nad żonami! Co za brednie?! Odkąd to?! Zaraz znać, że księżę

flandryjski nie wziął swej niewiasty na wyprawę! Dlatego może tak mówić... Niewiasty krzyżowcami! Ślubowanie niewiast! Któż by na nie zważał, gdy każde słowo niewieście liczy się pismem na wodzie?!

...Gdy mąż nie będzie mógł stanować o niewieście, jak stanowi o dobytku i czeladzi — biada grzesznemu światu!

— Ależ to tylko na czas krucjaty, na czas ślubowania!

— Nie gadajcie! Ład społeczny jest jak święta, nie szyta suknia Chrystusowa: aby jeden haczyk zaczepić, spruje się cała ze wszystkim...

— Ostrzegalem i ostrzegam, ale kto mnie słucha? Wspomnicie jeszcze przepowiednie...

___...Merlinowe... Już je znamy...

— Sprawdzają się w waszych oczach! Na Boga! Wygnać te ścierki i już skończyć, bo wszyscy tu poszalejem! Rychło ktoś powie, że niewiasty kierują mężami!

Lecz spór nie ustaje. Klóćą się wszyscy gorączkowo, dowodząc zapalczywie. Sami nie spostrzegają, że tymczasem sprawa zmieniła oblicze. Właściwa jej treść: bezwstydną golizną niewiernych żon, sromota i słuszny gniew mężów, odsunęła się na bok. Sedno zagadnienia potoczyło się na inny tor: czy białogłowy są krzyżowcami, czy nie?

— Są — powiada głośno Rajmund. Długo milczał nierad przyznać słuszności Flandryjczykom, których na równi z Nor-manami nie lubił (zawdy trzymali się razem). Wrodzona jednak wspaniałomyślność przemogła.

— Są krzyżowcami! Ślubowały! Robert flandryjski praw!

— Praw! — przytwardza Szczepan de Blois, a Hugo woła żałośnie:

— Ja od początku chcę krzyżować, żeby te biedactwa puścić, ale mi Szczepan nie daje!... Wielkie rzeczy, że się rozdziały! Widno im było gorąco...

— Cichaj, bo ludzie się śmieją — szturcha go gniewnie Szczepan, na pół rozśmieszony. — Tu sąd, nie zabawa...

— Jaz mówię poważnie... - Cichaj!

Arnuld spogląda z zakłopotaniem wkoło, niepewny, jak się zachować, co rzec. A to go zajechał ten milczek! Arnuld jest zbyt mądry, by naśladować Omera ujadającego swoje: Wygnać! Wygnać!...

Precz z niewiastami! — Do podsądnych nie czuje osobistej nienawiści. Pragnie tylko przy każdej sposobności zaznaczyć, że w przeciwieństwie do zbyt pobłażliwego biskupa jest niewzruszonym stróżem przykazań boskich, nieugiętym wartownikiem cnoty. Niech całe wojsko, zarówno prowansalskie, jak normandzkie, wie, że nie ma nadeń gorliw-szego, gdy chodzi o tępienie grzechu i nieobyczajności. To ważne. Dla tego celu czternaście kobiet miało zginąć straszną śmiercią.

Lecz teraz przemyślnego kapelana pobito własną bronią. Ślubowanie —• święta rzecz. Ślubowaniu przeciwstawiać się — ciężki grzech... Co za posunięcie!

Z mimowolnym podziwem Arnuld spogląda na Flandryj-czyka. Najtęższy gracz nie wymyśliłby lepiej. Lecz Robert nie jest graczem ani trochę. Powiedział po prostu szczerze to, co w swej szlachetnej duszy przemyślał i rozważył.

Boemimd śledzi z przyjemnością całe zajście i widome zakłopotanie Arnulda. Ciekawym widowiskiem jest podglądanie ludzkich poczynań, gdy ma się oczy dość bystre, by dojrzeć nici pobudek, poruszających kukielki ludzkie... Ciekawym!...

On sam, Boemund, już się opowiedział za ułaskawieniem. Przypuszcza, że wiadomość, iż grzeszne białogłowy potraktowano jako krzyżowców, niemal mężom równych, zrobi doskonałe wrażenie na basileusównie Annie. Trzeba się tylko postarać, by o tym wiedziała...

Arnuld de Rohes obchodzi teraz czternastu mężów, niewiele rozumiejących z-tego, co się dzieje, gada z nimi po kolei, potem szepce na ucho ze swoim księciem. Krótkoudy wstaje i oglądając się na kapelana oznajmia szlachetnym baronom, że w imieniu oskarżycieli przychyła się do zdania księcia flandryjskiego. Mężowie niepocziwych żon zgadzają się zawiesić karę do chwili powrotu do domu, pozostawiając niewiastom możność wypełnienia ślubu, i zadowolając się na razie pokutą kościelną... Ale surową — dodaje — i żeby nam się po obozie nie pętały!

O, jakież Bóg miłosierny! Podsądne płaczą znów w głos, tym razem z radości.

Biskup nie tai zadowolenia z takiego obrotu sprawy. Powstaje, by ogłosić wszem wobec złagodzony wyrok, gdy zachodzi rzecz nieoczekiwana. Uroczystym, orężnym krokiem, tającym gruntownie

zakłopotanie, staje przed szlachetnymi baronami de la Ferriere, giermek hrabiego St. Gilles, odziany w barwy królestwa Kastylji. Ulubiony to giermek Rajmunda, odstąpiony przezeń niedawno Elwirze, niepokieszona po stracie swoich sześciu paziów.

•— Przynoszę poselstwo od szlachetnych pań! — zaczyna głosem donośnym.

— Nie zwracaj głowy, la Ferriere — fuka Rajmund gniewnie. — To nie igraszki, nie corte d'amore... Rozsądzamy ważne sprawy.

La Ferriere spogląda na niego żałośnie. Czemuż mu kazał iść na służbę pani? Musi teraz wykonywać jej zlecenia, choćby były niewłaściwe.

— Przynoszę poselstwo od szlachetnych pań — powtarza gromko — w szczególności od szlachetnej Elwiry, córki Alfonsa, króla Kastylji, oraz Floriny, córki Filipa, pana Bur-gundii...

— Poselstwo? — pyta biskup ze zdumieniem.

— Szlachetne panie, zebrane w namiocie szlachetnej Elwi-

ry, córki Alfonsa, króla Kastylji, kazały rzec, iż nie życzą sobie, by karano śmiercią sądzone dzisiaj małżonki nobilów normandzkich. Szlachetne panie dopraszają się tego u Waszej Wielebności i panów baronów... Szlachetne panie spodziewają się, że...

Nie kończy, bo grzmotliwy śmiech głuszy dalsze słowa. Wspierając się jedni na ' drugich, rycerze zataczają się od śmiechu. Co za jasełka! Niewiasty, białki ślą poselstwo! Poselstwo od białek! Białki żądają!... Białki się spodziewają! Białki chcą!

— Świat się przewraca, szlachetni panowie!

— A do kądzieli, do dziecek!

— Za dużo mają swobody!

— W domu żadna by pary z gęby nie puściła, a tu co im się zachciewa!

— Samiśmy temu winni, sami, uchwalając co ino, że są krzyżowcami jak my...

— Ależ one o tym jeszcze nie wiedzą!

— Cóż z tego? Takie słowa rozchodzą się jak zaraza!

— „Porwie się czapla z Kalateryjskiego kraju i spadnie na dolinę Gabes...” Obaczycie! Obaczycie! Omer Guillebaut zadowolony zaciera kościste ręce śmiejąc się śmiechem podobnym do skowyczenia. Wszystko, co się dzisiaj dzieje, potwierdza jego maksymy. Reszta nie może nadal pohamować wesołości. Tylko Rajmund jest siny z gniewu. Czy Elwira oszalała? Skąd. jej przyszło do głowy mieszać; się do nieswoich spraw, normandzkich spraw?! Co za wstyd., żeby jego cna, dumna żona ujmowała się za ladacznkami., którym można życie darować, ale nie można się z nimi zadawać! Nawet biskup jest zaskoczony i niezadowolony, a Swenon schował się za plecy swych wojów, jakby go nie było wcale.

La Ferriere stoi zmieszany, nieszczęsny, choć nadrabia miną. Z dobrego rodu, niedługo mający być pasowany na rycerza, obawia się, że ta chwila ośmieszy go na całe życie. Każdy, każdy zapamięta, że la Ferriere posłował od niewiast! Babski poseł — zostanie jego przydomkiem na zawsze.

Na szczęście biskup nie uważa tej sprawy za żartobliwą. • Idźcie — powiada, do posła —• rzec szlachetnym paniom,

zebrany tutaj sąd wydał już miłosierny i sprawiedliwy wyrok. Podsądne nie będą karane śmiercią.

Posłanie szla-

etnych pań nie miało na ten wyrok nijakiego wpływu i mieć by nie mogło...

Ze szczerą ulgą poseł odchodzi. Zebrani patrzą na Ademara de Monteil ze zdziwieniem. Jak to? Miasto wyśmiać szalone odpowiedział, karcąco wprawdzie, lecz poważnie, jak się odpowiada wojom? Nie odesłał do prząsłicy i garnków? Co się dzieje? Co się dzieje?! Jakież nowe czasy nastają? Całkiem nowe, inne czasy? Książę Flandrii nazwał ślubowanie niewiast jednym ze ślubowaniem mężów, a niewiasty ślą poselstwo do rycerzy jak do równych?!

Kiwając głowami nad tym dziwnym i złowróżnym zdarzeniem rycerstwo rozchodzi się powoli. Podsądne idą sznurem za kapelanem, który ma im naznaczyć pokutę kościelną, godziny leżenia krzyżem, samotności i milczenia. O, jakże są szczęśliwe, jak Bogu dziękują! Z tego wszystkiego, co się wkoło nich działo, mówiło, nie wiedzą nic, nie rozumieją nic. Jedno jest dla nich jasne, że ich nie zabijają, nie napiętnują, nie wypędzą na pustynię, na pożarcie lwom... Ze szczęścia, z wdzięczności, gotowe uczynić wszystko, co kto zechce. Czy krzyżem leżeć, czy oddać się każdemu, który zapragnie. Za to życie! Za to życie!

Rozdział trzeci NA KRAWĘDZI ŚWIATA ŻYWYCH

Snem, majakiem z innego życia, czy rzeczywistością jest wspomnienie, że niegdyś, niegdyś, słyszało się nocą monotony plusk deszczu spływającego po murach? Krople stukają o miedzianą blachę... Warkocze słoty, chybkie strużki wody szeleszczą w rynnach, padają... padają... Nasiąkła wilgocią ziemia pachnie jak świeżo rozkrojona kromka razowego chleba. Niskie chmury zaległy niebo, czepiają się opieszale wieżycy kasztelu, leniwie kładą swe bure wełny na wzgórzu... Ciurkiem sieje się z nich woda... woda...

...Wszędzie woda... Można ją pić do woli, można się nią zalać, zachłystnąć, zapoić... Można kąpać się w niej, brodzić, pluskać, chlapać... pryskać... ..Woda...

...Czy snem wspomnienie krótkich letnich burz, strząsających pył z liści perlistą ulewą? I czy snem najnieprawdopodobniejszym ze wszystkich, że tego nikt za cud nie uważał?! Co za zdarzenie, że deszcz pada?! Cóż niezwykłego, że woda pędzi w wezbranym strumieniu? Cóż za dziw, że wielkie rzeki Loara, Ren, Dunaj lub Odra toczą swe ciężkie fale bez pośpiechu?...

...Któż to cenił, któż się tym cieszył, zachwycał?... ..Jeziora, stawy, źródła, krynice, źródła, zalewy, łachy, sadzawki, rzeki, rzeczutki, strumienie, strugi, potoki, siklawy, rowy, bajora, ruczaje, studnie, kałuże... Obłoki rosy, dżdże, nawałnice, ulewy, burze, deszcze, mgły, szarugi, siąpienia, flagi, mżenia, słoty... Cieniste podszycia leśne, mokradła, wilgotne łągi, piaszczyste zatoki, ulubione jaskółkom nadbrzeża, nurty, wiry, prądy, piany... stają w pamięci niewiarygodnym wspomnieniem. To wszystko było, naprawdę było? Codzienne, powszednie, dostępne każdemu? I rzuciło się ten raj wilgotny, cudowne niebo zamieszkałe przez chmury wędrownie, łaskawe roślinom i ludziom? Rzu-

ciło się z dobrowoli?! Czy to możliwe? Czy to możliwe?... Boże!!...

Ujrzyć jeszcze bodaj raz tęczę, czarodziejską dęgę, siedmio-barwny łuk bramy niebieskiej, którą prosty lud zowie pija-wą, gdyż wodę wypija z rzek. Ujrzyć na mokrych płachtach chmur znak Przymierza Boga z ludźmi, a słońca z ziemią i wodą...

Nie masz tęczy, nie masz chmur w zapomnianej od Boga pustyni, przez którą teraz wędrują krzyżowcy. Darmo o nich mówić zaschłymi z pragnienia wargami. Pustynia otoczyła ich zewsząd niby żywiol. Żywiol groźny jak morze, wielki jak morze i różnorodny jak morze...

Bo tylko ten, co nie zna pustyni, wyobraża ją sobie jako próżnię jednostajną. Nie masz dwóch pustyni podobnych do siebie. Oto czerwona pustynia słońca, gdzie grunt podobny jest do zaszuszonej rozsypanej krwi. Na wierzch krwawej ziemi wykwita sól białym błyszczącym nalotem. Kiedyś, kiedyś, w szczęśliwej Prowansji, gdy święcono winobranie, rycerze widzieli ziemię czerwoną jak osad z wina na dnie kadzi, okrywającą nieszczelnie biały, łysy czerep skały. Tu na odwrót: biały kozuch pokrywa szklistą pleśnią czerwone podłoże.

Jeżeli na słonej pustyni znajdzie się gdzie nieco wody, jest gorzka i paląca jak ogień. Toteż omijają z dala tę pustać zwierzęta. Nie rośnie trawa ni mech. Żywie tu jedna jedyna roślina w rodzaju najuporczywszych i nieustraszonych. Ma kształt zbitego kłębowiska, krągłej poduszki, skręconego płotu. Wygląda jak rozrzucone z rzadka kretowiny. Sól osadza się wokół tych kopców ziela białą, lekko dzierganą koronką. O zmroku przysiągłbyś, że to kamienie sterczą z płytkiej zatoki jeziornej, a fale, przybyłe odpocząć o zmierzchu, rozpryskują się wokół nich pianą. Paląca spiekota, Nielitościwa suchość, śmiertelna posucha stroją się w szyderczą złudę rozkosznej świeżości, wilgoci i plusku fal. Inną niż słońca — ruchliwą, zmienną, lotną jest pustynia piaszczysta. Oczy umęczonych wojsk nęci obłudami. Ukazuje w oddali drgający w powietrzu zwid barwny, ostry, wyraźny, Jeruzalem upragnioną, studnie pełne wody, gaje drzew, zielone łąki i wzgórza. Cudne te majaki wiszą przed oczami ciągle jednak dalekie, jednak bliskie, aż gdy wiatr zadmie, rozplywają się we mgłę.

...Wiatr... Sprawca i przyczyna złego. Wiatr, co wieje wciąż od lądu. Tylko od lądu. Wiatr, co zostaje w niewoli złych dżinów i zmienić kierunku nie może. Gdyby raz powiał od

morza — przeklęta pustać zmieniłaby się w urodzajny, żyzny kraj.

Wiatr... Gorącym tchem podnosi lotne wydmy wygięte w kształt sierpa. Pędzi je przed sobą coraz prędzej i prędzej. Bezczynny, nie wiedząc, czym zapełnić czas, wierci leje, sypie kopce, zasieki, okopy. Przerzuca je z miejsca na miejsce. Niesie oburącz ruchliwe, pyłne zwąły. Biada, kto im stanie na drodze, kto nie zdąży ująć. Miałki piasek zasypuje oczy, usta, więzi nogi, aż obezwładnione ciało zwali się na ziemię.

Wieczorem, gdy wiatr ucichnie, a słońce zachodzi, miałkie piaski, ułożone w równe sierpy, wnęki, fale, poczynają melodyjnie grać. Cała pustynia drga dźwiękiem, niby pokryta metalicznymi strunami. Natenczas w Latyńcach dusza zamiera z trwogi. Zaszli aż na krańce ziemi, stoją u proga za-świata.

Pierwszy raz podobna rzecz zdarzyła się ludziom śmiertelnym! Tu, gdzie są, nie ma już istot żywych, są tylko duchy. Duchy w południe, na sznurach gorąca rozwieszają obrazy-zwidy ułudne. Duchy wieczorem okrążają z bliska zabłąkanych i zawodzą swą cichą, śmiertelną muzykę, dobywającą się wprost z ziemi samej. Dla wieluset ludzi staje się ona muzyką ostatnią, jedynym podzwonem, jakie nad nimi rozbrzmiewa.

Co czują ludzie, którzy już umarli, choć nie *przez* wrota śmierci, ale śmiałym wędrowaniem przeszli do krainy mar? Nawet święty Patrycy, który był w piekle za życia, nie widział tego, nie cierpiał tyle, co oni!

Jeszcze inną od piaszczystej jest pustynia kamienista. Podobna tej, gdzie szatan kuśił Zbawiciela, i tej, na którą Abraham wygnał Hagar z Jzmaelem.

Na pustyni kamiennej drobny żwir, pochodzący ze startych skał, pokrywa spękany płaskowyż.

Arabowie nazywają tę równię hamadą. Każda burza łamie skorupę hamady jak pokrywę garnka, wybija w niej doły, jary, doliny, wyrwy, wąwozy, wądoły, ślepe, fałszywe wadi o stromych ścianach, zębatych jak blanki kaszteli. Na widnokrzęgu rysują się góry, płonące czerwonym odbłaskiem. Wiatr je kruszy i rozwiewa.

Nie wszystkie przecie wiatr kruszy jednako. Nierzadko dolna warstwica zamienia się skorzej w pył niż górna. Natenczas olbrzymia, płaska płyta pozostaje w powietrzu niby dach, niby stół olbrzymów wsparty na kolumnach skał, niby świątynia nieznanego boga. W cieniu tych gór stołowych całe wojsko chroni się przed żarem słońca. Kreśląc trwożnie znak Krzyża świętego, Latynicy rozglądają się, gdzie są wielkolu-

dy, które płyty te ustawiły i wzniosły. Niewątpliwie tu się znajdzie ojczyzna potwora Kuchulina, którego zwyciężył Keus, dobry podczaszy, lub olbrzymia Fier a Bras, czyli Tegołapa, któremu morze było po kolana.

Groźni ci władcy nie znoszą widno obrazu zieleni, gdyż rzadkie żyjące tu rośliny zatraciły ulistnienie, uzbrajając się natomiast w długie, ostre kolce. Strzegą nimi odrobiny zdobytej z trudem wilgoci.

Skąpą zieleń łodygi pokrywają nalotem szarego wosku, by ustrzec ją od słońca, co wszystko pożera. Wymęczone korzenie nie zawsze zdoła uczepić się skały. Oderwane kłęby krzewów wiatr pędzi po hamadzie. Podskakują, biegną, gonią idących niby cudaczne zwierzęta, niby poczarne karły pozostające na usługach niewidzialnych olbrzymów rządzących krajem.

Pałacy, suchy wiatr roznosi także po skalistej równi zakłete, dziwne róże jerychońskie. Lekkie, wyschłe, na pozór zamarte. Nie znającym ich rycerzom ukazuje je biskup. Opowiada, że to zwiastuny Ziemi Świętej, że zeszcły ten wiórek od lat po pustyni nieurodzajnej miotany, byle zachwyił wody, rozwinie się, zazieleni, pocznie żyć na nowo...

Słuchają obojętnie, nie wierząc, by oni kiedykolwiek na wzór róży jerychońskiej znowu żyć zaczęli. Nie znane poprzednio ich prostym, krzepkim naturom uczucie: rozpacz, ogarnęło wszystkie głowy.

Nie dbają już o nic. Nie myślą

niczym. Idą — do chwili, gdy padną.

Bo choć różne są pustynie: słone morze na czerwieni, barwne zwidry drgające w powietrzu, śpiewające piaski, spękana hamada — wszystkie mają jedną wspólną cechę: są okrutne

nieubłagane dla każdego żywego stworzenia, palące żarem, nie znające wody.

Tydzień, dziewięć dni, dziesięć dni, dwa tygodnie idą krzyżowcy przez spaloną głuszę, a wody wzięli ze sobą zapas wystarczający na trzy dni! Nie przypuszczali, by pustynia jakakolwiek mogła rozciągać się srożej. Nie wiedzieli. Nikt im nigdy nie powiedział. I suną teraz w powietrzu rozpalonym do białości, wyschli, na poły już konający. Wąż pochodni wielkiej armii wydłuża się w nieskończoność. Ciągnie się mostem przez całą pustynię. Czoło jeszcze posuwa się z wolna, koniec zostaje w miejscu nieruchomy i nigdy już się nie ruszy. Coraz liczniejsze trupy niby drogowskazy znaczą ten szlak męczeński. Padają na ziemię, by już się nie podnieść, konie, bydło pędzone na rzeź, psy, sokoły, dzieci, kobiety, pacholcy,

rycerze. Co chwila ktoś ubywa z szeregów. Którzy się jeszcze trzymają na nogach, suną błędnym krokiem biczowników. Nieprzytomne oczy. Wyszchłe usta. Majaczą jak we śnie o wodzie źródlanej... O deszczu...

W zapadłej twarzy biskupa Ademara żyją jeszcze tylko oczy. Najwyższym wysiłkiem woli stara się opanować myśli i zdawać sobie sprawę z tego, co się wokół dzieje. Zachować do ostatniej chwili

świadość i poczucie odpowiedzialności wydaje mu się najważniejszą rzeczą. Odpowiedzialność! Gdy o niej pomyśli, własna męka ginie z oczu, staje się szczegółem bez znaczenia. On, wódz. Nie pytał dość pilnie o drogę. Nie dowiedział się niczego o naturze krajów leżących przed nimi. Podobnie jak inni rycerze, uniósł się dumą i niechęcią do Greków i nie usiłował zmusić ich do udzielania jasnych i dokładnych wiadomości. Nie naciskał starego lisa Butumitosa. Natknąwszy się na jego wykrętne odpowiedzi, zamilkł i nie pytał więcej.

Teraz już za późno. Mogą jednakże przejść lub zginąć. Odwrotu nie ma. O możliwości odwrotu myślał niegdyś on sam w Bizancjum, w godzinie pokusy — czy, o Boże — jasnowidzenia? Stamtąd odwrót był możliwy. Spod Nicei również. Teraz już nie. Skończone.

Tak niedawno jeszcze był pewnym, ufnym, spokojnym, wierzył, że cel święty osiągną. Radował się jak dziecko, płakał z radości, a los gotował już matnię, co miała ich pochłonąć. Los miał zdrwić z ich nadziei, uczuć, pewności, rachub, zamiarów...

Los czekał na tych wszystkich, co ninie padają skręceni, szerniali z pragnienia, co konają, patrząc w bezlitosne słońce. Co dzień ich więcej, co dzień są liczniejsi. Pustynia snadź nie ma końca. A może zbłądzili i kołują kręgiem, wodzeni mylnym śladem przez szatana?

Szatan i Śmierć. Ich to dziedziny, po których hulają bezkarnie. I *Princeps mendacii*, księżę fałszu i ciemności, któren niegdyś w błogosławionej godzinie myśli i łaski zdawał się godnym politowania cieniem, rósł, olbrzymiał, zaciemniał cały świat swoimi skrzydłami...

-zterdzieści lat Izraelici wędrowali po pustyni. Czterdzieści^{at}- Lecz Mojżesz, który ich wywiódł, gdy łaską uderzył^w skałę, tryskała obficie woda...

...Gdybym był świętym i mocnym — myślał Ademar — gdybym miał wiarą tak prostą i pewną, że żadna wątpliwość nie powstałaby nigdy w moim umyśle — martwa ziemia musiałaby podobnie posłuchać mojego nakazu... Gdybym był świętym...

Nie jestem świętym, niemniej za to, co się z nimi dzieje, odpowiadam... Ja odpowiadam... Miłosierny Boże!

...Nie! Nie! W najgorszej udręce chwycił się myśli, że właściwie nie odpowiadał nikt... Czy ludzkie wysiłki, usiłowania miały jakikolwiek wpływ na to, co się z nimi działo przez ostatnie lata? Czy zdziałały cokolwiek jego energia albo pobożność Godfryda, albo przebiegłość Boemunda, albo uczoność Szczepana de Blois? Czy który z nich mógł się ludzić, że czymś kieruje, coś wie? Czy nie wypadki wiodły raczej bezwolnych, potężny wir, który ich zagarnął w Clermont, wobec którego wszyscy oni, silni czy słabi, mądrzy czy głupi, byli jednako bezsilni. Ziarnka prosa mielone w żarnach niepojętych zdarzeń...

...Bezsilne ziarnka... Jedno nam zostaje w swobodnym wyborze i woli... Umrzeć jak krzyżowcom należy...

Szedł coraz wolniej, podpierając się łaską zakończoną krzyżem. Przed nim prowadzono cztery wielbłądy. Trzy miały już próżne juki, na jednym wisały jeszcze dwa wory wody. Wielbłądy pochodziły ze zdobytego obozu Kilidż-Arslana, wory również. Jedno i drugie rycerze chcieli porzucić nie przypuszczając, by się na coś mogło przydać. Worków i sprzętu mają dość swojego, a te bydłota czartowskie? Po co je brać? Przecież żaden rycerz nie siądzie na nich bez obrazy boskiej, pachotek nawet by się wstydał.

Niemniej biskup zabrał cztery wielbłądy i napełnił osiem worków wodą. Obecna resztką była jedynym napojem, jaki się jeszcze znajdował w obozie. Wielbłądy w przeciwieństwie do koni trzymały się jeszcze na nogach i ludzie z coraz większym podziwem spoglądali na te wytrwałe zwierzęta o płowej barwie pustyni. Zbiedniały wprawdzie, garby im zwiotczały i znikły, wargi opadły jeszcze szpetniej, małe zmrużone oczy przybrały wyraz boleśnie cierpiący, lecz szły, lecz jeszcze płątały długimi, węzlastymi kulasami, podczas gdy konie •wszystkie już niemal padły. Coraz to któryś z tak pięknych niedawno wierzchowców, wiernych towarzyszy wypraw, walił się na łeb, chrapiąc ciężko, wywieszając martwy suchy ozór z otwartego szeroko pyska. Spieszony rycerz wywlekał się z trudem z siodła, stał chwiejąc się na bezsilnych nogach, po czym ruszał pieszo, niechając rząd, kopię, szczyt... Tylko szłom na głowie, tylko ten błach przedni pancerza, kusz tylny, tylko pas, zwisający na wyschłych biodrach, i miecz, którym usiłuje podeprzeć się w chodzie... O, jak ciężą te blachy rozżarzone, wypijające z ciała ostatek wilgoci, ten miecz, dobry do garści mocarnej, pełnej męskiego wigoru, nie dla ze-tłałego cienia! Ale żaden rycerz nie rozstaje się przed śmiercią z pancerzem, pasem i mieczem. Jeżeli kości jego mają wybieleć na pustyni, niech kołaczą w wiernej

blasze, niech spoczywa przy nich miecz. Niech gwiazdy widzą z wysoka, co rycerz, a co pacholek. Większość kobiet, szczególnie ciężarnych, została już martwa po drodze. Półżywa Leona wlecze się jeszcze chwytając kurczowo Baldwina za ramię. Wychudła jej twarz stała się podobną do przedśmiertnej twarzy Gontrany i Baldwin spogląda na nią z litosną odrazą i przerażeniem. Któża to? Ta, czy tamta? Zresztą wszystko mu jedno. Jeszcze parę godzin, a on padnie również. Gdy padnie — już się nie ruszy.

Zawodząc bezgłośnie w bezmownej rozpacz, suną matki z dziećmi maleńkimi, w podróży urodzonymi. Innych tu nie masz. Większość maleństw usnęła już na nieobudzenie u wyschłej piersi matczynej. Niektóre chwytają jeszcze powietrze spragnionymi usteczkami jak ryba wyjęta z wody. Ciałka ich są chude jak szkielety. Niektóre matki składają cicho zewłok niebożątka w Jasło w piasku wygrzebane i siadają same przy nim na czuwanie wieczne; inne, nie mogąc rozstać się ani z dzieckiem, ani z życiem, wędrują z trupkiem, w ramionach. Idąc wyją przejmująco śmiertelną kołysankę rozpaczy. Żywym matkom, żywym jeszcze dzieciom biskup rozdaje codziennie, rano i wieczór, po odrobinie wody, po parę kropli. Dla nich trzyma worki niesione przez wielbłądy. W głębi duszy myśli nieraz, że postępuje źle, że należałoby raczej dbać o życie najsilniejszych mężów, którzy mają największe dane przetrzymania. Te biedactwa skapieją i tak pomimo ratunku, a choć nie skapieją, nic z nich wyprawie nie przyjdzie. Szafowanie wodą w ten sposób nie jest rozsądne. Lecz instynkt rycerski silniejszy nad wszystko narzuca obowiązek ratowania przede wszystkim tego, co najsłabsze, najbezbronniejsze. Niewiast i dzieci. Dla nich ta miarka ciepłej, cuchnącej wody. Dla nich tylko.

Nieświadomi własnego bohaterstwa rycerze nie powstają Przeciw temu, jak dotąd.

Elwira po raz pierwszy od początku wyprawy opuściła swą lektykę, której nie masz już komu nieść. Lektyka została porzucona na wydmie, świecąc z daleka jak arka. Dumna pani kroczy bez słowa obok męża. Oboje zataczają się jak pijani. Lecz ona nie zdjęła z głowy wysokiego rusztowania, z którego spływa na plecy wypełzły i zakurzony kwef. Jego dłoń leży jak dawniej na mieczu.

Nie skarży się również Florina, cień ślicznej niegdyś dziewczyny, idący obok cienia królewicza duńskiego. Dwie mary. Dziś rano, gdy biskup rozdał kobietom zwykłą rację wody, mniej niż pomieścić jej można w dłoni, Florina powróciła do Swenona, zarzuciła mu ręce na szyję szukając ustami jego ust. Nim się spostrzegł, czego chce, wsączyła mu między wargi zatrzymaną w ustach wodę, której nie przełknęła. Zachłysnął się nią i rozszlochał się z żalu nad obojgiem.

Oparłszy sobie wzajemnie głowy na ramieniu, idą starając się nie widzieć trupów tych, co szli przodem, ale już ustali. Niektórzy z leżących ostatkiem sił naciągają na głowy płaszcz lub opończę pragnąc wstydliwie uchronić swe zmarłe lico przed wzrokiem ciekawych. Leżą jak milczące spokojne kształty bez rysów. Innym nie starcza już na to sił lub w męce przedśmiertnej obojętnieją, czy kto będzie ich widział lub nie. Przewrócone oczy bieleją w zaschłej twarzy. Niektórzy jeszcze żyją. Patrzą na mijających z przeraźliwą obojętnością. Czują się już po Tamtej Stronie. Za chwilę ci, co jeszcze idą, połączą się z nimi...

Potykając się na każdej nierówności gruntu, de Hainaux po raz pierwszy dziękuje żarliwie Bogu, że Idą nie przyjechała. Wolej wierzyć, że zapomniała o nim, że pokochała innego, niż patrzeć na jej konanie. O dzięki, że jej nie ma, dzięki Ci, Boże! Samemu można wszystko znieść i odejść pogodnie bez żalu.

Bracia Szczepan i Paweł Sahdac de Viel, stryjowie nieboszczki Blanki, dwa sobowtóry o zapadłych oczodołach wędrują na poły przytomnie, podtrzymując się wzajemnie. Zostawili sobie jeden tylko miecz i niosą go kolejno. Gdy przyjdzie moment, że osuwające się nogi nie zechcą ich dźwigać, położą się obok siebie trzymając dłonie na głowicy wspólnego braterskiego miecza!

Szczepan mówi:

— Miałeś, bracie, doma, co ino człowiek zapragnie. I urząd uczciwy strażnika grodzkiego, i zachowanie u ludzi... Przeze mnie tego nlechałeś po śmierć w te kraje przychodząc...

— Nie żałuję, zem tak uczynił, bracie — zapewnia go Paweł.

— Miałeś, bracie, doma, dobrą kobietę i dziecka zdrowe jak jabłka... Nigdy sobie nie daruję, żeś dla mnie to wszystko porzucił...

— Nie dla ciebie, bracie, jeno rzuciliśmy obaj dla miłości Pana naszego Jezusa Chrystusa... Hańba

byłaby żałować...

Ale Szczepan nie daje się uspokoić.

— Ja poszedłem dla Chrystusa, a ty dla mnie. Toć wiem. Tym się trapię.

- Nie trap się, bracie. Zginiemy w jednej godzinie, bo tak się godzi bliźniakom. Milszyś mi niż żona i dzieci, bośmy sobie w żywocie matki druzństwo zaprzysięgli. Nierad bym żyć jednej godziny po tobie...

— Bóg ci zapłać, Pawle, za tę mowę...

Chudszy niż kiedykolwiek Błażej powiada do Klinika:

— Ać tobie księstwo, ać tobie panowanie! Pamiętajsz, coś durnym ozorem mełł? / przyszło na twoje, bo wszyscy teraz są równi... Barony idą piechty i zdychają jednako jak my... Moiściewy, nawet skorzej niż my, bo nam nie trzeba tych blach dźwigać... Ot, przyszedł koniec i równość...

— Chudoba już ostał, wiecie?

— Do rana ostaniem i my... Zdychaj, człowieku, zdychaj... Zwędrowałeś kawał świata... masz dość... Na pańskie mnie już nie pogonią... Kostucha jedna jest... Ta sama tu, co u nas w dziedzinie... a może nie ta sama?... Co?...

— Nie wiem...

- Co ty wiesz? Szczeniak jesteś. Równość, widzisz... Pierwszy raz na tym świecie taka równość... Hej, chowałyby ich w kraju! Uczciwie z paradą... Obejdą się teraz bez pochówku... Na ziemi jak smerda, jak zwykły wszarz ugnojony... Położę się na umrzenie pobok jaśnie wielmożnego i co mi zrobi... Ani się obejrzy... Razem na Jozafatową dolinę powędrujem... pyskaty Błażej i jaśnie wielmożny grabią... Jedna śmierć, jeden pochówek...

Bura mulica, z której owerniackie wieśniaczki wyskuby-wały niegdyś sierść jako relikwie, towarzysząca wytrwale

w całej dotychczasowej podróży, została już zdechła po drodze. Bury jak ona cień z długim kapturem, pętającym się do pięt, Piotr Eremita jeszcze się wlecze, jeszcze się kołacze. Dziwna rzecz, mimo męki wyczerpania czuje się lepiej, jest przy-tomniejszy niż przedtem. Ot, ot, biskup tak samo wytracił ludzi jak on! Tamtych wyrznięli Saraceni, tych pustynia. Skutek jeden. Tak było widno sądzone. On, Piotr, nie jest "nic winien... Nic winien...

Stary Anzelm de Ribeauumont powiada do młodziutkiego Engelrama, swego wychowanka:

— ...Nie podtrzymuj mnie, moje dziecko, bom jeszcze silny... Lepiej ja ciebie poprowadzę... Mnie się zgoła pić nie chce... Sam nie wiem, czemu... Mocny jestem. Tylko wypocząć bym chciał krzyne...

Przysiądę na dwa pacierze i zaraz cię dogonię... Idź naprzód...

— Poczekam przy was, aż odpoczniecie, opiekunie.

—• Kiedyż ci prawię, że szybciej pójdę niż ty... Dogonię zaraz... Idź...

— Odpoczniemy razem — powtarza stanowczo chłopak. Więc stary Anzelm z rozpaczą zbiera ostatek sił.

— Nie potrzeba mi na razie odpoczynku — powiada.

Imbram i Zbylut włoką się staniając. Myślą, że dym szedł w stronę namiotu ria śmierć dla obu... Nie mówią o tym. Po co? Nie przychodzi im na myśl podeprzeć się wzajem jako panowie Salviac de Viel. Za nimi idą oba Zawory. Nowina Dąb i najmłodszy z Oświętów. Tyłu ich tylko ostało. Sześciu. Oświęta Cwała, co wiecznie narzekał, że szczęścia nie miał, ostał z tą skargą na drodze, podobnie Mojmir Sciborowic, nieboszczyka króla Bolka zaufany przyjaciel.

Mniej szczęśliwi niż tamci czterej, co pod Doryleą legli, nie otrzymują żadnego pochówku. Ani tego kubka wody, by się dusza mogła obmyć, ani ziemi rodzonej na piersi, ani węgla, ani ognia, ani siekiery, ani jadła, ani modlitwy, ani myśli współczującej...

Arnuld de Rohes jest zwawszy, wygląda lepiej od innych, gdyż w jego opiece pozostaje spory gąsior z wodą święconą trzymaną dla egzorcyzmów. W obawie, by nikt świętości nie sprofanował, kapelan podjął się osobiście pieczy nad nim i sprawuje ją odpowiednio. Ze wzgardliwym pobłażaniem

myśli o biskupie. Szalencie! Posiada jeszcze całe dwa worki wody! Rozdaje je najniepotrzebniej dzieciom, które im prędzej zginęłyby, tym lepiej, i babom! Sam nie pije wcale. Dłużej iak parę godzin nie wytrzyma. Dość na niego spojrzeć. I to jest postępowanie wodza! Gdy biskup zemrze, któż będzie duchownym kierownikiem wyprawy?... Kto? No, kto?... Już też nie Alberon ani kanonik Rajmund

d'Aguillers lub Foucher de Chartres... Tylko jeden się nasuwa... Tylko jeden...

Ale czy będzie miał komu dowodzić? I chytremu kapelanowi przychodzi nagle na myśl, że zginą tu wszyscy, wszyscy... On ze swą butlą poświęconej wody zostanie ostatni. Jedyne żywy... Będzie umierał sam, sam jeden, opuszczony na pustyni... Och!...

Brat Hiacynt, przepisywacz ksiąg, i Bartłomiej, wesoły niegdyś kleryk marsylski, idą trzymając się za ręce, szarzy, sku-ieni, maleńcy, podobni do skrzatów więcej niż do żywych ludzi. Rozglądają się wokół z żalosnym zdziwieniem. Możliweż, by Bóg tak doświadczał ludzi?! Przed nimi, za nimi, szeregi widm szarych i wyschłych jak oni. Widm, które w męce pragnienia próbują pić... własny mocz. Wstrętne to, cuchnące, palące, ale — mokre! Jeno że w wysuszonym organizmie i moczu nie staje...

Natenczas pozostaje chyba... krew?... Krew własna lub towarzysza? Pod rycerzem de Beauregard pada koń, jeden z ostatnich koni jeszcze żywych. Rycerz mizerykordią przecina mu tętnicę na szyi. Ciemna, gęsta posoka tryska jakby z wysiłkiem. Przyłożył do niej chciwie usta, ssie... W tejsze chwili ktoś go porywa, odciąga. De Beauregard ogląda się wściekły. De Melun groźny i ponury za nim.

— Precz! — odsuwa właściciela, sam wpijając się ustami w ranę konającego zwierzęcia.

— To mój!... Ja!... — charczę de Beauregard z rozpaczą. Chwyta wpół de Meluna i usiłuje odciągnąć. Ciężka dłoń siłacza spada mu na głowę jak młot i Beauregard wali się bez słowa między sztywne już nogi swego konia. De Melun ssie długo. Nareszcie wstaje z westchnieniem. Na trupio bladej wychudłej twarzy wargi powalane krwią czerwienią się jak u upiora. Odchodzi chwiejąc się i kołysząc. Nie czuje żadnej ulgi. Przez pierwszą chwilę, gdy ciepło bulgoczący płyn napełnił mu usta, miał wrażenie, że pije. Trwało to tylko chwilę. Nie zaspokoił pragnienia wcale. O, wodo! wodo!

S — Krzyżowcy t. III/1Y

Giermek rycerza de Beauregard czeka na odejście pana de Melun, dygocząc z niecierpliwości. Sam się teraz przypiął z kolei do konia. Ale krew już się ścięła w czarniawą, gęstą posokę. Więc przypada do swego pana ogłuszonego poprzednim ciosem pięści, przecina mu żyły na szyi jak tamten koniowi. Pije. Pijąc ogląda się niespokojnie wokoło, czy kto nie nadchodzi. Nie z obawy kary, ale żeby nie odebrali...

Bo przykład jest zaraźliwy. Jeszcze przed kilku godzinami umierający układali się spokojnie na ziemi. Nikt na nich nie patrzył. Teraz gruchnęła po szeregach wieść, że można napić się krwią. I byle kto padł, a nieraz jeszcze nie padł, rzucając się na niego silniejsi, tnąc nożami, wyrwijąc sobie ciepłego półtrupca. Przekonywają się, że z żywego lepiej ssać, bo krew się dłużej nie ścina, i rozdzierające jęki buchają z szeregów zmienionych w stado upiórów.

De Melun dobywa sił, by dogonić czoło pochodu. Od dłuższego czasu pochłania go jedna myśl. Woda, którą dźwigają wielbłądy... Woda! Ma prawo o niej myśleć, bo nikt tak nie cierpi jak on. Tak on uważa i tak jest w istocie. Jak można porównać cierpienia takiego na przykład chudego, wymizowanego Godfryda, zwyczajnego postów i umartwień, z tym, co przeżywa ten jurny, żarłoczny siłacz, potrzebujący co dzień ilości pokarmów, wystarczającej dla czterech lub pięciu ludzi? Nigdy nie panował nad swym ciałem, ciało panowało nad nim, toteż teraz nikt nie jest tak nieszczęśliwy jak on. Jego wielkie gnaty, wielkie muskuły, grube żyły żądają, łakną, pragną... Wody!

Te dwa nieszczęsne worczyny są prawie że bez opieki. Kroczy przy wielbłądach Walter Bez Mienia, obecny famulus biskupa. Wyszły jak wiór, kołaczący mieczem, którego nie zdjął z szyi. Więcej nikt. Przecież do głowy nikomu nie przychodzi, by którykolwiek dobry rycerz targnął się na to, co jest własnością najsłabszych!

Czerwone koła widzi przed oczami pan de Melun. Czerwone jak krew niedawno wypita. Tańczą po pustyni, wirują w powietrzu. Czerwone koła układają się na workach. W workach jest woda...
...Woda...

Nagłym ruchem de Melun pada na nie spodziewającego się napaści Waltera. Dawniej obaj byli równi sobie siłą. Dziś są obaj równie słabi. Lecą na ziemię. Leczą de Melun podnosi się prędzej i chwyta za worek. Już go ma. Już go trzyma. Miękki,

chlupoczący, cenny, najcenniejszy. Wart, by się dać za niego porąbać sto razy...

Nie dbając o to, co nastąpi, gorączkowymi ruchami odwiązuje szyję worka, przykładą do ust... Pije... Wodę... Policzki mu pęcznieją. Przerywa. Wymiotuje wodą i krwią, rżęzi porwany czkawką i znów pije. Nareszcie opuszcza worek, patrzy wyzywająco po obecnych i podnoszącym się z trudem

Walterze.

— Napilem się — powiada.

Nikt nic nie mówi. Hugo de Vermandois podchodzi. Dawny lekkomyślny piękniś zmieniony do niepoznania. W brudnej, obrosłej twarzy świecą niesamowite oczy. Na wyschlłym ciele klekocze pancerz.

— De Melun, ostaw to — mówi twardo. — Dur na ciebie zstąpił.

- Głupiś — odpowiada de Melun.

— Zawsze byłeś łotrem, ale rycerzem, nie świnią... Oddaj to i chodź...

— Głupiś — powtarza osiłek.

Głos ma rzeźwiejszy. Oczy nabiegłe krwią. Patrzy na nich zuchwale. Niech mu spróbują odebrać worek te niedołęgi, zdechlaki! Ano, niech spróbują! On znów jest silny... Czekaj...

— Napilem się — rzekł raz jeszcze i odszedł przyciskając worek oburącz do siebie. Hugo powlókł się parę kroków za nim, miotany dwojakim uczuciem. Oburzenia na niegodziwy postępek towarzysza i nadziei, że może pozwoli on mu napić się ze zrabowanego worka... Choć troszkę?... Skoro już tak czy tak wziął?

...Lecz czy przystoi?... Czy się godzi?... Biedny Hugo, nie^ frasobliwy miłośnik życia, potrząsnął głową z rozpaczą. Nie> nie uchodzi. Usiadł ciężko na ziemi, patrząc żałośnie za oddalającym się zuchwalcem. Niech sobie pije sam. Co u licha? Nie na darmo jest rycerzem i królewskim bratem... Cóż mogą dla nich uczynić? — myśli biskup. — Oto nadchodzi koniec, gorszy niż wszystkie przewidywania. Koniec ostateczny: znikczemnienie. Nie jest to bowiem ważne, że człowiek umiera, ale jak umiera. Zginiemy tu wszyscy, gińmy jednak jak rycerze krzyżowi, nie jak bydło. ...Trzeba jeszcze przemówić do nich... Znaleźć głos... Wspomóż mnie, Panie...

...Słuchajcie, dobrzy rycerze! Słuchajcie! Wytyńcie uszy, by dosłyszeć głos świszczący w suchej krtani. Słuchajcie, widma półprzytomne, na które straszno spojrzeć...

— Bracia — mówi biskup z wysiłkiem — czego truchlejecie? Czyż w Clermont nie ofiarowaliście ochoczo życia Panu naszemu?' Bóg chce ofiarowane przez was życie wziąć w inny sposób, niż sądziliście, że zabierze. Nie w boju, ale na pustyni... Nie przestajemy dlatego być wojami Chrystusowymi i każdy, któren tu padł, ma zasługę, jakby u Grobu Świętego padł... Nie cofajcie Bogu, coście dali! Może Jeruzalem nie da się zdobyć inaczej niż przez legion duchów... Może zbawione nasze dusze pomkną stąd wprost na walkę z niewiernymi... Może zmarli snadniej osiągniemy cel niż żywi... Ufajmy Bogu, który ślubowanie przyjął!

...Nie jesteśmy zrozpaczonym stadem zapędzonym w potrzask, ale prawymi rycerzami, bojującymi ze Złem. Pustynia jest takim samym wrogiem jak poganin. Walczmy z nią do ostatniego tchu, nie upadajmy... Jeśli zwalczyć nie zdołamy — legniemy bez żalu... Bóg tak chce!

— Bóg tak chce! — wołają wokół uwiędłe głosy. Bliżej stojący powtarzają, co mówił biskup, dalszym. On zaś, skrzepiony własnymi słowami, dodaje:

— Który ma jeszcze dość mocy, by sięść na wielbłąda?... Wysuwają się chwiejnie: Tankred chudy, spopielały. Konon de Montaigu podobniejszy niż kiedykolwiek do sępa, bo tylko wielki nos sterczy mu z twarzy, słabszy od innych, gdyż był ranny pod Doryleą, Wilfryd d'Esch i de la Tour.

— Siadajcie — zachęca Ademar — nie wstyd to żaden ani obraza, bo chodzi o ratunek dla wszystkich. Wielbłądy jeszcze się żwawo ruszają... Jedźcie naprzód jak najszybciej, może napotkacie wodę i przyniesiecie nam o niej wiadomość...

Nigdy jeszcze dotąd żaden Latyniec nie siedział na grzbiecie pokracznej poczwary. Nie wiedzą, jak wleźć! Chyba, gdy paskudne bydłeta leżą, jak ninie?

Och, niełatwo jest unieść odrętwiałe sztywnie nogi. Z trudem dosiadają. Inni pokrzykiwaniem, szturchaniem zmuszają wielbłądy do wstania, do ruszenia. Najpierw wolno, potem cwałem. Na koniec giną sprzed oczu.

— A my za nimi! — woła biskup — wytrwać jeszcze. Czuję, że miłosierdzie Boże ponad nami! Iść, iść do ostatka! Nie upadać! Może jesteśmy u kresu!

Iść! Iść! Utrzymać ostatek tchu w piersi! Nie wypuścić z siebie życia jak miecza z garści... Prawie mówił biskup, że pustynia szatański sprzymierzeniec, trzeba z nim walczyć jak z poganinem, do ostatka! Do ostatka!

Więc suną szeregiem mar. Każda godzina to wieczność. Mimo nadludzkie wysiłki padają coraz to częściej. Słońce zniża się powoli. Nikt nie zwraca na to uwagi. Dawno przestali liczyć czas i pory

dnia. Wszystko im jedno. Ból zamienia się w beczucie. Tylko biskup wyteża oczy. Wie, czuje, że coś się stanie, już się dzieje... Bóg na akt dobrej woli i ufności odpowiedział...

Jakoż nagle w ten osłabły, konający tłum pada wrzawa, wybuchająca na przedzie. Na widnokregu ukazał się jeździec na wielbłądzie. Pędzi ku nim. Już go poznali. To Konon de Montaignu. Macha rękami jak opętany. Chwieje się na prawo i lewo. Zlatuje z wielbłąda, zanim ten uklęknie.

Rozdzierającym głosem chrypi:

— ...Niedaleko woda! Woda!

I pada jak martwy na ziemię. Podnoszą go. Leci bezwładnie przez ręce. Jakże to? Przyniósł szczęśliwą wiadomość, a kona z pragnienia? Tak, bo dobry rycerz, ujrzawszy z dala studnie, przy których już pili tamci, nie dojeżdżał do nich wcale, lecz zawrócił, by co prędzej pokrzepić towarzyszy.

Dygocącymi dłońmi biskup zlewa twarz posła resztą wody z ostatniego, jedyne worka, a przez szeregi upiórów o krwawych wargach, wyschłych półtrupów, obłąkanych, zrozpaczonych, grzmi jak trąba zmartwychwstania:

— ...Niedaleko woda! Woda!...

Rozdział czwarty

W KTÓRYM OKAZUJE SIĘ, ŻE GODFRYD JEST WINIEN WSZYSTKIEMU

Od Iconium do Heraklei kraj wolny był od Saracenów, którzy pierzchli na samą wieść o naciąganiu krzyżowców. Okolica była żyzna, zbiory jesienne obfite, i stopniałe o połowę wojska latyńskie wracały do sił i zaopatrzenia szybciej, niż można się było spodziewać. Najtrudniej szło z końmi, toteż poszczególne oddziały przetrząsały wzdłuż i wszerz cały kraj w poszukiwaniu wrogów, których można by znieść, a konie zabrać. Wszakże dopóki wszystko rycerstwo nie odzyszcze koni, niepodobna marzyć o dalszym pochodzie!

Zmęczony bezowocnością takich właśnie poszukiwań, Tankred zaprzysiągł sobie, że nie stanie, aż się natknie na nieprzyjaciela. Szczyty Taurusu, zasłaniające pół nieba, oddzielały jego oddział, około tysiąca ludzi liczący, od niskich dolin nadmorskich gęsto pono zasianych gradami. Postanowił je przejść. W gradach musi być załoga. Załoga musi mieć konie. Konie są potrzebne rycerstwu. Naprzód przez góry!

Nie zwątpił, że chociażby trzeba orlich skrzydeł, aby przelecieć ponad szczytami, uzyska je i przeleci. Bez zająknięcia wprowadzał swych ludzi w nieznaną głęboką wąwozy, żeby wiejące chłodem, piął się na skalne przełęczce. Czuł się nad wyraz szczęśliwy. Niedawne boje, straszliwe piekło pustyni zdawały się teraz z oddalenia cudowną przygodą, piękniejszą, dziwniejszą niż najwymyślniejsze pieśni trubadurów. Spoglądając niefrasobliwie na kamienie, lecące spod nóg gdzieś w niezmierzone przepaści, rozmyślał, czy też obaj kanonicy, Rajmund d'Aguillers z obozu grabiego St. Gilles i Foucher de Charters z obozu normandzkiego, nie porzucili swych zapisków na pustyni w chwili udręki i rozpacz? Mogli wypić inkaust z uczepionych u pasa pękatych butli, a rzucić ciężkie do dzwigania papiery. O, jakąż nieodżałowaną szkodą byłoby, gdyby to, nie daj Boże, uczynili! Gdyby przepadły te monumenta wyprawy! Czcigodnym wielebnikom, zapisującym skrzętnie dzień po dniu wszystkie wypadki, każdy uwierzy. Nikt ich relacji nie poda w wątpliwość. Natomiast rycerz, gdyby zaczął opowiadać, snadnie mógłby zostać posądzonym o przesadę. Cóż dziwnego? Sam Tankred nie był pewien, czy w razie czego potrafiłby wiernie i ściśle opowiedzieć dzieje ostatnich dwu lat od początku. Nie pomylić się, nie pobłąkać. Wiele rzeczy niedawno zdarzonych już się widziało niemożliwymi dla tych, co na nie własnymi oczami patrzyli. Jeśli zaś człowiek nie wierzył sam sobie, cóż będzie z innymi, z piecuchami siedzącymi spokojnie w kasztelach? Przyjmą prawdę za prawdę, tylko o ile będzie ona spisana gęsim piórem na pergaminie wprawną dłonią kanonika-kronikarza... Ileż przygód już doznali, ileż jeszcze leżało przed nimi! Co ich jeszcze czeka? Tankred aż się zatchnął z radości na samą myśl o tym. Przejście gór było nie lada przedsięwzięciem, ale jakże pięknym. Surowe, dzikie, niedeptane skały stały murem nieprzebytym. Na zachodnich stokach zwróconych ku morzu rosły cedry niewidzianej nigdy wysokości. Potężne ich konary wygięte były niby ramiona świeczników. Nisko, nisko, niżej niż przepływające pod stopami chmury, przebłyskiwały w dolinie osady i miasta, bogate miasta ormiańskie, których Saraceni, Arabowie i Turcy nie zdołali jeszcze zniszczyć całkowicie. Dalej na widnokregu — morze.

Patrzeć z podniebnej przełęczcy na morskie wełny dawno nie oglądane, czuć bijący od nich rzeźwy chłód, ponad głowami mieć szczyty uwieńczone śniegiem — jest rozkoszą samą w sobie, przemozną,

upajającą. Bliski Boga dech gór przynosi duszy odwianie trosk, omiata z niej zgniłość, niemęskość, małość. W członkach szczepi nową siłą, nową radość życia. Toteż całą duszą, całym sercem, całym ciałem Tankredowi rycerze chłoną w siebie tę radość i moc.

Sądzą, że są pierwszymi Latyńcami, stojącymi na tych zboczach, ani przypuszczając, że z tym samym przekonaniem, o kilka mil na południe, oddziały Baldwina lotaryńskiego wchodzą w podobne wąwozy, zleby, pną się na przełęcze. Cel wyprawy ten sam, w ludnych nadmorskich dziedzinach zdobyć dla rycerstwa konie. Konie!

Oddział Baldwina jest znacznie większy. Liczy prawie pięć tysięcy. Zarówno Baldwin, jak Tankred nic o sobie wzajemnie nie wiedzą. Nie dziwota. Zaledwie wojska latyńskie rozłożyły się obozem, odkarmiły i wypoczęły, zwykle zatargi między

baronami wybuchły ze zdwojoną siłą. Co niebezpieczeństwo łączyło, dobrobyt natychmiast rozpręgał. Poszczególne obozy przestały utrzymywać jakąkolwiek łączność, działając na własną rękę, i oto teraz, wkraczając w surowy świat górski, Baldwin nie wątpił, że nikt przed nim nie wpadł na pomysł przedostania się na drugą stronę pasma Taurusu.

W grodach, oglądanych z góry przez obu rycerzy, wiedziano już o zbliżaniu się wojsk krzyżowych, klęsce poniesionej przez wiernych pod Doryleą i niepojętym przebyciu pustyni przez wroga. To zdało się najgorszym. Dotychczas nieprzyjacieli docierał tu tylko od morza. Galery greckie wysadzały na ląd. błyszczące pułki swych Nieśmiertelnych, Athanatoi lub warangów. Muzułmanie walczyli z nimi, zależnie od szczęścia walki, zmuszając niewiernych do powrotu na szalandy lub cofając się samym w góry; w razie gdyby pościg był bardziej zawzięty — na pustynię. Pustynia była naturalnym schronieniem dzieci Allacha, bezpieczną przystanią, którą Prorok dla nich przygotował. Nikt jak dotąd nie kusił się iść tam za nimi. Nikt się na pustynię nie zapędzał. A oto teraz zakute w żelazo gjaury przebyły ją. Po raz pierwszy nieprzyjaciel nadchodził od strony lądu, nie od strony morza...

„*La ilah el Allah, Mohammed rasul Allah!* — pisał chwalebny sułtan Kilidż-Arslan do dowódcy grodu Tarsus. — Cofamy się na południe za wolą Allacha. Stamtąd, zebrawszy wszystkich wiernych, uderzymy ponownie na gjaurów. Ramię Iblisa nie ochroni ich dłużej przed gniewem wyznawców Proroka. Gdy mężny Dżagi Sjan zatrzyma ich pod Antiochią, Grodem o Niezdobytach Murach — nadciągnę z tyłu, rozstrzygając o natarciu. Na święte sandały Proroka! Zbyt długo nieczyści plugawią ziemię Allacha. Bliski dzień, w którym nie zostawim im więcej miejsca do życia, niż się go mieści na grzbiecie wielbłąda i w zołądku sępa!

La ilah el Allah, Mohammed lasul Allah!”

Z tego listu wywnioskować należało, że załogi miast, jak Tarsus, Mamistra, Placencja, Adana, nie mogą liczyć na żadną pomoc ze strony sułtana cofającego się z niedobitkami swymi na południe. Dowódcy grodów musieli polegać na sobie samych, unikając spotkania z wrogami lub broniąc się do ostateczności.

Gród Tars lub Tarsus, tym przedniejszy nad inne, że wydał ze siebie wielkiego Apostoła ludów, Pawła, leżał o trzy godziny drogi od morza. Otaczały go mury, stare wprawdzie, czasy jednolitego cesarstwa rzymskiego całym światem władającego pamiętające, lecz jeszcze krzepkie. Nowe wieżycy minaretów strzelały nad nimi. Muezin obwoływał z nich swoje diabelskie modły, gdy Tankredowi ludzie zeszli w dolinę i zapadli za najbliższym miasta wzgórzem. Pobożnie jęli odmawiać Anioł Pański, by zgłuszyć głos poganina. Lecz wysoki ton zaśpiewu wybijał się ponad ich basowe pomruki, co poczytali sobie za złą wróżbę. Wprawdzie psie głosy nie idą w niebio-sy, ale tu niebo jest inne i kto wie, może dla czarów podatne?

Nie rozpalali ogni i nie rozbijali namiotów. Wsparty głową

pień drzewa, Tankred patrzył na miasto, pałace się w łunach zachodu, i obmyślał plan jutrzejszego dnia. Podjazd ze stu ludzi pod wodzą Marka di Santa Leone pójdzie o świcie sprawdzić brody i przejścia na rzece, płynącej nie opodal, którą zowią Cydnus. Reszta uderzy do szturm. Ale jak? Czy uczciwym rycerskim obyczajem zatrabnić wpierw w surmy

okrzyknąć, że się gotuje natarcie? Czy pobić poganów ich własną bronią, chytrą starając się zaskoczyć miasto niespodziewanie? Boemund, wyprawiając Tankreda, kładł mu po wielekroć w głowę, że tak właśnie ma postąpić. Dobry obyczaj trzeba zachowywać tylko w stosunku do dobrego rycerstwa — dowodził. Poganin a diabeł to jedno. Z diabłem walczyć chytrą nie grzech, bo inaczej go zażyć nie można... Chytrą, nie modlitwą, działał pobożny mnich Kandydus, który kura

zamknął w szafie. Jeśli przystało tak czynić świątobliwemu mnichowi, którego kroniki chwala, tym bardziej mogą to uczynić rycerze, nieustannie przez pogan wyprowadzani w pole... Dość wspomnieć Niceę... Miej w pamięci tylko jedno: dobyte grodu, nie troszcząc się, jaką modłą...

Takie nauki Boemund powtarzał bratańcowi na odjeździe i Tankred obiecał rad stryja posłuchać. Obecnie jednak, gdy chwila działania nadeszła, opanowywała rycerza niechęć do podobnego sposobu postępowania.

— ...Jak zbóje mamy napadać, co? — żalił się pociotowi swemu Sebastianowi de Monte Scabioso. Starszy brat tegoż Onufry, którego zginął pod Doryleą, był druhem Tankreda najlepszym. Nie mieli przed sobą tajemnic. Ale Onufry nie żył. Sebastian był młodziak, potakujący ślepo wszystkiemu, co Tankred powiedział. Jako doradca zatem ceny nie przedstawiał. Tankred nie tyle rozmawiał z nim, co z samym sobą.

— Mierzi mnie napaść jak zbóje... — powtórzył.

— Jużci, co nijako.

— • Pogany plugawe, ale w boju dobrze stoją... Rycerze są...

— Jużci, co tak...

— Jakże tedy skradką, po złodziejska podchodzić? Nie uchodzi...

— Jużci, co nie...

— Rzekłbyś raz co innego, Sebastianku...

— Jużci, ale co?... — zakłopotał się chłopak tak szczerze, że Tankred roześmiał się w głos.

— Pójdziem otwarcie jak w kraju, ogłaszając się uczciwie — postanowił i ciężar spadł mu z serca. Doznał ulgi prawie że fizycznej.

— Obiegać nie możemy — ciągnął raźniej — bo nas jest za mało. Możem tylko ostro uderzyć i pierwszym szturmem wziąć... Innej rady nie ma...

— Jużci, co nie • — potwierdził wytrwale Sebastian.

— Pierwszym szturmem... A jeżeli się nie uda?... Co wtedy?...

— Nie wiem...

— Wypadaloby odstąpić i próbować, czy się z innym grodem lepiej nie poszczęści... Ale nie daj Bóg, żeby na nas wypadło po raz pierwszy w tej wyprawie ustąpić poganom!... Nie zniósłbym tego...
Wiec co?

— Nie wiem...

— To lepiej nic nie gadaj... Ja wiem... Trzeba wziąć miasto. Innego wyjścia nie ma a nie ma...

— Trzeba wziąć — powtórzył jak echo Sebastian.

— Nikt dzisiaj spać nie będzie. Chodźmy popatrzeć, jak rąbią drzewo na drabiny. Bez drabin ani marzyć o szturmie... Mury wysokie.

— Ano.

Poszli, skąd dolatywał stuk toporów. Więcej jak stu ludzi rąbało pośpiesznie drzewa. Inni w mig obciosywali gałęzie, wiercili dziury na szczeble, wiązali mocno sznurami z młodszych gałęzi splecionymi. Gdy strudzeni ustawiali na chwile, aby kości wyprostować, z daleka wiatr donosił łoskot pokrewny. Jakby też rąbano drzewo. Pośpiesznie, nocą... Może echo? Tankred nasłuchuje uważnie... Stukot miarowy, liczny... Du... du... du... Echo pewnością. Swawolny duszek Po-mian rad wszystko przedrzeźniający. Zresztą nie ma czasu nasłuchiwać. Niech sobie rąbią, kto chce.

Drzewa naścinane, drabiny jako tako sklecone, gdy świt nadchodzi. Jak zwykle, nagłym rzutem wytryska słońce zza gór. Nie myśląc o jedzeniu ni odpoczynku, z pobożną pieśnią na ustach, rycerze ruszają do szturm. Trąby donośnie rzwą. Mieszkańcy grodu niech się mają ku obronie! Bóg tak chce! Bóg tak chce!

Wnet walka wybucha zażarta. Tłum ludzi stoi na murach, lejąc zwykle w tych razach ukrop i smołę, rzucając kamienie, skorupy, piasek, odrzucając oparte o mury drabiny. Z dołu szturmujący prą nieustępliwie, osłaniając głowy szczytami. Już rycerzowi de Pierremore udało się wskoczyć na mur, lecz zgodnym wysiłkiem muzułmanie chwycili go, oderwali i niot-nęli w dół. Roztrzaskał się na miazgę o skałę. Miasto odstraszyć, ten widok podnieca jeszcze więcej pozostałych. Czepiają się muru pazurami jak koty. Ze świstem zarzucają pętlę z liny za blanki i chwytają sznura, drugi koniec ubezpieczając u drabiny. Gdy muzułmanie spostrzegli się, przetrną linę, grono ludzi uwieszonych u niej zwisa z drabiny w dół, opada, zeskakuje, drapie się na nowo. Już kilku równie zręcznych jak

rycerz de Pierremore wskoczyło na mury i podobnie jak on śmiałość przypłacili życiem. Reszta zgrzyta zębami z wściekłości i nie ustaje w wysiłkach. Słońce niemiłosiernie praży jak pod Niceą. ...Jeżeli do wieczora nie zdołamy wleźć, co będzie? — myśli Tankred. — Ustąpić nie ustąpimy, ale może popróbować z drugiej strony murów?...

Lecz w tejże chwili wyraźne zamieszanie objawia się wśród muzułmanów. Zdają się uwagę zwracać w inną stronę. Część ich odbiega. Tankredowi na koniec udaje się wdrzeć na mury. Za nim pięciu, sześciu, dziesięciu, piętnastu. Jedni podają ręce drugim, podciągają się wzajemnie. Pędzą ku bramie otworzyć ją pozostałym. Wałą na odlew z rozmachem. Sieką, kłują, rąbią, tną. Bóg tak chce! Bóg tak chce!

Bóg tak chce!... Czyżby znowu echo? Tak wyraźne, bliskie, gromkie? Nie może być! Czy to przywidzenie? Muzułmanie cofają się, krzyczą z trwogi i zawracają ponownie niby schwytam w pułapkę. Biegają tam i sam jak kołowaci. W wąskiej uliczce, gdzie rzeźba idzie zawzięta, ukazują się z przeciwnego końca rycerskie przyłbice. Co za jedni? Czy to cud?

Cud wyjaśnia się szybko. Nic nie wiedząc o Tankredzie Baldwin lotaryński przypuścił z drugiej strony natarcie do grodu. Pomagali sobie wzajemnie, bezwiednie.

Niespodziewane spotkanie nie napełnia radością żadnego

z rycerzy. Spoglądają na siebie jak dwa lwy, którym przypadła w udziale jedna gazela. Dwie szczuki na jedną płotkę. Zbyt mały łup dla dwóch drapieżników. Każdy z nich wolałby serdecznie zdobyć miasto sam jeden, nie dzieląc się z nikim zdobyczą.

Nie wypowiadając głośno tych uczuć Baldwin i Tankred objeżdżają gród. W mieście panuje już spokój, śmiertelny spokój. Z obrońców, z wiernych wyznawców Proroka, nie został ni jeden przy życiu. Tylko ormiańscy mieszkańcy, witający w pierwszej chwili z uniesieniem krzyżowców, poczynają już labiedzić, bo Latyńcy, plądrując domy, niedostatecznie zwracają uwagę na wiarę mieszkańców. Głośne wyznawanie Chrystusa nie zawsze pomaga, szczególnie kiedy domostwo ma wygląd zasobny.

Konie, ormiańskie czy saraceńskie, jakie tylko były w grodzie, sprowadzono już na plac. Są drobne, ale piękne. Sucha noga, wielkie oko, skóra cienka jak dziewicy. Jest ich tyle, że dowódcy czuliby się zadowoleni, gdyby... ach, gdyby nie trzeba było się dzielić...

Namarszczeni siadają sztywno dla narady. Żaden nie kwapi się zabierać głosu pierwszy. Milczą. Konie parszczą. Czas mija.

— Zaczynajmy! — mówi na koniec Tankred porywczo.

— Zaczynajmy — zgadza się Baldwin. — Czujecie się w prawie, książę, do podziału?

— Czuję się — odpowiada Tankred kładąc mimo woli rękę na głowicy miecza.

— Bez nas nie dostalibyście grodu.

— Wy również.

— My byliśmy pierwsi na murach.

— Nie, wskoczyliśmy równocześnie.

— Was jest garstka.

— Cóż to znaczy? Gdyby brat wasz Godfryd, zwierciadło prawości, tu był, ta rozmowa byłaby zbędną...

Pocziwy Tankred nie mógł gorzej trafić. Każde wspomnienie Godiryda pędzi Baldwinowi krew do gardła. Zwierciadło prawości! On wie dobrze, co o tym sądzić... Krzywi drwiąco usta, mówiąc:

— Dzielmy się zatem. Wiele ludzi macie?

— Niecały tysiąc.

— Ja mam pięć tysięcy. Zatem pięć części zdobyczy przypada mnie, jedna wam.

— Nie rozumiem?...

— Chyba proste. Nas jest pięć razy więcej, przeto należą się nam łupy o tyleż większe...

— Żartujecie, książę! Odkądże liczba stanowi o czynie?

— Pięciu zawdy zrobi więcej niż jeden...

— Na krew świętego Januarego! Nie zawdy! Jeden dobry rycerz wart więcej niżli stu kiepskich pacholców!...

— Do nas to mówicie?

— Nie, uchowaj Boże, nie ujmuję wam czci, ale powiadam, że liczba nic nie rozstrzyga...

- Jeżeli chodzi o męstwo; lecz rozstrzyga, gdy idzie o skutek...

- Chodźmy na mury zatem! Przeliczmy, wielu ludzi padło tam, gdzie my dobywali, a gdzie wy... Ilu waszych legło, ilu naszych... Sami wiecie, że na mur nie darło się ani pięć tysięcy, arii tysięcy, jeno najwyżej stu od was, stu od nas, bo inaczej być nie mogło... Reszta tylko trzymała drabiny!... Sprawiedliwy podział ma być po połowie!

Baldwin kręcił węża z zastanowieniem. W głębi duszy przyznawał słusność Tankredowi. Męstwa nie ceni się liczbą. Lecz konie były mu tak bardzo potrzebne, tak nieodparcie potrzebne! Po licha wleźli tutaj Italczycy! I po licha ten mu zaraz wykłuwał oczy Godfrydem! Co zrobić?... Spojrzał pytająco na Konona.

- Godfryd byłby na pewno za równym podziałem — od-szepnął tenże, zrozumiawszy spojrzenie.

— O twoje zdanie pytałem, nie o Godfrydowe — odmruknął Baldwin z wściekłością. Znów Godfryd! O, minął czas, gdy słuchał brata i we wszystkim czynił tak jak on! Teraz właśnie będzie postępował inaczej!

— Pięć części mnie, jedna wam — powtórzył uparcie.

— Chodźmy wprawdzie policzyć zmarłych...

— To dla mnie nie ma znaczenia.

- Nie ma znaczenia?! — zakrzyknął Tankred siny z oburzenia. -- Krew rycerska nie ma znaczenia dla Lotaryńczyków?! Bierzcie sobie zatem wszystko! Udławcie się! Nie będziemy się targować ani dobijać co nasze!

I porwawszy się z miejsca, kazał natychmiast trąbić do odejścia. Wprawdzie ludzie jego sarkali niezadowoleni z takiego obrotu sprawy, ale nie ustąpił. Wyszli z miasta Apostoła Pawła, nie żegnając się z Lotaryńczykami ani spoglądając w ich stronę. Odeszli w kierunku Adany.

Baldwin stał markotnie na murach, zły na samego siebie,

na Konona, na Tankreda, na cały świat. Niepięknie wyszło, niepięknie! Tarentczyk miał słusność, nie on... ...Ale konie nam zostały...

Pocieszając się tym przykazał pozamykać bramy na wypadek nadejścia Saracenów i rozstawić warty. Mrok już schodził. Rycerze łatyńscy rozłożyli się na noc na dworze brzydząc się mieszkaniem ormiańskimi, że schizmatyckie, arabskimi, że pełne czarów pogańskich. Baldwin wyszukał sobie miejsce na skrawku murawy, gdzie legł, podkładając zwinięty płaszcz pod głowę. Miejsce to nie było zbyt utulne, gdyż o parę kroków leżała na kupie połamanych sprzętów wymordowana rodzina z sąsiedniego domu, kto by jednak zwracał na te szczegóły uwagę! Trupy leżały co krok. Zresztą cień zacierał wszystko. Ze splątanego zwału ramion, nóg, tułowi wyrywała się na blask miesiąca tylko jedna ręka niewieścia, wyciągnięta ruchem przerażenia i tak zastygła. Ręka szczupła, od księżycy przeraźliwie biała, o rozcapierzonych palcach. Oстрым zarysem odcinała się od tła ciemni, zdawała żyć samoistnym bytem, wołać o czymś, domagać się czegoś. Widok jej drażnił Baldwina. Nie chciał mu się wstać, szukać innego miejsca do spania, zwłaszcza, że leżał wygodnie, a oczu oderwać nie mógł od martwej dłoni nie znanej Arabki czy Ormianki. Cienki, skrzywiony przegub, zagięte palce nasuwały wspomnienie Gontrany, jej śmierci, Godfryda, wszystkiego, co się z tym wiązało. Zgorlił się. Sen go odbiegł. Wyciągnięta biała dłoń zdawała się go przyzywać. Wychylała się z nocy jak nierozwiązalna zagadka. Pytanie bez odpowiedzi. Śmierć zamknęła usta Gontranie i nigdy nie dowie się prawdy o niej. Umarli umieją strzec swoich tajemnic. Ale Godfryd żyje i musi, musi powiedzieć. Musi się przyznać ten brat wiarołomny, tak niegdyś szanowany i słuchany...

Wokół panowała cisza, cisza miasta nie śmiejącego odetchnąć pod stopą zwycięzcy. Nie dawała ukojenia. Przewracając się z boku na bok Baldwin zasnął na koniec. Dręczyły go złe sny. Zmora siedziała na piersi. Walczył z nią we śnie, daremnie próbując rzucić przekleśnięcie. Posuwała się ołowiem wzdłuż kolan, lędźwi, brzucha, aż siadła na piersi, ujęła gardło, by zdusić... Szamotał się rozpaczliwie, szarpał, chciał krzyknąć — nie mógł, przeżegnać się — nie mógł, poruszyć się — nie mógł. Aż się obudził, zlany zimnym potem. Konon ciągnął go za rękaw. Miesiąc stał jeszcze wysoko, ale cień murów przesunął się i bielejąca, niewieścia dłoń znikła, złała się z mrokiem.

— Bóg ci zapłać, żeś mnie obudził — rzekł Baldwin, przecierając z ulgą oczy. — Zmora mnie dusiła i mało nie zadusiła...

— Niech nas święty Jerzy strzeże — odparł Konon żegnając się i spluwając trzykroć. • — Wstawaj. Jacys konni kołaczą do bramy.

— Saraceny!?

— Nie. Zdaje się, że to Tankredowi.

- Aha, żal mu się zrobiło i wraca po to, co ofiarowałem — mruknął z zadowoleniem Baldwin, krocząc spieszonym krokiem ku bramie. Po ciasnych krętych schodach ciemnych dniem i nocą wyszedł na strażnicę wieży i wychylił się z ganku pobok wartownika. Konon za nim. Noc była jasna, ale cień murów zasłaniał stojących u bramy.

— Obwołaj ich — szepnął Baldwin.

- Coście za jedni, którzy budzicie po nocy!? — krzyknął donośnie wartownik.

- Dobrzy rycerze italscy z drużyny księcia Tankreda. Kto-ście są, którzy pytacie?

— Dobrzy rycerze lotaryńscy z drużyny księcia Baldwin.

- Dobrego rycerza Tankreda nie masz w grodzie?

— Nie ma, odszedł.

— Dokąd?

- Nie wiemy. Na południe.

— Dawno?

— O nieszpornej porze.

Zaległo milczenie. Przybyli naradzali się między sobą, co robić.

- Jestem dobry rycerz Marko di Santa Leone — zaczął donośnie ten sam głos co poprzednio. —

Dobry rycerz Tankred wysłał nas rano z podjazdem obejrzeć brody na rzece. Kazał mi tu przyjść powiadając, że przed nocą będzie w grodzie. Spóźniliśmy się, cały odwieczny dokazując z poganami śpieszącymi z odsieczą grodowi... Nie wiemy teraz nocą, gdzie szukać dobrego rycerza Tankreda. Jesteśmy bardzo zdrożeni. Żywności ze sobą nijakiej nie mamy. Puśćcie nas do grodu przenocować i wytchnąć do rana.

— Siła was?

— Rano było stu. Ninie osiemdziesięciu.

- Otwierać! — rzekł Konon i już skinął ręką na wartownika, lecz Baldwin zatrzymał go żywo.

- Cały gród jest zajęty przez dobre wojska lotaryńskie

i miejsca dla nikogo więcej nie masz! — zakrzyknął ostro, wychylając się ku przybyłym.

— Jesteśmy prawi rycerze chrześcijańscy, wielce zdrożeni, prosimy o nocleg — zawołał dobitnie di Santa Leone sądząc widocznie, że nie został zrozumiany.

— Nie ma miejsca! — powtórzył Baldwin.

— Dlaczego nie chcesz ich puścić, Baldwinie? — zapytał z oburzeniem Konon — zaręczam ci, że Godfryd...

— Dajże mi raz spokój z Godfrydem! Cóż że Godfryd!? On by postąpił tak, a ja inaczej... Wiele mnie obchodzi Godfryd!

— Czyś oszalał? Co ci jest? Czemu ich nie puszczasz?!

— Nie rozumiesz? To na pewno sztuczka Boemunda! Ja go znam! Stał tu gdzieś blisko, dowiedział się o Tankreda o zajściu i chce dostać się do grodu, żeby nas wyznać...

— Osiemdziesięciu ludźmi?

— W tej ośmie poznasz, zali ich jest osiemdziesiąt czy tysiąc!?

•— Ależby nie łgali, człowieku! Czemu im nie wierzyć?!

— Nikomu nie można wierzyć! Nikomu nie wierzę! Niech sobie idą precz! Niech sobie nocują na polu... Tutaj ich nie wpuszczę, rozumiesz?

— Lotaryńscy rycerze odmawiają noclegu dobrym rycerzom italskim, przeto odjeżdżamy — stwierdził donośnie Marko di Santa Leone zawracając konia. Nie padło ani jedno słowo więcej. Skrzyp siodła, tupot zmęczonych koni niechętnie odchodzących od bramy. Wzgardliwa cisza. Po chwili wychynęli z cienia na światło miesiąca. Było ich istotnie niewielu.

— Baldwinie, zawróć ich! Skocz na konia, dogonię... — błagał Konon.

•— Zostaw mnie, do diabła! Wiem, co robię! — zaklął Baldwin i wrócił spać na poprzednie miejsce. Nie było jednak mowy o śnie. Był wściekły sam na siebie. Po raz drugi postąpił wbrew swojej naturze, wbrew swoim zasadom, poglądom, zwyczajom... Odgonił od drzwi znużonych dobrych wojów! Nawet Omer de Guillebaut tak by nie postąpił! I dlaczego, dlaczego? Wszystkiemu winien Konon, wypominający Godfryda, jakby naumyślnie, a właściwie winien sam Godfryd, Godfryd!

Burząc się i gryząc wewnątrz przeleżał do rana. Gdy dzień się zrobił, zły, osowiały zwłóknął się z postania i ruszył wzdłuż murów rozmyślając, czy wracać zaraz do głównego obozu, czy dać ludziom dzień

odpoczynku?

— Lepiej iść, bo te ścierwa wnet się ześmierdną — posta-

nowił. Oczami mimo woli szukał Konona, by się poradzić. Ujrzał go z daleka, odcinającego się ptasim chudym profilem na tle porannego nieba.

- Będziemy chyba ruszać, co?! — zawołał usiłując nadać głosowi zwykle pogodne brzmienie.

De Montaigu nie obrócił się, jakby nie słyszał.

- Tamci zginęli — rzekł patrząc przed siebie, gdy Baldwin zrównał się z nim.

Udany spokój Baldwina przysł.

- Kto zginął?! Co gadasz?!

- Którzy kołatali nocą do bramy. Wszyscy.

- Jak to?! Jak?! — Baldwina aż zatchnęło przerażenie.

- Mniej niż o pół mili stąd ogarnęły ich Saraceny. Siła pogan ubili, lecz ani jeden żyw nie ostał...

- Na Boga! — szepnął Baldwin dygocząc z wrażenia. - Skąd wiesz?

- Straże słyszały bitwę. Skoro mi teraz rano rzekły, pojechałem oglądać pobojuwisko. Widziałem sam.

Wróciłem stamtąd co ino...

- Na Boga! — powtarzał Baldwin. — Na śmierć tych strażników! — zakrzyknął nagle. — Dlaczego nie dali znać?

- Czemu mieli dawać znać? Przecież widzieli, że odgoniłeś tamtych od bramy jak wrogów...

- Co pocniemy teraz? — jęknął Baldwin z rozpaczą. Konon de Montaigu stał nieporuszony, patrząc uparcie

przed siebie.

- Nie wiem, co ty pocniesz, Baldwinie — rzekł w końcu. — Ja ci powiem otworzyście, że od dzisiaj nie jestem ani twoim druhem, ani przyjacielem. Do Godfryda przechodzę. Ostatni raz gadamy ze sobą.

•— Jak chcesz.

Gwiżdżąc przez zęby Baldwin odszedł. Niedaleko. Przysiadł w załomie murów i tam, skryty za dwoma trupami brodaczy o wywróconych okropnie oczach, rozpląkał się jak dziecko. Co się z nim i wokoło niego działo? Co się działo? Tamci zginęli... Konon go porzucił... Co będzie teraz? Dlaczego wszystko na świecie przeinaczyło się, odmieniło, on sam przeinaczył w nowego, złego człowieka?...

Ciągnęli z powrotem ku góróm. Baldwin jechał na przedzie sam, nie mając do kogo słowa przemówić.

Wilfryd d'Esch trzymał z Kononem. Obaj jechali daleko od niego.

...Głupcy! — myślał z rozżaleniem. — Niech idą do Godfryda, owszem, owszem, proszę bardzo.

Obejrzał się za siebie. Oburzenie Konona podzielało całe rycerstwo patrząc koso na swego dowódcę.

Wszyscy trzymali się z dala. Tuż za Baldwinem człapał tylko giermek Pankracy de Sourdeval, o wielkiej krągłej głowie i łakomych ustach.

Był to chłop niemłody już, dobrego rodu, i dawno należałby mu się pas, lecz Godfryd nie lubił go i stale powstrzymywał Baldwina od mianowania de Sourdevala rycerzem. Posądział Pankracego o złe skłonności i nieszczerze serce. Baldwin, spojrzawszy teraz na giermka, przypomniał sobie tę niechęć brata i przyszła mu ochota postąpić na przekór.

— Wielu to już - lat giermkujesz? — zapytał. Pankracy ścisnął konia piętami, podskoczył.

— Niedługo szesnaście, Wasza Miłość. Piętnasty mi rok był, kiedym w służbę Waszej Miłości poszedł...

— To by ci się już pas należał...

- Oj, pewnie! Ojciec nieboszyk dawno w moich leciech z pasem chodził, choć nie nabojował się tyle, co ja... Cóż, kiedy księżę Godfryd na mnie niełaskaw...

- U mnie służysz, nie u księcia Godfryda, a ja o tym pomyślę...

- Będę do śmierci wdzięczny Waszej Miłości! -- zawołał giermek żarliwie.

...Dam mu pas, gdy tylko przyjedziem — postanowił w duchu Baldwin wspinając się na przetęcz.

Droga powrotna przez góry zdawała mu się łatwiejszą i bliższą niż poprzednio, mimo że teraz towarzyszył idącym spory zdobyczny tabor, konie i wozy. Lecz jakkolwiek podróż trwała krótko, wieść o zatargu Baldwina z Tankredem wyprzedziła ich w obozie. Dowiedziawszy się o losie Marka di Santa Leone i prowadzonego przezeń podjazdu, Tankred pchnął natychmiast posłańca do biskupa Ademara, żaląc się na niegodziwy postępek Baldwina. Biskup odniósł się do Godfryda, który czekał brata zdumiony i oburzony. Wezwał go do siebie zaraz po przybyciu. Siedzieli chwilę samodwa w milczeniu.

— Czekam, żebyś się wytłumaczył z tego, o co cię Tankred oskarża — rzekł w końcu Godfryd swym zgłuszonym spokojnym głosem.

Nagła złość poderwała Baldwina... „Czekam, żebyś się wytłumaczył...” Dlaczego on właśnie ma się tłumaczyć, nie Godfryd? Niech on się wpierw wytłumaczy, ma z czego... Baldwin później...

— Widziałem już Konona — ciągnął starszy. — Powiada,

że owej nocy zmora cię dusiła i znać było od razu, jakoś odmieniony... Przypuszcza, że jęzda w ciebie weszła, i ten urok dotąd trwa...

— Nie jestem odmieniony ani jęzda we mnie nie weszła — odparł hardo Baldwin. — Tankredowi ofiarowałem sprawiedliwy podział, nie przyjął. Jego wola. Podjazdu nie puściłem, nie wiedząc, zali nie kłamią... Cóżem winien, że legli? W bitwie? Od tego są woje...

- Jak mogłeś im nie wierzyć? Posądzają dobrych rycerzy o zdradę?

— Nie wierzę teraz nikomu.

- Dlaczego? Najsrozsza to chyba *rzecz*, gdy człek człowiekowi nie wierzy... Nie byłeś taki dawniej. Konon ma rację... Co cię odmieniło?

- Co? Chcesz wiedzieć?... Powiem!... Ty!

- Ja?!...

Godfryd cofnął się o krok, otwierając oczy z najwyższym zdumieniem.

- Ty! Ty! — powtarzał Baldwin następując na niego, tuż. — Ty świętoszku! Coś miał z rnoją żoną!? Mów!?!...

- Z twoją... żoną?

— Nie udawaj zdziwionego! No tak, z Gontraną!? Mów!?!...

- ...Z Gontraną?...

Godfryd usiadł kryjąc twarz w dłoniach. Czuł się jak uderzony obuchem. Pytanie brata i wszystko, co kryło się za nim, wydało mu się w odniesieniu do prawdy bezmyślnie prostackim i brudnym... Jego miłość nigdy nie wyjawiona, całe życie tajona — i to zapytanie!...

- Nicem nie miał nigdy z żadną kobietą, a tym bardziej z twoją żoną — powiedział z wysiłkiem.

— Nieprawda! Widziałem was wtedy...

- Wtedy... Gadaliśmy ze sobą o sobie pierwszy i ostatni raz w życiu...

W oczach Baldwina błysnęła nadzieja.

- Na cześć rycerską, nie było nic między wami?

...Na cześć rycerską — chciał rzec bez wahania Godfryd i zatrzymał się w pół słowa. Niezmiernie uczciwym i sumiennym będąc przeraził się, czy nie skłamię. Zapatrzył się w samego siebie. Nic nie było?

W pojęciu ludzkim oczywiście, że nie. Ani dotknięcia dłoni, ani spojrzenia, ani jednego wyrazu... Nic...

Nic... A równocześnie jakże nazwać niczym to, co jemu Jej wypełniło życie bólem i udręką?! Jego

nieszczęsna miłość zagłuszona, zabita, przecie ciągle żywa — niczym?... Wzaje-

inność, której zaprzeczał, o której nic nie chciał wiedzieć — niczym? Ten cały świat uczuć — niczym?

Baldwin wpatrywał się w niego zaiskrzonymi drapieźnie oczami.

— Milczysz?

- Chciałem ci wyjaśnić, jak było — zaczął Godfryd spuszczać głowę na piersi. — To się w paru słowach nie da zamknąć... Widzisz... — urwał czując z rozpaczą, że to się nie da wyrazić w ogóle ni w paru, ni w wielu słowach. Że są **to** uczucia, odcienie, przeżycia, wrażenia niemożliwe do ujęcia w słowa.

Wystarczyło chcieć ująć je w ramę słów, by gmatwały się i zniekształcały. Były rzeczywistością palącą, bolesną, żywą, a zarazem nic w nich rzeczywistego nie było...

- Więc?... — nacierał Baldwin. Czuł się górą. Panował nad Godfrydem po raz pierwszy w życiu. Z przyjemnością spoglądał na jego zakłopotanie.

— ...Czekaj... zaraz... Mówię ci, że to tak nie można wyjaśnić od razu... — bąkał starszy brat, nieszczęśliwy i złamany.

Baldwin spojrział na niego z wyższością.

- Wobec tego poczekam, aż mi wytłumaczysz tamto, dopiero ja ci wytłumaczę to... — rzekł na koniec i wyszedł.

Udał się do siebie. Stara Helgunda siedziała przed namiotem Leony i obrębiała rąbek płótna, pewnie na pieluszki. Była zgarbiona, żółta, wysuszona. Baldwin zdumiał się przez chwilę, że to stare pudło przeszło żywe przez 'pustynię, gdzie tyle innych młodszych zginęło. Mniejsza z tym. Wszedł do swojego opuszczonego przed tygodniem namiotu, przykazując pachołkowi nie puszczając nikogo. Przelotna przyjemność, wywołana, zakłopotaniem brata, minęła. Czuł się bardziej zgnębiony niż kiedykolwiek. Pomimo wszystko podświadomie oczekiwał, że rozmowa z Godfrydem rozproszy jego podejrzenia, przywróci dawny stosunek ufności.

A stało się wprost przeciwnie...

Że między zmarłą a bratem istniała jakaś tajna spójnia, coś, z czego mąż był wykluczony, o czym mu nie mówiono, okazywało się teraz pewnym i niezbitym. Zupełnie pewnym. Godfryd nie umiał zaprzeczyć.

Płatał się niedołącznie. Ach, dlaczego nie zaprzeczył, dlaczego nie skłamał, by jego, Bal-dwina, uspokoić? Skoro kłamał tyle lat, mógł jeszcze ten jeden raz... Ach, i czyż możliwe, by wszystko na świecie zmieniło

się tak strasznie tylko dlatego, że urwała się wiara w prawość jednego człowieka?!...
Martwił się długo, aż zmartwienie przeszło w złość. Po-

myślał, że najlepiej będzie odejść, gdzie oczy poniosą. Tak uczyni. Nie pozostanie tu ani dwu dni dłużej. Pójdzie do Ziemi Świętej sam, osobno, swoją drogą... Nie będzie czekał, aż go zaczną wytykać palcami za Tankredową historię. Kto wie? Może wytykano go już dawniej jako oszukiwanego, zdradzanego męża? Kto wie? O tych rzeczach zawsze przecież dowiadują się najpóźniej poszkodowani... Zsiniał z gniewu na samą myśl, że mogło tak być. O, stanowczo nie zostanie. Zabierze swoich ludzi. Na złość Godfrydowi. I Leone weźmie ze sobą i, kto wie, może nawet ożeni się z nią. Na złość Godfrydowi. I Pankracemu da pas, zaraz, jutro. Na złość Godfrydowi. I odejdzie... odejdzie...

Rozdział piąty PRZYJECHAŁA

Pałający gniewem[^] na Baldwina Tankred wysłał posłańca ze skargą do Ademara, sam z resztą wojska prosto jak sierpem rzucił ruszając pod Adanę i Mamistrę. Wściekły i rozjuszony zdobył pierwsze miasto sam nie wiedząc kiedy. Zdobył wziął pokazną w koniach, orężu i różnym dobytku. Poza tym spotkał się ze stojącą w zatoce flotą Guynemera z Boulogne, króla piratów.

Rycerz morski był jak zwykle zadowolony z siebie. Z nadejścia Latyńców ucieszył się szczerze.

- Obawiałem się, żeście wszyscy wyschli na pustyni -mówił— i my jedni dopłyniemy do Jerozolimy ratować Grota Święty... Czułem się już dobrym łotrem, któremu Miłosierny Pan nasz obiecał raj... Jak Wasza Miłość widzisz, mani o dwie galery więcej... Kocą mi się te pocziwe statki dwa razy do roku... W wiosenne i jesienne ciągi genueńskie... Bizantyjczyki polowały na nas gracko na jeziorze po waszym odejściu, ale umknęliśmy szczęśliwie na morze... Trzymamy się ciągle na równi z wami, gotowi do pomocy jako dobrzy krzyżowcy. Wielu razy trzeba, wezwijcie nas, ogień na wzgórzach pałac tak, aby był z morza widoczny... Dojrzym na pewno... A jak się miewa owa sułtanka, którą Wasza Miłość zabrałeś? — zakończył niespodziewanie.

- Odesłałem do greckiego obozu jako zakładniczkę — odparł z godnością Tankred czerwieniąc się jak zwykle, gdy była mowa o Dzuriszy.

— ...O... żal... Okazała się niezdatna?...

- Nie wiem, o czym mówicie, rycerzu Guynemerze. Sułtanka odesłałem Grekom, nie widząc jej więcej ni razu...

— Czyż być może?!... No... no... Kto by się spodziewał... Ten stary łotr kpił znowu wyraźnie! Tankreda świerzbiała

dłoń. Miał już dość tego. Lecz Guynemer przybrał poprzedni, obojętnie spokojny wyraz i ciągnął:

— Moje galery mają szczęście, bo ninie również przyjecha-

ją z nami szlachetna niewiasta... O, nie jako branka... Jako gość... Żona jednego z waszych baronów, de Hainaux zdaje

mi się-

— Idą z Montferrandów jest tu z wami? — wykrzyknął ze zdumieniem Tankred. Serdeczna udręka rycerza de Hainaux, jego ciągłe oczekiwanie żony wiadome było każdemu. Podśmiewano się nieraz z cicha z tęskniącego, wiernego małżonka. A oto przyjechała... — Gdzie jest?!

— Na mojej galerze. Oddałem damie, co miałem najparad-niejszego. Podróżuje ze wszelkimi honorami.

Strzegę ją jak Sanctissimum, by żaden z moich łotrów nie splugawił jej czystości bodaj spojrzeniem...

— Rad bym się jej pokłonić, dać wiadomość o mężu, który już rok na nią czeka...

- Jechała pono jeszcze zimą, ale ją rabusie przez Żydów podmówione zatrzymały... Ledwo się wykupiła... Na genueńskiej galerze płynęła, którą my zadzierżyli... Przesiadła się do nas...

- Po co? — zapytał naiwnie Tankred.

- Dla wygody zapewne. Zachcianka pięknej pani. Co prawda galera genueńska dobrze przez nas zahaczona piła już wodę jak dziurawe sito... Genueńczyki poszły na dno rybom na podkurek, ale dla niewiast są szczególnie względy... Ją jedną wzięliśmy, choć prawdę rzekłszy: starawa... Mówi do nas: Przez miłość Pana naszego nie zatrzymujcie mnie w drodze do mojego męża, którego poszedł Grobu Świętego bronić. Ślubowałam za nim iść. — Toście, pani, dobrze trafili — powiadam — bo my także jesteśmy prawe krzyżowcy. Swoją trafił do swego. — Zacukało się biedactwo, bo u nas, jak Waszej Mości wiadomo, szata nie zdoła człowieka i trzeba dobrze znać moich brudasów, by ich ocenić. — Nie bójcie się — prawię — te łotry tylko na pierwsze wejrzenie takie szpetne... Nie zbóje my już, lecz sprawiedliwi krzyżowcy. Zeszłego tygodnia pomagaliśmy szlachetnym rycerzom przy obleganiu Nicei i ninie za nimi płyniemy... Dopieroż ona ręce wyciągnęła: Zmiłujcie się, odwieźcie mnie do nich, a jak najprędzej... Przywiozłem i dwie niedziele już czekam, czy kto od was nie nadejdzie... Pięknie się składa, że to księżę przybyłeś... Powierzę tę cnotę z całym zaufaniem w ręce Waszej Miłości, poznawszy jego skromną powściągliwość w stosunku do niewiast... Łódź i wiosłarze są do rozporządzenia...

Małe oczka pirata błyskały wesoło, lecz Tankred nie zauważył przycinka, zbyt pochłonięty ciekawością zobaczenia

podróżniczki. Płynąc łodzią ku galerze przypomniał sobie wszystko, co o tym małżeństwie opowiadał. Idą z Montfer-randów i de Hainaux miłowali się pono od lat, miłowali się z dala, żyjąc każde w innym związku. Ona była piękna, niedostępna i uczona. Owdowiała rychło. De Hainaux wówczas wędrował pieszo do Rzymu błagać Ojca świętego o rozwiązanie jego ślubu z chudą i złą Solangą de St. Didier. Ojciec święty odmówił. De Hainaux ze strapienia przepadł na długie lata. Nikt nie wiedział, gdzie by był. Solangą schła ze zmartwienia i choć skąpa, obiecywała sute nagrody za uzyskane wiadomości, o mężu. Nareszcie także umarła. De Hai-naux odnalazł się. Jedni mówili, że był przez ten czas pustelnikiem, inni — że odprawiał pąć dla uproszenia śmierci żony. Pobrali się z Idą, skoro mu przeszła żałoba. Zaledwie rok ze sobą żyli, gdy w Clermont padło wezwanie papieża...

Takie były w krótkości dzieje tych małżonków, i Tankred ze zrozumiałą ciekawością spojrzął na wychylającą się ku niemu przez burtę kobietę. Wysoka i szczupła zdawała się chcieć sfrunąć ku łodzi, domyślając się widno, że stojący w niej rycerz wiezie wiadomość o mężu, biorąc go może z oddalenia za męża samego. Gdy wskoczył na pokład, zeszywnia-ła nieco i cofnęła się.

...Ależ to stara baba! — pomyślał Tankred rozczarowany.

Lico zmęczone, ujęte w białą, ciasno pod brodą opiętą pod-włkę. Strój skromny, prawie zakorny. Wielkie oczy o ciężkich, sinawych powiekach. Wszedł za nią do kajuty.

Najparadniejsze pomieszczenie, o którym mówił z dumą Guynemer, było ciemną, niską komórką, szpetnie odrapaną. Wąski tapczanik, stół i stołek. Na kołku, wbitym w ścianę, kobiecy przyodziewek. Na stole modlitewnik i podróżna go-towalnia.

— Raczcie usiąść, panie, i mówcie. Jestem spragniona wiadomości. Znacnie grabiego Gastona de Hainaux, mego małżonka? Czy w dobrym zdrowiu przebywa?

Była na pozór spokojna, ale ręce jej drżały. Usiadła na brzegu tapczana ukazując mu stołek. Przez otwarte drzwi kajuty wpadło jaskrawe południowe światło.

— Dobrego rycerza de Hainaux znam — odparł Tankred — jest zdrow. Wysechł wielce i osiwił z niepokoju o was, pani. Ciężkim waszego przyjazdu wygląda, trapiąc się ponad pojęcie człowiecze.

Uśmiechnęła się z wstydlwym zakłopotaniem, kłoniąc odwróconą głowę, i Tankred, któremu przed chwilą wydawała

się starą, zrozumiał nagle wszystkie szaleństwa popełnione dla tej kobiety.

- Nie mogłam przybyć wcześniej — rzekła po chwili. Głos miała niski, przyjemny, choć nieco gardłowy.

— Ostawiłam synka maleńkiego mojej matce i wyjechałam, jak było umówione. Prawie rok temu. Tą samą galerą co ja płynęło trzydziestu rycerzy, którzy także krzyż wzięwszy, chcieli się z wami połączyć. Myślałam, że z nimi płynąc najłatwiej dojadę, a stało się inaczej...

— Prawił mi coś Guynemer, że zbójce was napadli, podmó-wieni przez Żydów, ale wiary dać nie chciałem...

— To jest prawda.

- Żydowiny porywają się na dobre rycerstwo! Niesłychana to rzecz! Chyba się świat odmienił!?

— Żydy są wszystkie okrutnie na krzyżowców zawzięte i szkodzą, gdzie tylko mogą. Dlaczego, nie wiem. Widno z nienawiści do Chrystusa Pana. Za wielkie pieniądze najmują galery i zbójów, by tych, co za wami chcą jechać, nie puszczali... Nas pół roku trzymali w niewoli, okupu takiego żądając, że nikt go nie mógł dać... Ja kasztel swój kazałam sprzedać i wykupiłam się...

— Sprzedaliście Montferrand?! — zdziwił się Tankred.

— Cóż było robić? Syna nie skrzywdziłam, bo otrzyma ojcowską dziedzinę. Gdy się prawdziwie chce dojść, trzeba mosty palić za sobą... a gdy się rękę przyłoży do pługa, nie Iza oglądać się nazad... — uśmiechnęła się znów po swojemu, jakby przeprasząc za zbyt uczone słowa.

— Rodowy kasztel!

— Myślałam o moim mężu, którego czeka, nie o kasztelu — rzekła spokojnie.

—• Montferrand sprzedane na okup zbójom! — powtarzał Tankred ze zgrozą. — Niebawem rzeczy. To plugastwo się ośmiela! Rozprawimy się z nimi, jeno wrócim!

— Jeno wrócim... — powtórzyła jak echo. — Sądzicie, że rychło dojdziem do Jeruzalem i wrócim, rycerzu?

Pytanie go zaskoczyło. Wyznał, że żaden z nich nie wie, jak daleka jeszcze droga do Jeruzalem. Musi być blisko, gdyż rok już idą...

- Genuńczyki, z którymi płynęłam, nim nas piraty napadły, powiadali, że jeszcze strasznie daleko. Że to, coście dotychczas uszli, to kęs w porównaniu... Powiadali... — wybaczcie, że powtarzam — „jeśli zdobędą Antiochię, uwierzę, jako

mogą dojść do Jerozolimy. Ale Antiochii nikt nie zdobędzie, bo to nie w ludzkiej możliwości"...

— Ale w Boskiej — najeżył się Tankred.

— Ja też tak odpowiadałam, lecz oni swoje... Gród ma być warowny, jako żaden na świecie...

— O Nicei to samo gadali, a przecie się zdała. Nie nam wprawdzie, tylko Grekom przeklętym, jednak się zdała... Ge-nueńczyki prawią, same nie wiedzą co, bo się nigdy dalej jak brzeg morza nie ruszają... Na wzór kaczkę czy gęsi szeszają, ino odgonić od wody... Morzem tylko jeżdżą, lądu nie znają... Wiera, że galerami, twierdzą nie wezmą, ale my ją weźmiem.

Uśmiechnęła się do jego młodzieńczej pewności, nawracając wnet do tego, co ją obchodziło najbardziej.

- W jaki sposób mogę się stąd dostać do mojego męża?

- Ze mną. Za dwie niedziele, jak Bóg da, będę z powrotem w obozie.

— Za dwie niedziele?! — wykrzyknęła żałośnie. — Szybciej nie można? Jak to daleko?

— Tuż za tymi górami — ukazał ręką błękitniejące szczyty. Wpiła się w nie chciwym wzrokiem.

— Mógłbym dać kilku ludzi — ciągnął Tankred — którzy by was, szlachetna pani, powiedli, ale to niebezpiecznie. Kupy Saracenów włączają się po nadbrzeżu, dufnych w to, że nasze wojska po tamtej stronie gór... Trzy dni temu podjazd nasz ogarnęli i wytracili do szczętu, tyło jeden pacholek zbiegł, by mi wiadomość dać...

Poczerwieniał ciemnym rumieńcem gniewu i żalu na wspomnienie Marka di Santa Leone, jego towarzyszy i okoliczności, w jakich zginęli. Nie mogąc się pohamować, opowiedział Idzie całe zajście głosem dygoczącym z oburzenia.

Słuchała z nieudanyim przerażeniem.

— Boże, Boże — szepnęła — więc takie rzeczy zdarzają się między wami!? Ten Baldwin to chyba potwór, wyrodek?... Mniejszą hańbą nastawiania żydowskie... Czyż nie jesteście wszyscy braćmi? Ile razy o was myślałam, to jak o świętych...

- Równie szpetnie jak Baldwin nikt jeszcze dotąd nie postąpił — stwierdził Tankred — ale gdzie my święci! Cięgiem kłótnie, swary i ludzkie zwyczajne grzechy.

Zasmuciła się.

— Myślałam, że idziecie w jednym zachwyceniu, tylko o Grobie Świętym pamiętając... W uniesieniu... W radosnej zgodzie... Toż to nie zwykła wyprawa...

- Wojna jest zawdy wojną... Nie uświęca ludzi...

— Ależ to święta wojna! Nie może być podobna do żadnej innej...

- Nie jest podobna — zaręczył Tankred. — Takich przy-,gód, takich dziwów jak te, cośmy doznali i widzieli, nikt jeszcze nie doznał i nie widział... De Hainaux wam, pani, opowie...

— Mniejsza o przygody. Jaki duch panuje między wami?...

- Kanonicy zapisują wszystko, więc i to — odparł z zakłopotaniem — od nich snadno można się dowiedzieć... Jeżeli nie stracili zapisków... Niedawno właśnie frasowałem się, czy ich aby nie rzucili idąc przez pustynię, gdy wszyscy byliśmy półżywi... Szkoda by była mieoszoowana...

- Zapewne, ale ja teraz pytam jeno, jaki duch panuje w wojsku? Czy ten sam co przy odejściu?

Nie rozumiał. Dziwaczna kobieta. Mówi zagadkami.

- Pół roku siedziałam zamknięta w ciasnej izbie — podjęła znów ona — nie wiedząc, gdzie jestem, w czyich rękach i czy się stamtąd wydostanę... Wiedziałałam, iż nikt z rodziny mi nie pomoże, bo wszyscy są przekonani, że jestem już z mężem w Bizancjum... Dni się wlokły... Och, co za męka! Myślałam nieraz, że nie wytrzymam, że oszaleję... Straszna to rzecz niewola... Jedyнным moim zajęciem i pociechą było myśleć o was, krzyżowcach... Widziałam was wędrujących, zapatrzonych w święty cel... W uszach miałam wasz okrzyk: Bóg tak chce! — cudowny okrzyk... Modliłam się, by Bóg pozwolił mi nie tylko połączyć się z mężem, ale też należeć do tej świętej, jedynej gromady...

Umilkła zmieszana własnym zapałem.

- Wybaczcie, rycerzu, że tak dużo mówię. Nie jestem gadatliwa, tylko że od roku pierwszy raz rozmawiam z kim innym, niż z kupcem lub zbójem...

- Rad .bym was słuchał jak najdłużej — zapewnił szczerze Tankred — jeno mi wstydno, że tak dobre, a niesłuszne macie o nas pojęcie... Nie jesteśmy świętą gromadą, oj, nie! Każdy człowiek jak to człowiek... wiadomo...

- Wiadomo — powtórzyła z westchnieniem — a jednak, rycerzu, być bodaj człowiekiem to też rzecz trudna i piękna...

Znowu nie rozumiał. Co chciała powiedzieć? Każdy człowiek jest człowiekiem, jak koń jest koniem, a pies — psem. Trudno i niemożliwie byłoby przestać nim być. Po raz drugi stwierdził w duchu, że to dziwna kobieta. We wszystkim dziwna i do innych niepodobna. Obejście ma proste, niewymuszone, a zarazem doskonale dostojne. Patrzy mówiącemu pro-

sto w oczy, bez cienia zalotności ni onieśmienia. Jak mężczyzna. Na cześć rycerską! Można by z nią mówić jak z równym, lecz o tyle milej niż z towarzyszem. Poczł przyptływ nagłego zaufania. Wydało mu się, że potrafiłyby zwierzyć się przed nią z najtajniejszych myśli.

Ocknął się i zmieszał, mówiła bowiem coś, czego zamyślonym będąc nie dosłyszał.

— ...o mojej podróży — wyjaśniła z wyrozumiałym uśmiechem. — Tak bym pragnęła jechać zaraz... Czy zechcecie mi dać kilku ludzi, rycerzu Tankredzie?

— Boję się dla- was złej przygody — odparł wahające. -Więcej jak dwunastu jezdnych dać bym nie mógł, więc w razie napaści?...

— Napaści nie będzie. Zresztą czy w wielkiej, czy małej sile... zła przygoda może spotkać zawdy. Ja się nie boję.

- Nie powinienem was tak puszczać — szepnął.

— Wyglądacie na dobrego człowieka, nie zatrzymujcie mnie! — prosiła.

...Puścić czy nie? Czy może samemu prędzej wracać? Bał się, nuż ją Saraceny ogarną, przy tym żal mu było rozstawać się tak szybko. Można by w drodze mówić do woli o tych niezrozumiałych, ale ostatecznie może zrozumiałych rzeczach... Drugi raz taka sposobność się nie powtórzy... Koni już co niecce wziął... Wystarczy... Tak będzie najlepiej...

Otwierał usta, by rzec głośno, iż razem pojedą, gdy oblało go warem podejrzenie, że troska o bezpieczeństwo Idy mniejszą w nim odgrywa rolę niż chęć wspólnego odbywania drogi. Aż się przeraził tej myśli. O, na Boga! Cudza żona! Niech jedzie jak najprędzej! Pomyśleć, że o mało co nie zmienił dla niej całego planu, nie poniechał zamiaru zdobycia Mamistry i upewnienia się w posiadaniu wybrzeża...

Powstał, sztywniejszym nieco, urzędowym głosem mówiąc:

— Jedźcie, pani, zatem, skoro koniecznie chcecie. Ja ostrzegałem. Za dwie niedziele będę sam w obozie. Bezpieczniej byłoby poczekać...

— Nie stoję o bezpieczeństwo. Za długo już czekaliśmy, mój mąż i ja...

— Jak chcecie. Dam czterech rycerzy, tyleż giermków i kilku pachołków. Konia dla was wybiorę dobrego. Możecie ruszać choćby jutro rano.

— Bóg zapłać, rycerzu.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością tak szczerą, że Tankred aż zmrużył oczy. Stanowczo lepiej, że jedzie.

Rozdział szósfy WIDZIANY WZROKIEM KRONIKARZA

Obawy Tankreda, że obaj kanonicy porzucą swoje zapiski, były płonrfe. Zarówno Rajmund d'Aguillers, jak Foucher de Chartres nie byliby się rozstali ze swą pracą, podobnie jak rycerz nie rozstaje się z mieczem. Księgi zapisek były coraz grubsze, coraz więcej nieoczekiwanych zdarzeń zawierające. I teraz, korzystając, że wojska obozowały wokół Heraklei, Rajmund d'Aguillers siedział w namiocie i skrzypiał niestrudzenie piórem:

...Do wiadomości potomnych podać należy — pisał — ostatnią potyczkę z poganą stoczoną tydzień temu w pobliżu grodu Ico-nium. Szlachetne rycerstwo wiele jeszcze było głodem i pragnieniem osłabione, pogan zaś ćma, sytych i dumnych, instar upadłych aniołów. Razem nacierały Saraceny, Arabcy, Turki, Agareny, nawet pono Publikany i Azymyty, które są schizmatyki, w szkaradzie swej wiary od pogan gorsze. Bóg jeden zna ich liczbę i właściwe miano. Otoczyli nas zewsząd, walcząc z nieporównanym męstwem, któreśmy już nieraz poznali. Trudno dobrać słowa, oddające należycie odwagę i bojową zdolność tych poganow. Z dawna spodziewali się oni, że porażą i pobiją plemię Franków, jak pobili Ormiańczyków, Syryjczyków i Greków. Ale Bóg nas nie opuścił i nie oni nas, ale my ciągle ich bijem. *Sed, si Deo placet, nun-quam valebunt tantum, quantum nostri.* Podobno chełpią się, że pochodzą z rodu Franków, i że nikt prócz onych i nas nie ma prawa używać miana dobrego rycerza. *Yeritatem dico, m, quam ne-mo audebit prohibere,* — Prawdę rzekę, której nikt kłamu nie zada: Gdyby ci przekłębny przyjęli wiarę Chrystusowa jedyną prawdziwą i zbawienną; gdyby uwierzyli, że Bóg jest jeden w Trójcy Przenajświętszej, że Syn Boży narodził się z Dziewicy, umarł za nas i zmartwychwstał, i wstąpił do Niebios, i zesłał Ducha Poczieszyciela — i króluję nad Niebem i ziemią, a panowanie Jego nie ma końca; gdyby, powtarzam, uwierzyli w to wszystko — można mniemać, że w całym świecie nie znalazłoby się równie wspaniałych i godnych podziwu rycerzy. Jako poganą jednak zatwardziało w swym uporze, zostali i tym razem pobici przez nas mimo sukursu szatana. Ta bitwa miała miejsce dnia 1 września. *Hoc proelium factum est primo die septembris.* Jeszcze słońce się nie zniżyło ku odwieczrowi, a już niegodziwy poganin grzebał piętą ziemię, wściekłym zębem gryząc trawę. Zginęło ich bardzo

wielu. Każdy z tych poganów, gdy kona, pieni się z lęku czując, że przechodzi na łup śmierci wiecznej w posiadanie szatana i aniołów jego. Przeciwnie nasi. Odziani w białą szatę męczenników, płyną ku niebu wołając: Hosanna! Cud ten nawet dla ziemskich oczu jest widoczny, jako mówił niedawno pewien wiarogodny rycerz kapelanowi księcia normandzkiego. Ów rycerz sam widział dusze zbawione, jak się wznosiły ku niebu, z góry z pogardą na poganów spluwając. Nie dziw, że zazdroszczą im, którzy zostali przy życiu, i płoną żądzą nowych wielkich czynów.

Sądziłiśmy spotkać znów pogan pod Heraklei, lecz na wieść

naszym zbliżeniu niechali grodu i pierzchli jak sarniuk uwolniony z sideł. Odpoczywamy zatem, chwalać Pana i nabierając sił do dalszych trudów. Okolica jest przyjemna, aż grzech, że w rękach pogańskich, obfita w wodę, jęczmień, fasolę, oliwki, wino, cebulę, figi i morwy. Odpocząwszy pójdziemy pod Kukusus, gdzie cierpiał na wygnaniu święty Jan Chryzostom. Paganie przezwali gród ten Koxon, w zawziętej swej

niegodziwości nie mogąc ścierpieć wspomnienia świętego. Od Kukusus mamy iść pod Antiochię, błogosławiony gród świętego Piotra, księcia Apostołów, gdzie wyznawcy Ewangelii po raz pierwszy nazwali się chrześcijanami

gdzie znajduje się grób świętego Babilasa, co nakazał milczenie demonowi pogańskiemu, zwanemu Apollo. Tuszę, że mury tego grodu, choć tęgie, nie zadzierzą nas dłużej. Święty Piotr, którego anioł wyzwolił z okowów, zechce podać w nasze więzy szpetnych poganów, *inimici Dei* bieżących Jego imieniu. A tak pójdziemy już stamtąd wprost do Jeruzalem z wielką chwałą i uciechą...

Myśl o szczęsnym Jeruzalem już nie opuszcza żadnego chrześcijanina. Toteż szlachetne nasze wojska świętością swoją mogą posłużyć na wzór. Na widok armii krzyżowej Salomon zawołałby snadnie: „O, jakżeś piękna, ulubienico moja!” Miłość Boża sprawia, że różne rody żyją wspólnie w świętej zgodzie jak prawe rodzeństwo. Znów rzekę prawdę niekłamana: *Yeritatem dicam quam nemo audebit prohibere*. Jeżeli poganie posiadali jakieś usprawiedliwienie w oczach Pana z tego, że trwają w pogaństwie — to ninie utracili je ze szczętem. Mając przed oczami taki wzór cnót zgody i poczciwości, jakim są wojska krzyżowe — mogli skorzystać z przykładu i nawrócić się a nie uczynili tego. W dniu Sądu Ostatecznego...

Urwał, bo do namiotu wszedł Rajmund St. Gilles. Twarz miał czerwoną, żyły nabiegłe, jak zwykle, gdy go coś zgnie-wało.

- Nie było tu de Foix? — zapytał.

— Nie widziałem szlachetnego rycerza de Foix — odparł z pośpiechem kanonik.

- Zali wiecie o tym, wielebny, że Baldwin lotaryński odszedł cztery dni temu, nic nikomu nie mówiąc?

— Nie wiedziałem.

— Żaden z was nic nie wie! Nigdy nic nie wie! Ja ostatni

dowiaduję się o tym, co zajdzie w innych obozach... Baldwin uszedł...

— Dyc już przedtem chodził i wrócił, zdobywszy Tars... — zauważył nieśmiało kanonik.

— To zgoła co innego. Chodził po zdobycz. Jego rzecz. Ale tu pono odszedł ze wszystkim, ze wszystkim, rzucił świętą krzyżową wyprawę!

- Dlaboga!?

— Biskupowi się nic nie opowiedział... Godfrydowi tylko rzekł, że nigdy nie wróci, i poszedł... Po prawdzie trzeba by za nim pogoń ślać... Cóż to jest?! Zali nie ślubował?!... Rycerz... Tfu!... Mieli się potykać z Tankredem, gdy ten ino wróci, a ot, uszedł... Nie ze strachu chyba?

—• Bojaźń jest nieznaną rycerzom krzyżowym — westchnął kanonik.

- Szkoda tylko, że bojaźń Boża tak szwankuje — sarknął Rajmund — życie się przykrzy pośród tej hołoty! Nic, tylko waśnie i bójki... Obmierzła szarańcza! Piszecie kronikę, kanoniku?

— Tak jest, Wasza Dostojność. W uczciwości sumienia staram się nic nie opuścić, nic nie przeinaczyć...

- To dobrze, to dobrze, piszcie zatem... — rzucił Rajmund z roztargnieniem, wychodząc. "

Kanonik odetchnął z ulgą i wrócił do roboty. Pracowita jego dłoń nie zawahała się. Był gołębiego serca", słabe mający czucie z rzeczywistością. Z przekonaniem ciągnął:

...W dzień Sądu Ostatecznego Bóg im to wypomni i odrąci od siebie wszetecznych. Starcy przeklinać będą swój wiek, a matki płodność swojego żywota... Potępieni! Potępieni! *Dammati sunt et in infernum praecipitati!* Taka jest kara dla złych. Jakaż będzie nagroda dla dobrych!? Chwalmy i błogosławmy Pana, który żyje i króluje ria wieki wieków. Amen.

Rozdział siódmy

W KTÓRYM W DZIWAČNY SPOSÓB SPEŁNIAJĄ SIĘ DAWNE MARZENIA

Choć Baldwin nie słyszał nigdy o Rubikonie i Cezarze, wahał się przyszedłszy na brzeg Eufratu.

Obozował nad tą wielką, lecz na poły wyschlą rzeką niepewny, co począć. Wracać, iść? — Dotrzymać ślubowania, przeprosić się z Godfrydem, wrócić do obozu czy ruszać dalej na Wschód? Wahanie to było zrozumiałe, zważywszy, że w obozie jego bawili od kilku dni wysłańcy abby Thorosa, chrześcijańskiego pana Edes-sy. Posłowie ci błagali, aby szedł na wspomnienie ich grodu i pozostał tam na stałe.

Miasto Edessa wraz z otaczającą je częścią Mezopotamii nie podlegało dotąd muzułmanom. Broniło się walecznie i wytrwale przed zalewem. Przed czternastu laty Arabowie i Turcy odebrali Grekom Jerozolimę, Antiochię, całą Azję Mniejszą aż po Nikomedię, lecz leżąca na uboczu Edessa utrzymała się, broniąc rozpaczliwie swej wiary i niepodległości. Przychodziło to jednak coraz trudniej, położenie było coraz bardziej beznadziejne i w ostatnim roku Edessa tylko dlatego nie uległa, że muzułmanie zajęli się najściem Latyńców.

Przybyli posłowie byli Syryjczykami. Nosili obfite, bogate płaszcze, na głowie zawoje podobne do mahometańskich. Wielkie krzyże srebrne lub złote kotysały się na piersi. Mieli pielęgnowane ręce, staranne ułożenie. Trochę przypominali Żydów, trochę Greków. Właściwą ich mową było narzecze

syryjskie, zwane pechito, lecz wszyscy biegle mówili po grecku. Dla Baldwina oba języki były równie obce, na szczęście jednak miał ze sobą znanego już przewodnika Ormianina, towarzyszącego krzyżowcom od Nicei, mówiącego po łacinie. Ten powtarzał słowa posłów powoli, wyraźnie, z namysłem. Baldwin miał czas zastanowić się nad każdym powiedzeniem, przeżuć je i rozważyć.
— Żeście się dotąd utrzymali, no, no... — kręcił głową z uznaniem.

— Dłużej już się nie utrzymamy — zapewniali. — Jeżeli Wasza Dostojność nie raczysz podjąć się obrony grodu, nie zostaje nam nic innego, jak zdać się z dobrowoli poganom, unikając w ten sposób rzezi i zniszczenia miasta. Bo innej rady nie ma. Nasz abba — oby Bóg błogosławił jego dni! — jest w latach bardzo podeszły a pogany coraz to mocniejsze... Najstarsze, najświętsze kościoły dostaną się w ręce plugawców... Krzyż na bazylice, którą król Abdal chwalebnej pamięci postawił, wezwany odręcznym pismem Pana naszego Jezusa Chrystusa, zastąpiony będzie pogańskim miesiącem godnym jedynie, żeby psi do niego wyli...

— Pan nasz Jezus Chrystus pisał list? — przerwał Baldwin z ciekawością.

— Tak jest, jedyny, jaki swoją Boską dłonią raczył skreślić. Zalecał w nim Abdalowi, by przyjął chrzest Janowy i tytułował się odtąd nie królem, lecz abba, ojcem, na znak, że będzie ojcem dla poddanych... To zachowuję dotychczas...

- I list macie?

— Nie masz go. Choć był w złotej szkatułce strzeżony, uleciał jak gołąb w ten sam dzień, w którym Zbawiciel nasz do nieba wstąpił. To lepiej. Dostałby się teraz w ręce pogan ku pohańbieniu... Biada Edessie, miastu, gdzie święty Juda Tadeusz Apostoł wiarę prawdziwą głosił, gdzie tryska źródło Abrahamowe, zapewniając długi wiek każdemu, gdzie kościołów tyle, wiele gwiazd na niebie, a szkół tyle, wiele kościołów... gdzie święty Efreem pisał świętobliwe księgi, za ozdobę chrześcijaństwa uważane.

Baldwin ziewnął mimo woli. Nie słyszał nigdy o świętym Efreemie i jego dziełach. Nie rozumiał też potrzeby tylu szkół. Posłowie pojęli jego rozartganie, przerzucając się na opis bogactwa grodu, królewskiego skarbcza, zapasów żywności i broni.

— Błogosławiona to kraina — zapewniali. — Wszakże ponad wszelką wątpliwość stwierdzono, że tu właśnie, nie gdzie indziej, znajdował się Raj, z którego Bóg wygnał Adama i Ewę... Uczeni odnaleźli, gdzie była brama, w której stał cherub z płomieniem karzącym... Całą tę część Mezopotamii Sa-raceny nazywają El Dzezyre, czyli wyspą, bo jest zaprawdę wyspą urodzaju... W zimie deszczów pada siła... Obrzeżają ją dwie rzeki Tygrys i Eufrat... Wszędy rośnie wino, migdały, sandały i aloes...

— Jutro dam królowi waszemu odpowiedź — rzekł Baldwin.

Poszedł do swego namiotu, w nadziei, że noc, mądra doradczyni, pouczy go, co czynić. Ale noc milczała.

Zresztą sprawa była jasna. Jeżeli podejmie się obrony grodu, musi przyrzeczenia dotrzymać. Tymczasem tamci odejdą. Zerwie z nimi raz na zawsze. Wprawdzie bezpośrednio po pamiętnej rozmowie z Godfrydem tak chciał zrobić. Zerwać i nigdy, nigdy nie wrócić. Ale od tego czasu minęło dziesięć dni. Przyszło zastanowienie. Nie iść wcale do Ziemi Świętej — to złamanie ślubowania. A iść samopas, jak zamierzał, to dobre chyba w przystępie rozżalenia, boć niewykonalne. Ma raptem niecałe półtora tysiąca ludzi. Reszta nie chciała iść za nim, została z Godfrydem. Półtora tysiąca ludzi... Niewiele z nimi zwojuje...

Więc po prostu wracać?... Wstyd... Pójść do Edessy?... Też źle.

Przemęczył się bezsennie całą noc. Nad ranem wsunęła się do jego postania Leona. Była zniekształcona ciążą, nieskora do pieszczoł, chciała jednak wiedzieć o wszystkim i zachować wpływ na jego postanowienie.

— Muszą wam chyba, panie, dać wiele, wiele złota za tę obronę? — pytała.

— Jużci, darmo bym nie robił...

— Po prawdzie całe miasto do was powinno należeć... Sami mówią, że zdadzą się Saracenom, jeżeli pomocy nie dacie... Niechże je lepiej oddadzą od razu wam...

— Tak sądzisz?...

— Każdy by to samo powiedział — zaręczyła z ogniem. — Oni się utrzymać nie mogą. Wy zdołacie. Niechże wam oddadzą miasto.

— Niełacno to uczynią, chyba że będą mieli nóż na grdyce — odparł. Ale słowa dziewczyny zapadły mu w pamięć. Prawdę mówiła. Godfryd (tfu! znów Godfryd!) nie chciał być lennikiem cesarza, a brat jego miałby być płatnym obrońcą syryjskiego panka?... Jeszcze czego!

— Nie mógłbym i nie będę bronić miasta, które by nie było moją własnością — oznajmił posłom, kiedy przyszli po odpowiedź.

— Czy to ostatnie słowa Waszej Dostojności?

— Ostatnie — zapewnił twardo i odprawił ich. Niech się wracają, skąd przyszli. Latyńscy dobrzy rycerze nie zajmują

się w służbę niczyją. Nie ma na świecie skarbów zdolnych ich męstwo opłacić.

Odjechali, lecz Baldwin nie związał obozu., Nad rzeką, gdzie było dość wody, mógł się zatrzymać dłużej i należycie rozważyć, co czynić. Nocami słyszał gniewny poryk lwów, krążących wokół ogni obozowych, i budziła się w nim zapomniana, zdrowa pasja łowiecka. Miał ochotę zapolować na drapieżniki, napełniające Saracenów zabobonnym strachem. Znów w nadbrzeźnych trzcinach pełno było ptactwa, na które jakże miło byłoby puścić sokoła! Oj, żeby tu mieć swoje sokoły! Poginęły niebożęta w drodze... Kiedy dochowa się nowych?... Powiadają Ormianie, że tutejsze emiry polują z układanym gepardem, wielkim dzikim kotem, prowadzonym na żelaznej smyczy, z oczami zawiązanymi. Ciekawe to muszą być łowy! Gdytaz ich kiedy skosztować!

O łowach myśląc zwlekał z odejściem, jak gdyby nieświadomie na coś czekał, jak gdyby spodziewał się, że tu, nad Eufratem zastanie go punkt zwrotny jego życia. Jakoż tak się stało. W pięć dni po odjeździe posłowie wrócili. Obawiając się, że go już nie zastaną, śpieszyli tak, iż wielbłądy doszły ledwo żywe. Poselstwo było liczniejsze, bogatsze niż za pierwszym razem. Przywieźli dary przypominające najlepsze czasy hojności basileusowej. Starszy z przybyłych rzekł:

—• Powiedzieliście, Wasza Dostojność, że nie możecie bronić grodu, który do was nie należy. Chwalebny pan nasz, abba Thoros — oby Bóg błogosławił jego dni! — kazał nikczemnym swoim sługom powiedzieć, co następuje: Starość moja nie ma syna. Niech książę lotaryński z niezwykniętego plemienia Franków, druzgocącego niewiernych, przyjdzie w dom mój, a ja go uznam za następcę. Będzie przy mnie rządził krajem, a po mojej śmierci zasiądzie na tronie jako prawowity dziedzic.

Tłumacz powtarzał powoli to niesłychane orędzie. Baldwin słuchał oszołomiony. Król Edessy chce go uznać za syna... Zrobić dziedzicem!?!...

—• Przyjmujcie, panie, przyjmujcie — nalegał do ucha Pan-kracy nie rozumiejąc, dlaczego Baldwin się waha. Posłowie wyciągnęli pergamin ze zwisającymi pieczęciami, ozdobnie wypisany i malowany. Na klęczkach podali go Baldwinowi objaśniając, że zawiera on to samo, co ustnie wypowiedzieli, własnoręcznym podpisem abby Thorgsa stwierdzone.

Rycerz rozwinął dokument, udając, że czyta uważnie. Nie-

zrozumiałe litery obcego alfabetu skakały przed oczami. Patrzył w nie długo, wydymając usta, jakby rozważał ich treść. Rad był, że w ten sposób może ukryć zmieszanie. Przecież to było oszałamiające! Dostojnicy edescy, klękający przed nim jako poddani. Dziedziczne królestwo ofiarowane jemu i potomkom jego... Lecz równocześnie duma latyńska burzyła się na myśl o przyjęciu za ojca nieznanego Syryjczyka, choćby był królem dziedzicznym. Syryjczycy, Grecy, Ormianie, wszystko to byli w przekonaniu Latyńców półludzie. Z mniejszą niechęcią Baldwin byłby myślał o skrewnieniu się z Saraceni. To rycerze całą gębą, choć poganie. Cóż zaś schizma-tyki? Kupce, mędrki, medyki, uczeni... Ludzka płoć, niewarta uwagi. ...Ale dziedziczne królestwo...

Spadło jak z nieba. Wszakże, szczerze mówiąc, oprócz pancerza i miecza nie posiadał <nic. Włości Godfryd sprzedał przed odejściem na świętą wyprawę. Księstwo Bouillon, księstwo Lotaryngii, dobre miasta Metz, Toul i Yerdun, wszystko sprzedane. I czyż on, Baldwin, w Clermont nie marzył o tym, że wyrąbie sobie mieczem gdzieś w dalekim świecie władztwo? To samo roilo się po głowie w Bizancjum. Teraz rzeczywistość stawiała przed nim spełnienie życzenia. Władztwo kłoniło się samo do ręki. Trzeba je tylko przyjąć i przed poganami obronić...

...Co by na to powiedział Godfryd?... Na świętego Ostre-miusza! Znów Godfryd! Raz na zawsze postanowił przecież postępować tak, jak jemu się podobało, a nie Godfrydowi.

...Dziedziczne, udzielne władztwo...

...Uznanie schizmatyka za ojca...

...Sprzedana ojcowizna, dziadowanie po powrocie w Europie...

...Złamanie ślubu obrony Grobu Świętego...

...Bezradne położenie człowieka, który wyszedł i nie ma dokąd się udać...

...Bogactwa obiecywane przez posłów...

Ach, dobrze Pankracemu powtarzać do ucha swoje: Przyjmujcie, panie, przyjmujcie! — Sprawa nie jest taka prosta. Baldwin nie lubił wglębiać się zanadto w życie, a przecie czuł, że w tej chwili rozstrzyga się jego los. Wybierać musi, wybierać!

Nagle podniósł głowę z ulgą.

— Pójdę za wami do Edessy — rzekł, oddając im pergamin •— przetrzępię Saracenów, jeśli się nawiną po drodze,

pagadam z waszym królem, zobaczę gród i dopiero postanowię. Wracajcie z tym, że za parę dni nadejdę. Zawiedzeni posłowie spoglądali z żalem. Zaprawdę pycha Franków sięga nieba! Cóż by mogli więcej ofiarować?... Czy przynajmniej szlachetny rycerz przyjdzie na pewno, jak obiecał?

— Nie jestem Grekiem! — krzyknął ze złością. — Mam jedno słowo. Idźcie.

Odeszli, on zaś siedział długo nad brzegiem rzeki, co przecinała jego życie. Natrętym kołowrotem wirowały mu znów w mózgu wszystkie „za” i „przeciw”. Grób Święty... Zdrada brata... Dziedziczne państwo... Uznanie abby Thorosa za ojca...

Powoli jednak dobre strony zamierzenia wybijały się nad złe. Ostatecznie, czym był w latyńskim obozie i kraju? Młodszym bratem, zależnym we wszystkim od Godfryda, nie znaczącym nic sam przez się. Czym będzie w Edessie? Panem.

...A pogan będę bił równie jak tamci i wzmogę się, i jeszcze im pomogę, i do oswobodzenia Grobu Świętego się przyczynię... Przecież nie zrzekam się ślubu, jeno go odkładam... Tak jest.

Ruszył, jak obiecał następnego dnia. Szczęściło mu się po tej stronie Eufratu, gdyż po dwu dniach pochodu napotkał parękroć liczniejszy oddział Saracenów. Nie spodziewali się Franków na tym brzegu i sądząc, że oddział Baldwina jest tylko przednią strażą żelaznych wojsk wspomaganych przez demony, które rozbiły wiernych pod Niceą, Doryleą, Iconium, bronili się słabiej niż zwykle. Natomiast Baldwin spadł na nich z zawziętością jastrzębia polującego na jagnię. Bitwa trwała cały dzień. Gdy pora była na Anioł Pański, niedobitki Saracenów uszły z pola. Ścigano je długo, jadąc na karkach uciekających. Zwycięstwo było piękne i zupełne. Baldwin poweselał i nazajutrz po bitwie jechał na czele swych ludzi z dawną pogodą na twarzy. Po raz pierwszy od kilku tygodni przestało żreć wspomnienie brata, zmarłej żony, Marka di Santa Leone, złego postępuku, zawiedzionego zaufania. Na krew świętych Męczenników! Życie jest piękne! Niebezpieczeństwo bitwy, uniesienie walki, zwycięstwo, zmyły z duszy złe naloty. Mimo woli oglądał się za Kononem lub Wilfydem, by z nimi pogadać po dawnemu. Ale obu rycerzy nie było, natomiast na każde skinienie podbiegał Pankracy de Sourde-val, już rycerz i nieodstępny towarzysz. Był niewątpliwie mężny i sprawny w boju, jak to Baldwin mógł czasu wczorajszej bitwy zauważyć, w codziennym życiu zmyślny i obro-

tny, przewidujący, lecz nadto usłużny. W miejsce poufałej, pełnej godności prostoty Konona lub Wilfyda Baldwin napotykał przesadną gorliwość. Wskutek tego bezwiednie odnosił się nadal do rycerza jak do sługi, o co Pankracy nie zdawał się gniewać wcale. Wystarczyło mu, że w krótkim czasie potrafił się stać Baldwinowi niezbędnym.

Ciągnęli urodzajnym, żyznym krajem, zasobnym w potoki. Bogata roślinność, obfitość zwierzyny usprawiedliwiała mniemanie mieszkańców, że w tej okolicy znajdował się Raj! Trudno było uwierzyć, że niedaleko na zachód rozciągają się bezwodne, śmiertelne pustacie.

Na kilka godzin drogi przed Edessą spotkał ich wspaniały orszak. Wiadomość o świeżym rozbiciu Saracenów doszła już do grodu i najprzedniejsi dostojnicy nieśli dla zwycięzców w darze srebrne wieńce. Za dostojnikami ośmiu niewolników dźwigało w wielkiej złocistej lektyce pana Edessy, abba Tho-rosa, któren, mimo podeszłego wieku, sam pragnął wyjść naprzeciw Latyńców. Był to stary, olbrzymi mężczyzna o wielkim brzuchu. Niegdyś uchodził za wzór rycerza i jemu to Edessą zawdzięczała utrzymanie swej niezawisłości, dziś jednak nie mógłby się zmierzyć z nikim. Nadmierna otyłość czyniła go prawie niedołącznym. W ustach brakło mu przednich zębów i gdy mówił, ślina strzykała przez szczyby. Tylko oczy w rozlanej twarzy pozostały bystre i uczciwe. Zachował też pewną godność w ruchach i głosie. Odziany był wspaniale. Na głowie zatrząsieniem drogich kamieni błyszczała podwójna korona, zakończona czapką aksamitną, purpurową. Ku przyjemnemu zdziwieniu Baldwina mówił niezłe po łacinie.

Nim wyszedł z lektyki na rozestłany na ziemi kobierzec, ustawiono dwa ozdobne stołki, jeden poręczowy, drugi nieco mniejszy. Abba Thoros zasiadł na wyższym ukazując Baldwinowi pozostały. — Niech Bóg Wszechmocny, Przczysta Bogarodzica, Apostoł Tadeusz Juda, święty opiekun tego grodu, i wszyscy chwalebni święci błogosławią wam, rycerzu, za rozgromienie poganów — przemówił abba. — Czekaliśmy we łzach i utrapieniu, jak Hiob posypując popiołem jadło nasze, aż przyszła godzina radości. Pierzchają poganie...

— Bóg tak chce — rzekł Baldwin nie wiedząc, co by mógł powiedzieć innego.

— Bóg tak chce — powtórzył Thoros ze wzruszeniem. — Oby zechciał jeszcze zostawić was tutaj. Odetchnąłby ten kraj. Uradowałaby się starość moja. Nie dochowałem się syna.

Dwóch miałem. Zmarli małymi dziećmi. Jak pień obumarły stoję u wrót grobu...

Spojrzał z upodobaniem na dorodną postać Baldwina. Myśl, że naznaczając po sobie jednego z książąt łatyńskich ocali miasto, opanowała go widocznie całkowicie, bo wnet dodał:

— Oby mi Bóg pozwolił zostawić dziedzica, chrześcijańskie--go rycerza, który wstrzyma pogan i rządzić krajem potrafi!

Pocziwy był ten stary, choć śmieszny ze swoim wielkim brzuchem i śliną cieknącą z ust. W głosie brzmiała szczerść daleka od układności greckiej. Baldwin poczuł ku niemu życzliwość.

Odpowiedział jednak wymijająco i nie chciał wsiąść do lektyki tłumacząc się, że obyczaj łatyński nakazuje rycerzowi jechać tylko wierzchem. Co prawda, w lektyce było ciasno, duszno, olbrzymie ciało starego wypełniało prawie całą przestrzeń. Poza tym Baldwin chciał widzieć, patrzeć, szerokim rzutem oka objąć miasto, którego posiadanie zależało tylko od jego woli. — Od jego woli!...

Patrzył też chciwie, gdy niebawem ukazało się zza wzgórz. Dawne Osroe, siedlisko ludzkie z prawieków. Głęboka starożytność osady wołała o sobie dziwnym kształtem niektórych budowli, niezdatną grubością murów. Gród był równie wielki i warowny jak Nicea, oparty o wysokie wzgórze, którego ostre zbocze pokrywały liczne klasztory. Cele mnichów, krużganki, kaplice drążone były wprost w skale. Z daleka cała góra upstrzona otworami widziała się podobna do plastra miodu pszczelnego lub obrywistego brzegu rzeki ulubionego przez jaskółki-brzegówki. Pod górą leżało miasto złocąc się niezliczoną ilością wież kościelnych, na których miesiąc jeszcze nie zastąpił krzyża. Wspaniałością kopuły górowała nad innymi akademiami wszech nauk, głośna z przetłumaczenia Pisma świętego na język syryjski. Akademię tę założyli chrześcijanie chaldeo-perscy, wygnani z Persji przez Sassanidów. Im to Edessa zawdzięczała wielką ilość szkół, rozkwit nauki i wiedzy.

To wszystko może być moje — powtarzał sobie w duchu Baldwin, gdy przejechał piękny kamienny most na rzece zwanej Skirtos, wjeżdżał w mury grodu, mijał ludne, bogate bazyliki. — To... wszystko może być moje... Bez wysiłku, prawnie, dziedzicznie, bezpiecznie...

Trudno było w to uwierzyć. W dawnych marzeniach upragnione władztwo wyrąbał sobie mieczem. W rzeczywistości spadało samo pod nogi jak owoc dojrzały, tylko się schylić i podnieść. Ta łatwość właśnie budziła w Baldwinie nie-

pokój, niedowierzanie, zwykle w stosunku do każdej rzeczy zbyt lekko przychodzącej.

Toteż, gdy po wspaniałej uczcie, łączącej w sobie ceremoniał bizantyjski z barwną miękkością Wschodu, niewolnicy z pochodniami odprowadzili gościa do przeznaczonego dlań pałacu, Baldwin chodził po komnatach nieswój i spłoszony. Nie mógł uwierzyć w prawdziwość zdarzenia. Chwilami brała go ochota zawołać: — Godfrydzie! Co o tym myślisz!? — Odczuwał nieobecność starych przyjaciół więcej niż kiedykolwiek. Pankracy ani Leona nie mogli ich zastąpić.

Tych dwoje natomiast rozumiało się doskonale. Byli zachwyceni. Wahanie Baldwina drażniło ich. Pankracy ukrywał to uczucie, Leona nie.

— Nad czym się tu namyślać — wrzasała ramionami -Bogu dziękować i przyjąć. Ani książę normandzki, ani grabież Tuluzy nie mają dziesiątej części tych bogactw, które będą wasze, panie.

— Za prędko to wszystko, za nagle — mrucał chwiejnie Baldwin. — Dlaczego nie da mi po prostu i koniec? Uznać za syna... Dlaczego mam być jego synem? Nie chcę wcale być jego synem!

— Tu jest zwyczaj, że tron musi się dziedziczyć. Abba Thoros pragnie, abyście byli prawowitym władcą, któremu nikt zajrzeć nie może — wtrącił objaśniające i bezosobowo Pankracy. Baldwin poruszył się niecierpliwie.

— Kto zdobędzie, także jest prawnym dziedzicem.

— Tak, ale jeśli zdobył na poganach, na poganach — piszczała Leona — jakże byście od chrześcijan odbierali?

Miała słuszność ta dziewczyna, miała słuszność. Trudno przeczyć. Rycerz chrześcijański dobywający mieczem ostatniej placówki, jaka się uchroniła przed poganami? Szpetnie by to było. Nie ma co mówić.

Poszedł spać w wielkie książęce łóżce, w którym nie mógł zasnąć, bo było za miętko, za wonnie. Jedwabne poduszki lśniły i szeleściły w półmroku. Fałdy baldachimu spływały jak strugi wody. Kadzidło, spalone uprzednio przez niewolnika, odurzało. Pałac był rozległy. Komnaty równie piękne jak ta, ciągnęły się szeregiem. I to wszystko mogło być jego!...

Jego!...

Nazajutrz stary abba Thoros zaprowadził opornego gościa do skarbcza. Baldwin silił się na obojętność i rzucił od nie-

chcienia, że oglądał basileusowy skarbiec, znacznie, znacznie większy...

— Zapewne — przyznawał Thoros sapiąc z wysiłku, jaki mu sprawiało chodzenie — Edessa nie Bizancjum, wszakże...

Nie kończył myśli, lecz Baldwin go rozumiał. Rozumiał aż nadto dobrze. Cóż, że skarbiec Aleksego był wielokrotnie większy od tego? Na tamten patrzyło się jak na bajkę. Nawet przypuściwszy, że udałoby się zdobyć Bizancjum (co niemożliwe) i zagarnąć owe skarby, ileż rąk sięgnęłoby do podziału?! Ile wypadłoby na głowę? Zapasy zaś złota i drogich kamieni, poukładane w lochu edeskim porządnie, starannie, jak zapasy zimowe w spiżarni dobrej gospodyni, mogły być wyłączną własnością Baldwina, którymi nie będzie dzielił się z nikim, z nikim... Będzie nimi rozporządzał sam jeden jako prawy właściciel. W tym leżała niemała różnica i Baldwin wdychał ciężko, pocierając czoło.

Ze skarbcza wyszli na górę do komnaty tronowej o ścianach pokrytych mozaiką, do komnaty wyłożonej błękitną porcelaną, stamtąd do składów, spichrzów i stajen. Potem siadłszy jeden na konia, drugi do lektyki, udali się za mury miejskie. Leżał tam dziwaczny ni to obóz, ni to wieś. W miejsce namiotów okrągłe chaty lepione z gliny jak gniazda jaskółcze. Wkoło mrowili się na pół nadzy, brunatni ludzie, o włosach czarnych, splecionych w sztywne, wąskie warkoczyki.

— Moi żołnierze — mówił Thoros — lepszych nie znajdziesz w całej Azji. Dokażecie z nimi, rycerzu, cudów. Nie znają, co to cofnąć się przed nieprzyjacielem. Tylko prowadzić ich nie ma komu...

— Paganie? — pytał podejrzliwie Baldwin patrząc z odrazą na gołców. Zaledwie ujrano abbe, zawarczał bęben i zewsząd zbiegały się gromady dzikusów stając w karnym szeregu. Musiał przyznać, że czynili to sprawnie. Wygląd ich jednak był odrażający. Brwi mieli pomalowane na niebiesko, brzegi powiek na czarno, policzki na czerwono. Na szyi każdy nosił gruby jedwabny sznur niebieski. W garści trzymali tarcze i dzidy.

— Paganie? — powtórzył.

— Uchowaj Boże. Chrześcijanie od świętych Frumencjusza i Edizjusza na wiarę świętą nawróceni więcej jak sześćset lat temu. Ten sznur na szyi, który zowią mateb, to dowód chrześcijaństwa jak krzyż. Z daleka są. Ich kraj nazywa się Etiopią. Umieją tam łowić i przyuczać słonie...

• Kogo? — zapytał ze zdziwieniem Baldwin.

— Słonie — powtórzył uprzejmie Thoros. — Miałem dwa, ale zginęły czasu ostatniej wojny z Saracenami, a nowych teraz sprowadzić nie można, bo kraj zajęty przez poganów... Ci ludzie to przedni żołnierze. Miejscowymi nie utrzymałbym tak długo Edessy... Obaczycie, co w boju warci, gdy dobrego dowódcę dostaną...

Zawrócili do miasta w milczeniu. Abba Thoros odezwał się pierwszy drżącym nieco ze wzruszenia głosem:

— Pokazałem wam tedy, rycerzu, co mam. Rad bym jeszcze objechać z wami granice mojego państwa, ale to dla mnie zbyt odległa podróż... Odbędziecie ją kiedyś sami... Pięć dni drogi na południe, pięć dni drogi na północ, cztery na zachód i tyleż na wschód... Oprócz południowych krańcy cała dziedzina jest urodzajna jak tu... Wszakże to miejsce wybrał Pan niegdyś na Raj... Granice łatwe do obrony, z jednej strony płynie Eufrat, z drugiej Tygrys... Jak się to wam widzi, rycerzu? Czy zechcecie stać się dziedzicem tej ziemi i opiekunem mieszkających na niej chrześcijan? Jedyny to dla niej ratunek, bo na całym świecie wy jedni nie boicie się potęgi saraceńskiej...

- Nie jesteśmy jednej wiary — zauważył Baldwin.

- Jakże! Chrześcijanie!

- Wyście schizmatyki.

— Jednak miłujemy Pana naszego Jezusa Chrystusa. Te Etiopczyki na przykład, których za pogan braliście, szczególnie mają nabożeństwo do Najświętszej Panny Maryi... Nie odmawiajcie, rycerzu... Ostatnia to dla nas możliwość zachowania wiary...

Zatrzymał się chwilę i jakby zgadując skrytą myśl Baldwina dodał:

— Lud jest bardzo przywiązany do mojego rodu i nie przyjmie nowego pana chętnym sercem, jeśli go za syna nie uznam... Wierząc...

— Ostawcie mi czas do namysłu do wieczora — prosił Baldwin i wrócił do swojego pałacu, pałacu następcy tronu! Nieodstępny Pan. kracy trzymał się wciąż w pobliżu mówiąc półgłosem jakby do siebie:

— ...Mamy niecałe półtora tysiąca ludzi... Te dzikusy patrzą na dobrych żołnierzy... Nie damy rady... Albo trzeba przyjąć, albo odejść...

Przyjąć lub odejść... Przyjąć lub odejść... Nie bądź głupi, Baldwinie! — powtarzał sobie Baldwin uporczywie.

Leona w kosztownej sukni i takież płaszczu, otrzymanych od Thorosa, wsuwała się pełna zachwytu.

— O, panie, ileż tu bogactwa! Wszyscy zostali obdarowani, wszystkie dziewczęta, nawet ta żmija Helgunda... A na tym dworcu wiele dobra! W takich komnatach nie mieszkała nigdy ani

pani Elwira, ani pani Berta, francuska królowa, a nieboszczce pani Gontranie ani się o tym nie śniło...

— Idź, idź — odprowadził ją Baldwin niecierpliwie i znów krążył sam po sali. Miękki, puszysty kobierzec głużył jego kroki. Zaprawdę, takiego kobierca nie posiadał żaden z najpotężniejszych baronów! Lecz cichość własnych kroków męczyła go, jakby było w niej coś omotującego. Lepiej czuć pod nogą ceglana czy kamienną posadzkę, zimną i chropawą, w którą można uderzyć władczo stopą, aż dźwiękną ostrogi, a echo rozejdzie się w izbie...

Ściany wyłożone były również miękką, prześliczną materią. Podeszedł do kąta i dotknął z szacunkiem. Jego najpiękniejszy paradny płaszcz ani się umywał do tego obicia. W komnacie oprócz szerokiego łoża, wspartego na lwich złożonych łapach, znajdowały się dwie skrzynie z pachnącego drzewa wykładane masą perłową, rzeźbione stołki i niski stół, raczej ława, na której stały szklane okrągłe, mieniące bańki, niezmiernie kruche i cenne. Podniósł jedną z nich do oczu patrząc ciekawie, jak się światło w niej łamie, a własne jego odbicie powieli nieskończoną ilość razy. Obecna przygoda była jak ta bańka szklana, czarodziejska, nieprawdopodobna... Dotychczasowe życie łamało się w niej, mieniło, tęczyło...

...Wypuścić ją z ręki? Odrzucić taką sposobność? Trzeba by być szaleńcem, głupcem, osłem, niedowarżonym chłystkiem!

Stanowczo, choć ściszoną przez kobierzec krokiem przeszedł do sąsiedniej komnaty, gdzie czekał de Sourdeval.

- Niech Pankracy idzie zaraz do abby Thorosa i powie, że dobry rycerz Baldwin zgadza się uznać go za ojca i wspólnie z nim rządzić Edessą, po śmierci abby zostając na tronie jako jedyny prawowity pan i dziedzic..,

Uroczystość synowskiego uznania miała się odbyć nie w komnacie tronowej, jak tego pragnął Baldwin, lecz — by jak największa ilość ludzi mogła ja widzieć — na placu przed pałacem, gdzie zbudowano już w tym celu okryte oponami podwyższenie. Hałaśliwy Y/schodni tłum wypełniał doszczę-

nie plac. Etiopowie w białych tunikach błękitno lamowanych trzymali straż koło podwyższenia, na którym abba Thoros zasiadł już w całym majestacie. Po jego prawej ręce stał pusty bliźniaczy tron, po lewej siedziała żona. Była o tyle chuda, o ile mąż był gruby, stara, pomarszczona, zwiędła. Siedzieli oboje nieruchomo, czekając na Baldwina, który wyszedł z orszakiem ze swego pałacu i zbliżał się ku nim przez plac drogą zasłaną kobiercem. Fleciści i cymbaliści grali donośnie. We wszystkich kościołach i monasterach grodu były dzwony. Biły również w drażonych w skale klasztorach. Nikły ich głos spływał niby z nieba. Baldwin szedł poprzez tłum, wściekły i upokorzony. O, jakże wściekły! Niedgdyś Godfryd czuł się podobnie, idąc składać przysięgę basileusowi, ale to było inaczej! Godfryd upokarzał się dla Chrystusa, nie dla własnej korzyści. To przede wszystkim. Następnie kroczył odziany w pancerz, z mieczem przy boku, jak przystoi rycerzowi. Jakże zaś wyglądał Baldwin? Ponieważ odwieczny ceremoniał adoptacji nakazywał przejście przybrańca pod koszulą nowego ojca i matki, Baldwin miał na sobie również tylko białe, cieniusieńkie gieżło. Jak gdyby był noworodkiem! Choć jedwab koszuli osłaniał go od szyi do kostek, Baldwinowi zdawało się, że jest nagi. Niby idący pod pręgierz lub biczownik! Koszula przylegała do ciała, oplątywała nogi. Był muskularny, wspaniałej męskiej budowy i przyszli poddani spoglądali nań z szacunkiem. Lecz on uznania nie widział, czuł tylko śmieszność. Poczucie przykrości potęgowało się z każdą chwilą, dosięgało szczytu, gdy stanął na podwyższeniu przed nowymi rodzicami.

Thoros wstał, zrzucił z ramion płaszcz. Odziany był w złociste gieżło bardzo szerokie, u szyi znacznie wycięte, by Baldwin mógł pod nie wejść. Dwóch niewolników uniosło przód tej królewskiej szaty, odsłaniając pałakowate nogi obrosłe siwym włosem. Z uczuciem samobójcy rzucającego się w morze Baldwin nurknął pod gieżło. Wyszczknął głowę przez otwór u góry. Twarz jego była tuż koło twarzy starego. Sapiąc ze wzruszenia i wysiłku Thoros objął go ramionami i przycisnął. Zwracając się do tłumy zawołał donośnie:

— Ten jest z mojego nasienia!

Puścił Baldwina, który wycofał się z trudem. Małżonka Thorosa, Agata, już wstała zrzuciwszy płaszcz. Podobnie jak mąż miała na sobie tylko luźną koszulę. Dwóch eunuchów rozpostarło przed królową purpurową zasłonę zakrywającą ją przed oczami widzów, gdy niewolnice unosiły gieżło. Bald-

win przymknął oczy ze wstrętem. Schylił się. Przyłgnął do starej, wysunął głowę. Eunuchowie odjęli zasłonę. Agata przysunęła żółty zmarszczony policzek do twarzy rycerza i obejmując go mocno ramionami zawołała piskliwie, donośnie:

— Ten jest z mojego żywota!

I obejmowała go nadal. Może była istotnie wzruszona przypomnieniem zmarłych dzieci. Lecz Baldwin miał dość. Prawie szorstkim ruchem oswobodził się z jej ramion i umknął co prędzej.

Właściwa ceremonia była zakończona.

Teraz zbliżali się sznurem dostojnicy dworscy, podając mu kolejno części ubrania, które on na oczach tłumu wdziewał. Nareszcie pancerz, nareszcie miecz! Usiadł na przygotowanym tronie po prawej ręce Thorosa jako równy jemu abba.

Thoros powstał. Oczy brzuchacza szklily się istotnym wzruszeniem.

— Synu mój — rzekł po łacinie — oto jesteś panem i dziedzicem tego kraju. Rządź nim sprawiedliwie i spokojnie. Niech Bóg błogosławi twoje ramię i rozproszy wrogów. Ten lud jest dobry i wierny. Ja ci nie będę przeszkadzał. Starym jest, spragniony spokoju, szczęśliwy, że Edessa nie wpadnie w jarzmo pogańskie. Nie będę ci w rządy zaglądał. Jeżeli który z poddanych zechce się skarżyć, odpowiem: „Nie wierzę, aby syn mój źle postąpił. Odejdź ode mnie, psie niegodny, który szczekasz”. Tak uczynię. Niech Bóg ma w opiece dni twoje.

Baldwin skłonił się milcząco. Abba powtórzył donośnie te same słowa po syryjsku. Gdy skończył, fleciści podjęli swą brzękliwą wrzawę. Od bazyliki szedł mur biało ubranych diakonów oznajmiając, że patriarcha już czeka. Sapiąc i dysząc, Thoros ujął przybranego syna za rękę i wiódł przez plac. Za chwilę na głowie lotaryńskiego ubogiego rycerza spocznie starożytna korona Edessy. Za chwilę stanie się władcą. Zaprawdę szczęśny to dla niego dzień! Lecz Baldwin nie był w stanie radować się należycie. Pamiętał uparcie, że przytulał się publicznie do nagiej obrzydliwej baby, i wątpił, czy kiedykolwiek zdoła o tym zapomnieć.

Rozdział ósmy

' PŁACĄCY ZA DOBRE ZŁEM

Życie upływa w ciągłym odurzeniu. Przy pałacu znajduje się dziedziniec łowiecki, mieszczący dużą ilość psów gończych, sokołów, a nawet tak upragnione gepardy, wielkie koty na wysokich nogach, o udach wilka, stalowej łopatce i żółtych przewrotnych ślepiach. Wszystko to zalega pole, starzeje się, mnoży, nie używane od czasu, jak abba Thoros zestarzał się i ociężał. Baldwin z radością robi przegląd tego myśliwskiego dobytku, wygania w pole, próbuje w zaroślach nadrzecznyc. O, dlaboga, jakże piękne są tu łowy! Lepsze niżli w Lotaryngii! Poza tym z zapalem ćwiczy żołnierzy. Powiększył dwakroć liczbę wojska biorąc w szeregi wszystkich prawie młodszych mieszkańców. Nie wstyd wam, żeby dzikusy za was walczyły? — powiada. Zresztą kto nie da syna, musi zapłacić na wojska tęgą dziesięcinę, więc mądre kupce sami wyganiają młodych. Z tym nowym wojskiem już wyruszał kilkakrotnie, posłyszawszy, że Saraceny płaczą się po okolicy. Przekonał się o rzeczywistych zaletach bojowych Etiopów. Rozkosz patrzeć, jak to szło. Jego własni woje też dokonywali cudów, by okazać wyższość swą nad malowanymi golcami, a Edesczycy ściśnięci między dwa wojska, odpowiednim słowem spopreżeni, nadążali wcale nieźle. Znowu zwycięstwo. Nierychło Saraceny pokażą się na tym brzegu Eufratu.

Baldwin słusznie może być dumny. Gdy jedzie przez miasto, ludność pada przed nim czołem, biegnie przed końmi płasając, śpiewając, krzycząc. Jest uwielbiany. Saracendw boją się tutaj jak diabła, a wiadomo, że Frankowie znają czary, które pozwalają im zwyciężać Saracenów. Wszak jeszcze nigdy nie byli pobici! Co za radość otrzymać takiego pana! Ciesz się, szczęśliwa Edesso!

Baldwin spogląda ze spokojną wyższością. Zna już tych ludzi, zna całe miasto. Obszedł mury i modlił się w każdym kościele składając sute ofiary. Nie zdążył jeszcze tylko zajść

do akademii i szkół, których podobno jest tyle. Ale musi to uczynić którego z tych dni i zobaczyć, co się tam właściwie rotⁱ.

Pomimo próśb abby Thorosa nie zmienił swego ubioru na wschodni. Może być przybranym synem Syryjczyka, niemniej pozostaje ; Frankiem, latyńskim rycerzem. Pogięty w wielu bitwach pancerz, hełm z labrami, siatkowa rękawica, miecz, wysoki rycerski łęk, takim go ogląda tłum. Twarz mu stwardniała poczuciem władzy. Oczy migocą chwilowym zadowoleniem.

Chwilowym, bo wbrew wszystkiemu szczęśliwy i spokojny nie jest. Dlaczego? Śmiech powiedzieć.

Taka 'drobna rzecz: owo przesuwanie się pod koszulą starego i starej mierzi go aż do mdłości. Rad by zapomnieć i nie może. Jakże zapomnieć, kiedy go wszyscy widzieli? Tłum, który go otacza na ulicy, dobrzy woje, co za nim poszli z przywiązania. Wszyscy widzieli. Muszą o tym pamiętać. Jak mógł to uczynić? Tfu!

O starego mniejsza. Dobry człowiek, chociaż gruby i za-śliniony. Ale ta baba! Ta baba! Oboje mieszkają w swym dawnym pałacu i co parę dni Thoros wzywa przybranego syna do siebie na ucztę. Jak obiecał, nie miesza się do rządów. Chwali wszystko, co Baldwin zarządzi. Rad go tylko widywać często. Oboje patrzą na rycerza z rozrzwinięciem, jak na prawdziwego syna, szczególnie Agata. Wbrew wszelkim przepisom ceremoniału, gdy tylko może, gładzi go ręką po ramieniu lub dłoni mruczając coś niezrozumiale, bo po łacinie nie umie. Baldwin wzdryga się, jakby go dotknął płaz. Nie znosi tej kobiety. Może poczciwa, ale on musiał przytulać się do niej, on musiał przechodzić pod jej koszulą!... Uf! Spogląda z nienawiścią. Dałby nie wiem co, by tych obojga nigdy na oczy nie widzieć. Wróciwszy do siebie, ciężki od wina i korzennych potraw, mówi do Leony:

— Nie zostanę tutaj długo. Nie wytrzymam. Brzydę się. Wyćwiczę wojsko. Połowę zostawię, połowę ze sobą zabiorę i ruszę do naszych. Tak będzie dobrze. Odszedłem jak biedak z półtora tysiącem ludzi, wrócę jak pan z sześciu tysiącami i niemałym skarbem... Niech widzą. Dopieroż będą się dziwili, co? Tutaj długo nie zostanę.

Tak mówi, sam czując w duchu, że to czcze przechwałki, że nie odejdzie, nie rzuci. Kto raz zakosztował bogactwa i władzy, ten się ich nie wyrzeknie dobrowolnie. Ale Leona

i Pankracy nie wiedzą, że on tak myśli. Obawiają stó, że jest szczery, że odejdzie, a oni nie chcą odchodzić. / Leona zwierza się Pankracemu z niepokojem:

— Co zrobimy? Znam Baldwina. Jest uparty jak kozioł. Gdy sobie coś upatrzy, nic się z nim nie poradzi. Jakże było z księciem Godfrydem? Nie znalazłbyś zgodniejszych braci, a to, strzeliło mu coś do głowy i teraz ani wspomnieć nie można przy nim o księciu Godfrydzie... Z obozu też odszedł jak głupi, sam nie wiedząc dokąd... Może zrobić podobne szaleństwo i teraz.

— Nie można do tego dopuścić — powiada Pankracy.

— Cóż pocniemy? Zrobi, jak chce. To wszystko przez tych starych. Dobrze wiem, o co mu chodzi. Że się tak wtedy upokorzył, że dał się uznać za syna. Nie znosi ich obojga, szczególnie Agaty... Mówił mi kiedyś, że ma wstręt do kobiet...

— Ech, musi być chyba coś więcej — sądzi de Sourdeval nie rozumiejąc takiej drażliwości.

— Nie, nie, tylko dlatego... Wiem na pewno... Rozgląda się z żalem i na myśl, że będą zmuszeni opuścić ten wykwint, to bogactwo, dostatek, by znów rozpocząć wędrówkę po nieznanym i strasznym pustyniach, ogarnia ją rozpacz i gniew. Z rozdrażnieniem tupie nogą.

— Ach, gdybyż oni umarli!

— Takie grzyby najdłużej żyją — wzdycha Pankracy.

Uczony Ben Ozjasz, który był swego czasu posłem do Baldwina, prosi starego abba Thorosa o posłuchanie. Abba przyjmuje go wyciągnięty na miękkiej sofie, podobny do góry tłuszczu. Patrzy na przybyłego pytająco. Niewolnicy przynoszą wino. Ben Ozjasz nie chce poczęstunku i gospodarz pije sam.

Gość mówi z niechęcią o nowych porządkach. Czy abba Thoros wie, że całe miasto wygląda jak jeden obóz? Abba Baldwin myśli tylko o wojsku, wszystkie dochody przeznaczają na wojsko. Ci tylko mają u niego zachowanie, którzy umieją sprawnie działać orężem. Naukę ma za nic. Żadnej szkoły dotąd nie zwiedził! Groził, że przestanie dawać pieniądze na ich utrzymanie! O, abba Thorosie! Powiadają, że akademię chce zamienić na pomieszczenie dla żołnierzy! Akademię, chlubę Edessy! Co będzie!?

Thoros mruży oczy z namysłem. Ślina ścieka mu po wargach. Długa chwila mija, nim odpowie:

— Słyszałeś, Ben Ozjaszu, com rzekł w dniu koronacji abby Baldwina? Że jeśli będzie kto skarżył na niego, powiem: „Nie wierzę, by mój syn źle postąpił. Odejdź ode mnie, oszczerco”. Ben Ozjasz zrywa się rozgoryczony.

— Mówię' prawdę, nie oszczerstwa.

— Wiem o tym. Abba Baldwin istotnie nie miłuje zbytnio nauki. Jest wojownikiem. Ale obroni Edessę, której nie obroniliby uczeni. Sam kocham pisma, lecz widzę, że gdy niebezpieczeństwo zagraża, oręż jest wyższy nad pióro. Lud przypuszcza, że Frankowie posiadają czary. Ja sądzę, że to właśnie jest czarem, iż o niczym jak o walce nie myślą... Nie będę z nim zgoła mówił o tej sprawie...

Ben Ozjasz spuszcza głowę. Po chwili cichszym, trwożnym głosem podejmuje:

- Czy abba Thoros jest zupełnie spokojny?... Chciałem powiedzieć, czy czuje się bezpieczny jak dawniej?... W otoczeniu abby Baldwina są źli, nieżyczliwi ludzie...

Abba Thoros unosi się z gniewem na łokciu. Mówi powoli, dobitnie:

— Czy mam po wtóre przypomnieć ci, Ben Ozjaszu, com rzekł uroczyście na placu? „Nie wierzę, aby mój syn źle postąpił. Odejdź ode mnie, psie niegodny, który szczekasz!”

Ben Ozjasz skulony, zawstydzony wychodzi. Abba Thoros odstawia nie dopitą szklankę wina.

Zmarszczywszy czoło patrzy przed siebie i myśli długo, długo...

Baldwin jest chmurny, choć łowy z gepardem udały się świetnie. Ma ochotę wracać i boi się?! Boi się?! Czego?! Sam nie wie. Czegoś, co może się w jego nieobecności stać... Powinien zawrócić, przeszkodzić...

Nie zawraca...

Słońce zachodzi czerwono. Ptactwo wodne krzyczy. Drogą zdążyła karawana wielbłądów prowadzona przez maleńkiego osiołka! Śmieszny mały osioł. Wielbłądy kołyszą się jak okręty. Bogate miasto ta Edessa, nie ma prawie tygodnia, by nie przybyła karawana. Słońce już zaszło. Mrok sinieje, robi się zimny i martwy. Już wierór. A Baldwin tu! Przecież dziś Thoros przychodzi do niego z żoną na ucztę. A gospodarza nie będzie! Jakże to!?

De Sourdeval przed godziną pośpiesznie odjechał. /Przed wyjazdem powiedział Baldwinowi:

— Nie wracajcie dziś, panie, do grodu. Zaufajcie wiernemu słudze. Przenocujcie tu nad rzeką.

— Jakże mogę zostać — sarknął Baldwin — kied^ te stare trupy przyjdą do mnie na wieczerzę?...

(Och, dlaczego użył tego słowa trupy? Pankracy uśmiecha się zagadkowo.)

— Nie przyjdą z pewnością — zaręcza. — Posłuchajcie mnie, panie, i bawcie się łowami dalej.

I Baldwin został.

Abba Thoros z małżonką przychodzą do Baldwina bez orszaku jako rodzice do syna. Niewolnicy stawiają lektykę na progu i gdy państwo wysiedli, wracają. Pałac jest oświetlony, lecz cichy. Nie ma muzyki, śpiewaków, tylko uzbrojeni woje trzymają wartę przy wrotach. De Sourdeval wychodzi z pokłonem, tłumaczy, że dobry rycerz Baldwin miał wypadek na łowach. O, nic poważnego, Bogu dzięki! Przesłał gońca tylko co, prosząc, by Jego Dostojności raczyli nie odchodzić, on bowiem zaraz a zaraz nadjedzie...

— Niech Bóg błogosławi dni abby Baldwina — odpowiada Thoros — poczekamy, by zobaczyć, że nic mu się złego nie stało...

De Sourdeval odszedł. Thoros z Agatą siedzą czekając. Dwaj giermcy stoją nieruchomo i milcząco przy drzwiach, Wokoło cisza... Cisza... Coś straszliwego zdaje się krążyć wokół,.. Nie wiedzieć czemu, staruszków ogarnia lęk. Nie śmieją się ruszyć, odetchnąć, jakby w oczekiwaniu czegoś, ale czego?!...

Agata przysuwa się do męża.

— O, abba — szepcze — czy dobrze uczyniliśmy przychodząc tutaj? Onegdaj stara Mariam mówiła mi, żeby się strzec... Podobno abba Baldwin nas nienawidzi... Czy możliwe, by nas nienawidził? Za co? Boję się. Może coś złego zamierza?

Thoros wzdycha. Ślina spływa mu z ust.

— Czy pamiętasz, Agato, oom mówił niegdyś na placu: Nie wierze, by mój syn źle postąpił?

Urywa, bo do komnaty wraca de Sourdeval. Za nim trzech giermków. W rękach miecze i czekany.

Jakie dziwne oczy ma ten człowiek!... Dziu...

Biją dzwony jak na pożar, na trwogę, na koronację. Biją we wszystkich kościołach, klasztorach. W domach błyska światło. Przerażeni zakonnicy wychylają się z podniebnych ruonasterów, uczepionych skały. Co się stało?! Co się stało?! Czy wróg naciera?! Tłumy strwożone gromadzą się na placu. Co robić?! Czego się lękać?! Pałace starego i nowego abby są ciche, nieoświetlone... Służba nie puszcza nikogo. Podobno abby Baldwina nie ma wcale w grodzie... Boże, zmiłuj się nad nami! Co się stało! Co się stało!?!...

Z siedziby młodego abby idą ludzie z pochodniami. Między nimi rycerz Pankracy de Sourdeval. Staje w środku na wzniesieniu. Gromkim głosem oznajmia zdumionemu ludowi, że abba Thoros był zdrajcą i przed chwilą zginął. Żona jego z nim. Abba Thoros, obrzydłej pamięci, znosił się potajemnie z Saracenami i dybał na życie dobrego rycerza Baldwina, swego przybranego syna. Dzisiaj przyszedł do pałacu wykonać swój nieczny zamiar, szczęściem dobry rycerz Baldwin pozostał na łowach, a jego słudzy ukarali przykładnie zbrodniarza.

- Abba Thoros nie żyje? Dobry abba, co przez pół wieku rządził Edessą — nie żyje?! Był zdrajcą!?

Któż w to uwierzy?... — Tłum szemrze.

Lecz Pankracy de Sourdeval zna ludzi. Dwaj giermcy już przydzwigali skrzynię pełną złotych monet. Pankracy nabiera pełne garście wołając:

— Na uczczenie szczęśliwego ocalenia dobrego rycerza Baldwina! Na jego długie panowanie, bierzcie!!

Miota złoto między tłum. Złoty deszcz dźwięczy rozkosznie o płyty kamienne. Któż by mu się oparł! Zapominając na razie o niespodziewanej wiadomości ludzie rzucają się, przepychają, tłoczą.

Wyciągają ręce prosząc o więcej. De Sour-deval ciska niestrudzenie. Złoto dzwoni. Ach, ci już tyle zgarnęli, a'ci nie zdążyli, a tym ledwo coś się dostało!... Rzucajcie jeszcze, dobry rycerzu, rzucajcie!...

...Któż by się zastanawiał, czy Thoros był zdrajcą czy jiié?... Trzeba chwytac złoto, póki je rzucają...

...Któż by się troszczył o ciała dwojga starych, niepotrzebnych ludzi?...

...Abba Thoros był oszczędny i nigdy nie rzucał złota...

...Niech Bóg błogosławi dni abby Baldwina!...

Baldwin słucha. Należałoby udać zdumienie, oburzenie, zadziwienie... Nie może. Nie potrafi. Czy mógłby rzec, że nie wiedział? — Wiedział.

— Powinienem was skazać na śmierć — mówi z, wysiłkiem.

— Zrobiliśmy to jedynie z miłości i przyjaźni dla ciebie, żebyś się mógł czuć dobrze. (Pankracy po raz pierwszy mówi do Baldwina „ty”. Posiadł nad nim przewagę, której już nie straci.)

— Ale co będzie dalej? Co powie lud?

— Lud? — śmieje się de Sourdeval. — Rzuciłem sporo złota i zadowolony. Krzykali na twoją cześć. Okaż wspaniałość i choć Thoros był zdrajcą, zarządz królewski pochówek z jadem i piciem dla wszystkich...

— Gdzie „to” było? — pyta szeptem Baldwin.

— Na dziedzińcu — kłamie de Sourdeval. Boi się, że Baldwin nie zechce tu dalej mieszkać, a pałac jest taki piękny! Zresztą śladów nie ma żadnych. Zakrwawiony kobierzec dał się wymyć doskonale...

Leona kręci się wokoło nich niespokojnie. Ona myśli o jednym, w głowie ma jedno. Uważa, że chwila jest odpowiednia, by wystąpić.

— Czy poślubisz mnie, Baldwinie? — pyta na poły zuchwale, na poły błagalnie. I ona mówi mu po raz pierwszy „ty”! Cóż, są przecież współnikami, złączonymi nierozdzielnie. Zło spoufala bardziej niż miłość.

— Zaprawdę, widzę, że muszę cię poślubić, Leono — stwierdza Baldwin posępnie. — Kiedy chcesz?

Twarz jej jaśnieje. Nareszcie! Ale spojrzeniem ogarnia swoją postać. Nie będzie mogła przystroić się do ślubu!

— Za dwa miesiące, gdy wstanę — postanawia. • — Niech tak będzie. Idźcie już.

Na dziedzińcu... Na dziedzińcu... mruczy niedowierzająco Baldwin chodząc swoim zwyczajem wieczorem po komnacie... — Na dziedzińcu... Przysięgłby, że tu... Jest tego pewien... T o jeszcze drga w powietrzu, t o jeszcze jest. T o się czuje... Schylony przeciąga dłonią po kobiercu. Mokry! Myto go. Zatem to tu!

...Jak to było?... Co myśleli starzy?... Czy... od razu?...

...Nie myśleć o tym, nie myśleć!

...Dać na sto, na dwieście mszy — ale nie myśleć.

...Ten poczciwy, stary grubas, strzykający śliną... Kiedyś był dobrym rycerzem... Ufał jemu, Baldwinowi... Baldwin jest także dobrym rycerzem... Dobrym rycerzem...

O Boże, czyż na świecie nie ma ludzi złych i dobrych, tylko wszyscy są albo źli, albo dobrzy, zależnie od okoliczności?!... A raczej od stopnia wiary w coś lub kogoś?... Czy wiara nie jest pomostem, utrzymującym ludzi ponad złem?... On, Baldwin, wierzył w Godfryda. Był wtedy dobrym. Przestał wierzyć i wszystkie jego postęпки stały się złe, jak gdyby stracił talizman, kamień probierczy, wskazujący nieomylnie, choć poza świadomością człowieczą, jak postępować należy...

Odmieniła się też Leona, wesola, płocha czarnuszka, której nie lubiła Gontrana. Po co, ach, po co zabrano ją na wyprawę?! Gdyby została u ojców, zbiedniałych nobilów, mieszkających w drewnianym dworzyszczu podle Yerdun, inaczej ułożyłoby się jej życie. Wydana za męż, żyłaby spokojnie, zadzierzysta, gospodarna, w miarę pyskata, wprędce otoczona kupą dzieci. Zły los rzucił ją w kraje, gdzie próżno usiłuje znaleźć samą siebie.

Właściwie powinna się radować. Stoi u szczytu marzeń. Jako małżonka Baldwina, pani Edessy, będzie zasiadać na tronie w mozaikowej sali. Baldwin z pewnością uzna jej syna... Syn jej będzie abba... Królem... Czy marzyła o czymś podobnym?! Czegóż pomimo to taka jest strapiona? Wyrzuty sumienia?... Ej, nie. Co tam martwić się o dwoje starych. I tak nie byłoby już żyli długo. Leona boi się Baldwina, nie zmory sumienia. Boi się, że ją znienawidzi jak Agatę. Boi się, że nie dotrzyma obietnicy, nie zechce się żenić. Dawniej nie przyszłoby nikomu do głowy wątpić o obietnicy rycerza, ale teraz wszystko jest możliwe... Poza tym nawiedzają ją złe myśli jak zwykle niewiastę przed porodem. Wieczorem późno w noc płacze, brzemienna, ociężała, trwożna. Codziennie obmywa się w wodzie ze źródła Abrahama, zapewniającego

długi wiek, jednakże się lęka. Jak odbędzie rody? Czy pomyślnie? Kto jej pomoże? Kto przyjmie jej dziecko? W grodzie nie zbywa na położnych, bardzo podobno biegłych, ale Leona boi się ich. Że nie rozumie, co gadają... Że dziecko mogą łatwo zaczarować, ani wiadomo kiedy... W tej obawie staje się lepsza dla starej Helgundy. Wypytuje ją o to i owo. Z dziewczętami szkoda gadać, nie mają o tych sprawach pojęcia. Helgunda przymila się, chce wrócić do łask, udaje doświadczoną i biegłą. Ale strachu nie odpędzi, ale zmory nie odgoni...

Rozdział dziewiąty W KTÓRYM POWRACA DOBRY RYCERZ GALDEMARE

Pominąwszy stratę Marka di Santa Leone i jego towarzyszy, Tankred miał wszelkie powody do zadowolenia. Wyprą-' wa udała się nadspodziewanie. Wspomagany przez miejscowych chrześcijan zdobył i zajął wszystkie osady i miasteczka nadbrzeżne, zniósł kilka oddziałów saraceńskich i powracał do obozu pędząc przed sobą liczne stado koni i prowadząc wyładowane zdobyczą wozy zaprzężone w garbate, cierpliwe byki. Jadąc cieszył się, że wraca. Myślał o Baldwinie, z którym chciał się potykać za Marka, i o Idzie. Niewątpliwie już dawno przyjechała. Radują się oboje z mężem... Dziwna kobieta. Mówiła zagadkami, których Tankred nie mógł rozwiązać, choć niejednokrotnie po jej odjeździe nad nimi myślał. Rad by ją jeszcze zobaczyć... Czy wypada mu pojechać do niej, czy też lepiej posłać tylko giermka z pokłonieniem i zapytaniem, jak odbyła podróż?... Dziwna kobieta... Odmienna od innych niewiast, ale przez co?... Już też nie przez urodę, bo taka na przykład Rajmundowa Elwira i młodsza, i piękniejsza... Może przez to, że co chwila uśmiecha się mądrym, dobrym uśmiechem... Tak, to przez to... Ten uśmiech ani wesoły, ani zalotny — pogodny i wyrozumiały, stanowi jej odrębność. Tankred jeździł kiedyś jesienią ze stryjem do Akwizgranu. Po drodze na polach niemieckich widział smugi babiego lata snujące się po polu. W powietrzu była słodycz dokonania, wypełnienia, rezygnacji, szczęścia, które wie o sobie, że jest kruche i nietrwałe. Nie wiedzieć czemu, wspomnienie uśmiechu mówiącej zagadkami Idy zlało się w myśli w jedno ze wspomnieniem błękitu owych pogodnych dni wrześnieowych posrebrzonych przędzą.

Zajechał wprost do obozu Boemunda. Stryj przyjął go z rzadką u niego serdecznością, wywołaną nie tylko powodzeniem wyprawy, lecz szczerym przywiązaniem, jakie żywił dla bratańca. Kuty wyga, jakim był księżę Tarentu, czuł się chwilami nieświadomie znudzony własną oschłością, wyracho-

waniem, podejrzliwością. Wypoczywał duchowo przy tym chłopaku czystym jak krynica, który o byle co płonił się „by panna, nie znał, co to fałsz, a w boju stawał jak naj-waleczniejszy rycerz. Był on jedyną istotą na świecie, którą Boemund kochał rzeczywiście, z potrzeby serca, a nie dla korzyści.

— Chcę zaraz posłać Baldwinowi wyzwanie, niech się potyka ze mną choćby dzisiaj... — zapowiadał niecierpliwie Tankred zaledwie zdążywszy zdjąć hełm.

— Możesz się nie spieszyć, bo Baldwin nie ma. Tankred tupnął nogą gniewnie.

— Kiedy wraca?

— Nie wiadomo, może wcale. Odszedł ze swoimi ludźmi temu z dziesięć dni.

— Jak to: odszedł? Ze wszystkimi? Dokąd? Do Ziemi Świętej nie idzie?

— Nie wiem — Boemund zachnął się zniecierpliwiony — i nikt właściwie nie wie, co zaszło. Z tej niuńki Godfryda trudno coś dorzecznego wycisnąć. Pogniewali się widno, może o twoją sprawę, i Baldwin odszedł rozczłony...

- Ale ja się muszę z nim potykać! Jak go znaleźć?!

- Gdy tu wróci. Wrócić musi, bo gdzieś się podzieje? Poszło z nim raptem półtora tysiąca ludzi...

— A de Castellane jest? — zapytał Tankred przechodząc do drugiej, żywo obchodzącej go sprawy. De Castellane dowodził oddziałkiem, który towarzyszył Idzie.

- Nie widziałem go... Czy jechał osobno? Nie z tobą?

— Castellane, Wit de Possesa, Daniel de Tenremonde i Gal-demare wyszli trzy tygodnie temu z Adany"... Mieli prosto przyjść tu... Odprowadzali Idę z Montferrandów de Hainaux, która z piratami morzem przyjechała... — objaśniał Tankred, oczywiście purpurowy.

- Żadnego z nich nie widziałem... Więc Idę przyjechała?... Znałem ją kiedyś... dawno... Bardzo postarzała?...

- Chyba nie... Dziwna kobieta. Uczona... Krotkom z nią gadał, a zdążyła powiedzieć parę rzeczy, których nijak nie mogłem wyrozumieć.

- Kobieta powiedziałaaby coś, czego mężczyzna nie mógłby zrozumieć? — zdziwił się pobłaźliwie Boemund.

- Możem jeszcze głupi, ale co znaczy, stryjcu, takie powiedzenie, że człowiekowi trudno być człowiekiem, co?

Prosta rzecz, tylko ty opuszczasz jedno słowo, które tam

musiało być: trudno człowiekowi być mądrym człowiekiem... Rozumiesz?

- Aha.

Niezupełnie przekonany, Tankred poszedł do obozu szukać rycerza de Castellane i jego towarzyszy. Nie znalazł ich. Nie przybyli jeszcze wcale. Na krew świętego Januarego, co to znaczy!?! Powinni byli zjechać

tu co najmniej od tygodnia...

Skoczył na konia ruszając cwałem do prowansalskiego obozu. Mąż Idy markotny, osowiały jak sowa, oślepiony jak sęp, siedział przed swoim namiotem.

- Małżonka wasza nie przyjechała? — zawołał Tankred zeskakując z konia.

De Hainaux nie podniósł głowy.

— Nie — odparł z niechęcią — nie. Rok jak nic o niej nie wiem... Bogać mi, już nie wyglądam...

— Ja pytam: teraz!? W zeszłym tygodniu!? Nie mieliście wiadomości?!

— Abo co?! — ryknął de Hainaux zrywając się na równe nogi. — Abo co?! Słyszeliście o niej? Na miły Bóg!?

— Wyjechała z Adany trzy niedziele temu... Dałem jej ludzi i konia...

- Idą... O Boże!... Idą!... Więc gdzie jest teraz?! Gdzie!?

— Właśnie, że nie wiem... Sam zaledwie przyjechałem... Myślałem, że ją tu zastanę...

— ...W Adanie była... Widzieliście ją... Mówiliście z nią?... O Boże, Boże! Odjechała... Kiedy?! Z kim?!

W krótkich urywanych słowach Tankred opowiedział, jak było. I że ją wstrzymywał, i dlaczego się tak opóźniła, i że z piratami przyjechała, i że uległ jej prośbom dając jej dwunastu ludzi, w tym czterech najlepszych rycerzy. De Castellane, de Possesa, de Tenremonde i de Galdemare — to dosyć powiedzieć... Dygocącymi dłońmi de Hainaux przypasywał miecz, wdziewał hełm. Wychylił się z namiotu krzycząc: — Konia! Żywo! Żywo!...

— Gdzie chcecie jechać?

De Hainaux rzucił na pytającego nieprzytomnymi oczami.

— Będę tu czekał, gdy z nią coś się stało!? Rajmund mi nie odmówi stu ludzi, pojedę z nimi natychmiast!...

— Ja z wami — zaofiarował się Tankred bez wahania. Mimo szarpiącej nim rozpacz i niepokoju de Hainaux spojrzął z wdzięcznością.

— Bóg zapłać... Ale strudzeni jesteście, ledwo co przybywszy...

— Mniejsza o to. Ja wiem najlepiej, którędy de Castellane miał jechać... Może zbłądzili w górach?... Może ich spotkamy po drodze...?

— Może spotkamy... Tak, tak... Może spotkamy... — powtarzał de Hainaux, czepiając się rozpaczliwie tych słów.

Pojechali do Rajmunda. Udzielił bez wahania ludzi, wielu de Hainaux pragnie.

— Stu... Stu...

— Bierzcie stu. Ruszajcie jak najprędzej. Wracajcie szczęśliwie.

Spojrzał w udęczone oczy Gastona de Hainaux i uścisnął mu dłoń serdecznie, po męsku.

— On nie wierzy, byśmy ją żywą znaleźli... — przemknęło Tankredowi przez głowę.

Tego samego zdania był biskup Ademar, będący świadkiem rozmowy.

- Boję się, że ich spotkała zła przygoda — rzekł do Tankreda półgłosem. — Biedny, biedny człowiek!

— Przecież wszyscy nie mogli zginąć jak w morzu — dowodził Tankred. — Ja myślę, że gdzieś zbłądzili.

— Daj Boże. Czemu jednak, rycerzu, puściliście szlachetną niewiastę z tak szczupłym poczem?

— Nie mogłem dać większego sam mając mało!

— Wiem, ależ mogła bezpiecznie przyjechać teraz z wami?...

— Nie chciała czekać — odparł Tankred i zaczerwienił się jak winowajca.

Biskup spojrzął nań z wyrzutem.

- Któż słucha kobiety? Już ci wiadomo, że białka to utrudnienie dla mężów w pochodzie... Trzeba było przecie ścierpieć tę niedogodność, a dowieźć ją cało.

— Ależ ja prosiłem, namawiałem... To ona nie chciała!...

- Nie trzeba było się zgadzać. Jak mi Bóg miły, lekkomyślnie postąpiliście, rycerzu...

Tankredowi krew buchnęła do głowy jak płomień. Gdyby to nie biskup mówił! Dla Boga! Postępek, z którego był dumny jak z walnego zwycięstwa nad sobą samym, okazywał się naganną lekkomyślnością?!

Kto mógł to przypuścić! Kto?!

— Jedźmy! Jedźmy! — błagał de Hainaux.

Pojechali i nie było o nich wiadomości. Na radzie baronów roztrząsano codziennie, czy czekać ich powrotu lub ruszać dalej. Straty w koniach były już prawie całkowicie wyrównane, ludzie odkarmili się i wypoczęli. Wyschłe, zwiotczałe mięśnie odżyły i grały pod skórą jak dawniej. Gromkie śmiechy z byle jakiego powodu, tubalna wrzawa ludzi sytych i zdrowych rozlegały się znów w obozie. Nie było racji pozostawać dłużej, Naprzód, naprzód przez góry zasłaniające zębatym murem horyzont, pod Antiochię, i stamtąd pod Jeruzalem...

— Te Gody rmisimy już święcić w Betlejem — powtarzał uparcie Godfryd. Wychudły i zmarniały wyglądał, jakby go tylko nadzieja utrzymywała przy życiu. Natomiast Boemund i Rajmund St. Gilles pragnęli jeszcze parę dni poczekać, aż Tankred i de Hainaux powrócą.

Biskup przychylił się do ich zdania.

— Tydzień czy dwa wielkiej różnicy nie stanowi — mawiał — nie ostawiamy dobrych rycerzy jakoby na przepadłe. Dość już, że Baldwin od nas się odstrychnął... Nie macie żadnej wiadomości o bracie, rycerzu Godfrydzie?...

— Nie mam — odpowiedział Godfryd trzęsąc zniechęcony głową.

— Kto chce czekać, niech czeka — zżymał się Robert Krótkoudy — my nie najmowaliśmy się na niankę niczyją...

Lecz ostatecznie większość opowiadała się za czekaniem, i słusznie, gdyż któregoś ranka do namiotu biskupa Ademara przyszedł, a raczej przywłókł się człowiek wynędzniały, kulawy, z nogą owiazaną krwawymi szmatami, obdarty, obrosły, staniający się z utrudzenia. Chciał mu biskup rzucić denara jako proszakowi i służbie oddać, by biedaka opatrzyła, lecz przybyły rozkazującym ruchem odprawił pacholka, a zostawszy samodwa z biskupem, wyciągnął spod brudnej, prze-poczonej koszuli złocisty, rycerski pas.

— Galdemare jestem, z drużyny księcia Tankreda — rzekł ochrypłym z wysiłku głosem — schowałem pas, by nikt nie zobaczył, że rycerz w takim upodleniu idzie...

— Galdemare — wykrzyknął Ademar — wyście z Castel-lanem mieli przyprowadzić...

— ...Idę z Montferrandów de Hainaux?... Tak.

— Na miły Bóg, co z wami? Co z nią?!

— Z nas wszystkich jam jeden ostał...

— A ona? Zginęła także nieboga!? Mówcież!

— Do niewoli wzięta... żywa... — wyznał rycerz zataczając

się ze zmęczenia pod ścianę. Biskup podparł go ramieniem, usadził, sam przyniósł wina i wody.

Galdemare otrzeźwiał nieco i mówił:

— Nogę mam przebitą dzidą i wlokę się od dwu niedziel na jednej, mieczem się jak kijem podpierając... Mogłem wcześniej przyjść... Dwa dni leżałem, ze trzy mile stąd, niepewny, mamli przynosić taką - wiadomość czy nie... Widziałem dymy obozów... Myślałem, czy dowlec się ratując żywot, czy tam pozostać i skąpiec...

— Dwa dni! A my was tak wyglądali!

— Nieklecko wyznać, że ją wzięli, tom się i nie śpieszył... Wolejbyłem mógł rzec, że zabita... Z tej też racji nie poszedłem wprost do swoich, jeno tu, do Waszej Dostojności, po radę... Książę Boemund ani książę Tankred nic o moim powrocie nie wiedzą... Radźcież, Wasza Dostojność, co począć? Wzięli ją żywą... Jakże to powiem mężowi?...

- Książę Tankred i dobry rycerz de Hainaux pojechali, onegdaj będzie tydzień, szukać zaginionej... Przetrzęsą kraj aż do gór i za góry. Mamy zatem czas zastanowić się nad tym, co począć, by prawdy okrutnej z nagła nie wyjawiać... Wytchnijcie przede wszystkim, potem opowiecie, jak było,

- Wolę opowiedzieć zaraz — odparł rycerz. — Wszystko jak na świętej spowiedzi. Przeszliśmy bezpiecznie góry. Do obozu nie było nad dwa dni drogi. Niewiasta się radowała, my też. Wtenczas napotkaliśmy Saracenów. Uciekali pono spod Mamistry, gdzie ich dobry rycerz Tankred rozniósł. Było tego pogaństwa ze dwieście koni. Nas zasię dwunastu, licząc z pacholkami. Niewiasta powiedziała: — Ślubujcie na Imię Pana naszego, że mnie nie dostaną żywej. — I my ślubowali wszyscy szczerym sercem, bo lubili my ją jak siostrę rodzoną. Uczciwa, cna białogłowa. Bierzemy kopie wpół ucha. Lecz Castellane powiada: — Ja ich zadzierzę, a wy uchodźcie z niewiastą. — Tak uczyniliśmy. On został z dwoma giermkami, my w konie, choć z ciężkim sercem. Droga tam była obrzeżona murkiem i na polach wszędy murki, że pogańcy nie mogli iść łąwą, jeno ciasnym szykiem.

Castellane, prawy rycerz, zatrzymał ich długo i pewnie pod kupą zrąbanych niełacno odnaleźć jego ciało. Mogiłę sobie usypał za życia. Odsądzili my się o milę prawie, aż to pogaństwo znów za nami wali. Daniel de Possesa prawi: — Na mnie teraz kolej zadzierzeć ich, a wy uciekajcie z niewiastą. Zdążajcie co sił do grodu... Bo grodek widzieliśmy raniej z góry, a wiadomo, że po tutejszych grodach nie masz

już Saracenów... I wraz zawrócił konia bodąc go ostrogami, i pędem ruszył na pogan nie czekając, aż oni się zbliżą. Dwaj jego giermcy za nim. Zakotłowało się strasznie. Gdy poglądnąłem w tył, widziałem tylko kłęb kurzu, który przewalał się na miejscu. Ujechaliśmy więcej jak pół mili, aż plugastwo znów nam nastaje na pięty. A było nas tylko pięciu ludzi i ta białka...

— Teraz na mnie pora — powiedział de Tenremonde — a ty uciekaj z niewiastą.

— Moja pora — odpowiadam — nie jesteś starszy niż ja...

— Ale mój koń już ustał — powiada on — a twój może jeszcze iść. — Zostało z nim dwu pachotków. Nakryli ich wnet jak szarańcza drzewo. Niewiasta powiada do mnie: — Ślubowaliście, panie. Już czas. — Ja jej na to: — Jeszcze nie, bo Tenremonde silny chłop, a gród już nie bardzo daleko. — Ale mizerykordię ze szyi zdjąłem i dałem jej na wszelki wypadek. I w konie! Ale i nasze konie ustawały. I choć Tenremonde nie zasłabł, dognały nas bezbożniki prędzej niż wpierw. Ona krzyczy: — Ślubowaliście! Ubijcie! — i nadstawia szyję. — A ja na to: — Uciekajcie! Zdążycie jeszcze do grodu! I mizerykordię macie! — I prawda jest, że mogłaby była zdążyć, ale prawdą też, że — na rany Chrystusa! jakoś nie mogłem zamachnąć się na nią mieczem. Moja wina! Ślubowałem, a nie dotrzymałem. Zarąbałem ich chyba z dziesięciu, nimem mógł spojrzeć, co z nią. Patrę, puściła wodze, chce się przebić... Pokaleczyła pierś, bo widziałem krew, ale koń się rzucał i ręka jej drżała. A ja ślubu nie strzymałem... A wkoło mnie pogany. Ani się do niej przedostać... I widziałem, Wasza Dostojność, jak jeden wielki chłop zerwał z siebie burnus i miotnął daleko. I burnus spadł jej na głowę i zamotał, a wraz skoczyli poganie i zamotaną wiązali. Jeden chwycił przed siebie jak tłumok i pognał... Zrąbałem ich chyba ze dwudziestu, aż mnie któryś ogłuszył, tarczą z dziobem w łeb grzmotnąwszy. Poniechali na polu jako nieżywego. Pod wieczór ledwom się ocknął. Noga przebita dziądą, o czym zgoła nie wiedziałem, w bitwie człowiek nie myśli o takich drobiazgach. Wkoło trupy. Niewiasty nie ma. Do-pieroz sobie wszystko wspomniałem i biadać począłem, że żyję ja jeden, ślubu nie strzymawszy... W tej hańbie nieznośnej zwlokłem pancierz i hełm, pas chowając pod koszulę. Mieczem się podpierając pokuśtykałem do grodu. Tam się za pachotkę podałem, nie pomnę już wiele dni leżąc pod murem jak Łazarz. Żywili mnie ludzie z litości, ale zebrany

chleb trudno przechodzi przez gębę... Ormiany widziały z murów naszą ostatnią potrzebę, lecz bały się iść na pomoc. W tych schizmatykach, wiadomo, zajęcze i wątle serca. Powiadał mi jeden, co od Genuńczyków wyuczył się nieco naszej mowy, że nie dziw, iż niewiastę żywą wzięli, bo sam kalif przykazał chwycić, skoro się tylko da, niewiasty Franków i do Bagdadu wieźć, żeby po nich dochować się dzieci. Bo te pogany mówią, że siła Franków idzie z matczynego żywota i tkwi w kobiecym pokarmie, jak moc i wspaniałość lwa tkwią w pokarmie lwicy... Za każdą żywą brankę szlchetnego rodu wielką pono obiecał nagrodę...

— ...Dopieroz mnie zapiekł wstyd... Jakoż zdam sprawę księciu Tankredowi? Jakoż dobremu rycerzowi de Hainaux powiem, że jego niewiasta wzięta przez pogan na rozplód?... A tym ci gorzej, iż niestara ona jeszcze i kształtna, i może niejednego syna urodzić, i jak słusznie pogany się spodziewają, będą to dzieci rycerskie i najprzedniejszej krwi... Więc jakże to rzec mężowi?...

Urwał, przygnieciony pogardą, jaką czuł dla samego siebie. Osłabłym głosem kończył:

— ...Dlatego dopiero dziś wrócił... Dwa dni... dwa dni leżałem na tamtym wzgórzu, na dymy patrząc i nie wiedząc, czyli przyjsz tu, czy nie... Nikt mnie jeszcze w obozie nie widział, nie poznał...

Powiedzcie, Wasza Dostojność, co czynić? Chyba śmierć sobie zadać, bo jakże żyć w takiej hańbie?

— Nie ma hańby — odparł żywo biskup — jesteście dobrym rycerzem, de Galdemare, srogi padł wyrok boski, oj, srogi, ale to nie wasza wina...

— Moja wina, bom ślubowałem nie dać jej żywą... Jakże to powiem mężowi?

— Iście lżej by mu było sądzić, że umarła...

- Głowę bym dał — szepnął głucho Galdemare — byle móc rzec, że widziałem, jak martwa upadła...

- Co zresztą pewnikiem się stało... Ręczyć można, że nieboga już nie żyje... na pierwszym postoju śmierć sobie zadała pewnikiem...

- Mogła nie zdołać... Będą jej strzegli...

To się zagłodzi. Takie niewiasty jak ona nie rodzą poganom dzieci...

- Ja też tak sądzę — przyznał z ulgą Galdemare. Umilkli obaj. Biskup tarł dłonią wysokie czoło, ciężkie od

myśli. Co począć? Zataić prawdę ukrywając powrót Galde-Będzie to grzechem i błędem czy nie? Czy wolno skła-

mac dla oszczędzenia niepotrzebnej męki? Boć takiemu człowiekowi jak de Hainaux powiedzieć, że jego żonę wzięto do haremu, to ponad siły człowiecze! I co by z tego okrucieństwa przyszło? Przecież jej już nie odbije, nie dogoni... nie odnajdzie... Czymże wiadomość o śmierci w porównaniu z trwającą całe życie świadomością, że ona żyje w haremie!

Wyobraźnia ludzka może stworzyć piekło, którego nikt nie wytrzyma...

...Ukryję go... Niech de Hainaiuc nie dcwie się prawdy... postanowił.

Lecz w tej chwili uderzyła go inna strona zagadnienia. A jeżeli udręczonemu mężowi lżej będzie wiedzieć, że tli się iskra nadziei? Nadziei, bez nadziei... niemożliwości, przecie możliwości? Jeżeli miłość rycerska

de Hainaux jest wyższa nad jego dumę? Jeśli tej nadziei zechce się uczepić i zawi-snąć na niej, by żyć?...
...Póki się drogie oczy nie zamknęły na zawsze, póki stopy obojga chodzą po tej samej ziemi, utkanie nici możliwe...

...Nie, nie! Nie będzie mu lżej! Taka nadzieja to męka. Stokroć lepsza cisza śmierci. Cisza nad mogiłą. Była... nie ma jej... zginęła...

A gdyby jednak... wróciła?... Gdyby Bóg chciał cud okazać?

Nie wolno śmiertelnemu grzesznikowi poprawiać wyroków boskich. Nie wolno ich przeinaczać.

— Co począć? Co począć? — biadał dalej Galdemare.

— Nic — odparł biskup stanowczym już głosem. — Księciu Tankredowi i dobremu rycerzowi de Hainaux powiesz, gdy wrócą, prawdę rzeczywistą, żywą...

...Tak ma być...

Odprawił rycerza do italskiego obozu, odsyłając go wymoszczonym wozem, sam pozostał ze swymi myślami. Chciał się modlić, lecz umysł błędził gdzie indziej. Korowodem przesuwały się przed oczami postacie, które w świętej wyprawie znalazły już śmierć albo nieszczęście. Tłumy, co poszły z Piotrem Eremitą, co zginęły na Węgrzech w Sawie, w Bizancjum, pod Civitot... pod Niceą, pod Dorylejskimi Wzgórzami... na pustyni. Rzesze... rzesze... Przerażliwy upust krwi... Dość ludzi, by zaludnić nimi całe kraje... Od Francji po Antiochię cała droga wymoszczona kośćmi. Bieleją użyte jako szańce, zaścielają mostem długi szlak pochodu... Szlak ten zostanie pamiętny przez wieki. Ile krwi, ile łez, ile ludzkiego nieszczęścia... Każdy z idących miał swoją tragedię, co szła z nim razem, dojrzewała nieomylnie, rosła, by w odpowiedniej chwili

rozbić się nad głową ofiary. Więc przeklęta wyprawa? O, nie. Cóż wyprawa temu winna? Zarodki swej udreki każdy' wyniósł z domu, jeno tam działanie ich byłoby powolne, rozłożone na lata, stępione przyzwyczajeniem. Boć i umrzeć musiałby każdy, choć może cokolwiek później... Grozę wyprawy stanowiło zagęszczenie gromadnie zdarzeń, unaocznienie nędzy ludzkiej doli. Ludzka dola! Biskupowi przypomniał się obraz często spotykany w kościołach, przedstawiający taniec śmierci. Tragiczny wir, w który wprzęgnięci są wszyscy, nikt się nie może uchylić... Takim obrazem była też krucjata... Ludzka dola! Gdybyż znaleźć w niej ślad uśmiechu, bodaj cień wesela! Przed oczyma Ademara stanęły znów tłumy, wyruszające z Clermont, dziecinnie ufne, niefrasobliwe, radosne. Dziewczęta plotące wieńce z wiosennego kwiecica, dzieci o niczym złym nie wiedzące... Gdzież one są? O życie, sroższe od śmierci, coś z nimi zrobiło? Niegdyś przeklinał śmierć: *Pallida Mors aequo pulsata pede pauperum tabernas ieguque tur r es...*

Dziś przeklinał życie. To rodzeństwo jest warte jedno drugiego. I któż by miał odwagę je znieść bez świadomości, że równie życie jak śmierć są jeno pachółkami, stróżującymi u wrót innego, lepszego Ładu?...

Rozdział dziesiąty

GRÓD NIMFY POGAŃSKIEJ DAFNE I ŚWIĘTEGO PIOTRA APOSTOŁA

Góry Anti Taurusu... Jakże długo w Europie wnuki i prawnuki krzyżowych rycerzy będą wspominać tę nazwę! Jak utrwali się ona w pamięci wędrowców! Kto nie uświerkł na pustym, nie zginął w bitwie, ten drętwiał teraz z lęku i grozy, zawieszony pod niebem, nad przepaścią, sięgającą, zda się, wnętrza ziemi, Uczepiony skalnego gzymsu, nie wierzył, by kiedykolwiek ktoś żywy szedł tędy przed nimi. I bodaj że się nie mylił. Bardziej na wschód lub więcej na zachód znajdują się przejścia znośniejsze, przełęczce mniej dzikie, stary gościniec rzymski prowadzący do Antiochii, lecz krzyżowcy o nim nie wiedzą. Nie wierząc przewodnikom nie zgodzili się nadłożyć drogi. Prosto iść! Nie tracić czasu! Cóż im góry? Nie nowina. Czyż nie szli przez Alpy, Bałkany, Taurus?...

I wędrują podniebnym szlakiem, tylko dla orłów dostępnym, percią tak wąską, że dwóch stóp nie zmieścisz na niej obok siebie. Raz wszedłszy, nie mogą się cofnąć. Niktą ścieżkę zagradzają strącone wichurą kamienie, mosty z głazów, przewieszki i półki. Zawiesiwszy na szyi miecze i tarcze, ludzie czepiają się palcami obrywistej ściany. Jedno niebaczne spojrzenie w dół, pod stopy, wywołuje w głowie mat, drżenie kolan i upadek. Konie spadają ciężko w otchłań, bijąc w prze-rażeniu powietrze nogami. Niektóre poszczepiano sznurami, spadają tedy szeregiem, jeden za drugim. Pozostałe zapierają się mocno kopytami w piarg, chrapiąc i cofając się. Przy cofaniu strącają tych, co idą z tyłu. Świeżo pozyskany dobytek, namioty, kotły, zapasy, broń — leci gradem w głąb przepaści.

Trzęsącą ze strachu dłońią kronikarze zapisują na postojach (piszą, by nie zasnąć, kto zaśnie, może łatwo zlecieć w przepaść, kiwnąwszy się mocniej):

...Nie wiemy, jakie miano wynaleźli dla tych przeklętych szczytów poganie. Myśmy je nazwali Górami Czarta, a przełęcz,

^{aa} której stoimy, Siedziskiem Lucycpera, a wczorajsze podejście Schodami Belzebuba. I tak się nazywać mają po wiek wieków, bo żadne im inne chrześcijańskie miano nie przystoi...

W górach Anti Taurusu, przechrzczonych na Góry Czarta, kruszą się wojska krzyżowe, jak kruszy się ziarno pod cepem. Cepami wywija śmierć. Koścista kuma sute pobiera omłoty. Bryła armii topnieje ciągle jak zaspą śniegu na wiosnę. Jednakże idzie, jednakże jeszcze istnieje, jednakże po dniach podniebnej wędrówki schodzi w dolinę, znów zdziesiątkowana, znów spieszona, wyczerpana bezsennością, górską chorobą i głodem, lecz równie jak poprzednio nieustraszona i nie zniechęcona. Odpoczywają w dolinie Maraszu, pięknej i obfitej jak szczęśliwe żniwa. Dziwny świat ta Azja Mniejsza. Nie masz w niej nic połowicznego, umiarkowanego, zwykłego. Albo dostatek, bogaty we wszystkie ponęty i rozkosze ziemi, albo pustynia śmiertelna lub dzikie skalne urwiska. Wahania między jednym a drugim nie znajdziesz.

I nie dziw, że ludzie wierzą, iż tutaj, nie indziej, był Raj. Jeden krok, i z czarującej obfitości Adam i Ewa, grzeszni pra-rodzice, znaleźli się na przeklętym pustkowiu, ciernie i osty rodzącym. Jeden krok... Granica naznaczona mieczem przez cheruba...

Przez dolinę Maraszu, tak różną od przebytej grozy, że ludzie patrząc wokół nie są pewni, czyli nie śnią, wojsko zmierza ku Antiochii. Oczekiwany z dawna gród wyłania się przed ich oczyma niespodziewanie, odległy zaledwie o godzinę drogi, gdyż pobliskie wzgórza zasłaniały dotychczas miasto Apostoła. Stanąwszy w miejscu, Latyńcy patrzą w milczeniu. Niektórzy klękają w pyłe ziemi, żegnają się krzyżem, w głos dziękują Bogu. Zda im się, że już widzą Ziemię Świętą, że są u jej wrót. — Antiochia... Pierwsze napotkane miasto, które znają, o którym wiedzą z Ewangelii...

Jest dzień świętej Ireny, męczenniczki, dwudziestego października, czwartej ferii, dwunastego dnia przed kalendami listopadowymi, roku Pańskiego . Trzecia jesień. Trzeci rok...

_ W Antiochii emir Dżagi Sjan zamknął się z trzydziestu tyłkami wyborowego wojska, zebrał zapasy żywności i czeka.

Murów Antiochii broni trzysta sześćdziesiąt wież. Mury są

-K
rzyżowcy I, III/IY

gładkie, potężne, olbrzymie jak skały. Z południowej strony, od bramy świętego Pawła do bramy świętego Jerzego, na przestrzeni dwóch mil nie ma w nich przerwy, przejścia ani wrót. Naga, ślepa ściana wspina się na skały, sterczy na zboczach góry Pierius, góry Silpius i stromego szczytu Kassius, ochraniających z trzech stron miasto. Tylko orzeł mógłby tędy przelecieć do grodu. Nikt do murów nie zdoła przystawić drabiny ani podtoczyć oblężniczej wieży...

Wspinające się na skały mury, dla których wzniesienia Wielki Seleukos poświęcił życie miliona niewolników, obejmują cztery strome wzgórza obwarowane jak baszty. Na najwyższej, najniebezpieczniejszej iglicy wznosi się cytadela, kasztel obronny, którego załoga panuje z wyżyny nad całym miastem. Tam przebywa każdorazowy władca grodu, z niezdobyczej strażnicy, górującej nad całą doliną Orontu, trzymając w należnych ryzach bogate mieszczaństwo i zawsze skłoną do buntów hołotę grodzką.

Od północnej strony chroni mury płynąca sierpem rzeka Orontes. Od Bramy Morskiej do Bramy Mostowej mury grodu zdają się wyrastać wprost z wody. Dalej, gdzie między murami a rzeką pozostaje wolne miejsce, rozsiadły się letnie siedziby antiocheńskich bogaczy. Przecudne pałace, rozkoszne ogrody. Przepychnięte kwiaty schodzą tarasami aż do rzeki. Barwne płatki sypią się rojem na wodę. Róże, róże, wszakże tu ojczyzna róż... Wieczorem w ruchliwych falach odbijają się niezliczone światła, przypominające noce bizantyjskie. Z domów ukrytych w gąszczu kwitnących krzewów dochodzą dźwięki muzyki i śpiewu. Na każdym z pałaców wiszą krzyże, starannie dotychczas przed mahometanami ukrywane, złociste ikony z wyobrażeniem Chrystusa Pantokratora, Przczystej Theotokos, świętego Teodora Stratilatosa albo świętego Jerzego — by Latyńcy poznali z dala bez ochyby, że tu mieszkają swoi, chrześcijanie.

Zazwyczaj razem z pierwszym deszczem, zwiastunem pory zimowej, mieszkańcy pięknych ogrodów opuszczają swe pałace, przenosząc się do dworców posiadanych w grodzie. Dziś przeciwnie. Podrażnieni podejściem Latyńców muzułmanie odnoszą się wrogo do Ormian i Syryjczyków podejrzewając ich o sprzyjanie najeźdźcy. Więc kto może, ucieka z miasta na przedmieścia w obawie gorszych prześladowań i na zbliżające się wojska spozierają z letnich pałaców nie tylko nieruchome lica świętych. Przez zakratowane okna gynaeceów zerkają wielkie podczernione oczy, śmieją się

barwione usta.

Ojcowie i matki modlą się w zawartych na głucho komnatach, płaczą i drżą z lęku przed tym, co wojna przyniesie, lecz młódki o to nie dbają. Jedynie starzy boją się odmiany. Dla młodego wszystko dobre i ciekawe. Przy tym kobiety antiocheńskie wierzą, że cokolwiek by się działo na świecie, mężczyzna jest mężczyzną, kobieta — kobietą, i nie masz okoliczności, w których by nie mogli razem kilku chwil przyjemnych zażyć...

Na Oroncie znajduje się most wielki, kamienny, zwany śpi* żowym, Pons Ferrus, a przez pogan Gessr-il-Hadir. Budowali go Rzymianie. U wejścia stróżują dwie potężne wieże, które basileusowie dla większej mocy kazali obić spiżowymi blachami, skąd pochodzi nazwa mostu. Naprzeciw, zawarta na głucho, wznosi się Brama Mostowa. Na lewo od niej Bramy: Morska i Świętego Jerzego. Na prawo Bramy: Psia i Świętego Pawła Apostoła. Więcej bram nie ma mimo ogromu grodu, uważanego za trzeci na świecie co do wielkości. Pierwszy Rzym, druga Aleksandria, trzecia Antiochia. W mieście stoi trzysta osiemdziesiąt kościołów o dachach pokrytych złotem, wszystkie obecnie zamienione na meczety. Muezin odprawia na nich swoje modły na pohańbienie chrześcijanom. Pozbawieni własnej świątyni (bo nie zostawiono im ni jednej), wyznawcy Boga prawdziwego chodzą modlić się na sąsiednie wzgórze, zwane Dżebal-Seman, Góra Szymona. Stoi tam wyżarty wiekiem słup kamienny, niegdyś stoisko świętego Szymona Słupnika, czyli Stylity. Nie dbając o żar słońca ni deszcze zimowe, surowy, nieugięty kaznodzieja stał tutaj przez długie lata, obrosły za życia mchem, do świątka bardziej niż do żywego człowieka podobny, wyschły i spełzły jak liść. Bezsennymi oczami patrzył nieustannie w gród tchnący rozkoszą, bogactwem, sobkostwem, umiłowaniem doczesności ponad wszystko... Od czasu gdy miasto objęli niewierni, słup surowego świętego stanowi ołtarz, przed którym kajają się i modlą skruszeni mieszkańcy Antiochii. Czasem wspinają się aż na zbocze góry Kassius, gdzie, uciepiony skały niby jaskółcze gniazdo, znajduje się starożytny klasztor Świętego Jerzego, dla trudnego dostępu nie naruszony jeszcze przez pogan.

Nieubłagany Stylita, spoglądając z nieba, radowałby się tą skrucą i żalem, gdyby, ach, gdyby odmieniły one w czymkolwiek Antiochię! Lecz cóż stąd, że ludzie przychodzą gromadnie płakać i modlić się na wzgórzu Dżebal-Seman, skoro w dawnych grzechach trwają, skoro dawne szkaradzieństwa

pienią się równie bujnie pod panowaniem miesiąca, jak drzewiej, pod panowaniem krzyża! Nadmierna zmysłowość panuje nadal. Obwieszane relikwiami, skruszone pokutnice wracają z klasztoru do grodu wprost w łóżko kochanka, a dla każdego prawego Antiocheńczyka piękno doczesne ważniejsze jest niż zbawienie duszy. I niewątpliwie święty Piotr Apostoł wyrzekł się dawno opiekuństwa tego grodu. Zaprawdę, gdyby się nim nadal opiekował, czy mógłby Ucierpieć tuż pod murami rosnący wawrzynowy gaj, niegdyś czci obrzydłych bożków pogańskich oddany? W szczególności nimfie Dafne, która po stracie kochanka uprosiła matkę Geę i Ponajosa, rodzica strumieni, by ją zamienili w drzewo laurowe. Długie, cienkie gałązki szlachetnej krzewiny powstały z włosów nadobnej dziewczycy, stopy jej wrosły korzeniami w ziemię, a cały gaj szemrze nieustannie o niedosycie życia i radości. Pośrodku gaju stoi zniszczona świątynia Apolla, gdzie dawno, dawno odprawiano misteria na wzór eleuzyjskich. Z tych obrządków i mitów pogańskich strzelała podświadoma wiedza o nieśmiertelnej duszy i kto wie, czy nimfy z wawrzynowego gaju oraz surowy Szymon Słupnik nie mogliby współżyć, gdyby... gdyby byli w stanie się zrozumieć...

Ale nie byli w stanie. I nienawidzili się. Szymon Słupnik nie cierpiał śmiechu, radości i tańca. Bożki z gaju — powagi i odpowiedzialności. Od wieków wydzielali sobie wzajemnie dusze mieszkańców, walcząc o panowanie nad nimi. W tej walce święty Stylita odnosił porażkę.

Sybarytyzm, właściwy Antiochii, miękka rozwiązłość, wypływająca ze zbytku obfitości, z nadto ułatwionego życia, panowały nagminnie nie tylko wśród miejscowych, lecz ogarniały każdego z przybyszów, władających krajem: Greków, muzułmanów, niebawem przyjdzie kolej na Latynów. Nie ostaną się i oni. Ulegną. Pójdą za podszeptem pogańskiej nimfy Dafne, nie za wołaniem Stylity... Dlaczego? Czyż w prowansalskiej ziemi mało było ruin, kęcin, powalonych bożków, jaśniejących bielą marmuru skroś drzew? Czyż ludzie nie chodzili składać im cichaczem ofiar, a matki nieplodne czyż nie pocierały zapasek o kamienne uda? Jednakże na rycerzach nie robiło to żadnego wrażenia ani oddziaływało na ich duszę i obyczaj. Czemuż tu miękli jak wosk? Może był temu winien Wschód, dziwny, tajemniczy, olśniewający, rozkładający, przepojony zapachami, lenistwem, rozkoszą? Obcy

świat, w który wkroczyli nieprzygo-

towani. Albo też, że w kraju siła zamarych bogów wygasła, nie pamiętano nawet ich imienia. Tu zaś, w grodzie świętego Piotra Apostoła, w grodzie surowego Szymona Słupnika, miano Apolla, promiennego syna Słońca, znane było jeszcze każdemu. Każdy niemal pamiętał, że zwano go niegdyś Aigle-tes, Jaśniejący, Argyrotoxos, Srebrnołuki, a przede wszystkim Archegetes. Początek wszystkiego.

Naprzeciw Bramy Świętego Pawła, na płaskich, bezleśnych wzgórzach Boemund rozłożył się warownym obozem. Na prawo od niego w dolinie na wprost Bramy Psiej stanęli obaj Roberci, Hugo i Szczepan de Blois. Całą przestrzeń od Bramy Psiej do Bramy Mostowej obsadził Rajmund St. Gilles. Od Bramy Mostowej do Bramy Morskiej i dalej czuwał God-fryd de Bouillon. Tylko Brama Świętego Jerzego nie została obsadzona z powodu niemożności rozbicia tam obozu. Poszczególne oddziały stróżowały przy niej kolejno.

W rozmieszczaniu obozów, sypaniu wkoło nich szańców nikt na razie nie przeszkadza. Dżagi-Sjan czeka spokojnie, aż nadejdą zapowiedziane posiłki z Bagdadu, Persji, Egiptu. Cały islam ciągnie tutaj, by zgnieść na koniec niewiernych. Nie warto zaczynać walki, póki nie będą już blisko. Toteż na murach nie widać nikogo. I po co? Chroni je sama niedostępność, gładkość, ogrom. Spoglądając na silne płaszczyzny od-kosów, na wypukłe biodra wież, każdy czuje bezowocność kucia albo rąbania, jak to robiono pod Niceą. Dziecioł usiłujący rozwalić potężną wieżę kościelną nie byłby chyba śmieszniejszy.

Niewątpliwie mużłmanie śledzą przez otwory strzelnic wszystko, co się na zewnątrz dzieje, nie wychodzą jednak wcale, nie odpowiadają na krzyki, zaczepki, nie wysyłają har-cowników. Ta obojętność napełnia baronów dufnością i przekonaniem, że pogany drżą ze strachu, biskupa Ademara —• niepokojem. Wie z doświadczenia, że dla wojsk krzyżowych nie masz nic gorszego nad długi postój w jednym miejscu. Co myślą pogany? Dlaczego nie przyjmują walki? Można by przysiąc, że miasto wymarło. Nie wymarło jednak, bo gdy kiedyś grono rycerzy podjechało tuż pod mury łączące imię Proroka i jego macierz diabelską, dzidami stukając w bramę, z niewidocznej strzelnicy buchnął nagle kłęb greckiego ognia, spłynął pomiędzy jeźdźców płomienistym jęzorem, poparzył konie, które poniosły z trwogi jak szalone. O, przeklęte po-

gany! Zawziętość rycerska przeciw nim wzrosła do nie znanych przedtem rozmiarów. O, psie syny! Ceniono ich za męstwo, a ot, jak się odptalali! Milczkiem, zaczajeni, szpetną, niegodziwą bronią plują na dobrych rycerzy!

— Zabierajmy się co szybciej do robienia beluard — nawoływał Rajmund St. Gilles na radzie baronów. — Bogu dzięki, mamy cieśli, co wiedzą, jak je ten cygan Pantopulos budował...

— Ej, przydałby się znów Pantopulos, chociaż krętaacz!

— Damy sobie radę bez niego... Cieśle...

— Cieśli, niestety, jest niewiele — ubolewał biskup — widno wyschli na pustyni albo spadli w górach. Kazałem otrąbić, by się zgłaszali do roboty. Jak dotąd, przyszło czterech...

— Ci czterej wyuczają innych. Grunt, żeby zacząć...

— Beluard trzeba z dziesięć, a wysokie! Hej, dwa razy takie jak tamte w Nicei!...

— Kęs czasu zajmie ta praca...

— Kęs czasu — przytwierdził biskup. — Dlatego nim się do tego zabierzem, trzeba o czym innym pomyśleć. Mamy tu jadła w bród. Ziarna wszędy pełno, paszy też, owoców, wina, oliwy też. Bydła, owiec, kóz, bez liku. Trzeba to zaszanować, aby wystarczyło. Na razie siła dobra się marnuje. Sam widziałem, jadąc przez obozy, jako koniom ścielą słomę pod brzuchy, choć jeszcze ciepło, a paszy zadają im na noc tyle, że nawet połowy nie mogą zjeść i biorą pod nogi, gnojąc. Serce boli, gdy się patrzy na takie marnowanie. To samo z jadłem. Przy uboju godne kęsy mięsa rzuca się psom, bo ludziom już nie smakuje! Pacholcy ciskają za sobą jagłami. Chleb wszędy się poniewiera, aż grzech. Tak nie może być. Dziś nadmiar, za miesiąc może być niedostatek...

— Niedostatek?! — powtarzają niedowierzająco — Wasza Dostojność! Chyba nie widzieliście, wuela tego jest!?... Starczy dla wszystkich.

— Ale na jak długo?

— Och, na tyle czasu, wiele będzie trwało oblężenie...

— Kiedyż tego czasu nikt naprzód nie zmierzy... Pod Niceą straciliśmy więcej jak osiem niedziel, a

cóż jest Nicea przy Antiochii!

— Ba, pod Niceą tośmy jeszcze nie wiedzieli, jak oblegać...

— I teraz niewiele wiemy... Toteż trzeba zaraz zebrać, zliczyć, przemierzyć wszystkie zapasy, jakie są w okolicy. Zwieźć

do spichrzów czy składów, skąd pod rachunkiem tyle, ile ich wypada na głowę, wydawać... Śmieją się z tej mniszej, księżowskiej zabiegliwości. Niby rycerski człek, a wyłazi z niego klecha! Zliczyć... Zwieźć... A juźci! Będziemy przychodzić do Waszej Dostojności po miarkę mąki czy lampkę oliwy...

Biskupa nie wzruszają te prześmiewki.

— Nie wy, szlachetni panowie, będziecie przychodzić, tylko wiernik, od każdego obozuznaczony. Ten przyjedzie z wozami i ludźmi raz na tydzień, wybierając tyle, ile ustalim, że dla danego obozu potrzeba...

— Zgoda! — mówią równocześnie Boemund, Szczepan i Robert Flandryjski. Lecz pozostali nie chcą słyszeć. Nawet obojętny na wszystko Godfryd krzywi się niechętnie. To wygląda, jakby się zbierali rok siedzieć, a on chce być na Gody w Betlejem...

— Obyśmy gorzko nie żalowali, jeśli tego nie zrobimy — ostrzega biskup. — I nie dość jest zwieźć zapasy... Pola, z których teraz zebrano (pono tutaj dwa razy w jednym roku zbierają pszenicę!) trzeba dojrzeć, żeby były porządnie zasiane... Ludzie ze wsi pouciekali w góry, jak się nie uda ich spędzić na powrót, musimy obsiać sami.

Wesołość rycerstwa dobiega szczytu na to nieoczekiwane zamierzenie. Co za pomysł! Orać i siać!-Na wojnie! W obcym kraju! Orać i siać! Czy kiedykolwiek słyszano o czymś podobnym? !

— Obyśmy gorzko nie żalowali, jeśli tego nie zrobimy — powtarza uparcie biskup.

Rozdział jedenasty KTO DOSTAŁ MATA?

Najpilniejszym obecnie zajęciem, oblegających było zbudowanie odpowiedniej ilości wież oblężniczych, bez których ani marzyć o zdobyciu grodu. Lecz praca ta szła niesporo. Zebrani /e wszystkich obozów cieśle podejmowali się wprawdzie zrobić beluardy takie same, jakie pod przewodnictwem Greka robili w Nicei, ale tylko takie same. Tu zaś potrzebne były znacznie, znacznie wyższe. Na tym szczególnie utykało całe przedsięwzięcie. Wzajemny stosunek części przy zmienionej wysokości wymykał się pojęciu prostych budowniczych, nie znających żadnych przyrządów ni miar i opierających się wyłącznie na pamięci wzrokowej i wyczuciu ręki. Sądziło, że wystarczy zrobić machinę dwakroć wyższą, by sprostała zadaniu. Powtarzało się to samo, co cztery miesiące temu: niedołączne szkielety wież, zbyt wysokie lub zbyt ciężkie, przewracały się albo w ogóle nie chciały ruszyć z miejsca. Trzeba było rozpocząć budowę od nowa. Szło na to wiele czasu, budulca i trudu.

Podczas gdy plebs, piesi wojacy, pachołcy, woźnice, pracowicie stukali toporami, rycerstwo spędzało czas w zupełnej beczynności. Nie mieli nawet tej, co pod Niceą, rozrywki rąbania murów i wyłażenia na nie po drabinie. Zabawiali się wiać z Syryjkami, jeździli na łowy, objeżdżali gród patrząc, czy gdzie poganin nie wychyla głowy, by weń oszczepem rzucić czy z łuku ustrzelić, i kłócili się o to, kto ma strzec Bramy Świętego Jerzego.

Brama ta, powierzona pieczy zbiorowej, nieszczególnie była pilnowana, gdyż baroni rzadko zgadzali się co do kolejności straży. Skoro stojący na straży oddział uważał, że nadeszła pora, by drugi go zmienić, odchodził uroczyście z rozwiniętymi znakami i wrzawą trąb. Posterunek pustoszał na pół dnia, czasem na dłużej. Darmo biskup gorszył się, martwił i gniewał. Saraceni, uporczywie niewidoczni za murami, przestawali być dla rycerzy rzeczywistością, wymagającą czujności,

Ormiany plotły, że ich jest trzydzieści tysięcy... Bajki niewątpliwe! Jest ich zaledwie garstka. Boją się nosa wysunąć...

Brama Świętego Jerzego wychodziła na gościniec idący przez góry ku południowi. W pobliżu nie było żadnej osady. Gościniec tuż za bramą wchodził w wąwóz skalisty, cienisty. Cienkie potoczki spływały ze ścian płacząc się jak srebrne nici, zanim rozbiły się na dnie wąwozu o wydrążone gładko kamienie. Wokoło panowała doskonała cisza i zupełne odosobnienie. Od czasu nadejścia Latyńców nikt tędy nie jeździł.

Korzystał z tego archidiakon Alberon, by tu spotykać piękną panią, darzącą go swoją przyjaźnią. Choć w Antiochii nikt się niczym nie gorszy, lepiej z dala od oczu ludzkich, skorych do obmowy... Alberon nie jest złym chłopcem, trochę tylko lekkomyślnym. Przy tym, dla czego, mój Boże, przeznaczono go dzieckiem na księdza, ani pytając o zdanie? Z usposobienia nie nadaje się na duchownego. Miłuje zewnętrzne, łatwe piękno życia. Urodził się na to, by być pieśniarzem niewiast i miłości. W surowym obyczaju latyńskim hamował się i łamał, w drodze rozmiękł całkowicie, tłumacząc sam sobie, że sroga wędrówka i związane z nią niebezpieczeństwa wynagradzają dostatecznie drobne uchybienia ślubom. Zresztą, któż by się oparł rozkosznym pokusom Antiochii?

Wszystko w tym mieście skłania do grzechu. Miejscowi dowcipnicy zaręczają, iż surowy Szymon Stylita dlatego wszedł na słup, że nie dowierzał sam sobie. Jedyne na tej wysokości mógł pozostać świętym... Alberon uważa się za rozgrzeszonego słuchając tej gadki. Nie czuje się powołanym, by być Szymonem Słupnikiem, i zamiast włączyć na słup idzie do wozu na miłe spotkanie. Piękna pani zwie się Miriam, mąż jej, Ben Makary, należy do najbogatszych kupców antiocheńskich. Pałac ich leży nad rzeką i pani przyjeżdża na tę stronę łodzią. Obecnie Alberon leżąc na trawie u jej stóp, obutych w złote sandały, powtarza pisane dla niej wiersze własnego układu:
...Saluto te, speciosa, Pulchra, clara et formosa! In te gloriabor, Tu, facie liliosa, Si placeo: graciosa, Utiq̄ue laetabor...

Był dumny z tych rymów, których małżonka Ben Makare-go nie mogła zresztą ocenić, umiając po łacinie tylko tyle, wiele ją zdołał przez krótki czas wspólnej znajomości nauczyć. Podobał się jej jednak dźwięk słów i kazała sobie wiersz powtarzać kilkakrotnie, bez niechęci spoglądając na urodziwą głowę poety. Zaprawdę, ci Lacyńcy nie wszyscy są barbarzyńcami! Nie gorsi od muzułmanów. Przy tym obcowanie z nimi nie pociąga za sobą grzechu śmiertelnego, tylko powszedni, który jedna pielgrzymka do klasztoru Świętego Jerzego łatwo zgładzi.

— ...Powodzenia, ojciec wielbny! Powodzenia! — zawołał nagle jakiś wesoły głos.

Alberon poderwał się czerwony, zmieszany i odetchnął, po-znawszy Hugona de Vermandois.

— Moi ludzie odchodzą od bramy, bo już tydzień dziś, jak stoją — objaśnił królewski brat — a ja skręciłem w bok oba-czyć, jak tu wygląda...

Zeskoczył z konia, rzucając wodze pachołkowi i podszedł bliżej, wyświeżony, piękny, strojny, prawdziwy wytwornis̄ grecki.

— Umie po naszymu? — zapytał półgłosem kłoniąc się nisko przed Miriam.

— Tyle co nic.

— To lepiej. Po co ma wszystko rozumieć. Ależ gładka!

Fiu... fiu... Gdzieżeście ją znaleźli?

— Mieszka za rzeką. Widuję ją"czasem w nadziei, że uda mi się odciągnąć ją od schizmatyckiej wiary i ku prawdziwej nakłonić...

Hugo spojrział na mówiącego z osłupieniem i parsknął śmiechem.

— Więc to apostolskie dzieło!? Gadajcie komu innemu!... Ja

przecie i tak was nie zdradzę...

— Wiem o tym... — Alberon wytarł spoconą twarz połą jedwabnego kaftana — będę wam, grabio, istotnie wdzięczny... Rozumiecie, że...

— Ależ rozumiem, rozumiem — zaręczał uspokajająco Hugo klepiąc archidiacona po ramieniu — macie szczęście, że ja się napatoczyłem, nie kto inny... Normany nadejdą zaraz moich zmienić, i gdyby tu podszedł Omer Guillebaut... No! On i bez tego powiada, że musi was śledzić...

— Omer Guillebaut? „Czapla z Kalateryjskiego kraju"? Cóż on ma do mnie?

— Nie wiem co, ale ma. Słyszałem sam... Nie macie w nim przyjaciela... Więc ta ślicznotka mieszka za rzeką, i sama?

— Sama nieboga. Męża pogany wzięły jako zakładnika.

— Wszystkich pogany wzięły jako zakładników... Wszystkich... Aż mi dziwno czasami... Miałem ich już dziewięć, każda to samo prawi... Zresztą pogany miały przednią myśl, my korzystamy na czysto... O, co to?... Szachy?... — dodał zauważywszy leżącą na jedwabnej wzorzystej chuście małą szachownicę, przy niej rozsypane figurki z kości słoniowej i agatu.

— A szachy. Posądzacie nas, grabio, o bezeceństwo, a my po prostu zabawiamy się grą... Przed chwilą dała mi mata...

— Pierwszy raz słyszę, żeby niewiasta umiała grać w szachy! Żadna z naszych białogłów nie jest w stanie zapamiętać bodaj prawideł... Muszę z nią zagrać... — zapowiedział Hugo. Nie zważając, że lico Alberona zdradzało niedwuznacznie, iż wolałby pozostać ponownie sam na sam ze swoją miłą, usiadł na ziemi obok prześlicznej Syryjki. Pociągnął nosem z zachwytem. Jakichże cudnych wonności używały te kobiety! Można się upić samym zapachem... Czym to wonie?... Goździk... ambra... róża i jeszcze co?

— • Który kolor? — zapytał wesoło, wyciągając ku niewieście zamknięte dłonie. Przechyliła zalotnie

głowę kunsztownie uczesaną, z uśmiechem dotykając jego lewej dłoni wypieszczonymi palcami. Choć otworzył garść ukazując czarnego króla, nie cofnęła ręki, jak gdyby przez zapomnienie...

Alberon nieżyczliwym okiem śledził te zabiegi, i Hugo uznał za stosowne wytłumaczyć się.

— ...Pozostałem tutaj przez przyjaźń dla was... Normany lada chwila nadjadą... Jeszcze was obaczą i obmowa gotowa... Moja obecność całkiem zmienia sprawę... Pierwszy powiem, że zdybaliście mnie na grzechu i nakłaniali do pokuty...

— Normany nie przyjdą dziś — rzekł kwaśno Alberon.

— Niemożliwe! Przecież moi już odeszli!

— Co z tego? Słyszałem, jak Robert mówił do Arnulda, że ich tydzień od jutra się zaczyna...

— Ale mój dziś się kończy! Moi ludzie nie będą za nich pracować!

Niecierpliwie wzruszył ramionami rozstawiając szachy.

— Niech robią, co chcą... Ja swoje odprawiłem, a reszta mnie nie obchodzi. Grajmy, moja piękna...

Przysunął się bliżej do Miriam, która uśmiechnęła się, mówiąc po syryjsku coś, czego nie rozumieli. Głos miała podob-

ny do gędziolenia ptaka. Nie zważając na rozżalony wyraz twarzy Alberona, Hugo objął ją ramieniem.

Suwali szachami

w milczeniu.

— E, babskie granie — zauważył grabią de Vermandois — maluczko, a dam jej mata...

— Tak prędko?...

—• Mogą ręczyć, że w cztery posunięcia będzie po niej...

— Jesteście, grabio, dobrym szachistą... Mnie pobiła...

— O, mnie nikt nie pobije... Ja mam głowę naprawdę zadziwiającą — stwierdził Hugo z przekonaniem. — A co, nie mówiłem? Straciłaś, dzierlatko, hetmana... Poddaj się lepiej od razu...

Zrozumiała, o co chodzi, i śmiała się trzęsąc głową przecząco. Nagle drgnęła. Z pobliskich zarośli wyszedł brodaty niewolnik i skłonił się nisko, ukazując trzymane na ramieniu wiosło.

— To jej sługa, przewoźnik — objaśnił z ulgą Alberon —• czeka zawdy w tych krzakach i daje znak, że już pora jechać. Dziś czegoś wcześniej niż zwykle...

— Czemu ma wracać, skoro męża nie ma!?

— Świekra jest, której się boi...

— Do licha ze świekrą! Właśnie miałem jej dać mata... — biadał Hugo usiłując zatrzymać odchodzącą. Śmiała się srebrzyście, szepnęła po łacinie: „Do jutra” — owinęła głowę lekką chmurką gazy i zebrawszy szachy pobiegła za brodaczem, który szedł naprzód powoli.

Gdy zniknęła z oczu, Hugo i Alberon ruszyli w stronę mostu gawędząc przyjacielsko. Pacholek Hugona jechał za nimi stępa, wiodąc konia swego pana.

— Dobrze się tu żyje! — stwierdził Hugo, przeciągając z rozkoszą ramiona: — Co za kraj! Co za kobiety! Jak w Bizancjum, tylko że tam człowiek był jeszcze głupi i nie korzystał ze wszystkiego, jak należy... Żal mi was, że nie możecie, chyba ukradkiem... Zawdy jestem wdzięczny rodzicom, że mi łba nie postrzygli, co snadno mogli uczynić, bom młodszy... Nieludzka to rzecz żyć bez niewiast... śluby czystości, owszem mogą być, ale po sześćdziesiątce, nie wcześniej... Bym był Ojcem świętym, nie pozwoliłbym młodszych do zakonu ani do święceń przyjmować...

— A przede wszystkim dziećmi w duchowne zapisywać... — szepnął z goryczą Alberon.

— ...Nie jestem, Bogu dzięki, klechę — ciągnął Hugo — żonę ostawiłem doma... Nie pilnuje mnie nikt jak Elwira tego

biedaka Rajmunda... Nie ślubowałem czystości jak Godfryd... Od iluż klęsk uchronił mnie święty Dionizy, patron naszego dobrego miasta! Ufunduję mu kapliczkę po powrocie w podzięce za to, żem swobodny i mogę brać miód, gdzie mi się podoba...

— Tak... Święty stan duchowny nakłada ciężkie obowiązki i ograniczenia... — westchnął pobożnie Alberon.

Hugo zaniósł się szczerym śmiechem.

- Coś nie bardzo się ograniczacie! Najładniejsza kobieta, jaką dotąd tu spotkałem... z wami!...

- Cichajcie, grabio —• prosił archidiakon — ludzie tu się kręcą, jeszcze kto posłysz, pomyśli, Bóg wie co, a wszakże widzieliście sami, żeśmy tylko w szachy grali... Wiersze jej też swoje mówiłem...

— Wiersze! Jakże? Powiedźcie...

Alberon powtórzył nie tając słusznej dumy. Hugo słuchał zachwycony.

— I Szczepan de Blois, i żaden z trubadurów lepiej nie potrafi — zapewnił — piękna rzecz... obaczę, czyli spamiętam: *Saluto, te giaciosa...*

— *Speciosa.*

- *Saluto, te speciosa... Pulchia... E*, jakbyście mi to z łaski swojej na karteluszkę spisali?... Wprawdzie niewiasty o co innego dbają więcej niż o wiersze, czasem jednak może się przydać... A najważniejsze to, że nie będą nas miały za barbarzyńców...

— Spiszę z przyjemnością.

W tymże samym czasie piękna Miriam przepływała rzekę wracając do swego pałacu. Sześciu tęgich niewolników robiło wiosłami. Brodacz jej nie towarzyszył. Uszedłszy kilkanaście kroków, skrył się w krzakach i czekał. Gdy obaj rycerze oddalili się dostatecznie daleko, puścił się pędem z powrotem ku Bramie Świętego Jerzego. Biegając oglądał się bacznie, czy nie ma kogo w pobliżu. Nie było. Stał zadyszany pod bramą. Wrota były wielkie spiżowe, przepięknie kute w bizantyjskie rozdarte orły i sceny bitewne. Na wskroś tych rzeźb muzułmanie przybili pasy z brązu z wrytymi na nich surami Koranu. W potężnych wierzejach wyróżniły się małe drzewce, tak ściśle dochodzące, że nie było ich wcale widać z oddalenia. Brodacz obejrzał się jeszcze raz i zakołatał do tych drzeweczek.

— Kto tam? — zapytano z wewnątrz po arabsku.

— Ben Makary.

Drzewce się uchyliły. Brodacz wszedł do środka. Dziesięciu żołnierzy patrzy na niego z obrzydzeniem. Aga idzie po szelka. Szeik schodzi ku niemu ze strażnicy nad bramą.

— Co przynosisz?

Ben Makary kłania się nisko, do samej ziemi.

— Brama nie będzie strzeżona do rana.

— Czy to pewne?

— Prawie. Jeden oddział odszedł, a drugi powiedział, że nie przyjdzie aż jutro.

— Więc nic?

— Nic.

— Możesz odejść, psie niewierny. I Ben Makary odchodzi.

Rozdział dwunasty W KTÓRYM IMBRAM PRZERWAŁ ORKĘ

Pora deszczowa nadchodziła szybko, nie przynosząc w położeniu oblegających i obleganych żadnej zmiany i nikt już w obozie nie spodziewał się obchodzić Godów w Betlejem. Daj Boże przynajmniej Wielkanoc spędzić u Grobu Świętego.

Choć zima antiocheńska nie przypomina w niczym lutej pory zim frankońskich, owerniackich, lotaryńskich czy śląskich, ludzi ogarniało lenistwo i pragnienie snu. Ciągnęło, by zwinąć się w kłębek, zakopać i zasnąć, jak to czyni mądry miś, jaźwiec, borsuk lub kolczasty jeź. Albo chociaż siedzieć przy ognisku nie troszcząc się o nic i słuchając, co prawią gędziarze.

W każdym innym kraju, w innych okolicznościach, biskup nie byłby ganił tej chęci spoczynku, uważając ją owszem za pożyteczną i potrzebną. Ale nie tutaj, nie tutaj! Stąd byłby rad zabrać rycerstwo co rychlej, nie zostawiając w bezczynności ni tygodnia. Miał bystry wzrok. Widział jasno. Co rozpoczęło Bizancjum, kończyła Antiochia. Zbytek codziennego bytowania, zmysłowa natarczywość kobiet, wymyślność życia stawały się groźną trucizną dla ludzi prostych, twardych, nie przygotowanych. Uciekać od tych ponęt, uciekać co prędzej! A tymczasem zanosilo się na dobrych kilka miesięcy przymusowego pobytu.

Olbrzymia twierdza stała jak poprzednio. Budowanie wież oblężniczych wlokło się ślimaczo. Cieśle byli nieudolni. Poza tym brakło pił, toporów, gwoździ, wszelkiego sprzętu ciesielskiego, który poniechano na pustyni albo opuszczono w górach. Rycerstwo narzekało na zwłokę, ale żadnemu z wojów nie byłoby przyszło do głowy przyłożyć się samemu do roboty, udzielić wskazówki. Tygodnie mijały. Biskupowi przychodziło już do głowy, by poniechać oblężenia, pozostawić An-tiochię i ruszać dalej na południe. Lecz baronowie sprzeciwili się jednogłośnie i kto wie, czy tym razem nie mieli słuszno->ci. Zostawienie nieprzyjaciela na tyłach było nie tylko nie-

bezpieczne, lecz sprzeczne z dobrymi zasadami rycerstwa, Wojska łatyńskie nie odstąpią murów, nie zdobywszy grodu.

Ale kiedy to nastąpi?

Jedyne powodzenie, jakie zaszło w tym czasie, dotyczyło Bramy Świętego Jerzego. Kilkakrotnie ślady

kopyt na rozmięklej ziemi, nawóz koński i wielbłądzi na gościńcu, wiodącym ku niej, zwracały uwagę biskupa, że Saraceni otrzymują niewątpliwie tą drogą posiłki albo ściągają żywność. Mówił o tym baronom, którzy zaprzeczyli stanowczo takiej możliwości utrzymując, że brama jest świetnie przez nich strzeżona. Jednak jakoś na" krótko przed Marcinem pachołcy, łowiący ryby w strumieniu, nadbiegli z krzykiem, że kupa wozów wjeżdża do twierdzy od strony wąwozu. Iście, brama w tę godzinę nie była obsadzona wcale. Lotaryńczycy odeszli, Flan-dryjczycy nie nadeszli. Pogany snadź tylko na to czekały. Długi wąż objuczonych wielbłądów i osłów wchodził do bramy, mijając się w przejściu z tłumem zakwefionych kobiet, które widno odsyłano z grodu na południe, by zaoszczędzić obrońcom żywności. Rajmund St. Gilles i Tankred, każdy z oddziałkiem kilkaset ludzi liczącym, dopadli pierwsi. Z twierdzy wyskoczył przeciw nim silny oddział jazdy mużułmańskiej. Bramę za nimi zawarto. W ścieśnionej przestrzeni u wejścia wąwozu zaczęła się bitwa tym sroższa i krwawsza, że nie stało miejsca, by rozwinąć się, ustawić w szyku. Ludzie deptali po sobie, walczyli piętrami, warstwami, tratowali końmi wyjące wniebogłosa kobiety. Oddział mużułmański wytracono doszczętnie. Większość kobiet zginęła pod kopytami, nieliczne rozbiegły się po górach, wdrapały na ściany wąwozu. Z murów leciały gradem oszczepy, chmurą strzały. Miotano grecki ogień, lecz w podnieceniu walki mało kto na niego zważał. Niesamowity lęk przysł. Straszliwa broń, bardziej działająca na wyobraźnię niż szkodliwa rzeczywistość, przestała robić wrażenie. Rozjuszeni bowiem rycerze przypuścili wściekły szturm do bramy, praskając w nią głazami, drzewami i czym się dało. Ale spiżowe wrota nie drgnęły.

Nieoczekiwane starcie otrzeźwiło nieco rycerzy, przywróciło zaniedbane poczucie czujności. Wróg nie okazywał się ani lęklwym, ani tak bezsilnym, jak wnoszono z jego przyczajenia za murami. Lecz czuwanie u bramy nawet w razie zgodnego ustalenia godzin straży było trudne z winy gruntu. Od częstych ulewnych deszczów wąwóz zamieniał się w rwącą rzekę. Zmoknięci woje narzekali i kryli się pod skałami. Przerwano więc na jakiś czas budowanie wież, wszystkich

ludzi zapędzając do wznoszenia drewnianego kasztelu osadzonego na skale tuż na wprost bramy. Kasztel składał się z wielkiej przysadzistej wieży, znacznie szerszej u dołu niż u góry, zakończonej zębatym gankiem-strażnicą, podzielonej na cztery piętra. Do wieży przywierały niskie klecie, przeznaczone na pomieszczenie dla ludzi i koni. Wejście do wieży oraz obie przybudówki zasłaniał przed pociskami wroga gruby częstokół z wielkich pali prostopadle ustawionych. By trzymały się mocno skalistego gruntu, przywalono je z zewnątrz i od wewnątrz kamieniami. Nie tracąc daremnie czasu na rąbanie skały, zużyto na ten cel nagrobki rozległego cmentarza mużułmańskiego, leżącego nie opodal. Skośnie ustawione, stanowiły doskonałe podpory dla częstokołu. Patrząc z murów na to znieważenie zmarłych, poganie wylili z oburzenia i próżno starali się dosięgnąć budujących pociskami. Kilkakrotnie otwierali bramę dla wypadu, sikając ogniem greckim na rozpoczętą budowlę i rozpędzając robotników. Lecz czuwający teraz nieustannie rycerze spadali na nich jak burza, i nie zdarzyło się, by którykolwiek z wypadających powrócił żywy do grodu, tym bardziej że załoga bała się otwierać bramę niedobitkom. Wobec szczupłości miejsca jednak każdorazowa bitwa niszczyła zaczętą robotę. W obawie, że kasztelu nigdy nie ukończą, zniecierpliwieni Latańcy siłą tysiąca ramion podtoczyli pod wrota odłamy skalne tak wielkie, spiętrzyli je tak wysoko, że żadna moc nie mogła odewrzeć od wewnątrz zawartych na wieki wierzei. Teraz poganie mogli przeszkadzać tylko sięgając strzałami, kamieniami, ogniem z murów lub próbując wypadu przez Bramę Mostową. Lecz tamtej strzeżono pilnie i w dwie niedziele później kasztel był gotowy. Niezdarny, ponury, ale mocny i pojemny. Starym, używanym w kraju sposobem obito go skórami bydlęcymi dla ochrony przed pożarem. Deszcze padały ustawicznie, więc skóry nie wysychały. Kasztel nazwano Malhommerie, Strażnica Przeciw Złym Ludziom, a stałe dowództwo nad nim objął Tankred.

Po dwóch miesiącach rzekomego oblężenia, bezmyślnie straconych, twierdza była na koniec rzeczywistość zamknięta i pozbawiona łączności ze światem.

Baroni cieszyli się z tego jak z zapowiedzi rychłego zwycięstwa, lecz biskup nie przestawał nawoływać do ostrożności, oszczędności, zastanowienia. W twierdzy zgromadzono niewątpliwie wielkie zapasy, pozwalające trzymać się kilka miękcy, jak zaś wyglądać będzie latański przednówek? Gdy mu ze śmiechem pokazywano długie rowy pełne ziarna, niezliczone stada bydła, pasące się na pastwiskach, zapytywał, czyli wiedzą, że na wyżywienie wojska idzie dziennie dwa tysiące wołów i cztery tysiące świń? I połowa rowu z ziarnem? A przy oszczędnej gospodarce mogłaby tego wychodzić połowa... To nie Nicea, gdzie galery bizantyjskie przyływały raz na tydzień, przywożąc zapasy. Trzeba pamiętać o wiośnie!

O wiosnie!

— Ależ na wiosnę będziemy już w Jeruzalem!

— A jeżeli nie będziemy?...

— Kraczecie, Wasza Dostojałość, jak kruk...

— Bodajbym krakał zbytecznie... W naszej mocy zaradzić złemu obsiewając pola...

Znów ten pomysł dziwaczny! Wzruszali ramionami, zapewniając, że niech sobie sieje sam, jeśli go to bawi.

Nigdy jeszcze na świecie żaden rycerz nie zajmował się czasu wojny gospodarką!

Więc Ademar de Monteil siał sam. Zagnał do roboty wszystkich swoich ludzi, karbowym nad nimi ustanawiając Waltera Bez Mienia. Chudy olbrzym z wiszącym na szyi mieczem zbyt miłował i ślepo słuchał biskupa, by mu się w czymkolwiek przeciwzić, toteż chodził posłusznie po polu dozorując poganiaczy wołów. Pochylony ku przodowi, w kusym kubraku, wyglądał z dala jak bocian. Biskup dojeżdżał częściej, niż tego zachodziła potrzeba. Widok pracy rolnej ciągnął go jak odpoczynek. Nie masz bo rzeczy bardziej uspokajającej niż orka lub siew. Symbol odwiecznego ładu, porządku rzeczy, siły życia, utrzymującej się mimo wszystko i zawsze. I miło było na tej dalekiej obczyźnie patrzeć, jako woły napierają jarzmo ciągnąc sochę. Socha była ta sama, co w kraju, jak gdyby nigdzie na świecie nie wymyślono nic prostszego i zarazem bardziej celowego niż rozwidlenie korzeni, poddających się kierowniczej dłoni, i umieszczenie w nich lemiesza drewnianego.

Podczas jednej z tych bytności Ademar spotkał Imbrama. Najmłodszy ze Strzegoniów objeżdżał od kilku dni młodego, zdobycznego konia, a po drodze nie omieszkał ani razu przystanąć, by popatrzeć na orzących.

Podobnie jak biskup czuł mimowolny, głęboki szacunek, patrząc na ziemię, muł, z którego Bóg stworzył rodzaj ludzki, proch, w który obróci się wszelkie żywe stworzenie.

Stali obok siebie spoglądając w milczeniu. Ademar przemówił pierwszy:

— Rycerze śmieją się ze mnie, że cudze pola uprawiam, ja wzdyc mówię, że to pożyteczna i dobra rzecz. Siał zawsze warto, choć nie wiada, kto zbierać będzie... Zali tak pewni jesteście siejąc na swoim?... Siał jest sprawa dobra sama w sobie. Boże zajęcie. Chrystus Pan lubił nazywać się Siewcą. Kto sieje wiatr — zbiera burzę, ale kto sieje ziarno — zbiera błogosławieństwo... Cieszę się, że to obsiał, choć Boga proszę, byśmy nie potrzebowali ze zbioru korzystać...

Imbram słuchał z uwagą, rozumiejąc nie tyle słowa, co myśl samą. Godziła w jego najistotniejsze upodobania.

Co tu mówić? Od dawna cniło mu się bez roli. Dlatego przystanął popatrzeć, dlatego w parę dni później, ukrywając się starannie przed Zbylutem i resztą swojaków, upatrzył piękny kawałek pola, przylegający z jednej strony do jeziora, z drugiej do oliwkowego gaju, i kazał go pacholkom zorać.

Żałował, że nie wie, czy żyje i gdzie się podziewa Chebda. Instynktem czuł, że miałby w nim sojusznika. I jak biegłego w zawodzie! Nikt nie potrafił wyciągnąć linii tak równo jak on. Skiba pod jego ręką biegła gładko i prosto niby warkocz miódki. To była robota, nie grzebanie tych francuskich wy-włoków, do śpiewu i kufla tylko zdatnych! Imbram nie śmiał powiedzieć biskupowi, że partola, aż pożałował Boże, ale co myślał, to myślał...

Niestety, Chebdy nie było. Imbram nie widział go od owego przelotnego pojawienia się pod Niko-medią, gdy sam pozwolił mu odejść, ku oburzeniu Głowacza. Czy pętał się gdzieś lub skapiał po drodze jak tyłu innych — nie wiadomo.

Co prawda Sobek, choć młody, powinien też robotę znać i Imbram zawczasu zadowolony pociągnął w pole w parę godzin po wyjściu pacholków. Lecz spodziewana przyjemność zmieniła się w gniew. Paskudzili wszyscy nie gorzej od bi-skupowych. Jelita wywracały się w człowieku, patrząc na taką robotę! Nie przykładali się wcale, uważając pomysł orki na cudzym za pańską, niedorzeczną zachciankę. Najgorzej wyglądał Benito. Jego skiba skakała beztróskim zygzakiem po polu, świecąc omijkami z daleka.

— Po jakimu orzesz?! — krzyczał nań ostro Imbram, zatrzymując konia.

— E... bo to nie wojacka rzecz... — mruczał chłopiec drapiąc się frasobliwie w głowę. Czuł się upokorzony nowym zajęciem. Nie miał najmniejszego namaszczenia do ziemi, nie znał jej zbożnego trudu.

— ...Italczyk jucha... — pomyślał z gniewem Imbram •— och, że też tu nie ma Chebdy!

Objeżdżał namarszczony, patrząc krzywym okiem. Głowa-cza krew by zalała.

— Na psa taka robota! Żeby mi to w mig poprawić!

Nie trzeba było powtarzać. Sam widok pana wystarczył, by Sobek i pozostałe pacholki zabrały się rzetelniej do pracy, tylko Benito skakał po dawnemu. Chciał, naprawdę chciał ale nigdy tego nie robił, nie umiał.

— Osły ci poganiać, nie woły! — przygadywał Imbram.

— Czy to nie wszystko jedno, czy będzie prosto, czy krzywo?... — bąknął chłopak niechętnie.

— Ej, ty, żeby ci ja pasem nie wlepił! Wszystko jedno dla ciebie? Nie słyszałeś, że przy ziemi albo wcale nie Iza robić, albo uczciwie? Ziemię trzeba szanować, wiesz?!

•— Ja ją szanuję, ale nie zdolę — odparł chłopak na wpeł z płaczem.

— No, to zbieraj się precz, a daj mnie.

Oddał mu konia do trzymania, sam ujął pług. Ach, co za rozkosz! Aż odetchnął z głębi piersi. Skiba tłusta, połyskująca, lepka odkłada się z wolna... Długi szlak rozpruwa ziemię, ziemię uprawną, tę samą w Azji, co w

kraju... Ogarnęła go ciepła bliskość macierzy odwiecznej, poczucie, że czyni to, co mu jest najbardziej przyrodzone i właściwe, a czego był z dawna pozbawiony. Aż się nad tym zastanowił. Byłżeby więcej rolnikiem niżli rycerzem? Co milsze: bitwa czy oranie albo siejba? W najskrytszej kryjówce duszy wyznał, że chyba to drugie. Na krótko miecz, a na stałe — pług. Z rozkoszą zagłębiając stopy w pulchnej ziemi, nawoływał woły po swojemu: — K'sobie! Wista! — Gdy patrzył na ich strome, mocne zady, zdawało mu się, że jest w domu, orze nowinę pod lasem. Zapach ziemi, zawsze i wszędzie jednaki, przeniósł go w swoje strony wyraziście żywą jawą. Tak, to nowina pod lasem... Gniade woły stąpają równo... Pacholek, młodszy Chebdów, pogania... K'sobie... Wista!... Wieczór się zbliża. Mgły wyszły ponad ściernisko. Od lasu idzie Ofka... Śpiewa: Oj, dana... da dana... oj dana, da dana... oj dana... Wnet tu nadejdzie. Na jeżyny chodziła do boru. Ma ich pełną króbkę z kory. Krocząc z wolna, prawie obrzędowo, naciskając silnie sochę, Imbram czeka na swą miłą. Jak dobrze, że tu się zeszli! Najmilej im przebywać ze sobą z dala od domu. Można śmiać się, swawolić i pieścić, nie gorsząc ni-

kogo, nie budząc wydziwian Boguchy ani podśmiejchów Zby-luta. W domu Ofce gęby nie wolno otworzyć, to sobie tutaj używa, śpiewa, śmieje się, rzekoce. Słowa dźwięczne, puste, szczebiotliwe, nic nie znaczące, lecz przez to najmilsze, sypią się jej z ust jak ćwierkanie ptaka. Urwała czegoś śpiewanie. Imbram wie dobrze, co teraz nastąpi. Podbiegnie ku niemu prędko, nieco zdyszana. Powie: Bojam się, czy to nie wiły w tej mgle?... ...Pójdź, miła, pójdź... Jakżeś się dziś wystroiła! W najpiękniejszą szafirową suknię, przywiezioną jeszcze za nieboszczyka króla z Kijowa, suknię carogrodzką, co ją pono tkwały raby greckie. Ostatni raz miała ją na sobie, gdy przyjmowali od pochrzestnych godne, a teraz bierze do lasu? Nie szkoda to? Długa frędzla nie zarosi, nie zadyrpie się na wrzosach?... mniejsza o szatę, o frędzlę, pójdź już prędzej, miła... Wnet woły pogonim do domu... Aby do miedzy doorać i pójdziemy... Z białej chusty patrzy ukochana twarz... Nie patrząc Imbram widzi głębokie wnęki oczu, na dnie których leżą bławe tafle źrenic, nos prosty, cienki, drgający, usta małe jak u dziecka, zawdy skore do śmiechu lub płaczu... Wysmu-kłość szyi kruchej jak łądyga... O, kształcie nadobny, kształcie wdzięczny, co za szczęście ujrzeć cię po długiej rozłące takim samym, jakim byłeś! Obaczyć na licu tę samą grę pierzchliwych cieni, barw, ruchliwych drgnień, sprawiających, że te oczy, te usta, te lica milsze są niż wszystkie inne... Jakżeż się stało, że niedawno temu Imbram przypominać sobie musiał obraz ukochanej? Dziś stoi przed nim żywa, jak niegdyś, i zawdy... Nachyla się ku niemu tuż, tuż blisko... Mówi coś... Co?... Ostatni raz... Toś rzekła?! Ostatni raz?... Na Boga!!...

Przetarł oczy rozbudzony nagle, oszołomiony wyrazistością snu czy zjawy i nagłym jej pierzchnięciem. Czuł się rozbity, na poły tylko otrzeźwiał. Gdzież był? Nie w domu? Chyba nie... Niedaleko obca rzeka... Za nią wrogie miasto, które oblegają rycerze... On jest jednym z nich... Tutaj woły, pług, pole... Benito osowiały wlecze się za nim... Ofki nie ma... Nie ma!? Ależ nie! Z całego snu jedna Ofka była rzeczywistością i oto jest, oto jest! Ona sama! Carogrodzką suknią błękitnieje o parę kroków przed nim... Czy to cud?! Już chce lecieć, za ręce chwytać, gdy spostrzega swą omyłkę. Suknia jest ta sama, isticie bliźniaczo ta sama, ale zawicie inaczej związane, a pod zawiciem inna twarz, twarz ciemna, podłużna... Wielkie, czarne oczy. Lękliwe ruchy. Podchodzi 'do Im-

brama gadając niezrozumiale. On nie patrzy na nią, patrzy na suknię.

— Widzi mi się, że ta baba chce, żeby Wasza Miłość za nią szła... — stwierdza Benito półgłosem. Benito ma słuszość. O to właśnie chodzi kobiecie, Widać to jasno z jej kocich, zapraszających ruchów. Dłonią ukazuje niezbyt oddalone pierzaste kłęby drzew, bielejący wśród nich dom. Imbram patrzy na nią nieprzytomnie, dotąd jeszcze nie rozumie, co się dzieje. Przecież przed chwilą widział Ofkę, ukochaną swoją żonę... Widział ją równie wyraźnie jak tę... Niepojęty urok sprawił, że suknia Ofki została, lecz zmieniła się niewiasta... Zapragnął dojsć dna zagadki i poszedł za wzywającą. Musiała być niskiego stanu, przysłana przez kogoś innego, gdyż ukazując ręką drogę przed nim, sama cofała się z szacunkiem o pół kroku w tył i Imbram, nie chcąc tracić z oczu sukni Ofczynej, musiał się ciągle oglądać. Weszli do ogrodu, a raczej gaju oliwek, sykomorów, drzew figowych i drzew rodzących czerwone jak ogień granaty. Wielkie uwiedle, zniszczone deszczem powoje zwieszały się z konarów niby splecione węże. W powietrzu trwał zapach zbutwiałych liści, zalegających ziemię grubą warstwą. Przed domem, w stylu bizantyjsko-arabskim wzniesionym, połyskiwała sadzawka o brzegach wyłożonych marmurem. Wodotrysk szumiął i pluskał pośrodku. W zaroślach krzyczał przeraźliwie paw. Przez cudnie rzeźbione odrzwia weszli na kwadratowy dziedziniec otoczony kolumnadą. Pod stopami dźwięczały marmurowe płyty. Górą, zwyczajem antiocheńskim, tamowała światło dnia zaciągnięta nad całym dziedzińcem barwista, jedwabna zasłona. Siejące się przez nią promienie padały kolorowymi smugami. Z zasłanej poduszkami ławy podniosła się z wolna kobieta w białej szacie rozciętej wysoko z boku. Oczy miała przedłużone barwiczką aż do skroni, usta wymalowane, na włosach zawój z lekkiej jak mgła gazy. Uśmiechała się do gościa czarująco. Szafirowa suknia znikła, ani się spostrzegł kiedy. Oglądał się za nią zakłopotany. Inna niewolnica przyniosła na tacy dwa kielichy z winem. Po wierzchu perlistego płynu pływały płatki różane. Strojna

Syryjka podawała mu z uśmiechem kielich. Wypił niezgrabnie, niezdarnie odchrząknął, splunął. Patrzyła na niego z ciekawością i nieukrytym rozczarowaniem. —• Ujrzałam was z daleka, rycerzu, pracującego i sądząc,

że musicie być zmęczeni, chciałam ugościć... — rzekła po grecku. —• Mój mąż jest zakładnikiem, w niewoli u pogan...

Każdej chwili drzę o jego życie... O, kiedyż nas wyzwolicie?!

Nie rozumiał ani słowa. Choć od roku prawie ocierał się

język grecki i sporo już słów rozumiał, tym razem nie silił się wcale pojąć, co do niego mówiła. Nie wierzył w rzeczywistość przygody, czekając, rychło sen pryśnie. Jedyłą jak dotąd rzeczą istotną była błękitna suknia, i oglądał się za nią z niepokojem. Nie rozumiejąc, czego by chciał, gospodyni powiodła go z dziedzińca do sali. Sala miała ściany wyłożone porcelaną lazuruwą, który to kolor chroni od uroków. Podniebienie drewniane cudownie rzeźbione. Na posadzce mozaika, przedstawiająca wodę zmarszczoną wietrzykiem, prześwitujący skroś wody piasek dna, płaszące po nim ryby

długie spływne wodorosty. Złudzenie obrazu było tak rzeczywiste, że Imbram zawahał się i stąpając podniósł wysoko stopę, by się nie zamaczać. Pani śmiała się z jego omyłki. Mówiła coś bezustannie, sadzając go obok siebie na niskiej sofie pełnej miękkich, lśniących poduszek, barwnych niby rajskie ptaki. Zapytywała, czy to prawda, że rycerzom latyn-skim nie wolno miłować niewiast, i czy kobiety ich są uro-dziwsze od tutejszych?... I czy to prawda, że wędrują tak długo, i czy podoba im się tutaj, w Antiochii? I czy zwyciężą pogan? I czy mają tylko jedną żonę, czy więcej? — Mówiła żywo, ruchami ślicznych rąk starając się zobrazować słowa, lecz on patrzył na nią tępo i niechętnie, dając doskonały pozór prostaka i gbura. Nagle poderwał się żwawo niby rozbudzony. Na dziedzińcu zabłękitniała ponownie Ofczyna suknia. Wskazał ją ręką, pytając głośno, dobitnie, co to za kobieta? Słowa jego brzmiały dla gospodyni równie niezrozumiale, jak dla niego jej poprzednia przemowa, lecz zrozumiała wzrok i gest.

— Alocha... — mruknęła niechętnie. Urażone pogardliwe zdziwienie przemknęło chłodem po twarzy. Odwróciła głowę i wzruszyła ramionami.

Imbram nie dał za wygraną. Było mu obojętne, co o nim pomyśli ktokolwiek. Przecież to wszystko nie działo się naprawdę, tylko we śnie! Wstał i poszedł na dziedziniec prosto ku błękitnej. Onieśmielona, nie wiedząc czego by chciał, pierzchła do ogrodu. Pobiegł za nią. Benito coraz bardziej zdziwiony gapił się trzymając konia przy stopniach wejściowych. Pawie rozkrzyczały się znowu, bo zbierało się na deszcz. Imbram dopadł Alochy po drugiej stronie sadzawki.

Chwyił brutalnie za ramię. Bezpośrednio, niby uderzenie obuchem, spadła nań świadomość, że już trzeci rok pozostaje wierny nieobecnej żonie, trzeci rok żyje jak mnich. Krew wspięła się w nim jak koń, nozdrza zadygotały. Kobieta

sukni i postawie Ofki a cudzej twarzy spojrziała na riiego ukradkiem. Przez lica jej przeleciał tłum uczuć. I lęk, i zakłopotanie, i zadowolenie, że została przeniesiona nad panią,

zdziwienie, i oddanie. Lęk przemógł inne uczucia. Wprawdzie śmiertelnie zapewne urażona pani nie raczyła wyjść za niegodnym, lecz nie brak innych oczu, które śledzą i skrzętnie jej wszystko doniosą. Dobrze jeszcze, jeżeli skończy się na chłóście... Co będzie, jeśli pani każe wyrwać nozdrza zuchwałej niewolnicy albo obciąć piersi?... Nie, nie! Zwinnym łasiczym ruchem wyrwała się i uciekła. Imbram stał dłuższą chwilę nieruchomo, przecierając czoło. Co się z nim działo? Jak strasznie chciał tej kobiety!... Przecież to nie była Ofka, nie była wcale podobna do Ofki!... Tylko suknia... Cóż stąd?... Suknia... A on chciał kobiety... Ofka była jasna, a ta ciemna... To nic... W sukni były czary... De la Tour opowiadał kiedyś, że zakochana dziewczyna utkała dla miłego obuwie jedwabne. W obuwiu tkwiła taka moc, że kto je włożył, płonął miłością i pożądaniem. Błękitna suknia musiała być zaczarowana podobnie...

— Chodźmy — rzekł do Benita. Dosiadł konia i ruszył stępą. Zapomniał o orce, o ludziach pracujących w polu, idący z tyłu Benito nie kwapił się o nich przypominać. Naraz rycerz obejrzał się, zatrzymał konia, przystanął. Coś mo-drzało na skraju lasu... Może woda?... Może suknia?... Zeskoczył na ziemię. Benito pochwyił wodze.

— Czekaj tutaj, aż ja wrócę — rzucił mu zduszonym głosem.

Rozdział trzynasty FEMINA INSTRUMENTOM DIABOLI

Ademar de Monteil na prośbę Swenona jechał do duńskiego obozu pomówić w cztery oczy z Floriną. Już niejednokrotnie królewicz duński uzał się przed nim na swoje życie. — Wolej byśmy się zgoła nie widywali — mówił — wolej byśmy w rozłące żyli niż w takiej utropie! Zamiłowaliśmy się od pierwszego wejrzenia, a teraz ino patrzeć, jak się zaniienawidzimy... Przecie kiedyś może zdobędziemy Grób Święty, może wrócimy do kraju?... Jak wtedy żyć! Jak stać się zgodnym małżeństwem, gdy ninie tylko kłótnie między nami?... Ona mi wroga, a ja jej obcy... A przecie się miłujemy...

- Pogadam z nią — obiecał Ademar i teraz jechał markotny. Floriną wydała mu się starsza, odmieniona.

Urodziwa, ale jakże niepodobna do prostowłosej, ślicznej dziewczeczki, widzianej kiedyś w Clermont! Chmurna, zacięta jej twarz przypominała raczej Blanę de Montbeliard. Czuło się w niej nieustanny opór, napięcie gotowe do obrony. Po pierwszych słowach biskupa wybuchła żalem na męża. Dziki człowiek! Nie daje jej spokoju dzień i noc! W ciągłych wyrzutach, lamentach... Czyż nie może spokojnie czekać jak ona?! Jej też nielekkko. Też ma w żyłach krew, nie wodę. A przecie czeka. I dotrzyma.

— Nie znasz mężczyzn, moje dziecko — wzdycha biskup — nie znasz życia. Boję się, byście w grzech gorszy nie wpadli... Nie psujcie sobie doli... Przysięgaliście jako dzieci. Zwolnię was. Mam tę moc... Bóg rozwiąże wasze nieopatrzne śluby...

Poruszyła głową przecząco, nie otwierając zaciśniętych ust. Nie, nie! Córka burgundzkiego domu nie cofa danego słowa. Nie chce zwolnienia z przysięgi. Powiedziała, że wytrzyma.

Biskup patrzy w nią badawczo.

— Obawiam się, moje dziecko — mówi z wolna •—• że więcej, niż miłość Pana naszego i chęć uczczenia Grobu Świętego, kieruje tobą pycha... Z pychy, nie z pobożności odrzu-

casz zwolnienie, któreć ofiaruję... Strzeż się, bo to srogi grzech...

Florina wybuchła płaczem i płacze długo, żałośnie. Biskup odjechał. Płaczącą zastaje Swenon. Serce w nim mięknie, nie znosi widoku jej łez. Pragnie utulić, pocieszyć. Modlił się przed chwilą żarliwie, prosił Boga o pomoc i łaskę wytrwania, ofiarowywał Mu swoje strapienia i wrócił skrzepiony, pogodny, gotowy dźwigać je nadal. Pochyliła się nad Floriną, nad swoją ukochaną dziewczyną-zoną. Naprawdę, naprawdę nie chce nic od niej, jeno uściskać jak przyjaciela. Powiedzieć dobre słowo i takież w zamian posłyszeć. Przepuszcza, że na razie to by mu wystarczyło.

Lecz pod dotknięciem mężowskiego ramienia Florina zrywa się jak oparzona. Odrąca go szorstko, woła duegnę, głupawą, starą Boninę. W Swenonie burzy się krew. Zapomina poprzednich, dobrych postanowień. Między obojgiem wybucha długa, cierpka, zjadła sprzeczka, pełna goryczy, niezawinionych wyrzutów i żalu.

— Bodą j es gorzko nad swoim uporem nie płakała! — krzyczy Swenon —• bodajeś swojej i mojej duszy nie zgubiła! Serca nie masz! Na pustyni oddałaś mi wodę, choćem cię o to nie prosił, a ninie com bardziej pragnący, nie chcesz się zlitować!

— Dyc i dziś oddałabym za ciebie życie — odpowiada ona cicho.

— Nie chcę twojego życia! Chcę ciebie! Mojaś jest! Moja! Biskup prawil, że nas zwolni...

— Ale ja siebie nie zwolnię...

— Co mam robić, co mam robić?! — zawodzi Swenon — do syryjskich dziewczek pójść, jako inne chodzą!?

Żle wybrał groźbę. Tym Floriny nie nastraszy. Odrzuca głowę z dumnym oburzeniem.

— Idź, jeśli ci dziewczka mnie zastąpi! Ale pomnij, że potem... ani cię znam, ani cię kiedy uwidzę...

— Ty będziesz winna, nie ja...

•—• Ja winna?! Ja?! Że ty przysięgi nie umiesz dochować?!

— Boże! Boże! — szlocha Swenon zrozpaczony.

Zawiera się w swoim namiocie, odmawia wieczery, nie chce widzieć nikogo, nawet swoich wojów. Przewraca się niespokojnie po tapczanie, wściekły, rozgorączkowany. Jak wytłumaczyć tej złej, upartej, dziecinnej, najmilszej Flori-nie to, co się z nim dzieje? Jak wytłumaczyć?! Mógł wydzier-żyć na pustyni, w górach, w pochodzie, ale nie w Antiochii!

Wszędzie, ale nie w Antiochii! W tej przeklętej dolinie chuc bije zewsząd. Ogarnia wszystkich. Każdy wodzi się z kobietą. Każdy ma kobietę. Prócz biskupa, Godfryda, starych lub chorych, nie masz takiego, co by się oparł.

Pogańskie czary — mówią ludzie. Mają słuszność. To są czary.

— Chcę z tobą gadać — powiada Zbyłut do brata głosem nie wróżącym nic dobrego — dlaczego zawierasz stan i swojego durnego Italczyka stawiasz przy nim? Co w nim masz?

— Nic ci do tego — odpowiada krótko Imbram. W ostatnich dniach stwardł, zhardział, odmienił się.

— Starszym. Mam prawo pytać. Twoje prawo słuchać.

— Miałem cię słuchać, a ty miałaś mnie miłować. I byłbym cię słuchał bracie, och, byłbym cię słuchał, gdybyś ty...

—• Miłował cię?! — parska Zbyłut. — A niedoczekanie! Za tę krzywdę, coś mi zadał?! Miłować?!

Imbram z najszczerzym zdumieniem wytrzeszcza niebieskie oczy.

- Ja ciebie skrzywdziłem? Kiedy?!

- Co ty wiesz, niedojdo — warczy Zbylut — odpowiadaj teraz, com pytał. Dlaczego zawierasz namiot?

— Moja sprawa, nie twoja. Mój namiot.

— Myślisz, że nie wiem?! Ty głupcze! Dziewkęś tam sprowadził! Dziewkę!

—• Skoro wiesz, czego się pytasz?

- Tyś śmiał! Ty!... Jakim prawem?!

Imbram krzyżuje ręce patrząc na brata z udanym spokojem.

- O co chodzi? Czy ja ci bronię wziąć drugą?

- Milcz! Milcz — pieni się Zbylut. — Wiesz dobrze! Żonę masz doma! Żonę! A tu z dziewczką paskudzisz, niewstydo.

- Ostaw moją żonę — odpowiada Imbram, złym, nie-swoim głosem. O, nie myśli się tłumaczyć przed kimkolwiek, a tym bardziej przed Zbylutem! Nikomu nie powie. Co prawda, choćby chciał, toby powiedzieć nie potrafił, że dziewczyna trzymana w namiocie złała się dłań w dziwny sposób w jedno z Ofką. Rozmawiał się w niej dlatego, że Ofkę miłował. Nie usidliła go piękna, strojna pokiśnica, na którą ani popatrzył, jeno ta, bo miała Ofczyną suknię na sobie...

Nie wyzna z tego nic. Obojętnym głosem powiada:

- Mam nałożnicę. Sama do mnie na polu przysłała. Miałem wolę wziąć, to wziąłem. Czego chcesz?

— Przegnaj ją zaraz! Zaraz! W oczy mgnienie!

— Ani myślę.

— Ja ci każę! Ja starszy! Rozumiesz?!

— Mam w zadku twoje rozkazy.

Błady z wściekłości Zbylut rzucił się jak żbik. Nim chwycił brata za gardło, ten objął go wpół i unióś do góry. Imbram był roślejszy, silniejszy. Zbylut natomiast zwinniejszy. Wodzili się jak dwa tury sprężnięte czołami, ślepiąc spode łba okiem czerwonym od nienawiści. Nienawiść rozsadała im serca, nie mieszczące się w klatce żeber. Sapali głucho. Wzajemna niechęć, zbyt długo tłumiona, buchnęła z nich jak płomień, ogarnęła. Z rozkoszą myśleli obaj o utru-pieniu drugiego, połamaniu braterskich gnatów w śmiertelnym uścisku. Benito przerażony pobiegł po Momota Zaworę jako najstarszego z grona.

— Ejże! — zawołał jąkała chwytając mocną jeszcze garścią Zbyluta za kaftan. — Du... du... dur na was zeszedł?! Ble-kotuście się na... na... nażarli? Nie hańba wam?

Puścili się niechętnie. Ręce były rozplecione, lecz oczy wiązały się dalej nienawistnie.

— O co... co... coście się po... po... powadzili? — pytał Za-wo>ra surowo.

— Zbylut się złości, żem dziewczkę do namiotu wziął! — buchnął Imbram. — Co mu do tego?! Ja mu nie wglądam, co czyni!

•—• Niewiasty nie mam, przecie dziewczek nie trzymam •— mruknął Zbylut, drżąc ze złości dłońią ocierając pot z czoła. — Ten zgnilek rozpustę nam do obozu sprowadza!

— I... i... Oświęta ma też jedną od dwu nie... nie., niedziel prawie... — zauważył Momot pojednawczo.

— Ja nie zezwolę!

— A ja się pytał nie będę.

— Nie śmiesz! — wrzasnął Zbylut w nowym napadzie wściekłości. Porwali się znów ku sobie, lecz Momot stanął pośrodku, na dobre już roześlony.

— Stać, bo was spiorę! — wrzeszczał — pa... pa... pachółków się nie wstydziecie, ry... ry... rycerze... Tfu!...

Rozeszli się, warcząc i jeżąc jak psy.

— Po... po... powiadajcie raz dorzecznie, o co wam idzie? — dopytywał Zawora.

— Dyć mówiłem. Że dziewczkę wziąłem do namiotu.

— Zbylut tej samej chciał?

— Nie! — zakrzyknął Zbylut gniewnie •— ja schizmatyczek

ładacznic nie potrzebuję, chociażem wolny, a on ma niewiastę! O jego białkę mi idzie!

— Dy... dy... dyć nie jesteś krewniakiem Imbramowej niewiasty? — zdziwił się Momot, nie rozumiejąc, o co chodzi.

Zbylut spojrział na nich obu jakby osłupiały. Syknął z pasją:

— Co wy wiecie!?! Bodaj was ziemia zeżarła! — kopnął pachółka, przewrócił stągiew z wodą i wyleciał jak opętany z namiotu.

— Zbiesił się — stwierdził Zawora — sam by chciał widno tej Sy... sy... sy... ryjki. Bo to Sy... sy... Syryjka, co?

— Tak.

—• Do... do... do... brze, że nie poganka... Nie... niektóre pobrały po... po... poganki z tych, co się ro... ro... rozlały po górach... To źle. Cza... cza... cza... rują...

Imbram nie mówił nic. Dyszał ciężko jak człowiek wyciągnięty z wody. Zmęczyło go wzburzenie przeciwne jego łagodnej naturze. Sam nie wiedział, że jest zdolny wpaść w taką złość. Naprawdę byłby z rozkoszą Zbyluta zadusił! Miał go skrzywdzić pono?... A jużci! Zawsze było na odwrót... To Zbylut krzywdził go i poniewierał...

Ściemniało się już na dworze, gdy wszedł do swego namiotu. Benito, zwolniony z uciążliwej, bo „nudnej warty, pomknął wesoło do koni. Na odgłos kroków pana Alocha podnosi się z ziemi składając głęboki ukłon. Była niewolnicą, przyzwyczajoną do pracy i poniewierki, więc nie przykrzy sobie zamknięcia, które stanowi dla niej wypoczynek. Jest syta. Nikt jej nie bije. Czuje stąd pewną wdzięczność dla nieznanego rycerza, którego pani wezwała do siebie, on zaś wybrał ją, ubogą, niewolnicę. Ten kobiecy triumf stanowi największą radość, najwydatniejsze zdarzenie jej dotychczasowego życia. Nie dziw też, że pragnie utrzymać przy sobie obcego rycerza jak najdłużej i jest szczera, gdy miłośnie oplata go ramionami...

Imbrama myśli są znacznie bardziej zawile. Wie już, że Alocha, niewolnica syryjska, nie jest Ofką. Miała tylko na sobie suknię podobną do Ofczynej. Może były w tym czary, może nie... Obciśła, mocno błękitna tkanina, uchodząca w kraju za szczyt zbytku, w Antiochii okazywała się skromnym strojem służebnicy. Ta suknia go zwiodła. Myślał, że bierze w ramiona swoją tęsknotę, a brał nieznaną kobietę. I ta kobieta obca, której mowy nie rozumie, miękka, gorąca, ćwiczona w kunszcie mi-

łosnym, odślanająca przed nim doznania nieskromne, ale rozkoszne, poczyną przesłaniać Ofkę. Już przesłoniła. Pomyłka staje się rzeczywistością. Imbram nie może już żyć bez Alo-chy. Wstydi się wchodzić do niej w dzień, lecz z rosnącą co dzień niecierpliwością czeka wieczoru. W następującej po wieczorze nocy nie ma już miejsca na myśli o Ofce...

Jednej z tych gorących nocy, gdy wyczerpany miłością bardziej niż bitwą, spał kamiennotwardym snem, zbudziło go ciche szcęknięcie. Otworzył na poły senne oko i przymknął, uderzony światłem zapalonego łuczywa. Wyolbrzymiony cień Alochy leżał na ścianach i stropie namiotu. Dlaczego zapaliła światło? Co robiła? Udając nadal, że śpi, Imbram śledził jej ruchy spod zmrużonych powiek. W pewnej chwili obróciła się ku niemu, i omal nie krzyknął ze zgrozy.

W jednej ręce trzymała nożyce, w drugiej promień włosów, jego własnych, płowych Imbramowych włosów. Obcięła mu je we śnie! We śnie! I posiadała go w swą moc. Może teraz zaczarować, jak chce. Na śmierć, na kalectwo, słabość, niemęskość, wrzody, utratę pamięci... Ucięła mu je przed chwilą. Wszakże zbudziło go dotknięcie i brzęk nożyc...

Przerażony odkryciem leżał nieruchomo, usiłując powiązać kołujące spieszenie myśli. Czarownica... Gdzie jest miecz?! Jedyne natychmiastowe zabicie wiedźmy mogłoby unieszkodliwić rozpoczęte przez nią czary. Jak niegdyś z wilkołakiem, co go spalili w chacie, nim zdążył zazonąć... Zabić ją!... Zabić...? Rozpłatać ciało, co darzy jego własne nieopisaną rozkoszą?

...Zaraz to zrobię... zaraz... jeszcze zdążę... Miecz jest tuż... —• uspokajał sam siebie i patrzył nadal.

Nie wypuszczając jego włosów z ręki, Alocha podniosła nożyce i ustrzygła sobie promień włosów znad lewej skroni. Oba pasma przemieszała starannie, przekładając włos za włos, czarny za płowym. Imbram odetchnął. Mieszała włosy, czyli że to były czary miłosne. Nie chciała mu szkodzić, jeno do siebie przywiązać.

Ale i na to nie może zezwolić! Nie dopuści do wypełnienia zaklęcia! Bo co będzie z Ofką, jeżeli czar się dokona? Co będzie! Musi zabić wiedźmę, bo jeszcze chwila, a on, Imbram zapomni Ofkę, zostanie tylko Alocha... Musi ją zabić, jeżeli nie chce stracić żony!

...Jeszcze chwila... *Jeszcze czas...*

...Dlaczego rycerz się waha?...

Ach, gdyby mógł mieć nadzieję powrotu! Gdyby mógł wie-

rzyć istotnie, że wróci?! Ależ powrót?! Szaleństwo! Odrobić na nowo, przemierzyć w tył sznur wypadków, pochodów, niebezpieczeństw, krain, pustyń, gór... Od samej myśli mąciło się w głowie. Nie, nie powróci stąd nikt. Zawędrowali przecież na krawędzie świata, a jeszcze nie koniec drogi...

...Nie powróci nigdy do starego śląskiego dworzyszczka, nie ujrzy tak czy tak Ofki ni małego synka.

...Więc po co ma zabijać Alochę? Pozbywać się jedynej pociechy świtającej na wygnaniu?... Własną ręką zgładzić pierwszą radość doznaną od lat?... Po co?...

...Niech się czar spełnia, jak chce...

Z uczuciem, że grzebie Ofkę i siebie samego, patrzył na dalsze poczynania niewolnicy. Zwinęła włosy w misterny pierścień i szepcząc jakieś zaklęcia spaliła je nad łuczywem. Paląc podstawiała dłoń, by nie uрониć

popiołu. Drobne zetlałe pyłki rozsypała trzykrotnie po łożu nie przestając szeptać coś niezrozumiale. W powietrzu był przykry zapach spalonego włosia. Dmuchała nań rozpędzając swąd w cztery strony namiotu. Poruszała się cicho jak widmo. Cień jej stał za nią na ścianie, wielki, jakby przejęty ważnością obrządku. Na koniec zgasiła łuczywo i ostrożnie, przeostrożnie wsunęła się na poprzednie miejsce na posłaniu. Nagłym gwałtownym ruchem Imbram objął jej smukłe, gorące ciało, przycisnął do siebie. Zamarła w przerażeniu... Jeśli widział?... Co z nią zrobi?... Uspokoila się rychło. Nie widział nic. Nie chciał niczego krom niej.

Hugo de Vermandois nie bez słuszności ubolewa nad Rajmundem St. Gilles i jego przymusową cnotą. Dumna Elwira widzi, co się święci w obozach, i nie puszcza męża krokiem od siebie.

— Niech się wszyscy łajdaczą, jeśli chcą — powiada z pogardą — ale ty nie będziesz. Nie po toś brał córkę królewską.

I Rajmund posłusznie siedzi w domu, z zalem przysłuchując się opowiadaniom swoich wojów o ich zadziwiających miłosnych przygodach.

Stary Anzelm de Ribeaumont ledwo już włóczy nogami. Ostatek sił i zdrowia traci na uganiecie się za Pawłem Engelramem, o którego drży. Wolej by ukochany młodzianek zginął na pustym, niżby tu miał wpaść w ręce kobiecych demonów, pochutnic, syryjskich bezwstydnie! W rozgorączko-

wanej wyobraźni starego każda kobieta wydaje się szatanem, na zgubę jego wychowanka czyhającym. Maluczko, a de Ri-beaumont zawrze sojusz z Omerem de Guillebaut i uwierzy, że rycerz normandzki pierwszy zrozumiał trafnie przepowiednie Merlinowe.

Paweł śmieje się z tych przywidzeń Anzelma.

— Nie bójcie się, opiekunie — powiada — nic mnie nie ciągnie do tych wszetecznych białogłów... Nic a nic...

I kładzie się pierwszy na spoczynek, jeszcze nim stary odmówi pacierze. A mówi je długo, polecając wychowanka wszystkim świętym po kolei. Nareszcie kończy. Podchodzi na palcach do chłopca, który zdążył dawno zasnąć. Z nieopisaną czułością dotyka palcami jego policzka, czystego, gładkiego jak wiśnia. Potem sam się kładzie. Jest bardzo zmęczony, więc rychło twardo zasypia. Gdy rozlegnie się w namiocie jego miarowe chrapanie, Paweł wstaje cichutko. Nie bacząc na chłód nocy wychodzi bosy, nie odziewając się wcale, i nie powraca aż nad ranem...

Giermek Laurenty szarpie z wściekłością za rękę Urszulę, dawną dworzkę nieboszczki Blanki, z którą są zmówieni. Podejrzewa, że go zdradziła z Wilbertem, przystojnym woźnicą rycerza de Foix. Urszula przysięga z płaczem, że nie. Wzywa na świadka Madonnę. Jest niewinna. Jest dziewczyną. Nie dotknął jej żaden chłop.

Lecz Laurenty nie wierzy. Obrzuca ją gradem najwstrętniejszych wyzwisk. Dokoła zbiera się tłum:

— Co, znów jedna z tych rozpustnic?! Sprać ją, a tego! Pod pręgierz dać!!

— Nieprawda! Matka Boska niech przyświadczy, żem nawet z nim nie gadała!

— Nie łżyj! Nie gadałaś, aleś spała!

— Nie spałam! Niech mnie tu piorun ustrzeli! Nie spałam!

— Łżesz!

— Na wodę ją nieść! — krzyczą inni. — Obaczym, czy krzywoprzysięga! ?

— Na wodę!

Tłum zbiera się coraz gęstszy. Dwadzieścia rąk trzyma dziewczynę, która wrywa się, wrzeszczy wniebogłose, szarpie, gryzie, kopie, klnie.

Nie dbają o to. Wloką oporną po ziemi, ku rzece. Stara kobieta z przeraźliwym wrzaskiem przedziera się przez tłum.

— Ostawcie! Ludzie! Córka! Moja córka!

— Do wody ją niesieni pławić!

— Powiada, że nie zna gachów... Obaczym, czy nie łże!

— Nie łże, nie! Puszczajcie ją! Ludzie! Chrześcijany! Bodaj was mór pobił... Bodajście tu skapieli! Ze mną każdą nockę sypia!... Gacha nie ina!... Puszczajcie! Do biskupa leczę... Moje dziecko! Moje dziecko!

Krzyżując wniebogłose zawraca szukać sprawiedliwości, ratunku. Tłum trzeźwieje. Cóż! Nikt po prawdzie tej dziewczyny grzeszącej nie widział, a skoro matka powiada, że nie... Laurentemu mogło się wydać z zazdrości... Puszczają oskarżoną.

— Idź z Bogiem.

Ale Urszula nie myśli odchodzić. Wściekłość w niej kipi. Z kolei ona sypie obelgami, wymyśla, krzyczy, przeklina.

— Bodaj wam ślepia wygniły! — woła. — Bodaj was trąd zeżarł żywcem! A jakbym nie była dziewczką, to

przez kogo?! Co? Nie przez upiora ani przez pogan, jeno przez którego z was! Wy świntuchy! Każdy się nocą do namiotu podkrada, a potem pierwszy na dziewczynę szczeka! Bodaj wam ozór zeszywniał! Bodaj was powietrze!...

— Cichaj! —• wołają.

— Nie ścichnę.

- Przekłeta godzina, w której niewiasty wzięto na świętą wyprawę!
Buchnęła szyderczym śmiechem.

- A kto trzyma pogańskie kobiety w namiocie!? — wrza-snęć! — Dla kogo? Kto'do nich chodzi?! Czy nie wiem, którzy się tam przekradają i powracają o świcie!? To my temu winne, co?

Umilkła nagle, spostrzegłszy biskupa. Nadjechał niepostrzeżenie.

- Idź, odziej się — rzekł spokojnie.

Oprzytomniała zawstydzona, pierchła. Biskup wiedział już od matki dziewczyny, co zaszło. Był gniewny i ostro zapowiedział ludziom, że nie im bawić się w sądy. Od tego jest władza.

Rozchodzili się stropieni. Biskup przyganił, dziewczka im na-wymyślała. Szczególnie o tych saraceńskich brankach szpetnie przymówiła. Była to prawda. Rycerz jeden lotaryński wyłokifkanaście niewiast tureckich z tych, co się rozbiegły

górach czasu świętomarcińskiej potyczki, i w swoim na-Hocie trzymał, rzekomo w celu nawrócenia na wiarę świętą,

u - K

"żółwcy t. II/IV

w rzeczywistości dla wygody swojej i swoich przyjaciół. Gadali o nim szkaradnie, że każe sobie płacić za wejście i że nie godzien być rycerzem, ale to wszystko na ucho, a tymczasem z namiotu korzystało wielu. Owe branki były to nieszczęsne stworzenia, przerażone, żyjące w ciągłej trwodze, prawie nagłe, zziębnięte, skulone. Rycerze wchodzili do ich pomieszczenia niby do jaskini szatana, z poczuciem, że gubią duszę. Zanurzali się w grzech z ponurą rozpaczą. Przed podejściem do wybranej oglądali ją z daleka, uważnie, czy nie ma ukrytych nawięzów na sobie, po czym chwyтали z nienawistnym wstrętem. W czasie zbliżenia nie znosili ze strony kobiety żadnego ruchu, słowa, bo wszystko mogło być czarem. Zaspokoivszy swe posępne pożądanie wychodzili ze świadomością, że Bóg im nie może przebaczyć, a zarazem, że mimo to tutaj powrócą. To przypisywali też czarom.

Wracając stępa do siebie biskup rozmyślał nad tymi sprawami, wobec których stał bezsilny, przerażony ciemną potęgą płci, demona najtrudniejszego do zwalczenia, nieustannie czyhającego na człowieka. Nie sądził jednak, aby kobiety były winne jego obecności w świecie. Pamiętał, że z niewiasty narodził się Chrystus. Czcić słodką postać dziewiczą w ołtarzu, a równocześnie przypisywać kobietom wszystko zło, jakie się działo, byłoby doprawdy zbyt prostodusznym! Niewiasty nie przynosiły ze sobą chuci. Cierpiały od niej równie jak mężczyźni, może więcej, boleśniej. Była ona poza. nimi. Była rozsiana w powietrzu, dyszała z ziemi, znajdowała swoje zaspokojenie wszędzie, nawet na polu bitwy. Tu, na Wschodzie, silniejsza była, groźniejsza niżli gdzie indziej. On, Ademar, nie umiał rozstrzygnąć, dlaczego Bóg zezwolił na istnienie groźnego demona i wydał świat w niewolę żądry. Sam czuł się szczęśliwy, że zwalczył już pokusę w sobie samym, zniszczył, zdeptał, wiekiem, postami, pracą, niestrudzenie czynnym życiem. Ale ile go to kosztowało, nim spokój osiągnął! Przeto nie potępia nikogo. I nie dziwił się, że prostych, bezbronnych wojów o mocarnych garściach, ale dziecinnych umysłach, to brało, rozsadzało, waliło od razu z nóg. Zmieniali się w innych ludzi. Sprawy wstydlive, sprawy łoża, o których nigdy, przenigdy nie mówiło się w gronie wejackim, wybijały się teraz na czoło myśli, stawały ważne, nagłe i palące, spychały w głąb wszelkie inne uczucia i zagadnienia. Wobec nich blednął nawet cel wyprawy! Jak temu zaradzić, jak położyć kres? Jak zwalczyć te czary najgorsze, bo tkwiące w człowieku?!

Rozdział czternasty

W KTÓRYM DOBRZY RYCERZE ŚLĄSCY SPOTYKAJĄ NIEOCZEKIWANIE SWOJAKA

Zwykły, dobroduszny spokój opuścił Imbrama. Łagodny rycerz jest niepodobny do siebie. Żre go na przemian namiętność, to żal i wyrzuty sumienia. Żal bezsilny, wyrzuty jałowe. Sądził, że na skutek czarów zapomni istnienia Ofki, tymczasem wspomnienie zostało dość silne, by uwierać duszę, lecz zarazem o tyle słabe, że ni przeszkodzić, ni powstrzymać nie zdołało.

Choć truł się i gryzł tą świadomością, ciężko mu było wytrzymać cały dzień z dala od Alochy. Schudł i szerniał. Stał się mrukliwy, posępny. Ze Zbylutem nie rozmawia zgoła. Obchodzą się z dala jak wrogci. Każde spotkanie ich może się skończyć śmiertelnie, i mądry Momot napomina brata i Dąba, by nie pozostawiali nigdy obu Strzegoniów samych.

Jasiek Zawora trapi się tym srodze. Zachodzi w głowę, co jest przyjacielowi? Dawniej nie było między

nimi jednej skrytej myśli, a teraz Imko wyraźnie go unika. Wieczorem od ogniska odchodzi pierwszy, kroczy niby wolno, od niechcenia, z każdym stąpieniem jednak przyśpiesza chodu, na koniec prawie biegnie, jak gdyby go paliły pięty. Jasiak patrzy za nim długo, wyciągając frasobliwie ciekawą szyję z wystającą grdyką. Nie śmie zawołać: Ej, Imko, a poczekaj no! —• Bo cóż, że ma dziewczkę? Wielkie rzeczy! Niechby sobie miał na zdrowie. Co to ma do spraw męskich? Każdy chłop ma zwykle białkę, a prócz tego nałożnicę, czasem jedną, czasem dwie. Gdy mu się sprzykrzą, odsyła do chlewa lub do cze-ladnej. Ale co to obchodzi innych wojów?

Imbram odchodząc czuje spojrzenie przyjaciela. Cierpi również nad ich wzajemnym oddaleniem. Lecz by je przełamać, trzeba nadto wiele rzeczy wyjaśnić.

...Muszę mu to jakoś powiedzieć, muszę — postanawia, niemniej odchodzi coraz prędzej, a gdy wejdzie do namiotu, zapomina o Jaśku zupełnie.

Zafrasowany Przybywój chodzi sam ze swoją troską, nie mając jej komu zwierzyć, zapytać, jak przyjaciela ratować, Momoe nie rozumie się nic na tych rzeczach. Oświata ma dziewczkę, podobnie jak Imbram. Dąb Nowina jest tępy i małowmny. Cała ludzkość i swadę, przypadające na ten ród, posiadał Tarchała, którego pod Doryleą pogrzebali. Do biskupa Jasiak iść nie śmie. Nie mieli nigdy sposobności zbliżyć się z sobą. De la Tour, dobry przyjaciel, jest od paru dni zajęty jakimiś własnymi tajemniczymi sprawami. Na całe dnie przepada z obozu. Co dziwniejsze, wychodzi obładowany mięsem... Surowym mięsem. Ładuje w worek ochłapy, kości i niesie sam jeden, bez pachółka!

Zaraz pierwszego dnia pytali go wszyscy natarczywie, dokąd idzie.

- Kochankę me m jak i wy — odpowiadał śmiejąc się.

— Czemuż jej nie weźmiecie do obozu?

- Bo drapie i kęsa. Muszę ją przódzi wychować.

- A to mięso dla kogo?

— Dyć dla niej.

— Nie mógłby pachółek zanieść?

— O nie, ona tylko mnie ma rada.

Odchodzi śmiejąc się jak z dobrego żartu. Pogodne jego oczy, ten wesoły uśmiech były prawdziwym zjawiskiem w obozie. Folgowanie sobie nie daje zadowolenia i nigdy jeszcze wśród krzyżowców nie panował nastrój tak przykry jak obecnie. Ludzie byli ustawicznie rozdrażnieni, niespokojni. Ogarniało ich senne lenistwo lub niewytłumaczone ' podniecenie. O byłe co wybuchały spory. W dodatku chorzeli.

Występowały nagminnie jakieś nie znane dotychczas objawy, do których jeden drugiemu wstydział się przyznawać.. Nie wiedzieli, co by to była za słabość, jakie są na nią leki i który święty byłby skutecznym patronem.

Zgnębiony tym wszystkim Jasiak wałęsa się między namiotami. Im więcej rozmyśla nad sprawą przyjaciela, tyra pewniej dochodzi do przekonania, że mają tu miejsce czary. Urok. Trzeba linka z tego uroku ratować, chociażby wbrew jego woli.

I pewnego wieczoru nie puszcza go od ogniska.

— Pójdź — powiada — popatrzmy, czy pogany na murach czuwają?...

— Rano popatrzmy, co tam po nocy ślepić? — broni się Imbram spoglądając wymownie w stronę namiotu.

— Aby krzynę, pójdź... Chcę ci coś rzec.

— Jak chcesz.

Idą w jasny mrok przesycony światłem. Noc jest chłodna, pewet zimna, choć dzień był gorący. Dziwny kraj. Zębatość murów odcina się ostro na niebie.

... Ani ich ugryźć — wzdycha Jasiak. — Bóg wie, siła czasu tu stać będziem.

— Coś mi chciał rzec? — przerywa niecierpliwie Imbram.

(Tam w namiocie Alocha na niego czeka.)

— Zaraz — mówi Jasiak. Nie wie, od czego zacząć. Wstyd wojom rozmawiać o sprawach kobiecych.

—• Pamiętasz — zaczyna —• takuteńka noc była, kiedyśwa raz społem byka podchodzili... Pomnisz?

— Po toś mnie ciągał? — pyta gniewliwie Imbram. Nie znosi, by mówić o tym, co było niegdyś, niegdyś, w domu. Po co? Przecież to umarło i nigdy nie wróci.

— Nie, nie, czekaj... Imko... Ślubowaliśmy sobie drużstwo trzy roki temu, pamiętasz?

— Dyć.

- Drużstwo więcej znaczy jak braterstwo... I do śmierci ma trwać... Czegój już mi nie jesteś druhem po

dawnemu?

- Ja? Jestem...

- Ani pogadać ze mną nie chcesz, ilko na namiot spojierasz... Ucieknij ci ta dziewczka, czy co?

- Przecież gadam — stwierdza Imbram już zniecierpliwiony.

- A obzierasz się ciągiem, jak dunać ode mnie... Imko, co z tobą? Odpowiedz po ludzku?...

- Przeca po ludzku gadamy — mruczy Imbram. Żał mu Jaśka, wstyd za samego siebie, a równocześnie pilno do Alo-chy. Zbyć towarzysza czymkolwiek i co prędzej wracać...

- Wszyscy widzą, jako cię urzekła — ciągnie Jasiek z goryczą — odmienionys całkiem...

...Może ł urzekła — wzdycha Imbram myśląc, czy nie wyznać przyjacielowi o tych czarach dostrzeżonych kiedyś nocą?... Może wyznać? Będzie lżej.

Lecz w teje chwili stają obaj jak wryci, oszołomieni zdumieniem. Muzułmanin, jeno bez zawoju, podnosi się z rowu obok.

Na Chrystusa i starych bogów — powiada po polsku — Moście są?!...

w a oczywista! W tym kraju przeklętym gdzie stąpną czary! Przerażeni żegnają się trzykroć, spluwają po trzy-c, nastawiają poziomo miecze. Dla Boga! Dla Boga!

Muzułmanin żegna się również głośno.

— Nie maram — mówi — jeno żywy chrześcijanin, dobry rycerz...

— Skąd?... Kto... — krztuszą się zdławionym strachem.

— Ostój, syn Gniewa, z rodu Jastrzębców...

— Na rany Chrystusa! Co tu robicie?!

— Zbieżałem z grodu. Pogany mnie tam w niewoli trzymały już przeszło dwa roki...

— Jastrzębiec, syn Gniewa — powtarzają z osłupieniem — Jastrzębiec! Prawda! Gadały we Wrocławiu na radzie, że Sie-ciech sprzedał w niewolnik! świętą, książęcą krew... Nikt nie chciał wierzyć, a ot, słusznie mówiono... Na to się ważył! Dlatego przecież Awdańce, mające z Bielinami wróddę od dwu pokoleń trwającą, ugodziły się wzajemnie, by razem szukać pomsty na Sieciechu... I tu go spotkali! Na tej dale-czyżnie... Mój Boże!...

— Uciekłem wczoraj z wieczora — prawil jeniec — alem tu leżał, nie śmiejąc się ruszyć, bo latyńskiej mowy nie znam. Tylko pogańską i naszą... Krzyża przy sobie też nie mam, bo mi go pogany zdarli... Przyodziewek pogański... Bałem się, że mnie na strzępy rozniosą, za nieczystego biorąc... Sam nie wiedziałem, co czynić... Aż tu słyszę swojacką mowę! Dech mi ze wszystkim zaparło... O, moiściewy! Siła was jest? Bym znał, dawno bym zbieżał! W grodzie tylko o Frankach gadają... Myślałem, że same Franki... Ani mi we łbie pozostało, że i wy... Ot, szczęśna pora mi naszła... Trzy roki, jak mnie zabrały... I tum się doczekał!... Oj, lelum!...

— Oj, lelum! — powtórzyli obydwa jak echo. W przejęciu, wzruszeniu, jakie ich dławilo, nie byli w stanie rzec nic innego, jak ten stary okrzyk wyrażający podziw nad wyrokami boskimi, korne podporządkowanie się najmędrzej Woli. Spotkać Jastrzębca, syna starego Gniewa, pod Antiochią! Jakoż to pomieścić w głowie!?

Wzięli go pomiędzy siebie, wiodąc do obozu.

— Isty cud, żeście nas spotkali — mówił Jasiek. — Pytaliście, czy nas siła. Oj, nie. Było dwunastu, pięciu ostało. Pachółków przy tym garstka... Razem tyle co nic.

— Bym wiedział raniej! Bym wiedział! — powtarzał Jastrzębiec. — Dawno bym już z wami siedział! Innych imać-ców srogo pilnują, mnie nie, bo wiedzieli, że do Franków nie mam po co iść, mowy ich nie znając... Przy tym Firus mnie nawidził...

— Kto zac: Firus?

— Dowódca straży na jednej z wież. Zaprzaniec grecki.

Dżagi Sjan był na mnie zawzięty, zasią Firus z Dżagi Sjanem wojuje, więc na złość jemu był dla mnie łaskawy... Alem mógł zbiec w uczciwości, dawno mu rzekłszy, iż ucieknę, gdy przyjdzie taka godzina, że już nie wydzierzę... Jakoż przyszła. Uciekłem po sznurze...

Dochodzili do obozu, gdzie zapanowało zrozumiałe poruszenie. Momot, jākający się bardziej niż zwykle z wrażenia, Zbylut, Oświęta, Nowina, gadali jedni przez drugich, cudując się, dziwiąc, pytając. Oglądali brańca niby człowieka z innego świata, ciekawie, ale zarazem z szacunkiem, bo Jastrzębce należały do najstarszych rodów rycerskich, równych królewskiemu. Wnet też jadło kazano zastawić pachółkom.

- Wprzód nim zreć, dajcie mi przyodziewek jaki, ac spalę te łachy — prosił gość. Rozbiegli się co duchu, przynosząc różne kawałki ubrania i zbroi, i w dwa pacierze mógł się przeoblec w rycerza. Zgarnął oburącz otrzymane rzeczy, łzy zaszklily się w oczach, srogich, wojackich oczach. Spojrzał po obecnych. Zrozumieli. Chciał być sam przy tej przemianie, zwlekaniu obrzydłej skóry niewolnika.

Nie mówiąc słowa ostawili go, jak chciał. Rozdział się cały do naga, przeciągnął z rozkoszą. Naraz jak gdyby coś wspomniawszy zaczął macać się dłonią po plecach. Osepiął. Są jeszcze strupy i szramy. Nie będzie mógł nigdy obnażyć się przy kimkolwiek. Nie może zdradzić, że jego, rycerza, bito kańczugiem po grzbiecie... Bito, a on skutym będąc, musiał to znosić w pokorze...

Zatrząsał się cały na to przypomnienie, którego nigdy z pamięci nie wygna. I ślady żywe są dotąd... Ni w pamięci, ni na plecach nie zetrą się... Nikt nie śmie ich zobaczyć...

Z westchnieniem kopnął kupę zrzuconego odzienia. Pomyślał, że obmierzłe ślady znikną może, jeśli położy tyłu pogan, ile razy go uderzono. Albo pięć razy tyle? Albo dziesięć razy tyle? Dziesięciokrotna spłata krwi za każde świśnie-cie batem...

...To zmyje wspomnienie hańby...

Z rozkoszą wziął w rękę lniane gieżło ofiarowane przez Jaśka Zaworę. Było szare, nie bielone, grubsze od zrzuconej przezeń tuniki, lecz jakże drogie i cenne! Ucałował ze czcią chłodne, węzełkowane płótno. Naciągnął je przez głowę z takim uczuciem, z jakim się wraca do ziemi ojczyściej. Całował kolei każdą część odzienia. Nareszcie stał już gotowy, irzeobrażony w rycerza. Był wysoki, o hardej, pięknej twa-

rzy, bystrym wzroku. Czuło się w nim starą, prastarą krew żerców, rozkazujących książętom i obcującym z bogami. Posilił się szybko i pierwszy prosił, by go zawiedziono do wodzów wyprawy.

— Pewnie się zaciekawiać tym, co w twierdzy — mówił — znacie ich mowę, to przełożycie, co powiem.

- ...Do,,, do... dobrze prą... prą...wicie — przyznawał Mo-mot. — Imbrama i Jaśka w'ęźcie ze so... so... sobą, bo oni najlepiej po łacinie gadają... Wy... wy... wyuczyl się, aż dziw.

Biskup podnosił ręce ku niebu w zdumieniu nad mądrością Opatrzności Bożej, a Robert normandzki i Rajmund St. Gil-les zzymali się, że zbieg jeniec wychwała pogan. Ich rządność i sprawność bojową.

— Chyba naszych wojsk nie widział? — gniewał się Robert.

- Oglądałem nieraz z murów — odparł Ostój, któremu Imbram przetłumaczył pytanie. — Silne są, ale pogany mają nie lada jaką potęgę. Przy tym posłuch, jakiegom nigdzie na świecie nie widział... Niełacno ich dobiedziecie, bo tam wszystko jak jedna ręka sprawnie działa...

•— Siła mają żywności? — pytał biskup.

— Wielką moc. Mięso nawędzone i nasolone. Zapasy zra-chowane, na cząstki podzielone. Wyliczyli, że mają jadała z górą na pół roku.

— Skoczcie który po kanonika — szepnął biskup do giermka — niech przyjdzie i spisuje. To ciekawe.

— Szeik wydaje agom codziennie tyle, wiele dla żołnierzy przyznano. Gdyby kto sam wziął, ubiją od razu. Ludności, co do obrony nie należy, nie dają nic. Żyją, póki mają swoje. Kto nie uściłbał, zdechnie niedługo z głodu, chyba że z grodu uciecze...

— Więc mają na pół roku?

- Tak, ale najdalej za trzy miesiące spodziewają się wielkiej pomocy od emira z Mossulu... Zwie się Kerbogą. Ten Kerbogą wie dzie pono więcej niż sto tysięcy ludzi. Już jest w drodze. Prócz tego od Aleppo idzie atabek Tochtegin oraz Arabowie ze szczepu Kilap w łącznej sile czterdziestu tysięcy. Choć są niedaleko, nie posuną się bliżej ani z wami walki nie zaczną, póki Kerbogą nie nadejdzie. Dopieroż razem... Z Kerbogą idzie także Kilidż-Arslan, któregoście pod Doryleą rozbili...

___ i pod Niceą... — dorzucił Rajmund.

___ Tenże sam. Czeka ją więc na Kerbogę, by razem w sile uderzyć. Radują się, że w^Tas wtedy zgniotą. „Ostawi m Frankom tyle tylko miejsca, wiele go jest w żołądku sępa” — powiadają. Starczy dla nich. Zresztą wojenni są ludzie. Srodzy, niemiłosierni, ale uczciwi. Przy tym umni. Medyków mają przednich bardzo. Sam widziałem chorych, co już im kostucha nogi prostowała, a medycy przedsię ozdrowili...

___ Grecy mają także bieglých medyków — wtrącił Robert — ale ich nauka jest z czarta.

___ Pogańska pewno jest jako i ich wiara. Ale łebscy są.

Myśwa nic o nich nie znali, a oni o Polsce wiedzą!

— Nie może być! — wykrzyknął Imbram i zdumiał się tak, że zapomniał o tłumaczeniu.

— Mają jedną księgę, co się zowie *Rasm al arsi*, i drugą, której nazwy nie pomnę. Po naszymu znaczy tyle, co *Księga dróg i państw*. Spisał ją Ibn Chór Dabakh, którego pamięć bardzo za to czcza. W tej księdze są wszystkie grody świata i rzeki, i kraje. Jest polski Kraków, Poznań i Wrocław. Francuskie krainy pono też. Gdyście pod Niceą stali, a tu ledwo słuchy dobiegały, schodzili wszyscy pytać się imanów, co w tej księdze o was stoi. Bo, powiadają, znać naturę kraju, to znać naturę człowieka...

Biskup słuchał z najwyższym zaciekawieniem.

- Niesłychane — rzekł. — Co za szkoda, że ci ludzie wiary prawdziwej poznać i uznać nie chcą! Zdumiewa mnie też, że to wszystko wiecie, szlachetny panie. Dwa lata, spory kawał czasu, ale jednak... Jak się z wami obchodzili?

- Jak z jeńcem — odparł krótko, niechętnie Jastrzębiec. Twarz mu pociemniała na wspomnienie doznanych upokorzeń. Lecz Rajmunda uderzyło co innego:

- Jakim sposobem wiedzą, że Kerbogą idzie, skoro twierdza jest zewsząd zamknięta?

Jastrzębiec spojrział na pytającego ze zdziwieniem.

- Co u was słyhać — objaśnił — to im Ormiany donoszą, a co z dalsza, to pocztą gołębią...

- Jaką?!...

- Gołębią — powtórzył Jastrzębiec. — Gołębią. Kartelu-szek do nogi przywiązawszy, puszczają ptaka i on...

Kanonik Rajmund d'Aguillers, który dotąd w milczeniu pracowicie ślęczał nad papierem, podniósł w górę rękę uzbrojoną w pióro niby w miecz.

Nie uchylam wam, szlachetny panie — sarknął — ale

nigdy nie dam wiary, by u pogan gołąb mógł przynosić wieści! Taki cud zdarzył się raz tylko. Listy od świętego Leandra do papieża Grzegorza Wielkiego przynosił gołąb z nieba wido-mie zesłany... Z Rzymu do Hiszpanii latał... Ale co Bóg sprawił dla dwóch wielkich świętych, tego nie powtórzy dla pogan...

•— Chyba że diabeł zechciał naśladować Pana, jako nieraz czyni — szepnął Godfryd.

Jastrzębiec patrzył na nich ze zdziwieniem.

— Kiedyż to nie żadne czary — rzekł w końcu. — Sam nieraz obrządzałem i karmiłem te ptaki. Od Kerbogi były zawczasu przywiezione i trzymane w klatce; gdy je puszczono, wracały do jego obozu. On zasię robił tak samo, przysyłając listy do nas...

Obecni rycerze spoglądali z powątpiewaniem, ale biskup poparł brańca.

— Tak być musi, jak szlachetny rycerz powiada — rzekł. — Pomnę, jakoście sami cni panowie widzieli gołębia lecącego z Nicei ku pustyni, i pomnę, jak się potem Butumitos dziwił, żeśmy go nie ustrzelili. Ot, jaka była przyczyna!

•— Dziw! Dziw! — powtarzali kręcąc głowami. Więc gołębie przynoszą listy? Kto by się tego spodziewał?! Z odrobiną podejrzliwości spoglądali na obcego przybysza. Że dobry rycerz, znać było w każdym calu, ale czy nie nazbyt uczony? Prawie jak Szczepan? Gdzież tyle rozumu nabrał? U tych pogan? Ostój, syn Gniewa, którego z kraju wywieziono prostaczkiem takim samym jak Imbram lub jego bracia, zrozumiał sens tych spojrzeń, bo wyjaśnił:

— U tych diabłów można się siłą rzeczy rozumnych i ważnych nauczyć. Wystarczy mieć otwarte oczy i uszy...

— Lecz biada, jeśli się duszy nie zamknie! — wtrącił kanonik gorąco — sami mówicie, rycerzu: u tych diabłów... Co z diabelstwa początek bierze, musi być zgubą dla chrześcijanina...

— Najwięcej różności — ciągnął Jastrzębiec — opowiadał mi zawdy Firus, gdyśmy razem stali w noc na wieży...

— Kto jest Firus?

— Zaprzaniec, Grek. Myślał, że jak wiarę rzuci, to go po-gany szeikiem mianują. Nie mianowali. Ostał dowódcą wieży, jak był. Teraz żałuje, że przeszedł. Z Dżagi Sjanem okrutnie się nienawidzą...

— Której wieży pilnuje ów Firus? — zapytał nagle Boemund.

— Z południowej strony, niedaleko Bramy Świętego Jerzego. Zowie się Wieża Trzech Sióstr...

— I nienawidzą się z Dżagi Sjanem? — zapytał książe Tarentu, jak gdyby pragnąc utrwalić sobie ten szczegół w pamięci.

— Jak mówiłem. Dżagi Sjan jest bardzo okrutny. Srogi

Turek. (W twierdzy więcej jest Turków niż Arabów.) O byle co posyła na śmierć. Ale żołnierz przedni.

Firusem gardzi, że renegat. Nazywa go psem niewiernym. Firus sam mi mówił, że duszę by dał, byle Dżagi Sjana zgłębić... Ale to nie na jego siły. Firus jest pokurcz i tchórz, a tamten potężny chłop...

— To ważne — zauważa Boemund.

Pojawienie się w obozie Ostoja, syna Gniewa, podniosło nieoczekiwanie znaczenie polskich rycerzy.

Jastrzębiec był śmiały, odważny, mądry. Wiedział moc rzeczy, których nikt z Latyńców nie znał. Dzięki temu stał się obecnie niezbędny na każdej radzie baronów, z Imbramem jako tłumaczem.

Szczególne wyróżnił go Boemund, zabiegał o zaufanie i przyjaźń rycerza i teraz oto jadą samotrzeć, Boemund, Jastrzębiec, Imbram, objeżdżając wokół mury. Giermkowie o parę kroków za nimi. Książę

Tarentu życzy sobie, by mu pokazano wieżę, której strzeże ów zaprzaniec, o którym Ostój powiadał, jakże to go zwano? Firus. A wieża? Wieża Trzech Sióstr.

Oto i ona. Wysoko na zboczach góry, za Bramą Świętego Jerzego. Niska, bo wyniosłość gruntu podwyższa ją dostatecznie, pękata, omszała z wieku, prawie że ślepa, bo tylko jedno niewielkie okno ciemniej pod szczytem. Okienko, przez które z trudem mógłby prześliznąć się człowiek. - Więc to tu?

— Tu — potwierdza Jastrzębiec. Twarz mu ciemniej, zęby drapieźnie błyskają w nagłym skurczu wargi jak zawsze, ilekroć ujrzy miejsca, w których przebywał niewolnym. Och, gdybyż je można znieść z oblicza ziemi! Byłoby mu lżej i łatwiej zapomnieć...

Boemund patrzy na niego uważnie.

Nie sądzę, byście zbytnio miłowali ten gród, rycerzu? — zapytuje z uśmiechem.

Zbawienie duszy dałbym za jego zniszczenie! — odpowiada krótko Ostój.

— Posłuchajcie tedy... — Księżę Tarentu nachyla się ku Imbramowi mówiąc ostrożnym półszepem coś, co tenże podobnie cicho tłumaczy. To z uwagi na giermków, nastawiających pilnie ucha na rozmowy panów.

Jastrzębiec zrazu nie rozumie. Boemund objaśnia, zapala się. Lecz rycerz chwije wahające głową.

— Zdrada zawdy szpetna rzecz — mówi poważnie.

— Dla pomsty warto i zdradzić, a zasługa przed Bogiem i całym światem niezmierna... — zapewnia Boemund i szeptem dalej przekonywająco...

Rozdział piętnasty

W KTÓRYM RODZI SIĘ LEGENDA

Złociste szalandy cesarskie płyną równym rzędem. Przykuci do ław, w wiosłarze biją miarowo wodą długimi wiosłami. To szlachetny Tatikios, wielkorządca ziem zachodnich świętego cesarstwa, płynie z Bizancjum do Aleksandretty, najbliższego portu Antiochii, obaczyć własnymi oczami, czy prawdą jest, że Latyńcy stoją pod murami grodu. Po tych żelaznych prostakach wszystkiego można się spodziewać! Skoro doszli aż tu, to może istotnie zdobędą nieodżałowaną perłę cesarstwa, klucz Wschodu?! Na wszelki wypadek lepiej, znajdować się blisko, by możliwe zwycięstwo odpowiednio wyzyskać.

W ślad za Tatikiosem zdąża sam Najpobożniejszy, Najświatlejszy Autokrator, Filochristos, Isapostolos Basileus Aleksy Kornnenos. Za parę niedziel nadpłynie tu z wielką flotą. Niesłychany ten wyjazd jest zrozumiały, gdy zważyć, że chodzi o Antiochię, o Antiochię! Odzyskanie tej potęgi stanowiłoby nową epokę w dziejach Bizancjum.

Tatikios nie może oprzeć się mimowolnemu podziwowi dla latyńskich barbarzyńców, którzy mimo swoje nieuctwo, tępotę, lekkomyślność, doszli aż tutaj. Ostatni raz odbył ładem tę drogę wielki wojenny basileus, Nikefor Fokas. Odebrał wówczas poganom Antiochię i na długie lata odsunął groźbę islamu od swoich granic. Wrócił jako zwycięzca do Bizancjum, gdzie rychło marnie zginął, zamordowany przez kochankę żony, pięknej Teofano.

Po nim żaden już z władców ni wodzów bizantyjskich nie próbował wyprzeć wroga z jego pustynnych, zasieków. Pokusili się o to dopiero ci barbarzyńcy zachodni.

Gdy ognionośne galery zawiną do Aleksandretty, Tatikios zawiadamia biskupa, że przywiózł pismo przysłane do Bizancjum przez Ojca świętego. Przyjeżdża po nie Boemund jako przedstawiciel rycerstwa.

Tatikios przyjmuje ero w<t>a-

ale na pokładzie swego statku. Dookoła morze zieleni się
- łąka. Galera lśni od czystości i bogactwa. Błyszczą okucia,

spojenia. To z wierzchu. Na samym dnie leżą warstwy gnoju spadającego z ław, na których siedzą przykuci do nich dozgonnie wiosłarze. By łąno nie niszczyło drzewa, spód okrętu obity jest blachą, a czystość niewolnikom niepotrzebna. Wykwint, piękno, czar schludności należą się wybranym, rządzącym, tym, co panują nad życiem. Przyjęcie jest wytworne i świetne jak zwykle. Pachnące wino, owoce, słodczyce, małe korzenne placuszki, ostre serki, bezszelestni, zręczni niewolnicy, wymyślne opracowanie szczegółów, piękno życia doprowadzone do doskonałości. O dwa piętra niżej, na twardych drewnianych ławach siedzą przykuci wiosłarze, pod nimi grzęda gnoju. Ale o tym nikt nie myśli. To jest porządek rzeczy. To jest istota ustroju greckiego, a w dziejach świata będzie wiele jeszcze państw

ustroju podobnym.

Tatikios z Boemundem zapewniają się gorąco o wzajemnej radości ze spotkania. Znają się wszak dawno i dobrze.

— Spodziewam się — mówi księżę Tarentu — że basileus Aleksy w dobrym zdrowiu przebywa?

—• Najdostojniejszy, Najświatlejszy, Najpobożniejszy Basileus —• oby Bóg ochraniał jego dni! — jest zdrów i niebawem nadciągnie za nami.

— Z radością to słyszę. A jako się miewa szlachetny Butu-mitos, dawny nasz towarzysz?
— Szlachetny Butumitos zarządza Niceą. Jest zdrow również.
— Tak' się złożyło — zauważa Boemund --że odeszliśmy z Nicei, nie mogąc pożegnać się z nim należycie...
— Żałował tego bardzo — zaręcza Tatikios.

Pierwsze uprzejmości dokonane, rozmowa może wkroczyć na tory bardziej rzeczowe. Żaden jednak z rozmówców nie pragnie obnażyć się pierwszy. Niech to uczyni przeciwnik.
Z przerwy korzysta obecny na galerze Genuńczyk, messer Luigi Chiaco. Bogacz. Posiada mnóstwo galer, własne składy towarów w piętnastu portach, własne wojsko, własne strażnice, własne kantory wymiany pieniędzy. Obroty jego są większe niż obroty dużego państwa. Dociera wszędzie pierwszy za każdym zdobywcą. Przyjechał wraz z Tatikiosem i rad by wiedzieć, od kogo będzie na wiosnę kupował antiocheńskie jedwabie. Do sprawy przystępuje od razu. Handel — rzecz prosta jasna. Nie potrzebuje wykrętnych omówień.

— Czy Wasze Miłości liczą na możliwość zdobycia Antiochii?

Boemund mierzy go wzrokiem wyniośle. Odpowiedzieć temu kupcykowi czy nie? Cedzi przez wargi:

— Możliwość?... My mamy pewność.

— Pewność?! — Tatikios i messer Luigi unoszą się z wrażenia. — Pewność!? Kiedy? W jakim czasie!? — Tego nie zdołam powiedzieć. Nie od nas zależne. — Na czym ta pewność oparta?

— Na słuszności świętej sprawy, której Bóg pobłogosławi, jak błogosławił dotychczas.

Krzywią się z rozczarowaniem. Chiaco przytyka palcami niezadowolony. — Taka pewność dla kupca nie ma żadnego znaczenia.

— Bardzo żałuję — stwierdza chłodno Boemund. — Dla mnie wystarcza.

— Ależ jak dotąd nic jeszcze nie jest zrobione — wykrzykuje Tatikios. — O ile wiem, dopiero niedawno twierdza została zamknięta! Przez dwa miesiące Agarowie wychodzili, jak chcieli, ściągali posiłki, żywność... Boemund milczy zagadkowo i obojętnie. Chwali wino. Woda pluszcze po bokach galery.

- ...Pragnąłbym wam pomóc — podejmuje Tatikios. — Po-to przybyłem.

— Bóg zapłać za szczere chęci. Nie potrzebujemy pomocy.

— Nie potrzebujecie?! — pyta Tatikios zdumiony.

- Nie. Bynajmniej.

- Pantopulos jest tu z nami! Ma ludzi biegłych... Pomoże budować wieże...

- Dziękujemy. Nasi cieśle sami potrafią.

- Ależ nie zbudowali dotąd ani jednej! Nie mają o tym pojęcia!

— Jesteście, szlachetny panie, dobrze powiadomieni o tym, co się u nas dzieje. Można podziwiać... Uspokójcie się jednak. Nie jest tak źle. Nasi cieśle zrazu partolili, potem stracili kilka niedziel na budowanie Malhommerie, lecz teraz wzięli się już do właściwej roboty i pójdzie gładko...

- Nie chcecie pomocy!? — powtarzał Tatikios zdumiony. Tego się nie spodziewał! Był przekonany, że Latyńcy zarzucają go prośbami o budowniczego, o żywność... A oni nie chcieli!

- A jak stoicie z zaopatrzeniem? — zapytał głośno.

- Nieszczęśliwie — wyznał niedbale Boemund — nasi rycerze nie mają przezorności za cnotą.

— Więc co?! Będzie głód?

— Nim do głodu dojdzie, zdobędziem Antiochię.

— Daj Boże. Nierad bym osłabiać zapału, ale oblężonym idzie pono odsiecz...

- Wiemy o tym. Emir Kerboga z Mossulu i atabek Toch-tegin z Aleppo... Zanim nadejdą, miasto będzie w naszych rękach.

Dowódca grecki wpada z zadziwienia w zadziwienie. La-tyńcy wszystko wiedzieli i nie chcieli nic od niego! Co ich zmieniło?!

- Sądzę, że szlachetne rycerstwo latyńskie nie zapomniało przysięgi... — rzekł nagle twardo, obcesowo.

— Nie zapominamy niczego. Nicei również. Tatikios zmieszał się lekko.

- Szlachetny Butumitos pobłądził. Nie pojął rozkazów Najdostojniejszego, Najświatlejszego Basileusa — oby Bóg błogosławił jego dni!

— Czy został należycie ukarany?

— Na razie nie, gdyż senat ma rozpatrywać tę sprawą... Wszystko polegało na omyłce... Przysięgi to nie dotyczy...

— Nie wiadomo. Zresztą rzekę otwarcie, iż bystrzejsza lub słabsza pamięć przysięgi zależy... ode mnie...

— Ach, tak?

Tatikios przymrużył oczy. Więc chodziło o cenę. Książę Ta-rentu chciał czegoś, ale czego? Mimo wszelkiej zabiegów i podchwytliwych pytań nie chciał nic zdradzić i zbierał się do wyjazdu. Schował z szacunkiem

wręczone mu pismo Ojca świętego. Żegnając gospodarza, pytał jeszcze raz o zdrowie, Autokratora, o zdrowie basilissy Ireny, do- róży podobnej, o zdrowie czarującego następcy tronu Jana Forfirogenety, o zdrowie basiieusówny Anny...

— Miała szumne zrękowiny... — zauważył messer Luigi Chiacco, któremu sprzykrzyło się milczenie.

Tatikios rzucił mu spojrzenie piorunujące. Boemund odwrócił się żywo.

— A — rzekł — miała zrękowiny? Zimą zdawała mi się jeszcze młoda, rozumem dojrzała, nie łatami.

— Toteż nie zrękowiny odprawiono, ale umowę... Bez znaczenia... — objaśniał Tatikios wyraźnie zmieszany.

— Raczzcie, szlachetny panie, wyrażać się ściśle: były zrękowiny czy nie?

— Niby były, ale nieostateczne...

— Z kim?!

... Ze szlachetnym Nikeforem Brenniosem.

— Widziałem go na dworze i wydał mi się starawy, skoro

go jednak basileusówna wybrała, musi mieć niepoślednie za-jęty — rzekł na pozór swobodnie Boemund i pożegnawszy gospodarza, odpłynął do brzegu. Na pokładzie szalandy Tatikios czynił ostre wymówki Genuieńczykowi za tę gadatliwość.

— Kto was pytał, messer Luigi? Kto was pytał? Ta wiadomość, podana nie w porę, może nas drogo kosztować...

— Nie wiedziałem... Skąd mogłem przypuszczać... — tłumaczył się Chiacco strapiiony.

— Kupiec niech mówi o wadze a nie miesza się do rozmowy! Zasłużyliście, messer Luigi, żeby was cisnąć do morza... Rad bym widział Guynemera zajmującego się waszą osobą...

— Jestem w rozpacz, Wasza Dostojność... Wszakże ośmielę się zauważyć, że książę Tarentu nie zdawał się przywiązywać żadnej wagi do tej nowiny?...

— Tymci gorzej, messer Luigi, tymci gorzej... Ja go znam!

Szlachetny Tatikios miał słuszość. Boemund szalał z wściekłości i oczekujący nań na brzegu ludzie odczuli to wnet na swej skórze. Złość nim miotała. Do obozu pędził, szarpiąc konia i bodąc go ostrogami, aż z boków bachmata krew spływała kroplami na ziemię. Zaręczyli Annę!... Zaręczyli Annę!... I chcieli to trzymać przed nim w tajemnicy!... Żeby nie kupczyk, byłby nic nie wiedział... A łotry! Umyślnie ją zaręczyli tak wcześniej i z byle kim, żeby jego, Boemunda, odprawić, gdy już nie będzie potrzebny!... Przerachował się basileus, bodaj go kat miał w opiece! Mógł mieć potężnego sprzymierzeńca, będzie miał potężnego wroga. O, nieprzejednanego! Obaczy Antiochię jak swoje ucho! Antiochia będzie zdobyta, ale nie dla niego... Będzie przed jej panem drżał bardziej niż przed poganami! Będzie zabiegał o względy, ale za późno... I popamięta! I pożałuje! Głupi Grek! Pozna, o, pozna, co to znaczy zadzierać z synem Guiscarda!

Stanąwszy przed Ademarem nie potrzebował udawać wzburzenia.

- To są łotry, zdrajcy, krętacze — wybuchnął. — Czekają, co będzie z nami, ale nie chcą dać żadnej pomocy!

- Nawet budowniczego? — zapytał biskup z zawodem w głosie.

- Ani budowniczego, ani cieśli, ani żywności, ani nic! Podłe gady. Wyklóciłem się z nimi, małom miecza nie jał... Plugawcy! Za kpa miałbym każdego, co by jeszcze pojechał ich prosić! Wielmożnej basileusowej łaski się dopraszać!

— Mowy o tym nie ma — odparł żywo biskup. — Co prawda, nie rozumiem zgoła ich polityki.

Wszakże dla nich korzystnym byłoby okazać nam wszelką pomoc? Jeśli zdobę-dziem miasto, oni je zabiorą?

•— Nie wierzą, byśmy zdobyli, i widzi mi się, że są w porozumieniu z poganami...

•— U nich wszystko możliwe — westchnął biskup. — Cóż, będziemy sobie radzić sami z pomocą Boską... Ale miało być pono pismo od Ojca świętego?

— Oto jest — odparł z pośpiechem Boemund wyjmując pergamin z zanadrza. Biskup ucałował pieczęć Rybaka, wielką, nienaruszoną, zwisającą na jedwabnym sznurze, pożegnał Boemunda, zalecając mu, by przed wieczorem przyjechał na Radę, i rozłożył ostrożnie papier. Listy były dwa: jeden z ozdobnymi bogatymi inicjałami, zawierający błogosławieństwo apostolskie dla ukochanego syna, *dilecto filio*, oraz wszystkiego cnego rycerstwa Bogu szczególnie miłego, przysłane dla odczytania wszem wobec, i drugi dłuższy — drobnym, skromnym pismem pokryty, wyłącznie dla Ademara przeznaczony.

...Bracie mój i przyjacielu!

...Wiadomości, jakie ku nam o was nadchodzą, napełniają nas radością, którą wyrazić trudno. Pragnąłbym opisać ci

wszystko, co u nas i z nami, ale nie wiem, czy zdołam. Pióro — odporne narzędzie. Zmiany są u nas bardzo liczne, szeroki zasięg ogarniające. Zmiany te są błogosławione. Nie możecie o nich wiedzieć idąc w przód, zapatrzeni w święty cel. O, bracie mój, wierzaj, iż nie poznałbyś Europy! Święta wasza ofiara już się na niej odcisnęła, już znać jej dobroczynne skutki, które nie zaginą. Tyczą one wszystkich dziedzin. Spokój panuje i ład. Nie ma bójek i ustawicznych wojen dzięki temu, że tak znacznie ubyło baronów. Pola wszystkie są uprawione. Jak mrówki z mrowiska, śladami waszymi ciągną kupcy i uczeni. Pokazaliście drogę, przetarliście szlaki, i gdy dawniej jeno Genuieńczyki odważyły się morzem jeździć, dziś liczne gromady kupieckie jadą wozami do Bizancjum i dalej. Przywożą stamtąd siła rzeczy, dotąd nie znanych. Szkło, przednią stal, słodkie gotowane owoce, zwane konfitury, papier lepszy od pergaminu, płótno jedwabne cienkie jak mgła, które po arabsku zowią pono gaza i za którym niewiasty szaleją. Przywożą księgi greckie, które uczeni mnisi tłumaczą i zdumiewają się nad znaną w nich mądrością. Są tam rzeczy zadziwiające, na przykład, że ziemia jest krągła. Kulistością jej tłumaczą wszelkie zjawiska dnia i nocy, lata i zimy, w sposób, trzeba przyznać, prosty i przekonujący. Nasi uczeni, twierdzący dotychczas, jak wiesz, że słońce oświeca w nocy czyściec, ziemia spoczywa na wodzie,

\\roda- na płycie kamiennej, płyta na czterech Ewangelistach, śmieją się z tego, ja sędzę jednak, że w tej nowej wiedzy znajduje się wiele prawdy. Nie ma zaś nic sprzecznego z wiarą, czego chrześcijanin nie mógłby uznać. Jeszcze większe nowości doszły nas w dziedzinie myśli. Mój bracie, znasz przecie perypatetyka Arystotelesa, syna Nikomachosa? Kształciliśmy się na nim. Otóż wyobraź sobie, że „Organon” to zaledwie ułamek całości kształtu jego filozofii, zdumiewającej nad pojęcie! Przywieziono tu wszystkie jego dzieła, które ninie tłumaczą na nasz język. Nie czytałem ich jeszcze, ale opowiadał mi brat Sylwester, jeden z przepisowaczy, niektóre urywki. Całkiem nowy pogląd na świat! I jakież ciekawy! Już po klasztorach o niczym innym się nie mówi, jak o tej wiedzy starożytnej dotychczas nie znanej. Także medycy korzystają wiele, otrzymując ze Wschodu siła ziół i lekarskich tajemnic, o jakich ani zaślili. Kupce jeżdżą śmiało, bo kasztele stoją puste i nikt myta na drodze nie pobiera. Zbójów też znacznie ubyło, gdyż pociągali za wami znęcani opowieściami o bogactwach greckich. Przeto handel wzmógł się aż dziw, a miasta wzrosły i zbogaciły. Gdzie niedola z nędzą panowały, dzisiaj zamożność, dostatek. Toż samo po wsiach. Robotnika każdy ceni i pielęgnuje, bo go mało. Jeśli chłop zbiegnie do innego pana, tenci go nie wyda, owszem, rad zatrzyma i zaopatrzy, bo mu ludzi nie dostaje. Więc panowie z obawy o własną korzyść troskliwiej zajmują się poddanymi. Takiego ładu, spokoju i dobrobytu nie widziano od czasów cesarstwa. Ale to mniejsza, mój bracie. Ważniejsza przemiana duchowa, jaka się w całym świecie dokonała. Słyszac o waszej wielkości, poświęceniu, gorącości, każdy chrześcijanin stara się was dorósć. Wstyd tym, co zostali, nie nadążyć w zasłudze za braćmi. Wstyd okazać się niegodnymi krzyżowców. Wśród możnych czy małuczkich o niczym innym nie mówią, jedno o tych, co poszli ratować Chrystusa. Wiemy o was więcej, niż sądzicie... Pielgrzymi idący waszym szlakiem przynoszą nam coraz nowe wieści, nowe szczegóły, a żadna opowieść nie jest chciwiej słuchana jak ta. Bracie drogi! Pomniesz swoje obawy, zwątpienia? W cóż się dzisiaj obróciły? Nie będąc z wami domyślam się, że jeśli odblask waszych czynów zdołał przeobrazić stary, zgniły świat, czymże one są dla dusz waszych? Chodźcie w świetle wyniesieni duchem wzwyż... Bądźcie błogosławieni, najdrożsi! Mocą waszego męstwa spowany, skłócony świat przeradza się od nowa. Z dalekich wyrąbanych przez was szlaków wieje świeży dech. Każdy człowiek jak gdyby otrzymał nowy bodziec życia. Rozwaliły się granice świata. Młodszy, gorętsi aż drżą, by dojrzeć i za wami bieć... Ludzie modlą się do was jak do świętych...
- Haj! Haj! Normany biją się z naszymi! — wrzasnął jakiś giermek, wsadzając czerwoną twarz do namiotu. Biskup nie zdążył nawet rozpoznać, który by to był, bo już popędził dalej, okrzykując w głos to samo. Ademar z westchnieniem złożył list, schował do podręcznego sepetu i wybiegł na majdan. Zewsząd już grzmiały krzyki: — Tuluza! Tuluza!!! — Jeźdźcy przelatywali pędem, dopinając zapinki hełmów po drodze. Ade-

mar skoczył na konia i pognał za nimi. U wejścia do obozu Rajmund siny z gniewu stoi w otoczeniu swoich rycerzy. Naprzeciw, gardłując, wrzeszcząc Omer de Guillebaut, za nim de Regnier, le Grand, de Barneville, kilkunastu giermków i kupa hołoty. Lica nabrzmiałe, podniecone wściekłością i winem. W tumultach nie słychać nic.

•—• Precz! Precz! Górze! Górze! — ryczy Rajmund, niezdolny powiedzieć nic więcej.

— Uciszcie się! O co chodzi? — woła biskup.

Nikt nie odpowiada. Rajmund nie może mówić z gniewu. Wygląda przerażająco. Omer ma twarz szaleńca, którym zresztą jest. Ujada coś niezrozumiale. Nacierają na siebie z zaciętością. Już kilku ludzi leży spływając jucha z porąbanych łbów. Wrzask się wzmaga. Paru Normanów zawraca do swego obozu wołając: — Sam tu! Sam tu! Naszych biją! — Prowansalczyki wszyscy siadają na koń. Już całe wojsko śpieszy jak do bitwy. W sąsiednich obozach także poczynają grać w trąby sądząc, że nacierają poganie. Ci wylegli tłumnie na mury, patrząc, co to się dzieje wśród Franków.

- Stać! Stać! •— woła z rozpaczą biskup wjeżdżając koniem między Rajmunda a Omera.

- Z drogi, Wasza Dostojność! Z drogi! — charczę Rajmund — niech ubiję tego psa!!

- Nie ubijecie mnie, aż wygnam rozpustę! To włożył na mnie Pan! -- krzyczy Omer.

Piana mu leci z gęby. Oszalał najoczywiściej.

— O co chodzi? — powtarza Ademar.

— Niewiasty nasze chce zabrać i razem z ichnimi wygnać z obozu — objaśnia de Foix dygoczącym z

oburzenia głosem.

Istotnie o to idzie. Od dłuższego czasu Omer gardłował przeciw obecności w obozie niewiast, stanowiących według niego przyczynę wszelkiego zła. Nie pytając nikogo kazał swoim ludziom. 'wzniesić w znacznym oddaleniu od wojska wysokie szczelne ogrodzenie, w ogrodzeniu postawił budynek, a raczej szopę, i tam postanowił zamknąć wszystkie niewiasty. Sprzymierzeńców znalazł w pamiętliwych urazy mężach, których żony okryły się niesława pod Doryleą. Niech przeklęte białki siedzą niby w klasztorze, nie stykając się z żadnym mężczyzną. Jakoż kilkadziesiąt normandzkich białogłów zostało wygnanych w zagrodzenie mimo płaczu i oporu. Lecz wrogowi kobiet to nie wystarczyło. Co znaczy jeden obóz wolny od zarazy? Rozejdzie się ona znów z pozostałych. Trzeba zdusić zło wszędzie. Wśród Latyńców niech nie pozostaje ani

jedna kobieta, młoda czy stara, szlachetnie urodzona czy słu-qa. W swym półobłąkaniu Omer poczyna wierzyć, że Bóg zlecił mu to posłannictwo. Spełnić je uważa za najświętszy obowiązek, od którego nic go nie powstrzyma. Musi uratować cnotę a wypędzić czarta! Zaczyna od prowansalskiego obozu. A. że między południowcami a Normanami panuje stara nienawiść, znajduje łatwo chętnych do pomocy. Znosi się na walną bratobójczą bitwę.

— Górze! Górze! Z drogi! — powtarza Rajmund. — Niech zetnę tego plugawca!

— Wydaj białki! Bóg tak chce! — wrzeszczy Omer,

— Milczeć! — krzyczy gromko biskup — milczeć i rozchodzić się! Nim wygnacie niewiasty, wyrzucicie z obozu wszystkie wizerunki Matki Bożej, bo to też kobieta!

— Chcemy wygnać grzech i pokusę, które w białkach siedzą!

— Wygnajcie wprzód grzech z samych siebie! Książę wasz

z kapłanem niech do mnie przyjdą skoro! Kto nie usłucha i natychmiast nie odejdzie, podlega klątwie! A wy — zwraca się do Rajmunda — stać w miejscu! Zabraniam nacierać!

— Ubiję... Ubiję... Górze... - - bełkocze Rajmund i puszcżając miecz wali się na ziemię. Krew buchnęła mu do głowy, załała mózg, rozsadza żyły w skroniach. Leży jak trup.

Zapominając o wszystkim innym rycerstwo prowansalskie rzuca się ku niemu. Otrzeźwieni nieco Normanowie wycofują się spiesźnie. Nikt już na nich nie zważa. Dobrzy woje podnoszą swego pana, zdejmują z niego hełm, pancerz. Ktoś chlusta wodą na nieprzytomną głowę. Inni bieżą po medyka. Syryjski Żyd puszcza krew. Zrazu nie chce ona iść, czarna, zgęstniała, po chwili jednak bucha mocniej. Dzięki Bogu! Si-ność twarzy ustępuje z wolna. Omdlałego przenoszą ostrożnie jak dziecko do namiotu pod opiekę żony.

Piękna Elwira pochyła się nad nim., przerażona. W ostatnich czasach utraciła wiele ze swej dumy. Nie ta to już obojętna pani, patrząca wyniośle na świat spod zmrużonych rzęs, dla której rycerz czy pacholek był zarówno prochem. Zbliżyła się do męża, szczęśliwie. Teraz pielęgnuje chorego czule, niby zwykła kochająca białka. I czuje się dobrze z tą zmianą.

Boemund z Tankredem jadą do biskupa na radę. Nie wiedzą jeszcze nic o zajściu w obozie. Boemund jest pogrążony w rozważaniach.

— Słuchaj, chłopcze — mówi do Tankreda — ty jeden z nas wszystkich nie przysięgałeś na wierność basileusowi?...

— Nie przysięgałem — stwierdza dumnie młody rycerz.

— To ważne. To można wyzyskać. Mam sposób posiąść Antiochię... Ja sam... Oddam ją tobie, a raczej zdobędziemy razem... Twoja będzie. Twoja i moja, boś młodziak i rządzić sam nie potrafisz...

Tankred patrzy na stryja z osłupieniem.

— Cóż to za sposób? I dlaczego ma być nasza? A inni?

— Inni? Pójdą sobie dalej. Przecież mówię, że nie oni zdobędą, tylko my obydwaj...

— To niemożliwe.

— Ależ zapewniam cię, że znam sposób...

- Nie o to idzie!... O zdradę towarzyszy... Idziemy razem... Poczynamy razem... Basileusowi oczywiście nie ma co oddawać. Nie przysięgałem. Mogę, jak mówicie, zatrzymać gród, ale po to, by podzielić się nim z pozostałymi.

— Po co się dzielić? — wzrusza ramionami Boemund. — Niech każdy o sobie myśli.

— Ja tak nie zrobię.

W głosie chłopca brzmi stanowczość. Boemund macha z niechęcią ręką.

— Głupszyś, niż myślałem. Nie mamy co o tym gadać...

Jadą dalej w milczeniu... Będzie huczek — myśli Boemund — mniejsza o to. Przystaną, jeno ich bieda

przyciśnie, a to niedługo nastąpi...

Obrady były burzliwe. Miano o czym prawić. Przybycie Greków i odmowa pomocy z ich strony. Odczytanie błogosławieństwa Ojca świętego. Niestychany wybryk Omera. Toteż wszyscy baronowie byli zebrani, nawet Rajmund St. Gilles, choć blady jak trup, chwiejący się na nogach z osłabienia, przyszedł przecież, a raczej kazał się przynieść. Chciał być obecnym, by zażądać od Roberta zadośćuczynienia za wyrządzoną przez Omera obelgę.

Ademar staje po jego stronie potępiając ostro pomysł wygnania niewiast z obozu.

— Nie mieszam się zazwyczaj w wasze sprawy — mówi — ale z przerażeniem słyszę o tym, co się poczyna u Normanów. Pospołu żony nobilów z dziewczkami, a uczciwe z ladacznicami! Hańba mężom, którzy na to zezwolili! Zamkniętymi nieboraczkami któż się zaopiekuje? Kto się troszczy o to, co jedzą, co piją, jak tam żyją? Niegodziwy pomysł i sędzę, że zniesiecie go, książę, co szybciej.

Robert jest zakłopotany i oddaje głos Arnuldowi.

— Pomysł sam w sobie jest zły — twierdzi kapelan — dobry rycerz Omer de Guillebaut źle postąpił wpadając samowolnie do prowansalskiego obozu, należy jednak wziąć pod uwagę, że skłoniły go do tego miłość cnoty i wstręt do grzechu...

Rajmund podnosi się z trudem.

— Zabraniam nazywać dobrym rycerzem plugawego psa

Q_{mera} — mówi z wysiłkiem. — Żądam jego głowy.

— Nie widzimy słusznej przyczyny ku temu — odpiera

Arnuld — rycerz Omer otrzymał już naganę.

— Żądam głowy — powtarza z naciskiem Rajmund. —

Córkę króla Kastylii, moją małżonkę znieważył!

— Jako żywo tego nie uczynił! Nie widział jej zgoła!

— Bo nie dopuściłem tej zgrai do obozu... Chcieli ją zabrać wraz z innymi... Moją żonę! Moją żonę!

Podniósł ręce do gardła, bo wściekłość poczęła go dusić.

— Rycerz de Guillebaut nie chciał, Boże broń, ubliżyć wam, grabio, lub cienia rzucić na szlachetną waszą małżonkę, uważał jeno, że skoro wszystkie niewiasty należy razem zgromadzić, to wszystkie...

— Zabraniam nazywać podłego gada Omera de Guillebaut rycerzem — upiera się Rajmund. — Jeśli mi nie przysłecie jego głowy, sam sobie wymierzę sprawiedliwość.

Dyszy ciężko, Ademar patrzy z niepokojem na jego zmienioną twarz.

— Uspokójcie się, panowie — przedkłada. — Nie wątpię, że do porozumienia dojdziecie. Winni będą z pewnością ukarani, choć może nie tak srogo, jak żąda grabią St. Gilles. Na razie jednak mówmy o ważniejszych rzeczach... Książę Ta-rentu opowie nam o swojej bytności u greckiego wodza Tati-kiosa, który przypłynął do Aleksandretty...

— Słusznie, Wasza Dostojność — przyznaje Szczepan de Blois — pozwólcie mi jednak zadać wpród jedno pytanie: czy obie siostrzenice kapelana normandzkiego są zamknięte wraz z innymi niewiastami?

Arnuld de Rohes miesza się lekko.

- Moje siostrzenice, cnotliwe sieroty, są ponad wszelkie podejrzenia...

- Nie wątpię, lecz pytam, czy są zamknięte?

- Nie — wyznaje Arnuld.

- O to mi tylko chodziło — uśmiecha się Szczepan.

— Odłóżmy tę sprawę na później — prosi biskup. — Wzywamy księcia Tarentu.

Boemund wystąpił żywo. Obszernie powtórzył to, co mówił biskupowi. Że Grecy żadnej pomocy nie chcą udzielić. Sam basileus nadciąga za nimi, ale tylko po to, by odebrać ponownie przysięgę...

Rozgniewani wodzowie sapali głośno, trzaskając mieczami. Odbierać przysięgę! Po nicejskim podejściu! A jużci! Boemund opowiadał dalej. Już nie o Grekach, lecz o obecnym opłakanym położeniu wojsk latyńskich. Nie szczędził czarnych barw, by je dosadnie przedstawić. Więc niemożność zbudowania wież, rychły głód... zapasów dłużej jak na dwa miesiące nie starczy... Nadejście emira Kerbogi z ogromnymi posiłkami, o czym obecny tu szlachetny rycerz polski opowiadał... Nigdy jeszcze, zaprawdę, wojska krzyżowe nie znajdowały się w tak ciężkiej opresji... Biada nam, biada, szlachetni panowie! Przenieśliśmy wiele, z tych terminów jednak nie ujdziemy cało...

Milczą, posępnie patrząc w ziemię, przyznają mu słuszność. Położenie jest rzeczywiście bez wyjścia. Ani naprzód, ani w tył. A tu głód, a tu Kerboga...

Biskup patrzy uważnie na Boemunda. Rad by przejrzeć, jaki ma cel książę Tarentu w odbieraniu ludziom odwagi, wywoływaniu przygnębiającego nastroju? Bo cel jakiś ma. I osiągnął go. Choć jeszcze nikt nie jest głodny, a każdy nieraz w gorszych położeniach bywał, siedzą oto osowiali, zniechęceni. Omal gotowi wracać, gdyby kto powiedział: Wracajmy!

— Nie sumujmy się zbyt — mówi głośno. — Bóg prowadził nas dotąd, powiedzie i nadal. Nie

zginęliśmy na pustyni, gdzie ciężiej było niż tutaj, nie zginiemy i teraz... Dobrze jest przewidywać zło, ale po to, by je odparować, a nie, by osłabiać ducha...

— Nie osłabiam ducha •— zaprzecza Boemund — jeno przedstawiam prawdę tak, jak jest... Po co się łudzić? Niech inni rzeką, zali przesadzam?

Patrzy na Szczepana de Blois, który skłania głowę twierdząco. Nie, Boemund nie przesadza.

— Ujmujecie prawdę zbyt jednostronnie — poprawia biskup. — Rozumiałbym przyczynę tego, gdybyście wraz podawali lekarstwo na zło przedstawiane...

— A kto wie, czy lekarstwa nie mam? — zapytuje Boemund.

Milczenie. Wszyscy patrzą weń jak w tęczę. Co chce przez to powiedzieć? Co? Niech mówi prędzej! Boemund powstaje z miejsca.

— Jeżeli — powiada uroczyście — zebrane tu cne rycerstwo i Wasza Dostojność przystaniecie, że Antiochia wraz z należącymi do niej ziemiami będzie stanowić moją wyłączną własność, za tydzień wejdziemy do grodu.

Po chwili zdumienia wybucha wrzawa. Wszyscy krzyczą jeden przez drugiego. Wszyscy są oburzeni, zaskoczeni. Jak to?! Antiochia ma przypaść jednemu?! Księżę Tarentu posiada tajny sposób na jej zdobycie i nie chce go użyć bez zapewnienia sobie wyłącznej korzyści?! Ależ to zdrada! To hańba! Tak nie postępuje rycerz!

— Przysięgaliśmy — woła Godfryd — musimy oddać An-tiochię basileusowi!

— Basileus -- bodaj go ziemia zeżarła! -- sam rozwiązał się z przysięgi, wiarołomnie pod Niceą poczynając!

- Cudze wiarołomstwo nie rozgrzesza nikogo...

— O basileusa mniejsza! — krzyczy Robert Krótkoudy — ale dlaczego" księstwo ma przypaść jednemu?! Antiochia winna należeć do nas wszystkich! Wszyscy równi! Nie ustąpić!

- Nie ustąpić!

- Przez Boga żywego, zali naprawdę posiadacie, księżę, tajemnicę zdobycia miasta? • zapytuje biskup patrząc na Boemunda prawie z przerażeniem.

- Posiadam, ale tylko o tyle, o ile miasto będzie moje — odpowiada Boemund spokojnie.

- Nie zależy wam zgoła na powodzeniu ogólnym, na świętym celu wyprawy?

- Gdyby komukolwiek innemu zależało na nim, zgodziliby się na mój zamysł i poszli dalej radzi...

- Nie zgodzimy się nigdy! — krzyczą chórem.

- Hańba! Hańba! Albo wszyscy, albo nikt!

Rajmund St. Gilles zapomniał o swojej słabości i grzmi głosem przed innymi:

- Nie przystaję! Albo postąpić według przysięgi, albo do równego podziału! Inaczej nigdy nie zwolim!

Tankred przedziera się gorączkowo do stryja.

- Stryjcu — mówi błagalnie — nie żartujcież! O dobra społeczne idzie, o Grób Święty. Ślubowaliście jako i my!

- Nie przeszkadzaj! — odsuwa go szorstko Boemund. Patrzy chmurnie i zimno na krzyczących. Chce mówić, lecz nie słyhać jego głosu wśród- wrzawy. Wskakuje na stół.

— Słuchajcie! — woła — powiadacie, że o Grób Święty nie stoję, a wy cóż?! Bardzo stoicie?! Sami chcecie zabrać miasto! Ja mam sposób zdobyć Antiochię, a wy nie! Dlatego ona będzie moja, a nie wasza! .

— Nie zwolim! Nie z woli m! Nie!

— Krzywoprzysięzca! Chciwiec!

— Przyjdziecie mnie jeszcze sami o to prosić! Jadła niedługo zabraknie! W obozach rozkład, rozpusta, szaleństwo! Córkę Alfonsa chciano dziś ciągnąć niby ladcownicę! Co będzie za dwa miesiące! Co będzie?!

— Milczeć! Milczeć! — krzyczy Rajmund. — Moją żonę ja sam obronię! A na tamto nigdy nie przystaniem! Mnie An-tiochia niepotrzebna ani o nią zabiegam, ale ów sposób to musi być szpetna zdrada niegodna rycerza, przy tym przysię-galim, przysięgalim!

- Tankred nie przysięgał!

— Ale ja nie chcę o niczym wiedzieć! Albo wszyscy, albo nikt! — broni się Tankred czerwony ze złości.

- Albo wszyscy, albo nikt! — przywtarza Rajmund, blednie, zatacza się i pada z łoskotem na ziemię.

Zanadto się przejął. Jak przez mgłę słyszy jeszcze słowa księcia Tarentu:

•••...Przyjdziecie mnie sami prosić!...

Ponowne zaśląbnięcie grabiego St. Gilles cięższe było od pierwszego. Oprócz przytomności chory stracił władzę w lewej ręce i lewej nodze. Medyk "kręcił bezradnie głową i radził posłać do Aleksandretty po

greckiego lekarza. Biskup podzielał jego zdanie, lecz Elwira i otaczający Rajmunda towarzysze oparli się temu stanowczo. Nie, nie. Oprawca trupów nie dotknie dobrego rycerza!

Wieczór już był późny, gdy opatrzwszy Rajmunda świętymi Sakramentami, Ademar de Monteil zgnębiony i skołatany wrócił do swojej kwatery. Myśli jego były ciężkie. Jeżeli Rajmund umrze, będzie to niepowetowaną szkodą dla krucjaty. Choć porywczy i nieopanowany, grabią St. Gilles był na wskroś prawym rycerzem, przy tym znakomitym wodzem, posiadającym największe siły. Śmierci jego nie da się niczym zastąpić.

Do tego bezwstydnego żądanie Boemunda, nieobliczalny wybryk Normanów, nie licząc kłopotów związanych z ogólnymi sprawami. Biskup przyznawał sam przed sobą, że Boemund

malując położenie krzyżowców nie przesadzał wcale. Byli w matni. Boże, zmiłuj się nad nami! Westchnął ciężko i otworzywszy podręczną skrzynkę, wyjął z niej nie .doczytany list przyjaciela Urbana. Gdzież to go przerwał?

...Ludzie modlą się do was jak do świętych. Każdy chce was naśladować. Każdy pragnie równie miłować Chrystusa jak wy. Poprawiły się obyczaje, rozpalila wiara. Nieustannie dolatują nas wieści o dziejących się pośród was cudach,.. „Jakże ci zazdroszczę, mój bracie...

Ademar de Monteil przestał czytać, opuścił bezwładnie ręce... Bracie Urbanie, który zazdrościsz, gdybyś wiedział, gdybyś wiedział!...

...Gdybym ci odpisał szczerze: nic z tego, co o nas myślicie, nie jest prawdą... Nie jest nawet zbliżone do prawdy... Łotro-stwo, porubstwo, zawiść, chciwość, obłąd, groza... — oto są wojska krzyżowe...

...Jednym piekłem jest święta krucjata...

Czy napisać tak? Napisać?

...Ludzie pozostali w kraju starają się być lepszymi, aby dorównać krzyżowcom...

Więc zabić w nich to złudzenie?

Wszakże nie może złe drzewo owoców dobrych rodić ni dobre złych... Przemiana dokonana w Europie, o której pisze Urban, to owoc krucjaty. Owoc niewątpliwie dobry... Błogosławiony... A zatem sama krucjata nie może być złą...

Mimo ogarniających go najcięższych trosk jakiś odblask szczęśliwych myśli, rozświetlających duszę niegdyś nad brzegiem Sakary, odbił się echem w skołatanej głowie, przyniósł cenną rzecz: nadzieję.

Ademar spojrział na list bez goryczy.

— Nie napiszę mu nic — postanowił.

Wzajemne rozdrażnienie rycerstwa nie ustaje mimo wszelkie wysiłki biskupa. Ani nadchodzące święta Bożego Narodzenia, święta pojednania i zgody, ani widok twierdzy stojącej bez zmiany, ani dwie już wykończone, nie najgorzej poruszające się wieże, nie mogą oderwać uwagi od wszczętego sporu. Zresztą Omer nie próżnuje. Ugania nadal po obozie zapewniając wszystkich, że dopiero przegnavszy niewiasty staną się po dawnemu silni, 'sprawni i zwycięscy. Niektórzy poczynają w to wierzyć i gotowi są iść za nim.

Inni nie wierzą wprawdzie, ale pomoc chętnie obiecują, radzi, że mogą przy tym dokuczyć

Prowansalczykom. Prowan-salczyki znów nie przebaczą nigdy Normanom zachorzenia swego wodza.

Wprawdzie Rajmund żyje, władza w porażonych członkach wraca mu powoli, nieprędko jednak będzie mógł wstać z łoża. Jest słaby jak dziecko, niepodobny do samego siebie. Lecz uraza do Normanów żywią w nim jednako silna. Poza tym wścieka go żądanie Boemunda oddania mu na własność Antiochii. Niby zitalizowane, przecie takie same Normany jak tamte, chytre, przebiegłe. Nigdy żaden Pro-wansalczyk nie przystanie na podobne pogwałcenie rycerskiej równości!

I tak oba obozy stoją w stanie otwartej wojny, czekając najmniejszego pozoru, błahej przyczyny, by wybuchnąć nienawiścią. Saraceni zeszli na drugi plan. Wszystko inne zeszło na drugi plan. Każdy wie, że prędzej czy później między skłóconymi musi dojść do bitwy.

Do ogólnego rozdrażnienia przyczynia się też pogoda, dziwaczna, niesamowita. Miejscowi ludzie twierdzą, że podobnej zimy nie było od lat. Duszna parnota trwa nieustannie. Powietrze jest ciężkie, wilgotne.

Deszcze nie rzeźwią, chłód nie daje odpoczynku. Wokoło po górach chodzą ciągłe burze. Łyskają po nocach złymi ślepiami błyskawic, toczą przeciągłym, hurkotem grzmotów. Powietrze naładowane tajemniczą siłą, sprowadzającą pioruny, rozdrażnia do cna ludzi i tak wykolejonych, chorych, niezadowolonych, pragnących odpowiedzialność za wyczuwane zło zrzucić na barki towarzysza. Ludzi bezczynnych, nie widzących bezpośredniego celu przed oczyma. Niejednemu obrzydła już rozpusta i syryjskie dziewczki czy tureckie branki. Ale wcześniej od obrzydzenia nadeszło przyzwyczajenie, biorąc ciało w obrzydłe jarzmo nawyku. Zerwać przyzwyczajenie nie jest łatwo.

W tym stanie ducha byle powód mógł sprowadzić wybuch.

Najnieoczekiwany dostarczył go archidiakon Alberon, wykwintny poeta. Niestrudzony tępicieł grzechu

nieczystości, Omer Guillebaut, wyszedł jego przyjaźń z piękną Miriam, małżonką Ben Makarego. Poty tropił za modnisiem, aż przyłapał go na rozmowie samodwa ze swoją panią. Nie czynili wprawdzie nic złego; Alberon odczytywał nowe rymy, lecz podejrzliwcowi wystarczyło obaczyć ich razem, by młodego archidiakona okrzyknąć za jawno grzesznika. Chwycił go siłą i chciał wieść przed biskupa, żądając surowego sądu i napiętnowania żelazem, jak przewidywało prawo. Rozgniewany

i przerażony Alberon pchnął mieczem giermka, trzymającego wodze jego konia, i uciekł do prowansalskiego obozu. Rozwścieczony Omer zażądał wydania zbiega. Odmówiono. Ze sporu wywiązała się bitwa. Daremnie biskup, zamknąwszy u siebie Alberona do chwili sądu, wzywał do zachowania spokoju. Rajmund St. Gilles z łoża wydawał rozkazy, przykazując panu de Foix wyprowadzić szyki w pole i nacierać na Normanów. Robert nie zostawał w tyle. Ma wielkim błoniem za rzeką oba wojska ustawiały się do nieubłaganej i krwawej rozprawy. Obie strony przysięgały głośno, że nie spoczną, póki doszczętnie nie wytracą przeciwnika. Schrypli z krzyku, błady z rozpacz Ademar przejeżdżał od jednych do drugich, prosząc, nawołując, lecz uszy rycerskie zawarte były na głucho przed tym głosem sumienia i opamiętania. Nic już nie zatrzyma nacierających. W oczach uradowanych pogan najlepsze, najliczniejsze drużyny łatyńskie wybijają się wzajem co do nogi.

Równocześnie przyciągnięta burzą uczuć ludzkich nadchodzi burza niebieska. Chmury granatowosine, prawie czarne, piętrzą się, gromadzą. Nie wiedzieć, jaki chmurnik ciągnie je na linie, gdyż w powietrzu nie czuć najłżejszego wiatru. Martwa cisza, przygniatająca, złowroga. Drzewa poopuszczają liście jak w trwodze. Konie potnieją ze strachu, chrapią, nie chcą iść w przód. Cała przyroda lęka się czegoś i drży, tylko zajęci swoim sporem ludzie nie zwracają na to uwagi.

- Na Boga, czyście gotowi?!

- Tak jest, na Boga!

Kopie złożone w pół ucha. Tętent kopyt. Druzgocące natarcie. Kwik koni, grzmot okrzyków: Tuluza!... Tuluza!... Normandia!... Normandia!... Jednaka furia z obu stron. Nienawiść podobna tej, co sprzęgła Zbyluta z Imbramem, nienawiść, co zrodzić się może tylko między braćmi. Żdźbła trawy spod kopyt końskich lecą aż pod chmury. Oślepiająca błyskawica przegląda się w ostrzu mieczów, ...I wtedy...

...Wtedy poczyna się dziać coś strasznego, nieznanego, niewypowiedziane przerażającego...

Pod kopytami nacierających ziemia kolebie się, chwieje, kołysze jak pokład okrętu w czas burzy. Bez wiatru z irza-

iem łamią się drzewa. Stara macierz dygocze w zawiasach,

dnosi łono do góry, opada. Robi się ciemno. Niebo się zniża, nebo się buja, upadnie zaraz na głowy!

Jbłakani z przerażenia, zapominając o walce, rycerze chcą

uciekać. Ale gdzie? Konie kładą się stękając z trwogi. Więc jedni biegną pieszo na oślep, inni padają plackiem na ziemię. Ktoś przeraźliwie krzyczy: — Kara Boża! Kara Boża!... — Z namiotu biskupowego wybiega Piotr Eremita, mała zapomniana postać w tej samej zawsze opończy z kapturem. Woła rozdzierająco:

— Sodoma, Gomora! Bóg was oddał szatanowi za grzechy wasze! Zaraz lunie deszcz ognisty!...

Słusznie woła. Kara Boża! Bóg ma dosyć ich przewinień. Ziemia stara się otrząsnąć z siebie grzeszników. Unosi się nowym spazmem, jak gdyby chciała urodzić zniszczenie. W samym obozie na oczach wszystkich grunt pęka głęboką szczeliną, pochłania namioty i ludzi wyjących z grozy. Czepiają się rozpacznie drzewa. Drzewo pochyla się i zapada razem z nimi. Orontes wystąpił z brzegów, chluscze daleko wodą. Nie wiedzieć skąd lecą chmury popiołu, sypią się na oszalałe z trwogi głowy jak znak pokuty, której oni przyjąć nie chcieli. Wyginą wszyscy za swe grzechy! Za swe grzechy! Stwórca ich karze sprawiedliwym sądem! W przedśmiertnej jasności widzą swoją winę, pojmują, że nie mogą żądać przebaczenia! Wyszli z kraju dla Chrystusa, a gdzież teraz Chrystus? Kto o nim myślał?! Spędzili tu trzy miesiące myśląc tylko o rozkoszy, o swoich grzesznych cielskach, płodząc szkaradzieństwo. Smród ich grzechów bił do nieba. Gorszi byli niż tłumy zbójckie, co rżnęły Żydów w Moguncji, gorszi niż ciemne gromady wytracone pod Civitot! Sodoma, Gomora! Nie ma przebaczenia!

Ziemia kolebie się znowu. Z trzaskiem pada jedna z wież z trudem przez cieśli wzniesionych. Pękają domy. Z szelestem osuwa się w rzekę skała. Z gór lecą z łoskotem glazy. Uczepiony skały klasztor Świętego Jerzego chwieje się jak liść na wietrze. Błagalny wątyły głos dzwonu, dzwonu, co płoszy demony, dolatuje od niego aż tutaj. Klęcząc, z oczyma wzniesionymi w górę, biskup modli się głośno, żarliwie. Bliżsi podejmują za nim głosem nieprzytomnym z grozy... — Boże, Boże Wszchemogący! Przebacz nieszczęsnym grzesznikom! Zasluszyli stokrotnie na karę, aleś Ty jest miłosierny! — Największa skruca schodzi w serca, zalewa je łzami, wstrętem do samych siebie. Nigdy już! Nigdy już! Ze szlochaniem wyrzec się obrzydłych grzechów, puścić w niepamięć urazy, nigdy do starych błędów nie powrócić, jeno Ty zlituj się, Boże!...

Rozdział szesnasty W WIEŻY TRZECH SIÓSTR

Z uczuciem wstrętu Jastrzębiec, syn Gniewa, odziewał się w dawne niewolnicze szmaty. Pachołcy mieli je spalić, niegdyś, trzy kwartały temu (Boże, jak czas leci!), lecz żał im się zrobiło, boć to zawsze przyodziewek. Schowali. I przydało się kilkakrotnie. Dziś po raz ostatni rycerz wciąga je na siebie. Wokoło jest noc. Bezmiesięczna, ciemna noc. Mur, pod którym stoją, nie odcina się wcale od czarnego nieba. Tylko oświetlone okienko wieży połyskuje wysoko jak gwiazda. Boemund stoi za Jastrzębcem. Są dwaj, tylko dwaj. Nie jak rycerze, którym przystoi w dzień otwarcie walczyć, lecz jak złodziejaszki kryjący się w cieniu. Nie dbają o to. Jednym kieruje zemsta, drugim chciwość. Te dwa uczucia nie cofają się przed niczym. Jastrzębiec woła krótko, gardłowo, po arabsku, złożyłszy ręce przy ustach. Po czym czekają w milczeniu. Gdy tak siojdz z głowami zadartymi w górę, Ostój, syn Gniewa, czuje ogarniającą go starą falę nienawiści. Na co dzień zdążył już zapomnieć o niewoli i złym snem wydaje mu się myśl, że kiedykolwiek przestawał być wolnym rycerzem. Wystarczy jednak wciągnąć na grzbiet łachy niewolnika, by te wspomnienia stały się żywe, rzeczywiste, bliskie. Bolały plecy, świszczał bat. Córka Firusa wynosiła mu jedzenie w miseczce jak psu. Kiedyś przechodzący aga napluł do tego jada, a on, Jastrzębiec, głodnym będąc, pomimo to... zjadł. Tych wspomnień haniebnych nie mógł odgonić, wyrwać, zatrzeć. Czepiała się go jak wszy nędzy. By się ich pozbyć, nie wystarczy dziesięciokrotna spleta krwi. Ani setna. Trzeba zgładzić wszystko, co było świadkiem poniżenia. Mur, ludzi. Zarówno tych, co bili i pluli, jak tych, co się litowali! Wszystkich. I powiedzieć sobie wówczas, że tego wcale nie było! Tak myśli Ostój, syn Gniewa, czekając z zadartą głową pod wieżą. Gdy zmora wstrętu do samego siebie ogarnie do

tego stopnia człowieka, nie ma na nią innej rady, jak zniszczyć ślady zhańbionego życia. Wypalić gorącym żelazem, jak się wypala jad żmii. (Z powodu tej właśnie, dziwnej zaiste, właściwości ludzkiej natury zginali w Edessie abba Thoros i jego żona Agata.)

Wieża pozostaje głuchą. Wąski prostokąt okienka pustym. Jastrzębiec nawołuje znowu, nadając głosowi brzmienie trwogi i rozpacz.

Tym razem posłyszano go. Czyjaś głowa zasłania światło.

— Kto woła? — pyta po arabsku.

- To ja, Anim, uciekłem z niewoli u gaurów... Spuśćcie mi linę, na Allacha!

— Sam jesteś?

- Sam, ale mnie ścigają! Już ich słyszę! Linę, przez imię Proroka!

Chwila ciszy, po czym z szelestem spuszcza się z góry sznur, giętki, twardy jak wąż. W ślad za nim wychyla się cięciwa łuku, czyjeś oczy bacznie śledzą, czy wołający jest istotnie sam.

Jastrzębiec chwyta za sznur, drapie się zręcznie do góry. Już dosięgnął! okienka. Znikł,

Książę Tarentu oddycha z ulgą, kładzie się na ziemi i czeka długo, nieomal do świtu. Czekając rozmyśla nad wszystkim, co się zdarzyło w ostatnim półroczu. Trzęsienie ziemi, nadeszłe w same Gody, wstrząsnęło potężnie umysłami. Nie ma co mówić, przyszło w porę. Książę Tarentu, znający wybuchy Etny, mniej się nim przejął niż Normanowie lub Lotaryńczycy, jednakże przyznaje, że sam przez chwilę wahał się, czy nie odstąpić od zamiaru zatrzymania Antiochii dla siebie. Na szczęście opanował się w czas i tego głupstwa nie zrobił.

Jastrzębiec długo nie wraca. Boemund przeciąga się i ziewa w trawę. Ziewa nie ze snu, ale z osłabienia wywołanego głodem. Tak, głodem! W obozach panuje on już w całej pełni. Wokoło czarownicy maj, a żreć nie ma co. Takiego przednówka nie mieli jeszcze nigdy łatyńscy rycerze. Ani ziarna, ani wina, ani oliwy, ani mięsa. Zjedzono już wszelką żywinę, psy i koty. Ryb braknie w jeziorze i coraz trudniej ułowić cośkolwiek. Zjedzono nawet skóry, którymi obita była Mal-hommerie. Wśród wojska szerzą się głodowe gorączki, gio-dowe puchliny, ludzie umierają coraz gęściej. Straszno i wstyd powiedzieć, są i tacy, co wykradają trupy, ćwiartują je, pieką i jedzą. Na pustyni pili krew bliźniego, teraz żrą jego ciało.

Ci którzy się jeszcze na to nie odważają, jedzą mieloną korę i przeróżne badyle. A że tutejszych ziół nie znają, nie wiedzą, które zdatne, które nie, przeto częste są wypadki zatrucia.

Konie trzymają się nieźle, bo wszędy ruń młoda. Czemuż ludzie nie potrafią jak one jeść trawy? Mogliby wprawdzie zjeść te swoje wierne wierzchowce, ale tego żaden rycerz nie uczyni, póki żyw. Wolej zabiłby i zjadł swego sługę.

Głód, głód! Zapomniane czasy, gdy pod tymi samymi murami dur zmysłów ogarniał głowy, a sprawy kobiece górowały nad wszystkimi innymi. Dziś już nawet nikt nie pamięta, że tak było. Piękne Syryjki dawno wyjechały do Aleksandretty, stamtąd "na południe, w okolice, których jeszcze nie dotknęła wojna.

Branki powymierały lub je wypędzono, by oszczędzić jada. Trzymane dla rozkoszy dziewczki, jak Imbramowa Alocha lub nałożnica Oświęty, uciekły, gdy głód zawitał. Pozostałe niewiasty, wychudłe, zaniedbane snują się po okolicy szukając jadalnych roślin lub oddają swą cnotę za strawę, lecz nikt się do

nich nie kwapi.

Nie ma co mówić, położenie krzyżowców jest rozpaczliwe. Przybyli tu w pierwszych dniach października. Dziś jest koniec maja. Przez ten czas właściwe oblężenie twierdzy nie posunęło się wcale naprzód. O walnym natarciu nie było co marzyć bez dziesięciu wież przynajmniej, a sklecono ich dotychczas cztery. Byłoby pięć, gdyby nie to, że jedna niszczała w czasie trzęsienia ziemi. Kiedy będą wszystkie gotowe? Ludzie osłabli z głodu nie mogą pracować należycie, ruszają się sennie jak muchy jesienią. Jediną pociechę stanowi nadzieja, że i w twierdzy nie staje żywności, a o nadejściu Ker-bogi, emira Mossulu, nic nie słyhać. Widocznie wcale nie przyjdzie.

O tak, położenie było rozpaczliwe! Leżąc na trawie Boemund stwierdzał to bez przykrości. Gdyby nie było tak ciężkie, nie dopiąłby nigdy swego celu. Musiało się panom baronom dobrze nalać wody do uszu, by raczyli przystać na jego żądanie.

Och, jak długo Jastrzębiec nie wraca! Boemund przeciąga się, patrzy z niepokojem na niebo, czy nie blednie? Potem znów przypomina sobie wydarzenia długiej zimy. Obce niewiasty pouciekały albo je przepędzono... Omer de Guillebaut przycichł. Ogrodzenie zrobione dla białek rozleciało się w czasie konwulsji ziemi i tłumacz przepowiedni Merlinowych zgodził się uznać to za palec Boży.

Tylko rycerz de la Tour zachował swoją kochankę, wierniejszą od wszystkich innych. Całą jesień i pół zimy karmił ją surowym mięsem. Przyprowadził do obozu w połowie lutego. Ponieważ przedtem zapowiedział przyjaciółom, iż przedstawi im swą miłą, oczekiwali z ciekawością. Ciekawość zmieniała się w przestрах, gdy de la Tour przywiódł ze sobą roślą, piękną lwicę. Szła niestropiona liczną gawiedzią, stępując cicho, sprężyste i groźnie. Czasem tylko łysnęła okiem na widzów i od tego spojrzenia przebiegały ciarki. Ocieraa się o biodra rycerza poufale i przyjacielsko jak kot. Miłowali się oboje niezmiernie. De la Tour przytulał twarz do płowej paszczy z kolczastym ozorem, uzbrojonej dwoma rzadami przeraźliwie białych ząbców, i zapewniał, że Sara (bo takie dał jej miano) jest najłagodniejszym stworzeniem na świecie, które nie skrzywdzi nikogo, chyba zaczepione. Zdumionym towarzyszom opowiedział, że wprądce po przybyciu pod An-tiochię, będąc na łowach, zastał na polance lwicą, tą właśnie, walczącą śmiertelnie z wężem. Wąż był górą. Oplótł się dokoła zwierza i usiłował przyciągnąć go do drzewa. Zwierzą na poły zduszone rzeziło. •—• Gad był taki plugawy — mówił de la Tour — żem nie wytrzymał i dosicoczywszy, rąbnął mieczem niżej głowy. Opadło paskudztwo jak badyle, ale lwicy też niewiele brakowało. Przyniosłem jej wody w hełmie. Wypiła. Na drugi dzień przychodzą obaczyć, co się z nią dzieje. Nie ruszyła się. Nogi miała przetrącone. Wiącem ją karmił i poił więcej niż cztery miesiące, aż wydobrzała ze wszystkim. I tak się pokochaliśmy przy tym, że odejść ode mnie nie chciała...

Mówiąc to gładził giętką, płową sierść. Lwica leżała na boku, przymrużonymi ślepiami śledząc czule jego ruchy. Ludzie dziwili się, a niektórzy pytali z obawą, czy rycerz de la Tour nie parał się czarami, boć to niebywała rzecz tak oswoić dziką bestią? Lecz biskup zasłyszawszy to ofuknął ich gniewnie, że zaszedł tu owszem czar potężny, Bogu miły, czar ludzkiego dobrego serca, które zdolne jest czynić największe przemiany.

Inni sarkali, że lwica konie wydusi, ale de la Tour śmiał się z tych obaw i klął na świętą nieszytą suknię z Argenteuil, że Sara nie tknie niczego.

Jakoż nie ruszyła. Gdy głód zapanował na dobre, chodziła w góry na łowy. Wracała nie tylko nażarta, z pełnymi bokami, lecz kilkakrotnie przywlokła połową dzikiego kozła. Ona teraz z kolei żywiła swojego pana. To było w lutym. W tym samym mniej więcej czasie polski

rycerz Jastrzębiec podsłuchał rozmowę prowadzoną na murach o nadciągającej odsieczy, nie Kerbogi, przeciw któremu zbuntowało się kilka plemion, lecz emira Rodoana z Aleppo i emira Sokmana ibn Ortok. Obaj ze znacznymi siłami. Dzięki tej wiadomości Latyńcy poszli zasadzić się na drodze nadciągających, w miejscu, gdzie brzeg Orontu oddalony jest najwyżej o tysiąc kroków od jeziora. To miejsce również wskazał i wybrał Jastrzębiec. Ściśnięci między dwie wody Saraceni nie mogli ani rozwinąć się, ani ulubionym swym sposobem oskrzydlić i otoczyć krzyżowców. Walka była zażarta, zawzięta, rozjadła. Od świętomarcińskiej potyczki rycerstwo nie miało sprawy z poganami, widując tylko wrogów bezpiecznych i szydlwych na murach. Z rozkoszą więc dawali folgę trawiącej ich nienawiści. Zwycięstwo było zupełne. Rodoan poległ, a ibn Ortok zbiegł z niedobitkami. Latyńcy wrócili do obozu, wioząc więcej niż sto wozów obciętych głów, które procami rzucono do miasta. Niech pogany cieszą się swoją odsieczą!

Przywieźli też żywność, w ilości jednak znacznie od głów mniejszej, gdyż mściwy ibn Ortok zdążył zatopić większą część taboru w jeziorze. Po paru dniach głód powrócił. Słońce grzało. Nad głowami

przelatywały stada polskich bocianów i polskich jaskółek, wracających na północ. Widok ich poruszał serca, budził nieopisany żal i tęsknotę. Od wawrzynowego gaju pogańskiej nimfy były upajające wonie. Drzewa pokryły się kwieciami. Wiosna zakwitła wkoło niezrównanym czarem, ale cóż z tego, skoro nie było co jeść? Daremnie rycerze rozpuszczali coraz dalsze zagony w poszukiwaniu pożywienia. Kraj był doszczętnie ogołocony. Gromady wystawały nad biskupowym polem, patrząc chciwie, jak pszenica faluje, zielenieje, bieleje, dojrzewa... Och, gdyby jej było więcej! Cóż znaczy ten jeden łan? Imbramowe pole porosło chwastami, nie obsiane. Rozpoczął zeszłego roku orkę i porzucił nie skończywszy. Co do pszenicy, mimo prośby taisykupowe, by wyczekali, aż dobrze dojrzeje, skradziono ją całą na pniu. Od zielonego, pęczniejącego niezrątego ziarna, niedbale obtłuczonego, ludziska chorowali na kolkę.

Wtedy to, pod koniec maja, zaszedł haniebny wypadek, o jakim nigdy dotąd nie słyszano. Dwóch ludzi nie wytrzymało głodu i uciekło z obozu do Aleksandretty, by tam dostać się na galery greckie lub genueńskie i żebrać jedzenia! Uciekli od towarzyszy do obcych! Cóż to za ludzie? Piotr Eremita, nędzny strzęp, niedyś człowiek Boży, przodownik tłu-

mów, teraz przyglupek, widzący wszędzie szatana, żyjący w laku i półotałakaniu. Rozlegający się ustawicznie po obozie okrzyk: jeść! przypomina mu najstraszliwsze chwile przeżyte na Węgrzech nad Sawą, odbiera resztę odwagi, wytrwania. Ciało i duch Piotra Eremity straciły wszelką siłę oporu, nie są zdolne znieść nic więcej. Tocząc się bezwładnie po pochylni wypadków, dawny prorok podwija kaptur opończy i ucieka do Aleksandretty...

Drugim zbiegiem jest... rycerz. Dawniej uważany za jednego z najlepszych. Pan Wilhelm de Melun, przyjaciel Hugona, zwany Cieślą. Siłacz, rębacz, waleczny w boju. W bitwie śmieje się w oczy śmierci śmiechem podobnym do rżenia. Jest nieustraszony. Nie boi się niebezpieczeństwa, lecz... lęka się głodu...

Czysto cielesna jego siła, nie mająca odpowiednika w duszy rycerza, załamuje się z chwilą, gdy ciało słabnie. Pan de Melun syty jest rycerzem, głodny — nieodpowiedzialnym za swoje czyny zwierzęciem. Dla zdobycia jadła gotów się uciec do najgorszej zbrodni. Gotów skraść konia przyjacielowi, gotów nawet... uciec...

O Piotra Eremitę nikt nie dba. Niech ucieka, skoro chce. Nie jest urodzonym ani pasowanym. Ale de Melun! Wspominał wprawdzie nieraz, że ujdzie do pogan lub Greków, ale brano to za czczą pogroźkę. Hugo rwie włosy z głowy na myśl o wstydzie, jakim ta ucieczka okryje całe rycerstwo francuskie. Pogoń wyrusza za zbiegiem w kilka stron naraz, bo nie wiedzieć dokąd i którędy poszedł.

Szczęściem, o parę mil za obozem Tankred napotyka bie-gusów. Obaj są razem. Zuchwały zazwyczaj olbrzym i nędzny nieborak. Obaj równie słabi i bezradni.

Nie tracąc czasu na próżne rozmowy, Tankred zabiera ich z powrotem. Rzuca w namiocie biskupa z pogardą, jak ścierwo. Piotr szlochą, złamany, znękany. De Melun leży nieruchomo, nabiegłymi krwią oczami patrząc nienawistnie na obecnych.

—• Jak mogłeś to zrobić? — rozpacza Hugo. — Uciekać!/? •—• Żreć dajcie, kiejście mnie spadki przywiedli — warczy olbrzym — żreć!

— Skąd ci wezmę!/? Nikt nie ma... Rycerz jesteś!

— Żreć! — powtarza uporczywie de Melun.

— Przysięgam na cześć, że każdym jadłem, co dostanę, podzielę się z tobą, ale daj mi słowo, że nie ucieczesz więcej...

— A dasz jeść?

_ - Dam, jeśli będę miał! Oddam ci wszystko! Sam zdechnę, ale ty nie uciekaj!

__ Ostanę, jeśli dasz jeść... — mruczy de Melun.

Obecni patrzą ze wstydem na to poniżenie. Co będzie, gdy znajdzie się więcej podobnych?

Odruchowo, samorzutnie składają wszyscy przysięgę, że żaden z nich, w żadnym razie, nie uciecze, że podzieli złą lub dobrą dolę towarzyszy. Po czym zaczynają rozważać, czy nie zgodzić się jednak na żądanie Boemunda? Nieszczercze on postępuje i niegodziwie, to prawda, ale cóż począć? Mają tu

wszyscy ginąć bezowocnie? Niech bierze Antiochię, byle ją wpierw zdobył, a oni mogli iść naprzód... Rajmunda St. Gilles nie ma na radzie. Dotąd nie wyzdrowiał ze wszystkim po zeszłorocznym zajściu z Omerem. Konia jeszcze dosiąść nie może, a gdy się zgniewa lub wzruszy, płacze językiem i bełkocze niewyraźnie miasto mówić. Nie chcąc się podawać na śmiech, rzadko przychodzi na narady. Gdyby tu był, nie przystałby na pewno. Jest nieprzejednany. Zamiar Boemunda uważa za podwójną zdradę: nieprzyjaciela i towarzyszy.

Pozostali nie wątpią również, że tajemniczy sposób zdobycia Antiochii opiera się na jakimś szpetnym podejściu. Są jednak o tyle zgnębieni, że nie brzydzą się niczego. Mniejsza o to. Boemunda grzech, nie ich. Jeszcze w lutym nie chcieli słyszeć, gdy swoje namowy ponawiał, dziś gotowi są ustąpić. Życie zmienia. Ci sami ludzie, co pod Niceą zastanawiali się poważnie, czy nie wracać do Europy, skoro niepoczciwi poganie nocą naprawiają mury, dziś godzą się na wszystko, byle celu dopiąć. Przykro im, że Boemund dostanie Antiochię, lecz mniejsza o to, byle skończyć z tym beznadziejnym oblężeniem!

Boemund słucha w milczeniu. Nie daje po sobie poznać triumfu. Zapytuje:

Na cześć rycerską, gród będzie mój, niepodzielnie mój?

- Na cześć rycerską pozostawiamy wam gród.

- Za dwa dni będziemy w nim.

Odszedł. To było wczoraj. I teraz oto leży w trawie, ziewając z głodu i czekając na Jastrzębca, który nie powraca... ..Jeżeli na wieży stróżował dziś nie Firus, lecz kto inny, Jastrzębca ubito?... Co wtedy? -zaś mija. Boemund przewraca się niespokojnie. Oprócz wy o Jastrzębca jeszcze jeden cień dowiera mu w sercu: ankred! Unika stryja, nie gada z nim wcale. Głupiec! Je-

dyny człowiek, o którego Boemund dba naprawdę, którego kocha, potrzebuje, za którym tęskni. I właśnie on... Ha, trudno. Dla szczenięcych fochów nie wyrzeknie się władztwa... Jeżeli Firus przyjdzie, potęga księcia Tarentu będzie za parę lat równa basileusowej...

...A gdy nie przyjdzie?... Za co go będą mieli towarzysze? Zginie wraz z nimi w przygotowanym przez siebie potrzasku...

...Noc, noc... ciemna... bezmiesięczna... Cisza cyka w uszach szumem.

...Bacność... Szelest... Ktoś się skrada... Kto?... Rycerz polski nie zdradził na pewno, lecz mógł zdradzić Firus... Przysła swoich ludzi, by zniemacka schwycili i porwali śmiałka, który kusi do zdrady... Jutro głowa Boemunda będzie zatknięta na murze...

Ktoś się przybliży tuż... Uderzyć mieczem czy nie?... Pugał w pogotowiu. Stój! Dwie postacie wychylają się w mroku tuż obok czekającego. Jastrzębiec i mniejszy wzrostem człowiek w dużym zawoju. Renegat, Grek, Firus. Jastrzębiec, który poznał już łacinę o tyle, że może swobodnie rozmówić się z Boemundem, tłumaczy najcichszym szeptem skąpe, urywane słowa.

— Naczelne dowództwo twierdzy w zamian za wpuszczenie do miasta. Czy tak? — pyta Grek.

— Tak, jeśli zaraz. Pojutrze.

— Można, Pojutrze jestem na wieży. Więc główne dowództwo nad całą twierdzą? Nad cytadelą też?

— Też.

— Jaką mogę mieć na to porękę?

— Porękę?! Moje słowo książęce nie starczy? To ja się pytam, jaką wy mi dajecie pewność?

— Moją cześć.

— Cześć renegata! Dajcie zastaw, inaczej jutro odtrąbimy pod murami, żeście nam ofiarowali otwarcie bramy...

Firus spojrział z przerażeniem.

— Co za szaleństwo! Ależ to ja... ja... potrzebuje zapewnienia!...

— Nie spierajmy się. Żał czasu. Żądam zastawu, pewności...

— Muszę wracać — szepnął Firus — niedługo będą się zmieniały straż... mogą zobaczyć, że mnie nie ma... Pojutrze, gdy tylko się ściemni, schyną z okna drabinę...

— Nie puszczę was bez zastawu!

Firus rozejrzał się z rozpaczą jak schwyty w sidła.

... cóż mogę dać?! Nie mam nic ze sobą!

— Przyślijcie syna, Izaaka — rzekł twardo Jastrzębiec. ... Tak, tak — podchwycił Boemund — syna!

— Nie ma go tu!

...Nieprawda, śpi w domu — zaprzeczył Jastrzębiec. —
Możecie go przysłać.

...My tu czekamy — dodał Boemund. — Jeśli za godziną
syn nie zejdzie, ogłaszamy jutro przed południem waszą zdradę. Zginiecie wy i wasz ród...

...Mój syn... Czy mu się nic nie stanie?...

... To zależy od was.

— O, Boże, muszę iść... Ale co ja?... Ja?... Jaką mam pewność?... — bąkał Firus idąc ku murom.

— Moje słowo.

Patrzyli za odchodzącym, gdy wspinał się mozolnie po sznurze. Jastrzębiec począł ściągać z siebie
prezbranie. Boemund zatrzymał go żywo.

— Po co? A nuż trzeba będzie wejść tam jeszcze raz?...

— Pójdę, ale z mieczem jako rycerz... W tych łańcach za nic... Mam już dość... o, dość...

— Gdy wino jest otwarte, trzeba je wypić — mruży Boemund gniewnie, nie przeszkadzając jednak
rycerzowi prze-oblec się. Czekają.

- Firus mieszka daleko od wieży?

- Parę kroków zaledwie.

...Parę kroków. Mógł już tam zatem dojść. Budzi syna. RzUCA byle jakie wyjaśnienie na odczepne matce...

Wysła żołnierzy z wieży... Każe chłopcu zejść... To wszystko nie może trwać długo...

...Jednak trwa. Czekają. Zdaje im się, że noc już blednie, w trawach poczyna się ruch, w zaroślach ptasie
świergoty. Jeszcze parę pacierzy i mrok przestanie skrywać czekających.

...Pst... pst... oto jest. Coś ciemniejszego sunie po murze, miękko osuwa się na ziemię i czeka bez ruchu.

- Poznacie go, rycerzu, bo może obcego przysłał? — zapytuje Boemund podchodząc żywo ku leżącej
postaci. Jastrzębiec bez słowa kiwa głową. Zna całą rodzinę Firusa. Młody, chłopiec w ciemnej opończy
dygoce ze strachu i przerwane go

nu. Bije jeszcze od niego ciepło łoża. Jest wąty i zgrabny k efeb, podobniejszy do dziewczyny niż do
chłopca. Urodził ę w Chrześcijaństwie,- gdy ojciec zmienił wiarę, został obrze-ⁱⁿY i przechrzczony z Izaaka
na Abdullę. Ma wielkie syryj-

skie oczy i niepewny wyraz człowieka, który nie wie, kim jest właściwie i jakiej wiary.

Boemund z Jastrzębcem biorą go między siebie i szybko, najszybciej uchodzą. Chłopiec poznał brańca
i nabrał ducha. Przytula się ramieniem z ufnością. Jastrzębiec z wysiłkiem panuje nad sobą samym, by
go nie odepchnąć. Izaak Abdulla jest mu wstrętny, jak wszystko, co przypomina niewolę. Jest nadto
podobny do siostry, która z litości rzuciła jeńcowi nie dojedzone ostatki ze stołu...

Boemund mówi do wodzów (są znowu wszyscy prócz gra-biego Rajmunda z Tuluzy):

- Szlachetni panowie, jak rzekłem, Antiochia jutro wieczór będzie nasza. Tymczasem niech każdy
weźmie połowę. ludzi. Musimy wyjść zaraz w stronę Aleppo.

— Przeciw komu?

— Obaczycie. Tak trzeba. Wychodzimy z trąbami, znakami, by w grodzie zauważono odejście.

Którzy zostaną, niech podciągną wieże ku Bramie Psiej i Bramie Świętego Pawła. Nie innej! Psiej i
Pawła! Mogą krzykać, ognie palić, jakby gotując się do rychłego natarcia...

Rajmund St. Gilles gorączkuje się w swoim namiocie. Druga bitwa, w której on nie bierze udziału!

Można oszaleć! Dokąd rycerstwo wyrusza? Czy Kertaoga nadciąga?! — Poślij de la Ferriere po
biskupa! — prosi Elwiry.

Elwira wychudła z głodu, przybladła, śle po Ademara, lecz ten nie śpieszy się z przyjściem.. Sam nie
wie, czy powiedzieć przyjacielowi prawdę, czy nie? A nuż mu to znów zaszkodzi?

Wojska idą cały dzień, daremnie dopytując, gdzie i przeciw komu? Przed wieczorem Boemund każe
stanać. Krótki popas. Dla koni, ludzie nie jedzą. Nie mają co. Teraz konie zostaną tu z konowodami, a
całe rycerstwo, topornicy i szczyt-nicy pójda pieszo przez góry, okrążając miasto. Muszą obejść
szczyty Silpius i Kassius. Przejścia są. Książę Tarentu i dobry rycerz Jastrzębiec już je zbadali. Jutro o
zmroku musimy być nie opodal Bramy Mostowej.

— Więc po co obchodzić górami?! Po co opuszczać obóz?' Byliśmy przecież od Bramy Mostowej o
strzelenie z łuku!

trzeba — zapewnia Boemund. — Jutro dowiecie się wszystkiego.

Górna izdebka Wieży Trzech Sióstr jest_ ciemna i ciasna. \Wieza wprawdzie szeroka, lecz mury są na
sześć łokci grube, a więc wewnątrz niewiele zostaje wolnej przestrzeni. Okienko jedno tylko, nisko,

tuż nad polepą. Najwygodniej wyglądać można przez nie, położywszy się na podłodze. Pod drzwiami na schodach stoi trzech janczarów. W izdebce Firus jest sam. Od wczoraj, gdy Izaakowi Abdulli kazał się spuścić po sznurze na dół, nie może się uspokoić. Wszystko mu leci z rąk. Syn tam na dole, w mocy Latyńców... Jeżeli nie zdoła oddać im wieży, zabiją syna... Czeką niecierpliwie zwykłego wieczornego obchodu straży przez szelka, potem mroku, potem hasła. Mrok już jest. Ciemny, nieprzenikliwy, ciepły. Sprawdzono też strażę... A teraz znak... Trzykrotne huknięcie sowy. Nie, to nie sowa, tutejsze sowy tak nie krzyczą. To Latyńcy już są pod wieżą, czekają... W izdebce wieżowej znajduje się tapczan, stołek, dzban na wodę. Na ścianie wrazone między kamienie kołki, na kołkach różne łachy, skóry baranie, którymi Firus okrywa się, gdy noce są zimne, stara opończa. Spod szmat Firus wyciąga zwiniętą ciasno w węzeł skórzaną drabinę. Spoglądając wokoło trwożnie, kładzie się na ziemi, ostrożnie uczepia ją u haków wbitych w mur po zewnętrznej stronie okna. Drabina opada w dół z szelestem. Firus gwizdże z cicha. Boi się głośniej. A nie wie, czy w mroku dojrzeli. Dojrzeli, owszem. Jest ich kilkunastu. Boemund, Jastrzębiec, Eberard du Puiset, Renard de To ul i inni. Oczy ich przywykły do ciemności i widzą drabinę, jak się osuwa po ścianie, kołyszże wahadłowo w prawo i w lewo, na koniec nieruchomieje. Drabina ta jest za krótka. Nie dosięga ziemi. Trzeba mocno podskoczyć, by ją pochwycić rękami... Boemund patrzy pytająco po obecnych. Którzy pierwszy? Widzi, że żaden z nich się nie śpieszy. Nie z trwogi, o nie! Gdyby to był szturm otwarty, w biały dzień, pchaliby się jeden przez drugiego, nie dbając o śmierć pewną. Wstrzymuje ich to coś tajemniczego, zdradliwego, niegodnego woja. Ta ślepa wieża... Milzenie... Drabina wisząca w mroku... Jasny skrawek okna, za którym nie wiedzieć, jaka zasadzka się kryje... To wszystko sprawia, że się wahają, oglądają... A tu nie ma czasu do stracenia!

- Więc ja idę pierwszy — powiada Boemund głosem na

pozór swobodnym. — Gdy dam z okna znak, włączcie wy... wcześniej me...

— Ciemno... Możemy znaku nie dojrzeć...

— Zawołam cicho: San Gennaro i Amalfi! Gdy usłyszycie, natychmiast przychodźcie!

Pochwyił koniec rzemienia, podciągnął się na muskularnych ramionach i począł piąć w górę. Miecz mu przeszkadzał, kołatał o mur. Uczepiony jedną ręką z trudem przesunął go sobie na plecy. Tam też zawadzał, ale nie sprawiał tyle hałasu. Wspiął się wyżej. Do licha! Jakaż ta drabina jest słaba! Naciąga się jak ciasto... Mowy nie ma o tym, by utrzymała kilku ludzi naraz...

Dosięgnął okienka. Wsunął z trudem głowę, ramiona... Był teraz zupełnie, najoczywiściej bezbronny. Strażnik wieży, którego nogi ma przed oczyma, może go rąbnąć po szyi i zabić jak gada. Może go kazać schwytać, związać... Wszystko zależy, czy ten stojący o parę cali od niego człowiek jest ojcem chłopca, którego Jastrzębiec pilnuje na dole...

Na szczęście jest nim. To Firus. Błady jak chusta, z czoła spływa kroplisty pot. Żywo, żywo, gdzie pozostali? — Zaraz dam im znać — mówi Boemund, domyślając się z gestu znaczenia słów. Już chce się wychylić z okna, zawołać, gdy Firus kamienieje, chwytą go za ramię. Ktoś idzie po schodach na wieżę. Co począć?! Nagłym ruchem Grek pcha Boemunda pod ścianę, gdzie na kołku wisi przyodziewek, skóra owcza. Zastania nimi rycerza. Na ziemię dla pewności rzuca kłęb sukna z tapczana, przysuwa stołek. Drzwi się otwierają. Wchodzi pomarszczony, szczupły człowieczyna. Firusów brat.

— Czego chcesz? — pyta strażnik wieży. Zęby mu szczękają. Ukląkł na ziemi i udaje, że wygląda na zewnątrz.

Przybyły siada na stołku. Jeśli się oprze, natrafi łopatkami na brzuch Boemunda.

— Anisa mnie przysłała — mówi — płacze ustawicznie o chłopca... Nie wrócił na noc. Kazała mi zobaczyć, czy jest z tobą?

— Nie ma go tutaj, ale mówiłem już przecie, że może być spokojna. Wiem, gdzie jest chłopiec. Będzie w domu jutro rano.

(Tu Firus spluwa za siebie nieznacznie, bo któż może wiedzieć, czy Izaak Abdulla będzie w domu jutro rano?!)

— Ona chce wiedzieć, gdzie jest teraz. Coś z nim zrobił? Gadaj!

— Moja rzecz. Idź powiedz Anisie, że chłopcu nic się nie stanie. Niech czeka spokojnie.

— Będzie czekać, jeśli powiesz uczciwie, gdzie jest?

— Musiałem go posłać...

— Dokąd?

Firus ociera pot z czoła. Każda sekunda cenna, a ten siedzi! Rycerze łatyńscy muszą wejść, wyjść z wieży, dobiec aż do Bramy Mostowej (bo Brama Świętego Jerzego zawałona kamieniami), otworzyć wrota... To wszystko, nim się zmienią strażę... Brat poprawia się na stołku.

— Nie mam co wracać do Anisy bez chłopca — oznajmia. — To szatan nie kobieta. Pobudziła już wszystkich sąsiadów...

— Radzę, wracaj... Wolę, żebyś tutaj nie zostawał...

— Dlaczego?

— Dżagi Sjan może nadejść... O tej porze obchodzi nieraz mury...

— To i cóż, że mnie zobaczy? Stróżujemy obaj, czuwamy...

— Wyjdź! Rozumiesz?

- Wy tłumacz najpierw dlaczego? — upiera się gość. O, nie odejdzie na pewno! Zniknięcie chłopca, zmieniona twarz brata, jego widoczny niepokój, przynaglanie do odejścia, gdy nieraz całe noce warty spędzali razem — to wszystko wygląda bardzo podejrzanie...

(...A czas mija... Bezcenny, niepowrotny czas... Na dole Izaak w ręku Łatyńców. Zabijają go, jeśli ukrytemu tu księciu spadnie włos z głowy... Zabijają Izaaka...)

Firus zbiera oburącz odwagę.

- Więc ci powiem, co jest... Ocknęło się we mnie sumienie chrześcijańskie...

- W tobie sumienie! — parska brat. — Ty stary krętaczu!

- Wierz lub nie wierz — powiada Firus z godnością —• jednak tak jest... Ocknęło się we mnie sumienie... I myślę, że powinniśmy pomagać Łatyńcom...

Brat zrywa się ze stołka.

- Co?! — woła piskliwym głosem. — Co?! I tyś może do nich chłopca posłał! Oszalałeś z kretelem!

Nigdy na to nie zezwól! Łatyńcy gorsi od poganów! Ani mi się waż o tym myśleć! To...

- Milcz! Milcz!

~ Nie będę milczał! Nie pozwolę!

{...A na dole rycerze czekają na znak Boemunda... Jeśli go ' nie otrzymają, zabijają Izaaka... Izaaka...}

— Milcz na Boga i idź precz!

— Nie!

— Więc zdychaj! — Firus podnosi ręce. Och, te damasceńskie noże, ostre, jadowite, nagłe!... Same zadają śmierć, byle ramię podnieść... Brat pada trupem na ziemię, tuż u stóp księcia Tarentu.

Firus oddycha ciężko. Zabił brata, by ocalić syna. Księżę może wyjść... Nie! Na wszystkie moce piekła, na Proroka i Chrystusa, znów nie! Na schodach orężne kroki. To Dżagi Sjan, którym Firus straszył brata, lecz w rzeczywistości wcale się go nie spodziewał. Straż na schodach już krzyczy: *Allah akbai!* Nim stróż wieży zdąży obmyślić cokolwiek, wchodzi Dżagi Sjan. Ze względu na szczupłość wieży dwaj towarzyszący mu szeicy zostają u progu.

...Potężny chłop — mówił o dowódcy twierdzy Jastrzębiec. Potężny istotnie. Szerokimi barami wypełnił prawie całą basztę. Na głowie ma hełm z tulejkami, z których sterczą orle pióra. Koszulkę z gęstej siatki stalowej. Czarny zwisający wąs, wyraziste oko, dumne, surowe rysy.

Boemund patrzy na Turka przez szparę w zasłaniającym go odzieniu. Są tak blisko siebie, że wstrzymuje oddech, by go Dżagi Sjan nie poczuł. I tak zaraz się go dotknie przy pierwszym obrocie... Więc co robić? Uprzedzić i wyskoczyć z mieczem samemu, by zginąć jako nacierający? Czy jeszcze czekać? Dać się nikczemnie schwycić skrytym pod szmatami Greka? Przekłeta godzino!

Ogromny Turek patrzy ze zdziwieniem na leżącego trupa.

— Co to za człowiek?

Firus nie może opanować drżenia. Jest błądliwy jak ten umarły. Kłoni się nisko do ziemi, przykładając ręce do czoła.

— *La ilah el Allah, Mohammed rasul Allah!* To mój brat.

— Twój brat! Czego zginął?

— Sam go zabiłem. Chciał mnie namówić do zdrady.

— W takim razie słusznie zginął.

Dżagi Sjan patrzy wahająco na leżące ciało. Nie można przykładać wiary do tego, co mówi pies niewierny, a trup milczy. Nie przemówi, można składać nań co wola. Nikt nie dojdzie, co tu zaszło...

Ostatecznie, mogli powadzić się o co innego... Na wieży wszystko jest w porządku...
Lecz nie wychodzi. W powietrzu wisi coś, co w nim budzi niepokój. Dżagi Sjan jest żołnierzem. Jak
koń wyczuje nie-

mylnie upiora, tak żołnierz wyczuje zdradę. Nie potrafi jej rozpoznać ni odeprzeć będąc na to zbyt
prostym i szczerym, ale o niej wie. Dżagi Sjan węszy woń zdrady w Wieży Trzech Sióstr i postanawia
zastąpić jutro Greka Firusa kim innym. Nie mówiąc słowa więcej, zawraca ku wyjściu. Firus kloni się
ponownie. Aż do podłogi. *Allah akbai!* Szeiki wychodzą z wodzem. Kroki ich cichną na schodach.
Na dole czekających rycerzy ogarnęło już zwątpienie. Krótka noc letnia bieleje. Minęła godzina,
odkąd książę zniknął w okienku wieży i nie daje znaku życia. Drabina wisi zapraszająco. Iść po niej?
Kazał czekać, aż zawoła... Iść czy
czekać?...

Izaak patrzy nic nie rozumiejąc. — Zdaje się, że będę musiał cię zabić — mówi Jastrzębiec po polsku.
W głosie mieszanina ulgi, wstrętu i litości.

...Iść, nie iść... — rozważają rycerze. — Nie ulega wątpliwości, że musiała zajść ponowna zdrada:
zdużono księcia i teraz czekają na dalszych...

Lecz w tejże chwili porywają się na nogi. Z góry głos cichy, ale wyraźny i dojmujący:

— ...San Gennaro i Amalfi!...

Rzucili się na wyprzódki, Jastrzębiec pierwszy, puszczając Izaaka. Już piął się jak kot do góry. Za nim
de Toul. Za nimi du Puisset i reszta. Przekleństwo! Gdy są w połowie drogi, drabina urywa się i ostatni
spadają ciężko na ziemię łamiąc sobie zębra, nogi... Jedyni, którzy zostali powyżej, Jastrzębiec i
Renard de Toul już dosięgają okienka.

- Szybko! Szybko! — powtarza Firus trzęsąc się jak w febrze. Trup braterski leży na ziemi ogołocony
tymczasem z odzienia.

•— Gdzie pozostali?! — gorączkuje się Boemund.

Dwaj przybyli nie umieją odpowiedzieć. Skoczyli wspinać się wszyscy. Sądzi, że tamci zdążają za
nimi. Jeden rzut oka przez okienko wystarcza, by wyjaśnić ich nieobecność. Co robić! Nie pora szukać
nowej liny czy drabiny. I tak jest przeraźliwie późno. Trzech musi wystarczyć. Początkowo Boemund
miał zamiar wyrzucić zniemacka załogę wieży, pędzić zbrojnie w stronę mostu. Liczył, że zanim
zaskoczeni poganie opamiętają się, część dobiegnie bramy i otworzy wrota. Ani marzyć o tym teraz,
gdy jest ich raptem trzech. Więc Boemund szybko wdziewa na zbroję płaszcz zabitego, na

głową jego zawój. Jastrzębiec zdejmuje ze ściany 'opończę, de Toul owija się w skórę baranią.
Miecze, proste, chrześcijańskie miecze z głowicą w kształcie krzyża ukrywają starannie pod odzieniem.
Wychodzą spokojnym krokiem na schody. Janczary patrzą na nich tępym wzrokiem dzikusów, któ-
rych rzeczą nie jest myśleć, lecz stać i pilnować wejścia do wieży. Ci obcy weszli tam zapewne z
emirem, aby Allah strzegł dni jego! Rycerze schodzą. Idą szparko w rzedniejącym z każdą chwilą
mroku ku Bramie Mostowej. Tylko co przeszedł przed nimi Dżagi Sjan i placówki trwają jeszcze
kornie pochylone- z dłońmi u czoła: *Allah akbar!* Na przechodzących nikt nie zwraca uwagi sądząc,
że to spóźniona świta emira. Oni idą coraz spieszej. O nocy, zatrzymaj się! Pierwszy promień
brzasku odkryje zaczajone przy bramie wojska, uniemożliwi zadanie. Nieomal biegnąc dopadają
Bramy. Dwóch strażników patrzy na nich podejrzliwie. Tygrysim rzutem Boe-mund rzuca się na
jednego z nich, Jastrzębiec na drugiego. Chwytają za gardło, nim ci zdążą zawołać Allacha.
Mizerykor-dię w serce. De Toul i Firus już odkładają wrzeczadze. Dwóch nowych strażników, dotąd
niewidocznych w cieniu, dopada ku napastnikom. Szamotanie się, przekleństwa, ściągają z góry
szeika. Schodzi zły. Znow Turcy biją się z Arabami! Obrzydły te wieczne bójki! Sam jest Arabem i
nie znosi Seldżuków. Lecz w połowie drogi uderza go w samo serce łoskot spadającej
sztaby i zdjęty grozą biegnie jak szalony. Nie on jeden. Olbrzymie wrota nie dają się
otworzyć cicho ni skoro. Zgrzytają ciężkie zawory. Na ich skrzyp lecą zewsząd białe zawoje,
lecz nim przeszkodzą, potężnie pchnięta otwiera się brama, krzyk straszliwy: •— Bóg tak.
chce!...

Fala Latynów wpiera się we wrota, których już żadna siła nie zawrze, zalewa miasto. Poczyna się
walka, przechodząca w srogości wszystkie boje stoczone dotychczas. W wąskich przejściach pod
murami, w uliczkach, zaułkach, domach i na dachach domów wre bitwa. Z trupów tworzą się zwały,
okopy, szańce. Krew płynie strugami po kamieniach, grunt zmienia się w rude bajoro. Gdy wzajemna

rzeźba trwa w dzielnicy zachodniej, Jastrzębiec, korzystając ze swego przebrania, przedziera się przez całe miasto aż do Bramy Psiej. Tam zrzuca zawój i opończę renegata, wyciąga miecz, jako dobry rycerz jawi się oczom strażników patrzących nań w osłupieniu. Słyszą wrzawę w przeciwnej stronie twierdzy, lecz nie wiedzą dotychczas, co jej powodem. Odpierają nieznanego napastni-

Ica lecz Ostój ztaiesił się, zapamiętał, oszalał. Wali, jakby miał siły dziesięciu. Zasiał ich i otwiera bramę.

— Bóg tak chce! — z zewnątrz odpowiada grzmot głosów.

Wpadają wezbraną rzeką krzyżowcy. Na czele Rajmund St. Gilles, który nie mógł usiedzieć w obozie. Muzułmanie wzięci z dwóch stron, zaskoczeni, ulegają. Ranek oświetla zwycięstwo krzyżowców. Bitwa toczy się jeszcze w stu punktach, lecz Dżagi Sjan z garścią wojska wycofał się do skalnej cytadeli, gdzie trzeba go będzie oblegać osobno. Załoga pozbawiona wodza traci głowę. Krzyżowcy tną bez wytchnienia. Jeńców brać?... Po co? Zresztą nikt o łaskę nie prosi. Białe zawoje padają na ziemię w milczeniu. *La ilah el Allah, Mo-hammed lasul Allah!* Chwała Prorokowi, który pozwala zginąć na świętej wojnie i doświadcza wiernych, zanim ich wywyższy! Śmierć jest piękna. Szata długowieczności przystoi tylko umysłom słabym i bezsilnym...

Nim wieczór zajdzie, krzyżowcy są panami grodu, tak jak im to Boemund obiecał. Antiochia jest wzięta, wzięta!...

Rozdział siedemnasty CZŁOWIEK ROZUMNY

Antiochia jest czarodziejskim grodem. Zawiera bogactwa równe Bizancjum. Przepych pałaców olśniewa. Na rogach ulic stoją studnie drążone w kamieniu jak koronka. Drewniane wykusze przy oknach są rzeźbione misternie niby najcudniejsza złotnicza robota. Złota wszędzie mnogość. Broni cenniejszej od złota. Jedwabnych chrzęszczących materyj, mieniących szkieł, wyrobów z brązu, miedzi, porcelany. Jednego tylko nie dostawa w przepięknym mieście: żywności. Za wszystkie skarby tu zgromadzone nie kupiłbyś na bazarach kęsa chleba ni garści daktyli.

Jastrzębiec wiedzie starszyznę do składów uprzednio strzeżonych przez wojsko. Nie przedstawiają się one zasobnie. Dża-gi Sjan, jak się okazuje, też gonil resztkami. Życie twierdzy liczyło się na parę tygodni najwyżej. Te ostatki zapasów, solonego mięsa, oliwy, mąki, kukurydzy, wina krzyżowcy rozdrapują w jedno mgnienie. Są zwycięzcami! Są panami! Nie potrzebują oszczędzać! Po kilku-miesięcznym poście chcą się najeść na koniec do syta. Należy im się to. Przecież zwyciężyli!

Boemund patrzy krzywo na takowe poczynania. Obudził się już w nim instynkt właściciela i rad by ukrócić nieco marnotrawstwo, zatrzymać łupiestwo. Znając jednak ludzi uważa, że lepiej zawczasu zabezpieczyć i strażą otoczyć najcenniejsze rzeczy, a żywność pozostawić. Zamknięcie jej wywołałoby sprzeciwy, hałasy, bunty... Niech się nażrą i idą dalej pozostawiając go tutaj. On się głodu nie boi. Za znajdujące się w Antiochii złoto Genuieńczycy nawiozą mu żywności, wiele będzie chciał.

...Byłe dawni towarzysze odeszli stąd jak najprędzej!...

Więc wojska krzyżowe jedzą, piją, uczują do przejedzenia. Zagłodzone żołądki nie chcą przyjmować większej ilości pokarmu, lecz ludzie na to nie zważają. Objadają się aż do wymiotów. Jeść! Jeść! Zapach pieczonego mięsa i wina miesza

się z wonią pokrywającej wszystko krwi i zaduchem poczynających się już rozkładać ciał. Stoły biesiadne stoją o krok od zasieków trupich. Mniejsza o to. To są ciała wrogów. To dowód zwycięstwa.

Starszyzna obchodzi mury.

— Łatwo ci przyszło księstwo... — wzdycha z zawiścią Robert Krótkoudy.

— Co ty wiesz!? — parska Boemund — czy łatwo?...

Mimo woli przeciąga dłonią po czarnej, gęstej czuprynie. Przez godzinę spędzoną w wieży Firusa dziw, że nie osiwiła. Mogła osiwieć. Żaden z rycerzy nie przeżył tego, co on, gdy skryty pod szmatami oczekiwał haniebnej nierycerskiej śmierci. Mogli go wywlec z kryjówki i zatłuc jak tchórza! Potraktować na równi z renegatem Grekiem!

Drogo kupił swoje księstwo, pomost do przyszłej potęgi. Ma prawo nim się radować. Ale nie mówi o tym. Nie opowiada tych przeżyć nikomu. Niech myślą, że istotnie Antiochia spadła mu sama do ręki. Że nie upokorzył się dla jej zdobycia. Niech myślą!

Znającego prawdę Firusa trzeba będzie sprzątnąć. Nie zaraz. Dopóki Dżagi Sjan siedzi w cytadeli, ten łotr może być potrzebny.

Ademar z Godfoidem zajęci są przywracaniem wierze świętej zamienionych na meczety kościołów. W pierwszym rzędzie przepięknej, olbrzymiej katedry. Pochodzi z tej samej epoki co Hagia Sofia, podobna do niej w bogactwie i majestacie. Główny ołtarz znajduje się w miejscu, gdzie się wznosiło więzienie, z którego Anioł wyzwolił cudownie świętego Piotra, Księcia Apostołów. Szare kamienne płyty więziennej podłogi widnieją jeszcze pozostawione na pamiątkę. Dokoła nich mieni się mozaika, na niej pawie, ptaki nieśmiertelności, z roz-

postartą tęczę piór.

Odśpiewawszy w katedrze pierwsze uroczyste nabożeństwo -- biskup idzie na radę. Trzymają ją w pałacu Dżagi Sjana na marmurowym dziedzińcu, w chłodzie i cieniu fontanny. Nad dziedzińcem zwyczajem antiocheńskim przeciągnięta jest złota jedwabna zasłona, i w blasku jej twarzy, fłonie wódzów, wszystko wydaje się złote.

Biskup namawia,

Y przede wszystkim pogrzebano zmarłych. — Trzeba odwalić Bramę Świętego Jerzego — powiada — i wynosić ciała daleko w wąwozy. Tam niech ostaną nie zatruwając w gro-dzie powietrza. — Lecz nikt go nie słucha. Pachołcy rzucają trupy po prostu przez mury w dół. Że będą cuchnąć — co ich obchodzi? To rzecz Boemunda. Oni tu przecież długo nie zostaną, odpoczną kilka dni i ruszą na południe wolną, otwartą drogą!

Rajmund St. Gilles milczy jak zwykle od czasu choroby. Wprawdzie wczoraj po raz pierwszy od pół roku dosiadł konia i walczył po dawnemu, lecz nie może jeszcze opanować bełkotania języka.

Spogląda niechętnie wokół przekrwionymi oczami. Dobrze, że skrywali przed nim Boemundową grę, gdyż nigdy by na nią- nie przystał. I miałby słuszność. Przecież widać po zapasach, że maluczko, a twierdza byłaby musiała się zdać. Bez żadnych podstępów, żadnego cygaństwa. Wszystko byłoby się odbyło uczciwie, nie po świńsku. Zdradzieckie zdobycie jest świństwem. Co tu gadać? Musi się zemścić na całej wyprawie...

Posępny Dżagi Sjan siedzi w niedostępnej skalnej cytadeli, to spoglądając z góry z pogardą na miasto pełne pijackiej wrzawy i krzyków, to znów wypatrując z nadzieją oczy na gościniec południowy.

Hałasują d uczują Latyńcy, lecz Allah może snadno zamienić ich obrzydłe wesele w mrok śmierci.

Hugo sprowadza z obozów szlachetne niewiasty, wyszukuje dla nich na pomieszczenie co najpiękniejsze pałace. Zapewnia je, że warto przenieść się do miasta choć na parę dni, obaczyć te cuda. Oprowadza je po ogrodach pięknych jak marzenie, pełnych kwiatów i złotych klatek.

Zaludniają je uprzednio kolorowe papugi i inne rzadkie ptactwo zostało zjedzone i klatki są puste.

Na sadzawkach nie ma łąbodzi, w zaroślach pawie, lecz fontanny grają tęczę wody jak dawniej, jedwabne zasłony rzucają przyćmione czarodziejskie Wąski. Kwiaty odurzają wonią, przepychem kształtów i barw.

— ...Tylko ten zaduch, ten zaduch! — otrząsa się ze wstrętem Elwira.

— Ścierwo wroga miło wonie — odpowiada Hugo znanym rycerskim przysłowiem — zresztą nie będziemy długo znosić tego smrodu, myślę, że pojutrze ruszymy...

O, nie ruszą, bo nazajutrz Dżagi Sjan na szczycie cytadeli składa radosne dzięki Prorokowi, a na murach, wieżach, po ulicach grodu brzmi nieoczekiwany okrzyk:

— Zawierać bramy! Żywo! Żywo! Saraceny!!

To z dawna zapowiadany emir Mossulu Kerboga ciągnie na pomoc Antiochii. Prowadzi więcej niż sto tysięcy ludzi, świeżych, silnych, świetnie zaopatrzonych. Zielone sztandary Proroka mienią się nad szeregami. Szarzeją lasem buńczukł, niendzuki, potrójne, pojedyncze i siedmiokrotne. Suną nie-przejrzanym morzem, jak niegdyś sunęli pod mury Nicei krzyżowcy.

...Co ducha zwijać obozy! Spędzić konie! Nie ma ani godziny czasu do stracenia!

— Malhommerie i nasze wieże trzeba spalić! — krzyczy Robert flandryjski, wypadając z oddziałem za mury.

Przeraźliwy ryk wstrząsa powietrzem.

- To moja lwica płacze za mną — mówi de la Tour — czy nie powiadałem, że to najwierniejsza kochanka?...

- Weźcie ją do miasta —• radzi Imbram.

- Po co? Żeby głód cierpiała?

W grodzie ruch jak w poruszonym mrowisku. Zgiełk. Krzyk. Turkoczą pod sklepieniami bram wjeżdżające pędem wozy. Zewsząd nawoływania. Prędeży! Prędeży! Do stojących na Wieży Świętego Pawła biskupa, Rajmunda, Boemunda i Roberta przybiega Szczepan de Blois.

- Dlaczego oni wjeżdżają?! — woła — chyba kie .myślicie zamknąć się w grodzie?!

— Przecież nie oddamy twierdzy...

— Musimy oddać! Zdechniemy w niej z głodu!

— Cóż możemy uczynić innego?

—• Uchodzić póki czas! Do Aleksandretty!

— A tam co? Rzucić się w morze!?

— Cofnąć się w góry, do Tarsu, Adany... Gdzie bądź, ale, o Boże, nie zostawać tutaj! Nie bądźcie szaleńcami! Przecież tu śmierć pewna, bez bitwy, bez zasługi, bez niczyjej korzyści!

- Uciekać nie będziem — odpowiadają chmurnie i jednomyślnie.

—• To nie ucieczka, tylko rozumne cofnięcie się!

- Radzili przed chwilą — mówi Ademar — że należałoby teraz uderzyć na Saracenów w pochodzie i rozbić. Ale nie uda się. Wojsko jest wszystko rozproszone. Konie dopiero z pastwisk spędzają, gdy rycerstwo tu... Nim się zbierzemy w szyki, oni już otoczą miasto. Więc innego wyjścia nie ma jak zamknąć się, zebrać i dopieroż zrobić wypad...

—• Możemy cofnąć się...

- Nie cofniemy się, grabio.

— Pomyślcie rozsądnie jak rozumni ludzie — błaga zrozpaczony Szczepan — odchodząc zachowujemy możliwość zwycięstwa... Nie przesadzamy niczego... Tymczasem zamykając się jakoby w grobie, przekreślamy wszystko... Nic nas nie ocali! Nic!

— Bóg, jeśli zechce. Odjeżdżajcie, grabio, sami, skoro chcecie...

— Jużci, że to zrobię! — krzyczy Szczepan. — Chwała Bogu jestem przy zdrowych zmysłach! Nie myślę dzielić waszego szaleństwa! Nie jestem tchórzem, ale jeśli mam zginąć, chcę wiedzieć, dlaczego! Nie zakopię się żywcem bez -celu!

Zbiega pędem na dół, gdzie czekają jego ludzie. Nikt ze stojących na wieży nie spogląda za nim. Przestał istnieć.

- Może kto drugi chce opuścić twierdzę? — pyta biskup. — Niech to uczyni. Póki czas.

Nie ma takiego.

— ...De Melun — szepcze Hugo — nie znosisz głodu, idź z Szczepanem.

Olbrzym potrząsa głową przecząco. Na razie jest syty, więc waleczny. Posiada zaś zbyt mało wyobraźni, by przedstawić sobie własne samopoczucie, gdy go znowu głód przycisnie.

Tuż za odwaloną Bramą. Świętego Jerzego Robert flandryjski podpala z takim trudem budowaną Malhommerie. Stojące za rzeką wieże oblężnicze, nieużyteczny, niewyzyskany owoc długiego mozołu, płoną już jak świece.

— Zamykają się w twierdzy! — woła Szczepan do Flandryjczyka, który schodzi z górnego piętra kasztelu z kwaczem smołowcowym w rękę.

— To źle — odpowiada ten z rozwągą — ja byłem za tym, by zaraz uderzyć...

— Wszystko raczej niż zamykanie się w twierdzy! To czyste samobójstwo! Nikt żywy stamtąd nie wyjdzie!

— Z pewnością.

— Więc przyznajecie mi słusność! Spodziewałem się tego! Ja jadę do basileusa... Nie jestem tchórzem, ale tutaj nie zostaną...

Flandryjczyk nie mówi nic.

•— Jedźcie ze mną, grabio, salwujcie życie dla dalszej walki z pogaństwem... — nalega Szczepan.

Robert nic nie odpowiada.

— Sami przyznajecie przecież, że zostać w grodzie to zagłada?!

— Tak, to nie ma sensu.

— Więc jedźcie, na Boga!

— Jakże jechać, skoro oni pozostają?

— Tak samo rozumuje owca pchająca się w ogień, bo inną tam przed nią rzucono!

Robert milczy po swojemu. Zawraca spokojnie ku bramie. Szczepan patrzy za nim gniewnie.

— Poszaleli wszyscy! Nie jestem tchórzem, ale rozumnym człowiekiem! Jasno widzę!... — mruczy i nie oglądając się już na nic, w obawie, że mu nieprzyjaciel drogę przetnie, pędzi ile sił w koniach na północ.

Aleksy Komnenos ze swym wspaniałym dworem, świtą i taborami liczniejszymi niż wojsko, stoi pod Filomelium. Przybył tu już przed kilkoma miesiącami i czeka na rozwój wypadków. Cały ten czas krzyżowcy udawali, że nie wiedzą

jego obecności i nie zgłaszali się doń wcale, on nawzajem. Choć zawsze wyróżniał Szczepana spośród innych baronów

oba wyrażali się o sobie z uznaniem, przywitał go cierpko i zasypał wyrzutami. Już mu doniesiono o zdobyciu Antiochii na rzecz Boemunda. Nie spodziewał się nigdy podobnego wia-rołomstwa!

Sądził, że na przysiędze Latynów można polegać, że słowo rycerskie nie jest wiatrem, cuchnącym łąjnem, bluźnierczym oszustwem! Przysięgli na Chrystusa, Filantropa, Pantokratora, na Przczystą Theotokos, i oto, jak przysięgi dotrzymali! Narazili się na straszny gniew Boży i niechybne potępienie, po co? Dlaczego? Żeby wzbogacić księcia Tarentu?! Cóż im z tego przyjdzie poza karą Bożą?! On sam, basileus, nie ścierpi takiego pogwałcenia najświętszych swoich praw i potrafi ich dochodzić!...

Szczepan znosi cierpliwie ten wybuch.

—• Wątpię, czy książę Tarentu będzie się długo cieszył swą zdobyczą — zauważa — na razie za właściciela Antiochii można słuszniej uważać emira Mossulu, Kerbogę...

—• Czyżby 'nadcigał?

— Już nadcigał i otoczył miasto.

— Nic o tym nie wiemy!

— Nie mogliście jeszcze wiedzieć, Miłościwy Panie. Pędziłem tutaj co tchu i pierwszy tę żalosną wiadomość przynoszę...

Za czym ściśle, rzeczowo Szczepan opowiada przebieg ostatnich miesięcy. Rozprężenie wojska, głód, które zmusiły baronów do przyjęcia wielokrotnie przedtem odrzucanych zamysłów Boemunda

— ...Jednym chodziło o przysięgę, innym, że to szpetnie dobywać zdradą, innym jeszcze, że Tarentczyk taką korzyść odniesie, i zrazu nikt o tym słuchać nie chciał... Lecz w końcu, coż było robić?...

Aleksy uderza dłonią w stół ruchem nie licującym z majestatycznym spokojem.

— Dlaczego nie zwróciliście się do nas?! Jak można było stracić tyle czasu, ogłodzić wojsko, popełnić najszkaradniej-sze krzywoprzysięstwo zamiast wziąć od nas budowniczego wież i wszelki sprzęt oblężniczy?!

— Szlachetny- Tatikios odmówił pomocy...

Obecny przy rozmowie Tatikios porywa się z miejsca.

—• Ależ ja po to przyjechałem! Pantopulos ze mną.. Namawiałem księcia Tarentu... To on nie chciał! Szczepan zaczął się śmiać gorzko i serdecznie. Więc taka była gra Boemunda! Ależ ich podszedł! Jak dzieci! Wyjaśnił przyczynę wesołości Najdostojniejszemu Autokratowi, który nie posiadał się z oburzenia.

— Nie pojmuję biskupa z Puy i was, szlachetni rycerze! Cały świat wie, że syn Guiscarda odziedziczył chytrą wężową po ojcu, i mimo to w tak ważnej sprawie wierzycie mu na słowo, nie usiłując przez pół roku sprawdzić, czy to, co powiada, jest ściście!...

—• Zwykliśmy wierzyć jedni drugim — odpowiada Szczepan z godnością. — Nikt nie podaje w wątpliwość słowa rycerza. Było nas w Bizancjum pasowanych sto tysięcy. Na tę ilość kłamca Boemund znalazł się jeden...

Skrzywił się dodając:

— Przy tym po Nicei rzekoma odmowa szlachetnego Tati-kiosa nie zadziwiła nas wcale...

I opowiada dalej. Rzeczywistość tak się przedstawia:

— W grodzie żywności starczy najwyżej na dziesięć dni... Kerboga ma nie mniej stu tysięcy... Nie wypuści nikogo. Nikt się nie ocali. Prosiłem, przedkładałem... Żeby się cofnęli na północ... Nie chcieli. Więc odjechałem. Nie jestem tchórzem (zapewniał o tym sobie i drugim zbyt często, jakby to było wątpliwe), ale i szaleńcem nie. Wrócę z Wami, Miłościwy Panie, do Bizancjum, stamtąd do domu... Dość mam tego! Trzy lata spędzone jako jedyny rozsądny człowiek między pół-główkami to wystarczy.. Cierpiałem razem z innymi, póki była nadzieja osiągnięcia świętego celu... Ale teraz?

— Po stokroć słusznie uczyniliście, grabio! Oplakania godne

szaleństwo!!! Gorzej niż szaleństwo: nedorzecznosc! Koniec, koniec krzyżowców!

W świetnym obozie basileusowym ruch i krzątanina. Bębny warczą do odwrotu. Stajenni siodłają białe muły, okryte purpurowymi kapami z inicjałami basileusowymi. Logoteta stada dogląda tej czynności. Idikos i oikiakos pilnują składania na stos zapasów żywności, które mają być zniszczone, jest ich bowiem więcej, niż trzeba na powrotną drogę. Niewolnicy znoszą setki worów z mąką, serem, suszonymi owocami, migdałami, wędzoną rybą i mięsem. Wszystko to zostanie oblane płynem

stanowiącym istotę greckiego ognia, i podpalone.

Basileus powraca do Bizancjum, nie widząc racji przedłużania tu swego pobytu. Nie ma najmniejszej chęci mierzyć się z Kerboga, który, zgładziwszy krzyżowców, rozzuchwalony zwycięstwem, ruszy niewątpliwie w tę stronę. Epopeja la-tyńska skończona. Aleksy oblicza, że i tak na niej nie stracił. Odzyskał utracone, zdawałoby się bezpowrotnie, ziemie aż po Antitaurus i jest spokojny, że Latyńcy nie wrócą do Bizancjum. To też ulga.

Nim wyruszą, Wit, przyrodni brat Boemunda, dowódca straży cesarskiej, prosi o posłuchanie. Młody rycerz jest wzburzony. Nie może uwierzyć, że Najdostojniejszy basileus, oby Bóg błogosławił jego dni, rzeczywiście odchodzi?...

Aleksy marszczy brwi. Nie życzy sobie latyńskich poufałych zwyczajów. Czy dowódca straży o tym nie wie?

Wit, syn Roberta, nie zwraca uwagi na niezadowolenie władcy. Błaga, po prostu błaga, aby nie odchodzić. Przeciwnie, ruszać na pomoc Latyńcom! Nie wierzymy temu, co mówi grabią de Blois. To tchórz, nikczemny tchórz! To, że uciekł pozostawiając towarzyszy, maluje go dostatecznie!

•— Nie mam go wcale za tchórza, ale za rozumnego człowieka — odpowiada spokojnie Aleksy. —
Dowódca straży niech idzie odebrać rozkazy od szlachetnego Euforbena. Dziś po południu ruszamy. Zaciskając zęby z pasji Wit odchodzi. We drzwiach spotyka Szczepana i spluwa ze wzdargą. Szczepan sięga miecza. O nie, Wit nie będzie bił się z nim. Tchórz!

— Nieprawda! — odiera Szczepan blade z gniewu — nieprawda! Mam być tchórzem dlatego, że nie chciałem żywcem zagrzebać się w grobie!?

...Żywcem zagrzebać się w grobie!... Choć zamknięci w Antiochii rycerze nie słyszeli tej rozmowy, łoskot zamykanych bram wydał im się również zawieraniem wieka trumny. Nieutulona w żalu lwica rycerza de la Tour ryczała obiegając wkoło mury.

KONIEC TOMU TRZECIEGO

TOM CZWARTY

JEROZOLIMA WYZWOLONA

Rozdział pierwszy

POSŁOWANIE PIOTRA EREMITY

Z politowaniem nad samymi sobą krzyżowcy wspominają, że ostatnie miesiące spędzone pod murami Antiochii uważali za szczyt nędzy i głodu. Dziś zdają im się one pełne obfitości. Podobnie, wyszedłszy niegdyś z Nicei, brali za pustynię żywną, jeno spaloną latem, Bitynię. Wszystko może się potęgować, rosnąć w mniemaniu i nigdy człowiek niezdolny jest rzecz, że wyczerpał jakąś groźbę do samego dna. Zawsze zostaje możliwość pogłębienia poprzedniej granicy, przekroczenia krańców własnej wytrzymałości, zdawałoby się ostatecznie naciągniętej.

Snujące się po ulicach grodu widma nie wierzą już, iż kiedyś mogły uważać za głód pobyt na wolnej przestrzeni pod miastem. Wszakże można tam było iść na łowy, łowić ryby w jeziorze, wygrzebywać jadalne korzenie, próbować różnego ziela, ssać kruche, mięsiste łodygi, zbierać niedojrzałe owoce! Cóż, że zdobyta w ten sposób strawa nie była dostateczna, gdy samo szukanie jej odrywało myśl od troski. Choć przyszło nieraz cały dzień czekać z oczyma wlepionymi w pod-rywkę, czas się nie dłużył. Nie ciągnął się również, gdy można było iść w góry śladami oswojonej lwicy, w nadziei upolowania kozła lub zająca.

A dziś? Nie pożywi się nikt niczym. Nie nakarmi złotem ani ukąsi marmuru.

Nakarmić złotem! Bo jak na szyderstwo wszyscy są bogaczami. Od księcia do ostatniego ścierciały nabrali cennaści bez liku. Każdy ma trzos wypełniony złotymi monetami syryjskimi, zwanymi hyperperos, każdy może się odziać w złotogłów. Giermek Laurenty zebrał trzykroć tyle złota, wiele trzeba było na wykupienie brata z niewoli. Błazej, Klimek i reszta pachotków posiadają więcej klejnotów, pieniędzy, szat, niż kiedykolwiek widziała cała ich dziedzina razem z kasztelanem. Lecz cóż im z tego? Skarby posiadane tracą wartość, gdy nie można za nie dostać bodaj glonka chleba,

gdy sznuru pereł nie chce nikt wymienić na garść fasoli lub grochu.

Nierozłączni przyjaciele, brat Hiacynt, pobożny przepisowacz ksiąg, i Bartłomiej, wesoły niegdyś kleryk z Marsylii, oblekli się na pociechę w królewskie wspaniałe szaty. Niech pomrą w pięknym cafunie! Brat Hiacynt owinął się w materię barwy brzoskwini i zorzy, Bartłomiej w gwiazdzistą. Na szafirowym tle złocą się gwiazdy jak na niebie nocą. Gdy leży osłabły z głodu i uniesie rękę, spływająca z ramienia materia wydaje mu się niebem, ku któremu już duszą ulata. Słońce sieje się - miękko przez błękit. Z żalem opuszcza mdlejące ramię razem z szafirowym żaglem. Nie może utrzymać podniesionej ręki dłużej.

Zarówno on, jak brat Hiacynt są głodniejsi od innych, bo słabsi. Nie mają dość mocnych łokci, by dopchać się w pierwsze szeregi czekających, gdy rozdają końskie padło, stanowiące jedyne pożywienie wojsk krzyżowych. Odrąceni przez silniejszych obgryzają kości, z których już nawet szpik został wyspany. Ale i tych kości lada dzień zabraknie. Rycerze zjadają swe konie, a raczej szkielety koni. Co będzie, gdy ich nie stanie? Ludzie poczną się pożerać wzajemnie?

Już wszyscy podobniejsi są do widm niż do żywych boskich stworzeń. Zwiotczałe mięśnie nie mogą utrzymać ciężaru głowy, co chwieje się niby dynia na łądździe wychudłej, węzlastej szyi. Brzuchy wpadły aż do krzyża. Kości biodrowe sterczą jak guzy, obojczyki jak no/e. Milczą. Milczenie zalega gród. Z radością nasłuchuje tej ciszy czuwający mściwie w cytadeli D/agi Sjan.

Bartłomiejowi, gdy leży pod murem patrząc w spowijającą go gwiazdzistą materię, zwidują się różne rzeczy. Ludzie i zjawy. Jawa miesza się ze snem, świadomość z marzeniem. Przed chwilą przechodził koło niego rycerz de Foix, a teraz idzie... Kto?... Nie człowiek! Jego święty patron, Apostoł Bartłomiej! On, on! Nie dziwota, bo przecież kleryk marsylski jest w niebie. Zawędrował doń mimo grzechy dzięki temu, że został krzyżowcem i za Chrystusa umiera... Właściwie już umarł... Gwiazdy wokoło... Modrość wokoło... Za Bartłomiejem idą pozostali Apostołowie... Oto Piotr, Jan, Juda Tadeusz, Filip, Jakub... Andrzej... Zachwycony kleryk chciałby klęknąć, ale nie jest w stanie... Patrzy się jeno z podziwem. Nagłe ocknienie. To nie Apostołowie, to rycerze. Idą pomału w swych szerokich płaszczach. Do uszu leżącego dolatują strzępy słów:

...Włóczni nie utrzymam w garści, chociażby przyszło do bitwy...

...Nie przyjdzie do niej, oj, nie...

...Biskup do katedry zwoływał przed wielki ołtarz na jakąś pospólną radę, ale co poradzi?...

...Chyba jak z ziemi polewkę uwarzyć...

...Ni miecza, ni włóczni nie zdzierzę... Miecz potrzaskani jak Roland swego Durandala... Niech się nim pogany nie cieszą... Miecz jest święty..

...Ano...

Już przeszli, i Bartłomiej znów nie wie, czy to byli rycerze, czy Apostołowie. O czym mówili?... O ziemi i katedr/e... I że przed wielkim ołtarzem... Ale co?... I o włóczni, i mieczu... Że są święte... Jedno czy oba... Święta włócznia czy święty miecz?...

Przymyka oczy zmęczone, ale korowód powraca. Teraz to na pewno święci, bo skroś nich dostrzeża mur przeciwnego domu. Ciała ich są przejrzyste, świetliste... Wid/i je, choć zamknął oczy.

Obchodzą miasto... Nie, nie miasto — niebo! Przecież Bartłomiej jest w niebie... Ostatni z idących Apostołów Andrzej — dlaczego Andrzej? — uśmiecha się do kleryka.

Początkowym zamiarem biskupa, skłaniającym go do zamknięcia się wraz z wojskiem w twierdzy, było wypadnięcie na wroga, stoczenie z nim walnej bitwy. By to wykonać, należało nieprzyjaciela zaskoczyć, wyjść z murów niepostrzeżenie, wyprowadzić z bram przynajmniej jedną trzecią walczących. Zamiar ten okazał się niemożliwy do urzeczywistnienia. Saraceni pilnowali bram nieustannie w dzień i w nocy. Wystarczało, że pojedynczy człowiek wytknął głowę na mury, a już sypały się chmurą strzały. W razie otwarcia bramy, nimby pierwsze czwórki zdołały wyjść, już by je poganie ob-skoczyli, otoczyli, zepchnęli i wpadli za nimi do środka. Nie było co o tym marzyć.

Więc co począć? Wymrzeć z głodu, nie usiłując przeciwstawić się złemu losowi, co ich zapędził w tę matnię? Ademar de Monteil miał zbyt czynny i żywy umysł, by się poddać nie wyczerpawszy wprzód wszystkich możliwości. Dla rozpatrzenia jednej z nich wezwał właśnie książąt do katedry na walną naradę.

W katedrze upał mniej dokuczał niż na dworze. Nawet przeraźliwy zatrujący wszystko zaduch z ciał, rozkładających się pod murami, słabł tutaj przyćmiony zapachem ka-

dzidła. W migotliwym świetle, padającym przez barwne, rżnięte szkła witraży, siedzący w stallach wodzowie zdawali się gromadą widm, i nie tylko zgorączkowany, na poły przytomny Bartłomiej, lecz żywy, syty człowiek mógł ich snadno wziąć za zjawy.

Biskup mówił, że należy posłać poselstwo do emira Mossulu Kerbogi z prośbą o wydanie bitwy. Niech się pogany odsuną od bram i pozwolą wyjść Latyńcom. Potem niech walczą jak wojownicy z wojownikami. Albo jeśli emir woli, niech przyjmie pojedynczą walkę. Wódz z wodzem lub kilku emirów z jednej strony, kilku latyńskich wodzów z drugiej. Zwycięstwo ich czy porażka postanowią o zwycięstwie lub porażce danej strony. Tak się nieraz czyni między dobrymi wojami.

Wybladłe widma ożywiają się nieco. Pomysł jest dobry. Trzeba go wprowadzić w czyn jak najprędzej, póki jeszcze są tacy, co miecz udźwigną.

— Myśl jest przednia — potwierdza Jastrzębiec — Sarace-ny, wojenni ludzie, powinni przystać. Ale kto pójdzie posłować? Znam ich dobrze. Nie szanują zgoła posłów. Można narazić się na pohańbienie. Jakby tylko ubili, to mniejsza. Ale mogą lżyć, bić... Nago pędzić wokół murów... Jak rzezańca okaleczyć... Wszystko zależy od zachcianki emira. Nie można wiedzieć, co mu przyjdzie do głowy... Ja sam gotów jestem zejść z murów teraz, zaraz, dać się rozsiekać, by nie myślano, że o żywot stoję, ale posłować bym nie chciał... Dostyc na-żarłem się hańby... Wiem, jaki jej smak...

Cisza zalega po tym ostrzeżeniu. Można być pewnym, że żaden rycerz nie zgłosi się jako poseł. Każdy narazi się chętnie na śmierć, nigdy na hańbę.

— Więc może posłać list? — doradza biskup.

...List?... List?... Dobrze by było, ale jak posłać?... Zaczarowanych gołębi nie ma (mimo tłumaczenia Jastrzębca rycerze stanowczo wierzą, że ptaki przenoszące listy są zaczarowane), chyba pismo do kamienia przywiązać i z procy miotnąć?...

— Można, ale czy u poganów znajdzie się kto, co by je przeczytał?

—• To i posła nie pojmą...

— E, dla mowy znajdzie się zawdy jaki Grek renegat, co nieco łaciny znający. Z pisaniem trudniej, bo bukwę całkiem są inne od greckich albo paskudnych pogańskich...

— Spróbować jednak mozem... Kanonik d'Aguillers list jutro wypisze...

Rozeszli się po tej uchwale. Biskup powlókł się z trudem

do swego namiotu. Tam siadł skulony trzymając głowę oburącz. Głód skręcał mu wnętrzności, lecz myśli stokroć gorzej dogryzały. Czemu Bóg o krzyżowcach zapomniał? Grabią de Blois postąpił widno słusznie i rozumnie. Trzeba go było naśladować. Nie łudzić się, że z Nieba zejdzie pomoc.

...Jutro cisną list z murów. Nie warto budować na nim żadnych nadziei. List może zostać nie zauważony, może nie dojść do rąk emira. Może nie być wcale odczytany. Poselstwo ustne byłoby znacznie pewniejsze, ale nikt z nim nie pójdzie...

—• Nie pójdzie!

Ostatnie słowa wymówił prawie głośno. W kącie, gdzie swoje posłanie miał Piotr, Kukupetros, zaszeleściło. Skulony człowiek przyczołgał się do kolan biskupa.

— Ja pójdę, Wasza Dostojność...

— Gdzie? Czego chcesz?!

— Byłem w katedrze... Słyszałem... Mogę iść z posłowaniem do Kerbogi... Czy na gębę, czy list zanieść...

Ademar odwrócił się żywo ku niemu...

— Ty?! Poszedłbyś?!

— A ino... Niechbym się jeszcze na co przydał na ostatek...

— Powiem to zaraz baronom... — mówi biskup i nagle pochylając się nad Piotrem całuje go w twarz gorąco, serdecznie. — Bracie Piotrze... Dobry bracie...

Jastrzębiec obwołał z murów po arabsku, że idzie poseł la-tyński z ważnym posłaniem do emira Mossulu Kerbogi. Niech go strażę doprowadzą zdrowo i cało przed oblicze wodza.

Piotr zbiera się do odejścia. Nie boi się śmierci ani drży przed poniżeniem. Jest już tak nikczemny, że nic go bardziej nie umniejszy. Nie potrzebuje jak pasowani rycerze lękać się o swoją pańską, wielmożną cześć. Jest owszem rad, że się ofiarował. Mimo woli od samego tego postanowienia rośnie, przeobraża się. Wąska furtka w murze zamyka się za nim z łoskotem. Łoskot budzi w duszy zapomniane echo, jakby poczucie siły przepełniającej go niegdyś, niegdyś, gdy wołał do tłumów, aż

ból rozsadał mu piersi. Rzesze ludzkie wisiały na jego ustach, kobiety podawały kozie mleko i wodę z oliwą... To wspomnienie budzi się w upodlonym, ośmieszonym cherlaku, który uczyni to, czego uczynić lękają się rycerze...

Ten sam Piotr, którego Walter Bez Mienia trącał noga z pogardą jak gnidę, którego Tankred rzucił przed biskupowym namiotem jak ścierwo, ten sam Kukupetros, pośmiewisko ca-

łego obozu, dygoczący w wiecznym lęku przed urojonym szatanem, czuje się nagle przemieniony, odrodzony. Idąc prostuje małą, skuloną postać. Z murów rycerze śledzą go wzrokiem z uznaniem... Biskup błogosławi krzyżem... Jegoż to wszystko spotyka? Idąc po hańbę, ocucił się z hańby?... Świetny, olbrzymi, bogaty jest obóz emira Kerbogi, syna Nadżasa. Składy z żywnością ciągną się daleko. Namioty emirów błyszczą bogactwem i barwą. Emirów podległych Kerbodze jest tutaj dwudziestu sześciu. Cała Persja, Choras-san, Media, kraje starożytnej Babilonii, Jerozolima, Damaszek, Tripoli, przysłały swych wojowników. Jest i mężny Ki-lidż-Arslan, dwukrotnie przez Latyńców pobity, tym bardziej zemstą płonący. Jest i waleczny Ahmed ibn Meruan, władca całej Palestyny, z niechęcią poddający się rozkazom emira Mossulu. Nie rozumie doprawdy, dlaczego najdosjójniejszy kalif Barkiarok, z rodu sławnego Malik-Szacha, ulubieniec i chwała Proroka, naznaczył go wodzem naczelnym? Czuje się tym urażony. Byłby w głębi duszy rad, gdyby Kerboga nie sprostął zadaniu. Lecz zadanie spełnia się samo przez się. Latyńcy są skończeni. Wystarczy stać bezczynnie, czekając, aż zamknięci wymrą z głodu. Dżagi Sjan podziemnym skalnym chodnikiem porozumiewa się co dzień z obozem, ściągą do cytadeli potrzebną dla siebie żywność i powiadamia dowódcę o postępach, jakie głód czyni w szeregach krzyżowców. Dawniej hałasowali i krzyczeli bez miary. Dziś żadnego krzyku nie słycać. Cisza. Wiadomo, co ona oznacza.

Nad wszystkie stany emirów góruje bogactwem namiot naczelnego wodza. Może pomieścić w sobie dwa tysiące ludzi. Posiada cztery wieże, niezliczoną ilość komnat, sal, korytarzy, przedsionków. Przewoźny zamek rozpięty na drążkach z bambusu. Ściany pokryte są złotą materią, skrzącą od drogich kamieni. Na złotym tle barwią się obrazy, przedstawiające boje, łowy na lwy, wielbłądy, gazy, słonie. Na ziemi leżą kobierce o połysku księżycy i zorzy. Aksamitna ich miękkość przypomina gładkość niewiast wschodnich. Wzór kobierców przedstawia ogród rajski, przez który płyną cztery rzeki wezbrane rozkoszą. Przeważają barwy zielona i błękitna, ulubione wyznawcom Proroka. Zielona, gdyż darzy szczęściem i raduje oczy, błękitna strzeże od czarów. Dlatego nad perły, diamenty ceniony na Wschodzie jest turkus.

Emir Kerboga w kolczudze złocistej, otrzęsionej klejnotami, siedzi na tronie, którego wspaniałość nie ustępuje basileuso-wemu. Dwudziestu sześciu emirów wokół niego. Czarni nie-~~v~~olnicy poruszają nad głowami wodzów wielkie wachlarze z piór strusich. Piotr Eremita, prowadzony przez dwóch wzgardliwych szejków, nadchodzi. Dziwna rzecz! Im więcej bogatego przepychu wokoło, tym bardziej nędzarz w zrudzia-łej opończy przestaje sam we własnych oczach być śmieszny. W ciągu drogi od murów do zamku-namiotu wzrósł o całą swoją rasę, o swoją wiarę, przeciwstawiając się dumnie tej perlistej, krzykliwej potędze. Uosabiał je, zawierał w sobie.

— Oto poseł Franków! — woła aga-szejk padając na twarz przed Kerboga.

Wybuchy śmiechu i oburzenia wkoło. Nie takiego poselstwa oczekiwano! Ten pokurcz miałby być posłem?!

Zza pleców emira wysuwa się tłumacz, Syryjczyk, co od Genuńczyków nauczył się łaciny.

Jastrzębiec słusznie mówił, że zawdy i wszędzie znajdzie się taki renegat, znający języki, co gdy trzeba, usłuży chrześcijanom, a gdy potrzeba — poganom. Pogardzają nim jedni i drudzy, na co on nie zważając zbiera od jednych i drugich pieniądze.

— Jestem posłem — mówi Piotr. — Mam zlecenie od naszego wodza, świętobliwego biskupa Ademara de Monteil.

— Twój wódz taki sam dziad jak ty? — pyta urągliwie emir.

Piotr milczy. Kerboga milknie również zwięzając wąskie, skośne oczy. Zastanawia się nad przyczyną wyboru podobnego posła. O Frankach, ich męstwie, ich dumie, dość się nasłuchał od Kildż-Arslana. Sam stracił świeżo trzy tygodnie czasu, spóźnił się pod Antiochię, oblegając daremnie Edesę pozostająca we władaniu jakiegoś latyńskiego rycerza. Jednego z tych właśnie Franków. Wszyscy, co się zetknęli z giu-rami, podnoszą jednogłośnie ich waleczność, godną wyznawców Proroka, i pychę sięgającą gwiazd. Jakżeż możliwe, by w poselstwie wysyłałi podobnie nędznego derwisza?

Ciemny rumieniec bije na lica emira na myśl, że może chciano w ten sposób okazać lekceważenie dla jego osoby. Gdyby tak było, biada im, biada postowi! Lecz wprędce uspokaja się przypomnieniem, że Frankowie są na jego łasce i prawdopodobnie przez tegoż posta chcą błagać o litość, o łaskawe warunki poddania. Nie chcieliby zatem z pewnością w niczym uchybić zwycięzcy.

Kerboga, syn Nadżasa, nie posiada wykształcenia takiego na przykład emira Mudżahida, syna Dżubaira z Nicei. Nie przepisywał Koranu pędzelkiem maczanym w złotej farbie, a ilość znanych przez niego sur jest ograniczona. Wojownik to, nie uczonec. Po co miałby nim być? Żadna wiedza nie da tak pewnie zbawienia, jak je da oręż skierowany przeciwko niewiernym. Chwała Allahowi, że tak rozrządził, uwalniając swoich wojów od uciążliwego myślenia!

Niemniej Kerboga, syn Nadżasa, głupcem nie jest. Nie darmo zrodziła go wróżka. Matka emira, sędziwa Hanum Baraba, słynie na cały półwysep z mądrego przewidywania przyszłości. Nie zdarzyło się jeszcze nigdy, by słowa jej pobłądziły. Nie zdarzyło się też, by słów jej nie posłuchano. Sam kalif zasięga nieraz zdania Hanum Baraby. Otoczona powszechnym szacunkiem mieszka w swym pałacu w Chorassanie i nigdy go nie opuszcza.

Dzięki matce emir Kerboga, prosty wojownik, krwisty i wierzący tylko w miecz, posiada pewną wrażliwość wyczucia i szacunek dla spraw zaziemskich. Dlatego teraz milczy patrząc badawczo na posta. Czy przyszedł rzucić nań czary?

- Zali w wojsku łatyńskim nie ma lepszych od ciebie? — zapytuje.

- Nie ma niższych, powiedz raczej, emirze. Jestem nędzniejszy od najlichszego pachółka...

— Więc dlaczego cię przysłano?...

I wąskie nozdrza Kerboga drżą złowrogim przypuszczeniem, że chciano go obrazić.

— Rycerze nie przyszli w obawie, że ich zelżycie, czego u nas boją się więcej niż śmierci.

— A ty się nie boisz?

— Nie.

Aga-szeik przysuwa się do emira oznajmiając mu o czymś pokornie. Ach, tak. Pora posiłku. Niech wniosą. Czterech półnagich niewolników wkracza z olbrzymią tacą zastawioną jadłem. Klękają przed emirem Kerboga, na dłoniach i głowach podtrzymują tace. Syn Nadżasa bierze palcami ryż z baraniną, spiętrzony na złotej misce, i głośno mlaskając wargami zajada.

Stojący wokół emirowie wiedzą, o co chodzi, i bacznie śledzą, jakim wzrokiem pies niewierny będzie patrzył na jedzenie. Lecz pies niewierny nie patrzy wcale. Modli się w duchu żarliwie, gorąco. Modli się, by nie okazać niczym głodu, nie przełknąć nawet głośno śliny, nie zdradzić, że od zapachu potrawy mdli go i nogi się uginają...

...Wszakże jest tutaj przedstawicielem krzyżowców. Co

nim pomyśla, pomyśla o wszystkich Frankach.

I biedny, nędzny Piotr, który niedawno uciekał z obozu od niniejszego głodu nie mogąc go znieść, który czuł się strzępem niezdolnym do najmniejszego wysiłku, patrzy na jedzącego emira Kerbogę wzrokiem omal obojętnym.

Nieco zawiedziony wódz bierze palcami mięsiwo. Ciska od niechcenia psom, co najedzone zaledwie raczą podejść. Jeden kawałek pada tuż u stóp Piotrowych. Piotr ani drgnie.

Więc Kerboga pełną garść ryżu i mięsa wyciąga wielkodusznie wprost ku postowi:

- Naści, jedz!

- Niegłodnym.

Niegłodny! Kerboga, za nim dwudziestu sześciu emirów wybuchą głośnym śmiechem. Niegłodny! Ależ dość popatrzeć na tego głodomora! Na tę trupią cerę, wyschłe członki, zapadły brzuch!

— Nie jestem głodny — powtarza Piotr — wychudłem z dobrowolnego postu, który zachowują u nas niektórzy, podobnie jak to czynią wasi derwisze...

Kerboga, syn Nadżasa, spogląda zaciekawiony.

— Skąd wiesz o naszych derwiszach?

— Widziałem ich niemało będąc w Jeruzalem...

— Ty byłeś w Jeruzalem?! — Kerboga wpada w zadziwienia w zadziwienie. To nędzne stworzenie zaszło tak daleko, aż do świętego grobu proroka Dawida, proroka Eliasza, proroka Jezusa, co wszyscy trzej zwiastowali światu nadejście największego jedyne Proroka Mohammeda... Był tam... Wrócił... Niemożliwe!

— Byłem — upiera się poseł. — Widziałem pohańbienie, jakie sprawujecie w miejscach świętych.

Serce się we mnie podniosło. Gdym wrócił, opowiedziałem ludowi chrześcijańskiemu, com widział, i lud podniósł się także, i wziął za broń,

tu przyszedł...

Prostuje się jeszcze bardziej. Nie myśli o głodzie. Już go nawet nie bardzo ciągnie ku tacy z jedzeniem. Rozpłomienił się własnymi słowami. Przecież mówi prawdę. Nie kłamie. Tak było! Wrócił. Opowiedział i tłumy poszły za nim, wzruszone jego wymową...

Znędział, nieszczęśliwy, zapomniał o tym, a przecież to było, było!

Kerboga, syn Nadzasa, i dwudziestu sześciu emirów patrzy na niego niedowierzająco.

— Więc to ty, ty sprawiłeś, że Franki rzuciły swój kraj przychodząc tutaj?

— Ja sprawiłem.

Zatem pierwsze przypuszczenie emira było słuszne! To czarownik! Dlatego go przysłano. Niech zawraca jak najprędzej.

— Co ci kazano powiedzieć, mów!

— Wodzowie nasi proszą cię, emirze, o cofnięcie wojska kręgiem, by mogli wyjść swobodnie z miasta i wydać ci bitwę na polu, jak dobrzy wojownicy wojownikowi. O zwycięstwie Bóg rozstrzygnie., Nasi wodzowie powiadają, że jeśli tego nie chcesz uczynić, wskaż kilku czy kilkunastu, czy kilkudziesięciu z twoich rycerzy, którzy by się potykali z naszymi w pojedynczym boju, a ten bój rozsądzi, przy kim ma pozostać miasto. To ci kazali rzec.

— Nic więcej?

— Nic więcej. Nasze rycerstwo chce walczyć.

— Wasze rycerstwo zdycha z głodu i nie o walkę winno mnie prosić, ale o litość! — krzyknął emir. — Z kim się będę bił? Tam już nikt miecza w garści nie utrzyma! Zdychacie co dzień po stu i więcej! Wiem wszystko! „Dobrowolnie poszczą” jak i ty!

•— Nasze rycerstwo jest sprawne i zdadne do walki, której pragnie — odparł spokojnie Piotr.

— Równie zdadne jak broń, którą tu znalazłem! Ej, przynieść mi ten świetny oręż Franków!

Niewolnik nadbiegł składając u stóp emira starą ułamaną włócznię i krótki miecz, przeżarty rdzą.

— Wasza broń, którą znalazłem w obozie — roześmiał się urągliwie Kerboga. — Jaka dłoń, taki miecz!

— To nie nasze — odparł Piotr, rzuciwszy okiem na ukazywane przedmioty.

Jakoż włócznia miała staroświecki kształt. Miecz nie przypominał w niczym mieczy łatyńskich.

— Nie nasze — powtórzył — sami widzicie przecież, że musiało to leżeć w ziemi wiele lat...

— Nie wasze? Szkoda! Pasowałyby składnie do postaci posła... Zabierzcie je w darze ode mnie, by snadniej móc z nami walczyć...

— Więc przyjmujecie walkę?

•— Nie, na święty kamień Kaaby! Posłuchaj, łatyński derwiszu, mojej odpowiedzi, pełnej łaskawego miłosierdzia. Oto, co rzeką ja, trzymający Franków w swym ręku: jeżeli wasi książęta wraz z całym wojskiem uznają wiarę Proroka, wy-

rzekną się swojego niedołęznego Boga, co sam siebie nie potrafił od męki obronić — zostawię miasto w waszej mocy, zawrę pokój, dam podarki, jadła, niewiast i wszystko, na czym wam zbywa. Tak uczynię na Allacha, gdyż Koran nakazuje miłować wyznawców prawdziwej wiary... Powiedz swym wodzom, niech spieszenie korzystają z tej mojej łaskawości, zanim nie zmieni się w gniew!

— Nasi wodzowie chcą walczyć i nie prosili o pokój, ale o walkę...

— Otrzymają śmierć! Śmierć i nic innego! Niech szeptnie to podłe plemię! Zabieraj się z moich oczu! Skoro, prędko, bo nie zdzierzę!

Bez pośpiechu Piotr podjął ułamaną włócznię, własność jakichś nieznanych pielgrzymów, miecz przeżarty rdzą, i, nie mówiąc słowa, zawrócił ku miastu. Ci sami co przedtem szejcy szli za nim. Pod Piotrem gięły się nogi z osłabienia, czuł się jednak silniejszym niż idąc w tę stronę. Co dziwniejsze: po raz pierwszy od trzech lat był prawie szczęśliwy...

W krótkich słowach zdał sprawę biskupowi i baronom z przebiegu swego poselstwa.

— ...Więc nic z tego — westchnął Ademar — nadzieja zawiodła... A co to za żelastwo?

— Kerbogowi ludzie kajś wygrzebali i powiadali, że nasze... Wraz im mówiłem, że nie... Emir wszakże kazał mi brać, abyśmy z nimi snadniej walczyli... Na urągawisko to rzekł, ja przecie wziąłem myśląc, że go może Pan Bóg za to szyderstwo pokarze...

— Nie było po co nieść — sarknął Rajmund —• ciśnijcie tę starzyznę, gdzie bądź...

Piotr cisnął posłusznie i poszedł do swego kąta. Czekał już tam na niego brat Hiacynt, chciwy wiadomości. Przyjacielowi Piotr opowiadał wszystko dokładnie, nie omijając niczego.

— ...Jeść mi dawał, wiesz? Jeść... Wyciągał pełną garść... Pieczone mięso i ryż... Tłustość kapłała po palcach...

Bratu Hiacyntowi grdyka grała głośno z pożądliwości.

— I co? — pytał — i co? jadłeś?

— Nie — westchnął Piotr — powiedziałem, żeś niegłód-ny...

Napięcie woli i dumy, w jakim trwał od kilku godzin, rozluźniło się, opadło. Schował twarz w dłonie i rozplakał się. - ...Powiedziałem, żeś niegłódny!... Żeś niegłódny!...

Brat Hiacynt patrzył na niego ze zdumionym podziwem.

— Naprawdę takeś rzekł? Piotr przez łzy kiwnął głową.

— A opowiedziałeś to biskupowi, baronom?

— Nie mówiłem. •— Dlaczego?

...Dlaczego?... Piotr się zawahał. Ano sam dobrze nie wiedział. Bał się, że mu nie uwierzą. Pomyślał, iż chce się chwalić. Przecież nie tak dawno nikczemnie z obozu uciekał... Przed głodem... Jakożby mógł im dowieść teraz, że nie kłamie, zwłaszcza że urodzeni, łatwo wątpią o tym, co mówią nieurodzeni... Zresztą, ta sprawa miała znaczenie tylko dla niego samego, a zostawała bez związku z poselstwem...

Rozdział drugi OBJAWIENIE

Ostatnie konie zostały zjedzone... Zjedzono już wszystkie skóry, jakie były, obuwie, kaftany, pasy... Korę z drzew i trawę...

W obrębie grodu nie zostało nic prócz ziemi, kamieni, marmuru i złota.

Z dzieci, których gromady płątały się po obozach, małych cyganiąt-włóczęgów nie znających domu i osiadłego życia, nie żywie już ani jedno. Z kobiet mało-wiele. Pacholcy, ścier-ciały, giermki, włodyki, pasowani, mrą jak muchy. Są znów wszyscy równi, jak niegdyś na pustyni w obliczu pragnienia. Jednaka im śmierć i pochówek.

Ci, którzy żyją, karmią się trupami. Jedni z obojętnością, inni ze wstrętem i rozpaczą. Lecz głód silniejszym może być niż wstręt. Człowiek do wszystkiego jest zdolny przywyknąć. Zdarza się nieraz, że, nie czekając, aż ofiara sama padnie z głodu wyschnąwszy wprzódy jak wiór, mordują ją bezlitośnie. Silniejsi ruszają na łowy na ludzi. Zabijają się wzajem z wściekłością. I wystarczy, by na osobnika, co cudem jakimś uchwycił na kościach nieco ciała, spojrzal kto badawczo — jużci ten się miesza, blednie, tym lękiem właśnie nasuwając złą, potworną myśl, której patrzący może przedtem nie miał.

Którzy nie mordują, polować na bliźnich nie chodzą, tracą poczucie świadomości. Osłabłe ciało nie odczuwa bólu, a zarazem jest zbyt wiotkie, by ducha utrzymać przy sobie. Zanim pożegna się z duszą na zawsze, przed oczyma jawią się różne obłudy. Postacie zbawionych i świętych Pańskich — to znowu larwy piekielne...

Jeszcze inni uciekają... Tak — uciekają z trupiarni, jaką jest miasto. Spuszczają się nocą po linie z murów, by wpaść w ręce muzułmanów i zginąć, zanim zdążą krzyknąć: Zbawicielu! Idą na śmierć pewną, niezdolni znieść dłużej głodu. Furtivi funam-buli nazywają ich z pogardą rycerze ciesząc się, że między zbiegami nie ma pasowanych.

Nietrwała radość, bo oto pan de Melun przekracza mur, by uciec na tamtą stronę, Furtivus funambulus...

Rycerz! Darmo Hugo oddawał mu nieomal wszystko, co zdołał uzyskać dla siebie z pożywienia, nie odstępował na krok, błagając towarzysza, by hańby na siebie nie ściągał. Póki trzymał się na nogach, pan de Melun go słuchał. Lecz skoro dawny, lekkomyślny piękniś osłabł do tyła, że nie mógł wstać z łoża i wyjść z zajmowanego przez się pięknego jak marzenie pałacu — de Melun zbiegł. Tym, co go chcieli zatrzymać, krzyknął: —• Ostawcie mnie, psiamać! Może się nażrę, nim ubiją! — Najbliższego z towarzyszy powalił uderzeniem silnej jeszcze pięści i zsunął się w dół. — Zdejm choć pas! — wołali za nim zrozpaczeni. Nie zwracał na nich uwagi. Od ognisk szedł zapach jada. Ruszył wprost na tę woń. — Trzeba go było mizerykordią pchnąć, a od hańby ustrzec! — biadał Hugo, dowiedziawszy się o postępkach przyjaciela. Istotnie byłoby to lepsze dla pana de Melun. Po-znawszy bowiem po stroju i pasie, że zbieg jest znaczniejszym rycerzem, janczary zawiedli go do emira. Tam ukazano mu stół zastawiony jadem, żądając w zamian przyjęcia wiary Proroka. I rycerz de Melun uczynił to! Okrył wieczystym wstydem swój ród i całe rycerstwo. Wpatrzony w dymiące mięso, z wyszczerzonymi pożądliwie zębami, podobniejszy do zwierza niż do człowieka, własną ręką zerwał z piersi krzyż, wyrzekł z pośpiechem: *La ilah el Allah, Mohammed rasul Allah!* — i dał sobie nałożyć turban na głowę. I jadł. Jadł przez dwa dni bez przerwy, bez opamiętania, nie myśląc o niczym innym. Trzeciego dnia wraz z sytością wróciła mu dawna waleczność. • Gdy emir zażądał, by przyodziany w turban poszedł pod mury pokazać się dawnym towarzyszom, porwał się na niego z mieczem. Zginął, rozniesiony na szablach. Głowę jego obnoszono na włóczni wokół murów, okrzykując głośno, że tenci rycerz przeszedł na wiarę Proroka i że słusznie Frankowie przysłali w poselstwie derwisza, bo snadź każdy z latyńskich rycerzy odstąpiłby swojego Boga dla strawy. Wprawdzie jeden Jastrzębiec zrozumiał to orędzie i powtórzył je tylko

biskupowi i baronom, lecz turban na martwej głowie mówił sam za siebie. Oburzenie i gorycz były powszechne. Nimbus, otaczający w oczach plebsu głowy urodzonych, dobrze już w ciągu ostatnich trzech lat nadszarpięty i zetłały, zmaliał, rozwiął się do szczytu. Do nienawiści dołączyła się pogarda.

Piotr Eremita, brat Hiacynt i Bartłomiej pogadywali o tych

sprawach leżąc w cieniu purpurowej, rozciągniętej nad dziedzińcem zasłony. Muchy, natrętne, sine muchy brzęczały nad nimi jednostajnie i uparcie. Obsiadały oczy, usta. Fontanna już nie pluskała, nie można było podstawić wychudłej twarzy pod jej rzeźwą rosę. Muzułmanie zamknęli podziemne, nie znane krzyżowcom akwedukty, doprowadzające wodę z gór do miasta. Pozostawał jeszcze zapas wody w cysternach, lecz niewielki.

— Dziś dwudziesty czerwca, dzień świętego Sylweryusza — mówi brat Hiacynt odganiając muchy — osiemnasty naszego głodowania w twierdzy... Ciekawość, czy kto dożyje pierwszego?...

— Musi nikt.

— Antiochia! Kto by się spodziewał, że nam tu wszystkim przyjdzie zemrzeć Grobu Świętego nie oglądając!

— Pogniewał się Pan nasz Jezus Chrystus i odwrócił Boże liczko od nas nieboraków...

— Mościewy! Nie miał to się o co gniewać?! Ino wspomnieć zbereźnictwa, a cudeńka, co się tu łoni odprawiały!

— Prawda szczerza... Jedna Sodoma, Gomora... Co tam gadasz, Bartłomieu?...

Kleryk otworzył nieprzytomne oczy.

— Nic nie mówiłem...

— Gadałeś cosikiej...

— A bo mi się cięgiem coś zwiduje, że rady sobie dać nie mogę... Widno z tego głodu... Chodzą, prawią, gniewają się...

— Kto taki? Gadaj, człowieku!

Przeżegnali się spiesznie, oglądając wkoło z niepokojem.

— Nie bójta się... Nie zły... Apostołowie...

— Apostołowie!? — odkryli głowy z szacunkiem.

— ...Raz tom samego Pana Jezusa widział... ale z dała i raz tylko... Innych częściej... Najbardziej święty Andrzej Apostoł mnie nachodzi... Czarniawy, smukły, kapkę do naszego biskupa podobny... Ledwo przymknę oczy, jużci jest i przykazuje... przykazuje.

— Co przykazuje?! Mówże! — wołali rozgróczkowani.

— Czekajcie, niech sobie dobrze wspomnę, bo mi się we łbie wszystko miesza... Więc tak: żeby w katedrze kopać wedle wielkiego ołtarza... A tam będzie włócznia święta...

- Bracie — przerwał Piotr dygocącym głosem — może ta włócznia, którą przebito bok Chrystusa Pana?!

- Tak, tak — potwierdził żywo Bartłomiej — ta sama... Przez to święta... Jak ją odnajdziem...

— To zwyciążymi — zawołali z uniesieniem. Wydało im się to proste. Byle tą włócznią odnaleźć... Boże, Boże!

— ...I to ci święty Andrzej Apostoł mówił?...

— Dyc powiadam, że ledwo oczy przywrę, jużci go widzę... już przykazuje iść kopać, a łaje, że tego nie czynię...

— Czemużes zaraz do biskupa nie szedł?

— Jakoż pójdę? Dopiero by mnie wyśmieli! Nie miał komu Apostoł się objawić, takiego sobie obrał... — tak by mówili i słusznie... Cóżem jest?... Proch marny... Małom się z dziewczętami w łozinach należał, wina wypił, zwady i zgorszenia narobił! Anibym się iść odważył!

— Bóg nieraz maluczkich obiera, by przez to większą moc swoją okazać, jak to czytałem w żywocie świętej Perpetui — zauważył uczenie brat Hiacynt — ot, choćby n nas: brat Piotr, co się za pomiotło uważał, jadła u poganów nie tknął, a tak wielki, mocny rycerz de Melun Boga dla żarcia odstąpił... Trzeba zaraz biskupowi powiedzieć...

— Powiadajcie, jeśli chcecie, ale was wyśmieją.

— A bodaj. Słuchaj no, bracie: tam pewno przysięgi zechcą... Przysięgniesz ty, że tak jest, jako powiadasz?...

Bartłomiej uśmiechnął się i wzruszył z wysiłkiem ramionami.

— Przysięgać? choćby sto razy!

Jakoż mógł śmiało przysięgać. Zjawa, którą nazywał świętym Andrzejem, prześladowała go w dzień i w nocy, żądając spełnienia czegoś... Czego? Przyjaciele bezwiednie dopomogli mu ująć to żądanie w ściśle

kształty. Teraz już wiedział, nie mylił się.

I gdy w parę godzin później Piotr powiódł go do biskupa, Bartłomiej przedstawił wcale rzeczowo wolę niebieskiego wysłańca: święty Andrzej Apostoł jawił mu się codziennie od tygodnia blisko...

— Skąd wiesz, że to święty Andrzej? — zapytał biskup ostrożnie.

Bartłomiej zawahał się.

— Nie wiem — wyznał. — Najpierw widziałem ich wszystkich... Szli rzędem... Dokoła gwiazdy świeciły jakoby już w niebie... Szli skroś wielkiej modrości... Piotr, Jan, Tadeusz, Filip... A mój patron Bartłomiej przodem... Święty Andrzej zasię na ostatku... Obejrzał się na mnie i teraz zawdy ku mnie przychodzi...

— Po czym go poznałeś?

—• Bo ja wiem... Czegoś sobie powiedziałem, że to on... A może mi kto powiedział... Nie pomnę już...

— Więc przypuścimy, że święty Andrzej Apostoł... Cóż ci powiada?

— Każe mi iść do Waszej Dostojności z poleceniem, żeby kopano przed wielkim ołtarzem w katedrze, a tam jest święta włócznia, którą bok Pana naszego Jezusa Chrystusa przebito. Gdy ją znajdziecie, zwyciężycie poganów... powiada. To mi powtarza ciągiem, skoro tylko oczy przywrę...

— Dlaczego tobie właśnie się objawił?

— Tego też nie wiem — odparł Bartłomiej, z tak szczerym zdziwieniem nad niewłaściwym wyborem świętego, że Ade-mar uwierzył natychmiast w jego prawdomówność. — Sam się dziwowałem, bo cóż ja, prosty, nieuczony, grzesznik, gdy tytu jest tutaj księży...

—• Możesz przysiąc, że wszystko, coś mówił, to prawda?

W odpowiedzi Bartłomiej uklęknął, choć z trudem, bo nogi gięły się pod nim jak słoma, rękę i oczy wzniosł w górę.

—• Przysięgam na Mękę i Rany Zbawicielowe, że święty Andrzej Apostoł jawił mi się w takim kształcie i to mówił, com zeznał przed chwilą. A to było nie raz i nie dwa, jeno co dzień od tygodnia.

— Dobrze — rzekł biskup. — Zaraz powiadomię i zwołam baronów.

Zasiedli znów wszyscy w stallach. Zebranie umrzyków, ko-ściejów. Oczy zbiegłe w głąb czoła, zapadłe policzki, zeszcłte wargi. Na twarzach otepiały senny wyraz. Wolą zbierać się teraz w katedrze, nie w pałacu Dżagi Sjana. Nie tylko, że tu chłodniej i smród mniej dokucza, lecz że jakoś bliżej Boga, jedynej potęgi, co by ich mogła wybawić. I bliżej ojczystego zwyczaju. Przecież zarówno we Francji, Italii, jak w Polsce, kościół jest nie tylko Domem Modlitwy, lecz urzędem, sądem, miejscem obrad i narad.

Biskup powtarza swą rozmowę z Bartłomiejem. Radzi wysłuchać tego człowieka, z którego oczu bije prawda. Książęta przystają na to, kiwając niechętnie głowami. Cóż, wysłuchać można. Ale żaden z nich nie wierzy. Apostoł miałby się ukazać jakiemuś tam prostakowi?!...

— *Spiritus flat ubi vult...* — odiera biskup — prostaczek to isty, lecz pełen pokory...

Przywodzą, a raczej przynoszą Bartłomieja. Chybkie daw-

niej nogi nie mogą już utrzymać jego osłabłego ciała. Ubogi marsylski kleryk pierwszy raz w życiu staje w obliczu szlchetnych baronów. Dotąd oglądał ich tylko z daleka, niezależny i beztroski. Oni patrzą na niego zimno, wzgardliwie, nieufnie. Cokolwiek by biskup mówił, są przekonani, że Duch Boży nie mógłby wybrać równie nędznego naczynia. Czy przynajmniej ten prostak wyróżniał się wyjątkowymi cnotami?

— I\Tj_e — szepcze ze wstydem Bartłomiej. — Jestem całkiem lichy grzesznik, kiepski grzesznik... Ze szkołym uciekł... Dziew-czętam nad wszystko lubił... Nie wiem, nie wiem, dlaczego Apostoł mnie właśnie... Musiał się chyba omylić...

Spuszcza oczy, zawstydzony własną małością przy wielkości zjawiska. Cóż by dał za to, żeby święty Apostoł obrał sobie za powiernika kogo innego! Przeraza go ciężar widzenia, odpowiedzialności. W oczach się ćmi. Przysięga na poły przytomnie. Zdaje mu się, że Apostoł znów staje przed nim, spogląda surowym wzrokiem, jakim przed chwilą mierzył go Rajmund St. Gilles. Gniewa się widno za to, że Bartłomiej nie umie ocenić łaski, jaka go zaszczycił...

— Zatem powiadasz, że w katedrze przed wielkim ołtarzem, ale w którym miejscu?

— T_v! — woła bez wahania Bartłomiej wskazując miejsce, gdzie przed chwilą widział Apostoła. Po czym już nic nie wie. Wszystko mu się płacze, miesza. Poczyna bredzić, majaczyć bez związku. Ademar wlewa nieszczęśnikowi w usta odrobinę wina mszalnego z wodą i każe odnieść do swojej kwatery. Brat Piotr niech ma nad nim pieczę.

Pozostali radzą. W słowach Bartłomieja był akcent szczerości, który przemówił do wszystkich. Ten

człowiek rzeczywiście nie kłamie. Zresztą przysiągł. Lecz czy sam nie padł ofiarą złudzenia — któż to odgadnie?

— Tonący brzytwy się chwyta, spróbujmy i my — zauważa Arnuld.

— Nie rozumiem tego porównania — oburza się Godfryd — czemu nie przyjąć prosto, że Bóg chce nas cudownie ocalić?

— Ech! •— uśmiecha się kapelan z niedowierzaniem.

— Niemniej — podejmuje Boemund — kopać można, niewielki to trud... byle o tym nikt nie wiedział...

— Mylicie się, książę — prostuje biskup. — Nie mamy prawa czynić tej rzeczy w ukryciu. Jeśli uznajemy, że ten człowiek działa z Bożego zlecenia, trzeba ludowi ogłosić, że takie

miał widzenie i że czekamy spełnienia się przepowiedni. Inaczej, jeśli tchórzliwie, bez wiary, poczniemy szukać samo-czwart, może nas Bóg pokarać za niedowiarstwo tym, że lud nam z kolei nie uwierzy, jak my nie wierzyliśmy Niebu. Albo trzeba sprawy poniechać, albo ogłosić wszem wobec, że taka nas łaska spotkała...

— A jeśli ogłosimy, nic nie znajdziemy?...

— Znajdziemy! -- woła biskup — ja wierzę, że ten biedak mówił prawdę. Skąd by zmyślił, po co?... Zebrałiśmy się tu po to, by rozstrzygnąć: czy wąpimy i mędrkujemy, czy oddajemy się z wiarą a bez zastrzeżeń spadającej na nas Łasce?

— Biskup prawie mówi — stwierdza Godfryd. Za nim Robert flandryjski i Rajmund, i Hugo.

— Więc każmy ludziom zejść się i zaczynamy nie tracąc ni chwili...

Ludzi nie trzeba zwoływać, bo na placu przedkatedralnym stoi od godziny tłum głodomorów wpatrujących się niespokojnym wzrokiem we wrota kościoła. Nie wiedzieć skąd rozeszła się już pogłoska, że zaszedł jakiś cud. Cud, który ma wszystkich ocalić. Jaki, nie wiadomo. Może Bóg rozmnożył cudownie chleby, może manna będzie padać z nieba jak niegdyś, niegdyś dawno zapowiadano w Clermont? Może Saraceni odstępują od miasta, bo ukazał się im archanioł Gabriel? Coś zaszło. Lecz co?...

Ademar de Monteil wstępuje na ganek nad głównym wejściem katedry. I on osłabł tak, że z trudem trzyma się na nogach. Tylko nieustępliwa wola żarzy się w oczach. Niezłomna wola skrzepią głos, gdy mówi:

— Bracia zebrani! Słuchajcie! Zwiastują wam dobrą nowinę! Bóg nam miłosierdzie okazał! Stoimy w przededniu zbawienia! Święty Andrzej Apostoł objawił się widomie jednemu z nas i rzekł, że w tej katedrze przed wielkim ołtarzem leży zagrzebana w ziemi święta włócznia, którą żołdak rzymski Longinus przebił bok Chrystusa Pana. Gdy tę włócznię znajdziemy — powiedział Apostoł •— zwyciężymy Saracenów! O, bracia! Zwyciężymy niechybnie! Kogóż by nie powaliła ta broń święta przed innymi!? Sam jej widok przerazi poganów! Wybierzcie spośród siebie dziesięciu mocniejszych, co zaczną zaraz kopać we wskazanym miejscu. Gdy się zmęczą, zastąpią ich nowi. Pozostali nie odchodźcie z placu i módlcie się tutaj gorąco bez przerwy. Bo cud nie stał się jeszcze, dopiero może się stać, jeśli go potrafimy uprosić... Bóg pokazuje nam ocalenie, lecz trzeba je przywołać, ściągnąć, zniewolić...

...Królestwo Boże gwałt cierpi i gwałtownicy zdobywają je! Wiać kołaczcie! Domagajcie się! Wołajcie całym sercem, bo tu o ocalenie idzie! Bóg do nas ręką wyciąga, chwytajmy ją, wiele siły! Módlmy się, niech nasze rydle i łopaty trafią na włócznię przeświątą! Módlmy się o to nie dla zratowania żywota, lecz by ocalić i ujrzyć Grób Święty!

Nie dziesięciu, stu ludzi wysuwa się naprzód z szeregów. Reszta pada krzyżem, mostem, pokłada się niby łan, kiedy go wicher zaczesze. O Boże, spraw, niech się cud dopełni! Wszakże dość męki! Dość pokuty, dość niedoli! Ześlij obiecane wybawienie!

Ademar klęka na ganku, opierając czoło o kamienną poręcz. Niewidoczny za nią modli się, łka...

- O, Panie, wysłuchaj ich! Nie wiem, Boże, zaliś Ty kierował mową i widzeniem człowieka, który sądzi, że z Apostołem Andrzejem rozmawiał, lecz wiem, że możesz, gdy zechcesz, użyć go za swe narzędzie ku ocaleniu naszemu. Wskazujesz drogę ratunku, pozwól, byśmy na nią weszli... Dopomóż! Ulituj się nad tym ludem! Zważ i wspomnij, że choć dopuścili się wielu grzechów i zbrodni, nie popełnili jednego: nie zaparli się nigdy Twojego Imienia. To im policz! Umierają, lecz nie bluźnią. Grzeszyli wszystkimi grzechami. Grzeszyli pychą, łakomstwem, nierządem, zazdrością, obżarstwem, gniewem i lenistwem... Ale nie powstali nigdy przeciw Duchowi Świętemu!... Kary, męki i niedole nie zachwiały w nich wiary w istnienie

Twoje i Twą sprawiedliwość... To im pamiętaj! O Boże!

Kopano wczoraj cały dzień i na zmianę kopią znowu dziś. Zmiany są częste, bo zesłabym ludziom kilof wypada z garści po kilku uderzeniach. Ziemia pod oderwanymi płytami kamiennymi więzienia świętego Piotra jest zleżała i twarda jak opoka. Nie można kopać jej rydlem ani łopatą. Trzeba mozolnie kuć kilofem, rąbać toporem, dopieroż okrucy wybierać w płachty i wynosić na zewnątrz. Mimo półtora dnia usilnej roboty wygrzebana jama nie jest głębsza nad sześć łokci.

Baronowie stoją wokół lub siedzą na kupie wyrzuconej ziemi patrząc z uwagą na pracujących. Zdarza się, że twarda ziemia wyda krótki, jak gdyby metaliczny szczęk. Wtedy porywają się wszyscy na nogi sądząc, że już znaleziono włócznię. Z żalem dowiadują się, że jeszcze nie. Ogromny kościół wypełnia ciżba ludzi rozpalonych oczekiwaniem, słaniających

się, wspierających jedni na drugich. Wyczekujące twarze wiszą u okien, drzwi. Cienkie jak piszczele palce czepiają się krat. Dziedziniec przed katedrą nabit jest głowami niby brukiem. Kto żyw-, tu obecny. Co chwila, gdy w kościele głośniejsz stuknie kilof, przez tłum przechodzi fala drżenia. — Czy już? Czy już? Czy znaleźli? — Wtedy biskup wychodzi na ganek. Woła: — Jeszcze nie! Módlcie się nie tracąc wiary! Módlcie się, byśmy znaleźli!

Więc modlą się, wiele tylko mają sił. Modlą się żarliwie, strzeliście, żarłocznie, natarczywie. Głód oczyścił ich ciała z żądy, chciwości, z ziemskich trosk i swarów, i teraz, modląc się, wierzą mocno, że byle Bóg ich zratował, pozostaną świętymi. Nie popadną nigdy w dawne grzechy. Wyzbyli się ich na wieki. Za murami Antiochii rządziła nimfa pogańska Dafne, co ich na pokuszenie wiodła. Ulegli jej i grzeszyli. W obrębie miasta wyzbyli się złego uroku. Święty Piotr Apostoł, święty Szymon Stylita niech panują nad nimi, aż po wszystkie dni...

Kopacze ustają. Wyciągają się •/ trudem na wierzch, układają strudzone ciała na mozaice, przedstawiającej barwne pawie, z zazdrością patrząc na nowych zastępców, schodzących w dół. Tym przypadnie zaszczyt odnalezienia świętej włóczni, nie im... Mylą się, gdyż i ta zmiana wychodzi nic nie odnalazłszy. I druga zmiana, i trzecia, i czwarta, i dalsze. Otwór czerni się jamą coraz głębszą, stos wyniesionej ziemi rośnie, ludzie nie modlą się już, ale wyją, krzyczą do Boga, żądają, domagają się, dygoczą. — Módlcie się!!! — powtarza biskup blade jak trup. Czyżby Bóg chciał tylko doświadczyć ich wiary? Nad brzegiem jamy Bartłomiej półżywy z niecierpliwości płacze i rwie się, by go puszczono na dół.

— Co ino znów Apostoła widziałem! — woła. — Puśćcie mnie! Ja ją znajdę! Wiem, że znajdę!

— Co znajdziesz, chudziaku? — odpowiadają z niechęcią kopacze — miejsca tu dla ciebie nie ma, kilofa i tak nie utrzymasz w garści...

— Puśćcie go — mówią pojednawczo inni —• może isto znajdzie...

Milkną z szacunkiem, bo do otworu podchodzi książe Ta-rentu. Nie było go w kościele. Owinięty w luźny, szeroki płaszcz, przygląda się z uwagą jamie, ostrożnie schodzi do środka.

— Ano wyjdźcie, odpocznijcie — powiada kopającym — tego płaksę puśćcie, niech szuka...

Zmęczeni kopacze wychodzą powoli. A jest/już połowa trzeciego dnia. Grzebią w ziemi bez przerwy awie doby i pół, i umysły wszystkie są napięte jak struna./która lada chwila pęknie. Stoją u kresu wytrwania.

Za kopaczami Boemund opuszcza studnię. Niechże zejdzie teraz Bartłomiej, niech szuka. Może mu Apostoł objawi.

Gdy kleryk marsylski schodzi po drabinie w głąb, wszystkie oczy wpierają się w niego z natężeniem aż bolesnym. Sto głów pochyla się nad otworem jamy. Owiewają go oddechy. Kilku ludzi stojąc na ganku patrzy w głąb katedry, po czym obwołują czekającym na placu ludziom wszystko, co się tutaj dzieje.

...Bartłomiej schodzi do studni!...

...Nie może się utrzymać, podtrzymują go!...

...Już zeszedł...

— I co?... I co?... — huczy tłum.

...Kląknął na dnie... Modli się... Oświecają mu lampami...

...Pan de Foix pchnął pana de la Tour i obaj wpadli do studni!... Przygnietli Bartłomieja... już się podnoszą... wylazą na wierzch...

—• Co robi Bartłomiej?... Co?

...Modli się... Wstaje... Oczy ma zamknięte... Dziubie ziemię łopatą... Odłożył ją... Szuka rękoma... Po omacku... Głowę ma do góry zadartą... Nie widzi nic... Schyla się znowu i...

Ryk przeraźliwy tysiąca piersi obwieszcza tłumom zebranych na zewnątrz, czego już nie potrzeba

objaśniać. — Jest włócznia!... Znalazł ją! Znalazł! Cud się stał!... Dzięki Ci, Boże!... Z nieprzytomnymi oczami, z ustami rozwartymi szeroko w bezgłośnym okrzyku, Bartłomiej staje na dnie, w podniesionych wysoko rękach wyciągając znalezione ostrze. Kopacze musieli być tuż koło włóczni. Leżała pod samym wierzchem. Widno Bóg chciał, by on, Bartłomiej, ją znalazł... Wszyscy padają na ziemię, rzuceni potężną garścią, wichrem uniesienia, radości. Och, teraz wiedzą wszyscy, że zwyciężą, że są ocaleni, zbawieni. Wyjdą z bram, niosąc ten oręż cudowny, i poganie struchleją od zgrozy, pierzchną jak chmury przed słońcem... Ocaleni! Ocaleni! Na klęczkach drżącymi dłońmi Ademar de Monteil przyjmuje od Bartłomieja święte znalezisko. Z oczu lecą mu łzy wdzięczności... Wejrzałeś na lud Twój, Panie, i wybawiony jest z paszczęki wroga... Tłum na placu huczy, tłoczy się, ciśnie, szaleje, wdzierając się szturmem do wnętrza. Ludzie depczą po sobie wzajemnie. Każ-

dy chce widzieć własnymi oczami, własnymi palcami dotknąć. Więc biskup znowu wychodzi na ganek, tym razem, by cud potwierdzić.

Owinąwszy ręce w złocistą materię, unosi z szacunkiem włócznię, aby ją wszyscy ujrzeli. Jest ułamana, zjedzona rdzą, grot ma szeroki. Takie włócznie nazywano dawniej framea. Znac po niej, że długo leżała w ziemi. Podobna do tej, którą Piotr przyniósł od Saracenów. Snadź obie są równie sędziwe.

— Oto zbawienie nasze — woła biskup — oto oręż, który nas ocali! Po tym ostrzu spłynęła niegdys najświętsza, drogocenna krew Chrystusa Pana! Jest w nim moc równa świętemu Graalowi!... O czym przez wieki śpiewali pieśniarze, to dla nas jawą się stało!!!

Krzyk ogromny w odpowiedzi. Plac, pobliskie ulice, cały gród trzęsą się od wrzawy. Trupy ożyły. Święty Graal ciałem się stał. Wysoko pod górami Dżagi Sjan czuwający w skalnej cytadeli wychyla się ze zdziwieniem. Frankowie żyją?... i krzyczą?...

— Ruszać! Ruszać! — grzmi tłum — natychmiast! Na Saracenów!

Już pędzą bezładną falą do wrót. Biskup niech niesie włócznię i prowadzi ich!

— Stójcie! — woła Ademar — nie możecie tak pójść, pozeracze trupów, ludożercy! Musimy się wpierw oczyścić! Zarządzam post dwudniowy... Wigilia największego święta... Łaski Bożej i Cudu! Pojutrze, w dzień świętego Piotra i Pawła ruszymy! Trwajcie na modlitwie, by być godnymi ocalenia!

— Bóg tak chce! Bóg tak chce! — tłum ryczy, szumi, kipi. Święty zapał, poczucie miłosiernej przytomności Bożej przenika wszystkich cna wskroś. Rozkaz postu przyjmują z uniesieniem. Biedni nędzarze! Poszczą ściśle od miesiąca prawie, ale co innego głód przymusowy, a co innego dobrowolnie przyjęty, wigilia... Są w takim stanie ducha, że gdyby im kto teraz podawał pełne misy jadła, nie przyjęliby z pewnością. Mogą poczekać. Uczta nastąpi pojutrze, gdy rozgromią Saracenów.

Cud następuje za cudem. Jak gdyby na potwierdzenie tego, że Bóg zwrócił ku nim oblicze, w zakamarku pustych składów żywnościowych, tysiąc razy zdawałoby się splądrowanych, przeszukanych, znajdują się nagle trzy worki przedniej mąki. Ludzie klną się, że to cud, że jej tam przedtem nie było. Może była, może nie. W każdym razie jest z czego wypiec komuni-kanty w ilości dostatecznej, by wszyscy, wszyscy przystąpili

— Krzyżowcy t. III/IV

do Stołu Pańskiego. Cały dzień, poprzedzający natarcie, poświęcony jest zbiorowej spowiedzi i rozdawaniu komunii. Biskup, który od chwili znalezienia włóczni odżył i wygląda, jakby za każdym krokiem ulatywał ku niebu, sam ją roznosi z pomocą innych księży. Modli się w głos, by Zbawiciel Najświętszym swym Ciałem skrzepił i dusze, i ciała... By dożyli jutrzejszego dnia zwycięstwa, radości i chwały...

Gdy ludzie poszczą i modlą się, wodzowie radzą. Będą walczyć pieszo po raz pierwszy w życiu. Po 'raz pierwszy, odkąd rycerstwo istnieje. Koni nie ma. Jak bić się z ziemi?...

- Zaufajcie mnie — powiada Boemund — przystańcie, że ja zarządzę i poprowadzę natarcie... Całą noc nad tym myślałem i ot, jak sobie ułożyłem...

Skupiają się w ciasną gromadkę nachylając ku sobie ścisłym wieńcem głowy...

Gdy aga-szeik wpadł do sypialnej komnaty z krzykiem: — Hanum Baraba! O, panie! Hanum Baraba! — Kerboga, syn Nadzasa, był przekonany, że śni. Potem pomyślał, że matka umarła, i zdjął go żal, a zarazem złość ma szeika, który go ze snu obudził. Jeśli czcigodna Hanum nie żyje, wszystko jedno, czy zboleła syn dowie się o tym chwilę wcześniej, czy później.

— Na Allacha miłościwego i łaskawego — rzekł — dlaczego budzisz mnie i wrzeszczysz?

— Hanum Baraba! — powtarza szejik padając na twarz. — Już jest tu! Hanum Baraba!...
— Jak to, tu?! — emir porwał się z łoża na nogi.
— Już lektykę wnieśli do obozu... Oto jest... Niepewny, zali w dalszym ciągu nie śpi i śni, emir wybiegł z namiotu. Zaszło coś niepojętego! Matka opuściła Chorassan po raz pierwszy od dwudziestu paru lat! Sędziwa Hanum przebyła niepojęcie daleką drogę aż tu! Co się stało? Może kalif pogniewał się na nią za jaką niezyczliwą przepowiednię? Nim sobie uprzytomnił wszystkie możliwości, orszak nadszedł. Zdyszani, okryci potem i pyłem niewolnicy nieśli lekką podrózną lektykę. Kilkudziesięciu konnych i pieszych otaczało ją. Z tyłu nadążali wielbłądnicy. Hanum Baraba nie znosiła kołysania wielbłądów i całą drogę odbyła niesiona na ramionach ludzi, którzy zmieniali się trzy razy dziennie. Gdy lektykę ustawiono na ziemi, wysiadła spowita w czarne chusty. Twarz miała szczelnie osłoniętą. Złota sprzączka pośrodku czoła łączyła chustę okrywającą głowę z drugą, za-

ślanającą lice. Z wąskiej szpary wzyierały ciemne, niespokojne oczy.

—• Matko — rzekł emir — *la ilah el Allah, Mohammed ra-sul Allah!*

Okrzyk ten wyrażał zarówno pobożność, jak najgłębsze zadziwienie. Niewiasta skłoniła się nisko, składając ręce na piersiach. Choć słyneła jako wróżka ożywiona duchem Bożym, nie przestawała być kobietą i jako takiej nie wolno jej było wymieniać imienia Proroka ani Allacha.

Weszła za synem do sali i usiadła na niskiej sofie ruchem wielkiego zmęczenia.

— Co cię sprowadziło, matko? — pytał emir z niepokojem. — Jeżeli zasłużyłaś na gniew Ojca Wiernych, to lepiej było uchodzić gdzie indziej... Niełaska jego dosięgnie przez ciebie i mnie... Zaprzeczyła żywo ręką.

— Każ mi dać wody, synu, i słuchaj. Objawione mi zostały wielkie rzeczy. Tak ważne i srogie, że nie uwierzysz pismu, przybyłam sama do ciebie... A to ci mam rzec: odstęp tego oblężenia jak najprędzej... Kerboga spojrział na nią z osłupieniem.

— Co mówisz, matko?!

— Odstąp oblężenia! —• powtórzyła mocno. — Cofnij wojsko na południe! Dziś jeszcze! Dziś jeszcze!

•— Na Allacha, to niemożliwe! I dlaczego miałbym się cofać!?

— Nie wiem dlaczego, ale widzę zgubę twoją i wszystkich, co są z tobą, jeśli tego nie uczynisz... Po to przybyłam... O, synu! Jeżeli ja stara, chora kazałam się nieść aż tutaj, z niepokojem nasłuchując, zali jeszcze zdążę, czyż to ci nie wystarcza?

Syn roześmiał się z przymusem.

— Na święte sandały Proroka! Zastanów się, matko, czego ode mnie wymagasz?! Ja miałbym poniechać Franków, nieczystych gjaurów, którzy już są w mojej mocy? Jeszcze tydzień, a w grodzie nie będzie nikogo prócz trupów! Zresztą to święta wojna! Rozumiesz, święta wojna! Ściągnąłbym na siebie pogardę wiernych i gniew Proroka... Prorok mówi, że jeden postój na wojnie świętej milszy mu niż siedemdziesiąt lat modlitwy w klasztorze...

— Synu Nadżasa, choć jestem tylko kobietą, wiem, iż napisane jest w najświętszej Księdze (zarówno jak imion Allacha i Proroka, tak i nazwy Koranu nie wolno jej było wymie-

iiiiać), że chwycić trzeba czas, bo czas stoi na czatach, by ciebie pochwycić,.. Chwycić chwilę, póki nie będzie za późno. Ostrzegam cię! Nosiłam cię w żywocie... Wyhodowałam na wielkiego, silnego męża, przed którym drżą nieprzyjaciele i bledną niewierni. Nie chcę cię przeżyć. Nie chcę, by oczy moje widziały twą zgubę... Znasz mnie, synu. Zalibym przychodziła na próżno? Powtarzam, odstęp od oblężenia natychmiast...

Kerboga, syn Nadżasa, biegał z kąta w kąt sali. - Ależ, niewiasto! — wołał — to niemożliwe! Powiedz mi przynajmniej, dlaczego?! Co grozi?!

•— Nie wiem — odparła. •— Nie wiem. Widziałam buchający z tego grodu kłęb jakoby dymu. Dym zmieniał się w drzewo, a drzewo rosło aż do nieba, a wyrosło na nim więcej niżli sto gałęzi. I drzewo rozłożyło gałęzie i opadło liśćmi na ciebie i twoich wojów... Widziałam białe turbany pokrywające grunt jak śnieg na górach... Poznałam drzewo, którego listowie spadło i pokryło turbany. Było to drzewo zniszczenia Zakkum, od którego płoną wnętrzości. Zdjął mnie lęk. Poczęłam szukać oczami ciebie, synu Nadżasa i mój. I zobaczyłam cię pohańbionego i lęk mój wzrósł tak, że kazałam się nieść co prędzej. Połowa moich niewolników padła w drodze. Wzięłam innych. Zdążyłam bez wytechnienia. Taka jest prawda, synu -Nadżasa i mój.

Umilkła i spuściła głowę jak gdyby na znak, że nie będzie "mówić więcej. Kerboga patrzył na nią z rozpaczą. Matka nie była zwykłą niewiastą, której gadaniny nie przystoi słuchać mężowi, lecz Hanum Barabą, Barafoą! Sam kalif, Ojciec Wiernych, Chwała Proroka, liczy się z każdym jej słowem! Nie

zdarzyło się nigdy, by ktokolwiek nie posłuchał jej rady. Nie zdarzyło się również, by jej słowa, dotyczące przyszłości, zawiodły. A on przecież posłuchać jej nie mógł! Ogarnął go równocześnie zabobonny lęk przed nieznaną grozą, którą wróżyła, a zarazem bunt człowieka zdrowego, wodza, któremu każą wykonać nierozumne i haniebne posunięcie. Starał się wyobrazić sobie siebie, dającego rozkaz cofnięcia wojsk. Zdu-Imienie emirów, drwiący uśmiech Ahmeda ibn Meruana, oburzenie Kilidż-Arslana... Co im powie?... Czym rozkaz uzasadni, ...? A Latyńcy!? Znow się wzmocnią, odżyją, odkarmią... Miasto skończyć z nimi, zdławić nareszcie plugastwo urąga-ijącą Prorokowi na jego własnej ziemi, odstępować oblężenia?!

....Gdyby który z moich szejków tak postąpił, kazałbym go jnatychmiast ściąć —• myślał — przy tym ep za niebezpieczeń-

stwo ma grozić? Skąd!? Przecież nie ze strony tych zdechłaków konających z głodu?! Był tu ów rycerz, co przyjął wiarę prawdziwą... Widzieliśmy po nim, w jakim stanie są Latyńcy...

— Skąd nadejdzie zło, matko? — zapytał szorstko.

— Nie wiem — powtórzyła głuchym i zobojętniałym głosem. Siedziała nieruchomo, zmaląła dziwnie pod swymi czarnymi zasłonami. Ogarnęło ją poczucie zniechęcenia, bezsilności. Kochała tego wielkiego syna, jedynaka, co chodził niecierpliwie po komnacie targając długie wąsy, kochała go tak jak niegdyś, gdy był maleńki, a ona strzegła go przed zawistnymi dżinami. Kazała się tu nieść przerażona widzeniem, porwana chęcią ratowania go, a oto czuła, że cały trud jej na nic...

Niepotrzebnie tak śpieszyła, niepotrzebnie przyszła... Nic nie odmieni doli. Po co ostrzegała, skoro on i tak nie posłucha...

— Nie mogę odstąpić, zrozum, niewiasto — mówił z rozdrażnieniem. — Sam Ojciec Wiernych dał mi to zadanie... Inni zazdroszczą... Nie mogę uradować ich, okazując się niegodnym... Gdybyś mi choć powiedziała, z której strony nadejdzie ta groza, jak jej się strzec?...

Nie odpowiadała nic. Niewolnik przyniósł na tacy wody różanej. Wypiła.

— Każ mi dać innych ludzi, którzy mnie odniosą do Alep-po — rzekła nagle. — Moi są nadto zmęczeni. Dojdą później. Także wielbłądników i konnych...

— Jak to?! Teraz!? Zaraz!? — zapytał przerażony.

— Zaraz, teraz — potwierdziła. — Do Aleppo... Tam będę czekać na to, co się stanie... Niedługo...

Nie próbował jej zatrzymać, przedkładać, że musi po drodze odpocząć, pożywić się... Przecież to nie zwyczajna niewiasta, ale Hanum Barabą. Ona nie przemówiła słowa więcej. Stała w swych czarnych zasłonach nieruchoma, tajemnicza jak przeznaczenie. Wsiadła do lektyki. Poruszyła zęgnalnie dłonią przyciągniętą do piersi. Oczy błysnęły wilgotno przez szparę w chustach. Niewolnicy ruszyli rytmicznym, długim krokiem.

Kerboga, syn Nadżasa, przesunął ręką po czole. Teraz, gdy matka znikła, poczynał wątpić o rzeczywistości jej odwiedzin. Niemożliwe, by przybyła z Chorassanu, niemożliwe, by odeszła po niespełna godzinie. Kazała cofać się na południe... Szaleństwo! Za nic tego nie uczyni!...

...Lecz matka nigdy się nie myli... Toteż choć wmawiał

•

w siebie, że wszystko było przywidzeniem, słowa jej zostały w uszach, drażniły umysł nieznośnie. Nie mógł ich odpędzić, usilnie próbując rozwiązać zagadkę. Kto mu grozi? Jużel nie Franki! Te zdechłaki nie mogą być groźne dla nikogo. Może któryś z emirów knuje zdradę?... Ale który? Który?! Matko, skoroś przyjechała, trzeba było powiedzieć do końca! Lepiej nie znać prawdy wcale niż połowę... Przebiegł myślą wszystkich emirów i zatrzymał się na Ahmedzie. Czy nie on?... Wiadomo każdemu, że ten pyszałek spodziewał się zostać naczelnym wodzem wyprawy. Poddał się woli kalifa, ale w duszy na pewno chowa gniew. W stosunku do Kerbogi jest poprawny, lecz wyniosły i niechętny... Na pewno on! W chwili zdobycia Antiochii zechce pierwszy wejść do miasta i zająć je na swoją korzyść...

Przejął się tą myślą tak dalece, że gdy Dżagi Sjan dał znać podziemnym chodnikiem z cytadeli, że wśród Franków panuje niezrozumiały ruch i wrzawa, nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. — Gotują się na śmierć i lamenty nad sobą odprawiają — orzekł.

I wrócił do rozmyślań nad prawdopodobną zdradą Merua-na. Przecież to jasne! Wojska Ahmeda, dziesięć przepysznych dzamatów, stoją najbliżej murów! Tuż przy bramach: Mostowej i Psiej! Ahmed ibn Meruan sam to stanowisko wybrał! Oczywiście! Pierwszy wejdzie do grodu i już nikogo nie wpuści! O matko jasnowidząca, któraś przeczuła, ostrzegła! Cofnij się... powiedziałaś... Tak, niech się cofnie, ale nie Kerboga, lecz Meruan... Natychmiast trzeba mu to rozkazać! Natychmiast!

Zwołani emirowie z niemłym zdumieniem wysłuchali rozporządzenia naczelnego wodza. Pułki Ahmeda

ibn Meruana, stojące tuż pod grodem, mają się cofnąć na tyły obozów. Zaraz. Emir palestyński czerwieniał z gniewu i przedstawiał mogące stąd wyniknąć szkody. Cofać wojska teraz, gdy Dżagi Sjan zawiadamia, że u Franków wre ruch jak w poruszonym mrowisku?... Dlaczego? Po co?... Lecz im gorętsze racje przedkładał, tym bardziej emir Mos-sulu utwierdzał się w swych podejrzeniach. Spoglądał na rozgniewanego wojownika ze złośliwą uciechą. — ...Pokrzyżowałem ci szyki, gadzino... — Nie mamy o czym mówić — zakończył. — Ja tak chce. Wojska emira Palestyny odejdą na tyły dziś jeszcze. Miejsce ich zajmą...

Zawahał się. Który z emirów jest dostatecznie pewny? Zawiedziony w rachubach swoich ibn Meruan może usiłować dopiąć celu przekupując drugiego lub dopuszczając do współ-nictwa?... Jest ich dwudziestu sześciu... Trzeba się dobrze nad wyborem zastanowić...

— ...Oddziały, które zajmą miejsce emira palestyńskiego, naznaczę jutro. Skończyłem.

— *Allah akbar* — odpowiadają wodzowie i rozchodzą się. Ahmed ibn Meruan jest wściekły.

— Co to ma znaczyć? — pyta Kilidż-Arslana.

Były sułtan Nicei wrusza ramionami. Ahmed spluwa. Życzy serdecznie Kerbogdzie, aby go spotkało wszystko, co najgorsze.

Nie dbając o to Kerboga, syn Nadżasa, jest zadowolony. Żywi mocne przekonanie, że bystry rozum naprowadził go na właściwą drogę. Dobra matka! Bez niej nie byłby się sam domyślił...

Rozdział trzeci ALLELUJA!...

Gdy przed rtkiem krzyżowcy' opuszczali Bizancjum, było ich trzysta tysięcy. Z tego przy życiu zostało obecnie siedemdziesiąt tysięcy niespełna. Bądź co bądź jest to jeszcze duża gromada ludzi. W tej gromadzie nie ma ani jednego (owszem, jest jeden, jedyny...), który by nie wierzył niezłomnie, że w jego oczach dokonał się wielki cud, mający wszystkim przynieść zbawienie. Wyglądają jutrzejszego dnia w radosnym uniesieniu, którego żadna wątpliwość nie zaćmi. Wierzą, wiedzą, czekają. Obchodzą miasto w procesji. Nie czują prawie głodu. Zobojętnieli na wszystko, co nie jest wielkim jutrem zmartwychwstania. Biada, gdyby to jutro zawiodło, okazało się bezowocnym. Lecz nie ma obawy. Zbiorowa wiara nigdy nie jest bezowocna.

Z tej wiary, z tej niezachwianej pewności, z tych ciał osłabłych, tym podatniejszych duchowi, bije fala zapału, gromadzi się w zbiorową moc, co leży nad głowami jak gradowa chmura pełna grzmotów i błyskawic. Najmniej nawet wrażliwi czują obecność tej siły, czują ją cielesnie w trzaskaniu i unoszeniu się włosów, w mrówkach przebiegających kończyny. Potęga olbrzymia wisi nad miastem, gotowa wyładować się, runąć. Ośrodkiem jej, skupiającym wszystkie spojrzenia i czucia, jest święta Włócznia wystawiona na ołtarzu wśród tysiąca świateł. I każdy wie, że ta potęga, co ma się jutro wyzwolić, byłaby zdolna wywołać trzęsienie ziemi, odwrócić bieg rzeki lub przenieść i rozwalić góry. W porównaniu z tym., do czego ludzie zbrojni w tę moc czują się gotowi, rozbicie Saracenów jest najmniejszą rzeczą. W oczekiwaniu natarcia poruszają się jak we śnie. Bezwolnie i zgodnie słuchają Boe-munda, który objął naczelne dowództwo i z niestrudzoną ruchliwością wskazuje każdemu miejsce, objaśnia zadanie.

Całą noc ustawiają się w szeregi czołem zwróceniu ku dwom bramom: Psiej i Mostowej, którymi wyjść zamierzają. Wczoraj nieprzyjaciel odstąpił od nich i szerokie błonie tuż za

rzeką leżące jest wolne. To nieoczekiwane przesunięcie krzyżowcy też poczytują za dowód cudownego wpływu świętej Włóczni. Tym radośniej, tym pewniej oczekują świtu.

Boemund podzielił ich na sześć oddziałów stojących w dwu rzędach za sobą. Z lewej Hugo z Robertem flandryjskim i Swenonem duńskim. Za nimi Godfryd lotaryński, za God-frydem Robert normandzki. Po prawej pierwszy oddział prowadzi Ademar w zastępstwie Rajmunda. Grabią St. Gilles z połową swych ludzi został w grodzie i gdy ci w polu zmierzają się z Kerbogą, on uderzy, na zamkniętego w cytadeli Dżagi Sjana. Za Ademarem Boemund, a za Boemundem lankred. Oddziały są silne, w każdym nieomal po dziesięć tysięcy ludzi, ale, o Boże, cóż to za wojsko! Zbroje wiszą na wychudłych ciałach jak na żerdziach, brzęczą luźne części, kołaczą o siebie. Niektórzy musieli nagolenniki i naramienniki po-przywiązywać taśmami, gdyż spadały na ziemię. Poza tym są spieszeni. Wydają się sami sobie dziwnie mali. Sklepienie bramy wysoko wisi nad głowami... Pancerne zbroje utrudniają chód. Nie były pomyślane ni wykonane dla pieszych! Ha, trudno. Bóg tak chce! Za parę godzin nie będą już pieszo. Zdobędą konie na Saracenach albo rozstaną się z życiem.

Słońce wytryska zza gór. Przed chwilą przeciągnął samotny wędrowny obłok i zmoczył ziemię nagłym, niespodziewanym deszczem. Deszcz w pełni lata! Niemała to rzadkość w tym kraju! To nie deszcz zwykły, lecz rosa niebieska, widomy dowód łaski Ducha Świętego. Gdy wychodzą przez rozwarte wierzeje bram, wszystko wokół lśni od wilgoci. Na krzakach perli się rosa. Od morza zawiewa wiatr wybawienia i swobody. Śpiewając pobożną pieśń, czwórki za czwórkami opuszczają miasto we wzorowym porządku. Zaraz na

bloni rozwijają się. Robert flandryjski na lewo, Godfryd na prawo, pozostali w środek, prócz Tankreda, który jako straż tylna będzie chronił plecy wojów od sierpowego natarcia.

Biskup cle Monteil niesie w rękę świętą Włócznię. Innego oręża nie ma. Obok niego Piotr i Bartłomiej, a z tyłu nieodstępny Walter Bez Mienia, ochraniający biskupa swym wielkim mieczem.

W oddziale tym są i kobiety. Przyszły wczoraj czepiać się szat Ademara błagając, by im pozwolił wziąć udział w walce. W takim dniu nie chcą pozostać bezczynne! Są wszakże też krzyżowcami! Kłoniły się do kolan biskupa z płaczem. Niebogi! Jak je odmieniło życie! Były niegdyś krasę, urodziwe, pełne ponęt.

Drżały nad wszystko o życie, a płeć stanowiła

główną ich cechę. Leciąły jak ómy do grzechu, spragnione rozkoszy. Któż by poznał te same swawolnice w wychudłych wdowach po poległych lub zmarłych rycerzach, o które nikt się na razie nie troszczy, w żalonych matkach, którym w bezsilnych ramionach dzieciątka usnęły z głodu?...

Zgaszone, postarzałe, wychudłe, stały się wszystkie świątobliwe i pobożne, całe dni od świtu do wieczora, ciężkie, głodne dni, spędzając w kościele. Od czasu gdy widzenie Bartłomieja zostało ogólnie wiadome, jęły wśród nich szerzyć się gromadnie objawienia, prorocstwa, zwidy. Jedna przez drugą przybiegają do biskupa opowiedzieć o wyróżnieniu, jakie je spotkało od tej lub owej świętej. Święta Katarzyna i święta Agata, święta Symfonia i święta Pulcheria, święta Małgorzata, święta Eustochia i matka jej, pobożna wdowa, święta Paula, ukazują się nagminnie oczom rozmodlonych niewiast. Powiewając pal- mami zbawienia udzielają rad, wskazówek, zaleceń... Rycerze, słuchając tych cudownych opowieści, wzruszają gniewnie ramionami i mamroczą, że ze wszystkich świętych jedna może Magdalena zechciałaby z tymi białkami rozmawiać, lecz biskup nie wyśmiewa nieboraczek, choć nie przywiązuje do ich słów większej wagi, niż należy. I teraz wstawiał się do wojów, by im nie bronili udziału w bitwie. — Bywały już podobne wypadki w dziejach — zapewniał. Pono u Gallów, pogańskich naszych przodków, niewiasty zawdy walczyły przy mężach...

— My wolimy bez nich — odpowiadają jednogłośnie rycerze. W bitwie dobrze czuć przy sobie towarzysza, nie mdłe, nieporadne stworzenie. Tylko Rajmund i Swenon zgadzają się wziąć żony ze sobą. Reszta odmawia stanowczo.

A niewiasty ustąpić nie chcą za nic. Błagają natarczywie prawo walki. Święte im to nakazały. Objawiły wyraźnie!

przecież są krzyżowcami! Sami woje to przyznali po Dory-lejskiej potrzebie...

—• Tego momentu lepiej -nie wspominać — zauważa biskup z westchnieniem. — Cóż z wami począć, niebogi? Pójdziecie chyba razem z moim oddziałem.

Na tym staje. Ostatecznie niewiast nie jest wiele. Przed dwoma laty zebrałoby się tego babskiego żywiołu dobrych kilka tysięcy, dziś nie będzie nawet dwustu... Niech idą. Umieści się je w środku.

Broni w Antiochii jest dość. Można łatwo dobrać coś lekkiego.

— Zresztą ta bitwa — powiada biskup — i tak nie będzie podobna do żadnej innej...

Istotnie nie jest podobna. W powietrzu panuje dziwny nastrój niepokoju niby przed trzęsieniem ziemi lub zaćmieniem słońca. Wiatr to porywa się, to cichnie, przypada do ziemi jak spłoszony. Zbroje na żywych kościach kołaczą, ziemia od miarowego kroku drży, z ogrodów pokrywających brzegi rzeki płyną wonie głuszac uporczywy fetor trupi, co ciągnie od miasta. Jaśminowe gaje pachną upajająco do utraty przytomności. Powietrze blednie od poczynającego się dziennego skwaru. Wszystko wokół zdaje się inne, odmienne, jak nie z tego świata. Bo też nie z tego świata, zaiste, są te piesze żelazne szeregi, prące się naprzód ze śmiertelną nieustępliwością, nie z tego świata odwaga, która je ożywia. Gotowali się do wyjścia jak we śnie i walczyć będą jak we śnie z nieludzką obojętnością na śmierć i niebezpieczeństwo w poczuciu jednego musu: zwycięstwa.

Kerboga już rozbudzony gra z atebkiem Dokak, synem Nadžiha, w szachy, gdy aga-szeik przynosi zdumiewającą wieść: Frankowie wyszli z grodu i gotują się do bitwy. Już się rozwijają w szyki!

— Zwoływać do boju! — rzuca Kerboga, a gdy atabek wstaje, wstrzymuje go ruchem ręki.

— Skończmy grę. Z tymi głodomorami, których widno ostateczna rozpacz pchnęła, emirowie dadzą sobie radę sami... Pójdziemy za chwilę popatrzeć na koniec Franków...

I w milczeniu przesuwają białe i czarne misternie rzeźbione kukiełki. Lecz Kerbodze gra nie idzie.

Traci kolejno konia, wieżę, hetmana. To dlatego, że głowę zaprzęta mu myśl, czy Ahmed nie wyzyska tej chwili dla zdrady?... Na razie nie każe mu się wcale mieszać do bitwy — postanawia i między jednym posunięciem a drugim wydając rozkazy dla poszczególnych dowódców, pomija rozmyślnie

emira palestyńskiego. Na koniec przegrywa. Atabek daje mu mata. Emir rozgniewany wstaje, odsuwając szorstko szachownicę.

— Chodźmy popatrzeć '— powiada — jak walczą umarli. Jest na co popatrzeć rzeczywiście. Z niewielkiego wzgórza,

na którym staje Kerboga (nad nim potrójny mendżuk i olbrzymia zielona chorągiew Proroka), widać całe błonie, na którym rozegra się za chwilę bitwa. Rozwinięte szyki Franków opierają się z lewej strony o rzekę, z drugiej o wzgórze. Za tymi wzgórzami stoi Ahmed ibn Meruan, nie powołany na razie do bitwy. Stanowisko jego łączy się z błoniem wą-

skim stosunkowo przejściem pomiędzy wzgórzami. Prankowie rozwinęli się szybko i mądrze. By ich otoczyć, uderzyć od tyłu, trzeba ominąć wzgórze, zatoczyć ogromne koło i wypaść od strony morza. Wnet też Kerboga posyła gońca do Kilidż--Arslana, by ze swą jazdą otoczył w ten sposób nieprzyjaciela. Wzięte z dwóch stron, te śmieszne żółwie nie ostoją się ani godziny.

Na razie żółwie posuwają się naprzód głębokimi kolumnami, równymi jak kolumny mrówek. Po raz pierwszy od czasów rzymskich tak wielkie masy ludzi walczą pieszo, w porządku podobnym do szyku zachwalanego przez Proroka o mocy budowli ołowiem spajanej. To nie obrzedni, luźny szereg zwany płotem, ulubiony Latyńcom, którzy piechoty używają tylko do obrony twierdz i obozów. Czworoboki nieruchome suną w przód, nieczułe na cmentę strzał, którymi je osypują nacierający muzułmanie. Strzały groźne są jedynie wtedy, gdy rażą i powalają konie. Zakuci w zbroje piesi mniej o nie dbają.

Przesłaniający dzień obłokiem strzał Saraceni Kerbogi już pędzą ławą naprzeciw wrogowi. Od kopyt końskich jęczy ziemia. Wielbłądy kołyszają się wyciągając długie szyje, plują wokół żółtą śliną. Blask słońca gra w krzywych szablach, mienia się barwiste jedwabne stroje. Wałają jak orkan pustynny, dopadają idących niezłomnie przeciw nim piechurów, zwanych przez emira pogardliwie żółtami.

Gdy pierwsze uderzenie nie zdołało przełamać ścieśnionych szeregów, gdy pstra, wyjąca rytmicznie ciżba obija się o nie jak mrowie o skałę, starym zwyczajem Saraceni zawracają, by pociągnąć wroga za sobą. Dobry sposób na konnicę, lecz nie na piechotę! Ta nie posunie się szybciej, żaden szereg nie minie drugiego. Owszem, zwierają się mocniej. Niektórzy rycerze ujmują się wzajem pod ramiona.

Nie rozerwą pogany ich szyku, nie — na rany Boga!

I walka zawzięta kipi na rozległym błoni. Nierówna walka konnych z pieszymi. Nierówność ta obraca się dzisiaj na korzyść upośledzonych. Saraceni nie umieją walczyć z piechotą. Krzyżowcom odpadły zwykle wady taktyki rycerskiej: rzadki, łatwy do przerwania i przemieszania szereg, znaczne odstępy między szeregami. Zostało zaciekle męstwo rycerzy, ta sama pieszo co na koniu sprawność w działaniu orężem. Pod wpływem uniesienia, zapału ożywiającego szeregi, wracają nawet zapomniane siły. Tną, biją, rąbią nie gorzej niż dawniej, gdy byli mocni i syci. Bo duch dziś walczy, nie ciało.

i coraz liczniej konie bez jeźdźców biegają, rżąc po błoni. Coraz liczniej padają trupy muzułmańskie. Kerboga na wzgórzu tupie gniewnie nogą. Na święty kamień Kaaby! Gdzież jest Kilidż-Arslan? Dlaczego nie zachodzi z tyłu?!

Otóż właśnie nadjeżdża. W oddali widać lecące szeregi. Okrzyk ich grzmiący dolatuje aż do wodza.

Są na tyłach nieprzyjaciół. Latyńcy już ich spostrzegli i Tankred ustawia się czołem do nadbiegających. Już się zwarli. Chropawa, przyziemna masa krzyżowców ujęta jest w uścisk z dwóch stron. Od tyłu świetna jazda sułtana Nicei, od przodu wojska Kerbogi.

Z nieporównanym męstwem walczy Tankred, lecz przewaga liczebna napastnika jest tak wielka, że trudno oczekiwać, by utrzymał się dłużej. Więc baczny na wszystko Boemund oddziela po trzy tysiące ludzi z rot Godfryda, Ademara i Roberta, łączy je w siódmy oddział, nad którym dowództwo obejmie waleczny Renald de Toul i śle na pomoc Tankredowi. Czas już był to uczynić, najwyższy czas. Ze straży tylnej niewiele zostało. Trzymające się jeszcze niedobitki witają pomoc okrzykiem radości i ze zdwojoną energią prą naprzód. Lecz Kilidż-Arslan nie myśli dać sobie wydrzeć już osiągniętej przewagi. Sam prowadzi uderzenie. Zagrzewa słowem i gestem. Naciera, rąbie, przytłacza swą liczbą. Rycerze wytężają siły. Zwołują się wzajem, by pokrzepić ducha:

— Normandia! Lotaryngia! Tuluza!

— Tuluza! — krzyczy pan de la Tour i nagle, niby w odpowiedzi, przeraźliwy ryk rozbrzmiewa w pobliżu. Ze skalistego zbocza żółta błyskawica skulą się ku wołającemu płowy zwierz, skacze na piersi, mruczy pomrukiem radości, błyska z paszczy białymi zębami. — ...Sara! Sara! — woła de la Tour. — O, najwierniejsza z kochanek! — Lecz nie pora na pieszczoty. Niespodziewane

pojawienie się lwicy wywołuje osłupienie w szeregach nacierających. Konie chrapią, stają dęba. Odmawiają kroku w przód. Siadają z kwikiem na zadach. Muzułmanie drżąca dłonią ciskają włóczykami. Jeden oszczep rani zwierzę. Z rykiem, tym razem wściekłości, lwica porywa się przeciw. Już skoczyła koniowi do gardła, już gru-chocze kręgi jeźdźca. Rozjadł ją zapach krwi. Dopada, następnych. Rozdaje łapami ciosy, z których każdy jest śmiertelny. Sam sułtan blednie. Krew mu zbiega z twarzy. Giaury mają szatana na swoje usługi! Pod Nicea Iblis przybrał postać wiatru, a tutaj przemienił się we lwa!...

Ogarnięte trwożą konie zawracają, mimo iż jeźdźcy usiłują je zatrzymać. Sara z rykiem goni za nimi, zdziera pazurami skórę z końskich zadów. Latyńcy nadążają za nią co szybciej. Biegną kołacząc i dźwięcząc zbrojami. Niektórzy próbują łowić konie biegające luzem. Szyk pęka. Gdyby sułtańscy zawrócili teraz, snadno mogliby rozbić szeregi. Lecz żadna siła nie zatrzyma przerażonych, ponoszących koni. Sam Kilidż--Arslan ucieka. Po raz trzeci! O, hańbo gorsza od śmierci! Ale któż może mierzyć się z czarami!? Płowe cielsko zwija się, troi, mnoży w oczach; każdy z uciekających gotów przysiąc, że siedzą mu na karku całe roty lwów. Głuchy pomruk gniewu, przechodzący raz w raz w grzmot, doprowadza konie i ludzi do szału. I sułtan widzi, że trzeba za wszelką cenę odgrodzić się od goniących. Rozkazuje palić trawy! Ze stert siana, leżącego tuż przy drodze, złożyć wał i podpalić! Niech ogień wstrzyma nieczystych!

Już wykonane. Gryzący dym rozsnuwa się nisko nad ziemią. Przez biały tuman przekwitają jęzory ogniste. I gdyby Latyńcy siedzieli na koniach, nie przeszliby tej zapory. Żaden koń nie wejdzie w ogień. Lecz, że pieszo, że są nieprzytomni, że wiedzą jedno, iż zwyciężają, jak wróżyła święta Włócznia — nic ich zatrzymać nie zdoła. Jak dobry podczaszy Keus Płonący nie lękają się ognia ni żaru. Co prawda pożar gorzej wygląda, niż się przedstawia w rzeczywistości. Trawa niska, parzy dotkliwie tylko stopy, zachęcając przez to do szybszego biegu, siano, wilgotne od ранnego deszczu, przyczynia więcej dymu niż ognia. Bez wahania rozplomienieni kościeje sadzą w płomienie. Pęd ich odgarnia dym na boki. Przechodzą prawie bez szwanku. Lwica za nimi, rycząc ze strachu i wstrętu przed ogniem. Poparzyła sobie łapy. Przyczają się jak sprzężyna. Szerokim susem przeskakuje płonący wał i goni dalej za pierzchającymi. Teraz ryk jej brzmi triumfem. A Ki-lidż-Arslan rozumie, że nie ma ratunku. Nic nie wstrzyma tych szatanów, którzy się ognia nie boją!

Niechając nadziei oporu sułtan z resztą swego wojska uchodzi na południe dalej i dalej...

Ahmed ibn Meruan stoi wciąż beczynn timer, z gniewem i niepokojem nasłuchując wrzawy bitewnej. Dotąd nie otrzymał żadnego rozkazu. Nie wie, co robić? Gdyby postępowanie naczelnego wodza nie było w ostatnich dniach tak drażniaco nieżyczliwe, ruszyłby sam przypuszczając, że posłaniec zawieruszył się po drodze. Lecz może Kerboga trzyma go roz-

myślnie z dala od walki? Na tę myśl dumnemu emirowi krew bije na lica.

A Kerboga istotnie posyłał już dwóch gońców. Gdy uderzenie Kilidż-Arslana zawiodło, pchnął po dwakroć do Ahmeda rozkaz uderzenia z boku na lewe skrzydło niewiernych. Lecz w dniu dzisiejszym wszystko działa na korzyść Latyńców. I przyroda, i zwierzęta, i tak zwany „ślepy traf". Ślepy traf zrządził, że pierwszy z posłańców dostał się między walczących i zginął, a drugiego przygniótł koń, gdy zwałił się przeskakując skalną rozpadlinę. Obaj nie doszli do ibn Meruana.

Siny z gniewu Kerboga posyła trzeciego.

•— W imię Proroka nacieraj!

Trzeci goniec dostaje się do Ahmeda, ale na skuteczne uderzenie już za późno. Boemund zdążył zabezpieczyć się z tej strony nakazując Flandryjczykowi zająć stanowisko pomiędzy wzgórzami. W wąskim przejściu łatwo zatrzymać wojsko czas dłuższy.

Kerboga patrzy z osłupieniem na to, co się dzieje na błoni. Oczekiwane zwycięstwo niechybne, niewątpliwe, przesądzone, zaczyna wyglądać na klęskę. Jego klęskę! Niezwyciężone pułki świetnej jazdy nie mogą rozbić nieprzyjaciela, posuwającego się piędź za piędzią jak chrześzcząca zwarta masa. Daleko, daleko ścielą się dymy dogasających traw, których podpalenie nie uratowało Kilidż-Arslana przed zjadłością Franków; daleko, daleko niewidoczne już rozbitki pysznej armii byłego sułtana Nicei. Dosiadłszy zdobycznych koni, Latyńcy pędzą za nimi, niepomni zmęczenia i głodu. Iście, nie są dzisiaj ludźmi śmiertelnymi!

Unosząc w górę Włócznię jak monstrancję w czas procesji, Ademar de Monteil idzie naprzód współprzytomnie. Tonie w poczuciu cudu, w świadomości dokonywania się wokoło rzeczy niepojętej.

Obok czujny Walter Bez Mienia, Bartłomiej i Piotr. Piotr, co niegdyś lękał się bitwy, tak że drwiono z niego posyłając go do bab, dziś, porwany jak wszyscy, ani dba o strzały świszczące nad głową. Podobnie kobiety. Umieszczono je w środku szeregów, gdzie nie mają nic do roboty, ale sprawiają się mężnie.

Widząc, że na Kilidż-Arslana nie ma co liczyć, a Ahmed ibn Meruan nieprędko wyrąbie sobie przejście przez szeregi Franków, Kerboga posyła ostateczną stawkę: słonie. JVIa ich dwa. Dość młode jeszcze, nie wyszkolone, płochliwe. Nie brały dotąd ni razu udziału w prawdziwej bitwie, zaprawiane dopiero do boju. Lecz chwila jest taka, że nie wolno się

wahać. W wieżyczkach umocowanych na grzbietach już siedzą ludzie zbrojni w łuki i oszczepy. Kierownicy zajęli miejsca między uszami olbrzymów. — Ahuu! Ahuu! Naprzód! Dwie ruchome twierdze, szare jak złom skalny, ruszają między szeregami rozstępującymi się skwapliwie. Wielkie uszy unoszą się i opadają niespokojnie, małe oczka błyskają dziko i podejrzliwie.

— Ahuu! Ahuu! Naprzód!

Krzyk przerażenia wśród Latyńców. Wrażenie, wywołane pojawieniem się słoni, przechodzi najśmielsze oczekiwanie Kerbogi, równe jest wrażeniu, jakie na jeździe Kilidż-Arslana uczyniła lwica. Żaden z krzyżowców nie widział nigdy słonia, a mało który słyszał o jego istnieniu. Nieznane potwory, miażdżące wszystko po drodze, wydają im się czymś nad pojęcie straszliwym. Strwożeni ludzie cofają się, tłoczą, mieszają, jeszcze chwila, a los się odwróci zmieniając zwycięstwo w porażkę.

Szare potwory nadbiegają ciężkim truchtem, od którego ziemia drży i stęka. Nie! Nikt nie wytrzyma zetknięcia się z nimi! Daremnie biskup nie chce się cofać, wysuwając świętą Włócznię. Wierny Walter pociąga go za ramiona w tył. Rycerze rozbiegają się na boki ustępując z drogi. Gdy w otwarty w ten sposób szlak w ślad za słońmi wpadnie jazda muzułmańska, nastąpi koniec krzyżowców!

Z trudem, z wysiłkiem, Jastrzębiec, syn G¹niewa, przebija się naprzód przez cofające szeregi.

— Stać! Stać! — krzyczy. — To nie czart żaden! To zwierzęta! Słonie! Elefanty! Ubijem je snadno.

Ale nikt nie zwraca na niego uwagi. Popłoch ogarnia już najwaleczniejszych.

...Elefanty. W oczach zdążającego tuż za Jastrzębcem Imbra-ma staje dom i opat Gwido prawiający coś o tych potworach. Juźci, tych właśnie! Wielkie jak chata... Trąba od nosa wisi aż do ziemi... W pogańskich krajach się lęgną... Jastrzębiec praw. Nie czarty to, ino zwierzęta...

I gdy spłoszone szeregi rozlatują się, spychają wzajemnie w tył, oni dwaj prą przeciw prądowi.

Najbliżej obu potworów. Celnym rzutem ostrej, lekkiej włóczni saraceńskiej z pobojowiska podjętej Jastrzębiec trafia pierwszego słonia w miękką skórę fałdującą się pod przednią łopatką. Z groźnym sapnięciem ukłuty słoń zwraca się w tę stronę, a wtedy czekający na to Ostój drugim miotem puszcza nową włócznię prosto w oko zwierzęcia. Trafiał! Z rykiem bólu i złości słoń

rzuca się w tył, tratuje swoich. Skacze jak szalony. Wieżyczka na jego grzbiecie trzeszczy, przechyla się z boku na bok. Daremnie kornak usiłuje zmusić rozwścieczonego, by szedł dalej.

— Powiadali mi Arabowie —• mówi Jastrzębiec zdyszczonym głosem do Imbrama — że jeśli ranić

słonia w oko albo w trąbę, to zaraz zawraca... I bacz, prawda! Żebyż jeszcze dopaść tamtego!...

Lecz niełatwo to wykonać. Fala ludzka zepchnęła ich obu w bok. Znajdują się w ogniu walki. Tuż za słońmi pcha się hurma Saracenów wyjąc i siekąc. O to im właśnie szło. O rozerwanie szeregu.

Wprawdzie zwierz z wybitym okiem cofnął się, lecz drugi posuwa się naprzód. Ryk towarzysza podrażnił go, uczynił złośliwym i podejrzliwym. W dodatku ktoś go kolnął z tyłu dzidą. Zeźlony rusza w przód spieszniej, depcząc ludzi, łomocąc trąbą uniesioną w górę. Raz po raz opuszcza ją, chwytając kogoś w pól i ciska za siebie lub gniecie powalonego nogami. Miękką miazgę wbija w ziemię. — To Lewia-tan! — krzyczą wokoło ludzie z przerażeniem i cofają się, tłoczą, pierzchają...

Ostawiając Jastrzębca i Zbyluta walczących z dziesięciu Saraceni naraz, Imbram zdąży zaciekle przez tłum, aby wyprzedzić słonia, zająć mu od przodu, jak mówił Ostój. Nie dba, że roztrąceni myślą, iż temu rycerzowi spieszą uciekać od nieprzyjaciela. Mimo wysiłków jednak nie może nadążyć. Szary grzbiet z ruchomą twierdzą wieżyczki faluje nad szeregami. Toruje sobie drogę, którą natychmiast wypełniają Saraceni...

Już dotarł środka oddziału. Już sięga gromady kobiet. Te będą uciekać od razu, przyczynią się do ostatecznego rozgro-mu. Lecz nie! Zbyt przerażone, by się ruszyć z miejsca, tknięte trwogą jak bezwładem, niewiasty padają na kolana i poczynają wrzeszczeć wniebogłosy. Krzyczą chórem tak

przeźraliwym, cienkim i dojmującym, że słoń na jedną chwilę zatrzymuje się, z niepokojem nastawiając uszy. Ta jedna chwila wystarczy, by Imbram zdołał na koniec utorować sobie drogę, rozepchnął niewiasty i znalazł się tuż przy potworze. Czy to nie potwór Kuchulin, a on nie dobry podczaszy? Siedzący na grzbiecie ludzie rzucają weń oszczepami, lecz bez skutku. Jest za blisko. Nim przynaglone przez kornaka zwierzę ruszy z miejsca, rycerz dopada, błyskawicznym ruchem wznosi miecz, tnie z całej siły po trąbie i przecina ją jak łądygę chmielu. Obcięty koniec upada niby martwy wąż na ziemię. Z rany bucha struga krwi. Oszałały z bólu, zdziczały zwierzę zawraca w tył, sikając w górę posoką. Tłoczy, tratuje, miażdży, rozbija. Wrzask trwogi na jego drodze. Jednooki puszcza się za nim. Już nic nie uratuje Saracenów!

Gdy słoń bez trąby wpadłszy do obozu zaczepia przekrzywioną wieżyczką o bramę, zwala ją za siebie, płacze się w liny, belki, podnosi z rykiem, z pasją gniecie ludzi, jakich dopadnie, pozostały półślepiec mija obóz, pędząc wprost przed siebie. Na jego drodze na wzgórzu majaczy wielka zielona chorągiew. Sadzi na nią jak byk na czerwonej płachtę. Zebrani na wzgórzu wodzowie, z emirem Kerbogą na czele, uciekają w popłochu. Uciekają niesławnie przed własnym swoim słońciem. Niechają chorągwi, buńczuków, byle ująć rozszalałemu zwierzęciu. W głowie Kerbogi majaczy słowa matki, Hanum Baraby, nieszczęśliwej wróżki. O, czemuż jej nie usłuchał?!... „Z grodu buchnął dym, a dym przemienił się w drzewo zniszczenia Zakkum, a listowie jego legło na białych turbanach...” Widziała go pohańbionym... Iście, czyż jest gorsza hańba niż ucieczka i to nie przed człowiekiem, lecz nierozumnym bydłem?... Czemu, czemu nie usłuchał?... Konie pędzą. Rozszalały słoń goni. Wieżyczka na grzbiecie skacze, chyli się na boki jak łódź w czasie burzy. Ludzie z niej wypadli, potrzaskali się o skałę. Kornak, półżywy z trwogi, trzyma się jeszcze kurczowo, sam nie wiedząc, co lepiej: zsunąć się i zginąć pod nogami słońcia czy czekać, aż go skażą na śmierć w mękach za stratowanie emira? I tak pędzą dudniącym cwałem. Na południe od Antiochii spotykają się niechwalebne drogi sułtana Kilidż-Arslana i emira Mossulu, Kerbogi.

W tymże czasie w grodzie po zawziętym uporczywym boju Rajmund St. Gilles zatyka swoją chorągiew na szczycie cytadeli. Dżagi Sjan z kilkunastoma niedobitkami uciekł podziemnym chodnikiem, wmieszał się w tłum walczących i szczęśliwszy od emira i sułtana poległ mężnie, jak przystoi wyznawcy Proroka. Nikt o nim nie wie. Dopiero nazajutrz, przy obdzieraniu trupów na pobojowisku, pozna go jakiś Syryjczyk i odrąbana głowę przyniesie Boemundowi.

Kto wie jednak, jak obróciłyby się jeszcze losy bitwy, gdyby dostęp do opuszczonego obozu był otwarty i ludzie mogli się rzucić do jądła. Ahmed ibn Meruan miałby wówczas nietrudne zadanie pomścić na rozproszonych porażkę obu wodzów. Lecz okaleczony słoń, zaplątany w bramie u wejścia, stoi niby stróż, tupiąc i miotając się. Ryczy w przedśmiertnej trwodze słabnącym głosem. Póki żyje, żaden z Latyńców nie odważy się wejść do obozu. Dzięki temu całą siłę obracają na walkę z Ahmedem. Widząc beznadziejność położenia, obskoczony ze wszystkich stron, emir palestyński cofa znacznie uszczuplone siły ku Aleppo, pocieszając się tym, że wstyd za przegraną bitwę spadnie na Kerbogę, a nie na niego... Bądź, co bądź on, Ahmed, wycofuje się z pola ostatni...

Słońce zaledwie przechyliło się ku zachodowi. Bitwa jest już dokonana. Niecały dzień wystarczył, by unicestwić, rozproszyć świetną armię Kerbogi, rozbić ją przez spieszonych, wynędzniałych głodomorów...

Toteż kronikarze łatyńscy nazwą jednogłośnie bitwę pod Antiochią cudem wiekopomnym. Cudem świętej Włóczni, którego rocznica i oktawa rocznicy będą uroczyscie w ciągu wieków przez Kościół obchodzone, a rozważni, sumienni kronikarze arabscy przychylią się również do mniemania, że w bitwie tej wzięty udział siły zaświatowe.

...Że Frankowie pobili naszych — napiszą oni — stało się za przyczyną szatana, który tchnął w nich swą siłą niemożliwą do pokonania przez ludzi. Cóż mogło zdziałać najprzedniejsze męstwo, skoro nawet dzikie bestie wspomagały giau-rów?...

...Gdy uniesienie opadnie, powraca w swe prawa — głód. Nagle omdlali ludzie ostatkiem sił wloką się do obozu. Czeka na nich rajem obfitości. U wejścia leży ściervo słońcia, niestraszne już nikomu. Przyglądając mu się rycerze wspominają, że wszakże na targu w Bizancjum widzieli zwalone na ziemię kły takie same, jak te, co sterczą z rozwartej pa-szczęki. Mówiono im wtedy, że to zęby słońcia. Ot, jak zapomnieli! Gdyby nie polscy rycerze, strach pomyśleć, co by było. Nie ukrywając, pierzchali już jak zające.

...Jeść! Jeść! Na koniec jeść! O niczym nie gadać, o niczym nie myśleć, tylko jeść. Jedzenia wszędzie

mnóstwo. Mięso, chleb, oliwa, ryż... Lecz ludzie tłoczą się przede wszystkim tam, gdzie przy stertach paszy stoją długimi rzędami dojne krowy i kozy... Mleko!... Cudowny pokarm! Świeże mleko, błogosławiony napój, wprost z dobrych zwierzęcych trzewi płynący... Zjadacze padliny i trupów nie sądzili, by dane im było jeszcze kiedy w życiu pić — mleko. Ze łzami radości przypadają do dójeł krowich cystackając z nich odrodzenie, przytulają się do ciepłych wymion niby do źródła żywota. Po trzy, cztery głowy naraz cisną się u wymion krowich, po dwie u kozich. Zdziwione zwierzęta patrzą na dojących cierpliwym wzrokiem.

Mleko białe, ciepłe, tłuste, kojące spływa po wargach, bulgoce w gardle, wypełnia powoli zaschły skurczony żołądek. O, rozkoszy niewypowiedziana! O, niepojęta radości! Głośne ssanie, cmokanie, mlaskanie staje się hymnem dziękczynnym ciała, najgorętszą modlitwą całego jestestwa. ... Leżeli na barłogu grzeszni i nędzni, umierający jak Łazarz, sponiewierani, opuszczeni jak Hiob... Czuli się trawą zbytęcną, odrzuconą, by pójść w ogień... Biodra ich wyschły od narzekania, struchlały kości. Byli przedmiotem pośmiewiska i hańby... A oto w jeden dzień Bóg wszystko w chwałę przemienił... Bartłomiej leży na trawie ssąc długą, wyższą od niego zieloną łądygę. W obozie podobnych znajduje się cała sterta. Jastrzębiec pokazał je rycerzom, mówiąc: — Jedzcie, słodkie, pogany nazywają to trzcina cukrową. Nie bójcie się, nie trucizna...

...Spróbowali. Istotnie, słodkie jak miód.

Bartłomiej napił się już koziego mleka — za dużo — wymiotował z rozpaczą, napił się drugi raz, już ostrożnie, mniej, teraz leży w cieniu, gryząc pszenny placek i dudłąc słodką jak miód trzcina. Chleb i słodycz przeżuwa powoli, z rozkoszą. Zwiotczałe dżiąsła, mięśnie szczęk, każda tkanka z osobna nasyca się pomału, powraca do życia i cieszy.

A dusza? Dusza Bartłomiejowa rozpływa się w błogości nieznanej, niewypowiedzianej, cisnącej łązy do oczu. Chciałaby dusza Bartłomiejowa przestać istnieć, rozsunąć się z rozkoszy tchem, zapachem jaśminowym, roztopić się i popłynąć gdzieś pod stopy Pana. Rozpylić się z wdzięcznej miłości.

Umrzeć teraz, w chwili niewysłowionej radości, gdy w jednakim szczęściu zlewają się serce i ciało...

Uroczysta procesja zdąża ku grodowi niosąc z powrotem świętą Włócznię na należne jej miejsce w ołtarzu. Biskup trzyma ją oburącz, jego samego podtrzymują dwaj rycerze, bo siania się z trudu i wzruszenia. Co chwila w wysiłkiem podnosi ramiona i błogosławi Włócznią wszystko wkoło. Na cytadeli wolnego na koniec miasta powiewa chwalebny znak pana Tuluzy, na murach błyszczą purpurowa chorągiew Ta-rentu. Za biskupem ciągnie rycerstwo, już konno, tak jak to sobie rano zamysłali; za rycerzami — niewiasty. Te czują się bohaterkami dnia, głównym narzędziem zwycięstwa. Czyż nie przed nimi zawrócił Lewiatan? Wzywały wielkim głosem pomocy Niebios i Niebo wezwanie ich usłyszało. Śnieżystym gronem zjawiły się nad szeregiem święta Agata i święta Gertruda... — Nie! — prostują inne — święta Katarzyna i święta Eustochia z matką Paulą... I święta Symironia też! I Małgorzata! I Genowefa!..., Nie dziwota, że straszliwy smok Lewiatan stanął przerażony. Zawracał już, gdy go polski rycerz okaleczył...

Rycerze nie są skłonni przyznać białkom zasługi zwycięstwa, lecz biskup uśmiecha się pobłażliwie i radośnie:

— Ostawcie je — powiada — może i one mają słusność. Wszystko, co się dzisiaj działo, było jednym wielkim cudem.

Rozdział czwarty

MARNOŚĆ CZŁOWIECZA

W obozie emira Kerbogi znajdują się zapasy żywności mogące wystarczyć dla całej armii łatyńskiej na pół roku co najmniej. Oprócz zapasów skarby przechodzące wszystko, co Łatyńcy dotychczas spotkali. W wielkim namiocie dowódcy piętrzą się półmiski i talerze złote pokryte kosztowną emalią, czary kryształowe, dzbany z rzadkiej porcelany nigdy dotąd na Zachodzie nie widzianej, kindzały o rękojeści wyrzeźbio-nej z jednego szmaragdu albo rubinu, kielichy z bursztynu; zwierciadła stalowe, oprawiane brylantami; pierwszy raz oglądane parasole, chroniące głowy od słońca; cudowne zbroje z siatki dzierganej tak misternie, że dają się związać w palcach jak jedwab, przeciągnąć przez otwór strzemięcia, a odporność ich nie ma granic; tarcze, sadzone koralem, perłami, bezcenne szlomy i szable. Niezliczone ilości kobierców, mis, kotłów srebrnych, kosztownych uprząży i wozów.

Znajdowała się tu również obficie zaopatrzona apteka, pełna nie znanych Łatyńcom leków, ziół i narzędzi chirurgicznych ze złota i przedniej stali, oraz wcale pokaźna biblioteka zawierająca bogaty zbiór map. Zarówno jednak książki i mapy, jak lekarstwa rycerze kazali spalić co szybciej, zanimby się biskup, którego grzeszną

słabość do pogańskiej wiedzy znano, zdążył o nich dowiedzieć.

Trzecia część olbrzymiego namiotu-kasztelu przeznaczona była na harem emira. Tu panował największy zbytek. Kosztowne klatki jednak były puste, eunuchowie strzegący haremu zdążyli zbiec zawczasu z niewiastami.

Oglądając wykwintny przepych komnat Tankred mimo woli myślał o Dżurisz, a równocześnie o Idzie. Dwie kobiety, które zajęły trwale jego młodzieńczą wyobraźnię. Jakże niepodobne do siebie, dwa przeciwieństwa, dwa bieguny kobiecości. Dziwne ich losy: Dżurisz — kobieta haremu — przebywa teraz w Bizancjum; Ida, dumna Łatynka, w takim może jak ten oto, haremie... Jak się czują w obcych warunkach, czy żyć

potrafią?... Idą... Osobliwa kobieta... Mówiła zagadkami, które Tankred pamięta dobrze, choć właściwego ich znaczenia jeszcze nie odgadnął.

Zamyślił się nad nimi i nie zdziwił zgoła, gdy w jednej z komnat napotkał rycerza de Hainaux. Wydało mu się rzeczą naturalną, że obaj myślą o tym samym, i że ta myśl przywiodła ich tutaj.

Mąż Idy był siwy, zgarbiony. Bezpośrednio po nieszczęściu litościwa gorączka trzymała go parę niedziel w nieświadomości; gdy ozdrowiał, nie odebrał sobie życia licząc, że straci je w bitwie. Starał się o to jak mógł, lecz życie najuporczywiej trzyma się tych, którzy nim gardzą. Nie zginął w żadnej potyczce, omijały go strzały i cięcia. Chodził po świecie jak widmo żyjące wbrew woli. Nie mówił nigdy o Idzie, zresztą w ogóle nie rozmawiał z nikim. W ostatnich miesiącach głód osłabiający wszystkie uczucia ulżył nieco jego mące. Oczekiwana śmierć wydawała się tak nieuchronną, a życie otaczające tak strasznym, że myślał chwilami bluźnierczo, iż lepiej w haremie niż tu, między chrześcijanami. Lecz śmierć nie przyszła, głód i nędza zmieniły się w zwycięstwo olśniewające, niewiarogodne, zupełne. Ludzie wokoło płakali z radości, z dziękczynnego uniesienia. I stało mu się źle, źle, gorzej. Jego troska nie zmieniła się w wesele, odżyła jeszcze boleśnieszka, jeszcze bardziej żrąca.

— Czy wszystkie haremy podobnie wyglądają?... — zwrócił się pytająco do towarzyszącego Tankredowi Jastrzębca.

- U bogaczy zapewne — odparł tenże — jeno że tu nie ma okien, a w domach są, opatrzone w kraty...

— Jestli możliwość ujrzenia niewiast sułtana?...

Jastrzębiec spojrział ze zdziwieniem na pytającego. Nie znał żalosnej historii rycerza de Hainaux, gdyż zniknięcie Idy miało miejsce jeszcze przed jego ucieczką z niewoli.

— Chyba nie — odparł. — Niewiasty haremowe widuje tylko sułtan i rzezańcy. Czasem poniektóry śmiałek chełpi się, że dojrzał je z dala, gdy zażywały wczasu w ogrodzie, ale to najczęściej bajki...

— I nic, nic nigdy o nich nie wiadomo?...

- A nic. Najwyżej z pieśni... Pieśni o niewiastach sułtańskich jest dużo. Niektóre piękne... Poganie miłują wielce śpiew i gędźbę... Jest ci więc jedna pieśniczka, którą zapamiętałem, o sułtanie Hamdanidzie i jego niewieście, brance greckiej, Irenie...

— Była już taka?! — zakrzyknął nieswoim głosem, de Hainaux.

— Pono była. Pieśniczka tak się zaczyna:

...Hamdanida, pan Aleppo, był waleczny i piękny. Najpiękniejszy, najwaleczniejszy z wiernych... Miał trzysta żon... Ale ukochaną — jedną. Kto był ukochaną? Greczynka chrześcijanka była ukochaną... W jasyr wzięta, panią uczyniona... Panią i pierwszą...

— A ona jego miłowała!? Mówcie!

— W pieśni powiadają, że miłowała — odpowiedział Jastrzębiec coraz bardziej zdziwiony, bo de Hainaux schwywszy się oburącz za głowę wybiegł jak nieprzytomny z namiotu... Miłowała... Miłowała... Sułtan czy kalif wywyższy na pewno Idę. Przecież podobnej nie znajdzie, chociażby zszedł cały świat... A ona? Czy nie pokocha go, jak branka grecka pokochała Hamdanidę?... Był waleczny i piękny... Sa-raceny przeważnie są piękni... A ten zbytek!... Niewiasty są wrażliwe na bogactwo otoczenia, na wykwint stroju, klejnoty... Może więc i ona... Idą!...

— Boże! Boże — łkał bezgłośnie — zabierz mi życie, zabierz pamięć, bo oszaleję, bo pocznę bluźnić, na wiarę pogańską przejdę!... Ja już nie zdzierzę... Nie mogę!...

Jastrzębiec mówił na radzie:

— Wypytałem dokładnie jeńców, zanim ich ubito. Dwóch było znaczniejszych agów, którzy co nieco wiedzieli. Więc, że do Jeruzalem droga jest wolna, bo Kerboga ściągnął wszystkie siły pod Antiochię, nieznaczone tylko załogi po twierdzach zostawiając... Większe posiłki mogłyby nadejść dopiero z Egiptu lub Persji, ale to długo trwa. Mówili też, że Kerboga winien porażce przez to, że się spóźnił... Mieli tu być o miesiąc wcześniej... — Sam Iblis by wam nie pomógł — prawil ten aga — gdybyśmy was byli pod murami zaszli, a nie już zamkniętych w grodzie... Ahmed ibn Me-ruan cięgiem przynaglał, ale Kerboga przez miesiąc Edessę daremnie oblegał... Na koniec musiał oblężenia poniechać i z niczym odstąpić, szczególnie że Dżagi Sjan gońca za gońcem słał...

— Któż się tak w Edessie bronił?
— Abba, czyli król, Baldwin z waszych podobno rycerzy...
— Baldwin!? — wykrzyknął ze zdumieniem Godfryd zrywając się na równe nogi.
— Tak aga mówił. Baldwin z łatyńskich rycerzy... Zaniemówili wszyscy z zadziwienia. Więc zaginiony od ro-

ku prawie Baldwin, o którym myślano, że przepadł na pustyni, króluje sobie w Edessie i stawia czoło potędze Kerbogi?... Cuda, cuda rzeczywiste! Jak się tam dostał? Dlaczego nie daje znać?!

— Co więcej słyszeliście o nim?! — gorączkował się Godfryd.
— Więcej nic nie wiem, bom się osobliwie nie pytał... Jeńcy może by co rzekli, ale ich ścięli.
— Więc już drugie księstwo łatyńskie w Azji — uśmiechnął się z zadowoleniem Boemund.
— Drugie...? A które pierwsze?
— Tutejsze, moje...
— Baldwin króluje w Edessie — powtarzał półgłosem Godfryd niewiarogodną wiadomość. Brat stracony, oplakany, którego wspomnienie było nieustającym wyrzutem sumienia, ciągłą bolesną zgryzotą... Żyje i panuje! Jemu zawdzięczają opóźnienie się Kerbogi!... Nie dał dotąd znać o sobie, czyli że chowa w sercu stary żal... Jak mu wyjaśnić, wytłumaczyć... Jak go zobaczyć?...
Ocknął się z zamyślenia, bo tymczasem Rajmund St. Gilles wszczął gwałtowny spór z Boemundem.
— ...Nie chcę słyszeć o żadnym, księstwie! Dość tych krętaństw! — krzyczał grabią Tuluzy waląc pięścią w stół — nie zdam cytadeli, nie ustąpię wcześniej, aż wyrzekniecie się grodu! Nie będę popierał krzywoprzysięstwa!
— Wszyscy przystali, że Antiochia będzie moją — odparł Boemund — a teraz wbrew wszelkiej uczciwości rycerskiej prawa mi zaprzeczacie...
— Uczciwości! Wy o niej mówicie? — roześmiał się grabią szyderczo.
Godfryd potrząsnął głową.
— Przystaliśmy rzeczywiście — stwierdził bezstronnie — przystaliśmy nie tając co prawda zdziwienia, że książę Ta-rentu bierze tak ciężki grzech na swoje sumienie...
— Zdziwienie i troskę o moje sumienie ostawcie mnie i mojemu spowiednikowi.
- Ale mnie nie było, gdyście na to przystawali! — zawołał Rajmund. — Nie byłbym się zgodził i dziś się nie zgadzam!
— Co wszyscy zgodnie uchwalili, jeden nie może obalać!
— A może, bo cytadela jest moja i nie oddam jej!
— Na miły Bóg — mówił biskup — niech przepadnie to miasto razem z cytadelą, jeśli spór o nie miałby nas znowu zatrzymać! Szlachetni panowie! Ustąpcieź sobie wzajemnie!

Słyszeliście co ino, że droga do Jeruzalem wolna! Nieprzyjaciel pierzchł! Bóg okazał nam cuda tak wielkie, że owe doznane przez Mojżesza niczym w porównaniu... Czyżbyście już o nich zapomnieli, osobiste kłótnie wysuwając, gdy prawie stoimy u celu!?

—• Nie zapomniałem niczego — odparł Rajmund bełkocząc z przejęcia — i dlatego właśnie nie pozwolą krzywoprzysięstwem obrażać Miłosiernego naszego Zbawiciela... Ja An-tiochii nie chcą dla siebie, niech ją bierze basileus, jak przy-sięgalim, Guiskardczykowi cytadeli nie zdam!...
- Oto nagroda — roześmiał się gorzko Boemund. — Gdyby nie ja, dotąd nie zdobylibyście grodu...
Stojących pod murami wygniółby Kerboga... Dość trudu kosztowało mnie opanowanie twierdzy...
— Wielki mi trud! Podkupienie jednego renegata!
— Czemuż nikt inny poza mną tego nie zrobił?... Zresztą upewniłem się przedtem: jeśli wprowadzę was do Antiochii — będzie moją... Wprowadziłem...
— Wolne żarty! — zawołał Rajmund. —• Po tym wprowadzeniu bylibyśmy w murach dawno zdechli z głodu, gdyby nie cud świętej Włóczni... Włócznia uratowała nas i miasto... A stało się to za sprawą mojego człowieka, Prowansalczyka z Marsylii. Niech mnie piorun spali, jeśli jest inaczej.
— Ej? Więc szlachetnemu Marsylczykowi zawdzięczamy ocalenie?! A czy nie temu wypadkiem, że ja objąłem naczelne dowództwo, że ja rozumnie pokierowałem natarciem, i że po raz pierwszy słuchaliście mnie jednego?!
—• Ocaliła nas święta Włócznia objawiona cudownie Bartłomiejowi...
— No, z tym cudownym objawieniem...
— Dość! — zawołał biskup, wstając oburzony. — Dość! Zamykam radą na dziś. Uspokójcie wprzód wasze umysły, panowie! Z przerażeniem słyszę, że w niechrześcijańskiej zajadłości

poczynacie Bogu zaprzeczać tego, co na oczach wszystkich jawnie się dokonało... Nie wstyd wam?! Dość!... Co rzekną te rzesze czekające hasła ruszenia w dalszą drogę posłyszawszy, że się tutaj o nędzne dobra doczesne spieracie?!

— Nie stoję o dobra... nie chcę nic dla siebie — bełkotał Rajmund — jeno mi chodzi o uczciwość rycerską i prawdę...

Z cytadeli nie ustąpię...

— Mnie też chodzi tylko o uczciwość i dotrzymanie danego słowa. Antiochii nie oddam — odparł Boemund wychodząc.

Nie widząc nadziei szybkiego załatwienia sporu wynikłego

między oboma wielmożami biskup ogłosił wojsku, że wobec letnich upałów odkładają dalszy pochód do jesieni. Mówił na pozór spokojnie, lecz głos łamał mu się żalem bezsilnym. Wojsko przyjęło wiadomość niechętnie. Wszyscy chcieli iść, zaraz, jak najprędzej, zanim ostygną z uniesienia, ze świętego zapału! Droga pono wolna! A cóż upały? Zdążyli do nich przywyknąć! W zeszłym roku w najgorętsze miesiące szli przez bezwodne pustynie i przeszli... Teraz zabiorą z sobą zapas wody...

Wielbłądów mają dość, niewrażliwych na pragnienie... Nie tracić czasu! Iść!

Ach, mieli słuszność, mieli świętą słuszność, i biskup potakiwał w duchu każdemu ich zdaniu. Prosty rozsądek nakazywał tak uczynić, wyzyskać zwycięstwo i lęk, jaki padł na Saracenów, nie czekając, aż się zbiorą na nowo i trzeba będzie wszystko zaczynać od początku...

Tak myślał, lecz głośno zbijał własne swoje racje dowodząc uczenie, że może lepiej istotnie poczekać... odpocząć... Jesienią ruszą niechybnie.

Ludzie pomruczeli zrazu, ale zgodzili się rychło. I rozpoczął się nowy okres sytej, dostatniej beczynności. Spędzano czas jak w zeszłym roku, lecz bardziej beztrosko, gdyż wówczas za murami siedzieli wrogowie. Dziś wrogów nie ma. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, nie potrzeba stróżować niczego. Wojsko je, wypoczywa i żyje z dnia na dzień, czekając nie wiadomo na co.

Ino patrzeć, gdy znęcone lenistwem i bogactwem wrócą zeszłoroczne grzechy. Piękne Syryjki już się przepytują, już przysyłają niewolników, by obejrzeni opuszczone pałace, czy nie zniszczone, czy zdadne do mieszkania. Robotnicy odnawiają spiesznie uszkodzone wodotryski, usuwają obłamane marmury. Ino patrzeć, jak wróci łońskie bytowanie z jego ponętami, wygodą, rozpustą. Własne łatyńskie niewiasty od-karmione i wyprzystojniałe mniej już też czasu poświęcają kościołowi. O cudownych zjawach nie słychać. Niedługo we snach będą im się jawić raczej silni męże niż święta Katarzyna, święta Małgorzata, święta Paula, pobożna wdowa, i córka jej święta Eustochia.

Przeżyte tak świeżo wstrząśnienia, niedole, cuda zacierają się szybko w pamięci, wydają się już bajką, nie rzeczywistością. Ademar de Monteil patrzy na ten proces z uczuciem gorszym od rozpacz.

— Strzeżcie się — powtarza — by Bóg znów was nie po-

karzał za niegodziwość, z jaką lekce o Jego łaskach zapominamy! Strzeżcie się! Drugi raz Bóg cudu nie ześle!

Tak gromiąc, myśli w duchu, że cóż zawinili ci prości? Chcieli iść. Gdyby od nich zależało, Grób Świąty byłby już może wolny, w ręku chrześcijan... Że teraz w lenistwie i bogactwie grzechy czepiają się ich jak wszy nędzarza, cóż winni? Inaczej być nie może. Lenistwo koroną Lucypera, matką wszelakiego zła... Siedemdziesiąt tysięcy ludzi jest skazanych na leniwe próżniaczenie z powodu kłótni dwóch wodzów... Wodzowie! Oni godni kary, oni! Wodzowie świętej wyprawy! Szczególny żal czuł do Rajmunda, którego lubił i cenił za prawość. Gdybyż można było zwalczyć diabelski upór tego człowieka, czyniący go głuchym na wszelkie błaganie!

Niejednokrotnie Ademar rozważał, czyby nie zostawić obu skłóconych i ruszyć z pozostałymi?

Okazywało się jednak, że nie ma z kim pójść. Robert normandzki opowiedział się za Boemundem i postanowił doczekać na miejscu załatwienia sporu. Godfryd, widząc, że na razie nie ma tu co robić, zostawił wojsko pod pieczęcią Konona de Montaigu, sam z setką ludzi pojechał do Edessy zobaczyć się z bratem. Hugo był zbyt zadowolony z obecnego trybu życia, by odejść, gdy inni zostawali. Swenonowi Florina kazała popierać Rajmunda. Zostawał więc tylko Flandryczyk i on sam, Ademar. Zbyt mało, by się puszczać w daleką i nieznaną drogę.

Więc klęcząc przed ołtarzem biskup z Puy modlił się o nowy cud, tym razem o cud zniszczenia i grozy, ponowne trzęsienie ziemi, nadejście jakiegoś potężnego nieprzyjaciela, coś co by szarpnęło i ocuciło sumienia. Lecz cud nie nadchodził. Lato trwało upalne, cudowne w niezmaconej pogodzie.

Wokoło panował spokój. Gdzieś daleko rozbici Saraceni, widząc niepojętą bierność Franków, nabierali ducha, gromadzili się, zbierali, łączyli w karne szeregi, które znów trzeba będzie krwawo zwalczać. Lecz do Antiochii nie dochodziło żadne echo tych poczynań...

Gdy strażnik graniczny przybiegł do Edessy z wiadomością, że księżę lotaryński nadciąga w odwiedziny, abba Baldwin ucieszył się szczerze. Pocziwy, stary Godfryd jedzie! Pchnął naprzeciw oddział wspaniale przybranych Etiopów z darami i powitaniem. Sam oczekuje przy bramie w kosztownym stroju, płaszczu królewskim i Thorosowej koronie.

Uśmiecha się z zadowoleniem na myśl, jakie to wrażenie uczyni na bracie. W ogóle czuje się doskonale. Dawno ochłonął z przykrych przeżyć, jest ruchliwy, czynny, wszędzie obecny, gospodarny. Wygląda młodo, oko błyszczące, chód pewny, ruchy sprężyste. Zebrał mocno w cugle Edesczyków, którzy zaprawdę dawno nie widzieli takich rządów! Uczone, wykwinne miasto zamienił w twierdzę bojową, żyjącą pod hasłem wojny zaczepnej. Dzięki temu zdołał powstrzymać i odeprzeć Kerbogę. Toteż choć uczeni narzekają, ludność go uwielbia.

Z serdeczną radością ujmuje w ramiona Godfryda, ścisną mocno, odsuwa od siebie, by nań popatrzeć. Pożal się, Boże! Płaszcz spłowiały, labry wystrzępione, gęba jak u Szymona Słupnika, oczy wpadłe głęboko pod czoło, cera ziemista, przygarbione plecy.

— Nietęgo wyglądasz mój stary — stwierdza pobłaźliwie — nie puszczę cię stąd, aż się trochę poprawisz... i przyodziejesz inaczej...

Godfryd macha ręką przecząco.

— Ależ ja bogactwa i zdobyczy mam moc... Jeno że o to nie stoję... Marność wszystko... Byle to życie jakoś przekoła-tać... Srodze się ucieszyłem posłyszawszy, żeś tu jest... Niedługo rok... Żadnej wieści... Żarło mnie to, gryzło. Bogu dzięki, że dobrze wyglądasz...

— Bo się i dobrze mam! — powiada Baldwin ze śmiechem. Jadą razem do pałacu. Po drodze ludność wita hałaśliwie i gorąco swego abtaę. Baldwin spoziera spod oka, czy Godfryd to zauważa. Ale Godfryd nic nie widzi. Jest zamyślony, spłoszony. Rad by jak najszybciej zawrócić do ostatniej rozmowy z bratem, rozmowy, co ich rozdzieliła, a tymczasem Baldwin zdaje się zupełnie o tym nie myśleć.

Niemniej Godfryd korzysta z pierwszej sposobności, gdy są sami, by do tej sprawy nawiązać.

— Gryzłem się cały rok — powiada — zem ci wtedy nie umiał szczerze odpowiedzieć i wyjaśnić...

— Czego? — pyta Baldwin. Godfryd miesza się i płonie.

— Pamiętasz naszą ostatnią rozmowę... Pytałeś o... A ja... Baldwin zaczyna się śmiać.

•— Ach, te dawne dzieje! Mniejsza o nie... Nie męcz się, mój stary...

- Kiedyż ja to chcę powiedzieć... Tak nagle wtedy odszedłeś... Nie zdążyłem... Są rzeczy trudne do opowiedzenia...

Baldwin kiwa wyrozumiale głową, klepiąc przyjacielsko brata po ramieniu.

— Wiem o tym, wiem... Są rzeczy, które trudno opowiedzieć... Ja sam... Nie wszystko mógłbym ci od razu rzec...

— Teraz opowiem... Posłuchaj...

Ale Baldwin nie jest wcale ciekawy zwierzeń, które brat gotów wyrzucić z siebie z bólem, niby zakrzepły strzęp serca. Pilno mu pokazać Godfrydowi swoją zamożność, obwieść go po grodzie. Co mu te stare wspominki! Gontrana... Niech Bóg jej da wieczne spoczywanie! Zapomniał, że była w ogóle... Gdyby się wtedy ~nie poróżnił z Godfrydem, nie byłby dziś panem Edessy. Więc wszystko dobrze się stało, jak się stało... A ten pocziwiec myślał o tym cały rok i teraz siąka nosem, wyłamuje sobie palce, miesza się i czerwieni... Biedaczyna!

— Jutro o tym pomówimy, dobrze? Teraz powiozę cię przez gród... Widziałeś kiedy gepardy? Mam ich cztery... Do łowów służą... Opowiadaj mi, co z wami... Żeście Kerbogę rozbili, już wiem... Teraz rychło powinniście dojść... Jak będziecie pod Jerozolimą, nadciągnę z moimi wojskami wesprzeć was i ślubowania dotrzymać... A cóż Tankred? Jeszcze na mnie krzywy, że nie wpuściłem do Tarsu podjazdu Marka di Santa Leone? Powiedz mi, że jeśli chce się ze mną potykać, oczekuję go w stolicy mojej o każdej porze... A wiesz? Swatam się z księżniczką syryjską, Oriantą z Meliteny... Pierwsza posłów przysłała... Wdowa, ale niczego sobie... Dzieci może jeszcze mieć kupę... Sąsiednie księstwo do niej należy. W ten sposób cała Mezopotamia będzie moja... Pomyśl tylko! To więcej niż Francja z Prowansją, Burgundią i Normandią razem... Rozumiesz, co za potęga?!...

— Żenisz się... — szepnął Godfryd — a co z tą dziewczyną... z tą, co się o nią Go... twoja żona tak gniewała?... Była w ciąży, gdyś wyjeżdżał...

— Leona? Umarła przy porodzie... Dzieciak też... Pomimo źródła... Bo tu jest źródło Abrahamowe, zapewniające długi wiek... Radzę ci się w nim obmywać, bo bardzo kiepsko wyglądasz... Każę codziennie przynosić wody do pałacu... Co to ci chciałem rzec?... Otóż to źródło skutkuje tylko, kiedy Bóg na to zezwoli, bo Leona kąpała się w nim co dnia, a nie pomogło... Może dlatego, że oni z de Sourdevalem we dwoje... tych starych... To ich sprawka...

— Jakich starych?...

— Prawda, że ty nic nie wiesz... Mój poprzednik, który mi księstwo zostawił, i jego żona... Leona namówiła Pankra-

cego, by ich sprzątnąć... No i nachodzili ją, straszili... Krzyczała nocami, płakała, że zgoła z nią mieszkać nie mogłem... Ja sam z początku nie byłem pewien, czy grzechu nie wziąłem na swoje sumienie, bo dorozumiewałem się, co zamyślają...- I na Pankracego byłem zły... Potem widzę, że niesłusznie. Do niej tylko przychodzili, do mnie nie. Do Pankracego też nie. Ją Bóg pokarał, pokazując najdowodniej, kto winien... Co rad byś najpierw zobaczyć?... Pewnie kościoły? Zobaczysz, jak o nie dbam... Już też nasz Zbawiciel nie może na mnie narzekać... Potem pokażę ci wojsko, a potem gepardy...

Późno już było, gdy Godfryd znalazł się na koniec sam w przeznaczonych dla niego komnatach. Czuł się zmęczony, stary, wyczerpany. Po co tu właściwie przyjechał?... Mimo serdeczności przyjęcia byli z bratem odleglejsi od siebie niż kiedykolwiek. Który z nich miał właściwy pogląd na życie? Który postępował słusznie?... On czy Baldwin?...

Z westchnieniem ulgi ukląkł do modlitwy, jedynego odpoczynku, ucieczki. Ach, móc odejść od życia i zanurzyć się w Bogu całkowicie, niepodzielnie! Dopełnić ślubowania, zobaczyć Grób Święty wolnym i odejść... Godfryd dawno sobie umyślił, że gdy tylko Jeruzalem będzie zdobyta, wróci do kraju, wstąpi do klasztoru jako prosty mnich i tam żywota dokona. Nie postanowił jeszcze, do którego zakonu, chciał tylko, by klasztor wybrany był jednym z tych starych niemieckich klasztorów, pełnych skupienia i surowej ciszy. I byle nie potrzebował piastować w nim żadnej godności!

Byle nie ciążyła na nim odpowiedzialność za niczyje dusze. Dość miał kłopotu ze swoją... Być prostym bratem Godfrydem, najpokorniejszym ze wszystkich, najuboższym, najposłuszniejszym i o niczym nie myśleć prócz o Bogu...

Czy doczeka się tych wyzwoliń, tego szczęścia? Marzył o tym, jak inni marzą o koronie. Może wtedy w niezamąconej głuszy i spokoju potrafi rozgryźć i zrozumieć własne życie, pojąć co w nim było dobre, a co złe...

Rozdział piąty

W KTÓRYM BÓG WIDÓMIE WKRACZA W LUDZKIE SPRAWY

Czas mija. Nic się nie zmienia. Wojsko stoi. Jesień nadchodzi. Cytadela w ręku Rajmunda. Miasto w ręku Boemunda. Obaj dadzą się raczej porąbać, niż ustąpią. Obaj dowodzą swej słuszności.

Książę Tarentu powołuje się na uroczyste zobowiązanie wodzów, oddające mu Antiochię w razie jej zdobycia.

Grabią St. Gilles przedstawia, że zdobycie Antiochii przez Boemunda było zgubną złudą, miasto i krzyżowców ocaliła święta Włócznia, a tę znalazł Prowansalczyk...

...A zatem...

Spór ten wałkują, strzępią, rozpatrują, bez innego skutku jak coraz większe wzajemne rozdrażnienie.

— Na krew świętego Januarego! — mówi zniecierpliwiony Boemund, gdy po raz setny chyba omawiają tę sprawę w katedrze na radzie — przestańmy już mówić o cudzie! Niech grabią St. Gilles powie, co chce w zamian za odstąpienie cytadeli, miasto durzyć siebie i nas bajeczką dla dzieci...

— Ja nic nie chcę! — oburza się Rajmund.

— Co nazywacie, książę, bajką? — pyta biskup ze zdumieniem.

— Ów cud. To dobre dla tłumu, ale tu jesteśmy sami. Żadnego cudu nie było...

— Jak to?! Widzieliśmy wszyscy!

— Coście widzieli? Bartłomiej to zwykły głupiec, któremu się coś ubrdało, sam nie wiedział co... Dość przecie na niego spojrzeć...

— Ależ to, co mówił, sprawdziło się! Włócznia była!

— Podrzuciona...

Ostłupienie obecnych, a krzyk wysoko pod sklepieniem, na chórze. To Bartłomiej. Nie zauważony przez

nikogo, spędza tu codziennie parę godzin, wpatrując się w świętą Włócznię umieszczoną w wielkim ołtarzu. Gdy baronowie zeszli na

i adę, schował się za poręcz chóru. Mimo woli usłyszał wszystko, co mówiono, i drżący, dygoczący z oburzonego zdumienia schodzi na dół. Czego chcą od niego? Mówią, że nieprawda!? A to dobre sobie! W gniewie zapomina o strachu, jakim go, zwykle napawają wielcy tego świata, zapomina, że mogą go posądzić o rozmyślną chęć podsłuchiwanie obrad i ochłostać, a nawet ściąć.

Nic mu jednak nie grozi, gdyż wszyscy uważają jego pojawienie się za opatrnościowe.

— Powiadaj, powiadaj, jak było! — wołają doń.

— Cóż on może powiedzieć? — wzrusza ramionami Boemund. — Przecież to jasne: zwidywało mu się coś z głodu jak każdemu z nas... Przypomnijcie, że co dnia słyszało się o jakimś widzeniu... Niewiasty ciągiem oglądały wszystkie święte... Dziś, gdy każdy syty, nikt żadnych objawień nie miewa... A włócznia, jak już rzekłem, była podrzuciona...

— Nieprawda! Nieprawda! — woła Bartłomiej. Prostuje swą małą postać. Oczy mu się skrzę z gniewu. Mierzy nimi śmiało księcia. Więc tak! Chcą mu odebrać zaszczyt, że święty Andrzej przemówił do niego, nędznego kleroika! Że zeszedł na promieniu z gwiazdzonego nieba! On go wszak widział! Nie raz! Wiele razy! Rozmawiał z nim! A teraz chcą go tej radości pozbawić! Wmawiają jakieś oszustwo!... Byle skrzywdzić biedaka! O, on na to nie pozwoli, nie da się! Tak było, jak mówił, jak przysięgał! Im więcej o tym myśli, tym jaśniej, wyraziściej, niezbitiej przeżywa swoje widzenie. Ogląda je znów przed sobą, jakby to było przed chwilą.

Pada na kolana i bijąc się w piersi krzyczy:

— Ja przysięgam! Ja nie kłamie! Ja widziałem!

— A my ci wierzym — mówi z powagą biskup.

— Ejże! — pyta Boemund złym głosem — czy nie za skoro-opowiada się Wasza Dostojność? Milczałem długo, nie chcąc przódzi o tym gadać. Żeby mnie grabią St. Gilles swym uporem nie zniewolił, nie byłbym nigdy mówił nikomu. Przynaglony rzekę: prawda jest ta, że włócznię ja sam podłożyłem. I na to mogę przysięgać.

Cisza osłupienia. Ademar patrzy na Boemunda zmartwiały. Człowiek to czy diabeł? I czyż możliw^Te, by mówił prawdę?! Więc ten wicher uniesienia, ta pewnoś, ta święta radoś byłyby złudzeniem?! Czyżby cudowne ocalenie leżało tylko w wierze, nie w samym zdarzeniu?!

- Wy, książę, zrobiliście to? — pyta ze zgrozą w oczach,

- Zrobiłem. Widziałem, że się męczą trzeci dzień, nic nie

— Krzyżowcy t. III/1Y

:

znajdując... Podrzuciłem... Starą włócznię, którą dał Piotrowi Kerboga...

— Każdą świętoś musicie splugawić!... — rzuca się Rajmund St. Gilles i urywa, bo przerażony, osłupiały Bartłomiej poczyną krzyczeć obłąkanym głosem:

— To kłamstwo! Kłamstwo! Ja mówię prawdę! Ja włócznię znalazłem tam, gdzie Apostoł powiedział! Nikt nic nie podrzucał! Ja mówię prawdę! Ja w ogień pójdę! W wodę! Ja chcę sądu Bożego!

— Nie wiem, komu *pmdentissimi seniores et milites* uwierzą — odparł swobodnie Boemund — mnie czy temu przy-głupkowi?

— Ależ włócznia zwyciężyła!

— Nie tyle włócznia, co szczęśliwy splot wypadków, a przede wszystkim moja głowa i dobrze rozporządzona bitwa.

— Niemożliwe — zaprzeczył gorąco biskup. — Ręka Boża była w tym! Ja sam czułem! Ta siła, co wiodła, była spoza nas!

— Powtarzam, że sam włócznię przynioś i podłożył...

— Sądu Bożego! Sądu Bożego dopraszam — łkał Bartłomiej. — Na wodę mnie rzućcie! W ogień mnie rzućcie, ale dowiodę, że mam prawo!

Kapelan księcia normandzkiego przychodzi wieczorem do biskupa prosić, a raczej doradzać poufnie, by do sądu Bożego nie dopuszczać. Co z niego wyniknie? Książę Tarentu na pewno mówi prawdę. Całą tę sprawę lepiej zachować w tajemnicy, nie odzierając w oczach tłumu świętej Włóczni z uroku...

— Czy sądzicie, że zgodziłbym się podawać za cud to, co byłoby podstępem? Cała ta sprawa jest potworna, potworna!... Jest wyzywaniem Boga, nadużywaniem Jego Imienia, bluź-nierstwem!

— Jednakże, Wasza Dostojność, skutki podstępu księcia Tarentu okazały się błogosławione, a gdyby tego nie był uczynił?...

— Bóg byłby nas w inny sposób uratował, jeśli wolą Jego było nas ocalić...
Arnuld uśmiecha się nieznacznie.

—• Przypuszczajmy, że Najmiłosierniejszy Stwórca użył księcia Tarentu za narzędzie swej woli i natchnął go myślą nieszkodliwego podejścia... Zło sprawy leży w czym innym: że ten prostak usłyszał, co było tylko dla uszu wodzów przeznaczone, nie dla plebsu! Niewątpliwie wszystkim rozgadał...

;
Idąc tu zauważyłem już, że w obozach aż się gotuje od po-gwarek... Trzeba temu koniec położyć co szybciej...

— W jaki sposób? — zapytuje biskup wrogo.

— Grabią St. Gilles niech ustąpi, a wtedy księżę Tarentu odwoła, co mówił o włócznie, i wszystko będzie po staremu...

— Grabią St. Gilles na to nie przystanie, ani ja nie chcę okłamywać nikogo... Zapominamy przy tym o najważniejszej osobie: Bartłomieju, który chce dowieść prawdy...

— Czego dowiedzie niemrawiec? Zginie marnie i tym bardziej zniesławi włócznie... Bartłomieja trzeba gdzieś wyprawić, schować... Niech siedzi cicho i nie hałasuje, bo o jego skórę chodzi...

— Ależ on jest przekonany o swojej słuszności!

- Ogień go spali razem z jego przekonaniem...

— Ślijcie po Bartłomieja — rzecze biskup z westchnieniem do pacholka. — Boże, cóż za straszna historia. Jak ją rozstrzygnąć, co począć?... Jedyna nić — nawoływał sam siebie — trzymać się prawdy... prawdy...

Bartłomiej przychodzi po chwili. Oczy ma zaczerwienione od płaczu.

— Moje dziecko — mówi biskup z dobrocią •— domagałeś się sądu Bożego. Masz do niego prawo... Zali zastanowiłeś się nad tym żądaniem?... Bo gdy już raz ogłosim, cofnąć się nie Iza... Nie boisz się?...

— Jużci, że nie. Co się mam bać, kiedy nie kłamię?...

— Jesteś tego pewien?

- Jak tego, że jestem chrześcijanin...

— Księżę Tarentu powtarza, że włócznie on przyniósł...

Bartłomiej zaciska pięści. Znowu! Chcą go przerazić, namówić, aby odstąpił... Sami boją się sądu, co i nie dziwota... Księżę Tarentu kłamie myśląc, że prostaczka nastraszy... Nie, nie! Nie nastraszy! Sądu!

— Nie wiesz, co to jest próba ognia — cedzi Arnuld przez zęby — gdy obaczysz, odwagę stracisz... Cofnij się teraz lepiej, póki czas...

— Nie, nie, za nic!

— Więc niech będzie sąd... Wasza Dostojność pozwoli, że odejdę... Dla księcia Tarentu taki obrót sprawy jest korzystniejszy... Prawa jego zostaną utwierdzone... Chciałem tylko przygłupka ratować wbrew woli, ale skoro nie chce, jego rzecz... Co prawda nie chodziło mi o niego, lecz o tłumy, w których lepiej pielęgnować wiarę w cuda, niż ją podważać... Życzę dobrej nocy Waszej Dostojności!

Sąd Boży ma się odbyć na tym samym błoniu, na którym rozegrała się bitwa z Kerbogą. Jest dość obszerne, by pomieścić wszystkich, którzy chcą być świadkami niezwykłego zdarzenia. W mieście nie pozostał nikt. Kto żyw, jest tutaj. Umysły są rozpalone, zdania podzielone. Prowansalczyki jak mur stoją za Bartłojem i świętą Włócznią. Normanowie i Ital-czyki — przeciw. Pośrodku błonia stoją dwa długie sagi drzewa. Sześć łokci wysokie, dwanaście łokci długie, cztery łokcie szerokie, oddalone od siebie o łokieć. Ułożone ciasno ze smolistego suchego drzewa porąbanego na drobne polana tworzą wąziutką uliczkę. (

Ademar de Monteil ma twarz wymęczoną. Sili się na spokój. Nim stopy podpalą, każe zawołać obu kronikarzy. Niech obejrzą, sprawdzą, zmierzają, by nikt później nie mógł dowodzić, że coś było niedokładnie zrobione. Kanonik d'Aguillers ze strony pana Tuluzy, Foucher de Chartres ze strony przeciwnej. Więc uczeni pisarze mierzą, oglądają, zapisują. Gęsie pióra skrzypią.

O parę kroków Bartłomiej odziany w śmiertelną koszulę oczekuje rozpoczęcia próby. Mimo gorąca skóra jeży się na nim dreszczem wzruszenia. Brat Hiacynt przysuwa się, patrząc z uwielbieniem i strachem w twarz przyjaciela.

— Bardzo się boisz? •— pyta szeptem.

— Czego? Wcale się nie boję!...

— Naprawdę?...

— Naprawdę, tylko żeby się już raz zaczęło!

— Ej tam! — wołają groźnie od strony normandzkiej — nie gadać z podsądnym! Jeszcze mu jakie nawięzy podacie!...

Brat Hiacynt odskakuje przerażony. Bartłomiej uśmiecha się bezosobowo i obojętnie. Pytają, czy się boi? Nie boi się! Nie! Przecież nie zełgał! Mówił prawdę! prawdę! prawdę! Nie może mu się nic stać...

•— Zaczynamy już, Wasza Dostojność... — zwraca się błagalnie do biskupa.

— Niech tak będzie. W Imię Boże podpalajcie! Sąd Boży rozpoczynamy!

Z dwóch stron dwu giermków przykładają do drzewa płonące kwacze smołowe. Biskup blady jak ściana bierze z polowego ołtarza świętą Włócznie, owiniętą jak w giezło w cienki, biały jedwab. Całuje ją ze czcią, podaje Bartłomiejowi. Błogosławi ich oboje, oddaje w ręce Bogu Najwyższemu. Bóg ma ogłosić wyrok, Bóg rozstrzygnąć...

A tymczasem drzewo już się rozplomieniło, zajęło od góry

do dołu. Przecież to upalne lato. Wyschnięte szczapy palą się jak smoła. Płomienie trzeszczą, strzelają w górę, na boki. Już zlewają się razem. Oba stosy wyglądają jak jedna płonąca pochodnia. I w to palenisko ma wejść żywy człowiek z do-brawoli? O Boże! Boże! Ludzie cisną się w milczeniu. Woda Orontu pluszcze. Drzewa, na które powłazili ciekawi, skrzypią. Biskup błogosławi Bartłomieja jeszcze raz i obróciwszy go twarzą ku ogniu, popycha lekko w przód... — W Imię Boże, idź!

Bez słowa, z oczyma rozwartymi szeroko, bezprzytomnie, z włócznie wyciągniętą przed siebie, oburącz trzymaną, Bartłomiej wpada w ogień jak w gąszcz lasu. Zniknął. Zawarły się za nim płomienie. Ogień huczy, tryska skrami jakby podsycony. Co za szaleństwo przypuszczać, że ktoś mógłby tędy przejść żywy!?

...Szaleństwo... Nie! Nie! O Boże!...

...Boże!

Ryk tysięcy piersi zrywa się jak burza. Z przeciwnej strony ognia chwiejący się na nogach wychodzi z płomieni Bartłomiej... Oczy ma nieprzytomne, szeroko rozwarłe... Włócznie oburącz trzymaną wyciąga przed siebie tym samym gestem... Włócznie jest owinięta w biały, cienki jedwab... jedwab nie jest osmalony... Nie jest popalona koszula Bartłomieja ani ciało, ani włosy...

Porażeni lękiem, nie wierzący oczom, otaczają Bartłomieja biskup, kronikarze, baroni, Boemund, Arnuld, przedniejsi rycerze... Porywają go w ramiona, podtrzymują, dotykają. Nikt niezdoła jest słowa przemówić... Żar pobliskiego stosu pali im twarze nieznośnie...

...Ciało Bartłomieja jest chłodne, nawet nie zaczerwienione...

Pole trzęsie się od wrzawy. Tysiące cisną się, tłoczą. Już najdalsze szeregi wiedzą o cudzie. Pchają się, by zobaczyć ocalonego własnymi oczami! Ucałować świętą Włócznie, której prawdziwość Bóg tak cudownie potwierdził!

- Sądzę, książę — mówi półgłosem Arnuld do Boemun-da — że lepiej będzie, jeśli na chwilę zejdziemy ludziom z oczu...

Korzystając z tego, że nikt na nich nie zwraca uwagi, wycofują się obaj z placu nieznacznie.

Wrzawa uniesienia rośnie. Ktoś mocniejszy chwycił Bartłomieja, postawił na swoich ramionach, by go tłumowi pokazać. Już inni wyciągają po niego dłonie. Każdy chce się dotknąć,

każdy chce dostać strzęp jego giezła jako relikwię. Wyrrywają go sobie wzajemnie z rąk. Szarpiają. Bartłomiej daje się nieść bezwolnie, zwisa bezwładnie jak wór. Ciężba coraz gęstsza przy nim. Już go unieśli daleko. Prowansalczyki nie chcą pozwolić Normanom dostąpić, wątpicielom, grzesznym niedowiarkom! Nie uznawali świętej Włóczni! Niech się teraz trzymają z daleka! Więc wnet wybucha bójka. Przejęci uwielbieniem dla cudu ludzie porywają się za fby. W zapale opuścili Bartłomieja na ziemię, a że nie ma siły podnieść się, depcą po nim. Znow go porwali w górę, odbierają innym...

— Ratujcie, na -miły Bóg! — krzyczy biskup — oni go zabijają!

Więc de la Tour z kilkoma rycerzami wbija się konne w tłum równie niebezpieczny w swym uwielbieniu jak w gniewie. Odnajdują przedmiot czci półżywy. Żebra połamane, ręka wykręcona, pewno i wątpia odbite... Z niedomkniętych ust sączy się krew. Oczy rozwarłe tym samym nie-

przytomnym szklistym wyrazem. Nagi, bo gieżło podarto.

— Chudziaczek — mówi ze współczuciem de la Tour, ujmując bezwładne ciało ostrożnie — pokazał światu swą prawdę, ale zda mi się, że z niej nie będzie korzystał...

Siedząc w namiocie Roberta, Boemund i Arnuld patrzą na siebie z niepokojem. Krótkoudy śmieje się głupkowato, po swojemu.

— Ale to was zaskoczyło, hę?

Są zaskoczeni istotnie. To, co zaszło, jest zbyt nieoczekiwane, niepojęte!

— Gdybym sam nie widział — mówi Arnuld — nigdy bym nie uwierzył, choćby mi tysiące powtarzały...

— Ja też — przytwardza Boemund — ale widzieliśmy...

— Przyjdzie i nam chyba uwierzyć w cuda?

— Stałem niedaleko... Od gorąca trudno było strzymać...

— Sam dopilnowałem, żeby stopy były ciasno ułożone... I kazałem przedtem po cichu polać drzewo żywicą... przez litość... żeby się nie męczył...

— A co teraz będzie?

— Teraz po prawdzie powinniście, książę, powtórzyć tę samą próbę, inaczej ogłoszą was za kłamcę...

— Niby, żebym ja szedł w ogień?

— Przednia myśl — chichocze Robert — już was widzę, Boemundzie... Jeny, czy Bóg cud powtórzy?...

— Wezmę zastępcę, świątobliwego kapelana.

— Bez żartów, co za niesłychana rzecz!

—• Cud, cud... Oto, jak wygląda cud... Nigdy w nic nie -wierzył, a teraz... Cud! Bóg przemówił, przyznał słusność temu prostakowi...

— I to wtedy, gdyście, książę, wyjątkowo powiedzieli prawdę.

— Nie jestem Robertem, kapelanie, uważajcie z językiem.

— Wasza Łaskawość raczy wybaczyć...

— Dziwne zdarzenie, ale choćby dziesięć takich jeszcze za-:szło — ja Antiochii nie ustąpię!...

— Słusznie. Cud — cudem, gród — grodem...

W mieszkaniu zajmowanym przez Ademara kona Bartłomiej, wesoły niegdyś kleryk marsylski.

Darmo usiłować zatrzymać w nim życie. Jest teraz zupełnie przytomny. Patrzy po obecnych ze spokojnym zdziwieniem. Tak się unoszą nad tym, co zaszło, a czyż sąd Boży mógł wypaść inaczej, skoro on mówił prawdę!?

Biskup pochyla nad nim twarz, drgającą wzruszeniem, za-ianą łzami. Chciałby się zapytać, wiedzieć... Trawi go lęk przed świętą tajemnicą, a równocześnie ciekawość uczonego.

— Bracie — mówi nieśmiało •— coś czuł wtedy?...

— Nie wiem... — szepcze Bartłomiej z zakłopotaniem. To jest wie, ale nie umie powiedzieć... To trudne, a on zbyt słaby... Pamięta, że jakiś dech potężny rozgarnął płomień i przegnał go środkiem... Czy w nim samym był ten dech, czy z zewnątrz, nie wiedział... Nie czuł gorąca, ale widział, ach, widział płomień rozczesane na boki, kolebiące się, rozgarnięte jak kłosa...

I jeszcze jedno pamiętał: wyszedłszy czuł się dziwnie pusty, próżny, jakby z niego wszystko zostało wydarte, a on sam był czerepem, skorupą dziurawą... Nie było w nim nic, nic... Dlatego teraz umiera... Nie przez połamane żebra, tylko z tej pustki, z tego, że duch z niego wyszedł... Umiera... Czy mu żal umierać?... O, wcale... Co mu po życiu?... Nie stał już o nic od czasu, jak z Apostołem rozmawiał... Chętnie umiera... Dziwuje się tylko, że Bóg do swoich cudów jego wybrał, takiego lichego grzesznika...

To wszystko myśli Bartłomiej ostatnią swą ziemską myślą, lecz powiedzieć nie umie. Szepcze szeptowniejącymi wargami: - ...Ale zobaczyli, że mówiłem prawdę...

Rozdział szósty A ŻYCIE IDZIE DALEJ...

...napisane jest „Zniszczę mądrość mądrych i roztropność roztropnych odrzucę... Gdzież mędrzec? Gdzież uczony? Gdzie biegły szermierz tego świata? Czy nie w głupstwo obrócił Bóg mądrość świata tego?"...

Te słowa wielkiego Apostoła Narodów przychodziły na myśl Ademarowi, ilekroć rozważał wypadki zaszłe w ciągu ostatnich tygodni. Istotnie, zali mógł być szermierz tego świata biegleszy, przemyślniejszy niż Boemund? A jakże został zawstydzony, pomniejszony?

Zawstydzony, pomniejszony, tak, lecz nie pokonany. Nadzieje biskupa, że potężne wrażenie wywołane Sądem Bożym wstrząśnie sercami i skłoni wodzów do dalszego zgodnego pochodu — okazały się płonne. Pomimo

ognistego cudu w położeniu wojsk, obozujących od roku pod Antiochią, nic się nie zmieniło...

Rajmund St. Gilles bardziej niż kiedykolwiek utwierdził się w przekonaniu, że Boemundowi, podwójnemu krzywoprzysięzcy i kłamcy, nie można zdać grodu, Boemund zaś nie myślał ustępować swoich praw. Antiochią była jego i żaden cud nie zmusi go do oddania grodu.

I tak czas mija.

Chyba zaklęte to miasto, że odejść od niego nie można! Tyle pod nim przeżyto dziwów, nieszczęść, tyle doznano dowodów łaski i opieki Bożej, a równocześnie tyle grzechów i upadków ducha! Nieznane czary trzymają krzyżowców związanych z tym miejscem. Czyż go nigdy, nigdy nie opuszczą!?

Ademar de Monteil martwi się tym i gryzie, aż żał patrzeć. Postarzał więcej niż Godfryd lub de Hainaus.

— Truje mnie ta opieszałość — skarży się przed Walterem Bez Mienia — truje każdy dzień daremnie tutaj stracony... Czuję, jak Grób Święty woła... Noce, dniem słyszę ten głos: „Chrześcijananie! Chrześcijananie! Gdzie wy?”... Gdzie my?! Stra-

szno odpowiedzieć... Po co było ślubować, tyli świat wędrować, by u progu legnąć nikczemnie i zostać?!...

— ...Ciekawość, siła lat tu stać będziemy? — powiada kiedyś Imbram do Jaśka Zawory.

— Do umrzenia pewnie — wzdycha Jasiek układając się ze stęknięciem na wygodnym łożu. Leżą tak nieraz całe dni, beczynnienie i sennie.

Imbram dawno ochłonął z zeszłorocznych zapałów miłosnych. Alocha, która go opuściła czasu głodu, usiłowała powrócić po rozbiciu Kerbogi, lecz rycerz nie chciał jej widzieć. Posłał Benita, by dał dziewce parę skojców i przegnał, co chłopiec z niekłamanym zadowoleniem uczynił. Spokojne zmysły jasnowłosego woja przygasły po chwilowym wybuchu. Zresztą jest zobojętniały na wszystko. Przestał trapić się tym, że zdradził Ofkę i pozwolił ją zaczarować, gdyż nie myśli już nigdy o powrocie. Czwartym roku idzie, jak wyjechali z domu... Czwartym roku! W gruncie rzeczy to niewielki przebieg czasu. W Kijowie byli więcej niżli cztery lata i powrócili szczęśliwie z poczuciem, że wyjechali wczoraj. Cztery lata to zaledwie dość, by wychować jedno pokolenie krów i koni. Nawet pies nie postarzeje zbyt przez ten czas! Ten sam co przy wyjeździe kur może jeszcze pisać na płocie!... Ale są lata latom nierówne. Imbram dawniej nie wiedział o tym, przekonywał się dopiero teraz. Niewątpliwie stuletni blisko dziad, starzyk, co Chrobrego pamiętał, mający swoje wspominki na zasłanej skórą ławie, nie był tak odległy od swojej młodości jak on, Imbram od chwili wyjazdu z domu. Było to coś więcej jeszcze niż odległość: poczucie przedzierzgnięcia się w innego człowieka, zgoła ze wszystkim nowego, który w tamtym dawnym życiu może by się już obracać nie umiał?...

Imbram nie śmiał pytać Jaśka, z którym po dawnemu serdecznie znów żyli, czy to samo odczuwa? Czy podobnie jak jego, wszystko, co poznał, dowiedział się, ujrzał, przemyślał, rozsądzało, przeorywało do gruntu? Czy podobnie rodziły się w nim nowe myśli, nowe pojęcia, w polskiej skąpej mowie nie dające się nawet wyrazić? Czy przychodziło mu również do głowy, że w razie powrotu nie mógłby wcale opowiedzieć tego, co przeżywał, z braku słów?...

A Jastrzębiec, Ostój, syn Gniewa, czy myślał o tym również? Chyba nie. Należał on do tych, co życie mocną garścią ujmują za kark i sami je wiodą, gdzie chcą. Siłą rzeczy, nie

wiadomo kiedy, stał się głową nielicznej polskiej gromadki. Był rzutki, śmiały, mądry, a nabyte w niewoli wiadomości wyrobiły mu poważanie wśród baronów. Należał do rady wodzów. Gdy przemawiał, wszyscy słuchali go uważnie. Zasięgano jego zdania. W przeciwieństwie do Imbrama o powrocie myślał często i z lubością. Byle Sieciech, niepoczciwy wojewoda, nie pomarł, zanim on zdąży powrócić i pomstę należną, wyrzuci!

W ostatnich czasach do umniejszonej liczebnie gromadki polskiej zbliżyli się ponownie Węgrzy. Ubiegłe dwa lata trzymali się w chłodnym oddaleniu. Czuli żal do losu i całego świata o przedwczesną śmierć swego króla Włodzisława. Gdyby nie jego luty zgon, szliby na wyprawę jako pierwsi, najważniejsi, jako ci, których król wszystkim przewodzi. W oczekiwaniu tego splendoru chętni się niegdyś swoim Pomazańcem odrobinę za wiele, z góry spozierając na innych, szczególnie na Polaków. Głowacz im to po żałobnej wieści wytknął i wzajemna przyjaźń ochłodziła. Wągrzy przyłączyli się do oddziałów Szczepana de Blois, rzadko tylko i z dala widując dawnych towarzyszy. Lecz gdy Szczepan odjechał z Aleksym, oni pozostali. Osamotnieni, zgłosili się pierwsi do polskiego obozu, gdzie ich przyjęto radośnie. Odtąd trzymali się razem, Jastrzębca uznając nad sobą. Niewielu ich było. Węgrów pasowanych czterech, Polaków sześciu.

Tylko między Zbylutem a Imbramem stosunki nie chciały się nijak ułożyć w jakiś możliwy sposób, pomimo wysiłków obu Zaworów.

— Na o... o... obczyźnie bracia winni ku... ku... kupą iść, a nie przeciw sobie warczeć — strofował Momot.

— Ja nie zaczynałem ani wiem, co on rna do mnie — bronił się szczerze Imbram.

— Nie wiesz, boś głupi — odcinał się Zbylut i odchodził ze wzgardliwym milczeniem. Widok brata drażnił go niewypowiedzianie.

Bo też trudno było o dwie natury bardziej niepodobne cło siebie. Zbylut był zamknięty w sobie, szorstki i twardy. Każde silniejsze wrażenie odbijało się na jego umyśle śladem trwałym, rysą niezatartą. Był skąpy w uczucia, lecz uczucia te były niezmiennie, nie ulegające czasowi ni nowym obrazom. Takim uczuciem gwałtownym, śmiertelnym zamięłował niegdyś Ofkę, późniejszą Imbramową niewiastę. Bóg jeden wie, dlaczego ją pokochał? Może, iż była tak różna od niego samego, tak jasnowłosa i zwiewna, podobna do brzozy w gaju, łątki

lub kwiatu bobownika rosnącego na wodzie. Urzekła go jej świegotliwość, dziecinna niefrasobliwość, wesołość. W swej Inianej szatce, stojąca w Sobótkę przy ogniu, widziała się nie dziewczyną, lecz rusalką, dziwożoną. Kształt jej zapadł mu w oczy, w duszę, w pamięć i tam pozostał. Cóż z tego, skoro ona uciekała przed nim? Lękała się go jak wilka. Miłość zbyt gwałtowna, pożądanie zbyt namiętne przerażały ją. Ani ich umiała poznać, ani ocenić. Wołała Imbrama, ciężkiego płowego odmieńca, bo był łagodny i spokojny jak kobieta. Inny nic by sobie z tego nie robił, ani się dziewczyny pytał. Imbram młodszy, jego prawo było czekać, a stary Sękosz, Ofczyn ojciec, dałby równie skwapliwie córkę starszemu, jak młodszemu Strzegoniowi. Lecz Zbylut nie chciał nawet wspominać nikomu, że dziewczka, którą on wybrał, wołała innego, i milczał. Nie ozwał się słowem, gdy Imbram prosił Głowa-cza, żeby dziewczostków śłał do Sękoszów. I zniechęcił oboje młodych. Za szczęśliwość i śpiewki, chichoty po kątach, szepty długo w noc w komorze. Nie znosił ich obecności. Z całym rozmysłem namawiał do wyjazdu, by Imbrama od żony odciągnąć, a ten przygłupek dał się na to wziąć jak jemiołuszka na lep!

Głupi, po stokroć głupi! Mieć ukochaną żonę, dziecko i wędrować, nie wiedzieć gdzie, w obce kraje! Dać się pociągnąć jak wół, nie z miłości sławy, lecz przez zwykłe niedołęstwo! Do niechęci Zbyluta względem brata przyłączyła się pogarda. Przyznawał w duszy Imkowi, że był od niego wrażliwszy, umysłem lotniejszy, chwycił łatwiej wszystko, co się wkoło •działo, pojmował szybko obcą mowę i obyczaj, lecz z powodu tego właśnie bogactwa wrażeń jedne przeżycia zacierały "W nim drugie. Nie można było trwale na jego uczuciach budować. I Zbylut, który nigdy nie zapominał niczego, gardził tym bardziej mięką wrażliwością braterską. Potrafił płakać jak baba, a w rok później zapomnieć, dlaczego płakał... I to ma być rycerz, tfu!

Ta niechęć ze wzgardą, ukrojone nieco w pierwszych latach drogi, powróciły żywe, ostre, gdy Imbram zadał się z dziewczką syryjską. Uczucia Zbyluta splątały się w węzeł, którego sam nie umiał rozwikłać. Na widok słabości braterskiej ogarniała go złośliwa radość, że Ofka została zdradzona, co nie byłoby nastąpiło, gdyby wybrała jego, Zbyluta; zadowolenie, że po powrocie, jeśli ten powrót nastąpi, będzie mógł jej o tym powiedzieć — a równocześnie ogarniała go gniew i oburzenie, tam czeka, tęskni, boleje, a mąż z inną się pokłada! Pa-

miętał ją słaniającą się z żalu pod ścianą domu w chwili ich odjazdu. On o tym pamiętał... Imbram, dla którego te łzy wylewała, zapomniawszy...

I darmo rozważny Momot dukał z trudem nawoływania do braterskiej zgody, darmo poczciwy Jasiek Przybywój Zawora usiłował wzbudzić w nich lepsze wzajemne uczucia. Między Zbylutem a Imbramem Strzegoniami nie mogło być nigdy przyjaźni...

Elwira patrzy ze współczuciem na Florinę przybyłą do niej w odwiedzinach. Zmarnowała się dawna ślicznotka! Dziś trudno nawet nazwać ładną tę twarz chudą, zawziętą i zrozpaczoną.

co się tak trapi? Pewnie zawsze to samo. Elwira nie śmie pytać wprost. Spuszcza oczy z zakłopotaniem. Wszakże jej mąż, Rajmund, winien, że ta sprawa tak się przedłuża. Gdyby nie on, byłiby już wszyscy w Jerozolimie, i Florina ze Swe-nonem zwolnieni ze swego ślubu mogliby zacząć nareszcie żyć jak zwykłe małżeństwo...

Choć Florina nic nie mówi, Elwira mimo woli zaczyna się przed nią tłumaczyć.

— ...Przykrzy się wam to pozostawianie tutaj? Mnie też... By ode mnie zależało, dawno byśmy poszli... Ale co my, białogłowy? Co dnia mówię do Rajmunda: cny panie mężu, nie pójdziemyż dalej ku Jerozolimie?... On się zawdy wtedy ozeźli

prawi, że się nie ruszy, aż ksiązę Tarentu ustąpi... I że wara niewiastom wglądać w te sprawy...

Florina milczy. Elwira ciągnie dalej.

— I o was już mu mówiłam, że tak się oboje dręczycie... Przeszło rok jak się pobrali •— powiadam — a żyć społem ze sobą nie mogą... Niechajby już ślubowania dopełnili, a ucieszyli się...

— Nie powiadajcie mu tego więcej... — szepcze Florina zgłuszonym głosem.

—• Dlaczego?

— ...Bo już... Bo choćbyśwa przyszli...

Nie kończy buchając nagłym, niepowstrzymanym płaczem. Rósł w niej widno ten płacz od wielu dni, może tygodni, aż teraz zerwał tamy i trzęsie szczupłym dziewczynskim ciałem. Dygocząc Florina pada na poduszki miękkiej muzułmańskiej sofie, kryje w nich twarz i płacze, płacze, aż się zanosi. Ramiona, plecy drżą podrzucane łkaniem. Szlochanie rozsadza piersi.

— Co wam? Co? — dopytuje Elwira. — Złamaliście ślubowanie? Toć biskup powiadał, że rozgrzeszy...

Florina nie może odpowiedzieć, lecz trzęsie głową przecząco i płacze nadal. Elwira podnosi ją przemocą, otacza ramieniem, uspokaja, tuli, gładzi po włosach jak matka.

— No, co się stało? Co się stało?...

Chwyając ustami powietrze jak ryba wyjęta z wody Florina bełkocze, że powie zaraz, jeno się trochę uspokoi. Na koniec może przemówić. Żebra bołą ją od łkań, oczy zapuchły. Głosem przerywanym nie mogącymi się uciszyć łzami powiada, że Swenon zniechęcił się do niej! Już o nią nie dba!... Nie miłuje... Ani się na nią popatrzy!... Nie widuje go tygodniami... A teraz... teraz...

Nowy napad płaczu równie gwałtowny jak pierwszy. Elwira przynosi niebodze wody, pociesza. Może to wszystko tylko się Florinie Edaje? Minie na pewno, jeno do Jerozolimy dojdą...

- ...Nie! Nie! — woła Florina z rozpaczą. — Nie minie! Ja wiem! I to nic, że o mnie nie dba... Ale on jest chory... chory... Słabuje od paru niedziel, a ja nie mogę go widzieć... Do mieszkania mnie wpuścić nie chce!... Nie wiem, co mu jest... Zawarł się... Co dzień kołaczę... Co dzień dobry rycerz Olaf powiada, że królewicz kazał rzec, bym nie przychodziła k'nie-mu.....I że słaby... Nie wychodzi wcale z komnaty... A ja go widzieć nie mogę!...

— Niceśwa nie wiedzieli, że Swenon chorzeje... Który medyk go leczy?...

— Ten sam, co waszego Rajmunda łoni ratował, kiedy go krew zalała... Pytałam go, co za słabość?... Nie rzekł nic... Co mam począć?!... Pod drzwiami przesiaduję czekając, żeby się zmiłował... Od progu odchodzę z niczym... Ja!... Żona!

— Żona?... — powtarza Elwira z wahaniem — po prawdzie nie byliście mu żoną...

— Jak to? — zaprzecza Florina z oburzeniem — nie braliśmy ślubu?... Tyle, że łoża wspólnego nie mamy...

— Właśnie to... •— uśmiecha się Elwira niepewnie i milknie.

— Czuwałabym przy nim dzień i noc, a on mnie widzieć nie chce! — płacze Florina.

— Biskup może by co poradził... Mówiliście mu?

—• Nikomu, nikomu jeszcze nie mówiłam, jeno wam, wstyd przecie rzec...

•—• To chodźmy do niego... De la Ferriere pójdzie przodem zapowiedzieć nas...

Florina przemywa oczy, splukuje wodą zapłakaną twarz, upina starannie na głowie wysokie na łokieć ruszto-

wanie, z którego na twarz i barki spływa cienki, biały kwef, i idą do kwatery biskupa.

Ademar przyjmuje je życzliwie, choć z roztargnieniem. Sprawy osobiste, miłosne, sprawy łoża wydają mu się taką błahostką niegodną uwagi wobec ogólnej katastrofy bezwładu, w jakim zagrzeźła krucjata, że z wysiłkiem przykłada się, by z należytą uwagą wysłuchać. Zresztą sam jest chory, ciężko chory ze zmartwienia. Twarz ma żółtą jak cytryna i dokuczliwe, uparte bóle wątroby.

—• Ostrzegałem, by ślubów zbyt ciężkich na siebie nie brać — zauważa — ostrzegałem przed pobożnością przeradzającą się w pychę...

— Chory jest, a mnie nie chce widzieć... Co ja pocznę, Boże! Boże! — łka Florina tak żałośnie, że biskupa ogarnia współczucie. Niech wracają do Elwiry, on pojedzie do Swenona, po czym da im znać.

Swenon nie ogolony, zaledwie przyodziany, siedzi w marmurowej, mozaikami wykładanej komnacie obcej, niemiłej jak wszystko, co go otacza. Zmienił się bardzo. Na czole u nasady włosów wieniec szpetnych plam. Na licu i na szyi wrzody. Takież wrzody wewnątrz dłoni i pod stopami wsuniętymi w miękkie tureckie pantofle. Ropieją jak stygmaty potępienia. Myślami królewicz jest daleko, nad Morzem Północnym, przy malowanym, drewnianym ojcowskim dworcu. Chłodny, rzeźwy wiatr pociąga. Niesie zapach ryb, jodu, soli, morszczyzny przygnanej falami pod brzeg. W morszczyźnie błyszczą bursztyny jak zakłete słońce... Łodzie stoją rzędami u wle- _kich rzeźbionych pali... Stukają o siebie, skrzypiąc...

Biskupa wita niechętnie. Cóż mu pomoże? Nikt mu już nic nie pomoże. Niepotrzebnie trzusi się Jego Dostojność...

— Mówiła mi Florina, córka Filipa, żeście chorzy... Niepokoi się srodze nieboga...

•—• Szkoda, że dopiero teraz...

— Co wam?

Swenon macha ręką w odpowiedzi. Na ponowne zapytanie rzuca z gniewem:

— Nie ma o czym mówić,... Toć widzicie.... Chorym jest... Tak jak Paweł Engelram i Omer de Guillebaut i tyłu...

Biskup cofa się zaskoczony.

— W imię Ojca i Syna, i Ducha! Ależ o tej słabości Omera

dobry rycerz Jastrzębiec powiada, że chorzeją na nią tylko ci, co z pogankami cielesnie obcowali!...

Swenon nic nie odpowiada.

— Zaden z tych, co tylko ze swoją żoną żyli lub czystości dochowali, nie zasłabł!... — ciągnie biskup.

— Moja żona ze mną nie chciała — szepcze Swenon w kształcie wyjaśnienia.

Zapada długie, ciężkie milczenie. Ademar wpatruje się z żalem w zmienioną twarz pięknego niegdyś królewicza.

— Czemuście to zrobili?... — pyta półgłosem.

— Cóż ja winien?! Byłbym mógł czystości dochować albo w narzeczeństwie wytrwać... Zdołałbym...

wiera, żebym zdołał! Miasto tego narzucili mi małżeństwo bez łoża... Tegom nie zdołał... Patrzeć na kobietę... widzieć cały dzień przy sobie... Miłować ją, jakem ja Florinę miłował, a nie tknąć... Nic cały dzień nie robiąc, dobrze jedząc, wino pijąc... W tym grodzie... Wasza Dostojność wie, co się tu działo i dzieje?! Przeklęte miasto... A z ogrodów wonie... a pokusa zewsząd... pogańskie czary... Prosiłem ją, żebrałem, skomlałem jak pies... Albo odejdz całkiem, albo chodźwa do biskupa zwolnić się z przysięgi... Nie chciała... Przez dumę... Woląła swoją Filipową pychę niż mnie... I ot, doczekała się... Diabeł mnie zmamił... Raz jeden! Raz jeden! Poszedłem nie mogąc wydzierżyć! Nie mogąc... Raz jeden... I Bóg tak pokarał... Nie ozdrowię już...

— Boże! Boże! Więc dlatego widzieć jej nie chcecie?...

— Cóż jej rzekę?... Sam nie wiem, zali ją jeszcze miłuję?... Nie wiem... Co mi z niej?... Choćby mi się teraz oddawała, co mi z tego?... Nic mi po życiu... Wolej jej już nie obaczyć... Wolej samemu siedzieć i myśleć o mojej starej dobrej matce, czekającej na mnie doma... W Dunii... Matczyne kochanie jest życie i pokarm... Nie trucizna jak niewieście... By mógł każdy jedną tylko białkę spotkać w życiu: swą matkę!... Biedna macierz... Do śmierci mnie nie opłacze... I tej pociechy nie dozna, zem poległ jako rycerz... Na plugawą pogańską chorobę szezł jak pies królewicz duński... Oj, żal, żal tak nikczemnie ginąć...

— Ależ nie wiemy jeszcze, czy na tę chorobę nie ma leku! Módlcie się, a miłosierny Zbawiciel grzech wybaczy i wspomóże...

- Nie wierzę w miłosierdzie Boże — odparł głucho Sweⁿ. — Nie wierzę! Cośwa zawinili oboje z Florina? Za co nas tak pokarano!?... A leku na tę chorobę nie ma, bom się już tutejszego medyka pytał.

— Jak to? — zapytał biskup z oburzeniem — to Bóg wi-

nien, żeście oboje zgrzeszyli, ona uporem i pychą, wy słabością?! Łacno wszystkiego od Boga żądać, w sobie nigdy winy nie upatrując!...

— Gdyśwa w Bizancjum na łodzi w miesięczną noc ślubowali, to nie dla pychy, jeno ze szczerej miłości ku Zbawicielowi. Na truchło świętego Olafa! Gdy sobie wspomnę tę chwilę... Szczęśni byliśmy. Niewinni...

Ona jak kwiat... Boży kwiat... Przysięgam, żeśwa z czystej miłości ku Bogu złożyli to ślubowanie... I ot, co się z nas ostało... Dlaczego?!... Dlaczego?!...

Wstrząśnięty bardziej, niż to chciał okazać, Ademar de Mon-teil pocieszał go, jak mógł, obiecał powrócić nazajutrz i odjechał głowiąc się frasobliwie nad tym, w jaki sposób okrutną prawdę powiedzieć Florinie. Jechał stępa, gdyż każdy krok konia przyczyniał mu nieznośnego bólu... Widzi mi się — pomyślał — że niedługo będą musieli nosić mnie w lektyce jak grecką malowaną panią... Mniejsza o mnie... Biedni, biedni ci dwoje... Biedne dzieci... Widział ich ślicznych jak niegdyś, szczęśliwych, miłujących się pierwszym, nieskalanym miłowaniem... Srogi los... Srogi Boży wyrok... Porwali się na rzecz zbyt wielką, ponad miarę ludzką sięgającą, czyż można ich za-to winić?...

Przerwał rozmyślenia, bo z naprzeciwnika nadjeżdżał Robert flandryjski. Milczący rycerz był wyjątkowo tego dnia skłonny do rozmowy, a nawet pierwszy zatrzymał Ademara i pozdrowił.

•— Upały już minęły — zaczął.

— Ale rozum przez to nie wrócił — westchnął Ademar.

— Dobry rycerz Tankred, dobry rycerz Godfryd i ja jesteśmy gotowi do drogi. Prowadźcie nas, Wasza Dostojność...

— Godfryd już jest?! Bogu dzięki! Chyba że ruszmy, tylko jakże tych ostawiać?... I sami czy podołamy?...

— Choćby przyszło zginąć, lepsze to niż tu gnuśnieć... One-•gdaj przychodziły ormiańskie kupce z

południa... Powiadali, że przez trzy miesiące Jeruzalem stała całkiem wolna... Bez załogi... Taki lęk padł na poganów, że uciekli... Bramy były otwarte... Dopiero teraz nadeszły pono wielkie wojska z Egiptu i zajęły Święty Gród...

— To było do przewidzenia.

— Jesteśmy każdej chwili gotowi — powtórzył Robert z naciskiem.

— Bóg was błogosławi, grabio. Postanówmy, że jeśli do dwóch niedziel grabią St. Gilles i księżę Tarentu nie ugodzą się, ruszymy sami, nie oglądając się na nich...

— Dobra — odparł Robert — ruszamy za dwie niedziele. Nie ruszyli jednak, gdyż Ademar de Monteil rozchorował się na dobre. Zbyt długa zgryzota zgryzła jego niespożyte siły. Żółć wylała się w krew, obróciły się wnętrzności. Nie może jeść, trawić, nieustające bóle szarpia trzewia. Gorszy ból szarpie umęczone myśli. Szczególnie dręczą go nocą, gdy światło u węzłowia chorego pełga chwiejnie po ścianach, po rzeźbionym stropie. Noc wokoło. Myśli snują się, rosną jak zwykle w ciemności. Ciemność jest syci, wyogromnia. Światło umysłu, niegdyś bystrego, nieulekłego, pełga po straszakach widzeń jak chwiejny blask alabastrowego kaganka po ścianach...

Mojżesz, gdy umierał, ujrzał ze szczytu góry Nebo Ziemię Obiecaną. Ademar oczami ni myślą nie ogląda Ziemi Świętej. Bóg jest surowszy dla niego niż dla starego prawodawcy i proroka. Cudowna pewność, osiągnięta niegdyś w chwili rozmyślań nad rzeką Sakarą, nie wraca. Stroskany umysł graży się w poczuciu klęski spowodowanej nieznośną małością ludzką. Stroskany umysł wylicza wszystko, co Bóg dla krzyżowców zrobił, cuda doznane i łaski szczególne, przeciwstawia im marność ludzką, nędzę ludzką i — po raz pierwszy w życiu poczyna... nienawidzić ludzi...

Obrzydłe plemię, bodajby przepadło! Bezładna kupa mułu, skrzep gnoju, darmo je owiewa wielki dech zaświatów, darmo Bóg dotyka dłonią, ukazuje dalekie drogi i światła... Widzą, czują, słyszą, lecz podźwignąć się nie chcą... Ach, nędzne plemię, coś miało być obrazem Bożym!

...Gdyby mi kto dał na pustyni gospodę pielgrzymią, wolałbym to, niż być królem między ludźmi!... Zgraja wiarołomnych... Napinają język niby łuk .swój kłamstwem, a nie dla prawdy żyją, lecz od zdrożności do zdrożności postępują...

...Wyczerpie się rychło cierpliwość Pana. Który rzekł: Czyżbym tego nie poszukiwał na nich? Czyżby nad narodem podobnym nie wywarła pomsty dusza moja?...

...Nadchodzi już dzień prorocstwa, wdziera się luta śmierć przez okna nasze, wchodzi śmieie do zamków naszych... Wiekuisty rzecze: Legną trupy ludzkie jak mierzwa na polu i jako snopy za żeńcem, których nikt nie zbiera...

...Nie żałuj ich, duszo, nie żałuj. Obrzydła, marną jest ludzkość! Nic jej nie podźwignie z błota.

Jakiegolwiek by się dzia-*Y nad nią rzeczy przeogromne, ona leży w swym barłogu, Pjr żre, cudzołoży, płodzi dalszy grzech i nędzę... Grzech jest

l naturą, grzech jej przyrodzeniem, grzech jej rozkoszą...

— Krzyżowcy t. III/IV

Darmo mówić ludziom o Bogu... Nie pragną Boga, nie pragną niczego, co przewyższa bagno zwykłej powszedniości... Nawet w obliczu cudu niezdolni są zapomnieć o własnych śmiesznych sprawach, o własnych doczesnych korzyściach. Na krótkie mgnienie dają się porwać zapalem, by tym ciężej, tym haniebniej opaść z powrotem na ziemię.

...Och, nie widzieć więcej ludzi!...

...Nie wiedzieć nic o ich sprawach...

...O nieszczęściach, które sami ściągają na siebie, a odpowiedzialnym za nie czynią Boga...

...O ich niepojętej zawziętości i uporze...

...Niech przepadają, skoro chcą... Im prędzej zginą, tym lepiej.

Takie myśli snują się po głowie Ademara de Monteil, nasyconego żółcią, napojonego octem i goryczą.

Okrutne myśli. Nie stara się ich przegnać wcale. Nie puszcza do siebie nikogo. Jedynie Walter Bez Mienia i Piotr mają doń dostęp.

Poza tym nikt. Na próżno baroni wystają pod drzwiami, pytając o zdrowie biskupa.

Okrutne, mroczne myśli prześladowają chorego dzień i noc. Ogląda wstecz dzieje świata. Widzi, że wszędy Zło zwycięża Dobro z winy ludzi... z pomocą ludzi, z przyczyny ludzi... Zło jest w ludziach... Szatana może nie ma wcale poza biernością, głupotą i złością, tkwiącymi w naturze ludzkiej?...

..Przeklęta ludzkość!...

Rzuca przed siebie straszliwe przekleństwo, groźnie spoglądając w górę. Gdyby trzymał w ramionach kamienne tablice, potrząsałby je jak Mojżesz schodzący z góry Synaj., Lecz niby w odpowiedzi na ciemnym tle rzeźbionego podniebienia błyskają splątane litery i słowa. Nieznany głos szepce do ucha

bajkę, przypowieść, coś dawnego, znanego, zapomnianego... Na ciemnym rzeźbionym pułapie rysują się jakieś dzieje... Czyje?... Skąd przyszły?... Ademar już wie... Ulubiony pisarz, święty Dionizy Areopagita, kreślił je do Demoiila...

... Mąż pewien, Karpencjusz, nienawidził grzechu i nienawidził! grzeszników. Miłował Boga, którego obrażali grzesznicy. Przeto nienawidzić ich musiał. Zdarzyło się w owym czasie, że dwaj chrześcijanie, co wielkich łask od Boga doznali, zlekli się o swoje mienie i wyparli się publicznie Boga prawdziwego, wrócili do błędów pogaństwa. Karpencjusz posłyszał o tym i przeklął obu odstępców. Przeklął z wieczora, gdy na Angelus dzwoniono. Położywszy się na spoczynek, obudził się koło północy i przeklął znowu. I powtórze obudził się, gdy piałły kury, i przeklął jeszcze raz. A zasnąwszy potem miał sen. Widział przepaść, ku której szli obaj

grzesznicy, nie widząc nic, bo oczy mieli zawiązane... I ucieszył się pobożny mąż, że zginą marnie, zleciawszy na dno przepaści. I czekał, rychło obsuną się w otchłań. I ujrzał wtedy nadchodzącego szybko obcego męża, który śpieszył, by ślepców zatrzymać i ocalić. Przeto Karpencjusz zawołał: „Ostaw ich, bo to przekłęci grzesznicy! Im prędzej zginą, tym lepiej!” Lecz mąż nieznany nie zwracał na jego wołanie uwagi i wyciągnął rękę, by tamtych przetrzec, a czas był, bo stopy obydwu były już na samym skraju. I rozgniewany Karpencjusz podniósł ramię, wołając: „Odstąp, albo cię uderzę, bo to przekłęci grzesznicy!” Wówczas mąż odwrócił twarz, a była pełna światła, i Karpencjusz poznał Pana naszego, Jezusa Chrystusa. I rzekł Zbawiciel: „Uderz mnie zatem, Karpen-cjuszu, gdyż gotów jestem umrzeć jeszcze raz za zbawienie tych biedaków”...

— ...Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!... —• mówi głośno Ademar. Wydaje mu się, że sam jest Karpencjuszem słusznie skarconym przez Boga. — Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!... Ktoś stoi przy łożu. Biskup otwiera przytomnie oczy. Dzień już biały. Walter Bez Mienia powiada, że wynalazł medyka Greka, którego w pierw u poganów praktykował. Teraz siedzi cichcem w grodzie, obawiając się Latynców. Walter już go przyprowadził. Czeka przed domem. Uleczy na pewno. Wiadomo, że arabscy i greccy medycy mają sposoby na wszystkie choroby,.. I ból uśmierzyć potrafią, że się go zgola nie czuje...

..Uśmierzyć ból... Przerwać dokuczliwe cierpienie dręczące od kilku tygodni... Zaznać snu dawno nie kosztowanego... Jakże nęcąca zapowiedź! Cóż, kiedy korzystać z niej nie wolno!...

— Pozwólcie mu wejść, Wasza Dostojność! — błagał natarczywie Walter.

Ademar przymknął oczy, by pomyśleć nad tą sprawą gruntowniej. Wezwać greckiego medyka, to znaczy zgorszyć tych wszystkich, którzy poczytywać będą ten postępek za grzech. On sam, Ademar, był pewien, że w greckich sposobach leczenia zła nie ma, a zyskiwanie wiedzy lekarskiej drogą badania trupów nie jest obrazą Boską bynajmniej. Ale inni tak sądzili. Pomyślał, że zgrzeszył, byle ocalić życie...

...Gdybym wcześniej walczył z tym przesądem, zdołał wykazać jego bezpodstawność, mógłbym dziś zawezwać greckiego lekarza... Nie uczyniłem tego, nie mogę, nie mogę zaczynać od siebie... Któż w moją szczerłość uwierzy?... Odpraw go, synu — rzekł głośno.

Dla Boga, Wasza Dostojność! Pomyślcie tylko, co będzie, dy was nie stanie! Zostać z nami to obowiązek największy!

— Ech, niewielem zrobił przebywając tutaj... Spójrz na ostatnie pół roku... Co moja obecność znaczy?... Zechce mnie Bóg zostawić — zostawi bez medyka, a jeśli zabierze, to znaczy, że niepotrzebny...

— Przecież Wasza Dostojność nie masz tego za grzech?! —• Oczywiście, że nie, mój synu. Jestem zupełnie pewien,

że nie byłoby w tym grzechu żadnego...

— Więc czemu?!

— Już ci rzekłem, żeby nie być przyczyną zgorszenia...

— Gorszym złem będzie wasze odejście!

— Bo ja wiem?... W zarozumiałości swojej człowiek myśli, że jest potrzebny, niezastąpiony... Zdarza się, że umrze, i życie idzie bez niego tak samo, ani lepiej, ani gorzej...

— Ale co będzie z nami!? — zakrzyknął Walter z rozpaczą.

Biskup uśmiechnął się smutnie.

— Ostanę z wami duchem... Pomnisz, com mówił na pustyni, że zmarli łatwiej może ocalą Jeruzalem niż żywi?... Tak i ze mną będzie... Żywy nic zdziałać nie mogłem... Po śmierci snadniej uproszę Miłosiernego Pana o pomoc... Nie odstąpię was... Zgarnę wszystkich, co pomarli po drodze, i powiodę... Staniemy przy was, gdy wchodzić będziecie na mury Świętego Grodu... Obaczysz mnie przy sobie... Jeno ducha nie traćcie i ruszajcie, na miły Bóg, co szybciej ruszajcie!...

— Boże! Boże! — łkał olbrzym.

— Nie płacz, synu... Idź, odpraw tego medyka...

Oczami przeprowadził wychodzącego, ze zdumieniem stwierdzając, że jeszcze przed godziną mógł

nienawidzić ludzi. Przeklinał ich jak Karpencjusz, którego skarcił sam Chrystus. Czyż to możliwe? Nienawidzić ludzi! Nienawidzić takiego Waltera lub Bartłomieja, co zaufał Panu, lub Piotra, co nie tknął jądła u Kerbogi? Ciepłą, kojącą falą ogarnęła go miłość do ludzi, szczególnie do tych maluczkich prostaczków wydziedziczonych przez życie, krzywdzonych przez moźnych, w poniżeniu i nędzy żyjących, wśród których tak często zakwita najdoskonalsze, cudowne człowieczeństwo... O, niech im Bóg błogosławi, Bóg, który ich sobie upodobał...

Ostry ból go pochwycił, przeszył na wskroś, przebił siedmioma mieczami cierpienia. Z trudem łapał oddech. Medyk grecki byłby mógł uśmierzyć ten ból... Ha, trudno... Dobrze, że poszedł... Tak trzeba... Teraz jeno należy zwołać po raz ostatni panów baronów... I zakląć ich, i prosić ich, by się

ugodzili i ruszali dalej... Może ta prośba na nich podziała? Po czym oddać się w ręce Boga z tą ufnością, z jaką Bartłomiej szedł w płomienie... Niczego się nie lękać, niczego nie żałować...

...in aeternitate Dei vigeie, in veritate Dei lucere, in boni-iale Dei gaudere...

Rozdział siódmy W KTÓRYM VOX POPULI JEST IŚCIE VOX DEI

Biskupa Ademara de Monteil, legata papieskiego, dowódcą świętej wyprawy, pochowano w katedrze przed wielkim ołtarzem, w miejscu, z którego wydobyto świętą Włócznię. Zmarły o parę miesięcy wcześniej Bartłomiej pogrzebany był na zewnątrz katedry, tuż pod jej ścianą, niedaleko absydy mieszczącej świętą Włócznię i zewłok biskupa. Ciała obu zmarłych już się rozprzęgły i opadły z kości, a krzyżowcy stoją w Antiochii, jak stali. Jesień minęła, zima minęła, nadchodzi wiosna, a oni precz stoją i stoją. Przed dziewięcioma miesiącami rozpoczęty spór między Rajmundem St. Gilles, a Boemundem trwa bez zmiany dotychczas. Nic go nie rozstrzygnie, chyba śmierć jednego z dwu skłóconych wielmożów.

Chyba śmierć, bo nie ma co marzyć, by jakikolwiek inny czynnik zdołał przełamać ich upór. Starły się ze sobą dwie wole nie przyzwyczajone do ustępowania nikomu. Zdarza się czasem w borze, te dwaj zapaśnicy-jelenie splecą się wieńcami tak, iż się rozdzielić nie mogą. Z nachylonymi łbami stoją naprzeciwko siebie, mierząc się nabiegłymi krwią oczyma. Stoją, aż nogi im omdleją, głód powali. Zginą obaj na pastwisku, o które bój rozpoczęli.

Boemund i Rajmund stoją podobnie. Kto wie, czy w głębi duszy obaj, ostatni zwłaszcza, nie żałują swojego uporu i straconego darmo czasu. Ale zbyt daleko zaszedli, by móc teraz cofnąć się i uznać współzawodnika zwyciężcą.

Gdy wodzowie spierają się po dawnemu, wśród wojów niedobrze się dzieje. Ludzie mrą jak muchy, nie z głodu, nie z pragnienia tym razem, lecz z zarazy. Ten srogi wróg oszczędzał dotychczas Latyńców; tej zimy wkroczył w sam środek szeregów i wybiera co najlepszych. Cóż dziwnego!? Tyle trupów padło nie pogrzebanych, tyle zebrało się nieczystości, których nikt nie usuwa! Przed każdym pałacem gromadzi się śmietnik odpadków, w prześlicznych krużgankach, cienistych ustroniach narasta gnój. Konie stoją gdzie bądź,

były były pod ręką. Tupią nogami po marmurowych posadzkach. Na kupach nawozu lęgną się miliardy much. Służba rozkłada ognie i warzy strawę na dziedzińcach, w miejscu, gdzie dawniej szemrały fontanny. O porządek nikt nie dba. Gnijących zwłok nikt nie usuwa. Póki trwało lato, dobroczynny żar słońca zamieniał to wszystko w wyschły nieszkodliwy popiół. Z nadejściem mokrej, parnej zimy rozpoczęły się choroby. Przyczyniła się do nich zapewne też woda. Akweduktów przeciętych przez Kerbogę, doprowadzających źródlaną wodę z gór do miasta, Latyńcy nie starali się naprawić zadowolając się wodą z rzeki. Że równocześnie zarówno do Oron-tu, jak do zasilających go strumieni rzucono wszelką padlinę — woda ta była wstrętna i szkodliwa. Zarazy jeły się szerzyć jak mór. Najbardziej biegunka i złośliwa gorączka, nazwana później w Europie tyfusem.

Nie tak śmiertelna, lecz przykra, a zarazem sromotna, była owa nieznama choroba, na którą zapadli Swenon duński i Omer de Guillebaut, i Paweł Engelram, wychowanek starego Anzelma, i wielu innych, uważana za karę Bożą i wynik czarów, gdyż zarażali się nią tylko 'ri, co obcowali z pogankami lub syryjskimi dziewczkami. Straszliwa ta choroba, co nie zabijała człowieka od razu, lecz truła powoli, odbierając mu siły, urodę i rozum, miała wraz z powracającymi krzyżowcami przejść do Europy i tam zasłynąć pod mianem choroby francuskiej, czyli przyniesionej przez Franków; miała przetrwać długie wieki, ścigając zarażonych z pokolenia w pokolenie, stanowiąc klęskę latyńskiego świata, odwet Wschodu za zadaną mu porażkę.

Chociaż rycerze krzyżowi nie mogli przeczuć tych następstw, nieznama słabość wzbudzała w nich zabobonny lęk i obawę równą trądowi. Kara Boża, kara Boża! Słuszna kara. Wymrą tu wszyscy za to, że o Grobie Świętym zapomnieli...

Dość, że nie ma kwatery, mieszkania, namiotu, gdzie by ktoś nie leżał na tę czy inną chorobę. Ludziom nie chce się grzebać trupów, a że na domach nie zbywa, skoro kto umrze, zamykają po prostu pomieszczenie ze zmarłym i zostawiają tak ciało, na drzwiach znacząc farbą krzyż. Stad zaduch trupi wzmaga się, z zaduchu wzrastają zachorzenia. Lotaryńczycy

Flandryjczycy odeszli dalej od miasta, za wzgórze, lecz Ital-czycy i Prowansalczyki nie mogą tego uczynić. Pozostają w samym ognisku zarazy. Boją się, że jeśli jedna strona opróżni miasto lub cytadelę, druga je zniemacka zajmie.

A biskup nie żyje! Nie ma komu chodzić po kwaterach

z błogosławieństwem, dobrym słowem i pokrzepieniem. Nie ma wodza! Cudują się ludzie, że ich tak ostawił. Pustka po nim została większa, niżby można przypuszczać. Nie wtrącał się przecie zbytnio w ludzkie sprawy. Słuchano go mało wiele.

A jednak dopiero teraz, gdy go nie stało, spostrzegli wszyscy, jak wielkie znaczenie miała jego obecność, ów głos mądry, dobry i rozumiejący, niezawodnie pewny, niepodejrzanie uczciwy. Był istotnym przewodnikiem, sumieniem krucjaty. I cóż się stanie teraz z krucjatą, której odebrano sumienie?!

Ludzie gadają o tym uparcie przy ogniskach.

Choć wieczory jeszcze chłodne, chętniej siedzą na dworze niż w mieszkaniu, gdzie czyha na nich zaraza.

— ...Wczoraj w naszym obozie więcej jak trzy setki zmarło... — wzdycha stary Błażej. — W jeden dzień! Nieraz w bitwę kostucha tyłu nie skosi...

— Postoim jeszcze ze dwa miesiące, a nikt żywy nie ostanie...

— Każdego zaraza położy, tylko książąt się nie czepia. Żyją psiekrwie i wadzą się, nas tu daremnie trzymając...

— Zginiemy z ich łaski, bracia mili, zginiemy jak te badyle...

— ...Poszliśmy do Grobu Świętego dla miłości Pana naszego Zbawiciela, zdychaliśmy bez wody, bez jadła... Cuda Bóg okazał większe niż obiecywano, a wždy stoim czekając, aż nas wszystkich mór wydusi... Złota ^ człowiek nabrał, a co mu z tego...? Ani do domu przywieziesz, ani dzieciom lepszą dolę zgotujesz, gnijąc tutaj po próżnicy... Bez zasługi niebieskiej ostanem i bez mienia..

— Boście wszystkie barany są! Będzie z półtora roku, jak mówiłem, że na panów nie trzeba się oglądać, jeno samym rozum mieć..

— Oj, Klimek, Klimek! Głupi byłeś, głupi jesteś! Skąd nam rozum równy pańskiemu? Co przeciw nim porad/im?

— W kraju nie poradzim, ale tu, co nam. one zrobią?...

— Mają miecze... Uczzone są...

— Owa! My mamy topory... A rozum?... Bodaj psi żeźarli ich pański rozum, jeśli on co wart! Nie słyszeliście, że Jeruzalem przez dwa miesiące stała całkiem wolna, bo pogany uciekły myśląc, że skoro nadchodzim? Tylko wejść i u Grobu Świętego klęknąć... Toć dziecko wie, że trzeba było iść spiesznie, nie czekać ani tygodnia... One czekały, czekały... Co się doczekały? Że jakieś nowe pogany z Egiptu przyszły i Ziemię Świętą zajęły... To się nazywa rozum, co?

— Trzymają nas, aż pomrzem, i one same szczną w końcu... Do trumny Antiochii nie wezmą...

— Ani one od nas mędrsze, ani lepsze... Pomnicie, Błażeju, tego osiłka, de Melun?... Dla żarcia wiary odstąpił, Pana naszego się zapał... Takie są te wielmożne rycerze...

— Powiadały, że Sąd Boży rozstrzygnie, kto praw... Bartłomiej, chudziak, w ogień poszedł, ogień przeszedł... A one nie... Przeca kiej sąd, to sąd... Miały się posłuchać — nie posłuchały...

— Zawdy powiadam, że my same temu winne... Daliśmy się panom pozbać...

- Pany, pany!... bodaj się udławiły swoim bogactwem! swoimi księstwami!

- Bodaj szczło to miasto! Bodaj się w ziemię zapadło! Jakby go nie było, nie mieliby się o co kłócić...

- Prawdę powiadacie, kumotrze... Jakby nie było grodu, nie miałyby się o co kłócić...

- Odkąd biskupa nie ma, wszystko na złe idzie... Biskup dobry był człowiek, sprawiedliwy człowiek...

Zmartwienie go żeźarło z przyczyny waśni panów... Żal go, hej!

— Wiera, że żal. Ludzki, przystępny... O każdej godzinie mogłeś przyjść, choćby i w nocy, zawsze wysłuchał, poradził...

— O nas wszystkich zastawiał się u panów... Powiadają, że przed śmiercią cięgiem baronom powtarzał: „Ruszajcie zaraz do Jeruzalem, a biedaków, prostotę, szanujcie... Chrystusowi są... Bądźcie dla nich łaskawi i miłosierni, zaklinam was na rany Zbawicielowe!” Tak mówił pono...

— Wielu nam z tego przyszło, co?

- Kamień by się wzruszył, bydlę nieme by pojęło, ale wielmożnych to nie wzruszy... Od początku świata tak było...

- Było i będzie, jeśli naród pozostanie durny jak ninie...

- A ty, Klimek, zawdy swoje. Obaczysz, że się dochrapiesz powroza...

Wy za to doczekacie wielkiej szczęśliwości zdychając tu bez pochówku...

Oj, prawda, na złą dolę nam zeszło, niebożętom... A rady na to nie ma...

• Ejże! Rada jest i łatwa! Na wielmożów kupą ruszyć!

- Milcz! Milcz! Jeszcze kto posłysz!

— A niech słyszy! Kogo więcej? Urodzonych czy nieurodzonych?
Jużci co nas.

— To czego się strachacie? Byle razem a społem!

Takie pogawarki słyszy przy każdym ognisku Walter Bez Mienia, snując się samotnie po obozie. Wszędzie mówią o tym samym, wszędzie o tym samym... Tu zawadiacki Klimek, tam kulawy Martyn, ówdzie kosooki Gilbert. Walterowi wydaje się, że te wszystkie głosy są zwrócone do niego, wołają ku niemu. Ludzie nie chcą dłużej siedzieć beczynnie, czekając, aż ich zaraza wydusi. Chcą dopełnić ślubowania, tak jak biskup przed śmiercią zalecał...

...Ludzie mówią, że gdyby grodu nie było, baroni nie mieliby się o co kłócić...

Obszedł obozy, zawraca, skąd wyszedł. Przy ognisku Klinika i Błażeja przystaje znowu postuchać.

— ...Powiadają — szepce brat Hiacynt — że biskup nieboszyk Walterowi obiecywał, jako wszystkich zmarłych skrzyknie i pod Jeruzalem z nimi pójdzie nas wspomagać... Zobaczycie mnie widomie — mówił.

— Święty Marcinie, wybaw! Nie powiadajcie takich rzeczy przed nocą, bo strach...

— Owa! Mało tu mar się snuje!? Mało ich leży, nagłą śmiercią bez spowiedzi zmarłych?...

Więcej tu dusz chrześcijańskich padło, niż jest cegieł w tych murach...

— Oj, prawda, prawda...

•— Zeszłej nocy miesiąc wstał czerwony, aż ociekał krwią, psi okrutnie wyli w grodzie...

— Nie gadajcie! Psa ani jednego nie uświadczysz, zjedzone dawno, a nowych nie było skąd wziąć...

— Nie ma psów, to któż wy!? Bez ochyby dusze czyścicowe!

— Reta, reta! Pewnie dusze! Żaliły się, niebożątka, że darmo poległy, bo nikt o Jeruzalem nie stoi...

— Do krwawego miesiączka wyły... Święty Piotrze Apostole, zmiłuj się nad nami!

— Powiadają także poniektórzy, że onegdaj wszystkie gwiazdy na niebie zebrały się w kupę, że niebo całkiem widziało się czarne, a one w środku sejm trzymały, aż luna biła... Dopieroż nad ranem rozeszły się na miejsca z powrotem...

— Niedobra to wróżba, braciszku mili, niedobra!... Zebrały się zewsząd jak te gwiazdy i nie doszedłszy nigdzie, rozproszymy się na nowo...

— Pewnikiem, co tak będzie, jeśli sami nad sobą radzić nie będziemy...

— Oj, niezwyčajni my rady, trzeba, by nas kto zebrał, powiódł...

Ukryty w cieniu Walter Bez Mienia stoi i słucha. Słucha i myśli. Myśli jego są rozdwojone, płyną podwójnym korytem. Instykt krwi, instykt nieznanego ojca, rycerza z wysokiego pono królewskiego rodu, ciągnie go ku wielmożnym, ku nobilom. Burzy się przeciw przewadze tłumu, przeciw obniżeniu kasty rycerskiej, jej władczyemu prymatu. Choć odtrącany, pogardzany, czuje się jednym z nich. A równocześnie nienawidzi tego świata możnych, którego dumną krew posiada w żyłach. Za to, że go zowią bękartem, za krzywdę upośledzonych. On ją zna. On zrozumiał odwrotną stronę pięknego rycerskiego ustroju społecznego, umie spojrzeć na życie oczami ubogich, nieurodzonych i wydziedziczonych. Poznał gorycz upokorzeń i nędzę poniżeń. Więc tych samych, ku którym ciągnie go cała natura, nienawidzi niechęcią ple-bejską, wzgardliwą i zawistną razem. Do tych splątanych uczuć dołącza się teraz żal o śmierć biskupa. Ludzie prawdę mówią, szczerą prawdę, że go zagryzło zmartwienie. Jedynego człowieka, którego Walter kochał, któremu bez zastrzeżeń wierzył, który w nim duszę obudził. Wielmoże go nie słuchali, przyprawili o śmierć — nie potrzeba ich oszczędzać! Raczej skrzyknąć te gromady, czekające tylko hasła, i wykonać testament Ademarowy, ruszając ku Jeruzalem. Z książętami, jeśli zechcą, bez nich, jeśli się po dobrej woli nie zgodzą...

Odkąd biskup z Puy nie żyje, rada wodzów snadniej może nazywać się swarnią niż radą. Wszyscy wykrzykują przeciwko wszystkim, skaczą sobie do oczu, chwytają za miecze, wychodzą trzaskając drzwiami. Toteż spokojniejsi, jak Godfryd lub Robert flandryjski, nie przychodzą na zebrania od pewnego czasu wcale.

Godfryd jest co prawda zupełnie do niczego. Wrócił z Edes-sy zwątpiały, zmarniały. Nie wiedzieć, czy ciało w nim chore, czy dusza, czy jedno i drugie? Nie ma co liczyć, by sam z siebie powziął jakieś postanowienie, narzucił innym swą wolę. Całe dni spędza na modlitwie, z której podniety do czynu zaczerpnąć nie umie.

Hugo de Vermandois od dłuższego czasu przekonywa baronów, że należy wysłać poselstwo do Ojca świętego z powiadomieniem o zdobyciu Antiochii i śmierci Ademara de Mon-

teil. Niech naznaczy na jego miejsce następcę. Na posła Hugo oczywiście wysuwa siebie. Popłynie morzem

do Bizancjum, stamtąd do Rzymu, postara się najrychlej wrócić. Morzem droga długo nie trwa... Przekonywa wymownie, bo strasznie mu się chce jechać. Lęka się zarazy. Przy tym nie wierzy, by kiedykolwiek ruszyli do Ziemi Świętej. Więc na co czekać? Piękne Syryjki wyjechały, gdy rozpoczęły się choroby. Nic go tu już nie trzyma. Nie uciekłyby na pewno jak Szczepan de Blois, gdyż jest dobrym rycerzem, ale jako poseł wyjechałby z rozkoszą. Dopieroż w kraju będzie mógł się chwalić swoim bogactwem, wiadomościami! Zawczasu przeżywał oszołomienie, jakie ogarnie tonącego w długach Filipa na widok zdobytych przez brata skarbów. Cóż? Trzeba będzie zasilić trochę tego biednego króla... A co za rozkosz opowiadać wszystkie przeżyte zdarzenia! Te cudowne nieprawdopodobne historie, jakim równych nie wymyślili żadni trubadurzy! Widział już siebie samego w licznych kole zasłuchanych niewiast. Dopieroż będą się dziwić! Zwłaszcza gdy w ciągu opowiadania przebierze się kolejno w strój grecki, potem w strój emira...

Nadspodziewanie łatwo wielmoże przystają. Im mniej ich będzie, tym mniej możliwości zatargów. A nużby Hugonowi przyszło do głowy rościć sobie również prawa do Antiochii lub którego z grodów sąsiednich? Jest na to wprawdzie za leniwy, lecz kto wie? Przykład działa... Zresztą oba splątane wieńcami byki-jelenie, Boemund i Rajmund, nie troszczą się o nic, co nie dotyczy ich sporu. Niech Hugo jedzie, skoro chce. Kapelan Arnuld de Rohes i kanonik Rajmund d'Aguil-lers wypiszą listy do Urbana II.

— Jaką podać przyczynę naszego przydługiego pobytu tutaj? — pyta nieśmiało kanonik.

— Po prostu — poucza Arnuld — że czekamy na nowego wodza wskazanego lub przysłanego nam przez Ojca świętego.

- Słuszna! Słuszna! — przytwierdzają wszyscy. — Czekamy na odpowiedź Ojca świętego.

Tankred słucha zły, zasepiony. Jest młodziakiem, z którym nikt się nie liczy i to doprowadza go do szału.

Poza tym ma wszystkiego pięćset ludzi, w tym połowa chorych. Nie może nic zdziałać sam.

— Skoro mamy czekać, aż grabią de Vermandois powróci — stwierdza świszczącym głosem — to znaczy, że o dalszym pochodzie nie ma co marzyć wcześniej jak za rok?

Boemund wzrusza ramionami lekceważąco.

— To się przecież tylko tak pisze, by wyglądało przystojniej... Ruszać możecie choćby dziś.

— Z wami, książę — podchwytuje Rajmund.

— Ja muszę zostać, zarządzać sprawami mojego księstwa.

— Wasze księstwo! Wasze księstwo! — wykrzykuje Rajmund, od razu nasrożony, jak zwykle, gdy się tknie tej sprawy. — Wasze księstwo jest w Italii, nie tutaj! Tu nic nie posiadacie, zarówno jak my wszyscy, krzyżowcy!

— Zbyt często rozprawiamy o tym, by mi się chciało ponownie język strzępić — odpowiada Boemund. Góruje nad Rajmundem opanowaniem. Nikt by nie poznał, że wewnątrz zapalczywego Italo-Normana wszystko się gotuje z gniewu.

- Nie myślę po sto razy dowodzić — powtarza — tego, co jest oczywiste.

— Oczywiste dla was jednego...

- Dla mnie też — popiera Robert normandzki.

— A dla mnie nie! — wykrzykuje zapalczywie Tankred nie zważając na piorunujące spojrzenie stryja.

- Biorąc tę rzecz prawnie — zaczyna uczenie Arnuld — książę Tarentu ma niewątpliwie słuszość. Cni baronowie zgodzili się oddać mu Antiochię, jeśli on ich do niej wprowadzi... Nie było żadnych zastrzeżeń co do dalszych losów grodu. Książę Tarentu zrobił swoje. Wprowadził cne rycerstwo w posiadanie miasta. Wszystko, co się później stało, nie może zmieniać samej rzeczy, że układ z jednej strony został dochowany, z drugiej — nie.

— Dziecko by to zrozumiało! — parska Boemund.

— Ale ja wtedy na radzie nie byłem, nie obiecywałem, zrobiliście ten układ poza mną i ja o nim nic nie wiem!

Boemund uśmiecha się pogardliwie.

— Zaiste, grabio, nie wiem, co bardziej podziwiać: wasz upór czy nierozsądek? Ja nie ustąpię. Słuszność jest po mojej stronie. Zmusicie mnie, bym przypuścił szturm do cytadeli i siłą stamtąd usunął waszych ludzi...

— Ja pierwszej uderzę na gród i usunę waszych!

— Próbuje. Jesteśmy przygotowani...

- Co za szczęście, że odjeżdżam — wzdycha z ulgą Hugo.
- A ja radzę pojedynek — woła Robert Krótkoudy. •— Nuże, walczyć we dwóch, który wpierw drugiego pokona...
Dobry sposób między dobrymi rycerzami — odrzuca Kajmund — z krzywoprzysięcą bić się nie będę... Ani ja z szaleńcem...
- Górze! Górze! Do broni!

— Chcicie waikii Będziecie ją mieli! Do mnie, Normany!
— My z wami! —• podbiega Robert.
— A ja z wami! — krzyczy z rozpaczą Tankred do Rajmunda, lecz grabią St. Gilles odsuwa go ręką z niechęcią.
— Nie potrzeba mi szczeniaka ku obronie — bełkocze. — Jeszcze się Prowansalczyki nie złęką NormanówL. Tuluza! Moja Tuluza!!,...
— Normandia! Do broni!
— Do broni! Tarento! Amalfi!

Co to?... Czy już w grodzie posłyszano o zwadzie i nadciągającej bitwie? Najpierw w katedrze, potem we wszystkich kościołach poczynają bić dzwony na trwogę, na lament, na opamiętanie...

•— ...Ej, na Boga, co się dzieje? Czy nieprzyjaciel podchodzi?!...

Książęta spoglądają wokół siebie zdumieni. W zacieklej złości wszystko widzieli czerwono i nie zdawał im się dziwny purpurowy odblask wypełniający komnatę. Spozstrzegają go dopiero teraz. Wybiegają na dwór. Czerwone pół nieba! Kłęby dymu i szeroka łuna na zachodzie... O, święty Jerzy, patronie! Podobna łuna na wschodzie!... Łuna na południu! Łuna, dymy, pęki skier w północnej dzielnicy miasta! Noc jest jaśniejsza niż dzień!...

— Miasto gore! Gore z czterech stron! Ratować miasto! Goreją pałace i kościoły! Domy, składy i bazy!... Gorzeje cała AntiochiaL.

Zapominając o sporze, rycerze każą giermkom trąbić. Gdzie ludzie! Żywo! Niech gaszą! Zbiegają się pasowani i giermcy, ale więcej... nikt...

— Pacholki! Służba! Sam tu! — wrzeszczą z wściekłością rycerze, lecz nikt nie nadbiega. Pożar huczy, niebo płonie.

I nikogo ze służby, nikogo. Co się dzieje!?! Nie ma rady, rycerze sami chwytają się wyprowadzać konie, ratować swoje dostatki. Z osłupienia tracą głowy. Nie pojmują, co się stało? Kto pali miasto?! Gdzie ciury?!... Na jaskrawym tle płomieni widzą uwijające się czarne postaci... Szatany to?... Biegną, skaczą i podpalają! Podpalają!

...Oblewają węgły domów cieczą służącą do ognia greckiego. Przykładają pochodnie do drewnianych misternie rzeźbionych krat okien. Gdzie przejdą — rodzi się ogień.

Najwidoczniej nieprzyjaciel podszedł znienacka, wybił pa-

chołków i chce zniszczyć miasto... Co żywiej zbierać się w szyki! Nacierać! Pożar huczy nad miastem, potrząsa płonąca grzywą. W zaroślach nadrzecznych przebudzone ptactwo kołuje wysoko z piskiem trwogi. W czarnej rzece odbijają się płomienie. Skry lecą zewsząd. Rżą przerażone konie. Z trzaskiem załamują się strawione płomieniem domy. Ogień łapczywie wyciąga żagwie po nowe. Zanim obejmie ściany, rozżarza je do białości, prześwietla, że przed spłonieniem stają się cudownie piękne. Każda rzeźba rysuje się ostro, ujawnia swój zarys i sens. Domy skupiają się w urodzie i jak w ekstazie oddają się ogniewi na ofiarę.
— Gdzie ludzie?! Gdzie ludzie?! — krzyczą bezradnie rycerze. Biegną kupą ku najbliższej bramie, pędząc zestrachane konie. Przebóg, a toż co znowu?! Jakież gromady rąbią, wywalają wrota, burzą mur, walą osękami w ściany... Burzą od wewnątrz!

— Nasze pacholę! — wrzeszczy przeraźliwie Robert. — Nasi ludzie!

Wzburzeni rycerze biegną z mieczem podniesionym. — Precz! Precz! Co robicie!?! Czart was opętał!?

Precz stąd w oczy mgnienie!... — Ciemne postaci, uzbrojone w pochodnie, topory, osęki, cofają się ławą o parę kroków, lecz nie ustępują. Patrzą na panów spode łba. Przed nich wysuwa się wysoka postać, znana wszystkim. Walter Bez Mienia. Na tle ognia wydaje się jeszcze wyższy. Miecz zdjął z szyi, opiera się na nim, spogląda wyzywająco.

— Precz stąd! Ogień zalewać!... — ryczy Rajmund. Walter ujmuje się ręką pod bok.

— Precz stąd, wielmożni! — odpowiada gromko. —• Precz stąd, jeśli nie chcecie oberwać po łbie!

— ...Ty... Ty... Bękarcie!... Gnojarszu!... Co tutaj robisz!?! Jak śmiesz?!
Walter śmieje się szyderczo.

— Co robimy? Dyć widzicie, szlachetni panowie; palimy gród! Nie ostanie z niego kamień na

kamieniu!... Ej, wy tam! Nie strachać się! Kupą stać! Wywalać bramy!...

— Pasy z was będziemy drzeć!... Żywo ćwiartować!... Cha-my podłe! Opamiętać się natychmiast!

Darujemy wam, jeśli zaraz zabierzecie się do gaszenia! Dalej! Dalej! Prędeż!...

Tłum milczy. Walter śmieje się. Ogień huczy. Przepalone belki trzeszczą. Dachy się zapadają.

- ...Łotry! Bydlęta! Obwiesie! Zalewać ogień, albo was^w nim spalimy!

•— Nie wiada, kto kogo spali... — pada z tłumu zuchwały **głos**.

—• Nie wiada, kto kogo... — podchwytną inni. Nie boją się wcale, wcale.

Rycerzom krew bije na lica. Zda się, że zaleje ich za chwilę, jak niegdyś Rajmunda. Z wściekłości dygoczą jak w febrze. Rzucić się z mieczem na zuchwalców?... Toż hańba bić się z hołotą!...

A pożar ogarnia już prawie pół miasta.

— Czego chcecie ostatecznie?! Co za dur was opętał?!...

— Chcemy iść bronić Grobu Świętego! — odkrzykuje cały tłum. — Chcemy iść do Jeruzalem!...

— Tyś ich namówił, ty podburzył, ty bękartie! Miecz masz z naszej łaski, przyodziewek z naszej łaski i ludzi do zła namawiasz!...

— Wiem, że bękart, nie potrzeba mi tego powtarzać. Nie namawiałem nikogo. Sami się zebrali mając dość waszej obłudy, waszej chciwości, waszego sobkostwa... Do Jeruzalem chcą iść! Skoro gród zniszczym, pójdziecie nie mając o co się spierać!

— Walter prawie gada! Gród Święty czeka, a my tu dziesiąty miesiąc stoim po próżnicy!

— Ślubowaliśmy Pana naszego bronić, nie o księstwa dla was walczyć!

— Chcemy iść!

— Chcemy iść!

— Ludzie, uspokójcie się! Przede wszystkim gaście ogień! Na miłosierdzie Boże, gaście ogień!

Potem się dogadamy, ruszemy wnet...

— A jużci!... Potem... potem... Nie wierzym wam! Biskup ze zgryzoty pomarł z waszej łaski!...

— Połowa nas zdechła tutaj z choroby, Jeruzalem nie oglądając!

— Gaście ogień, a przysięgamy, że karać was nie będziemy i wyruszymy natychmiast!

— Ho! ho! A jakąż rękojmię dacie nam, szlachetni? — pyta urągliwie Walter.

— Na cześć rycerską obiecujemy.

— Na cześć rycerską? Ślubowaliście na nią iść do Jeruzalem i ot jak dotrzyмалиście! Nie wierzym! Wiatr wasze przysięgi! Wiatr!

— Kłamiesz! — krzyczy Rajmund z pasją, doskakując do

Waltera. Chce mu wymierzyć policzek. Walter załapania się spokojnie mieczem.

— Bóg widzi, kto kłamie. Ja, bękart, czy wy, urodzeni. Widziałem was, grabio, w kościele w Clermont. Wyciągaliście prawicę ku ołtarzowi, ślubując... Coście ślubowali: obronę Grobu Świętego czy stróżę nad księciem Tarentu, by się zbytnio nie wzbogacił? Bo ninie o to tylko wam chodzi, a Grób Święty niech przepada!

—• Boże, Boże, prawie mówi! — jęczy Tankred łamiąc dłonie w męce wstydu. Rajmund z purpurowego staje się bładym jak trup.

— Nieprawda! — woła. — Jam ślubowania nie złamał!

Chrystusa tylko stoję! Nie o siebie! Nie o siebie!

— To czego j tu warujecie!

Rajmund opuszcza miecz. Nagle jak gdyby mu coś się w głowie przełamało, odemknęło, błyska myśl, że może Walter ma słusność?... Ta gawiedź podła ma słusność! Nie dotrzymał ślubowania! Nie dotrzymał ślubowania! Niechby sobie Boemund brał Antiochię i dziesięć innych grodów, niechby sobie Baldwin królował w Edessie... Ich rzecz! Ich grzech!... Ich złamanie wiary!... Co go to obchodzi!? On, Rajmund, wyrzekł się własnej ojczyzny, by Jeruzalem ratować, a cóż tu czyni od roku?!...

Ogarnia go rozpacz, wstyd, że nie otrzeźwiał sam z siebie, musiała mu hołota wytknąć, że tak czynić nie Iza, ogarniają spóźnione wyrzuty i żal, a że jest równie porywczy w dobrym jak w złym, w skrusze jak w uporze, pada na kolana, szlocha głośno, bije się w piersi pięścią z całej mocy. Oświetlony luną bełkocze w głos:

— Zgrzeszyłem! Wybacz mi, Panie! Zgrzeszyłem! Lecz teraz pójdę! Przysięgam!

— Zali mamy wam wierzyć?... — waha się Walter.

— Nie wierzyć! Nie wierzyć! Precz z panami!... — huczy tłum.

Poprzednia rozterka ogarnia Waltera. Znów czuje się równocześnie podpalaczem, przywódcą zbuntowanej gromady

jednym z tych baronów po raz pierwszy poniżonych... Już mimo woli przechodzi na ich stronę. Rad by uwierzyć.

Godfryd staje obok Rajmunda. Podnosi umęczoną twarz ° brodzie na poły siwej. Nadjechał tu ocknięty pożarem. Był świadkiem całego zajścia. I w nim obróciło się serce, zajęczała dusza. Grabią St. Gilles grzeszył zaciekłym uporem, °n zatonął w osobistych niepokojach i zmartwieniach. Skutek

̄
Krzyżowcy t. III/IV

postępowania obu był ten sani: bezwład, zaniechani^ świętego celu podróży...

Zdjęci skruchą i żalnością, porażeni wstydem, Rajmund, Godfryd, Tankred wyciągają jednomyślnym ruchem prawice, mówiąc z wolna, głośno, uroczyście:

— Posłuchajcie, chrześcijanie! Zgrzeszyliśmy wobec Boga!... Wyznajemy to, korząc i kajając się...

Boże, bądź nam miło-ściwi! Boże, bądź nam miłościwi Boże, bądź nam grzesznikom miłościwi...

Ślubujemy natychmiast ruszać z wami pod Jeruzalem, nigdzie się bez potrzeby nie zatrzymując, wszystkiego niechając, nie spoczywając, aż wyzwolimy Grób Miłosiernego Pana naszego z pogańskiej niewoli!... Ślubujemy to na cześć rycerską i na zbawienie duszy! Bóg tak chce!...

— Bóg tak chce! Wierzymy wam — przytwardza poważnie Walter. — Ludzie! Wracać do siebie, każdy na swoje miejsce!...

— Przede wszystkim gasić ogień! Wszyscy do gaszenia ognia! — woła Boemund z ulgą w głosie.

Stojącym nieruchomo z toporami i osękami w rękach pachołom to zakończenie nie idzie w smak.

Zaledwo poczuli się w sile. Swoboda tylko co się zaczęła, a już miałyby się kończyć?... Ociągają się mrużąc. Ale Walter nie żartuje.

— Na miejsca! — krzyczy powalając najbliższego mocarną pięścią. — Czynić, co wam każą! Gasić ogień! Słyszeliście?!

Lecz Walter nie wszędzie jest obecny, a tłum łatwo ruszyć, zatrzymać trudno. Hasło: „precz z panami” ogarnia serca jak ogień domy. W ostatecznym wyniku więcej niż tysiąc rycerzy i giermków szlachetnie urodzonych legło tej nocy niesławnie zarąbanych toporami lub zatłuczonych drągami. Srogi plon. Pałace wspomnienie zdarzenia, świadomość, że można uderzyć na panów i pokonać ich — pozostanie niezatarte w sercach, przywędruje żywe z 'niedobitkami, co wrócą do Europy jako jedna z najtrwalszych zdobyczy krucjaty.

Choć wstrząśnięci do głębi baroni gotowi byli ruszać istotnie tej samej nocy, odejścia wojsk nie dało się skutecznie wcześniej jak w dwie niedziele po pożarze grodu. Należało bowiem wprawdzie zebrać cały sprzęt potrzebny do pochodu, poddziałać zdrowych od chorych i tych ostatnich poumieszczać w ocalałych domach miasta lub w klasztorach położo-

nych za murami, pod opieką mnichów i mniszek syryjskich. Wielu spośród nich ozdrowiało na samą wieść o pochodzie i błagali, by pozwolić im ruszyć wraz z innymi. Wydobrzeją na pewno po drodze. Do takich należał Zbylut Strzegonia. Chorzał od dłuższego czasu na krwawą biegunkę.

Wysechł jak szkielet, oczy uciekły pod czoło, ale pozostawać nie chciał.

— Ty byś mnie rad widział co rychlej umartwionego •— syczał do Imbrama — ale ja chcę żyć... I będę żył... Ino mnie wywieźcie z tego zapowietrzonego grodu... Ino mnie wiatr owionie...

Ozdrowieję...

— Zgoła ci śmierci nie życzę — mówił Imbram wzruszając ramionami — ale bacz, że nie ujedziesz na wozie ani jednego dnia... Zembrzesz w pochodzie... Wolej ostań w klasztorze, a skoro ci się poprawi, dogonisz nas łącno...

— Nie ostanę! Rozumiesz!?

— Twoja wola. Wóz każę godnie wymościć.

— Byle prędzej ruszać, byle prędzej ruszać — narzekał Zbylut. — Kiedy wychodzą? Dziś? Jutro?

— Nie wcześniej chyba jak za cztery, pięć dni... Konie trzeba wszystkie kuć... Wozy się porozsychały, namioty zeszłej zimy na szczyt zgniły od deszczów... Trzeba je dopiero naprawiać... Grabią pogania jak może, ale cóż poradzi...

— Spiecha się teraz... Szkoda, że się nie śpiechał rok temu...

Rajmund rzeczywiście poganiał, jak mógł. O ile przedtem zaciętrzewił się, że zostanie, o tyle teraz z tą samą gwałtownością parł do szybkiego odejścia. Był wszędzie obecny. Objął całe wojsko w karby żelazną i sprawną dłońią. O każdej porze widziało się w obozach jego twarz wstrząsaną drgawkami, wysoką postać, słyszało bełkotliwy głos, wydający trudne do zrozumienia rozkazy. Towarzyszyli mu nieodstępni de Foix, Jastrzębiec i de la Tour, za którym ziewając stąpała równie nieodstępna lwica. Nikt się nie sprzeciwił temu, że grabią St. Gilles przemawia jak naczelny dowódca. Boemund zostawał na miejscu, biskup nie żył, siłą rzeczy pan Tuluzy wysuwał się na czoło, obejmował władzę, górował nad zeszkapiałym, zdręchłym Godfrydem i oboma Robertami, z których jeden za mało mówił, a drugi za mało myślał.

Boemund, siedząc w uratowanym od ognia pałacu Dżagi Sjana, mówi do Arnulda de Rohes:

— ...I za sto lat nie naprawi się szkód, co te łotry/zrobiły podpalając miasto. Bodaj ich piekło schłonęło!

Jedno dobre, że się ta sprawa nareszcie skończyła i moi mili towarzysze krzyżowcy wychodzą...

Rajmunda jak narowistego konia ogniem trzeba było wysadzić z miejsca... Inaczej nie byłby się ruszył.

— Pewnikiem co nie — potakuje Arnuld.

— A cóż wy, kapelanie, robicie ze sobą? Jakom kiedyś rzekł, w zamian za dobre rady i pomoc ofiaruję wam stolec patriarchy antiocheńskiego... Chyba niezły kawałek chleba? Lepszy niż wysługiwanie się durnemu Robertowi?...

Arnuld składa pobożnie ręce na piersiach.

- Bóg zapłać, książe — rzecze — niegodnym tego zaszczytu. Ślubowałem przyczynić się do wyzwolenia Świętego Grobu... Przeto ostawać nie mogę...

— Jak chcecie — rzuca obojętnie Boemund. Spojrzał badawczo na kapelana i gwizdnął końcem ust przeciągle. Być patriarchą to mało dla tego chytrego klechy? Czegóż chciał jeszcze? Co mu się roilo po głowie?...

— Róbcie, jak chcecie — powtórzył — ja nic więcej ofiarować wam nie mogę...

Rozdział ósmy ŻYWI I UMARLI

Hugo chodzi po komnacie fraszobliwie. Nie wie, co począć. Otrzymał już listy do Ojca świętego, może choćby dziś jechać. Może jechać. Do Bizancjum, do Rzymu, do Paryża. Może wrócić do poprzedniego wygodnego sposobu życia nie narażając się na wstyd ni wymówki niczyje, gdyż nie ucieka, jeno wyjeżdża jako poseł... Lecz równocześnie drzemający od roku krzyżowcy ruszają dalej. Spór Boemunda z Rajmundem rozwiął się jak dym pożaru. Za tydzień najdalej wojska wychodzą. Więc jakże -nie .iść z nimi? Trudny wybór! Wrodzone lenistwo podsuwa rzekomą ważność poselstwa. Wprawdzie poselstwo to zostało wymyślone ad hoc przez niego samego, by upozorować wyjazd, lecz im bardziej nad nim myśli, tym bardziej zdaje mu się ono konieczne i potrzebne dla dalszych losów wyprawy. Gotów jest szczerze przysięgać, że tylko troska o dobro krucjaty natchnęła go tym zamiarem. A równocześnie, jak na złość, oni mają iść do Ziemi Świętej! Nie mogli namyślić się wcześniej, nie mogli poczekać do jego wyjazdu, tylko teraz, właśnie teraz, by go wprowadzić w rozterkę! Co wybrać? Towarzyszyć im czy odjechać? Odetchnąć swobodnie czy dopełnić ślubowania do końca? Głowił się i złościł, gdyż głowić się nie lubił. Chciało mu się jechać jak dziecku, a tu powinność rycerska, a tu szacunek dla samego siebie... Myśli pięknego strojnisia biegały w kółko jak wiewiórka w klatce. Wyzwolenie leżało przed nim, a podświadomy instykt rycerski wzbraniał zeń korzystać. Więc nowy, uciążliwy pochód przez niewiadome góry, pustynie... O Boże!..., Jakże mu to już obrzydło! A zaraza... Aż się wzdrygnął na jej wspomnienie. Złudzeniem nadzieja, że pozostanie ona w grodzie. Powlecze się za nimi na pewno, zwłaszcza skoro tylu niemocnych upiera się przy wyjeździe. Na pewno będzie ich w dalszym ciągu dziesiątkować Ten ostatni wzgląd przeważył szalę myśli królewskiego brata. Na suknię świętej Genowefy! Nie boi się śmierci ni

miecza, lecz boi się choroby. W ostatnich dniach napatrzył się dość rozmaitych schorzeń, czyniących z silnych wojów żałośliwe zdechlaki. Nie! Nie! Wszystko, tylko nie taka śmierć, obrzydła, smrodliwa, nierycerska!

Zatrząśł się cały i postanowił, że jednak... pojedzie. Pojedzie i wróci. Wszakże Jerozolimy tak od razu nie zdobędą? Pozostaną pod nią kęś czasu. Zdąży nadpłynąć w porę, by w walce jeszcze wziąć udział i ślubowania dopełnić...

Wesoły jak ptaszek rycerz jął się zbierać do wyjazdu. Porzucał z lekkim sercem gościniec krzyżowców, na który, wbrew najszczęszszym zamiarom, nie miał już powrócić...

Inne przyczyny niż grabiego de Vermandois powodowały zmartwienie Tankreda. W czasie pożaru kwatery jego spłonęła całkowicie wraz ze wszystkim, co posiadał. Nie miał pieniędzy, kosztowności, odzienia, broni. Nie miał niczego. A chciał iść. Chciał zebrać swoich kilkuset ludzi, zdolnych jeszcze do walki, i ruszać, jak o tym marzył od początku. Lecz jakże zaopatrzyć oddział we wszystko, co do

pochodu potrzebne, nie mając grosza przy duszy?! Znajdujące się w Antiochii mienie już nie jest zdobyczne, stało się dawno prawą własnością czyjąś i można je jedynie kupić... Drogo kupić... Ze stryjem nie rozmawia wcale od chwili, gdy stanął na radzie po strone Rajmunda. Co prawda Boemund udaje bardziej zagniewanego, niż jest w istocie. Zdaje sobie doskonale sprawę z kłopotliwego położenia, w jakim znalazł się jego brataniec, i gotów mu jest pomóc pod warunkiem, że chłopiec sam się do niego o to zwróci, przepraszając za ówczesny nieprzebaczalny wybryk. Czeką na to. Na razie śledzi spod oka niespokojne poczynania i rosnące rozdrażnienie Tankreda. Boli go, że chłopak ociąga się tak długo i chodzi jak struty miasto przyjąć wprost. Czyż nie wie, że nie ma rzeczy, której by mu stryj nie przebaczył? W zimnym, wyrachowanym umyśle księcia Tarentu Tankred zajmuje jedyny istniejący tam kątek bezinteresownego uczucia, stanowi błękitną smugę nieświadomej tęsknoty za czymś lepszym. Boemund kocha w nim te zalety, których sam jest pozbawiony. Tankred ma być jego dziedzicem. Wspaniałe księstwo Antiochii będzie do niego należeć. I przyszły właściciel najbogatszej prowincji syryjskiej martwi się teraz z powodu braku

kilku kóp hyperperosów! Ależ Boemund da mu ich, wiele zechce! Tylko niech się pierwszy odezwie... Lecz Tankred nie widział lub nie chciał widzieć zachęcających spojrzeń stryja. Czuł do niego nie zagojony żal za zmarnowany ostatni rok i okazaną chciwość. Innego rodzaju, ale równie ostrą niechęć żywił do Rajmunda, który go nazwał szczeniakiem. Tankred wyzwiał go nazajutrz po pożarze, lecz grabią Tuluzę, pochłonięty myślą o Grobie Świętym, odłożył spotkanie do chwili, gdy ślub będzie dokonany.

Wszystko to razem wzięwszy wystarczyło, by Tankred chudł ze zgryzoty i kłął cały świat. Dzień naznaczony na odejście wojsk zbliżał się. W ostatecznej rozpaczy postanowił zaciągnąć się jako najemnik w służbę Roberta flandryjskiego lub Godfryda. Sam zamysł kosztował niemało jego dumę wolnego rycerza, uważał to jednak za lepsze niż zaciąganie pożyczek. Możliwości zwrócenia się do stryja nie brał wcale pod uwagę. Między nimi wszystko skończone. Tak, skończone.

Tankred rozstrzygał każdą sprawę jasno i twardo jak mieczem, toteż bez dalszych wahań i ociągań udał się do Godfryda.

— Jeżeli moje usługi, panie, mogą wam być pożyteczne, godzę się w waszą służbę na zwykłych warunkach zaciężnych...

Godfryd spojrzawszy ze zdumieniem i niedowierzaniem.

— Zaciągnąć się?! Wy, rycerzu? W jakim celu?!

— Cała moja chudoba spłonęła — odparł szczerze Tankred. — Nie mam czym zaopatrzyć ludzi.

— Nie macie pieniędzy?! Ale wasz stryj jest teraz bogatszy, niż my wszyscy razem wzięci!...

— Cóż to znaczy, że książę Tarentu jest bogaty?... — zapytał hardo Tankred płoniąc się jak róża. — Ja nim nie jestem...

— Ha, skoro tak... Będę szczęśliwy, mogąc nagrodzić częściowo krzywdę, jaką wam niegdyś wyrządził mój brat... O zaciągu mowy nie ma, ale proszę, przyjmijcie ode mnie pięćset bezantów... Oddacie, kiedy wola...

— Nie proszę o pożyczkę — odparł Tankred czerwieniąc się ponownie — ani urazy do Baldwina nie zamienię na złoto. Będę się z nim potykał przy pierwszej możliwości... Zapytuję was, książę, zali przyjmiecie mnie w służbę czy nie?

• — Niech tak będzie. Zaciągam was na wyprawę wypłacając z góry żołd. Mój wiernik przyniesie pieniądze do kwatery.

•

Podali sobie prawice na potwierdzenie układu. Tankred powrócił uspokojony. W mieszkaniu zastał ze zdziwieniem Boemunda.

Książę Tarentu był zmieszany, może po raz pierwszy w życiu.

— Nie widuję cię wcale — zaczął na pozór swobodnie — więc zaszedłem dowiedzieć się, co z tobą...

Pewno trzeba ci pieniędzy, boć wiem, że wszystko, co miałeś, zgorzało...

— Dziękuję — odparł Tankred patrząc chmurnie w bok. — Nie potrzebuję niczego...

— Pożyczyłeś? Od kogo? Ja zwrócę...

— Nie pożyczałem. Zaciągnąłem się na żołd księcia de Bouillon...

Boemund skoczył jak oparzony.

— Jak mogłeś coś podobnego zrobić?! Ty, na żołąd?! Nigdy nikt z twojego rodu nie służył nikomu... Swoi właścini byliśmy... Ty, najemnik!?

— Nie miałem innego wyjścia...

— A ja?... **?*? zapytał cicho Boemund.

— Och... — Tankred wykonał nieokreślony ruch ręką, jak gdyby usuwał coś z pola widzenia.

— Obraziłeś mnie ciężko, a ja mimo to pierwszy przychodzę do ciebie...

— Ja obraziłem was? Kiedy?...

— Cóż to, nie pamiętasz?! Obraziłeś mnie łącały ród! Przeciw mnie stanąłeś po stronie Rajmunda St. Gilles...

— Słuszność była przy nim...

— Słuszność! — Boemund roześmiał się gorzko. — W czym jego słuszność zdała ci się lepsza od mojej?... Jeden biskup z Puy miewał może słuszność prawdziwą, spoza świata pochodzącą, ale Rajmund?! Jedyna różnica między nami dwoma to ta, że on zawsze postępuje głupio, a ja mądrze...

— Nie bronię Rajmunda, z którym bić się będę, ino do Jerozolimy wejdziem, ale wy, stryju, nie postępujecie jak dobremu rycerzowi przystoi...

— Słuchaj, gdyby mi to kto inny powiedział! Słuchaj! Nie nadużywaj mojej słabości dla ciebie...

Opamiętaj się, chłopcze! Cóżem ja zrobił złego, twoim zdaniem?

— Wszystko! — zakrzyknął Tankred zapalczywie — wszystko, co się dzieje od roku! I zdradzieckie zdobycie, i zatrzymanie grodu dla siebie, i oszustwo ze świętą Włócznią i na koniec to obłąkane pozostawanie tutaj, to marnowanie wojska, czasu! Wszystko!

— Iak — rzekł przeciągle Boemund. — Jak to łatwo mówić! Bardzo prosto bierzesz życie, mój mały.

Dobre to, póki .się jest otrokiem, nie mającym nic na głowie, nie zaś, gdy się chce rządzić ludźmi...

Spróbuj no spojrzeć na tę sprawę od innej strony... Przypuśćmy, że nie popełniani żadnej z zarzucanych mi przez ciebie zbrodni... Milczę i patrzę, co oni robią, jak Robert flandryjski. Siedzimy pod Antiochią do chwili przyjsia Kerbogi, który nas miazdzy bez ratunku... Wielka stąd korzyść dla Grobu Świętego... Co?... A potem?

•Dlaczegoż to ja miałem ustępować Rajmundowi, nie on mnie? Ja z Antiochii uczynię ppteine chrześcijańskie państwo, stanowiące dla was oparcie, a w przyszłości, gdy Jeruzalem będzie zdobyta, cennego sprzymierzeńca. Bezpieczne plecy... Cóż zaś chciał zrobić Rajmund? Oddać ją Aleksemu na zaprzepaszczenie, na nieudolne rządy greckie. Niby przez po-szanowanie-przysięgi, z której sam Aleksy się śmieje! Miasto swojaka mielibyście w Antiochii Tatikiosa, gotowego każdej chwili sprzymierzyć się przeciw wam z Saracenami!?! Co lepsze? Pomyślże?!

- Nie chcę myśleć! — krzyknął Tankred. — Wiem, co jest uczciwe, a co nieuczciwe i wiem, że rycerz, ma'uczciwie postępować nie dbając, czy to przyniesie korzyść, czy szkodę! Nie chcę myśleć!

Boemund wzruszył ramionami.

— Kiedyś, gdy podrośniesz, może nabierzesz rozumu... Inaczej mnie osądzisz... Tymczasem odeślij Godfrydowi jego pieniądze i powiedz, wiele ci trzeba...

— Dziękuję, już powiedziałem, że nie chcę...

— Wolisz być najemnikiem niż przyjąć ode mnie?...

— Tak, bo książę Lotaryngii postępuje uczciwie...

— Godfryd?! Pięknie by świat wyglądał, gdyby wszyscy byli podobni do tego świętego przygłupka! A i on miał jakąś szpetną historię z bratową... Nie słyszałeś... Dlatego Baldwin odjechał...

— Nie chcę nic wiedzieć! Nie chcę nic słyszeć! — zawołał z rozpaczą Tankred zasłaniając uszy. — Wolej zginąć, niżli natykać się wszędy na świństwo! Wolej zginąć!

To najłatwiej — mruknął Boemund posepnie. — Więc cóż?... Tak się rozstajemy?...

Głos księcia Tarentu brzmiał prawie pokornie. Tankred za-iamął z pasją ręce, aż palce chrzęstnęły, i, nic nie mówiąc, wyleciał z komnaty.

Wojska mają już jutro wychodzić, lecz Zbylut nie dożyje: tej chwili. Na zegarze śmierci nie zostało dlań więcej jak parę godzin. Brat sprowadził zamawiaczkę, bardzo podobno skuteczną, odeszła nic nie zdziaławszy. Czyli że taki jest wyrok boski, któremu opierać się nie należy.

Imbram siedzi przy chorym sam. Łoni przy Głowaczu czuwali uczciwie wszyscy swojacy, modląc się i zalety umierającego rozpamiętując. Wysłali umysł, by nic nie ominąć,, co by duszy odchodzącej mogło ostatnią wędrówkę ułatwić i pomyślne przejście z jednego świata do drugiego zapewnić. Teraz im to-nie w głowie. Otraskali się ze śmiercią swoją, cudzą, zobojetnieli na sprawy rodowe. Dziś umiera ten, jutro tamten. Nie przychodziło im dawniej do głowy, że życie ludzkie może tak mało znaczyć. Zresztą zajęci są wszyscy przygotowaniami. Przecież jutro wychodzą!

Imbram siedział z obowiązku, choć wolałby osobiście dopilnować, czy Benito i Sobek o niczym nie zapomnieli. Nudził się, ziewał, chwilami drzemał znużony upałem. Dopiero kwiecień, a już tak gorąco! Poruszył się niespokojnie, spostrzegłszy, że Zbylut od dłuższego czasu wpatruje się weń nieżyczliwie, a tak uparcie, jak gdyby cała od lat żywiona niechęć ku młodszemu bratu skupiła się na tę chwilę.

Imbram podniósł się i podszedł do łoża.

— Dać ci co? Wody chcesz?

— Nie chcę nic... Bacz, że będę pierwszy doma... — mówił chory wysiłonym szeptem.

Imbram pokiwał głową zdawkowo, ale Zbylut wbrew jego mniemaniu był najzupełniej przytomny. Patrzył z chorobliwą nienawiścią na brata, tęgiego brata, który stoi, nie leży, rusza się, jutro wychodzi z wojskiem... Ten brat! Zabrał mu ukochaną kobietę, a teraz pozostaje zdrow, gdy on, Zbylut, umiera! Jaki się zrobił barczysty, jak rozrósł się, rozwinął! Nauczył się mnóstwa rzeczy. Ma mir powszechny. Powróci doma okryty sławą, jedyny z trzech braci Strzegoniów. Tamci dwaj pogniją w Azji... Powróci... Zastanie żonę... Będą się witać radośnie... O niedoczekanie! Niedoczekanie!

— ...Słuchaj — marniał przez zaciśnięte zęby. — Będę taro pierwiej niż ty... Będę dziś jeszcze... I wszystko powiem...

Imbram usiadł na ławie przy łożu, kołysząc głową niepewnie. Wciąż myślał, że Zbylut bredzi, i lęk go brał, jak

.gdyby już rozmawiał z duchem. Zapragnął żywnie, by którykolwiek z towarzyszy wszedł. Lecz nie nadchodził nikt.

— Wiem, co gadam — szepnął Zbylut, jakby zrozumiałwszy jego myśli. — Pójdę doma powiedzieć prawdę o tobie...

Imbram pochylił się naprzód.

— Słuchaj, Zbylut — rzekł — za co ty mnie tak nie cierpisz?

— Nie wiesz? — zdumiał się chory otwierając szeroko oczy. W zapadłej twarzy wydały się cudacznie wielkie, świecące jak oczy widma.

- Isto nie wiesz? — powtórzył.

— Pytałbym, jakbym wiedział?...

— Nie wiesz, żem miłował Ofkę?

- Ofkę!? Miłowałeś?! Ty!?

— I miłuję teraz i zawdy, a ona wybrała ciebie, chłystku, ciebie, zgniłku, coś ją zabaczył, coś z inną legał, co o nią nie stoisz... O co ty stoisz?! Coś ty jest? Odmieńcze! Niezguło! Niezralcu!

Syczał, płonącym wzrokiem wpatrując się w brata. Imbram nie zwracał uwagi na obelgi, pochłonięty nagłym odkryciem. Zbylut miłował Ofkę?! I nigdy się z tym nie zdradził! I nikt się tego nie domyślał! I żyli pospólnie, tak mało się znając! Błyskawicznie stanęły mu w myśli przeróżne błahe na pozór zdarzenia, słowa dotąd nie zauważone a ninie potwierdzające nieoczekiwane wyznanie. Zbylut miłował Ofkę! Pochylił głowę przygnieciony zawiłym splotem uczuć. Słowa brata ożywiły w pamięci zbladła postać ukochanej, Wskrzесиły ją niby żywą. Jasnowłosa, zwiewna rusałka śląska iachybotąła się prawie widomie nad myślami obu braci, żywego i konającego.

- Miłowałeś Ofkę... — powtarzał Imbram, nie umiając powiedzieć nic więcej...

Zapomniana, zepchnięta na dno myśli zdrada żony przypomniwała się nagle tak boleśnie i dotkliwie, że jęknął przysłaniając oczy. Ach, bo Zbylut nie mógł wiedzieć, jak bard/o brat zawinił! Spać z inną kobietą zdarzało się każdemu, i żaden mąż nie przywiązywał do tego wagi. Ale on pozwolił zaczarować nieobecna! Nie ruszył palcem, gdy obca nałożnica sprawiała tajemne praktyki, mając na celu krzywdę Ofki, sodę Ofki, jego niewiasty, matki uznanego syna! W tym kwiała jego wina ciężka, niegodziwa! Choć Zbylut o tym nie dzjał, Imbram spuszczał oczy milcząco. Jak mógł tak po-

stąpić! Dziś, gdy urok Alochy zwietrzył ł uleciał, sam nie wierzył, że coś równie podłego uczynił!

— ...Ja jej powiem... Ja ją obaczę... — rzeżał chrapliwie Zbylut.

— Będziesz ją straszył!? — zapytał Imbram z przerażeniem.

— ...Zakołatał w ścianę domu... Odezwę się w siostrza-nie... Psy będą wyły na śmierć... Wejdę do niej do komory... — szeptał półprzytomnie Zbylut.

— Nie śmiesz tego uczynić! — zakrzyknął Imbram z rozpaczą.

Zbylut skrzywił się jadowicie, po swojemu.

— Ty mi zabronisz?

— Ja zabronię!

— Ciekawym jak?!

— Ja cię proszę! Błagam! Bracie!... — upadł na kolana usiłując ucałować rękę chorego.

— Idź precz! — chrapał Zbylut. — Idź precz! Teraz ona moja... moja...

Umilkł wytrzeszczając błędnie oczy. Chwyciła go czkawka. Imbram nie podnosił głowy. Rozumiał, że brat umiera. Należało natychmiast przynieść gromnicę, wezwać towarzyszy-wo-jów, odmówić modły...

Przygotować ziemie ojczystą, trzymaną w woreczku na piersi. Postawić miskę z wodą i węglem brzozowym u wezgłowia, by dusza odchodząca miała się w czym okąpać. Na progu izby położyć miotłę i siekierę... Uczynić to wszystko jest jego obowiązkiem, przy tym ostatnią nadzieją ubłagania złego brata... Jednakże nie czynił nic. Ukrywając twarz w dłoniach, widział przed sobą nieustannie to Ofkę, jego Ofkę, wydaną na łup mściwego upióra, dygoczącą z lęku, płaczącą z okrutnej trwogi, to ową chwilę na dorylejskiej równinie, gdy Głowacz przyzywał Strzygę. Widzi lecącą przeraźliwą zjawę, tak jak im się objawiła. Na samo wspomnienie dreszcz przechodzi, włosy się jeżą, krew stygnie. Zbylut bą-dzie taką samą zjawą. Drugą w rodzie strzygą, jeno złowieszczą, nie błogosławioną. Będzie się snuł po starym dworzysz-czu, będzie kłapał zębami, świecił próchnielizną kości, wsłi-źnie się w komorę Ofki... I nic na to poradzić nie można!? Boże! Miłosierny Boże!

Chory rżęzał, chrapał, czał, gadał coś bez związku, na koniec ścichł zupełnie. Imbram nie zwracał na niego uwagi, pochłonięty grozą dręczących obrazów. Nie wiedział, jak długo

tak siedzi. Ktoś go szarpnął za ramię. Oprzytomniał. Momot j Jasiek Zawora.

— ...Po... po... po... marł! — mówił z oburzeniem starszy — a... a... a... niś mu światła nie zażgnął, ani r... r... rąk nie złożył... Mo... mo... można z bratem się wadzić, a na śmierć za... za... zaopatrzyć!

— Pomarł? — powtórzył Imbram bezmyślnie.

Spojrzał na trupa. Zżółkła, wyniszczona twarz już zastygła. Powieki pozostały nie domknięte i Momot daremnie usiłował je teraz zamknąć, bo już skrzepliły.

— N... n... nie przystoi... — powtarzał zgorszony, krzając się, by jeszcze cokolwiek choć po czasie zładować. — R... r... ruszże się! — zachnął się gniewnie na Imbrama — trza go prze... prze... przeoblec i złożyć...

- Kaj?

- W sklepie chy... chy... chyba... Sklep tu do... do... dobry... głęboki... We... wejście przyrzucim kamieniami.

Imbram podniósł się ciężko bez słowa. Nie był w stanie przemówić. Przymknięte oczy brata zdawały się spoglądać szyderczo, drwić z niego, grozić. Odczuwana bezsilność przytłaczała rozpaczą. Jak walczyć ze zmarłym? Co mu uczynisz, czym ubłagasz? Oto leży zewłok martwy, możesz z nim robić, co chcesz... Jest obojętny jak szmata, jak porzucone odzienie. Duszyca poszła już kędyś, gdzie jej nie dogonisz. Trzy doby tylko musi trzymać się w pobliżu ciała, po czym wyzwolona pójdzie, gdzie zechce, gdzie ją ostatnia przedśmiertna chęć poniesie..".

— Pomarł biedak jak serwiens, jakby do rodu nie należał... — biadał Jasiek Zawora z wyraźnym wyrzutem w głosie. Imbram nieczuły był na te przymówki. Co mogli wiedzieć o jego męce, udręczeniu, o straszliwej groźbie rzuconej przez umierającego? Te sprawy tajemne leżały wyłącznie między nim a trupem chytrze ślepiącym, jakby radował się, że znenawidzonego brata pognębił, odebrał mu spokój, zatrul wszystkie dni żywota.

Wzruszając ramionami nad karygodną obojętnością Imbrama, obaj Zawory z Nowiną Dębem zajęli się pochówkiem. czuwaniu jak przy zwłokach Głowaczowych nie było mowy, gdyż nazajutrz wyruszano. Ciało Zbyluta Strzegoni zostało złożone tegoż dnia do lochu znajdującego się pod domem zajmowanym przez rycerzy. Gdy zamczyste, kute drzwi przywalano kamieniami, Imbram odczuł pewną ulgę i rozejrzał się spokojnie. Była to jednak ulga krótkotrwała i zanim wieczór

nadszedł, udręka wróciła znowu. Cóż dla ducha znaczył kamień? Przejdzie skroś każdej ściany... Nie zatrzymasz go niczym... Gdy późno w noc siedział w izbie sam jeden, zdało mu się, że brat stoi za nim, śmieje się zgryźliwie jak za życia. Wtedy próbował się modlić. Ale modlitwa nie chciała spłynąć na wargi i w serce. Więc przyzywał Głowacza, dobrego starszego brata, opiekuna rodu. I to nadaremnie. Głowaczowy duch siedział daleko stąd, we dworze, w uczciwym kącie dziadów. Nie było nikogo ku pomocy. Nienawiść sprzeczną z łagodnym usposobieniem Imbrama ogarniała go przemożnie. Podniecało ją podświadome poczucie winy, własnej winy. Gdyby on, Imbram, nie pozwolił zaczarować Ofki, żaden upiór nie miałby do niej dostępu. On pozwolił zerwać łączność małżeńską przy ołtarzu stułą zawiązaną. Sam wydał na zgubę swoją jasnowłosą, swoją miłą, co mu tak wierzyła, co go tak czekała! Dręczył się, daleki od snu, to rozprawiając z bratem, to z sobą samym. Czyż nie ma obrony przed zmarłym?! Jest, owszem. Chronią woda i nóż, ale jak uprzedzić Ofkę, jak ją ostrzec? Jak tu duszę Zbyluta zatrzymać?

Myślał długo, aż uderzył się dłonią w czoło. Znalazł. Był przecież sposób stary, pewny, niezawodny. W zwykłym czasie Imbram wolałby skonać, niżli go użyć, lecz tu chodziło o spokój Ofki, Ofki okrutnie przez

niego skrzywdzonej! Bez wahania wstał, wysuwając się na palcach, by nie zbudzić śpiącego w sąsiedniej izbie Benita. Ale chłopiec miał czujny sen i na szelest kroków podniósł rozspaną głowę.

— ...Wasza Miłość?...

— Możesz spać — mruknął Imbram — niepotrzebnyś mi. Chłopak nurknął w posianie z powrotem.

Rycerz wszedł

na dziedziniec, niegdyś wyłożony porcelanowymi płytkami. Płytki zostały potłuczone przez konie i ludzi, którzy rąbali tu drzewo, fontanna wyschła, a sam plac zarzucony był śmieciem i odpadkami. Pod arkadową ścianą dzielącą dom od ulicy rosły drzewa pooblamywane i obgryzione przez konie. Im-Isram zdjął z szyi mizerykordię i uciął grubszą gałąź. Przyciął ją krótko, zaostrzył w kołek niby ząb brzozy, wsunął za pazuchę i poszedł, skradając się jak złodziej ku piwnicy, w której złożono Zbyluta. U wejścia płonął kaganek pozostawiony tu przez Momota.

—• S... s... skoro bez światła u... u... u... umarł — mówił — n... n... niechże mu choć teraz po... po... świeci...

Czując, jak za każdym ruchem zimny pot spływa z krzyży, Imbram ją odsuwał zagrażające wejście kamienie. Robota

była mozolna, gdyż musiał odkładać je jak najciszej, by nie obudzić śpiących w domu ludzi. Gdyby go kto nagle zaszedł!? Kamienie były brane z pobliskiego pogorzelska i nim Imbram ukończył pracę, był osmolony cały jak płanetnik. Na koniec drzwi stały wolne. Ujawszy kaganek w? rękę otworzył je i wszedł do lochu. Uderzyło go spojrzenie, to samo drwiące, bezlitosne spojrzenie, sączące się spod nie domkniętych powiek, których nie udało się zawrzeć Momotowi. Światło kaganka odbiło się mętnie w źrenicy. Imbrama ogarnęła niebezpieczna trwoga. Wydało mu się, że nie zdierży i ucieknie. Powściągnął się jednak i został. To, co miał uczynić było potworne nad wszelki zamysł, a dokonane być musiało, jeśli chciał ocalić Ofkę. Za to, że wtedy nie wstrzymał Ałochy, musi teraz zamordować upiora... Postawił kaganek na ziemi i wyjął z zanadru kołek. Przeżegnał się po trzykroć, spluwając za każdym razem przed siebie, w boki i w tył. Przeżegnał kołek. Nachyliwszy się nad trupem, rozpiął na jego piersi odzienie odsłaniając żółtą pierś, pokrytą plamami poczynającego się rozkładu. Rękę podniósł do ciosu... Teraz... Teraz...

Teraz brat-upiór przyczajony, wszystko śledzący, poderwie się z ziemi, otworzy przymknięte oczy, chwyci mordercę w ramiona i zatrzyma w tym lochu ze sobą na wieki... Patrzy na niego szparami źrenic i czeka... Imbram znów poczuł, że nie wytrzyma i zbiegnie. Zęby mu szczękały, jakby sam był upiorem, włosy przeżyły się na głowie. Lecz nie uciekł. Zamykając oczy, z rozpaczonym postanowieniem zamachnął się i opuścił rękę. Ostry kół wszedł lekko w nabrżęte ciało. Nie wyjmując go, Imbram odjął dłoń i przeżegnał się. Pot ściekał mu z czoła kroplami. Nogi się uginały. Nie mógł postąpić kroku. Po dobrej chwili przemógł się, wziął lampkę i ruszył ku wyjściu. Od drzwi spojrzał zwycięsko na brata.

— A co, nie pójdziesz! — syknął przez zaciśnięte zęby. Powoli układał odrzucone kamienie.

Przychodziło rnu to<

z trudem, gdyż ręce miał zwiotczałe, jakby wyprute z sił. Skończył jednak. W porę, bo noc już zbieła. Zostawiwszy kaganek na schodach wrócił do siebie. Czujny Benito poderwał się znowu i krzyknął z przerażenia na widok pana, jego zmienionej twarzy, rąk i odzienia okrytych sadzą. - Wasza Miłość! Co się stało?!

— Nic — odparł gniewnie Imbram. Wszedł do siebie, zrzucił ubranie i, powaliwszy się na łożo, zasnął kamiennym, nieprzepartym snem.

Wszystkie czary łączące krzyżowców z grodem są zerwane. Szymon Słupnik zatriumfował znowu nad nimfą pogańską Dafne. Wojska wychodzą nareszcie ku Jerozolimie po półtorarocznym pobycie nad Orontem.

Jakże ich mało, mało! Z Bizancjum wyszło trzysta tysięcy. Płynęli ku Nicei trzema potężnymi rzekami, chrzęszczącymi stalą i żelazem. Szli bez końca, zajmowali cały kraj. Pod Antiochią stało ich jeszcze przeszło siedemdziesiąt tysięcy — odchodzi zaledwie... czterdzieści.

Czterdzieści tysięcy rusza na ostatni etap jedynej w dziejach świata wędrówki, na której końcu majaczy Grób Święty.

Również jak wojów, ubyto i wodzów. Nie żyje Ademar de Monteil, mądry biskup z Puy, nieobecni Baldwin, Hugo, Szczepan de Blois, Boemund pozostający w Antiochii. Nie ma Gorrtrany i jej dworki Leony, nie ma Blanki de Montbeliard i Raula de Beaugency (gdzie się też błąka jego potępiona dusza?), Omer de Guillebaut, przysięgły wróg kobiet, dogorywa pozostawiony w klasztorze, a jego żona Willibalda zginęła pod Doryleą. Przepadła Idą de Hainaux. Głowacz Strzegonia chwalebnie poległ, a Zbylut ostał w lochu z kołem, braterską dłonią wbitym w pierś. Nie ma niesławną śmiercią zgładzonego żarłoka de Melun,

wesołego kleryka Bartłomieja, którego Bóg wielkim cudem wyróżnił, nie ma, ach, nie ma wielu spośród tych, co za Urbanowym wezwaniem przypięli krzyże w Clermont...

Florina, córka Filipa, której mąż nie chce widzieć, powróciła do Elwiry. Jadą razem po dawnemu. Florina źle wygląda. Posępna twarz, zaciśnięte wargi. Całymi dniami nie odzywa się do nikogo. Nie wie prawdy o Swenonowej chorobie, lecz wystarcza, że mąż jej poniechał... Odtrącona żona! Odtrącona żona!

Swenon jedzie wśród swoich ludzi w kołysce uczeponiej między dwoma końmi. W pachwinach ma obrzęki bolesne i guzy, uniemożliwiające mu siedzenie w siodle. Patrząc w kołyszące się ponad nim niebo prosi Boga o śmierć w walce. Że-byż w Jeruzalem mógł podnieść się, z mieczem na pogan uderzyć i lec! O nic mu więcej nie chodzi.

W takiejże kołysce zdąża ku Ziemi Świętej śliczny niegdyś jak cherubin Paweł Engelram. Stary jego opiekun, Anzelm de Ribeumont, pomarł przed miesiącem. Zamartwiał się chorobą Pawła, lecz z niewzruszonym spokojem i wiarą zapewniał wszystkich, że twierdzenie, jakoby choroby tej nabywało się przez grzech cudzołożny, jest niegodnym oszczerstwem i kłamstwem. Przecież za Pawła może ręczyć jak za samego siebie... Przecież Paweł nie zna niewiasty! Jest niewinny i czysty jak dziecko...

Boemund, stojąc na murach, patrzy w dół na wychodzących. Lico ma chmurne. Widne zewsząd plastry pogorzeli, rozkładające swą czerń na miejscu bogatych dzielnic patry-cjuszów albo zasobnych bazarów, kłują go w oczy niemiło. Gzuje się pokrzywdzony przez ludzi i los. Pokrzywdzony przez basileusa, który wydał Annę za kogo innego. (Na krew świętego Januarego, popamięta on to, popamięta!) Pokrzywdzony przez tłuszczę, co spaliła mu miasto. Pokrzywdzony na koniec najdotkliwiej przez Tankreda. Głupi szczeniak! Jego dziedzic, jego ulubieniec, nie pożegnał się wcale, poszedł jako zaciężny GodfrydaL. Jedyny człowiek, na którym Boemundowi zależy... Oto właśnie wyjeżdża z bramy w ognie Lotaryńczyków na czele oddziałku srodze przetrzebionego. Spogląda w górę. Widzi stryja. Wstrzymuje konia, jakby chciał zatrzymać się, skoczyć na mury, pożegnać... Lecz nie może przerywać pochodu, zwłaszcza gdy jest najemnikiem. Więc tylko obraca się w siodle, macha dłonią żegnalnie, woła coś, czego Boemund nie może zrozumieć, ale co brzmi jak pojednanie. Książę Tarentu przykładą ręce do ust.

— Bywaj! — woła. — Bywaj! A wracaj szczęśliwie!

Tankred kiwa głową. — Boemund ociera oczy, zwilgłe nie wiadomo czemu, i schodzi z murów nieco pocieszony.

Imbram powoli przychodzi do siebie po strasznych przeżyciach nocy. Czuje potrzebę bliskości ludzkiej, garnie się do rozmowy. Wprawdzie towarzysze boczą się na niego, zgorszeni wczorajszym zachowaniem przy śmierci brata, ale nie zważa na to. Gdyby wiedzieli! Och, gdyby wiedzieli!...

Z ulgą przysłuchuje się, gdy rozprawiają o tym i owym, jak zwykle w pochodzie. Cieszą się, że na koniec opuścili zakłętą miasto, którego oby żaden z nich więcej w życiu nie oglądał! Przypominają wszystkich zmarłych pozostałych tutaj, zgładzonych głodem, mieczem, zarazą... Hulala kostucha przez te półtora roku, hulala, że nie daj Boże!

Powiadają o tym, że większość tych zmarłych, zdaniem kanonika Rajmunda d'Aguillers, otrzymała białą szatę męczenników i psalmy śpiewając do nieba żywo poszła. Dla miłości

•Krz

yzowcy t. III/IV

Chrystusa Pana śmierć na obczyźnie ponieśli, więc słuszna ich czeka nagroda. Chyba że każdy w grzechu śmiertelnym pomarł albo zgoła o Grobie Świętym nie myślał. Taki zbawiony nie będzie, choćby krzyż przypięty na ramieniu nosił, a próbował się nim przed sprawiedliwością Boską zasłaniać... Może błąkać się po śmierci, a nawet upiorem zostać...

— Ludzie są różni, jak to ludzie, niejednemu może się to przytrafić...

•— Boże zachowaj! Upiór — straszna rzecz! —• Jak się przyczepi, rady na niego nie masz...

— Jest rada, owszem — mówi pewnym głosem Imbram — upiorowi serce kołkiem, świeżo z drzewiny rosnącej uciętym, przebić, to nie wstanie...

— Prawie ga... ga... gadasz, ale ko... ko..., kołek musi być osikowy... Imbramowi krew ucieka z twarzy.

— Inny nie pomaga? — pyta głosem zamartwionym.

— N... n... nie.

Momot chciał pouczać dalej, ale Imbram ściągnął wodze i został z tyłu. Musiał być sam, by się uporać z nagłym nawrotem udręki i trwogi. Kołek miał być osikowy! Osikowy! A nie był. Skąd tu osika?! Nawet nie wiedział, czy drzewo, z którego uciął gałąź, było sykomorą, oliwką czy figą?... Więc wszystko na nic! Przeżyta groza, na której wspomnienie serce więzło w gardle, zabójstwo gorsze niż

żywego człowieka, bo dokonane na trupie, były daremne! Daremne! Nic nie pomogły, przeciwnie, musiały zaszkodzić, rozjątrząc zmarłego tym bardziej! — Oj, będzie się teraz Zbylut mścił! Będzie się mścił! — jęczał półgłosem słaniając się z przerażenia. Chciał • ratować Ofkę, a zgubił ją po raz drugi. Pograżył ostatecznie... Nie ocali już niebogi...

Jechał samotnie za oddziałem, niepomny niczego. Przed nim brat Hiacynt mówił do jadących obok: — ...Bóg łaskaw, żeśmy w końcu wyjechali... Droga ściele^ się przed nami prosta... Zratował nas miłosierny Pan nasz Jezus Chrystus, którego ludzie sobie upodobał, szczególnie tych, którym krzywda jakowa się dzieje... W opiekę ich swoją wziął...

— ...Moiściewy! Kimże by się opiekował jak nie nami, cośwa wszystko dla Niego rzucili?...

...w opiekę swoją wziął... Słowa te uderzyły Imbrama jak gdyby ciepłym powiewem. Chrystusowa opieka! Zali poganinem był, że wcześniej o tym nie myślał!? Za ocalenie Gro-

bu Świętego, za zdobycie Jerozolimy, Chrystus nie dopuści upiora do starego dworzyszca. Postawi strażę anielskie przed częstokołem z końskimi czaszkami...

Czyż mogło być inaczej? Uczucie doznane niegdyś przed laty w Clermont, wiara, że gdy Chrystus po wyzwoleniu Grobu Świętego zawładnie na nowo światem, przepadną stare zawistne bogi, strachy, zwidy piekielne, upiory i mary nocne — ogarnęło go znowu z przemożną, niezbitą siłą. W tym leży zbawienie, w tym nadzieja! Uwolnić co rychlej Grób Święty!...O Boże, pozwól dojść do Jeruzalem co szybciej!...

Choć otaczający Imbrama rycerze nie mają tych co on powodów do pośpiechu — odczuwają ten sam zapał. Po długim próżniactwie porwała ich święta gorączka czynu. Chcieliby biec, lecieć. Mierzi ich konieczność postojów, rozbijania obozów, namiotów. Nie spoczywać, nie przystawać, jeno iść! Jak niegdyś tłumy towarzyszące Piotrowi Eremicie, wypatrują oczy na każde miasto, ukazujące się na widnokręgu, dopytując gwałtownie, czy to Jeruzalem? Jest ich niewielu, lecz samych najlepszych. Są przetrawieni, dojrzały do tego, by dojść. W czyścicu trzyletniej wędrówki wypaliły się żądze, wygasły namiętności, przeżyły się osobiste bóle. Kto był słaby — odpadł. Kto poszedł dla własnej korzyści, porzucił już krucjatę, zostając w Antiochii z Boemundem lub wędrując do Baldwina do Edessy. Kto myślał więcej o własnych sprawach niż o Bogu, tego już te sprawy zeżarły. Ci, którzy są, zostali przesiani przez gęste sita. Ci, którzy są, pozbyli się innej troski jak Grób Święty, Jedyńą ich myślą Jeruzalem! Jeruzalem!...

Rozdział dziewiąty JERUZALEM!... JERUZALEM!...

Wybór drogi, ja'ka miało iść wojsko łatyńskie, nie przedstawiał trudności, gdy szło o prowincje sąsiadujące z Antiochią. W czasie ostatniego roku bowiem, kiedy główne siły stały próżniaczo pod grodem, mniejsze oddziały, dowodzone przez bardziej przedsiębiorczych rycerzy (wyróżniał się wśród nich szczególnie Rajmund de Pelet), czyniły wypadki na wschód i południe, zdobywając żywność dla armii, a zarazem zajmując grody. W ten sposób zdobyto Aleppo, silne twierdze Marrah i Arkas. Każdy z tych grodów po zdobyciu i ograbieniu rycerze palili, niszcząc wszystko, co się zniszczyć dało, wywalając bramy i mury, a to, by nie stały się one nowym powodem kłótni dla baronów. Pierwsze zatem tygodnie pochodu odbywano krajem ogołoconym wprawdzie z żywności, lecz zdobytym, wolnym od nieprzyjaciela. Wątpliwości, jaką drogą wybrać, zaczęły się dopiero od Laodycei. Trzy szlaki mogły stąd wieść krzyżowców do Ziemi Świętej. Główny gościniec sułtański bagdadzki idący na Damaszek. Droga najlepsza, lecz najodleglejsza. Górski szlak wiodący przez szczyty Libanu. Idąc tędy byli zabezpieczeni przed zasadzkami nieprzyjaciela, gdyż panowali ciągle z wyżyny nad okolicą. Narzeczcie trzecia droga, wiodąca tuż nad brzegiem morza. Syryjczycy odradzali ją ze względu na wąskie przejścia między skałami schodzącymi aż ku morzu. Niewielkie stosunkowo siły muzułmańskie mogą zatrzymać cały pochód i zadać klęskę zupełną. Jednakże Rajmund St. Gilles opowiedział się za tą właśnie drogą i pozostali baroni przystali bez trudu. Była krótsza, co stanowiło dla nich teraz najważniejszą zaletę. Nie bacząc zatem na palące promienie majowego słońca ciągnęli na Tortosę, Tripoli, starożytny Tyr i Beryt *. Kraj był przepiękny, wspomnienie rajy ziemskiego nasuwający. Gaje pomarańczowe i granatowe pokrywały najbliższe wzgórza. Sze-

leściły lasy morwowe i oliwne. Na południowych stokach, w zacisznych dolinach rosły palmy po raz pierwszy przez krzyżowców widziane *. Z pewnym pobożnym zdziwieniem oglądali to dziwne drzewo o kostropatym, sztywnym pniu i wielkiej wieszce gałęzi-liści. Na lewo wznosiły się pokryte śniegiem góry Libanu, znane z Pisma Świętego. Rosły w nich cedry Salomonowe, a nad szczytami polatywały wielkie jak chmura orły. Na polach rosła wysoka trzcina znana już z obozu Kerbogi, słodsza od miodu, którą chciwie jedli wszyscy. '

Znajdowano ją w wielkiej ilości, szczególnie w okolicy Tripoli. Mieszkańcy tameczni wyciągali z niej gęsty sok, zwany przez nich „zakra”. Nieliczne oddziały nieprzyjacielskie ukazywały się z daleka i pierzchały nie próbując starcia. Mówiono, że wszyscy muzułmanie gromadzą się w Jerozolimie, tam pragnąc powstrzymać najeźdźców. Gdy podchodzili do Ptolemaidy, silnego nadmorskiego gród-ka, emir dowodzący kasztelem wysłał ku zbliżającym się postów syryjskich z zieloną gałęzią pokoju i bogatymi darami. Ogłaszał się przyjacielem Latyńców i sojusznikiem, obiecując pomoc w żywności lub ludziach, byle raczyli przejść mimo, nie zdobywając i nie niszcząc miasta. Choć pokora ta zdała się dziwna krzyżowcom, przystali na jego prośby. Jerozalem była oddalona zaledwie o kilka dni drogi i ziemia paliła im się pod nogami. Ci sami ludzie, którzy poprzednio zmarnowali w biernym czekaniu prawie rok, nie mogli teraz myśleć spokojnie o straceniu bodaj jednej godziny. Prędeż! Prędeż! Prędeż!

Joppa, zwykła przystań statków genueńskich, z wysoką wieżą strażniczą bliźniaczo podobną do wieży posiadanej przez tych kupców żeglarzy naprzeciw Bizancjum —• widnieje już jak na dłoni... Nad głowami Latyńców skroś bezchmurnej błękitnej kopuły nieba pływają maleńki, samotny punkcik. Od Ptolemaidy leci na południe. Kto by się wpatrzył uważniej, pozna, że to gołąb. Lecz nikt nie patrzy. Słońce praży. Zresztą nikomu już w głowie łowy i sokoły. Leci ptak? Niech sobie leci...

Wąskoskrzydły jastrząb drzemie w koronie rosnącego na wzgórzu cedru, wielkiego drzewa o konarach wygiętych niby ramiona świecznika. Drgnął. Niezawodny instykt ostrzegł go, że coś się dzieje. Gdzieś daleko drobne, białe skrzydła biją

Znajdujące się dziś w południowej Francji i Włoszech palmy zostały tam zaaklimatyzowane znacznie później.

pośpiesznie powietrze. Wąskoskrzydły wzbija się w górę wysoko, wysoko, najwyżej. Już dojrzał łup, już go ściga. Gołąb ucieka, kluczy, kołuje, to zniża się, to unosi, skręca na prawo i lewo. Ilekroć jastrząb, wyniosłszy się ponad niego, spadnie jak piorun — trafia w próżnię. Rozpala się do zapamiętania. Dwie zręczności, dwa odwieczne sposoby walki i obrony zmagają się. ze sobą tak długo i zawzięcie, że na koniec całe rycerstwo zwraca na nie uwagę. Wykrzykują zachęcając jastrzębia. Niedolega! Byle sokół uporałby się prędzej z głupim gołębiem! Zasłaniając oczy od słońca patrzą wszyscy ciekawie. Już jastrząb górą! Śmiertelnie znużony gołąb ostatkiem sił kołuje jeszcze i miga skrzydłami. Jeszcze chwila, a drapieżnik dostanie go w swoje szpony.

Oj, nie dostanie, bo nagle jak srebrzysta kula gołąb spada między jeźdźców. U nich szuka obrony i ocalenia. Trafiał na głowę Rajmundowego wierzchowca, odrzucony trząchnięciem łba spłoszonego konia spada na ręce jadącej przy mężu Elwiry. Oczy mu zachodzą mgłą. Nie ma sił uciekać. Jastrząb wysoko skwirczy z gniewu, zawiedziony.

— Rzuć mu go! Rzuć! •— zachęca Rajmund, lecz Elwira nie myśli słuchać męża. Niewieściami dłońmi tuli zmęczonego ptaka. — Nie oddam go... Spadł nam jak na dobrą wróżbę...

— Jastrząb byłby lepszą... Rzuć go wysoko, on schwyta...

— Nie chcę... Szkoda mi. O, dla Boga! Spójrzcie no, cny panie mężu: co on ma przy nodze?...

— Pogańskie jakieś pisanie! To jeden z tych czartowskich zaczarowanych gołębi, o których mówiono... Rzuć, a skoro!

Elwira jeszcze się waha, a tymczasem nadjeżdża cwałem polski rycerz Jastrzębiec. Zobaczył z daleka, że gołąb spadł, i ciekaw jest, czy się go udało złapać.

•— Bo może ma jakąś wiadomość!?

—• Iście, że ma, lepiej go wcale nie tykać...

Lecz Jastrzębiec nie podziela tych obaw. Bierze gołębia pod swoją opiekę. Ostrożnie rozwija przymocowany do nogi wążutki skrawek cienkiego pergaminu. Odczytuje pisanie arabskie. Emir z Ptolemaidy zawiadamia w nim emira Jerozolimy, że Latyńcy już nadchodzą. Czas przedsięwziąć to, co postanowiono dla zgładzenia psów niewiernych. Jest ich jednak znacznie, znacznie mniej, niż przypuszczano... Allah jest wielki!

W zwykłym czasie krzyżowcy zawróciłiby natychmiast, by ukarać przykładnie zdradzieckiego emira Ptolemaidy, obecnie jednak przyjmują do wiadomości treść niesionego przez gołębia listu prawie spokojnie. Mniejsza z tyrm! Niech fałszywe

pogany wypisują sobie, co chcą! Latyńców nic nie zatrzyma. prędzej! Prędeż! Prędeż!

Zostawiają na prawo Joppę i Antipatridę. Mijają starożytne Diospolis *, gdzie chwalebne męczeństwo poniósł święty Jerzy, żołnierz Boży, patron dobrego rycerstwa. Postanawiają wrócić tu po zdobyciu Grodu Świętego i wybudować wielki kościół, godny niebieskiego opiekuna rycerzy. Z pobliskiej Ramli procesja chrześcijan syryjskich udręczonych, prześladowanych, żyjących od kilkunastu lat w

nieustającej trwodze - przed niewiernymi, wychodzi naprzeciw krzyżowców witając ich ze śpiewem i łzami jak zbawców. Oczekują ich od dwu lat. W zeszłym roku sądzili, że lada chwila nadejdą... Potem zwątpili... Przestali już się spodziewać. Wielu nawet z racji tego przyjęło wiarę muzułmańską stając się odstępcami. Bo nie przypuszczali już, że przyjdzie kiedyś zbawienie, a żyć trzeba...

- Jak daleko do Jeruzalem?... — dopytują gorączkowo rycerze.

— Nie więcej jak dziesięć mil...

...Dziesięć mil!... Nie więcej jak dziesięć mil!... Zdążających ogarnia zarazem radość i prawie przerażenie. Więc to możliwe? Więc Słowo staje się Ciałem?!... Tyle lat szli ku tej Jeruzalem... Była ich celem, osią myśli. Równocześnie jednak zdawała się wciąż tak niedosiężną, odległą, niewidoczną... Zdała się czymś nierzeczywistym jak śmierć, o której każdy człowiek wie, że jest, że ku niej każdą chwilą się zbliża, a jednak zawsze wydaje się odległa i nieprawdopodobna. Wiadomość, że są tuż u celu, spadała na nich prawie równie nieoczekiwanie jak chwila zgonu.

Ciągnęli dalej w uroczystym, niemal śmiertelnym milczeniu. Od Joppy, gdy opuścili brzeg morski, łagodny, urodzajny krajobraz zmienił się w ponury, posępny i dziki. Przed idącymi dźwigały się góry Judzkie. Las nie porastał ich wygasłych zboczy. Nie polatywał ptak, nie ożywiało żadne zwierzę. Ubogie, szare oliwki czepiały się z rzadka głazów. Wyżej stoki i szczyty pokrywało martwe rumowisko kamieni. Podebrane dołem głazy zdawały się runąć za chwilę. Uczepione skały jak gniazda jaskółcze ciemniały nędzne osady. Mieszkająca w nich ludność, nie wiedzieć, chrześcijańska czy pogańska, uciekała z pośpiechem w góry na widok nadchodzących. Słońce prażyło nieznośnie. Dwa miesiące minęły już od wyj-

Dzisiejsza Lydda.

ścia z Antiochii, i upał pełnego lata rozżarzał nagie skały, że buchały gorącem jak olbrzymie piece. Konie padały od udaru. Jeźdźcy osłaniali sobie głowy pod hełmem i karki chustami, zwojami zdobytymi w Antiochii materij, że z dala trudno było poznać, zali to idą Latyńcy czy muzułmanie. Droga była niezmiernie uciążliwa. Posuwali się skroś góry korytem wyschłego potoku, wąską doliną pomiędzy skałami bielejącymi z gorąca. Miejscami wielkie głazy, podmyte wodą czasu, zimowych opadów, zagradzały drogę. Trzeba je było z trudem omijać albo usuwać. Gdzie indziej czerniały jamy wymyte pędem ulewy. Nad głowami zwieszały się obrywy skalne, chyboczące w tak nietrwałej równowadze, że jedno silne pchnięcie ramion mogło wystarczyć, by zwalić je i zmiażdżyć idących dołem. Spoglądając na nie rycerze przypominali sobie gołębia, którego posłanie do rąk emira jerozolimskiego nie doszło. Czy nie Opatrzność zatrzymała go po drodze? Czy nie tu właśnie miała czekać na nadciągających zasadzka? Przyznawali w duchu, że gdyby poganie zaczęli się tutaj, wąwóz judzki stałby się ostateczną mogiłą krzyżowców. Bóg ich strzegł! Bóg ich strzegł! Według wierzeń rycerzy śląskich, kukułka, ptak wieszczący, po dwu latach zmienia się w krogulca, potem w kanię, potem w jastrzębia, na koniec w orła. Ma moc prowadzenia błakających się dusz. Któż wie, czy jastrząb wąskoskrzydły, co zmusił gołębia do znizenia lotu, nie był takim właśnie ptakiem dobroczynnym, przez Dole zesłanym?

Inni mówili, że zdarza się duszy zbawionej przemienić w jastrzębia, i że pewnikiem był to duch któregoś z poległych rycerzy...

— Słuszna! Słuszna! Wszakże biskup zapowiadał, że będą się nami opiekować... — podchwytywał z uniesieniem Piotr Eremita.

Piotr odżył w ciągu ubiegłego roku, odrodził się i ozdrowiał. W niezapomnianej chwili postowania u Kerbogi odzyskał rzecz najcenniejszą: szacunek dla samego siebie. To go ocaliło. Z obłąkanego, przygłupka, stanowiącego pośmiewisko wszystkich, stał się na nowo człowiekiem. Obecnie nabrał szczególnego znaczenia i jechał pośród baronów, bo wszakże z całej armii on jeden tu kiedyś był! Strony te znał! Od Joppy, dokąd przyjechał galerą, szedł boso współ z gromadą pielgrzymów tą samą skalistą drogą. Zna te dzikie pustkowia, groźne rozsypane głazy. Z rozgorzałymi oczami ukazują wojom kierunek. Objaśnia, że za nimi na północ pozostała

Galilea, tamte góry leżą już poza Jordanem, a Betlejem jest w tej stronie... Słuchają chciwie, zegnając się, ilekroć wymienia jedno z miejsc szczególnie świętych. Tak idą bez popasu cały dzień. Konie napoili nie zsiadając. Sami nie myślą

jedzeniu. Prędzej! Prędzej! Mimo pośpiechu nie zdążą za dnia wjechać na wzgórze, z których już widać pono Święte Miasto. Mrok ich chwyta w dolinie przy niewielkiej osadzie.

- To Emmaus — mówi Piotr.

...Emmaus!... Weszli więc w końcu na szlak Chrystusowy, drogę, na której każdy kamień mogły uświęcić Jego Boskie stopy...

Pośrodku osady czernieje niski, stary rzymski kasztel, warownia czy też strażnica. Nie został przerobiony przez Bizan-tyjczyków ani Arabów zachowując potężną, surową rzymską prostotę. Wielkie czworoboczne głazy leżą na sobie bez wapiennej zaprawy. Wydaje się Latyńcom dziwnie znajomy

swój, wiele podobnych bowiem spotkasz w Italii i Francji. Wewnątrz warowni znajduje się głęboka, obfita w wodę źródlaną cysterna, nakryta płytą kamienną. Na płycie widnieją znajome znaki liter, nie greckich, nie arabskich — latyńskich. Kanonik Rajmund d'Aguillers oskrobuje nożem kamień z kurzu, po czym odczytuje mozolnie. Kiwa z uznaniem głową. Cisnących się objaśnia, że cysternę wykopała X legia cesarza Wespazjana obozująca tutaj po zdobyciu Jerozolimy...

— My obozujemy przed zdobyciem... Ostatni nasz postój... Boże! Miłosierny Boże!

- Ślubujmy, że zbudujemy tu kościół... — rzecze Godfryd.

Skłaniają wszyscy głowy w przytwierdzeniu milczącym. Drugi to już kościół, wznoszony przez nich w marzeniu. Pierwszy w Diospolis... Potem ten... Sen się ich nie ima, więc oczami duszy widzą już w tym miejscu strzeliste łuki, tęgo wiązane sklepienia, różyce okienne nad drzwiami...

To znów (bo nie kładą się wcale wiedząc, że nie zasną) wspominają dawne dzieje, gdy zbierając się w Tuluzie przed czterema blisko laty, gadali o czekającej ich podróży. Uśmiechają się z pobłażaniem pomnąc, że sądzili, iż odległość z Bizancjum do Jerozolimy nie może być dłuższa niż z Paryża do Lyonu. Ej, miły Boże! Gdzie te czasy! Jak zmieniły się ich pojęcia?! Nie tylko dotyczące odległości... Wszystkie. Przez sto, przez dwieście lat przeddziady ich nie nauczyły się tego, nie widziały tego, co oni przez cztery lata... Przekonali się na własnej skórze, jak wielkim i dziwnym jest świat...

Wspominali dalej z tym samym uśmiechem pobłażania, że

sądzili wtedy, iż Jeruzalem nie może być podobna do żadnego innego grodu na świecie. Że mury jej błyszczą jak słońce o zachodzie, szklą się jak klejnoty, mienią jak tęcza pawiego ogona... Cudowny, orzeźwiający zapach drży w powietrzu... Tak sądzili... Od tego czasu wzrosło znacznie ich poczucie rzeczywistości i nie spodziewają się podobnych cudów wcale. To nie osłabia jednak ich zapału.

Wiedzą już, że nie w tym rzecz...

Do namiotu baronów zgłaszają się miejscowi chrześcijanie, uciekający przed muzułmanami. Od nich za pośrednictwem Jastrzębca książe dowiadują się, że dowództwo nad załogą jerozolimską sprawia emir Iftikar al-Dawla. Zebrał więcej niż czterdzieści tysięcy ludzi i z każdym dniem przybywa mu nowych. Zgromadził zapasy żywności, mogące starczyć na rok lub więcej. Przysiągł, że gaurów wytraci... Mury przez ostatnie miesiące podniósł o dziesięć łokci, całą ludność do roboty zapędzając...

— Choćby podniósł je aż do chmur, wejdziemy na nie — odpowiadają baroni.

Rozmowa urywa się, gdyż na dworze dzieje się coś dziwnego, nieokreślonego. Noc księżycowa, tak jasna, jak tylko noce na Wschodzie być mogą, mrocznieje. Choć niebo jest po dawnemu bezobłoczne, zda się, jakby niewidzialna zasłona gasiła księżyc. Już wszyscy woje zauważyli to zjawisko i w obozach wszczyna się gwar. Ludzie zadzierają głowy, z niepokojem patrzą w górę. I widzą wszyscy, jak ciemny krążek wypeł-za na tarczę miesięczną. Zrazu zakrywa tylko brzeg jej, niebawem sięga do środka, na koniec przesłonił zupełnie. Noc staje się ciemna, nieprzeniknienie ciemna, jak bezmiesięczne jesienne noce w Europie. Prerażeni żołnierze poczynają krzyżeć z trwogi. Konie chrapią i lękają się.

— Chrześcijanie! — woła grzmiąco Rajmund St. Cilles — nie lękajcie się! To cud Boży! Widzimy zmierzch pogańskiego miesiąca! Szeźnie na wieki z tej ziemi... Bóg tak chce!

— Bóg tak chce! — odpowiadają grzmotem okrzyków bijących z ciemni jak morze. Mroczny krążek posuwa się z wolna w przeciwną stronę, odsłaniając zrazu sierp miesiąca, potem połowę, na koniec uwalnia srebrzyste oblicze. Noc jest znów jasna. Przez porównanie z poprzednią ciemnością zdaje się jasna jak dzień. Dziwna, czarodziejska noc. Już nikt nie ma cierpliwości czekać do rana. Ruszać, ruszać natychmiast! I nie czekając świtu, rycerze spieszenie dosiadają koni. Idą w przezroczyście mroku. Na prawo mijają grobowiec Machabeu-

szów, nie zwracając nań uwagi mimo objaśnień Piotra i kanonika d'Aguillers. Przechodzą potok, ani słuchając, że z tego właśnie potoku Dawid podjął pięć kamyków, którymi zabił Goliata...

...Na otaczających wzgórzach obozowali pono naprzeciw siebie Izraelici i Filistyni... Co ich to obchodzi?... Czym są Filistyni, Debora, w porównaniu z Tym, dla którego dążą, którego pragną, miłują... Pędem wjeżdżają na ostatnie wzgórze, ścigani przez słońce, które wystrzela poza ich głowami. Stają w milczeniu nagłym, zupełnym, aż przerażającym. Schodzą z koni, usuwają się, tłoczą, by zrobić miejsce drugim. Pokryli całe wzgórze gęstym gajem. Klękają jak pod nakazem... I patrzają... patrzają... patrzają...

Słońce oświeca czerwono przeciwległe góry, lecz poniżej zostaje głęboki fioletowy cień. W tym cieniu leży miasto...

Nie lśni drogimi kamieniami ni marmurem. Mniejsze, nędzniejsze bez porównania niż Bizancjum, Nicea lub Antiochia. Szarych murów nie pokrywa blacha miedziana zapalająca płonąca smugę odbłasku. Wewnątrz pierścienia muru błyszczą zaledwie parę kopuł i wież. Poza tym, patrząc na Jeruzalem, gród, który prorok Jeremi nazwał nie mającym sobie równego, sławnym ponad wszystkie grody Wschodu i Zachodu — można się zastanowić, gdzie jest Jeruzalem? Niezliczone domy z szarego kamienia, o dachu z tegoż kamienia beczkowato zasklepionym, upodobniają się do kup kamieni, do otaczającego mury skalnego rumowia.

Lecz cóż o to krzyżowcom? Napatrzyl się dość bogactwa, wielkości, wspaniałości. Nie tego już pożądamy...

To jest Jeruzalem!

Klękają. Milczą. Patrzają. Patrząc widzą przed sobą dotychczasową wędrowną, wszystko, co znieśli, przeżyli, zanim tutaj doszli, i nagle w szeregach bucha płacz. Niepowstrzymany, powszechny. Płaczą nie wiedząc sami, czy te łzy rześiste są wyrazem radości, smutku, wesela, czy wzmożonej tęsknoty?... Oto są!... Oto są!... Oto doszli!... Wypełnili ślubowanie!... Osiągnęli cel, na pozór niedosięty, który oderwał ich od życia, od rodzin, od kraju, wywiódł aż na koniec świata... Oto są!... Dopełniło się... Rycerze schylają harde głowy, całują ziemię z pokora. Ciury po raz pierwszy może patrzą na nich bez niechęci. Ogarnia wszystkich wzruszenie, nie dające się z niczym porównać, radość niewysłowiona, boskie odprężenie, szczęśliwość bez granic... I kto wie, czy godzina ta nie będzie najpiękniejszą

w dziejach krucjaty, chwilą niezapomnianej, najdoskonalszej radości nie zmaconej żadnym zgrzytem. Moment, gdy cel jest już osiągnięty, lecz jeszcze nie posiadany...

Słońce wzbilo się wysoko, praży nelitościwie. Piotr Eremita, otoczony słuchaczami, objaśnia kanonika, który spieszenie zapisuje. Ten pusty plac z kopułą pośrodku to góra Moriah, na której stała świątynia Salomonowa, potem Herodowa. Kopuła należy do meczetu pogańskiego. Na prawo od niej góra Syjon z wieczernikiem, a tam, te małe kopułki — to kaplica znalezienia Krzyża świętego i Grób Święty...

...Boże, bądź nam miłościwi...

Z pewnością siebie bywalca, Piotr obraca się w przeciwną stronę, objaśnia dalej. Na szarym skalnym zboczku ciemnieje gaj oliwny, jedyna plama zieleni. To Getsemani, Ogrójec... Na te szare glazy padał krwawy pot Zbawiciela... Te same drzewa ocieniały Boską Jego głowę... Wąska dolina poniżej, oddzielająca miasto od Góry Oliwnej, przecięta wzdłuż wyschłym obecnie potokiem, zowie się Jozafatową, potok zasie to Cedron...

— Dolina Jozafatową!? Gdzie? Gdzie? Pokażcie?! — dopytują inni dziwiąc się, że tak wąska i mało pojemna. Jakże pomieszczą się na niej wszyscy ludzie w dniu Sądu Ostatecznego?... Gdzie staną?

— Bóg ją cudownie rozszerzy — uspokaja kanonik zapisując skrzętnie dalej. Po przeciwnej stronie grodu widnieje góra Zgorszenia i podle sadzawka Siloe... Tamta budowla to twierdza Antonia, gdzie był sąd Piłata, a między domami ciasno stłoczonymi, podobniejszymi do bezkształtnych kup kamieni niż do domów, wije się niewidoczna stąd Droga Krzyżowa... Via Dolorosa...

...Via Dolorosa! Ach, ci patrzący przebyli już swoją Drogę Krzyżową, długą, bolesną Kalwarię, nim się dobili tutaj, do stóp Boga!...

Niepowstrzymane łzy płyną dalej, kolana trwają ugięte w bezruchu, gdy nagle poprzez czyste powietrze poranne od miasta nadlatuje pogłos rytmiczny, dźwięczny, nadto dobrze znany: śpiew muezzinów, wzywających na modlitwę wyznawców Mohammeda. W zestawieniu z przeżywanym wzruszeniem głos ten klęczącym wydaje się bluźnierstwem i hańbą. Jak to?! Y/ięc oni już tu, a pogany po dawnemu w Najświętszym Miejsu swojego Allacha chwałą!? W sercu rycerzy bu-

dzi się straszny gniew, gniew, co poruszał proroki. Porywa, zapala. Tak jak stoją, nie czekając, nie myśląc o niczym, po wczorajszym całodziennym pochodzie bez postoj, po nie przespanej nocy, zsiadają z koni, rzucają się pędem, lawą, chmarą, lawiną, burzą. Sadzą z impetem, co wszystko zdruzgotuje. Każdą

przeszkodę zmiążdżą, przełamają, rozwalają...

... Bracia! — krzyczą Rajmund St. Gilles — dziś wieczór

w grodzie Angelus taędziem śpiewać, nie oni swe psie modlitwy!—

- Jak zwykle język mu się płacze z przejęcia, niemniej wszyscy rozumieją, o co chodzi. Odpowiadają rykiem uniesienia. — Bóg tak chce! Bóg nas widzi!... Bóg patrzy!... Bóg czeka!... Naprzód! Naprzód!...

Nie tracić ani minuty! Sekundy!... Przed wieczorem krzyżowcy muszą już być w grodzie!...

Opętani uniesieniem, porwani świętym szaleństwem, mocni niezłomną pewnością — zbiegają z góry na złamanie karku, potrzęsają bronią. Spadają w dolinę jak sępy, potykają się na głazach, przebiegają wyschły potok Cedron, z siłą huraganu, bezwzględnością morskiej fali drą się pod górę, ku murom, ku bramom...

Wyłamią je, wyrąbiają, rozniosą w szczapy i drzazgi... Zda się, że z wściekłości poczną kasać mur. Stają na ramionach jedni drugich. Całe szeregi nadstawiają grzbiety, by po nich wdarli się drudzy, a na tamtych stanęli jeszcze trzeci, a jeśli potrzeba -- czwarcy. Inni zarzucają liny, inni dobywają bram. Obrońcy nie zostają dłużni i niedługo gęsty wał trupów stanowi pierwszy stopień towarzyszącom...

.Niestety, nie jeden snadź gołąb wysłany został z wiadomością o naciąganiu Latyńców. Nagłe uderzenie zastaje muzułmanów przygotowanych do obrony. Na nacierających wali się z góry nieprzerwany grad pocisków, grotów, kamieni, ukropu, gorącej smoły i greckiego ognia. Lecz nic nie może powstrzymać zapału krzyżowców. Czują się nadludźmi. Czują, że dają z siebie męstwo nigdy nie widziane. Siły ich są dziesięćkrotnonone, zestokrotnione, olbrzymie... Mimo wściekłego oporu nieprzyjaciela czterem rycerzom udaje się dostać na mury. Giną tam wprawdzie natychmiast, rozszarpani w strzępy, w przedśmiertnym jednak tchnieniu mogą sobie rzec, że pierwsi weszli do Jerozolimy.

I walczą tak bojem bohaterskim, o jakim nie śniło się nawet pieśniarzom, trzy, cztery, w końcu pięć godzin... I na ostatek... odpadają... Legło ich tyłu, że swoim pokłosem za-Pełniliby doszczętnie dolinę Jozafatową... Którzy nie legli — ustali...

X.

Cofają się od murów półżywi z pragnienia, zmęczenia, głodu, a przede wszystkim rozpaczliwie zawiedzeni. Angelus nie brzmi w grodzie, jeno muezzin zwołuje, swoich jak rano. Dlaczego Bóg do tego dopuścił, dlaczego odstąpił krzyżowców?!

Na tych samych wzgórzach, na których przeżyli niezapomniane chwile uniesienia, znachodzi ich noc, zapewne najgorsza ze wszystkich spędzonych w podróży. W śmiertelnym beczuciu kołacze gorzka świadomość klęski niespodziewanej, niewiarogodnej! Dusze ich smutne są aż do śmierci, konają krwawo w Ogrójcu. Mdleje i zamiera serce. Tylko człowiek zdolny jest przeżywać tak krańcowe przeciwieństwa uczuć w równie krótkim czasie: od szczytów wiary i miłości — w głąb bluźnierstwa i rozpacz.

Niektórzy struchleli nikczemnie do tyłu, że niechby kto rzucił hasło: Ratuj się, kto może!!! Do Joppy na statki genueńskie!... — uciekliby z pośpiechem, o nieba!

Bóg ich zawiódł (tak sądzą) i opuścił. Nie odpowiedział na wspaniały poryw. Całowali ziemię ze świętą radością, darli się na mury nie bacząc na śmierć, stracili więcej niż pięć tysięcy towarzyszy, a zostali odrzuceni... Nie ma sprawiedliwości! Nie ma miłosierdzia!

Im większe było poprzednie uniesienie, tym głębszy upadek ducha. Nigdy jeszcze nie dali z siebie tyle ognia, zapału, męstwa... Wierzyli, że muszą zwyciężyć, a zostali pokonani. Cóż dziwnego, że tarzają się teraz w rozpacz, zwątpiermi, samozniweczeniu, okrutnym poczuciu własnej małości, wstydu za swego Boga wobec pogan, Boga, co ich do siebie nie wpuścił!

Leżąc gdzie bądź, rycerze dręczą się jak potępieńcy. Gdyby muzułmanie zrobili wycieczkę z grodu i napadli zniemacka na Latyńców, nikt by im nie stawiał oporu. Niezwyciężeni Fran-kowie rozbiegliby się w popłochu jak owce.

Na szczęście muzułmanie nie domyślają się uczuć gnębiących krzyżowców. Okazane przez nich w ciągu dnia wściekłe męstwo, natarcie odparte z trudem, natchnęło ich szacunkiem dla nieprzyjaciela. Prawdę mówią ci, co głoszą, że Frankowie mają szatana na swoje usługi.

Wszystko na świecie mija, zatem i ta ciężka noc dobiega końca. Budzący się dzień wlewa pewną otuchę w serca. Poczynają patrzeć na to, co zaszło, rzeczowiej, spokojniej.

... Uderzyliśmy jak żaki — stwierdza na radzie Robert

flandryjski — i odpędzono nas jak żaków. Nie Bóg winien, jeno my sami...

Arnuld skwapliwie przyznaje mu słusność. Już wczoraj byłby chętnie powstrzymał wojów od szalonego zamiaru. Obawiał się jednak, że go nie usłuchają lub posądzą o małoduszność. Ademar de Monteil nie byłby się wahał i powiedział swoje zdanie, nawet gdyby wszyscy byli przeciwko niemu, ale Arnuld, choć czyni wszystko, co może, by stać się dla -wojska biskupem z Puy, nie posiada jego uczciwości i odwagi.

Boi się wyrazić zdanie, które miałyby przeciw sobie opinię powszechną.

Teraz jednak, gdy Robert flandryjski powiedział pierwsze rozsądne słowo, Arnuld popiera go żarem wymowy. Powoli umysły uspokajają się nieco. Żal im już tych wszystkich, co legli, burzą się na pogan, lecz nie bluźnią. Rozumieją, że przede wszystkim trzeba rozłożyć obozy, zabezpieczyć je, po czym rozpocząć regularne oblężenie.

Oblężenie trudniejsze do przeprowadzenia niż poprzednie z powodu niedogodnego położenia grodu.

Miasto wspina się z trzech wzgórz, opadających stromymi zboczami w dolinę. Przez to mury zdają się jeszcze wyższe, a dostęp do nich niełatwy. Tylko od strony wschodniej leży szerokie przedpole, gdzie można rozłożyć się z wojskiem i wieże oblężnicze podtoczyć. Wprzód jednak należy zasypać głęboką fosę. Same mury były nad podziw wysokie i grube. Dopiero teraz, patrząc spokojniej, rycerze oceniali, jak szalonym, był zamysł zdobycia ich bez drabin i wież. Mury te powstawały kolejno w ciągu epok. Najniższe warstwy kamieni pochodziły z czasów Dawidowych, Salomonowych, może jeszcze dawniejszych. Zrujnowane ich szczątki podciągnęli ku górze Rzymianie, a na koniec w przewidywaniu najścia Latynców podnieśli o dziesięć łokci Arabowie.

Spoglądając na ich prostopadłe lica krzyżowcy przypominali, że już dwa razy zbijali bezpotrzebnie, choć z wielkim wysiłkiem i kosztem, wieże oblężnicze. Zbudowane pod Niceą musieli pozostawić Grekom, antiocheńskie spalili w chwili nadejścia Kerbogi. Obecnie trzeba będzie budować po raz trzeci. Szczęście, że prędko pójdzie robota, bo cieśle są już wprawni.

Cieśle są wprawni, owszem, ale cóż poradzą, skoro nie ma drzewa? Nie ma drzewa na beluardy! Nie ma drzewa w ogó-

le! W posępnej, groźnej Judei nie rośnie drzewo. Gdzieniedzie sykomory lub oliwki jak te w Ogrójcu, pokraczne, weź-lasty, niskie, nieprzydatne. Ludzie tutejsi obywają się bez drzewa. Domy budują wyłącznie z kamienia. Pałą uzbieranym i wysuszonym nawozem. Po jarzma, stołki i tym podobne użyteczności domowe chodzą aż do Galilei, gdzie drzew obfitość, a osady, szczególnie Nazaret, słyną z biegłych cieśli i stolarzy.

Nie ma drzewa, nie ma wody, nie ma paszy. Niedługo nie stanie też żywności. Zaprawdę, jeszcze nigdy nie zaczynano oblężenia w tak ciężkich warunkach!

Najgorzej zapowiada się szczupłość wody, tym bardziej że lato tchnie żarem niemożliwym do zniesienia.

Giermkowie staczają między sobą zawzięte walki o to, kto stanie bliżej studni. Najwięcej sporów wywołuje sadzawka Siloe, jedyny nieco większy zbiornik wody, jaki znaleziono.

— Dobrze, że choć dostęp zostawili i konie można napoić — zauważa z gniewem Jastrzębiec do towarzyszącego mu Im-brama. Puścili wodze wierzchowcom, które z pośpiechem zanurzają nozdrza w zmętniałej nagrzaną wodzie. Czekając cierpliwie, aż się napoją do syta, rycerze błędzą niechętnie oczami po murach i przeciwległym brzegu sadzawki. Leżą tam kamienie ostre i spiętrzone, nie dające nikomu dostępu do wody. Pośród tych kamieni coś się poruszyło. Człowiek czy zwierzę? Jeżeli człowiek, dlaczego się krył? Jastrzębiec wyczuł wzrok z ciekawością. Człowiek! Przygnał do kamieni w nadziei, że nie zostanie zauważony.

— Ktoś jest? — wołają gromko obaj. Kształt, mogący być człowiekiem, ani drgnął.

— Odezwij się, jeśliś chrześcijanin!?

Cień przywarował, skulił się, znieruchomiał jeszcze bardziej, jeśli to było możliwe. Jastrzębiec chwycił od pacholka włócznię i z zadziwiajączą zręcznością cisnął. Nieruchomy kształt jęknął, wyskoczył w górę i upadł. Benito zeskoczył z konia i pobiegł naokoło sadzawki ku niemu. Nachylił się i odskoczył.

— Jakisik pogański czarownik! — zawołał z lękiem ku pozostałym.

Zaciekawieni rycerze zsiadli również i poszli ostrożnie ku niemu. Rzekomy czarownik już nie żył.

Włócznia przeszła mu pierś. Spojrzawszy na jego półnagie ciało niesłychanej chudości, o wystających guzach kolanowych, słomianą czapę na głowie zamiast turbanu i malowane znaki na ciele, Ja-

strzębiec orzekł, że to derwisz. Czarownik iście, Benito dobrze prawił, ale po co tu łąził?...

— Już tam bez przyczyny nie przychodził, nie... — mówił v/ zamyśleniu, przyglądając się trupowi.

— Może włosów chciał gdzie dostać albo co z odzienia, żeby czary rzucić?... — podpowiedział Imbram z niepokojem.

- A może... Patrzajcie... W garści coś trzyma...

Jakoż w zaciśniętej dłoni zabity dzierży małe zawiniątko. Szmata, w szmacie coś szeleści jak piasek.

Trudno rozwinąć, bo skurczone palce nie puszczają.

- Ostawcie lepiej — namawia Imbrarn — pewnikiem na-więzy.

- Musi, że tak.

Niechają trupa zawracając ku koniom. Jasiek Zawora stoi już tam czekając na nich.

- Bywajcie żywo! — woła — znaleźliśmy niezgorsze miejsce i studnię... Nasi już się rozłożyli, ale pośpieszajmy, bo kto pierwszy ten lepszy, a zewsząd się cisną...

Powiadomiwszy pobieżnie Jaśka o zabiciu czarownika obaj rycerze jadą za nim rozglądając się po drodze ciekawie, gdzie który z baronów stanął.

Kierowany przez chytrego Arnulda, Robert normandzki wraz z Flandryczykiem zajęli już najlepsze miejsce przed bramą świętego Szczepana. Tankred sąsiaduje z nimi, strzegąc bramy Damasceńskiej.

Godfryd umieścił się ze swoimi na prawo od bramy Jopskiej, niedogodnie ale naprzeciw Golgoty. Ze swego stanowiska widzi kopułkę oznaczającą Najświętsze Miejsce na ziemi.

Od strony bramy Złotej, Góry Oliwnej i doliny Jozafatowej nie stoi nikt z powodu przykrości gruntu.

Wojska Rajmunda St. Gilles rozłożyły się u stóp góry Syjon. Niegdyś była ona całkowicie objęta murami, po zburzeniu jednak miasta przez Rzymian ściętniono obwarowanie. Nowy mur poszedł górą, przecinając Syjon na dwoje. Miejsce zajęte przez grabiego Tuluzy znajdowało się w dawnym obwodzie grodu, dzięki czemu poziom był nieco równiejszy, a rozwalone ściany domów dawały schronienie przed żarem. Zapowiedana przez Jaśka studnia była niegdyś cysterną miejską, osłoniętą niezupełnie jeszcze zrujnowanym sklepieniem, dzie- i czemu słońce nie wypijało z niej wody równie szybko jak innych, odkrytych.

Oto tam... — ukazują ręką Jasiek, gdy okrążyli bez mała całe miasto — obaczycie, że się nam dobrze udało...

— Gorąc morzy, aż oddychać trudno, to i nie dziw, że się pospali — dodaje jeszcze dojeżdżając, gdyż zebrani przy studni rycerze, giermki, pachółkowie, nawet konie, leżą wieńcem na ziemi bez ruchu.

— Na słońcu spać to jeszcze gorzej... Można z tego ze-mrzeć... — zauważa Jastrzębiec i nagle urywa.

Oczy mu wyłażą z głowy. O, dla Boga!? Czy to sen? Czy tak wyglądają śpiący?! Leżą byle jak dziwacznie skręcani, konie przewalone na bok... poniekąd jeszcze chrapie i grzebie nogami...

— Na Chrystusa mękę, co się stało!?

Nikt nie odpowiada nic. Pobladli z grozy zeskakują z koni. Podbiegają, podnoszą, trzęsą... Ciała ciepłe jeszcze, duch zda się w nich kołatać, ale oczu nie rozwiera żaden...

— Musi ich słońce poraziło! — woła Jastrzębiec. — Wody! Wody! Żywo!

— Wody?... — Jak gdyby w nadludzkiem wysiłku Momot Za-wora otwiera nieprzytomne oczy.

— Wo... wo... woda... za... za... zatruta — bełkocze i z tym ostrzeżeniem zamiera. Uczciwy, prawy rycerz Momot. Przy-tań w sobie krztę ducha, by uratować towarzyszy. Ci nie są w stanie uwierzyć. Boją się juścić tknąć wody, lecz przenoszą zmarłych w cień. Cuca, przewracają. Imbram pędzi do innej studni, do Godfrydowego obozu po wodę.

...I tam zastaje to samo...

W ciągu nocy wszystkie studnie, otaczające miasto w szerokim promieniu paru mil, zostały zatrute jadem nieznanym, straszliwym, działającym jak jad węża. W niewiedzy zasadzki, w chciwości pragnienia, w gromadnym tłoczeniu się do wody zginęło więcej ludzi niż we wczorajszej bitwie, oraz mnóstwo koni.

Zabobonny lęk ogarnia wszystkich. Nie śmia już tknąć niczego. Boją się, że nie tylko woda, lecz ziemia, skały są rów- ' nie zaczarowane. Co począć? Jedyłą wodą, wolną od śmierci, okazuje się sadzawka Siloe.

Widno derwisz, którego ubił Jastrzębiec, miał ją zatruć i nie zdążył. Lecz cóż znaczy ten stawek na trzydzieści tysięcy bez mała? Już na drugi dzień nie będzie w nim wody, na dnie zostaje tylko trochę rozbeł-

tanego błota...

Jeden Rajmund St. Gilles nie traci energii, choć zaprawdę niełatwo ją zachować. Przypomina gwałtownie pozostałym, że wszakże gdzieś niedaleko płynie Jordan. Jordan! Rzeka ponad wszystkie święta! Paganie nie mogli jej zatruć ani zasionąć,

gdyż uświęcił ją na wieki chrzest Chrystusa Pana i od diabelskich praktyk zabezpieczył. Trzeba ją znaleźć i stamtąd dowozić...

— ...Choćbym został sam jeden z dziesięcioma ludźmi! — zaręcza — nie odstąpię! Bóg nas doświadcza, ale my wytrwamy!

- Wytrwamy! — powtarzają Godfryd, Tankred i Robert flandryjski. Robert Krótkoudy stęka żałośnie.

Pewnie, cóż im zostaje innego jak wytrwać?... Trzeba było namyślić się wcześniej, jak Szczepan de Blois lub Hugo. Hugo zwłaszcza. O, jakże mądrze uczynił!

Zasięgnąwszy wskazówek od miejscowej zestrachanej ludności, z przewodnikiem, dosiadającym małego osiołka, Godfryd rusza na czele oddziału na poszukiwanie świętej rzeki. Nie wie gdzie ku niej gościniec, jeno urwista, niebezpieczna ścieżka górską. Wyjechawszy na otaczające Jeruzalem wzgórza Lotaryńscy przystają jeszcze i patrzą. Starają się odgadnąć, zali okolica ta była zawsze taka jak obecnie, czy też odmieniły ją czary? Pogańscy derwisze, co zatruli studnie, mogli również zakląć domy w głazy, ludzi w

głazy, owce w głazy... Mogli zmusić ziemię, by przestała rodzić cokolwiek innego niż kamień. Bo nic tu nigdzie oprócz kamienia nie rośnie. Kamień na kamieniu, a na nim znów kamień. Można zapomnieć, że oprócz kamieni istnieje jeszcze cokolwiek na świecie.

Widziana stąd dolina Jozafata wygląda, jakby już wypełniały ją kości umarłych. Obtoczone wodą potoku kamienie bieleją niby czaszki.

...Oto tu znajdziemy się wszyscy — myśli Godfryd — o tej dolinie powiedział prorok Ezechiel:

...Tknęła mnie mocj Wiekuistego...

A wyprowadził mnie w duchu Wiekuisty

I postawił mnie pośród doliny,

A była ona pełna kości.

A oto było ich wiele,

A oto były bardzo suche.

Suche jak popiół i pył!

Kości wyschłe, posłuchajcie słowa Wiekuistego!

Oto ja wprowadzę w was ducha a żyć będziecie,

I włożę na was ścięgna,

I nawiodę na was mięśnie,

I natchnę was duchem, abyście ożyli.

A poznacie, że Ja Wiekuisty!

...Tak rzecze Pan przy wrzawie tręb archanielskich do suchych kości, między którymi my będziemy...

— ...Montaigu! Patrz! Czy sądzisz, że Bóg zechce nas powołać do zmartwychwstania? Czy policzy za dobro, żeśmy tu zginęli?

— Nie wiem — odpowiada de Montaigu z szacunkiem — ale sądzę, że trzeba jechać dalej, czasu nie tracąc, by nas noc nie zaszła w tych górach...

Więc jadą. Niespiesznie, bo szparko tu jechać nie zdoła. Ułożone w poprzek zręby zastawiają drogę.

Wyschłe od wieków potoki toczą strugi kamieni. Skały są czerwone jak krew, a cała pustać tchnie grozą.

Kamienne, nie znające roślinności garby leżą bezwładnie i spornie, chaotycznie i sprzecznie, jakby były lawą, co niegdyś zawrzała i w chwili kipienia zastygła. Na czołach skał ciemnieją kamienne wzory wykute przez wiatr. Cytadele skalne niby ręką ludzką budowane, wieżycy i ganki. Stoki wzgórz spływają zbrudzone jak umęczone życiem lica. A ponad wszystkim leży przeraźliwa cisza, cisza śmiertelna, będąca tu stanem stałym, cisza, której nic nie przerwie...

— Szatańska dziedzina — sarka z gniewem Konon.

— Nie bluźnij — upomina go surowo Godfryd — dyc Jeruzalem jest blisko...

— To i cóż — upiera się rycerz. — Nie kusiłże szatan Pana naszego?... I pono właśnie ta góra, na której kusił jest tu gdzieś po drodze...

— Może masz słuszość... Krąży nieprzyjaciel rodzaju ludzkiego w pobliżu Grobu Świętego, żeby do wyzwolenia go nie dopuścić i gubi dusze... Zgubi nas, jeśli się o Pana naszego nie oprzem... Którym rzekł: „Oto Ja wprowadzę w was ducha, a żyć będziecie"... Boże, bądź nam miłościwi Jeszczem też takiej pustym nie widział!

Istotnie, mało która pustynia na świecie mogła się zdać równie posępną, zamarłą w nieukoju i rozruchu jak ta. Beznadziejność sączyła się ze ślepych wąwozów. Beznadziejność płynęła wyschniętymi potokami. Szarość i czerwień kamienia przerwała nagle maleńka plamka zieleni, na przeciwległej ścianie głębokiego wąwozu wisząca, uderzyła zmęczone oczy czarodziejską niespodzianką. Stanęli, aby się lepiej przyjrzeć nieoczekiwanemu zjawisku. Brzeg wąwozu wznosił się prostopadle jak mur grodu. Wąską nicią rynny skalnej spływał z niego strumyczek prawdziwy, wodę, a nie kamienie niosący. W połowie góry napotykał półkę skalną, najwidoczniej rękami ludzkimi wydrążoną, która przychwytywała wątlą strużkę wody, tworząc maleńki zbiornik, sadzaweczkę, zdającą się stąd nie większą niż oko. Ternu oku, połyskującemu błękitem, zawdzięczało życie kilka krzewów uczepionych skały, jedno karłowate drzewo i nieco zieleni. Ponad zielenią wprost w ścianie czerniały liczne otwory, wyglądające z miejsca, gdzie stali rycerze, jak plaster pszczelny lub gniazda jaskółek. Po bliższym wpatrzeniu się można było rozróżnić między otworami zarysy łączących je ganków, pękate wykusze i piętra, wszystko rąbane wprost w skale.

— Co to jest? — zapytał Godfryd przewodnika.

— Klasztor świętego Jerzego... Zowią go Kuziba...

— Żywią tam ludzie?

• — A jest ich jeszcze z pół setki. Bardzo stary i świątobliwy klasztor. Nawet pogany go szanują.

— Jakże tam dojść?

— Po sznurze spuszcza się z góry... Lina jest uczepiona u kamieni... Wasza dostojność może stąd zobaczyć...

Lecz mimo wysiłku nie można było dostrzec żadnej drogi mogącej stanowić dojście do dziwnej pustelni. Natomiast niby potwierdzenie objaśnienia wiatr przyniósł do uszu patrzących nikły dźwięk, ledwo dosłyszalny, lecz jakże kojący! Głos dzwonu, dzwonu, co płoszy demony...

- Kuziba... Kuziba... — powtarzał Godfryd zamyślony. Jechali dalej i dalej, wciąż w tym samym żarze, wciąż widząc te same rozprażone słońcem rude jak krew głązy. Czyż ciągną się one bez końca?

Niepokojącym zdało im się również, że zjeżdżają ciągle niżej i niżej, znacznie niżej, niżby usprawiedliwiały poprzednie wjazdy pod górę. Jeszcze i jeszcze ciągle w dół. Przychodziło im na myśl, że przewodnik ich oszukał lub sam został zmylony przez duchy, a oni schodzą ku krawędzi świata, zawiasom ziemi, za którymi nie będzie już nic... Chyba piekło, którego otaczające góry są przedsionkiem.

Jechali tak cały dzień. Na koniec pod wieczór, daleko w dole, błysnęła wstęga zieleni. Nie szczypta jej, odrobina jak poprzednio, lecz długa smuga, rozszerzająca się w silną zwartą oazę Jerycha. Środkiem zieleni niewidoczny stąd płynął Jordan, święta rzeka, ojciec wód, dobroczynny bieg wody, dającej życie dolinie, zasilającej pokarmem ziemię i dusze.

Godfryd zszedł z konia, zdjął hełm i szedł pieszo z odkrytą fową, modląc się półgłosem. Konie parsknęły radośnie czując "wodę i paszę. Przez drogę przesunęły się trzy kobiety czarno

odziane z dzbanami wody na głowie. Przeciw jadącym wybiegły najpierw skąpe, kolczaste zarośla, zadowolające się echem wilgoci, potem oliwki, potem gąbczaste, soczyste, ciemnozielone palmy bananowe, obciążone wiechami niedojrzałych jeszcze owoców. W krzakach wrzało od ptactwa. Przeskok między poprzednią martwotą i pustką z panującym w oazie życiem był nagły i oszołamiający.

Ku południowi szlak zieleni zwężał się, kurczył, schodził do samych brzegów, na koniec nikł zupełnie, choć rzeka płynęła dalej. Na widnokregu błękitniała lśniąca wielka tafla, podobna do polerowanej stali, niesamowicie gładka, niesamowicie nieruchoma.

— Morze Martwe... — objaśnił przewodnik.

Choć ciekawość ciągnęła ich zobaczyć przekłete miejsce, odłożyli to na później, gdyż towarzysze pod Jerozolimą czekali na wodę. Toteż skoro świt, wypełniwszy zabrane ze sobą wory skórzane, ruszyli z powrotem przez góry. Wiatr dał jałowy, suchy. Nie niósł w pustynię świeżości oazy, lecz przeciwnie, zasypywał oazę pyłem gór. W połowie drogi Godfryd zdał dowództwo Kononowi, sam z dwoma pachołkami skręcając na prawo.

— Dogonię was później — objaśnił.

De Montaignu nie chciał go puścić, przedkładając, że szaleństwem jest puszczać się samotrzeć w te góry przeklęte, lecz Godfryd uparł się i nie ustąpił. Celem jego wycieczki był skalny klasztor Kuziba. Pragnął dotrzeć doń, zobaczyć płynące tam życie. Zdawało mu się, sam nie wiedział czemu, że odkryje w nim coś niezmiernie ważnego, czego sam rozwikłać i znaleźć nie umie. Rozpłaczę jakąś zagadkę, śmiertelnie dręczącą...

Stosunkowo łatwo odnalazł miejsce, z którego patrzyli wczoraj, okrążył mozolnie cyrk wzgórz i stanął po przeciwnej stronie wąwozu, a raczej kotliny, tuż ponad urwiskiem. Klasztor musiał znajdować się pod nim, niewidoczny.

Godfryd szukał oczami liny, o której wspominał przewodnik. Znalazł ją, zrećnie ukrytą w rozpadlinie, uczeponą haka w białego w skałę. Lina była upleciona z poczwórnego rzemienia i co pewien odstęp powtykane w nią były krótkie kołki jako szczeble. Bez wahania, nie zważając na osłupiałe spojrzenia pachołków, Godfryd odrzucił szczyt, zdjął rękawice i zbroję, uchwycił linę i ją spuszczać się powoli.

Przedsięwzięcie nie było łatwe i wymagało nie lada odwagi. Schodzący nie wiedział, jak długo przyjdzie spuszczać się

sposobem linoskoka, jak go mnisi przyjmą i czy się utrzyma. Słońce paliło niemiłosiernie. Od upału w oczach stawały to ciemne, to świetliste kręgi, głowę ogarniała szumiąca słaba senność. Przeciwległy koniec liny nie był snadź umocowany i wicher targał nią, że kołysała się w prawo i w lewo. Skała cofnęła się uskokiem w głąb i rycerz wisiał nad próżnią. Nie przestawał jednak schodzić uparcie. Przypominały mu się wszystkie opowieści gędziarzy, gdzie nie znający trwogi zdobywca idzie w głąb ziemi po skarb zaklęty lub dla wyzwolenia swej pani. On podobnie schodził w niewiadomą głąb, by uzyskać skarb spokoju i wyzwolić duszę własną...

Któż mógł łatwiej poznać i rozpatrzeć zagadkę bytu niż ci mnisi, zawieszani pomiędzy ziemią a niebem, obcy wszelkim sprawom świata, patrzący co dzień na skalne pustkowia niezmiennie i groźne jak wieczność? Mądrość nadludzka musiała dojrzewać w nich nieomylnie, jak dojrzewa ziarno w kłosie lub perła w muszli na dnie morza.

Klasztor był wciąż niewidzialny, jakby go wcale nie było. Ramiona mdlały, dłonie odmawiały posłuszeństwa. Godfryd czuł, że nie utrzyma się dłużej, gdy nagle tuż pod nogami rozległy się głosy. Lina stanęła, widocznie przychwycona. W oczy uderzyła zieleń. Był u celu. Jeszcze dwa szczeble i stanął na pewnym gruncie. Gruntem okazał się ganek, widziany wczoraj z naprzeciw, zdający się z odległości cienki jak włos, w rzeczywistości szeroki na cztery łokcie. Poniżej rozwierała się przepaść. Od upadku chroniła mocna kamienna, również w skale kuta poręcz. Kilku brodatych mnichów wybiegło z wnętrza pieczar pozbawionych drzwi. Patrzyli na przybyłego ciekawie.

- Jezus, Jezus, Jezus — rzekł trzykrotnie Godfryd jak wyjaśnienie, usprawiedliwienie i powiadomienie.

- Jezus — powtórzyli po grecku, żegnając się wielekroć. Mówili coś, czego nie rozumiał. Zresztą nogi uginały się pod nim po przebytej powietrznej podróży. Spojrzał dokoła niezupełnie jeszcze przytomnym wzrokiem. Pod nogami przepaść. Nad głową prostopadła ściana, po której co ino zszedł. Na prawo maleńki zbiornik wody, przy nim kilka krzewów, nachylone karłowate drzewo, dźwięczny plusk kropel, pada-

łych sennie z góry do zbiornika. Pasemko słodkiej trzciny, rosnącej na równoległej do ganku półce skalnej, podobnie ramowanej. Tuż przed nim i powyżej — wejścia do mrocznych skalnych cel. I cisza, cisza tak wielka, że krople, padające z Wyschniętego potoku, zdawały się sprawiać łoskot.

Z ciemnego otworu, niby duch Gór, wyszedł bardzo stary człowiek o wyglądzie patriarchy. Miał skudloną siwą brodę, pomarszczoną twarz, zgarbione plecy. Wyglądał jak uosobienie Czasu lub Myśli, albo ludzkiej bezsilnej Mądrości. Mnisi rozstąpili się przed nim z szacunkiem.

- Latyński rycerz? — zapytał po łacinie.

— Tak jest, ojczyźnie, krzyżowiec, przybyły dla wspomnienia Grobu Świętego.

— Niechaj cię Bóg błogosławi. Wiedzieliśmy o waszym przybyciu przez znaki na niebie i ziemi...

— Znaki były, lecz teraz złe się nam wiedzie... Nie wiemy, czy podołamy...

- Cóż się frasujecie?... Jeżeli nie podołacie, znaczy, że jeszcze godzina przeznaczona nie nadeszła...

— Rad bym tu żył — szepnął Godfryd z onieśmieniem. — Gdy zdobędziemy Grób Święty, czy pozwolicie mi przyjść tutaj i pozostać?

— Przyjdź. Jeno nie wiem, zali wytrzymasz, wojaku. W świecie orężnym trwa hałas, a tutaj jest cisza.

Wykonał ruch ręką, jakby ogarniający otaczającą próżnię, dalekie niebo, martwą ścianę skały. W ruchu tym zawarł, zda się, całą ich treść, którą okazała się cisza. Cisza...

Górowała ponad wszystkim, wypełniała każdą szczelinę tutejszego bytowania tak ściśle, że zgiełk życia nie mógłby wtargnąć i zmącić jej żadną miarą.

— Obrzydł mi gwar świata — odparł Godfryd — niczego nie pragnę, krom spokoju w Bogu.

— Zostań zatem, synu.

— Powróć i zostań — postanowił rycerz.

Choć czuł, że trzeba wracać na górę do oczekujących go; pachółków i zdążyć pod Jeruzalem, żał mu było każdej chwili. Jeszcze, jeszcze bodaj godzinę pozostać! Siedząc nieruchomo na ganku, patrzył, jak się snuje sen tutejszego bytu-niebytu. Cisza trwała niezmacona. Zakonnicy siedzieli w swych celach! schodząc się tylko do kaplicy na głos dzwonka lub do jedynej większej izby skalnej na wspólny posiłek. Posiłek tala nędzny i skąpy, że zwykły człowiek nie utrzymałby się na nim. Ludziom, spędzającym czas w bezruchu i kontemplacji, wystarczał jednak. Jedyłą ich pracą było codzienne polewanie wodą zagonka trzciny i kilku krzaków morwowych. Trzcina, morwy i karłowata oliwka rosły na ziemi, naniesionej na półki skalne. Ziemię przyniesiono niegdyś przea góry w koszykach z Jerycha i spuszczone po linie. Trudu

tego nie dokonali obecni zakonnicy, lecz poprzedzające ich pokolenia zakonne sprzed kilkuset lat. Dzisiejsi pielęgowali tylko pracę poprzedników i uzupełniali ją przynosząc świeżą ziemię, gdy zimowe deszcze lub wichry uszczupliły ich stan posiadania. Stary zakonnik usiadł obok księcia.

— Czy nie dałoby się posadzić tu coś więcej? — zapytał go Godfryd nieśmiało.

— Dałoby się, owszem. Nieraz myślę, że można by powiększyć nasz ogródek wykuwając nową półkę poniżej ganku i wyzyskując spływającą wodę. Zastanawiam się jednak, zali to nie przyniesie więcej szkody niż korzyści? Przy tym, co mamy obecnie, żyjemy, chociaż nędznie, lecz żyjemy... Ludzie

z Jerycha przynoszą czasem placki suszone i bób... To wy-

• starcza... Z zamożnością wzrastają pokusy, wraca życie, a my zebraliśmy się tu wszyscy, ażeby uciec od życia...

- Jaz tego pragnę — rzekł Godfryd — i niczego więcej nie chcę...

Siedzieli obok siebie w milczeniu. Godfryd byłby pragnął zapytać starego o wiele rzeczy. Gdzie się nauczył łaciny, jak się stało, że Arabowie pozostawili klasztor w spokoju? Lecz nie śmiał. Nie czuł się już gościem, rycerzem, lecz przyszłym bratem, związanym regułą milczenia. Zresztą cóż go to wszystko obchodzi? Po co pytać o cokolwiek?...

Pionowa ściana skały rzucała dobroczynny cień. Stary zakonnik zadrzemał opuszczając głowę na piersi i otwierając bezzębne usta. Za plecami siedzących, w najbliższej celi dwóch braci rozmawiało cicho, ale z ożywieniem. Pojedyncze słowa dolatywały wyraźnie wbrew nakazowi milczenia, i gdyby Godfryd mógł zrozumieć, co mówili, błogie przekonanie, że można życie usunąć z życia, byłoby się w nim zachwiało poważnie.

- ...Stary ma mnie za głupiego •— szeptał brat Symfo-rian — ale ja się nie dam... Powiadają wszyscy, że w klasztorze świętej Saby pozwalają braciom mieć zegłówek z siana, nie własny łokieć jak tu... Jak powiem, że tam pójdę, ustąpi...

- A może nie ustąpi... — mruzczał wątpiaco brat Eudoksy.

- Obaczysz...

- L., nie wiadomo, czy tam cię przyjmą... Pomyślą, że na Przeszpiegi przyszedłeś...

mu-

Rozdział dziesiąty

W KTÓRYM KRÓL PIRATÓW GUYNEMER SKŁADA NAJWIĘKSZĄ OFIARĘ

Po naradzie krzyżowcy odesłali większość koni do Jerycha. Tam miały pod dostatkiem wody i paszy. W obozach pozostawiono tylko wielbłądy, które nieustannie krążyły tam i nazad, od Jordanu do Jerozolimy, przywożąc żywność i wodę w workach skórzanych. Dowożone w ten mozolny sposób ilości wody były niedostateczne, wynoszące niecałą miarkę napoju na głowę, co przy panującym skwarze sprawiało męki nieznośne. Toteż, jak niegdyś, ludzie staczali drapieżne walki każdą kroplę napoju.

Czerwiec dobiega końca w coraz sroższej fali upału. Nigdy jeszcze słońce nie było tak nielitościwe, palące, żrące, nieubłagane, złowieszcze. Wytryska o świcie zza gór i natychmiast rozpoczyna mordercze natarcie. Nie ma się gdzie przed nim ukryć. Głowa pęka z gorąca. Mózg boli. Oczy płoną. Wszyscy Latyńcy mają zapalenie powiek i czerwone, nabiegłe krwią źrenice. Roje much niemożliwych do odpędzenia pastwią się nad nimi. Obrosli brudem, którego nie ma w czym obmyć. Każdy z rycerzy mógłby z kurzu i potu skrobanych na swoim ciele ulepić cegłę, jak chwalebny sułtan Hamda-nida. A oblężenie nie posuwa się ani o cal naprzód. Nie ma drzewa na wieże oblężnicze. Drzewa! Drzewa! Modlą się o nie jak o deszcz, o źródło... Za kawał lasu oddaliby wszystkie skarby zdobyte w Antiochii. Ale lasu nie ma. Trzeba posyłać po budulec aż do Galilei.

Na tę wyprawę ruszają Tankred i Robert Krótkoudy. Zabierają ze sobą spory oddział pieszy, część koni i przodki od wozów. Wyjeżdżając mruczą, że na psa taka robota, powinno iść z nimi znacznie więcej ludzi. Wtedy można by od razu zrąbać, obrobić dostateczną ilość budulca. A tak? Wrócić pojedną znowu drugi raz? Potrzebna strata czasu?

Lecz grabią St. Gilles twierdzi stanowczo, że większego oddziału dać nie może i Arnuld nakłania Roberta, by się nie

sprzeciwiał. Rajmund ma słusność. Jeżeli stojące pod raii siły uszczuplą się znacznie, muzułmanie mogą wypaść i zgnieść pozostałych. Im gorzej bowiem powodzi się krzyżowcom, tym butniejsi stają się ich nieprzyjaciele. Ochłonęli z pierwszego wrażenia i widzą, że przeciwnik wcale nie jest taki groźny, jak opowiadano. Gromadami stoją na murach wykrzykując po arabsku, syryjsku, nawet po grecku, różne słowa, zapewne mało dla Latyńców pochlebne. Drwią i szydzą lub niby dla żartu oblewają się wzajemnie wodą, by pokazać, że jej mają pod dostatkiem. Ginący z pragnienia Latyńcy zgrzytają na ten widok zębami. Żre ich własna bezsilność. Po pierwszym gorzkim doświadczeniu nie próbują już zdobywać murów gołymi rękami, czekają cierpliwie na drzewo, lecz zawziętość ich rośnie. Nie chcą pamiętać, że podobno po klęsce, zadanej Kerbodze, Jerozalem przez parę miesięcy stała wolna od załogi, i że sami, oni sami, nikt inny, są winni temu, że jej wówczas nie zajęli. Wolą o tym nie myśleć wszelkie zło przypisując poganom. Syci, opici muzułmanie, przedrzeźniający z murów jak sroki, doprowadzają rycerzy samym swym widokiem do szału. To już nie orężny przeciwnik, w którym można uznać męstwo i zalety bojowe, lecz uosobienie szatana. Nienawiść Latyńców rośnie,

przechodzi granice ludzkiego serca. Staje się obłądem, opętaniem, maniactwem, chorobą. Nienawiść ta zaczęła się już pod Niceą, obecnie dosięgła szczytu. Nawet najpobożniejsi mniej teraz myślą o Grobie Świętym niż o tym, by na koniec dostać pogan w swe ręce. Stanąć im nogą na gardle! Wypuścić dech razem z krwią! Odemścić wszystkie udręki! Wyrznąć do ostatniego, by nikt nie został żywym z ich nasienia!

- Co za kraj, że ludzi zgoła nie widać?... — narzekął Robert Krótkoudy, jadąc obok Tankreda na czele oddziału — czy pogany wszystkich wybiły, czy siedzą gdzie w górach pochowani?... Klecie sterczą, a nikogo przy nich nie widno?...

- Po tych domach nie poznasz, czy je poniechano wczoraj, czy sto lat temu... może tu już z dawna nikogo nie ma?... Niemiłe życie w tej pustce...

- Oj, niemiłe... Nie mógł sobie Pan nasz obrać innego miejsca, cały świat mając do wyboru?...

- Nie nasza rzecz rozsądzać — westchnął Tankred.

- Jużci co nie nasza, ale dalibóg, nie wiem, co będzie dalej... Rajmund, jucha skąpa, dał ludzi mało, toporów mało, pił mało... Przyjdzie po to drzewo ze trzy razy tam i nazad obracać... Sam się dziwię, że przystałem... Cóż to, ludzi mi

nie wolno brać ile chcę, moich własnych ludzi?... Prowan-salczyka będę słuchał?!...

— Czemuście się zgodzili?

— Bo mi kapelan wytłumaczył, że jakby tymczasem Iftikar al-Dawla tamtych zniósł, to by i drzewo nie pomogło... Ale co by ich tam miał znosić! Takie gadanie...

— Czasu, czasu żal — biadał Tankred — co będzie, gdy wrócim? Słyszałem, że już ludzie uciekają po trochu, szczególnie ci, którzy koni pilnują, bo są za oczami... Powiadają, że Jeruzalem ujrzeli, ślubu tym samym dopełnili... Nad Jordan idą wykąpać się w świętej wodzie, w butlę jej nabrać, liści palmowych naciąć i do Joppy zbiegają czekać na galery genueńskie. Ubiłbym takiego, spotkawszy, jak psa!

— Słusznie, słusznie, nie uchodzi tak postępować — stwierdził Robert z ukrytym żalem. — Ciekawym, czy Hugo wróci?... A jak się też wiedzie Szczepanowi?...

— No, ten nie wróci na pewno.

— Cichajcie, zda mi się, że ktoś jedzie naprzeciwko...

— Sprawiedliwie! I to nie jeden, lecz kupa!...

— Bogu dzięki! Przypomni sobie człek, jak mieczem ruchać!...

- Zbrojni jacyś jadą! — pisnął Sebastian de Monte Sca-bioso podjeżdżając pędem do Tankreda.

— Właśnie słyszym... Ej, tam! Kopie w pogotowiu! Gdy się ino ukażą, nacieramy!

Stali w milczeniu, wstrzymując koniom wodze, kopie mocno przyciskając ramieniem do piersi.

Nadjeżdżający musieli już być blisko, ale zasłaniał ich zakręt. Droga biegła jak zwykle w tej okolicy wąwozem, i o tyle jednak szerokim, że można było ustawić się w szóstki. Kopyta chrobotwały głośno o kamienie.

— Normandia! Amalfi! Naprzód! Bóg tak chce! — ryknęli spolem czekający, ruszając cwałem, gdyż głowy końskie wynurzały się zza skał.

— Bóg tak chce! — huknęło gromko z naprzeciwka. Nim dopadną jedni drugich, zatrzymują się zdumieni, w ostatniej chwili podnosząc kopie do góry.

— Nasi! — krzyczy Robert — Nasi. Witajcie! Skąd was Bóg zesłał?!

Lecz nowo przybyli, choć wstrzymali konie, nie oddają powitania. Nieufnie dzierżą kopie nachylone, gotowi natrzeć ponownie.

— Dyc to Szczepan! — woła Robert z niedowierzaniem. —• Szczepan! Nie poznajesz mnie!?

Grabią de Blois, stojący na czele oddziału wraz z młodziutkim, do Pawła Engelrama podobnym rycerzem, potrząsa głową niepewnie.

— W imię Boga, ktoście są? — zapytuje.

Książę normandzki pokłada się w siodle ze śmiechu.

— Co za jasełka odprawiasz? Tankreda nie znasz?! Mnie nie znasz?...

> — Wyście są? — zapytuje Szczepan podejrzliwie, podjeżdżając z wolna.

- Któż ma być? My, żywi chrześcijanie, nie zmory...

— Darujcie — tłumaczy się grabią de Blois — nietatwo poznać, bo...

Nie kończy, ale rycerze rozumieją, o co chodzi i kiwają głowami wyrozumiale. Przez porównanie z nowo przybyłymi, schludnymi, ogolonymi, oceniają dopiero należycie swój wygląd, na który dawno przestali

zwracać uwagę. Pod hełmem każdy dla ochrony przed upałem nosi zasłonę w kształcie arabskiej keffieh, od miesięcy nie golone brody wyrosły na pół piersi, oczy czerwone jak u królika, policzki czarne, wyschłe, odzienie spłowiałe, iście, z daleka niełatwo rozpoznać, czy to dobrzy rycerze, czy pogańscy zbójce.

- Jedziemy — objaśnia Tankred — spod Jeruzalem wysłani do Galilei... Dziwne spotkanie... Was, grabio — dodaje wyniośle — nikt się nie spodziewał już zobaczyć...

:— Wiem o tym — odpowiada spokojnie Szczepan. Przytył znacznie od antiocheńskich czasów, ale postarzał, skurczył się, zmalął. — Wróciłem jednak, przywożąc ze sobą kilkunastu dobrych rycerzy. Oto Eustachy, brat Godfryda i Bal-dwina Lotaryńskich...

Młodziutki rycerzyk skłonił się z szacunkiem.

- Czy brat mój Godfryd w dobrym zdrowiu przebywa? — zapytał nieśmiało.

— Żywię — odparł Tankred — a co do zdrowia... hm... wygląda jak my wszyscy, to znaczy nietęgo... Zda mi się, że nie wiedział nic o waszym przyjeździe?...

— Nie — przyznał Eustachy czerwieniąc się — w opiekę stryja mnie oddał, ale ja... ja... uciekłem... żeby tutaj... z wami...

Tankred uśmiechnął się życzliwie. Podobał mu się ten chłopiec. Na Szczepana nie zwracał rozmyślnie uwagi. Wrócił to wrócił, ale wtedy uciekł... Nikt mu tego nie zapomni...

— Przyjechaliście z Genuńczykami? — zapytał Eustachego.

— Tylko do Aleksandretty... Stamtąd zabrał nas pirat jeden z Boulogne, zowiący się też krzyżowcem..

— Guynemer?! — zakrzyknął Tankred.

— Guynemer, owszem... przywiózł nas do Joppy... Parę genueńskich galer stało w porcie, ale na jego widok uciekły jak podpalone...

— Skoro Guynemer tu jest — zauważył Robert — może by nam dał ludzi z toporami? Co?...

— Słusznie prawie — przyznał Tankred. Sam przed chwilą pomyślał to samo, Guynemer mógłby dać ludzi. Przednich cieśli obeznanych z obróbką drzewa... Co prawda Tankred nie miał ochoty widzieć znowu starego rozbójnika, ale dobro wyprawy ważniejsze niż jego osobiste uczucia. To trudno. Trzeba iść najpierw do Joppy. Na razie, zanim się oba oddziały rozstaną, rycerze zsiadają z koni, by chwilę popasać i dowiedzieć się, co w kraju. Oto ci przybyli wyjechali stamtąd przed paroma miesiącami, może przed kilkoma niedzielami zaledwie... W szatach, we włosach, w głosie mają jeszcze zapach, barwę i dźwięk ojczyznoego kraju... Kraju, który krzyżowcom wydaje się tak odległy, jakby był na innym świecie... Robert siedzi na uboczu ze Szczepanem.

— Nie ma godziny — mówi Krótkoudy — gdy mówiliśmy z Tankredem, że kto jak kto, ale ty nie wrócisz... I oto taka niespodzianka!... Oczom nie mogłem uwierzyć... W obozie nie przyjmą cię miło, wiesz?

— Domyślam się.

— Ja sam wolę, że wyjeżdżam — przyznaje Robert grubo, po swojemu — bo byłbym w me lada kłopotcie... Sam rozumiesz, że nie bardzo uchodzi z tobą przestawać...

— Nie liczę na to bynajmniej, abys przestawał. Nie krępuj się.

•— Gadam z tobą jak dawniej — ciągnie Robert — bo mam miękkie serce i pomnę, żeś mi dziewierzem, ale inni... Szczepan zaśmiał się sucho, niemile.

— Gadasz ze mną nie przez dobre serce ani dla powinowactwa, jeno przez ciekawość. Co do innych, wiem, jak mnie powitają... Nie bój się... Znam was dobrze...

•— Powiedz mi, po coś właściwie przyjechał?

— Musiałem — odparł krótko Szczepan — musiałem. Zmarszczył gniewnie, boleśnie czoło. Nagle nie wytrzymał i wybuchnął:

— ...Musiałem! Nie możesz sobie przedstawić, jak mnie doma przyjęli! Tchórz! Tchórz! Kuropłoch! Opuścił świętą wyprawę. Nikt ze mną nie chciał gadać!... W całej Europie tylko o was myślą, o was mówią... Czczą jak świętych... Jak bohaterów. Gdy chciałem prawdę rzec, porywali się na mnie do miecza... W oczy mówili, że kłamię, mnie, com prosto od was przybył, com widział i był... Nie wierzyli. Prawili, że lepiej wiedzą... Nie mogłem słowa powiedzieć... Choćby człowiek na zbawienie duszy przysięgał — nie uwierzą! Adela zgoła się ze mną przywitać nie chciała... Bogactwa wielkie przywiozłem, które mi basileus dał, by wynagrodzić za tamte pierwsze, com stracił — ani spojrzęła na nie... Całe noce płakała leżąc przy mnie w łóżu, aż litość zbierała i złość. Czego płaczesz?! — pytam — żem wrócił? — Żeś tchórz! — powiada. — Wszyscy mi zazdrościli męża krzyżowca, a teraz taki wstyd... Syn, Egmond, nic nie gadał, ale to samo myślał... To samo... Można było oszaleć... Zaręczałem, żem ja jeden ocalał, wyście zaś głupio zginęli, aż tu, jak na urąganie, Genuńczyki

przywiozły wiadomość o waszym wielkim zwycięstwie... I znakach... i cudach... Wtedy już nie było tam życia dla mnie... Kłamca!... Tchórz!... Wyjechałem z powrotem... Nie wrócę już nigdy doma...

- A co się dzieje z Hugonem?

- Hugo siedzi pono w Bizancjum. Wcałe jeszcze w Rzymie nie był. Boi się, że tak go przyjmą jak mnie, a do dalszej walki nie ma już ochoty... Za to ciągnie k'wam siła innych rycerzy. Zbierają się w gromady, by morzem ruszać do Ziemi Świętej. Za parę miesięcy będzie ich tutaj niemało...

— Dałby Bóg, żeby nadeszli, bo nas diablo skąpo. Nie wiem, czy będzie wszystkiego dwadzieścia pięć tysięcy...

- Człowieku, co ty gadasz?!

- Oj, tak, tak... Jeśli się tamci zapowiadani nie pośpieszą, mogą nikogo nie zastać... Strasznie nam teraz ciasno... Więc tak cię przyjęli?.., A ja zazdrościłem ci czasami... .

- Miałeś czego... Co za piekło!... Nie wrócę już... Tu chcę zginąć jak najprędzej. Słuchaj, Robercie, durnyś chłop, ale tyle sumienia ci starczy, żeby zrobić, o co proszę: gdy zginę, powiedz Adeli i Egmondowi, że pomarłem jak rycerz... Zrobisz to?

- Pewnie, że zrobię.

- Jakim sposobem wyście się wtedy z Antiochii wyrwali? Przecież nie było żadnej ludzkiej możliwości! Myślałem nad tym całą drogę. Jestem rozsądnym człowiekiem... I odważ-

nym, tylko nie szaleńcem... Lubię wszystko brać na rozum... Nie cierpię półgłówków w rodzaju Rajmunda St. Gilles,.. A życie przyznało rację jemu, nie mnie...

— Rozum furda, mocna garść to grunt — stwierdził filozoficznie Robert podnosząc się z ziemi. — O Antiochii opowiem ci, gdy wrócę, choć sam dobrze nie wiem, jak to się stało... I nikt dobrze nie wie... Żal mi cię, że sam jedziesz bo strach, jak będą wydziwiać.

- Przywykłem już... Zresztą biskup wyrozumie...

— Ademar?! Blisko rok jak pomarłem! W Antiochii go pocho-walim... Po to przecież Hugo do papieża jeździł...

— Ja sam Hugona nie widziałem, jeno wiem o nim przez innych... Więc biskup nie żywie? Boemund pono w Antiochii?... A kto między wami został starszym?

— Rajmund St. Gilles.

Szczepan machnął z niechęcią ręką i powlókł się ku koniom. Robert za nim. Tankred już siedział w siodle i nawoływał do pośpiechu.

Rycerz morski Guynemer ucieszył się szczerze, ujrawszy Tankreda wchodzącego na pokład.

— Zawsze się spotykamy, aż dziw — zauważył — jeno tym razem nie przywiozłem żadnej pani... Księżę zechce łaskawie wybaczyć...

— Wierście mi, panie Guynemer — rzekł Tankred poważnie — że nikt z nas dzisiaj nie myśli o kobietach.

— Jak to chwalebnie! Jednak, o ile ja wiem, człowiek potrzebuje zawiesz jedzenia, picia, spania i kobiety... Chyba że już nogami powłóczy... A jak się miewa grabini de Hainaux?

Tankred zaczerwienił się po swojemu niby winowajca, w krótkich słowach streszczając smutny los Idy. Stary rozbójnik wytrzeszczał swe ptasie oczy.

— Nie może być! Jestem rzetelnie zmartwiony... Taka miła kobieta... Strzegłem jej jak sakramentu... Jakżeście mogli, księżę, do tego dopuścić?

— Nie była wtedy ze mną — odparł dumnie Tankred. — Odesłałem ją do męża z niewielkim pocztem, który ogarnęli Saraceni.

— Odesłaliście?... Hę, hę... Macie, księżę, swoisty sposób postępowania z kobietami... Całkiem swoisty... Pamiętam...

— Dość tego! — syknął Tankred już wściekły — obrzydły mi już wasze przytyki. Gdybyście byli dobrym rycerzem, po-

tykałbym się z wami natychmiast... A tak możecie też tęgo oberwać...

Guynemer przymrużył kpiąco oczy. Droczenie się z młodym zapaleńcem robiło mu szczerą przyjemność.

— Ja nie jestem dobrym rycerzem? — zawołał żałośnie — mówiłem wam to już pod Niceą i gadaliście ze mną jak z równym, nie brzydząc się moją pomocą...

— Inna rzecz, gadać, inna się potykać... A pomoc godzi się

przyjąć od każdego, gdy chodzi o święty cel...^v — Wygodnie ułożyliście sobie świat, wielmożni panowie... Niemniej ja się uważam za prawdziwego morskiego rycerza... Pas mam...

— Nie zasłoni pas zbójckiego rzemiosła...

Guynemer pociemniał z gniewu, lecz powściągnął się i roześmiał po swojemu.

•— Rzemiosło narzuciło mi przeznaczenie. Wróżka pewna przepowiedziała mojej matce, że jej syn napelni wrzawą wszystkie morza... Przepowiedziała to na trzy lata, nim macierz poznała wojaka, słusznie czy niesłusznie uważanego przez nią za mego rodzica... Znają mnie od Gdańska do Aleksandrii... Z pasowanymi nie walczyłem nigdy... co prawda głównie dlatego, że się ich rzadko na morzu spotyka...

- Skończmy te żarty, mości Guynemer... Nikt od was nie wymaga byście byli prawym rycerzem, jak nie wymaga się od wilka, by był lwem... Co znaczy dobry rycerz, nie możecie nawet wiedzieć... Mniejsza o to. Mamy do was prośbę. Rzeknijcie uczciwie: jesteście chrześcijaninem i krzyżowcem czy nie?

— Jestem krzyżowcem — odparł chmurnie król piratów.

- Przyszła chwila, że możecie oddać nam, krzyżowcom, wielką przysługę... Nie możemy zdobyć Jeruzalem bez wież oblężniczych, a na zbudowanie ich nie mamy drzewa. W całej Judei nie masz drzewa! To przeklęty kraj! Po morzu wędrując, nie możecie sobie wyobrazić, jak tam jest... Nic, jeno rozpalone kamienie... Kamienne piekło... Wody nie mamy, bo pogany zatruli studnie, trzeba ją przywozić w workach dziesięć mil przez pustynię i góry... A tu skwar... Jeśli oblężenie potrwa ze dwa miesiące, nikt nie zostanie żywy i Grobu Świętego nie wyzwolimy... Jadę teraz z księciem normandzkim do Galilei po budulec, ale mamy mało ludzi, mało toporów i pił... Wypadnie obrócić drugi raz, może i trzeci... Pomóżcie nam, użyczając ludzi i narzędzi...

- Ależ dobrze — przystał łatwo Guynemer. — Jestem

krzyżowcem, to się rozumie. Zostawią sobie tylko niezbędną załogę. Resztę bierzcie... Zatem tak ciężko idzie z Jeruzolimą?... Widzę zresztą po was, książę, że — bez obrazy — kiepsko wyglądacie...

— Ja jeszcze dobrze wyglądam, bom młody i silny, ale jakbyście zobaczyli innych...

— Zaraz zwołam ludzi i każę się zbierać — rzekł krótko Guynemer i znikł pod pokładem.

Tankred został sam. Woda pluskała cicho o kadłub galery. Ukochane, życiodajne, pośródziemne morze! Było tak błękitne, że kąpiąca z wioseł woda zdawała się szafirowa, niby zabar- i wioną lazuruwą cieczą. Oczy, zmęczone szarością rozpalonego kamienia, patrzyły na nią z żarłoczną rozkoszą. Cóż za boska rzecz — woda! I pomyśleć, że byli ludzie, co wzniesli miasta gdzieś w kamiennej pustyni, mając tak niedaleko stosunkowo morze! Chrystus Pan też miłował morze... Guynemer daje ludzi, to dobrze... Ale cóż za obmierzły ózór u tego pirata!... Obrzydliwiec!... Ludzie znacznie przyspieszą robotę, zwłaszcza jeśli da takich, co się znają na obróbce drzewa... powinni się znać, bo przecież...

Myśl nagła, piorunująca olśniła go, obezwładniła... O wielki Boże!... Przecież te galery... są z drewna!... Guynemer wynurzył się spod pokładu z miedzianym gwizdkiem w zębach. Już miał wezwać załogę, gdy Tankred chwycił go za ramię.

— Wstrzymajcie się chwilę, mości Guynemer, chciałbym wam jeszcze coś rzec...

— Słucham — burknął pirat wyjmując gwizdek z ust. Tankred gorączkowo szukał w głowie słów odpowiednich.

Rozumiał, jak niesłychane było żądanie, które chciał postawić. Galery były dla piratów ich własnym rodzonym domem, częścią ojczyzny, jedynym mieniem, środkiem życia a równocześnie rzeczą nad wszystko cenną i drogą. Spędziwszy kiedyś kilka dni na pokładzie pirackiej galery, czasu oblężenia Nicei, miał możność zauważyć, że ci ludzie, na pozór wyzuci z wszelkich ludzkich uczuć, miłują swoje statki miłością czułą i drapieżną zarazem. Więc jakże teraz powiedzieć, aby je oddali?... Jakimi słowami zakląć Guynemera, by się zgodził? Bo — to też Tankred rozumiał — o przymusie nie mogło być mowy. Kto zniewoli swobodnych żeglarzy, by się rozstali ze swymi statkami! On sam, Tankred, znajduje się na ich pokładzie jako gość z jednym tylko giermkim. Guynemer każdej chwili może go wysadzić na ląd, podnieść kotwy i odpły-

nać... Odpłynąć z drzewem, którym są galery... Tylko własna dobra wola starego pirata rozstrzygnie o losach stojącej pod Jeruzolimą armii...

— Słucham — powtórzył Guynemer patrząc spode łba.

Tankred przełknął ślinę z wysiłkiem.

— Jesteście chrześcijaninem i krzyżowcem, mości Guynemer...

— Znowu!? Już powiedziałem, że tak... O co chodzi?

— Zaraz... Proszę, wysłuchajcie spokojnie... Nasi pod Jeruzolimą schną... Pogany na murach bluźnią Bogu, szydzą z krzyża i obrońców jego... Dajecie ludzi... Bóg wam zapłaci... Wszakże nim z nimi dojedziem do Galilei, nim wrócim, miną cztery niedziele co najmniej... Cztery niedziele! A tymczasem naszych z każdym dniem ubywa... Zaś wasze galery są... z... drzewa... Słuchajcie! Gdybyście nam odstąpili, nie wszystkie... część... parę... Macie ich dziesięć... można by zaraz budować... Nagrodzimy was, czym będziemy mogli... Każdą cenę... Uratujecie nas wszystkich... Grób Święty będzie wyzwolony dzięki wam... Ja nic nie posiadam... musiałem pójść w najemniki, bo com miał, to wygorzało, ale inni mają... Wszystko

oddadzą... Mogę to mówić, bo ich znam... Czy Godfryd, czy grabią St. Gilles, czy Flandryczyk... Nie zawahają się... Ja wiem, jaka to ofiara... Ja rozumiem... To jak od rycerza żądać, by się rozstał z mieczem... Ale, na rany Chrystusa! Możecie uratować całą wyprawę!... Gdybym coś posiadał, oddałbym wam... Nie mam nic... Jeśli przystaniecie, będę się z wami potykał jak z dobrym i prawym rycerzem... Ja...

— Dość — przerwał szorstko Guynemer i odszedł bez słowa na przeciwną stronę pokładu. Tam oparł się o burtę, plecami odwrócony do Tankreda. Prędkie, gniewliwe myśli szumiały w nim jak rój os... Tego im się zachciewa, wielmożnym!... Niech Guynemer odda galery!... Tak im pilno?... Nie mogli pośpieszyć się rok temu? Dopieroż teraz: Guynemer, oddaj galery... Uznamy cię za rycerza... Hę, hę... Będziemy się z tobą potykać... Zastrani łaskawcy!... Nagrodzimy... Bodaj was kat nagradzał!... Guynemer nie potrzebuje złota... Ma go dość po wszystkich portach... Oddać galery... A juźci!

Odsapnął i odwrócił się, by rzec, że jeśli rycerz chce, niech bierze ludzi, a jeśli nie, to fora z pokładu! Zatrzymał się jed-^oak na chwilę. ...Niech piorun spali wielmożnych! Pięknie byłoby jednak zdobyć Jerozolimę, pięknie... Nie ma co mówić... Cóż ty, stary Guynemerze, diabelski kumotrze? Jesteś królem piratów, wiadomo... Masz skarby i sławę największego

rozbójnika.....I starość za pasem też masz... Ino patrzeć, jak przyjdzie wyjść z szranków, zdać statki komu innemu i gdzieś za piecem żywota dokonać... Chrześcijanin jesteście, krzyżowiec, prawil ten szczeniak... Ano, owszem! Guynemer jest chrześcijaninem... Nie cieszy go, że pogański plugawia Najświętsze Miejsca... On by je mógł wyzwolić... Pod koniec życia zarobić na innej sławie niż zbójnicką...

...Mniejsza o sławę, mógłby zarobić na łaskę Pana naszego... Stary zbój Guynemer wyzwoli Grób Święty... Na tych galerach nie zdarzyło się jeszcze nigdy nic, czym by się uradowali aniołowie niebiescy, niechże się teraz stanie... Niech je rozbiją na drzewo, niech z nich zrobią beluardy... Guynemer sam pomoże i pójdzie do szturm... Hę, hę... To będzie najlepszy żart... Do szturm, na mury jerozolimskie, na własnej galerze. Odwrócił się szybko, stanowczo. - Hej, książę! — zawołał rozkazująco.

Tankred spłonął i zagryzł wargi. Zniósł jednak upokorzenie, bo chodziło o drzewo. Pasując się z samym sobą podszedł na pozór spokojnie.

— Biercie galery — mówił Guynemer prędko, chrapliwie. — Wszystkie, jeśli trzeba... Jeno mi o żadnej zapłacie nie gadajcie — bo, na sieć świętego Piotra! — choćcie książę, takiego dam kopniaka w zadek, że polecicie z pokładu! Zrozumiano? Z chrześcijańskiej ochoty to czynię... Waszej zapłaty mi nie trzeba ani się z wami potykać nie będę... Zbój jestem nieurodzony i nie chciałbym was pokalać... Do Galilei nie potrzebujecie iść wcale... Moje statki zdrowe, mocne, przedni budulec... Da się z nich sklecić sześć wież bez ochy-by...

Tankred bladł i czerwieniał na przemiany. Porywał go to gniew szalony na zuchwalca, to najgłębsze braterskie roztkli-wienie.

— Nie będziemy się potykać, skoro nie chcecie — rzekł w końcu — lecz trzymam was, panie, za dobrego, prawego rycerza i pójdę z kopią na każdego, co by przy mnie rzekł inaczej...

— Dobrze, dobrze — mruknął obojętnie Guynemer — jedźcie zaraz sprowadzić swoich ludzi, by czasu darmo nie tracić...

Rozdział jedenasty STAŁO SIĘ...

Praca wre. Minęły czasy, gdy tylko cieśle i ciury ciosały, a rycerze wraz z giermkami patrzyli na ich robotę. Dziś wszyscy się przykładają, i choć ludzi o tyle mniej, ta sama praca, na którą używano wówczas dwie niedziele, jest obecnie gotowa w dwa dni. Co prawda pod Niceą Pantopulos umyślnie zwlekał z budową, pod Antiochią znów cieśle nie wiedzieli, jak się brać do rzeczy, i tracili wiele czasu niepożytecznie. Teraz wszystko idzie jak z płatka. Dębina z rozebranych galer jest zdrowa i mocna, słusznie ją Guynemer chwalił. Wznoszone są dwie olbrzymie wieże, srogie ruchome kasztele czteropiętrowe i trzy mniejsze, pomocnicze. Topora mają się wszyscy, nawet baronowie. Najlepiej ciosać i dziabnąć potrafi Imbram, toteż inni spozierają na niego z zazdrością. Ich dłoniom, zwykłym-tylko miecza, topór wymyka się z garści lub tnie za głęboko. Ciosając równe, jakby odmierzone szczyпки Imbram rozmyśla, czy też Bóg widzi jego pracę i wstrzymał mściwą duszę złego brata? Czy wysłuchał jego modlitw? To znów ogarnia go dojmujący żal za straconymi towarzyszami, co narodem puszczańskim będąc znali się na ciesielskiej robocie, równie do miecza jak do siekiery zdadni, a z których tylko on i Jasiek Zawora zostali...

Gdy jedni pracują, drudzy stróżują na zmianę, strzegąc, by pogański nie zrobili wycieczki i nie popsuli roboty. Usiłowali już to uczynić kilkakrotnie, lecz ich szczęśliwie odparto. Słońce pali żarem nieprzerwanym, osłepiającym, ale ludzie jakby doń przywykli. Zapamiętali się aż do zatracenia, aż do zubożenia na upał i pragnienie. Niewiasty z Elwirą na czele ^{kr}ążą między nimi, roznosząc wodę, ciepłą, wstrętą, cuchnącą skórą, lecz jakże pożądaną!

Jutro dzień siódmy lipca, miesiąc, jak stanęli pod Świętym Grodem. Za tydzień chcą iść do szturm. Tak sobie postanowili. Jeszcze tydzień tej udręki. Albo zginą, albo staną w Jeruzalem Wyzwolonej.

Florina, córka Filipa, odtrącona małżonka królewicza duńskiego, przychodzi do kwatery mężowskiej po raz pierwszy od roku bez mała. Zmieniła się przez ten czas. Duma jej znikła, rozkruszyła się. Spokorniała, udręczona, przygnała tęsknota. Nie chce nic, jeno zobaczyć Swenona. Wie, że żyje. Podobno ma nawet ruszyć do szturm z innymi. Drżącym głosem Florina błaga stojącego na straży przed namiotem Olafa, syna Kanuta, by powiedział królewiczowi, że ona tu jest... Żona... Prosi... Niech się ulituje i pozwoli jej wejść...

Olbrzymi jasnowłosy Duńczyk, spalony słońcem, patrzy na nią współczująco i powściągliwie. Uczciwi, prosi woje o szło-mach, zwieńczonych turzymi rogami, dawno przestali silić się na zrozumienie zagadki małżeństwa swego królewicza. Wszystko, co od tego czasu zaszło, z jego chorobą włącznie, przypisują czarom. Czary! ...Kto je zadał, kto jest zaczarowanym, kto czarującym — nie wiedzą.

— Pójdę, powiem — mówi z wolna i odchodzi stąpając ciężko. Nie wie, że Florina cichym, lekkim krokiem idzie za nim. Oboje razem weszli do namiotu, do drugiej przegrody, zamkniętej zasłoną.

Mroczno tam, nie na tyle jednak, by nie dostrzec postaci, unoszącej się z tapczanu na widok wchodzących. Podwójny okrzyk rozpaczy. O, Boże wielki! To Swenon! Ta maska zniekształcona, okropna, to Swenon?! Rycerz Olaf, syn Kanuta, usuwa się spieszenie, pozostawiając tych dwoje.

Królewicz kryje głowę w ramiona, odwraca się do ściany.

— Idź! Idź! — krzyczy. — Idź! Kto ci pozwolił tu wejść?!

— Sama weszłam. Nie będę patrzeć... Już zawiętałam głowę zapaską... Nie widzę nic... nic... Nie mogę tak żyć dłużej...

— Wyjdź natychmiast!

— Nie wyjdę... Najdroższy mój... Przecież to ja... Pozwól mi zostać choć chwilę...

— Nie, nie! — jęczy Swenon. — Ja umarłem, mnie nie ma... Nie przyczyniaj mi męki daremnej...

— Swenonie... jam wszystkiemu winna... Odejdę, ale mi pozwól wprzód powiedzieć... Wysłuchaj... Moja wina; wszystko, co się stało — mój grzech... Daruj, jeśli możesz... Ja już nie ta sama... Patrz! Wypędzasz mnie, a ja stoję... Do nóg goto-wam ci paść... Swenonie...

— Idź! Idź! — powtarza królewicz przyciskając czoło do płótna namiotu — idź... ty nie wiesz nic... Moja choroba stąd... że... ja... ja... och!...

... Wiem wszystko. Nie mów! Domyśliłam się dawno.

... Wiesz i pomimo to przyszedłaś?

— Przyszedłam prosić cię o przebaczenie... Ja winna wszystkiemu... ja...

— Ja miałbym ci przebaczać?! Florino! Ty mi daruj, ukochana... Wszystko, co czyniła, było dumne i piękne, i czyste... ja nie sprostalem... zgrzeszyłem... Ja, marny, nędzny człowiek...

— Cicho, nie mów tak, przez litość, bo mi serce pęknie...

— Florino! — woła Swenon i wybucha płaczem. Łkanie "targa nim i szarpie.

— Czy pozwolisz mi podejść do siebie? — pyta Florina pokornie. — Cały rok cię nie widziałam!

— Nie! Nie! Nie podchodź! Nie zobaczysz mojej twarzy okropnej... Nie dotkniesz moich rąk...

Pamiętaj mnie, jakim byłem... Miłości moja... Dzieckoś jeszcze prawie... Zapomnisz... Zaznasz jeszcze szczęścia w życiu... Ja już umarłem... Nie ma mnie...

— Myślisz, że ciebie zabaczę! Zabaczę?! Że domą wrócę?... Mężu mój! Do klasztoru pójdę jak wdowa, na wieczne ostanie...

Płaczą oboje, ona z głową okrytą zapaską, on z twarzą kurczowo przyciśniętą do ściany. Lecz łzy wspólnie wylewane przynoszą ulgę. I pociechę. Swenon wprowadzie dawno zrzekł się życia, ale Florina jest silniejsza od niego. Jej burgundzka żywotność jeszcze się nie poddała. Już chwyciła iskierkę nadziei. Wyciąga omackiem do ukochanego dłonie.

— Już stąd nie odejdę... Nie wygnasz mnie... Miły... Pójdziemy razem do szturm... Spuścisz przyłbicę... Nikt cię nie obaczy... Ja przy tobie... Ublągamy twoje ozdrowienie... Bóg nam nie odmówi... Wiem na pewno... Trędowatych Pan nasz leczył, a ciebie by nie uleczył?!... Będziemy jeszcze szczęśliwi... Tylko teraz pozwól mi ostać... Swenonie!

Królewicz milczy, więc ona podejmuje jeszcze natarczywiej. - Jeśli zechcesz, będę chodziła w zasłonie...

Jak ślepa... Choć po co?... Nie boję się, żeś zmieniony... Gdybyś ty mnie ujrzał! Wyglądam jak stara kobieta!... Zmieniliśmy się oboje... Cóż nam o to? Bóg, jeśli zechce, przywróci nam urodę, a nie zechce, będziemy szczęśliwi i tak...

Swenon nie odwraca głowy... Niech mówi, niech mówi jeszcze... Niech słyszy jej najdroższy głos... Niech

mówi jego obieta, jego żona, jego ukochana dziewczyna... W Clermont było wielkie błonie pełne ludzi...
Przeciskał się przez ten tłum,

gdy go coś trąciło w czoło... Pamięta, jak spojrział w górę... Jej to był warkocz, taki długi... złoty... W
obramowaniu warkoczy i białej szatki liczko różane, dziecinne... Zapatrzili się na siebie... Tak się
zaczęło... Niech mówi, niech mówi... Jeszcze chwilę... Niech się ludzi, zanim on będzie musiał ból jej
zadać... Bo Swenon jest rycerzem, prawym, dobrym wojem i wie, że przystać mię może... Florina tu nie
zostanie...

— Musisz iść stąd, gołąbko, światłości moja, jedyna myśli moja, od kiedy cię znam... Musisz iść... Niech
Bóg błogosławi każdą chwilę twójego żywota...

— Nie! Nie! Nie pójdę! Nie pójdę!

— Musisz. Jeszczem nie spodłał do tyła... Jeżeli mnie kochasz, odejdz!

— Więc przynajmniej pozwól, byśmy poszli do natarcia razem?!

— Robert obiecał mi, że stanę przy nim na wieży, a ciebie tam przecież nie puszcza...

— Przebiorę się za twego giermka... Nie pozna nikt.

— To żarty. I ja nie zwolę...

— Dlaczego?

— ...Będę się o ciebie musiał bać... Ciebie chronić... Florina prostuje się dumnie po dawnemu.

— Mnie chronić?! Chybaś oszalał?! A cóż?! Ja się boję śmierci? Czym nie z rycerskiej krwi?

Czym nie z burgundz-kiego domu?...

— Och, ty... Wiem, coś jest... Będziesz lepiej walczyć ode mnie, który miecza podźwignąć nie mogę i
jednego tylko chcę; lec na wieży, by moi woje wiadomość do Dunii zanieśli, żem zginął w szturmie, jak
przystoi rycerzowi... Żeby mojej matce mniej było żal... To jedno... Bo wiele ja nie zwojuję... Śmierci chcę.
Niczego więcej...

— Nie grzesz! Wszyscy chcemy wyzwolenia Grobu Świętego. A potem Bóg cię uzdrowi.

— Cdybyż to mogło być prawdą!

— Tak będzie. Na pewno. Ja to wiem, ja czuję... Jeno mi pozwól iść z tobą!... Swenonie! Nam nie żyć bez
siebie!... Razem zginąć lub razem ostać... Jeśli mi obiecasz na cześć, że pójdę z tobą na wieżę, odejdę teraz,
nie płacząc...

— Poznają cię i odeślą...

— Nie pozna nikt, chyba że ty powiesz... Zgadzasz się, prawda?... Przystajesz...

— Powinienem ci odmówić...

— Nie możesz! Za ten cały straszny rok... Staniemy obok siebie, a Bóg niech uczyni z nami, co zechce...

— Niech Bóg uczyni, co zechce... — szepcze Swenon przyzwalająco.

— Dziękuję ci! Już się nie będę martwiła... Zwycięzimy... ozdrowiejesz... będziemy żyć... długo żyć...

— Obiecałaś, najdroższa, że odejdziesz, jeśli przystanę...

— Już idę... pozwól mi się dotknąć ciebie na pożegnanie... Straszno mi, gdy słyszę tylko głos twój, jakbym
rozmawiała z duchem...

— Bo też jestem duchem, Florino, dawno umarłym, któremu może Bóg cudem ciało przywróci...

Tej nocy nikt oka nie zmrużył. Wszyscy czekają świtu w pogotowiu. Bezszelestnie, nadludzkiem wysiłkiem
przecignięto beluardy tuż pod same mury. Rowu już nie ma. Jest zasypany po brzegi. Krzyżowcy nie mieli
czasu tego robić, pochłonięci budowaniem wież, lecz Rajmund St. Gilles ogłosił, że zapłaci grosz za każde
wrzucone do rowu trzy kamienie. Kto by uwierzył? W wyludnionej na pozór okolicy gdzie nie zdybałeś
żywego człowieka, na tę wieść znalazło się mnóstwo kobiet, dzieci, mężczyzn, dla których obietnica pana
Tuluzy była nęcącym bogactwem. Żyjący w nędzy, a z natury chciwi, uwijali się dzień i noc. Muzułmanie
szyli do nich z łuków, ubili przynajmniej połowę, lecz reszta się tym nie zrażała. Rajmund wypłacał
uczciwie gotówką obiecane pieniądze i szkatuła jego opróżniała się tak szybko, jak zapełniał rów. Ale
grabią nie troszczył się nigdy zbyt o bogactwo. Jerozolima musi być zdobyta!

Poganie również nie tracili darmo czasu. Na wierzchu murów wznoszą się szańce z worków wypchanych
wełną lub ziemią, mające chronić mury przed miotaniem głazów. Z murów, na grubych łańcuchach,
zwieszają się poziomo wielkie ciężkie belki, bujające się swobodnie. Te będą osłabiać uderzenie taranu.
Można je dowolnie opuszczać lub podnosić, zależnie od tego, w które miejsce pocznie godzić
nieprzyjaciel. Za osłoną z wypchanych wełną worków przygotowano zapasy kamieni, smoły, pakuł,
garnków glinianych z palącą cieczą greckiego ognia, włóczni i strzał. Oblegający niełatwe będą mieli
zadanie.

Nie ^ trwożą się tym. Co ino przystąpili wszyscy do Stołu kiego. Czują się skrzepieni i ufni jak kiedyś, gdy
mieli

rozbić i przegnać Kerbogę. Są całkowicie w ręku Pana, i co uczyni z nimi, będzie dobrym. Przed natarciem jeszcze obejdą mury procesją. Przed procesją jedną się ci, którzy byli ze sobą poważnieni. Rjmund St. Gilles pierwszy wyciąga rękę do Tankreda.

— Darujcie, żem was kiedyś nazwał szczeniakiem. Jesteście prawym rycerzem, chciałbym mieć syna jak wy.

Tankred wyciąga wzajemnie prawicę kłoniąc się z godnością. Czoło pochodu już rusza. Arnuld de Rohes niesie relikwie świętych patronów francuskich w złotym relikwiarzu. Przed nim Piotr Eremita dźwiga krzyż. Za Arnuldem baronowie oraz ich niewiasty. Swenon w zbroi, w przyłbicy spuszczonej na twarz. Florina w stroju giermka przy nim, tak jak obiecał. Czują wzajemnie bicie swoich serc. Ona trzyma go za ramię z czułości, i z obawy, by się nie potknął. Jest bardzo słaby istotnie. Śpiewają oboje z innymi:

...Ocuć się, ocuć, powstań z poniżenia, Jeruzalem!...

Jako ziemia stał się grzbiet twój i jako ulica dla przechodniów...

Ocuć się, ocuć, przyoblecz w moc twoją, Syjonie!...

Idzie wszystko rycerstwo i giermki. De la Tour z nieodstępą lwicą przy nodze. Jastrzębiec, Imbram i Jasiek Zawo-ra, jedyni, co się z drużyny polskiej ostali, Andrzej i Bela de Kolosvar, jedyni, co się zostali z węgierskiej. Panowie bracia Sahdac de Viel, tak podobni, że nie rozróżni ich rodzona matka, Rajnold de Chartres, Gaston de Beziers, Eberard du Puiset. Nigdy nie pocieszony de Hainaux. Mężny Konon de Montaigu. Walter Bez Mienia. Śpiewają śpiewem podobnym do grzmotu:

...Ocuć się, ocuć, powstań, Syjonie!

Oblecz się w szaty wspaniałości, Jeruzalem, grodzie święty,

Otrząśnij się z pyłu, powstań, Jeruzalem!

Rozbij pęta szyi twojej branko, córo Syjonu!

Idą śpiewając piraci, woje, piesi, tarczownicy, oszczepnicy, łucznicy, serviensy, ciury, aż do najlichszej hołoty zrównanej dzisiaj z wszystkimi. Głos proroka Izajasza niesie się ponad skałami:

...Wybuchnijcie, zaśpiewajcie, ruiny Jeruzalem!

Bo pociesza Wiekuisty naród swój...

Odsłania Wiekuisty swe święte ramię przed oczyma wszystkich

[ludów,

piL ujrzą, że jest największy! I nie masz odeń większego! Powraca Bóg do Syjonu!... Podnieście, bramy, głowy swe! podnieście się, bramy odwieczne, aż wnijdzie Król Chwały...!

Zebrani tłumnie na murach mużułmanie przedrzeźniają procesję i śpiew. Biegną równolegle do idących niosąc krzyż zrabowany w którymś z kościołów i obraz Najświętszej Panny. Krzyż dźwigają bluźnierczo głową do dołu, smagają prętami, lżą. Na ciemne, słodkie lico Matki Bożej rzucają kałem, oblewają obie świętości nieczystościami. Skrzeczają przeraźliwie jak małpy. W krzyżowcach serce zamiera z grozy, oburzenia, gniewu. Śmierć tym przeklętnikom, śmierć! Rzucić się na nich natychmiast!

Wydzierżą jednak. Wprzód trzeba skończyć procesję. Okrą-iyć mury, jak niegdyś Jozue okrążył Jerycho. Zamknąć je magicznym kręgiem uniesienia, zapału, modlitwy. Dopieroż wtedy uderzyć... Na wielkiej czteropiętrowej wieży, błyszczącej złocistym krzyżem, stoją: Godfryd z bratem swoim Eustachym, de Montaigu, stary pirat Guynemer, Rajnold de Chartres i Robert flandryjski. O piętro niżej Swenon i Florina, woje lotaryń-scy, duńscy, Robert normandzki, Szczepan de Blois. Trzeszcząc, skrzypiąc, podskakując, olbrzymia budowla pełnie tuż ku murom. Okuty żelazem taran podnosi się, opada grzmocąc w mur, aż ziemia jęczy. Wielkie katapulty na obu górnych piętrach umieszczone rzucają odłamy skalne i głazy. Za radą Guynemera po dwu wojów, rozbujawszy, miota ciężkie belki, które padając na mury ścinają z nóg obrońców. Wałka trwa zaciekle. Z grodu lecą na wieżę zapalone kwacze smolne, grad pocisków, ogień grecki. Wyjąc jak szatani mużułmanie żelaznymi drągami odpychają beluardę i nie pozwalają przysunąć jej bliżej. Równocześnie inni prażą Latyńców, czym mogą. Piekielny zgiełk rozdziera uszy. Pomimo okrycia ze skór, "wieża poczyna się palić z dwu stron. Nie mający wody rycerze gaszą ogień własnymi dłońmi, płaszczami. Chwytają drągi, trzymane przez Saracenów, by się za ich pomocą przyciąg-ⁿąć. Z obu stron kamienie, oszczepy i włócznie lecą gęsto jak grad.

- Skorzej! Skorzej! — krzyczy Guynemer w dół do ludzi, którzy za pomocą dźwigni poruszają ciężkie koła. Tam do licha! Znów ogień! Przepojone wielokrotnie smołą drzewo galery zajmuje się łatwo. Mużułmanie wrzeszczą z radości. Ma-ⁿki zapas wody, przywiezionej wczoraj z Jordanu, przegna-

czoney do picia dla obrońców wieży, trzeba zużyć na gaszenie ognia. Trudno. Ludzie obejdą się bez wody, a wieża spłonąć nie może.

Rajmund St. Gilles naciera wściekle od przeciwnej strony grodu. Za nim de la Tour, bracia Sahnac de Viel, Jastrzębiec, Imbram, de Foix, Węgrzy, Walter Bez Mienia. Lwica ryczy. Kamienie gruchoczą. Ogień leci z obu stron. Belki kręcą się bucząc w powietrzu. Krew bluzga. Słowa modlitwy ścierają się z przekleństwami. Włócznie świszczą. Koła skrzypią. Liny katapult jęczą. Muzułmanie gorączkowo podnoszą mury za pomocą kamieni, worków, belek, by zagórować nad oblegającymi i nacierać na nich z wysoka. Utrudnić im rzucenie mostu! Ruchoma wieża, kołysząc się, pełźnie natenczas parę kroków dalej. Tam już podnoszą podobnie. Więc bez wahania Rajmund każe rozbierać mniejszą pomocniczą wieżę. Belki dawać tu na wierzch. Prędeż! Prędeż! Na ciało świętego Idziego! Prędeż!

Dobudować jedno piętro! Nic, że się chwieje, trzeszczy, zaraz runie. Grabią St. Gilles pierwszy śmiało. wskakuje na szczyt. Jest wyżej niż mury. Dawajcie mi tu kamienie! Pochodnie! Ogień! Podają. Chwiejąc się na kołyszących, ledwo zbitych deskach, grabią miota je, gdzie gęstsza ciżba obrońców.

Wściekli, celują w niego ognistymi pociskami. Rzucają jak w lwa oszczepem. Inni pień, obłany smołą i ciecżą greckiego ognia, podpalają w powietrzu, płonący spuszczaają na wieżę. Lecz bacni rycerze przychwytyują go drągami, nieludzkim wysiłkiem odrzucają w górę. Spada na mury. Nim go znów pogany strąca, zajmują się worki z wełną. Smuga ognia drży na wietrze.

Południe już przeminęło, wieczór niedaleko, a walka wciąż nie ustaje. W ogłuszającym hałasie, zamęcie piekielnym, zawierusze dnia Sądu Ostatecznego, wśród zwałów trupów, gromadzących się wzdłuż murów, jakim sposobem są jeszcze, którzy żyją? Zda się, iż wszyscy powinni już polec. Kiedyś, kiedyś, po wielu wiekach praprawnuki ich będą przeżywać podobną groźbę pod huraganowym ostrzałem ognia artyleryjskiego na polach Europy środkowej. Będą się podobnie dziwić, że ktokolwiek jeszcze żyje. Jeno ci ginący pod Jerozolimą krzyżowcy od pierwszego do ostatniego wiedzą, o co walczą, i stoją tu z dobrawoli.

Każdego zapala ta sama namiętność, furia, pragnienie zwycięstwa.

I tak mija dzień. Żarny, rozpalony dzień. Noc zapada nie przynosząc żadnej zmiany. Nikt nie schodzi ze stanowiska. Nikt nie myśli o odpoczynku, o śnie. Nie czują, jak są straszli-

-wie zmęczeni. Stoją na wieżach czujni niby żurawie. Nie śpią również w grodzie obrońcy. Usiłują podnieść i naprawić mury tam, gdzie krzyżowcom udało się zrobić wyłom. Po murach chodzą wiedźmy arabskie i sprawują czary. Palą ziele Baaras, odejmujące moc wrogom, i mruczą tajne zaklęcia. Noc jest bezmiesięczna, ale tym gwiazdzistsza. Gwiazdy blade trzęsą się niby w gorączce. Cała przyroda nie śpi, czuwa, oczekuje. Dziwna noc. Jeszcze dziwniejsza od owej w Emmaus, gdy czerń nieznana pożerała księżyc. Jak błędne ogniki błyskają iskry niecone przez wiedźmy. Rycerzom włosy stają na głowie. Śpiewają z cicha godzinki, by mary i złe odgonić. Z otuchą czują, że na wieżach przybywa im towarzyszy, aż na wszystkich piętrach zaczyna być tłoczno. Stoją ramię przy ramieniu, Rajmund St. Gilles, czuwający w nietrwalej równowadze na dobudowce wieży, odwraca się i widzi, że koło niego stoi kilku ludzi.

— Nie pchajcie się — powiada szeptem — bo to ledwo się trzyma i runie...

- My nie zważymy — odpowiada z uśmiechem najbliższy. Rajmund nie wie, kto mówi. Po głosie myślałby, że Ademar de Monteil, gdyby nie to, że Ademar dawno już nie żyje... To znów zda mu się słyszeć głos rycerza d'Armaillac. Nie on jeden ma podobne zwidzenie. O rycerza de la Tour otarł się St. Pierre de Luz. Imbram gotów przysięgać, że przed chwilą widział przy sobie poważne lico Głowacza, jego duży, uparty łeb pełen rozważli, że mignął przy nim Tarchała. Przed braćmi Salviac de Viel stał Raul de Beaugency. Tłoczyli się zewsząd. Gdziekolwiek popatrzyłeś, widniały ścieśnione szeregi, liczne jak pod Clermont, gdy nieskończone tłumy brały krzyż. Powietrze stało się duszne, zgęszczone od napływu rojowiska dusz. A jeszcze dziwniejszym było to, że obecność dawno zmarłych nikogo nie przerażała, że zdała się rzeczą samą przez się zrozumiałą, naturalną i konieczną. Chory Paweł Engelram oparł się z ufnością na ramieniu starego Anzelma de Ribeaumont. Żywi nie dziwili się zmarłym, zmarli nie różnili się niczym od żywych. Oba światy stały jakby poza światem, w tajemniczej dziedzinie, znajdującej się poza życiem i śmiercią.

Zaledwie dzień błysnął, bój zawrzał na nowo. Z wizgiem leciały z obu stron kamienie, belki, szmaty płonące, kwacze, zapalone pochodnie, oszczepy, strzały, ukrop i smoła. Położone obłożonych nie zmieniło się od wczoraj. Położenie oblegających pogorszyło się znacznie, bo jest ich coraz mniej. Na-

tłok gości nocnych znikł ze światłem dnia. Na wieżach coraz to puściej. Coraz gęściejszym wałem martwi Latynicy leżą pod murami. Coraz trudniej uchronić wieże od ognia. Wyschnięte drzewo zapala się niby słoma. Mimo wszelkie wysiłki raz po raz wybucha pożar. Tlą się dolne piętra. Niewiasty, ciury gaszą je,

jak mogą, lecz beznadziejna to praca. Stojący na szczycie rycerze mają przed sobą już niewiele chwil, Jeżeli teraz nie rzucą mostu, ogień, co w krótkim czasie ogarnie słupy, pochłonie ich wraz z nimi. Paweł Salviac de Viel pada ugodzony w skroń kamieniem. Brat jego Szczepan patrzy na leżącego oszołomiony, jakby sam otrzymał cios. Nie czuje smutku, tylko niemożność dalszego istnienia. Wydaje mu się, że posiadał dwie prawice, by podnieść do góry miecz, a oto jedna odpadła. Miał dwa serca, oba równie do życia niezbędne, i jedno bić przestało. Miał dwie głowy, którymi czuł, myślał, żył, a oto jedną utracił. Chwieje się, ślania bezradnie.

— Bracie Pawle, bracie bliźni, jakóż mamy żyć bez siebie?...

Błady z umęczenia Szczepan de Blois walczy wytrwale, choć bez przekonania. Przecież widać od razu, że to się na nic nie zdało. Nie zdobędą grodu. Wykluczone. Za mało ich. Topnieją jak śnieg. Gdyby ich było tyle co pod Niceą, a, wtedy sprawa wyglądałaby inaczej... Ale tak?! Wieże już płoną. Wyglądamy na nich jak szaleńcy — myśli. — Ci tam na wierzchu nie czują przynajmniej, że giną. Zapamiętali się... Ja nie zdolę... Chciałbym mieć ich zapał... Przeklęty rozum!... Po co giniemy tu wszyscy?... Przecież nic z tego nie...

Urywa w pół słowa, śmiertelnie przygnieciony belką. Ostatkiem sił woła w górę do Roberta:

— Pamiętaj, coś mi obiecał, pamiętaj!...

Ten sam kamień, który zabił starego rozbójnika Guyneme-ra, uderza w głowę stojącego o piętro niżej Swenona, Królewicz pada bez słowa. Nie zatrzymają go ramiona Floriny. Stacza się bezwładnie na dół między rusztowania już ogarnięte płomieniem. Spłonie po śmierci na stosie, jak płonęły jeg@ dziady. Florina patrzy za nim okiem bez łez. Stało się. Swe-non nie żyje. Nie ma już o co Boga prosić. Zostaje tylko zwyciężyć i zginąć.

Dym dusi oddech. Z góry żarem pali słońce, z dołu ogień. Nie widać stąd ciała Swenona. Na górnym pomoście Godfryd cudem dotąd żywy, z bratem swym Eustachym i Robertem

flandryjskim usiłują daremnie zarzucić most, ciągle odpychany. Przy ^{nicn} trzech czy czterech rycerzy zaledwie...

^Zręcznym ruchem Florina wspina się do góry. Hełm zbyt duży spadł jej z głowy, spłynęła długa dziewczynska kosa. Jasna, złota. Lecz nikt nie zwraca na to uwagi. Nikt się nie dziwi. Przybył ktoś ku pomocy, to dobrze. Zbyt ich mało, mało!

— Burgundia! — woła dźwięcznie, donośnie Florina — Burgundia! — Oto jest, obok Lotaryngii, Flandrii... Oto jest krew nieobecnego Filipa. Walczy na szczycie płonącej wieży, gdzie najprzedniejsi rycerze...

...I w tejże chwili ugodzona strzałą upada na dół na płonące ciało męża.

Eustachy wychyla się za nią strwożony. — Spali się! — woła z przerażeniem. Jest taki młody, przyjechał tak niedawno, że wszystko wkoło wydaje mu się okropnym, niewiarygodnym snem.

— My się także spalimy za chwilę — pociesza go krótko Robert.

I walczą dalej. Z uporem niepokonanym piorą w pogan, czym mogą, podnoszą i spuszczają most. Sto rąk go odpycha, odrzuca. A ich jest tak mało... Z dołu nowi dojść nie mogą, bo ogień nie puszcza. Mimo największe wysiłki gaszących, mimo chlustania wodą, czerpaną z zatrutych studni, płomienie sięgają coraz śmielej, parzą stopy, liżą słupy. Tylko patrzeć, jak cała wieża zawali się z trzaskiem, tryśnie snopem iskier w górę.

Lecz jak gdyby płonące rusztowanie było okrętem na morskiej otchłani, nikomu z walczących rycerzy nie przychodzi na myśl zeskoczyć na ziemię. Od tego szturmie nie cofną się. Wejdą na mury lub zginą.

- Bóg tak chce! — woła Godfryd, okrzykiem tym przyzwalając niejako na zgon swój i towarzyszy. Bóg żąda, by tutaj polegli. — Amen, niech tak będzie...

...Bóg tak chce!...

...Bóg tak chce!... — odpowiada przeciągły okrzyk tysięcznym echem odbity o wzgórza. Okrzyk tak gromki, że Godfryd zdziwiony obraca się i widzi... widzi własnymi oczami... stojący obok niego towarzysze widzą również...

•••Ze szczytu góry Oliwnej zjeżdża pędem masa wojska. Swoi! Latyńcy! Nie widać końca szeregów! Już spłynęli w Jo-afatową dolinę, już przechodzą potok Cedron... Krzyże nad ^{lIn}i, znaki, proporce nad nimi... Iskrzące zbroje, niby bły-

skawica miecze... Na przodzie wysoki mąż na siwym koniu... Miecz w jednej ręce, krzyż w drugiej... Postawa zda się znajoma... Nie boiż się puścić wodzów, lecąc z góry po kamieniach? Cóż za koń, że nie upadnie?! Nie pada jednak... Są coraz to bliżej... Od ich padu idzie wiatr. Od pędu oddechów, znaków, proporców wiejących, dym i ogień kłonią się, kładą na mury... Wicher porывa się z nagłą, lecz zamiast podsycać pożar, przerzuca go na pogan. Palą się wory z wełną. Pali się przygotowana na

krzyżowców smoła. Muzułmanie z krzykiem cofają się przed płomieniami.

Nie dbając o to, kto idzie z pomocą, skąd się nieoczekiwane posiłki znalazły, Godfryd rzuca wreszcie most. Skacze nań pierwszy, za nim Eustachy, Robert, Montaigu, Letold, Engelbert... Za nimi inni, którzy jeszcze żywi. Już są na murach. Już ich poganie nie wyprą. Nie dbają, że w tejże chwili be-luarda zapada się z sykiem, zamienia w stos gorejący. Oni są w mieście. Wróciły im siły. Tną, jak gdyby dopiero rozpoczęli walkę. Muzułmanie cofają się. I oni ujrzeli nowe szeregi Franków, schodzące ze wzgórza. Duch w nich na ten widok osłabł. Pozwalają Godfrydowi przerąbywać się ku bramie.

Już przez wywalone wrota wdzierają się ze swoimi Tankred i Robert normandzki. Rąbią bez tchu, bez opamiętania. Po przeciwnej stronie grodu. Rajmund słyszy tumult. Frankowie już są w mieście.

Wstępuje weń nowa siła. Ponad przepaścią skacze z płonącej wieży na mury, spada pomiędzy pogan. Luz czyni mieczem. Za nim przeskakują inni.

Godzina jest trzecia po południu, ta sama, o której Chrystus Pan wyzionął ducha, dnia piętnastego lipca roku...

Pełno już Latyńców w grodzie. Walka zaciekła, wściekła, bezlitosna. Saraceni bronią się jak lwy z ponurym, dzikim, pogardliwym męstwem. Ujrzą dzisiaj raj Proroka. Ujrzą niezawodnie.

Ale nie sami wojownicy znajdują się w grodzie. Wąskimi, stromymi uliczkami uciekają przed najeżdżcą przerażone tłumy kobiet z dziećmi w ramionach, starcy, niedołatki... Daremnie proszą litości. Daremnie jęczą i padają do nóg. Latyński miecz nie szczędzi nikogo. Nie ma słabych, nie ma płci. Są tylko poganie. Każdy z tych uciekających to ten, co znieważał Krzyż, plugawił kałem lico Matki Bożej. To ten, co nocą zatruewał studnie. To ten, co zaklął ziemię, by rodziła tylko kamień. To wróg szatański, z powodu którego konali z pragnienia, To wiedźma, co nocą zarzucała czary...
...Nie ma, nie ma miłosierdzia! Zło musi być wytępione!

Wąskimi, stromymi uliczkami płynie krew. Bulgoce, wzbiera, spływa czerwonym strumieniem. Na placach tworzy dymiące kałuże. Miejscami sięga wyżej pęcin końskich. W zapamiętałej rzezi, w ścisku śmiertelnym, ginie niemało swoich z ręki swoich. Ginie też i wielu chrześcijan. Omal nie zamordowano sędziwego patriarchy ormiańskiego Warama. Kronikarze arabscy opisując ten dzień obliczą swoich zabitych na siedemdziesiąt tysięcy.

Na płaskim szczycie góry Moriah, w świętym meczecie es Sakra, zebrał się tłum przeważnie kobiet i dzieci. Jedni obsiedli ośmiokątny dach. Inni tłoczą się w samym budynku. Pośrodku czarodziejskiej barwności wnętrza wznosi się szara, naga skała. Służyła niegdyś za ołtarz całopalny w Salomonowej świątyni. Jest w niej ściek i otwór na krew ofiar spływającą stąd do potoku Cedron. Podobno na tej samej skale, trzykroć świętej, Abraham chciał ofiarować Izaaka. Podobno z niej Eliasza uniósł się do nieba. U tej skały szukają ocalenia obłąkane ze strachu poganki. Czepiają się rozpaczliwie szorstkich, chropowatych zboczy. Lecz Latyńcy już dopadli. Wrąbali się w trwożną ciżbę. Ściekiem wyźlobionym przed tysiącem lat spływa bystry strumień krwi. Młode ciała bogate są w czerwoną krew. Takiej hekatombi nie widziała jeszcze skała Abrahama, Eliasza. Nie złożyli nigdy tak hojnej kapłani.

Za swymi ludźmi, mordującymi w meczecie wpada Tankred z mieczem purpurowym w dłoni. Smuga słońca za nim. Wygląda niby archanioł gniewu. Nozdrza drżą mu od zapachu krwi jak u lwa, gdy węszy zdobycz. Rozgląda się wkoło chciwie. Co, same kobiety... Kobiety?... Dziecinny wrzask rozpaczliwy, przeraźliwe jęki. Zewsząd patrzą nań zażawione, wylękłe oczy Dżurisy... Nie, na Boga! Rycerz czuje, że nie da zabić tych kobiet, tych dzieci... One nie walczyły... One krzyża nie hańbiły... — Chorągiew moją zatknąć na meczecie! — woła donośnie. — Mój jest i wszystko, co w nim. Nikt nie ma prawa nic ruszyć!... Ani rzeczy, ani ludzi!

Zostawiwszy na straży Sebastiana de Monte Scabioso z kilkoma rycerzami, sam biegnie dalej. Wszędy to samo. Krew... Krew... Krew... Muzułmanie już się przestali bronić. Siadają na ziemi osłoniwszy głowę płaszczem. Czekają obojętnie, aż miecz wroga przetnie pasmo ich żywota. Trupy gromadzą się w stosy wysokie. Zamykają wejście do wąskich uliczek. Słońce już zaszło, schodzi prędki mrok. W mroku jęki, rżenie konających, zaciekle sapanie żywych. Rąbiąc na równi z in-

• Krzyżowcy t. III/IY

nymi, Rajmund St. Gilles ogląda się z ciekawością- za sprzymierzeńcami. Gdzież wojska schodzące wtedy z Góry Oliwnej? Musiały wejść do grodu zaraz za nimi. Skąd się wzięły, kto one? Mimo woli, gdy miecz

podnosi się i opada ruchem młocarza kręcącego cepem, umysł szuka, bada, przypomina... Ów, co prowadził hufce ku pomocy... Postać tak znajoma?... I koń, i te wodze puszczone na tęg, i miecz, i krzyż, i postawa?... Któż to? O, Boże... Wszak to biskup z Puy... Ademar... Przyszedł ku nim, jak obiecał... W rozstrzygającej chwili przechylił szalę zwycięstwa...

W dali migocą pochodnie. Czerwone ich światło odbija się w czerwonych kałużach, w pędzących wartko czerwonych potokach, kołysze się, miga, przyzywa... To Godfryd, boso, bez miecza, z gołą głową jak pokutnik, z kilkunastu wojami, z pachółkami, niosącymi pochodnie, zdąża do Grobu Pańskiego...

Nadchodzą śpiewając. Rajmund, Tankred, obaj Roberci rzucają o ziemię miecze, szlomy, idąc za nim. Krew pluszcze pod nogami. Ciepła, śliska. Bose stopy obsuwają się na mokrych kamieniach...

Ulice Świętego Grodu płaczą się zawile i niezrozumiale, spadają w dół, by znowu wybiec pod górę. Są tak wąskie, że rozpostarte ramiona dotykają ścian. Górą kamienne żebra rozpierają domy, by w razie trzęsienia ziemi nie zeszyły się gniotąc mieszkańców na miazgę. Czasem, prócz żeber, dach z desek lub płacht zacienia górą ulicę, zmieniając ją w mroczne przejście.

Teraz na ulicach tych zalega śmiertelna cisza. Nad stosami trupów leży zmiękła groza. Groza i trupy zastawiają przejście. By dostać się do Grobu Świętego, boski pokutnik musi deptać jedno i drugie, przełazić przez martwe szańce, stąpać po rozwartych oczach, zastygłych w krzyku przerażenia ustach. Czynią to pośpiesznie, nieczule, dalecy od świadomości, że sztywniejące ciała były przed kilku godzinami żywymi jak oni ludźmi, błagającymi daremnie o litość. Wszystko, co się działo dotąd, zapadło w głąb niepamięci, w niewiedzę zupełną, rozgrzeszającą, niebyłą. Ocierali się o ściany, do wysokości człowieka pokryte zaschlą krwią, płacząc świętymi łzami skruchy i radości. Łzy obmywały duszę jak rosa niebieska, że czuli się niewinni i wniebowzięci. Ach, żaden z nich nie skrzywdziłby dziecka, nie sprawił bólu niememu bydłeciu, nadłożył chętnie drogi, by nie rozdeptać jaszczurki! Rzewna wzniosłość wypełniła dusze, równając ich z aniołami. Grzech, szatan, zło pierzchnęły niby od zbawionych...

Nie mieli żadnej myśli krom poczucia, że za chwilę ujrzą T O, ku czemu zdążali od czasów dalszych, niżli pamięć sięga. Lata wędrówki wydłużyły się w nieskończoność, objęły, zda się, całe minione życie aż do niemowlęstwa. Cokolwiek działo się przedtem, majaczyło w pamięci niby na przeciwnym brzegu, odległym i obcym, oddzielnym falą zapomnienia tak szeroką, że każdy gotów był przysiąc, iż życie jego na ziemi poczęło się od chwili tego wędrowania. Że wzrósł z nim i dojrzał z nim i nie znał życia poza nim. Sunąc na kolanach, wspinając się na martwe ciała pobitych równie obojętnie, jakby to były kamienie, nie myśleli zgoła, jak TO oczekiwane będzie wyglądało. Nie wytworzyli sobie o NIM żadnego wyobrażenia, nie spodziewali się, by było takie, a nie inne. Przyjmowali wszystko bez zastrzeżeń, w przekonaniu, że tak właśnie musi być, skoro tak jest. Nie znali dziejów Miejsc Świętych. Nie wiedzieli przeto, że surową skałą, zwaną Golgotą, w której zboczku wykuty był nowy grób bogatego Józefa z Arymatei, a pod którą według niezmiernie starej tradycji pochowany był praojciec Adam (...iżby lekarz był podniesiony na tym samym miejscu, gdzie spoczywał chory...) cesarz Hadrian, wróg Chrystusa i swej duszy, kazał zasypać, zarów-nać i wybudować na niej świątynię Jowisza. Nie wiedzieli, że w paręset lat później pobożna cesarzowa Helena kazała rozebrać pogańską świątynię, rozrzucić ostrożnie jej fundamenty i odnalazła pod nimi nietknięty Grób i skałę Golgoty, czerniejącą trzema otworami, w które zapuszczano krzyże. Odnalazła w pobliskiej cysternie święte drzewo, nieruszone, niezniszczone, przechowane w tym kraju głązów i wieczności, gdzie nic nie ulega zepsuciu ani przedawnieniu. Nad tym bezcennym odkryciem matka Konstantyna Wielkiego wzniosła . bazylikę nieomal równie piękną jak świątynia Mądrości Bożej w Bizancjum.

Lecz gdy po raz pierwszy poganie wtargnęli do Jerozolimy, szach perski Chosroes, zaciekły niszczyciel, zniósł bazylikę Heleny. Za cesarza Herakliusza dźwignięto ją z gruzów. Zwykły jednak rozmach i wyczucie piękna budowniczych bizantyjskich zawiodły; w miejsce wielkiej świątyni, obejmującej całe wzgórze, wybudowali pięć małych kościołów. Przerąbali i znieśli w połowie wzgórze Golgoty, oddzielając Kalwarię od Grobu, by każde uczcić z osobna. Stały oddzielnie kościół Zmartwychwstania, czyli Anastasis, Ukrzyżowania, Pomaza^{nia}, Znalezienia Krzyża i Biczowania.

^{Pr}zed dziewięćdziesięciu laty kalif Hakem, srogi prześla-

downica prawdziwej wiary, ten sam, który chrześci jamom dla pohańbienia kazał nosić na szyi ciężar dziesięciofuntowy — zniszczył owe pięć kościołów. Czasu krótkiej przerwy w walce między półksiężycem a krzyżem, korzystając z łaskawości następcy Hakema, basileus Konstanty Monomach przysłał chrześcijanom jerozolimskim pieniądze cna odnowienie rozwalonych świątyń. Dzięki tej pomocy naprawiono je cokolwiek, zabezpieczając przed dalszym zniszczeniem, niemniej stanowiły one właściwie ruinę. Szczątki wielorakich budowli nawarstwiały się jedne na drugich, zmieniając obraz miejsca do nie-poznania. Lecz krzyżowcy nie dbali o to. Stąpali poprzez zwalone kolumny,

strzaskane płyty, zgoła ich nie spostrzegając. Nie troszczyli się, zali tu zawsze tak było. Przyjmowali stan obecny bez zdziwienia. Podświadomie czuli, że wielkość Tego, co obaczą, nie leży ani w wymiarach, ani w wyglądzie, ani w bogactwie. Mimo prostactwa i dziecinnej pierwotności umysłów odruchowo pojęli nieistotność zewnętrznego kształtu w odniesieniu do rzeczy wieczystych.

Przepelniające ich uczucie nie mogło być większe, choćby miejsce, do którego wchodzili, okazało się zaczarowaną świątynią ze złota, koralu, kryształu...

Z drzeniem, ściskającym serce aż do zamarcia, wtlaczali się pod zniszczoną odrapaną kopułę kościoła Zmartwychwstania. Pośrodku stała nieforemna skała otwarta z jednej strony dość obszerną wnęką. To był przedsionek Grobu, miejsce, gdzie w czasie pogrzebu gromadziła się zwykle rodzina i płaczk. Wewnątrz przedsionka, u niskiego otworu, prowadzącego w głąb, w wąskim wyżłobieniu skały tkwił wielki, krągły kamień zawierający wejście do właściwego Grobu. Na tym kamieniu siedział niegdyś Anioł w chwale, pytając splakanych niewiast, kogo by szukały? Kamień był teraz odtoczony, skryty w ścianie, przejście wolne. Z niepojętym uczuciem wyrastania daleko poza siebie, czołgali się na kolanach do środka pieczary wąskiej i ciasnej. Po prawej stronie błędzące w mroku ręce trafiały ze czcią na ławę kamienną, wykutą wprost w skale. Na tej ławie Boże Ciało spoczywało od piątku wieczór do niedzieli rano. Płaczącym z uniesienia pielgrzymom zdawało się, że widzą Je bielejące w mroku, olbrzymią Hostię jaśniejącą bladym światłem. Okrywali szorstki kamień pocałunkami najczystszej miłości, niewysłowionego szczęścia. W Grobie nie mieści się ich więcej niż czterech, pięciu najwyżej, więc stojący u wejścia zebrzą, błagają tamtych, by wyszli, by ich puścili, bo zamrą z niecierpliwości. Chwytają

zamodlonych za odzież, za nogi, skamłac, by raczyli dopuścić ich również. Wyciągnięci przemocą, słaniają się półprzytomnie, po czym dźwigają ogrom swojego przeżycia po osiemnastu stromych stopniach w górę do kościoła Ukrzyżowania. Ta kaplica jest jeszcze więcej zniszczona od pierwszej, lecz przed odartym z ozdób ołtarzem, pod strzępami okrywającej posadzkę cennej niegdyś materii, widnieje surowa skała z czerniejącymi trzema otworami krzyży. Tuż obok wąska, głęboka szczelina, utrwalone w kamieniu echo dreszczu grozy . ziemi. Kierunek jej, przeciwny układowi skały, nadaje nieoczekiwanej szparze charakter niesamowity i przerażający.

Pod skałą w wydrążonej pieczarze mieści się starożytna kaplica praojca Adama. Tak słusznie, tak się należy. Ten zgrzeszył, Tamten — Syn Człowieczy — odkupił. Skała, rozdzielająca sklepienie jednej kaplicy od pawimentu drugiej, zamyka w sobie dzieje całej ludzkości, tajemnicę śmierci i życia, winy i zbawienia, ciała i ducha. Wśród tych zrujnowanych, czarnych od starości murów tkwi cała Mądrość świata, wszystek jego ból i nędza, zwieńczone zwycięstwem i najświetniejszą nadzieją...

Szczelina skalna, pozostająca wieczystym świadectwem jedyne w dziejach wszechświata zdarzenia, przebija sklepienie na wskroś. Schyliwszy się, widać przez nią światło w kaplicy górnej niby błysk nieśmiertelności.

Przerwana wnętrzem kaplicy Adama, grzesznego człeka, odnajduje się znów pod stopami, biegnie aż do środka ziemi...

...Pochodnie dawno wypaliły się i zgasty, noc dobiega końca. Rycerze klęczą nieporuszenie, czekając swojej kolei. Czołgający się, pełzający, pokrywają ziemię stęsknionym, zwartym wzorcem, podobni do stada zmęczonych jaskółek wędrownych, które de la Tour, Imbram i Jasiak Zawora widzieli kiedyś w drodze do Clermont. Nie wiedzą, zali jest noc czy świt, dzień czy mrok. Zatracili poczucie przestrzeni i czasu. Potężne fale nadzmysłowej mocy przepływają ponad nimi, pulsują, uderzają w duszę miarowo niby oddech... Czyj?... Boga samego czy skały uświęconej Jego obecnością?...

Zielona barwa, co darzy szczęściem i raduje oczy, błękitna, oddalająca uroki, nie mogą dziś rozchmurzyć oblicza Ojca

Wiernych. Kalif Barkiarok, z rodu wielkiego Malik Szacha,

i posępny w swym pałacu bagdadzkim, pięknym jak zja-

• tysiąca i jednej nocy. Posępne są również oblicza otacza-

jących go wodzów. Ahmed Ibn Meruan, emir Palestyny; Zein ed Din, kadi Damaszku; wezyr Afdal, mający jutro wyruszyć przeciwko Latyńcom, zachowują żałobne milczenie. Poeta Mo-dafer Abiwardi, stojąc pośrodku komnaty, dźwięcznym, donośnym głosem recytuje żałobne pienie, opiewające utratę Jerozolimy.

...tłumnie tłoczą się rycerze we wrota raj u zbawionych... Czwo-rakie rzeki, wezbrane rozkoszą, nie mogą nadażyć obmyć chwalebnych ran przybyłych... Skąd przybyli ci stojący wśród zwisających powojów i rozłożystych akacyj, i wydłużonych cieni?... Skąd przybyli ci, którym piękne dziewice ściela miękkie, wysokie wezgiłowia?... Ż boju przybyli, pobici mieczem niewiernych...

Obecni wdychają ciężko. Prawda, że zaludnił się raj Proroka, a wyludniła ziemia. Czy Allah chce ich wszystkich mieć po tamtej stronie przy sobie? Który rzekł: kto spędzi na wojnie świętej choćby tyle czasu, wiele go zbiegnie między jednym a drugim podojeniem wielbłądzicy, otrzyma niechybnie raj...

Potężna armia wezyra Afdala, złożona z niedobitków Ker-bogi, z niedobitków Ibn Meruana i z nowych plemion z Egiptu przybyłych, wyrusza jutro o świcie. Oby powiodło jej się lepiej niż poprzednim! Godzina, która ma zapasć, poniży ich czy wywyższy? Zaprawdę, Prorok stracił swych wyznawców na samo dno pohańbienia! Czterykroć ponieśli klęskę. Pierzchali przed giurami pod Niceą, pod Doryleą, pod Antiochią, na koniec zginęli w Jerozolimie... Czy ten sam los spotka ich teraz? Czym ubłagać gniew Allacha?!...

— Najgorsze to — powiada Ibn Meruan — że ludzie nasi są niepodobni do siebie. Idą pod strachem, walczyć będą z musu. Zdarza się, że bluźnią. Sam słyshałem, jak jeden rzekł: „Kto wie, czy Ukrzyżowany nie mocniejszy od Proro-ka?”

— Co się stało z tym, który to rzekł? — zapytał kalif.

— Wargi jego nie powiedzą słowa więcej.

— To słusznie.

'Zamilkli wszyscy, jakby powiał zimny wiatr.

— Niepojęte są c/ary Latyńców — podjął znowu Ahmed. — Mienia się w oczach niby węże. To zdaje się być ich garść, to wielkie mnóstwo... Są opieszali, niezdarni, leniwi, to znieenacka poczynają walczyć jak szatany... Nie można z nimi nic przewidzieć...

— Powiadają — wtrącił nieśmiało Modafar Ataiwardi — że

pod Jerozolimą ukazało się wielkie wojsko, którego potem nie było... Rozwiało się jak mieszkańcy zaklętego grodu Irem... Wezyr Afdal, syn Alego, targał niecierpliwie brodę.

— Popelniliśmy błąd — zawołał — pozostawiając w całości miejsca związane z prorokiem Jezusem...

Gdyby ich nie było, psy niewierne nie miałyby po co przychodzić. Klnę się na święte sandały Proroka, że zdobywszy Jerozolimę nie pozostawię kamienia na kamieniu!

> -- Zdobądźcie ją wprzódy, wezyrze!

— Obaczycie, że zdobędę mszcząc waszą porażkę... Ja nie ulęknę się czarów...

Kadi Damaszk, Zein ed Din, uśmiechnął się wąpiąco.

- Wielki poeta Abu Ubajda — rzekł od niechcenia — napisał pięćdziesiąt tomów o koniu i twierdził, że nie zdarzyło się od czasu Hidzry, iżby spotkały się w bitwie dwa źrebce, których rodowodu by nie znał... Lecz gdy emir kazał przyprowadzić mu żywego konia, nie umiał trafnie nazwać jego maści... Poeta Asmai, który napisał tylko jeden tom, znał konie z żywego doświadczenia i on, nie Abu Ubajda, otrzymał nagrodę emira...

- Do czego to się stosuje? — zapytał niecierpliwie wezyr.

- Do was, Afdalu, synu Alego. Mówicie o Frankach nie znając ich zgoła. To nie są zwyczajni ludzie.

Wiadomo wszystkim, że Hanum Baraba, matka Kerbogi, prosiła syna, by poniechał z nimi walki. Ale emir Mossułu, uniósłszy się pychą, nie poszedł za jej radą i został rozbity...

- Ja nie zostanę! — krzyknął Afdal z gniewem. — Dobrotliwy Ojczy Wiernych! Przysięgam, że na pewno wrócę zwycięzcą!

- Oby wam Allah dopomógł!

- Jeżeli Prorokowi spodoba się doświadczyć nas jeszcze - zagadnął wahajaco rozważny kadi Damaszk — wypadnie chyba posłać do niewiernych posłów ofiarując pokój?...

- Skoro sokół wymknął się z garści, należy zadowolić się wróblem — westchnął kalif. — Tak uczynimy, Zeinie!

Siedząc na kamiennej, pięknie rzeźbionej poręczy, Tankred itrzył na wozy wywożące zdobyc meczetu Kubet es Sakra, zwanego także meczetem Omara. Był ich cały szereg, ładowanych prawie wyłącznie srebrem i złotem. Samych ^{an}ip złotych zwieszających się z kopuły na szczerozłoty ch

łańcuchach kilkudziesięciolokciowej długości, było czterysta. Zdobyc ta stanowiła niezaprzeczoną własność młodego rycerza, gdyż on pierwszy wpadł do świątyni i ogłosił się jej panem. Choć daleki od chciwości, spoglądał na ten wspaniały łup z przyjemnością. Nie było mu przykro, że z biedaka staje się znów możnym, niezależnym od nikogo. Może zwrócić God-frydowi jego pieniądze i zwolnić się od służby. Może powiększyć kilkakrotnie swoje siły. Toteż pozwolił swym wojom zatrzymać na własność wszystko, cokolwiek zdobyli. Jemu wystarczy aż nadto tego, co ma tutaj.

Zwieszające się z wozów przecudne złote kobierce pokryte były rdzawymi plamami krwi. Tankred zmarszczył się mimo woli. Wspomnił jak na drugi dzień rano po zdobyciu grodu, gdy już w mieście nie stało ofiar do rzezi, Eberard du Puiset, ze swoimi ludźmi wdarł się do meczetu mimo chorągwi bra-tańca księcia Tarentu i jął zabijać znajdujące się tam kobiety. Wywiązała się istna bitwa pomiędzy nim a Tankredowymi rycerzami, stojącymi w obronie znaku swego pana. Przeżalone muzułmanki skakały z płaskiego dachu meczetu na dziedziniec rozbijając się o kamienie. Inne ginęły pod mieczem walczących. Nim Tankred nadbiegł, wybito ich prawie połowę. Przypominając sobie teraz obłąkana żądzę zabójstw, nieprzytomne oczy rycerza du Puiset, który poza tym był dobrym, spokojnym człowiekiem — Tankred pomyślał, że w chwilach podobnych ludzie stają się zwierzętami, dzikszymi od zwierząt. Rycerz du Puiset nie był wówczas sobą, nie był czło...

...O, dla Boga! Przecież to zagadka Idy!.. Trudno człowiekowi być zawsze człowiekiem!... Na koniec zrozumiał! Zrozumiał! Tak! Ludzie mogą nie być ludźmi... W owe pierwsze straszne godziny po zdobyciu grodu prawie wszyscy przestali nimi być... Tankred zapłonął się z radości. I że zagadkę, tak długo niepokojącą, zrozumiał, i że sam jednak człowiekiem pozostał...

Nielicznym pozostałym przy życiu duńskim wojom udało się odnaleźć pod szczątkami wieży na poły zwęglone ciała Swenona i Floriny. Jego poznano po zbroi, ją po włosach, które niecałkowicie uległy spaleni. Zawinięte w kosztowną materię zwłoki złożono do wspólnej pozłocistej trumny, którą grabią St. Gilles kazał zrobić i ozdobić. Trumnę odesłał się do kraju. Niech jedni i drudzy rodzice uczczą należycie młodych.

piękną i chwalebnią mieli śmierć. Nim złocista podwójna trumna dobije rodzinnych brzegów, wyprzedzi ją chyża, zawsze pierwsza, wieść, legenda. Odrzucając marność i zgrzyty obleci Burgundię i Dunię cudną powieścią o miłości dwojga dzieci, ich ślubowaniu i zgonie.

— Teraz możemy wracać... — rzekł Ostój Jastrzębiec, syn

Gniewa, do Imbrama Strzegoni. — Trzeba się dowiedzieć, kiedy Genuieńczyki będą odpływały...

Byli już tylko oni dwaj i Węgier Bela de Kolosvar — trzeci. Wierny druh, Jasiek Przybywój Zawora, poległ pod Aska-lonem. Polegli nawet obaj ostatni pachołcy, Sobek i Dyrek. Ze sług pozostał jeden Benito.

Imram spojrział na mówiącego z przestrachem, jak gdyby doradzano mu, by sam stał się upiorem i nawiedzał inne, dawno zamknięte istnienie.

— Możemy wracać?... — powtórzył.

— A cóż? Po co tutaj dłużej siedzieć?...

— Ja zostanę — stwierdził obecny przy rozmowie de la Tour. — Rodziny w kraju nie mam, a Sary ostawić nie mogę... Zatręskniłaby się na śmierć.

- Żarty stroicie! Przez to bydlę ostajecie?!

— Sara nie jest zwykłe bydlę — odparł urażony de la Tour. — Kilidż-Arslana pomogła rozbić i na wieży była, ze mną, choć zewsząd gorzało...

T— To ją zabierzcie ze sobą do kraju..

— Myślałem już o tym, ale widzi mi się, że kiepsko by się tam czuła... zostaniemy oboje... Kto wie, może przyjdzie jeszcze Grobu Świętego bronić?

- Oj, przyjdzie i rychło... Wszyscy jeszcze ruszrzn. Powiadają, że Saraceny w wielkiej sile ciągną...

— Że im się chce jeszcze, plugawcom, wojować?...

- Uparte nasienie!

— A de Hainaux się nie znalazł?

— Przepadł bez śladu! Jedne powiadają, że do pogan poszedł, a inne, że do klasztoru...

Imram nie słuchał rozmowy przyjaciół, pochłonięty słowami Jastrzębca. Wracać! Mają wracać!... Od dawna przestał uważać powrót za możliwy. Nie wierzył, by ktokolwiek pozostał żywy z tej strasznej, zaczarowanej wyprawy. Byli ofiarowani i przeznaczeni na śmierć. Może tak było słusznie. Po się na zgon za wszystkich zostających w kraju. Ginęli po

kolei, dzień po dniu, powolnie, nieubłaganie. Jednym naznaczono wcześniejsze, innym późniejsze odejście, ale wrócić nie miał nikt. Zerwali wszystkie więzy, łączące ich z dawnym życiem, odmienili się, przedzierzgnęli w innych ludzi... I teraz: wracać?... Wracać w puszcze, w swoje strony... On jeden miałby pozostać przy życiu? On jeden powrócić?... Niemożliwe! Niemożliwe!

Rozdział dwunasty W KTÓRYM UTRWAŁA SIĘ WŁADZA

Arnuld de Rohes w zajęтым przez siebie pałacu snuje poważne i doniosłe myśli. Nikt mu nie przeszkadza. Ma

czas i spokój. Wszyscy rycerze i pachołcy pociągnęli przeciw wezyrowi Afdal, zbliżającemu się z dwustutysięczną armią. Rajmund St. Gilles, dowiedziawszy się o pochodzie nieprzyjaciela, wyprowadził spieszenie wojsko naprzeciw, pragnąc rozegrać bitwę nie pod miastem, w niedogodnej kamienistej pustyni, lecz na szerokich łąkach nadmorskich koło Askalonu. Tam będzie oczekiwał nieprzyjaciela. Dziesięć tysięcy przeciw dwustu tysiącom. Sroga przewaga. Dwudziestu na jednego. Latynicy wychodzili jednak ochoczo, bez lęku, jakby ruszali na łowy lub turniej rycerski.

Arnuld pozostał i myślał. Miał przygotowane konie, by w razie wiadomości o porażce uciec zawczasu do Joppy. Jeżeli zaś zwycięstwo, towarzyszące dotąd krzyżowcom, pozostanie im wierne jeszcze ten raz ostatni, trzeba zawczasu przygotować rozumnie dalsze wypadki. Zdaje się, że nikt o tym nie myśli prócz niego, kapelana księcia normandzkiego.

Nikt prócz Arnulda nie zastanawia się, że osiągnąwszy tyle upragniony cel, trzeba co rychlej nadać mu skończone formy prawne, stworzyć ustrój społeczny, władzę kościelną i świecką. Wojna skończona. Życie nie może być ciągłym obozem, zawieruchą bojową, stanem wyjątkowym. Trzeba przywrócić spokojny tryb bytowania, wskrzesić targi, ruch handlowy, ustanowić sądy, opłaty, instancje, spisać statuty dla kraju... Trzeba przede wszystkim dokonać obioru najwyższej władzy kościelnej, czyli patriarchy, i władzy świeckiej, czyli króla...

...Kto będzie jednym i drugim?...

Wprawdzie patriarcha jerozolimski, sędziwy Symeon, żyje wygnany przez muzułmanów na Cypr i zapewne, dowiedziawszy się o zdobyciu grodu, będzie usiłował powrócić. Ciężko^{SQ} jednak zawiedzie. Po pierwsze: niedołężny to starzec, po drugie: schizmatyk. Nie ma tu nic do roboty. Patriarchą musi

zostać człowiek zachodni, silny i mądry. Człowiek taki jak on... Arnuld...

— Postarajcie się, aby mnie obrano patriarchą — rzekł przed kilku dniami do Roberta — a ja zostawszy nim, przeprowadzę wasz wybór na króla...

Robert wytrzeszczył oczy ze zdumieniem.

— Patriarchą?! Wy, kapelanie?

— A bo co? Któż tu jest lepszy ode mnie? — pytał Arnuld zniecierpliwiony.

• — Lepszych od nas nie ma... To pewna... — mrucał Robert przekonany. — Zatem panowalibyśmy obaj... Przednia myśl... Już niechby sobie Ryży zatrzymał Normandię...

— Na Boga nie gadajcie o tym nikomu przed czasem, bo wszystko przepadnie!

— Pary nie wypuszczę z gęby.

Z tym zapewnieniem pociągnął w pole. Arnuld liczył, że w gorączce boju nie zdąży wypaplać ambitnych zamiarów swego kapelana. Biedny Robert! Niech się ludzi, że zostanie królem. Arnuld nie miał zamiaru popierać go na to stanowisko. Sprawa byłaby z góry przegrana. Roberta nikt nie lubił. W ciągu całej wyprawy nie odznaczył się niczym.

Więc kto?

Arnuld nie wątpił, że opinia powszechna wysunie Rajmunda St. Gilles. Od wyjścia z Antiochii on objął dowództwo naczelne wyprawy. Jego głową działo się wszystko, co się działo. On kierował oblężeniem, natarciem. Jako wódz był niezrównany. Poza tym ogólnie szanowany za prawość, lubiany za hojność. Gwałtowny i uparty, ale przystępny. Jeżeli teraz uda mu się rozgromić wezyra Afdala, tytuły jego do tronu wzrosną niezaprzeczalnie. On sam, świadomie czy bezwiednie uważa się za władcę. Wydaje wszystkim rozkazy jakby był królem...

...Ale nim nie będzie, nie... Arnuld de Rohes nie życzy sobie tego wcale... Współrzędy z tym gwałtownikiem nie byłyby łatwe. Na każdym kroku patriarcha napotykałby wolą przeciwstawiającą się jego woli, władzę ograniczającą jego władzę. Musieliby walczyć ze sobą jak Grzegorz VII z Henrykiem. Nie! Nie! Tu nie może powstać spór o to, czyja władza wyższa...

...Więc kto?...

O Robercie flandryjskim wiadomo z góry, że nie zechce, choćby go proszono. Tęskni do swojej Flandrii i szczęśliwy z wypełnienia ślubu pragnie wracać jak najrychlej. Przy tym

choć ceniony wśród rycerstwa, nie ma miru z powodu ma-łomówności...

Tankred nie liczy się jako młodzieńca i brataniec niecierpią-nego ogólnie Boemunda.

Pozostaje zatem tylko Godfryd de Bouillon. Pobożny, waleczny. Pierwszy wskoczył do miasta.

Miłośniwy. Lud go lubi. Nie będzie się mieszał do rządów. Nie wystąpi przeciw patriarche na pewno.

Wprawdzie wiadomo, że marzy o życiu zakonnym i nie zechce słyszeć o koronie, ale od czego

umiejętne przeprowadzenie sprawy? Gdy się Lotaryńczyka postawi wobec obioru dokonanego, nie będzie mógł odmówić...

Piotr Eremita czuje się zaszczycony wezwaniem do kapelana na poufną naradę. Arnuld pochlebia mu, przypomina, że wszakże nikt inny jeno on, Piotr, sprawił, że Grób Święty jest wyzwolony, a Jerozolima w ręku chrześcijan. On pierwszy powziął myśl krucjaty. On do niej nawoływał. Czyż nie udało mu się spotkać teraz w mieście kogoś z tych, których widywał będąc tu pierwszy raz przed laty?...

Czerwony ze wzruszenia, spotniały z gorąca Piotr bąka, że owszem, spotkał... Między innymi patriarchę ormiańskiego, Warama...

— A, Warama... Cóż on mówi?...

- Pytał mnie się, czy już poszły galery po patriarchę Sy-meona, którego na Cyprze przebywa...

— Jeszcze nie... Zaraz wytłumaczę, czemu... Więc spotkaliście?... To nadzwyczajne... Jakże musieli was błogosławić... Bóg cuda sprawia przez maluczkich... Myślę nie tylko o was, lecz o tych rzeszach, co poszły pierwsze za wami... Ich przykład pociągnął baronów... Tak, tak... Posyłając Ojcu świętemu szczęsną wiadomość o zdobyciu Jeruzalem zaznaczyłem wielką zasługę pospólstwa w tym dziele... To go ucieszy...

— Bóg zapłać — szepnął Piotr z rozrzewaniem.

- Ależ to my winniśmy być wdzięczni... Pokazaliście nam drogę... Wasz zapał, męstwo kierowały naszym... A czy myśleliście już, bracie, o tym, co dalej?

Jak to dalej? — Piotr wybałuszył oczy.

- No, o tym, jak się tutejsza społeczność ułoży?... Trzeba wszak obrać króla, spisać ustawy...

Stworzyć nowe państwo... Rozumiecie? Jak się w nim ukształtuje dola biedoty? Patrząc jej niepomierne zasługi, drżę, iż ci, co się najwięcej do zyskania Grobu Świętego przyczynili, otrzymają srogie

prawa, otrzymają pana, który będzie ich równie poniewieraj i za łeb trzymał jak w kraju.

— Biednemu zawdy wiatr w oczy wieje — westchnął Piotr.

— Z własnej winy, bracie, z własnej jeno winy! Jeżeli będziecie czekać, aż panowie narzucą wam króla, nie mieszając się wcale do wyboru, będziecie potem cierpieć samochcąc...

— Kto by nas o zdanie pytał!

— Jednakże w Antiochii wyście zmusili panów, by zaniechali sporu i ruszyli dalej...

— To było co innego...

— Ależ bynajmniej! Bynajmniej! Jak myślicie, kto będzie w Jerozolimie panował?

— Pewnikiem grabią St. Gilles. Tak wszystkie powiadają...

— Otóż to byłaby zguba dla was, moi drodzy... Rajmund St. Gilles! Wielki rycerz, to prawda. Od Antiochii wszystko prowadzi... Ależ twardy, pyszny, nieużyty!... On ludowi żadnych praw nie przyzna na pewno...

— Grabią St. Gilles ma w opiece kupę biedoty i nikomu pomocy nie szczędzi — zauważył uczciwie Piotr.

— Lecz w jaki wyniosły, upokarzający sposób! To pyszałek! Wiem dobrze, iż nie może przeboleć, że się wtedy przed hołotą (jak powiada) upokorzył... Weźmie was w kluby, oj, weźmie!... Zobaczycie!

— Więc któż? — zapytał Piotr całkiem strwożony. Arnuld spuścił głowę jak gdyby szukając w myśli. Szuk

długo. Piotr patrzył w niego z natężeniem.

— Godfryd lotaryński! — wykrzyknął nagle kapelan niby w olśnieniu — Godfryd! On jeden...

Wyznam wam, bracie, że miałem niedawno widzenie: zobaczyłem księcia lotaryńskiego wchodzącego po złotej drabinie na mury Jerozolimy, a potem zasiadającego na gwiazdzistym tronie.

Anioł stał przy nim... Nie pojąłem wtedy, co by widzenie znaczyło, aż teraz..., Jawny znak Boży! Któż byłby odpowiedniejszy niż on?!

— Ludzie go mają za mnicha...

— Tymci lepiej! To nie zarzut... Godfryd! Godfryd!... Gdzie znaleźć lepszego opiekuna biedoty, godniejszego Stróża Grobu Świętego?

— Książę lotaryński nie zechce na pewno.

— Będzie się opierał, wiem, ale wobec życzenia powszech-• ności musi ustąpić. Były już takie wypadki. Świętego Mikołaja ścigano jak złoczyńcę, by go do objęcia stolicy biskupiej przymusić... Święty Grzegorz, papież, w becze się ukrył przed obiorem... Na tę budującą skromność nie

należy zważać...

Chodzi jeno o to, by lud sam poznał, gdzie jego dobro, by nalegał, dopominał się, tego, nie innego, pana żądał... Dłate-qom cię, bracie, wezwał... Gdy chcesz, umiesz zagrzać tłumy gorejącym słowem...

— Postaram się — obiecał skromnie Piotr. Był zarazem przejęty i szczęśliwy. Uczony kapelan odwoływał się do niego! Poznał w sobie dawną siłę wymowy. O tak, on to potrafi! On to zrobi!...

— Przyślijcie mi brata Hiacynta — rzekł Arnuld na po-
żaganie.

Brat Hiacynt jeszcze skwapliwiej niż Piotr podzielił zamysły kapelana. Godfryd zachwycał go zakonnym trybem życia. Zdaje się, że mu się także śnił kiedyś... Nie pamięta na pewno, ale coś sobie przypomina...

— Niewątpliwie Bóg zesłał wszystkim podobne ostrzeżenia, wskazujące Jego wolę — zapewniał Arnuld. — Idźcie zatem, bracie. W waszych rękach przyszła szczęśliwość i wolność pospólstwa. Brat Hiacynt wyszedł rozogniony, odurzony, Arnuld był zadowolony z siebie. Gdybyż udało mu się jeszcze obrobić zawczasu Waltera Bez Mienia, mającego wśród tłumów posłuch. Ale Walter pociągnął wraz ze wszystkimi wojami naprzeciw wezyra Afdala.

Arnuld de Rohes wyszedł po drabinie na płaski dach swego domu. Rozległy widok, surowy, kamienny słał się przed oczyma. Z morza jednostajnych szarych dachów strzelały kopuły i wieże, znaczące położenie miejsc jedynych w świecie. Przedziwne Święte Miasto! Jakież tu będzie napływ pielgrzymów z całego świata chrześcijańskiego, jakie gromadzić się będą bogactwa! Patriarcha jerozolimski! Po papieżu — tak odległym, że aż mało rzeczywistym — patriarcha stanie się najwyższym dostojnikiem Kościoła... Będzie rządził całym wschodem chrześcijańskim... Dotychczasowy skromny kapelan księcia normandzkiego...

...Ale to wszystko zależy od wyniku bitwy... Gdzieś już się może biją... Gdzieś już się rozstrzygnęły losy. Jak o tym uzyskać wiadomość? Może w tej chwili, zamiast snuć dalekie plany, powinien co żywiej siadać na koń i uciekać, póki czas? Któż wie?...

Wiadomości nie dały długo na siebie czekać i były nad-
-"dziw pomyślne. Mimo swej olbrzymiej przewagi liczeb-
-j muzułmanie szli do boju pewni porażki. Latyńcy pewni
zwycięstwa. Ten nastrój wojsk rozstrzygnął o wyniku

bitwy. Poza tym wszyscy rycerze nie mogli się dość na-chwalić Rajmunda St. Gilles jako wodza. Spędził z całej okolicy stada koni, wielbłądów, osłów, w odpowiedniej chwili gnając je postraszone zwartą gromadą na nieprzyjaciela. W tumanach wzniesionego kurzu wezyr Afdal nie ! poznał się na podstępnie i pchnął przeciw domniemanej jeździe nieprzyjacielskiej co najlepsze swoje pułki. Przerażone bydło zawróciło do ucieczki, a muzułmanie gonili za nim dość długo, osłabiając w ten sposób siły pozostałe na placu. Na odsłonię-
-ne przez nich skrzydło natarł wściekle Robert flandryjski i niepowstrzymanym impetem dotarł aż do namiotu wezyra. Zabrał wielką chorągiew Proroka i rzucił postrach w serca muzułmanów. Połowa wojsk saraceńskich, nie biorąc udziału w bitwie, cofnęła się w stronę morza, gdzie oczekiwać miała flota egipska. Lecz flota nie nadpłynęła, opóźniona przeciwnym wiatrem, i kilka tysięcy ludzi utonęło w morzu, zepchniętych przez nacierających zapamiętałe krzyżowców. Czarni Afrykańczycy, uzbrojeni w krótkie poczwórne bicze, zakończone żelaznymi kulami, uderzyli na własnych wodzów, oburzeni, że kazano im walczyć z czarownikami. Wezyr Afdal uciekł do grodu Askalon, za nim niedobitki wojska. Choć Frankowie już zaprzestali pościgu, tłoczono się w bramach tak, że według arabskich kronikarzy padło zaduszonych i zdeptanych więcej niż dwa tysiące żołnierzy. Niesamowity lęk, przekonanie, że każdy z niewiernych posiada demona ku pomocy i obronie, odebrały doszczętnie muzułmanom zwykłe zalety bojowe. Nieszybko odważą się uderzyć ponownie na Franków i trzeba będzie ze strony Latyńców wielu lat niedołęstwa, swarów, bezładu, by się ta obawa zatarła...

Zebrani na radzie baronowie, upojeni zwycięstwem, opowiadali jeden przez drugiego o bitwie.

— ...Zebraliśmy się w Ranili — mówił Rajmund — stamtąd idąc na południe aż do rzeki Sorek, pod Itaelium wpadającej do morza... Tam zoczyliśmy poganów... Stali oparci o wzgórze podobni jeleniowi, schylającemu nastawione rogi... Na lewo zasie były gęste lasy migdałowe i inne... Gdyśmy plugastwo roznieśli, siła ich uciekała na drzewa, jak małpy między gałęziami kryjąc się od śmierci... Tam ich nasi szyli z łuków lub dźgali dźgami. Lecieli na ziemię

niby
chrabąszcze...

— Wezyr uciekając miecza postradał... Przywieźliśmy ów miecz, by go złożyć u Grobu Świętego...

— Pewnikiem kalif będzie teraz posłów stał i o pokój

prosił, bo nie widzi mi się, by chciał dalej z nami wojować... — Co mu wtedy odpowiecie, grabio? — zagadnął Godfryd,

— Odpowiem mu, że będziem z nim gadać, byle się raz na zawsze wyrzekł Ziemi Świętej i na granice, które my zakreślimy, przystał...

Arnuld uśmiechnął się kwaśno. Rajmund przemawia jakby już był królem! Robert normandzki patrzył na kapelana z niepokojem.

— Niewątpliwie słusznie prawicie, panie — rzekł tenże schylając głowę — poselstwa można spodziewać się w najbliższym czasie... Wobec tego, czy nie widzi się wam właściwym dokonać obioru władzy?... Myślę o duchownej i świeckiej... By posłowie zastali utwierdzone, mocny rząd?...

— A racja. Trzeba posłać co rychlej po patriarchę Sy-meona...

— Patriarchę Symeona?... — powtórzył Arnuld przeciągle. — Wasze dostojności niech się wpierv dobrze zastanowią. Ludność tutejsza jest przeciw niemu, za złe mu mając, że pozwolił się wygnąć miasto polec na miejscu... Przy tym schizmatyk... Nam trzeba łatyńskiego, mocnego, mądrego człowieka... Symeon musi przyjechać, ale tylko po to, by swego następcę namaścić...

- Właściwie, tylko Ojciec święty mógłby nowego naznaczyć...

- Oczywiście, że tylko Ojciec święty! Zanim jednak zdążymy się z nim porozumieć, należy mianować kogoś chwilowym zarządcą tutejszego Kościoła... Mnóstwo spraw czeka, nie cierpiących zwłoki! Kościoły zaniedbane, zamienione na meczety! Klasztory bez opatów! Wszędy nieład albo grabież! Niech ktoś odpowiedni zajmie się tym tymczasowo, a Ojciec święty według swej woli albo zatwierdzi go na stałe, albo przyśle kogo innego...

- Któż by tu był odpowiedni? — zamyślił się Rajmund.

- Mój kapelan! — zawołał Robert normandzki. — ...Mój kapelan! -- powtórzył porywczo. — On jest mądry. Powiadam, że jest naprawdę mądry... Ja bez niego nic nigdy nie postanawiam... Zawsze postępuję, jak mi radzi... że nigdy nie zrobię głupstwa, to dzięki niemu...

- Nie chwalcie mnie tak, książę, z łaski swojej — szepnął skromnie Arnuld.

'Kiedyż to prawda! Wróble wiedzą, że macie głowę na karku... Oj, macie... I biskup to samo powiadał...

-Kr
żyżowcy t. III/IV

— Niezapomniany nasz kierownik i wódz, biskup Ademar de Monteil, zaszczytał mnie istotnie swą przyjaźnią... — stwierdza Arnuld spuszczać oczy.

— Nikogo lepszego od was nie znajdziemy — zapewnia Robert głosem nie dopuszczającym sporu. Pozostali milczą zaskoczeni. Rajmund wyraźnie niezadowolony. Nie .znosi Arnulda. Ma go za krętacza, płaza, judzi-ciela. I ten miałby być patriarchą, choćby tymczasem! Nie! Ale kogo przeciw niemu wysunąć? Kogo? Szuka w myśli gorączkowo i nie znajduje. Jest wściekły na siebie, że wcześniej o tym nie pomyślał! O, czemuż biskup nie żyje! Czemu?!... Kogo by mianować?... Spokojny kanonik d'Aguillers nie ma pojęcia o życiu i jego sprawach, potrafi tylko pięknie pisać... A inni?... Nie zbywa w wojsku na księżach i zakonnikach, lecz jakoś nie zbliżył się z żadnym... Nie zina ich... Teraz za późno.

— Więc powierzamy Arnuldowi tymczasowe pełnienie obowiązków patriarchy — ogłasza zwycięsko Robert. (Dobra nasza! Będą obaj panowali!)

— Jeszcze nie postanowione! — zaprzecza żywo Rajmund. — Sam przyznaję, że kapelan de Rohes jest chytry i obrotny jak mało kto. Ale to nie wystarcza... Trzeba jeszcze innych zalet...

— Jaz się nie narzucam i swoją marność rozumiem... J
wzdycha Arnuld.

Robert podskakuje z gniewu na ławie.

— Jakich zalet wam potrzeba?! — wykrzykuje. — Co możecie zarzucić Arnuldowi? Grzechu nienawidzi, żyje przykładnie...

Spogląda pytająco na pozostałych. Robert i Godfryd skłaniają głowy przyzwalająco. Jużci, nic złego o kapelanie powiedzieć nie można... Nie dawał nigdy zgorszenia... Jako sędzia był raczej zbyt surowym niż pobłażliwym.

Tankred staje po stronie Rajmunda. Nie lubi Arnulda de Rohes. Nie wie sam dlaczego, ale go nie lubi. Wolałby na tym stanowisku każdego innego...

— Skoro tylko jest godniejszy, usuwam się chętnie — zaręcza łagodnie Arnuld.

Lecz Robert nie chce o tym słyszeć. Spór się zaostrza. Trzech za nim, dwóch przeciw. Lecz ci dwaj nie mają żadnego kandydata i muszą się poddać. Arnuld de Rohes zostaje mianowany tymczasowym zarządcą Kościoła jerozolimskie-ko. Gromadnie wychodzą na dach, by zgodnie z obyczajem oznajmić o tym zebranemu na placu tłumowi. Ludzie słucha-

ją spokojnie. Osoba Arnulda jest im obojętna. Wiadomo, że nie taki jak biskup nieboszczyk, ale na to nie ma rady. Dobrego, jak tamten był, nie było i nie będzie...

Nagle, pośród zgodnego milczenia wyrywa się jeden przeraźliwy niewieści krzyk:

— Kapelan księcia normandzkiego patriarchą! Nie daj Boże! Nie pozwolę! Nie pozwolę!...

Ktoś szamoce się w tłumie, przeciska, krzycząc groźnie i zajadle. Oczom patrzących z góry ukazuje się starowinka < tak skulona i znędźniała, że dziw, skąd się w niej bierze tyle głosu i oburzenia. To pani Salviac de Viel, matka zmarłej dawno Blanki de Montbeliard. Żyje jeszcze!?!... Tyle setek tysięcy ludzi młodych, zdrowych umarło, a ona jeszcze żywie! Żywie i krzyczy:

— Bóg was pokarze, jeśli tego przekłętника wywyższycie! Tego fałszywca, szatana! Ludzie! Zali go nie znacie? Zły człowiek! Zły człowiek! Moja córuchna przez niego umarła! On mnie do niej nie dopuścił!... U Grobu Świętego chcecie takiego łotra posadzić!... Obaczycie, co z wami uczyni! Obaczycie! Arnuld spogląda współczująco.

- Biedna szalona. Straciła jedyne dziecko i rozum jej się pomieszał... Lecz mówiąc te słowa zaciska wąskie usta złowrogo.

- A teraz wybierajmy króla! — woła Robert Krótkoudy zacierając ręce. Pilno mu nim. zostać.

- Nie ma co wybierać: Rajmund St. Gilles — mówią równocześnie Robert flandryjski, Tankred i Godfryd.

- Kto powiedział?! — pyta ze złością Robert rozglądając się nabiegłymi krwią oczami. Krótki, gruby kark wzdyma mu się jak u byka.

Lecz nowo obrany patriarcha uspokaja go spojrzeniem.

- Obiór króla zbyt ważna to rzecz, by można go było dokonać na stojący — powiada. — Jutro po uroczystym nabożeństwie u Grobu Świętego, zejdziem się ponownie...

Późnym wieczorem Walter Bez Mienia przychodzi do nowego patriarchy, byłego kapelana. Świeży dostojnik zdążył już zmienić kwatery i przyoblec twarz w majestat.

- Mówił mi Piotr, żeście radzili, Wielebny Panie, księcia lotaryńskiego na króla?...

- Nowa moja godność wymaga tytułu Waszej Dostojności i zapowiadania :się uprzedniego — poucza Arnuld. — Kto by

mnie poniżał, poniża Kościół. Dlatego, choć jestem zwolennikiem prostoty, będę na te marności światowe uważał,

— Dlaczego grabią Tuluzy nie miały być królem? — zapytuje niecierpliwie Walter. — Wojenny pan i ludzki. Rozumie życie. Książę lotaryński, gdy się zamodli, można mu kołki na głowie ciosać, ani się spostrzeże... Dobry jest, ale co komu po tej dobroci, skoro on już jakby nie z tego świata?... Arnuld przymyka oczy niby w natchnieniu.

— ...Miałem niedawno widzenie... — zaczyna, lecz spostrzegłszy, że Walter zachowuje podejrzliwy wyraz twarzy, zmienia ton i zaczyna rzeczowo:

—• Wszystko, co powiadacie, jest słuszne, ale tu chodzi

przyszłość. Pierwszym czynem nowego króla musi być ustalenie praw dla państwa jerozolimskiego. Niełatwa to praca i obowiązująca na długie wieki. Jak ją rozwiąże Rajmund? Jużćić przeniesie żywcem wszelkie ustawy, zwyczaje, obowiązujące w Tuluzie, ani się zastanawiając, zali są dobre

lub złe...

— Książę lotaryński czy nie postąpi tak samo?

— Nie! Choć wielmoża, nie ma on ani krzty pychy. W nowych ustawach łąco przystanie na wprowadzenie swobód

wolności zapewniających biedakom więcej szczęścia i dobrobytu, niż go mieli dotychczas gdziekolwiek... Wierzajcie...

— Gdybym był tego pewny!...

— Zapewniam was, że tak będzie. Posłuchajcie. Rada obierze niewątpliwie grabiego St. Gilles. Tłum niech się temu sprzeciwi. Okrzyknijcie Godfryda. Wielu pasowanych zostało?

— Nie wiem., czy pół tysiąca.

— Was bądź co bądź jest jeszcze ze sześć tysięcy... Rajmund ustąpi na pewno. Idąc za moją radą przysłużycie się wszystkim nieurodzonym... Biskup byłby rad, bo szczególnie prostaczków miłował...

— Ach, biskup... — wzdycha Walter drapiąc się fraszobliwie w głowę.

— Więc będę królem czy nie?! — pyta z wściekłością Robert.

— ...Cicho... cicho... Może jeszcze się uda... Widzicie, że idzie ciężko... Nikt was nie chce...

— Obiecaliście... Dlatego was wysunął na patriarchę!...

Rajmund was kupił! Już widzę! Już przystajecie na niego...

— Tak się wam zdaje. I wszystkim tak się zdaje... Ale ja mogę wam ręczyć, że Rajmund panować nie będzie...

— A kto będzie?... Ja?... Prawda, że ja?...

— Cierpliwości... Obaczmy...

— Jutrzejszy obiór to tylko czcza ceremonia — mówi Rajmund do Elwiry. — Wszyscy są za mną prócz tego głuptasa Roberta... Nic nie robił, a teraz chciałby panować. Na kości świętego Idziego! Jam na tę godność zasłużył! Mogę przyjąć. ,Wiem, że podołam. Bezpieczny będzie przy mnie Grób Święty. Czyniąc z pogany anim myślał o nagrodzie, ale teraz szczęśliw jestem... Będziem się starali uczciwie rządzić, królowo moja. Bez krzywdy niczyjej... Jeno tego obmierzonego klechę musi Ojciec święty zabrać stąd co szybciej...

- Wszystko to twoje, twoje — mówi gorączkowo God-fryd do swego brata, młodziutkiego Eustachego. Kazał poznosić do izby swoje skarby, bogatą zdobycz zebraną dla niego przez wojów w Antiochii, Jerozolimie i teraz w obozie wezyra Afdala.

- Zabierzesz to do kraju... I to. I to... I mój miecz, i moją zbroję... Miecz dasz do kościoła w Metz... Niech go powiesz na ścianie obok ołtarza... Pozostałe dla ciebie... Będziesz moźnym panem, pamiętaj, byś tego na dobre używał...

- Dlaczego oddajecie mi to bogactwo, panie bracie? — pyta Eustachy ze zdumieniem.

- Bo mi już niepotrzebne... O... Montaigu! Dobrze, żeś jest... Właśniem chciał po ciebie ślać... Patrz, Eustachy, to prawy rycerz a mój druh najlepszy... Teraz będzie druhem twoim... Nie zawiedziesz się nigdy na jego prawości, nie zawiedziesz się nigdy na jego mieczu... Jego rada jest zawsze dobra... Słuchaj go. Będzie twoim opiekunem...

— Ależ wy, książę! Co z wami?! Czy odjeżdżacie gdzie? — wykrzyknął Konon de Montaigu przerażony. Godfryd uśmiecchnął się prawie radośnie.

Ja jakbym już umarł, bo odchodzę do klasztoru...

- Do którego?! Kiedy?!...

Godfryd uśmiecchnął się znowu... Kuziba... Kuziba... zagrało uszach szczęśliwą muzyką. W oczach stanęły niezapomniane godziny, spędzone w ciszy pustynnej i oderwaniu od życia. Dawniej marzył o którymś z klasztorów niemieckich.

• orzucił tę myśl. Sama podróż powrotna, trwająca kilka mie-

sięcy, przerażała go. Chciał uciec zaraz. Gonił ostatkiem sił. W Kuzibie może się znaleźć już jutro... Jutro! Jutro wyzwolenie... O, Boże! Czyż to możliwe?...

Roześmiał się znowu.

— Nie bój się, nie oszalałem — rzekł do Konona patrzącego nań z niepokojem — jenom szczęśliwy po raz pierwszy w życiu... Bogać mi!... Odchodzę. Do jakiego klasztoru, nie pytaj, bo i tak nie powiem... Nie obaczym się, aż Tam...

Konon nieznacznie otarł ręką łzy.

- Nie gadam nic -- westchnął — wiedząc, że was nie powstrzymam.

- Nic mnie nie zatrzyma! -- zawołał Godfryd. -- Na skrzydłach bym tam poleciał dziś jeszcze... Na koniec wolny...

wolny...

- Co to za gwar słychać? — nadstawił ucha Eustachy.

— Tłum pewnie krzyczy na cześć Rajmunda St. Gilles, boć teraz właśnie obiór...

Eustachy wyskoczył z izby młodzieńczo ciekawy. Godfryd i Konon patrzyli na siebie w milczeniu.

— Więc to już jutro... koniec?... — zapytał rycerz nieśmiało.

- Tak, przyjacielu. Na Boga, czegoż płaczesz? Czyż nie widzisz, że wesole? Śmiałybym się ustawicznie... Po prostu wierzyć mi się nie chce, że to możliwe... Takie szczęście... Zrzucić na koniec z głowy wszystkie troski ziemskie... O niczym już nie myśleć...

— Nie sądziłem, że tak źle wam było między nami...

— Że mi było źle, nie wy byliście przyczyną, jeno ja sam... Nie umiałem żyć... Chciałem postępować dobrze, a wynikało zło... Przeze mnie Baldwin od ślubowania odstąpił... Przeze mnie jeszcze jedna dusza...

Szarpięte nagle drzwi zachybotwały się, zaskrzypiały. Eustachy wpadł zaczerwieniony. Za nim wlewa się wrzawa coraz to bliższego tłumu.

— Panie bracie! — woła chłopiec bez tchu. — Oni... oni... Nie potrzebuje kończyć. Już słyhać wyraźnie grzmotliwy

okrzyk z tysiąca piersi dobyty.

— Niech żyje Godfryd, król jerozolimski! Niech żyje Lo-taryńczyk! Bóg tak chce! Niech żyje! Niech żyje!...

Rozdział trzynasty STRAŻNIK GROBU ŚWIĘTEGO

Chebda zwija się pokornie pod wzrokiem Imbrama. Od kilku dni krąży i obchodzi wkoło. Nie śmie powiedzieć, co go sprowadza. Gdyby Ztalyt lub Głowacz żyli, nie przyszedłby na pewno lękając się złego przyjęcia.

Zachęcony przez Imbrama wyznaje w końcu, że go tęsknica zżera i rad by wrócić do kraju, a Wasza Miłość pewno będą wracać?...

- Może być... Za parę niedziel!... Jeśli chcesz, mogę cię zabrać...

- Kłaniam się kornie Waszej Miłości...

Z tym zapewnieniem pozornie uradowany Chebda znika i nie pokazuje się przez jakiś czas. Po paru dniach znów powraca. Jakby trwając nadal w niepewności krąży niespokojnie, patrzy w ziemię, marszczy załośnie swój łasiczy pysk, zachodzi Imbramowi to z prawej, to z lewej, spogląda wyczekująco...

— Czego chcesz? — pyta rycerz.

— Łaski upraszam Waszej Miłości... Ja skyrz tego wyjazdu...

- Jużem ci przecie powiedział, że możesz jechać ze mną...

- Kornie dziękuję...

I znika, by znowu powrócić powtarzając te same zabiegi. Zrozpaczonymi oczami wodzi za swym dawnym panem.

- Czego jeszcze? — niecierpliwi się Imbram. — Tyłem razy powiadał, że możesz do mnie wrócić i po staremu zostać, a ty ciągiem łazisz jak kołowaty...

Chebda kuli się, wciągając głowę w ramiona.

- ...Po staremu? — powtarza jakby z przestachem.

- Ano. Po dobroci to mówię, ale tyś się ze wszystkim roz-włóczył... Dom dawno z głowy wywietrzył...

Mówił z gniewem i goryczą, bo wymawiając te słowa dyślał o sobie tyleż przynajmniej co o Chebdzie. Żywił pogardę i urazę do samego siebie za to, że mu się do domu nie spieszy.

Chebda ruszał śmiesznie grdyką.

— Wasza Miłość... Ja bym doma ptakiem leciał... Jak ta kania.. Doma... Oj, lelum... Jeno przez to mitręzą, że...

— Co takiego?... Ady, wydukajże tedy!

— Wasza Miłość... Ja przez te cztery lata był... wolny! Wyrzucił z siebie to słowo ogromne z rozpaczą. Był wolny!...

Niczyj... A teraz miałby wrócić w niewolnik?! Za cenę powrotu do domu stracić zdobyty skarb niezależności?... Wybieraj, wybieraj, Chebdo: dom i poddaństwo czy tęsknota i wolność?...

Imbram zastanowił się.

—• Możesz ostać wolny, jako są kmiecie. Ja cię nie będą niewolił.

Niby rażony, Chebda padł mu do nóg.

— Wasza Miłość?! Prawda to?!...

— Rzekłem. A nie ma, kto by się doma mej woli przeciwiał. I po raz pierwszy uprzytomnił sobie, że będzie sam panem na ojcowiznie.

Chebda całował mu skórnie, po czym poleciał jak oparzony. Zaraz też zaczął taszczyć do Imbramowego obozu wszystko swoje zdobyczne dobro, poupychane po różnych dziurach, i krzątać się po dawnemu jak swój.

— Gdzieś tyle nabrał? — pytał go Imbram.

Co prawda, sam też nie mógł narzekać. Choć nie był chciwy ani w boju o zdobyczy nie myślał, stał się, sam nie wiedząc kiedy, właścicielem kilku wozów tęgo napchanych przeróżnymi cennieściami. Co byłoby rozdzielone między trzech, przypadło na niego jednego.

Rajmund z Elwirą schodzą pomału z Góry Oliwnej. Za nimi bieleje kapliczka, przerobiona przez muzułmanów na meczet, a obecnie znów do poprzedniej godności przywrócona. Wznosi się ona na miejscu Wniebowstąpienia Pańskiego. W posadzce widnieje kamień, na którym zostało odbicie lewej stopy Chrystusa Pana. Na prawo od idących zieleni się jak oaza pośród szarzyny kamienia Getsemani — Ogrójec. I tam znajduje się kamień z odbiciem Najświętszych stóp. Wskazuje miejsce, gdzie Zbawiciel krwawym potem się poccił i krwawymi łzami płakał. Opodal leży Grota Apostołów, gdzie zasnęli miasto czuwać, albowiem oczy ich były obciążone.

A poległych dobrych rycerzy pochowano pospólnie na polu zwanym Hakeldama, zakupionym przez Kajfasza za zwrócone przez Judasza srebrniki.

Rzeczy święte, niedosięte i wieczne stają się w tym dziwnym mieście powszedniością i codzienną bliżą. Tym, którzy umieją wielkość ich odczuć, nasuwają oddalenie spraw ziemskich, właściwy pogląd na życie. Toteż Rajmund St. Gilles rozmawia z żoną spokojnie. Mówi wyraźnie. Sam nie wie, kiedy przestał bełkotać i mrugać opadającą powieką. Pewnikiem to cud Grobu Świętego. Bóg uleczył choć grabią nie prosił o to, uważając własne zdrowie za drobiazg zbyt marny, by nim Stwórca głowę zaprzętać.

— Wierzej mi — powiada — iż szczerze rad jestem, że tak się skończyło. Rad jestem, że wszystko zrobił, nic w zamian nie otrzymawszy. Tak lepiej. Com uczynił, to nie dla zysku, jeno z czystej miłości ku Panu naszemu. Anim król, ani patriarcha... Nie mamy nic swojego, żono... Bezdomny rycerz z bezdomną małżonką... Nie szkodzi... Tak dobrze jest...

— Dobrze jest — potwierdziła krótko Elwira podnosząc dumnie głowę. Rozumieją się z mężem doskonale. Wypełnili ślub. Pozostali sobą. Nie umniejszili się.

- Jednego mi żal — wyznaje Rajmund, gdy schodzą w dolinę Jozafata — że Pieretto zginął... Nie będzie nam miał kto śpiewać... Nie będzie komu ułożyć pieśni o nas...

Elwira podnosi cienkie brwi ze zdziwieniem.

— O nas?

— A cóż myślisz? O czym byśmy teraz słuchali? Wszystko, co nam dawniej gędzili pieśniarze, to fraszka dziecinna wobec tego, co nam przyszło widzieć i dokonać...

. Przed zejściem w dolinę przystają raz jeszcze. Słońce zachodzi. Grób Absalona, syna Dawida, rzuca długi cień. Kamienne miasto dźwiga się na swych trzech wzgórzach.

- ...Bez żadnej nagrody, dla czystej miłości Pana naszego, Jezusa... — powtarza grabią Tuluzy.

Robert Krótkoudy szaleje ze złości. Patriarcha unika pozostania z nim sam na sam, w obawie, że krewki pupil gotów swego byłego kapelana obić...

^szukałeś mnie, cyganie, Belzebubie, krętaczu! Mieliśmy się wzajemnie popierać... Ja cię zrobiłem patriarchą, a ty co?...

— Nie wyście mnie zrobili, jeno uznanie, jakie moje skromne zasługi wzbudziły wśród powszechności... A co do was?... Robiłem, co mogłem... Nie udało się...

— Łżesz!... Łżesz!... Aniś się odezwał!...

— Co wy możecie wiedzieć? Mówiłem z każdym z baronów po kolei. Nie chcieli słuchać. Jakoż miałem ich przymusić?

— Łżesz! To wszystko twoja robota! Nie daruje oszustwa!...

— Wasze obelgi nie mogą mnie dosięgnąć — odpowiada Arnuld z godnością. — Natomiast wy bierzecie na duszę grzech śmiertelny, przeciw głowie tutejszego Kościoła powstając...

Robert groźnie porywa się z pięściami i Arnuld uważa, że bezpieczniej cofnąć się z lekka, pozostawiając zawiedzionemu nikłą, nieobowiązującą nadzieję.

— Na waszym miejscu, książę — mówi pojednawczo — uzbroiłbym się w cierpliwość... Dość spojrzeć na Lotaryń-czyka, by poznać, że długo nie pociągnie. Stolec będzie znów do objęcia. Pojechalibyście teraz do kraju, z kraju wrócili do Boemunda i tam czekali, co dalej. Ja tymczasem becnie robił, wiele będę mógł...

— Milczałbyś lepiej, fałszywa gadzino! Tak uczynisz jak ninie!...

— Krzywdzicie mnie, książę, czarną niewdzięcznością odpłacając za wszystkie wysługi... Tyle lat służyłem wani wiernie... Cóżem winien, że moją osobą rada baronów przyjęła z zapalem, a o waszej nie chciano wcale słyszeć?... Cóżem winien?!...

— Gdybyś zechciał, byłbyś coś wymyślił... Możem nie lepszy od tego zdechlaka, co?!

— Zapewniam was, że on długo nie pożyje...

...Długo nie pożyje... Te same słowa powtarza sobie z najgłębszym żalem Konon de Montaigu, patrząc na zgarbioną postać, przyciągając wzrok i drżące ręce swego księcia. Dobry rycerz Konon cieszy się z zaszczytu, jaki spadł na Lotaryngię, ale żal mu przyjaciela. Biedaczysko...

Jakoż Godfryd jest złamany, zdruzgotany. To, co zaszło, wydaje mu się ciągle złym snem. Sam szatan nie wymyśliłby gorszej udręki. Zrazu, w ów pamiętny dzień obioru, gdy żegnał się szczęśliwy ze światem, by iść do Kuziby, posłyszawszy niespodziewaną nowinę śmiał się z tak śmiesznej i pociesznej pomyłki. Powoli jęła go ogarniać groza. Gdy tłum go opadł, padając do nóg i zebrząc, by nie odmawiał, miał wra-

żenie, że ziemia zapada się pod nogami. Daremnie mówił, przedkładał, zaklinał. Nikt na jego słowa nie zważał. Żądali, aby im panował, tak natarczywie, jakby od tego zależało ich życie i zbawienie duszy. Porwali opierającego się i ponieśli przemocą do kościoła Anastasis dla ślubowania. Trzymali go, by nie uciekł. Groził, że użyje miecza. — Bij — mówili — ale panuj! - - Rzekomo zaskoczony tym, co zaszło, patriarcha Arnuld przyjął wymuszoną przysięgę nowo obranego władcy. Po jednego tylko nie zdołano go zniewolić: by pozwolił się ukoronować.

— Nie daj Bóg — wołał -- bym włożył koronę w tym samym miejscu, gdzie Pan nasz nosił cierniową! Niegodny strażnik Grobu Świętego — to jedyne moje miano.

I zamknął się nie chcąc widzieć nikogo. Całymi dniami leżąc krzyżem u Grobu Pańskiego pyta Boga z rozpaczą, dlaczego go tak pokarał? Ma wszelką swobodę modlitwy i łez, gdyż Arnuld wyręcza go skwapliwie we wszystkich sprawach królewskiego urzędowania. Baczy, by nikt nie przeszkadzał księciu, nie zaprzętał mu niczym głowy. On załatwi. Jakoż jest patriarchą i królem równocześnie. Jego ruchliwy, cienki nos, przenikliwe, nieco kosę oczy widzą wszystko, są wszędzie, wglądają w każdy szczegół. Pracowitości i energii nie można odmówić byłemu kapelanowi.

Starannie dobiera sobie pomocników. Urodziwy poeta, archidiakon Alberon, który wybór patriarchy powitał z radością, pewien, że dawny przyjaciel pociągnie go za sobą wysoko w hierarchii, jest srodze zawiedziony. Arnuld odsunął go stanowczo, wypominając płochę życie i piękną Miriam, małżonkę Ben Makarego.

- Cnotliwy rycerz Omer de Guillebaut, znany z nienawiści do grzechu, zali nie zdybał was sam na sam z niewiastą?...

- Ale wszyscy mogą zaświadczyć, że nic złego nie robiłem! -- wołał Alberon oburzony.

- Nic skażonego nie śmie wejść do służby Bożej,.. Niesława padła na was, to wystarcza... — odpowiadał Arnuld.

Alberon już otwierał usta do porywczej odpowiedzi, lecz zamknął je nic nie mówiąc. Złakł się po prostu. Wzrok byłego kapelana był zimny jak stal.

Między ludźmi szeptano już, że nowy dostojnik ma twardą • nieubłaganą dłoń. Pogłoski te były słuszne, nie minęło bo-

lern wiele czasu, a heroldowie ogłosili zwołanie sądów patriarszych. Podsądnymi, wezwanymi do stawienia się, byli:

dobry rycerz Tankred, bratanek księcia Tarentu, i pani Sal-viac de Viel, staruszka dożywająca kresu swych dni, pogrążona w modłach i rozpamiętywaniach...

Zdumiony, oburzony, uszom nie wierzący Tankred pobiegł do Godfryda, by od niego wyjaśnienie posłyszeć.

— Nie wiem o niczym — zapewnił go tenże — w kościelne sprawy nie wglądam...

— Czy tylko w kościelne? — zapytał Tankred, Godfryd zrozumiał przytyk i zmieszał się.

— Z początku istotnie nie zajmowałem się niczym — rzekł — to nieszczęsne wywyższenie spadło na mnie zbyt niespodziewanie... Teraz poznałem błąd. Gdy Bóg ześle krzyż, trzeba go dźwignąć. Chcę to uczynić. Chcę być użyteczny. Zająłem się gorąco sprawą budowania kościołów.

Pomnicie, ślubowaliśmy postawić dwa: w Diospolis i Emmaus... Ale przede wszystkim musimy wznieść piękną Bazylikę Grobu. Te zniszczone rudery rozrzućmy, by na ich miejsce postawić świątynię. Pisałem już do Ojca świętego z prośbą, by nam przysłał budowniczych... Nierad bym wzywać Greków, choć są zmyślni... Lepiej po naszymu dom Boży wystawić...

- Słusznie, słusznie — przytakiwał Tankred z roztargnieniem — ale to mi nie tłumaczy, jakim prawem Arnuld de Rohes pozwala sobie mnie wzywać na sąd?! Mnie, na sąd!

- Pewnie jakieś głupstwo. On jest surowy w przestrzeganiu przepisów. Może który z waszych ludzi post złamał i chce, byście mu pokutę naznaczyli?

— Może, ale nie ma prawa mnie wzywać i ja się nie stawie!

— Przez litość, nie czyńcie tego! Cóż by to był za przykład na początek. Pierwszy sąd chrześcijański, nie schizmatycki, nie pogański, i sami go nie uszanujem?!

Istotnie pierwszy to sąd łatyński w Jerozolimie, toteż ludzi zeszło się bez liku. Patriarcha, odziany w kosztowny płaszcz, zasiada na wspaniałym tronie. Fioletowe sandały ozdobione są perłami. Naokoło grono diakonów. Tron Godfryda, stojący obok, jest nieco niższy i mniejszy. Rycerstwo burzy się o to i wzywa króla do zażądania zmiany, lecz księżę lotaryński macha obojętnie ręką. Wszystko mu jedno. Może równie dobrze sięść na ziemi. Konon de Montaigu darmo usiłował namówić go, by włożył inny płaszcz niż stary bojowy i hełm z wystrzępionymi labrami. — Marność to wszystko — odpowiada na przedłożenia przyjaciół.

Trąby ryczą długo, groźnie, uroczyście. Sąd jest otwarty.

— Oskarżam — mówi patriarcha wyraźnym, dobitnym głosem — tu obecną urodzoną Gizelę Salviac de Viel Castel, matkę znanej wszystkim nieżyjącej już czarownicy Blanki, o otrucie zięcia rycerza de Montbeliard, do czego sama się publicznie przyznawała.

Cisza osłupienia wkoło. Staruszka trzęsie głową. Trudno poznać, czy śmieje się, czy też płacze.

— Wolne żarty! — wykrzykuje z gniewem Rajmund St.' Gilles — ta kobieta należy do mego obozu. Nikomu nic do niej. Podlega tylko mnie.

— Każdy chrześcijanin, w tym kraju przebywający, podlega najwyższej władzy duchownej.

— Ależ Montbeliard umarł przed siedmiu czy ośmiu laty!

— Cóż stąd? Zbrodnia nie zna przedawnienia.

- Zna rozgrzeszenie, które Ojciec święty udzielił wszystkim biorącym krzyż. Ten grzech jest starty, zgładzony!

- Rozgrzeszenie dotyczy tylko tych, którzy okazali skruchę. Podsądna niedawno oskarżała mnie publicznie o spowodowanie śmierci jej córki, która, jak wszem wiadomo, sama sobie śmierć zadała... To dowodzi, że skrucha daleka od jej serca...

— Dość tych śmiesznych bredni! Ja nie pozwalam! Nikt się nie dotknie tej niewiasty!...

- Na jakiej podstawie zabieracie tu w ogóle głos, gra-bio? -- zapytuje Arnuld. — Czym jesteście? Widzem. Nie macie prawa tu przemawiać.

- Mam miecz i do takiej krzywdy nie dopuszczę!

- To podobne do was! — śmieje się Arnuld szyderczo — pierwszy sąd zaczynać od buntu przeciw władzy, którąście sami obrali!...

- Godfrydzie de Bouillon! — woła Rajmund. — Cóż wy na to?! Czy i wy nie macie podstawy do zabierania głosu?!

Godfryd podniósł nieobecne, umęczone oczy.

- Ja... ja nie wglądam w te sprawy... Mam nadzieję, że wyrok patriarchy będzie miłosierny... Pragnę tego... Życzę

- dodaje jakby z wysiłkiem.

- Nim będzie mowa o wyroku — odpira Arnuld — trzeba ustalić zbrodnię. W imię Pana naszego Jezusa Chrystusa zapytuję was, szlachetni rycerze, zali podsądna jest winna otrucia zięcia czy nie?

milczenie potwierdza pytanie. Nikt nie śmie, nie

może zaprzeczyć. Wszakże czasu sądu nad Blanką stara sama o tym mówiła błagając, by karano ją, nie córkę...

— Jest winna zatem — stwierdza patriarcha. — Teraz zapytują was, szlachetni rycerze, jaką karę prawo przewiduje za meżobójstwo?...

Znowu milczenie. Każdy dobrze wie, że karę okrutnej śmierci. Zakopanie żywcem. W zastosowaniu do staruszki, ledwo kołaczącej się po świecie, wydaje się to czymś niepojęcie potwornym. Zwierają się pięściami. Zgrzytają zęby.

- Żądałem łagodnego wyroku — mówi Godfryd patrząc na Arnulda prawie ze zgrozą.

- Chylę się przed waszą wolą, Miłościwy Panie. Skoro tak chcecie i ze względu na podeszły wiek podsądnej zmieniam karę śmierci na dożywotnią służbę przy Grobie Świętym.

Ogólne odprężenie, odetchnięcie. Więc wszystko zostaje po dawnemu? Ale po cóż w takim razie wszczynano tę sprawę? O co właściwie chodziło patriarche?

O, Arnuld wie dobrze, o co mu chodziło! Żałuje, że wśród obecnych nie ma Boemunda, który jeden jedyny zdołałby ocenić celność jego gry. Jednym posunięciem osiągnął szereg korzyści: nastraszył i ukarał starą, pokazał zęby (niech inni widzą i mają się na baczności!), upokorzył Rajmunda, zaznaczył swą władzę, na

koniec okazał się miłosiernym i wobec woli królewskiej ustępliwym.

- A kogo ja otrułem? — pyta drwiąco Tankred.

— Wy, książę — odpowiada Arnuld mierząc go wyniosłym wzrokiem — pozwani jesteście o zwrot skarbów zrabowanych

Kościółowi...

— Co takiego?! - Tankred czerwienieje z gniewu. —• Który z moich ludzi coś podobnego uczynił?! Gdzie?! Natychmiast ukarzę i zwrócę...

— Nikt z waszych ludzi, jeno wy sami, osobiście... Tankred wybucha śmiechem.

— Coraz ciekawsze! Raczcie mnie objaśnić bliżej... Arnuld przymruża obojętnie oczy. Stopy w haftowanych

perłami sandałach mocno wpiera w poduszkę.

— Żądam zwrotu skarbów zabranych z meczetu Kub e t es Sakra na górze Moriah...

— Na krew świętego Januarego! Odkąd meczety trzymane są za kościoły?

— Ten meczet nie jest jako inne. Świątynia Pańska była na tym miejscu!

Z czerwonego Tankred czyni się błądy. Parska jak kot,

przebiera nogami w miejscu. Łamie na kolanach czekani i ciska daleko.

— Na jasełka przyszedliśmy! — krzyczy ochrypłym z gniewu głosem. — Słuchać uciesznych rybałcich figlików! Szlachetni rycerze! Wzywam was na świadków! Ja pierwszy wtargnąłem do meczetu. Zdobyc z niego należy do mnie, prawem dobrego rycerza. Wziąłem ją. Moja jest. Mogę ją Bogu ofiarować, ale z własnej woli, jako mój dar. Żadnego sądu nie uznaję. Moją bronią jest miecz, nie wymowa. Nie przegadam chytrego gada, którego cała przemyślność siedzi w języku, jak u skorpiona tkwi w ogonie. Do was się odwołuję. Znacnie mnie. Zalim postąpił kiedy nieuczciwie?! Zalim nie prawym rycerzem? Nie wożę ze sobą siostrzenic i nie stoję o złoto, ale nie zwolę, by mnie tutaj lżono!

- Za te obelgi odpowiecie, książę, osobno, teraz zasię powtarzam: góra Moriah jest święta. Świątynia Salomonowa na niej stała... Najświętsza Panna ofiarowała tutaj Synaczka...

- Ależ z tamtej świątyni śladu nie zostało!

- Miejsce jest to samo. Za parę dni nastąpi uroczyste poświęcenie meczetu jako Przybytku Pańskiego. Templum Domini... Zgrabione lampy i naczynia muszą się w nim znaleźć z powrotem...

— Milczeć! Milczeć! — ryczy Tankred. — Nie grabiłem! Nie pozwalam używać tego słowa! Byście się do mnie zwrócili powiadając, że kościołowi lampy potrzebne, oddałbym je sam. z radością... Ale jako mój dar! Dobrowolny!

— Prawie mówicie! My wszyscy za wami! — krzyczy Rajmund.

- My za wami! — powtarzają Robert flandryjski i Robert normandzki. Ten ostatni nie uważał, o co chodzi, ale jest teraz zawsze przeciwny Arnuldowi.

Milczący dotychczas Godfryd potrząsa głową.

- Dziwie się — powiada — że robicie tyle wrzawy o taką marność jak złoto... Oddać ją Bogu co rychlej, pozbywając się samemu tej pokusy, źródła zła...

- Jaz nie stoję o złoto — chrzępi Tankred bliski szału - - jeno o moją cześć! Książę!

Wspomnijcie, jakieście się nie chcieli dać upokorzyć w Bizancjum, a czymże była przysięga basileusowi wobec obrazy, jaka mnie tutaj spotyka!...

- Nie znałem równie dobrze jak dziś całej nędzy życia... Dlatego się upierał... Wierzajcie mi, nie warto...

— Niech obecni tu rozstrzygną! — krzyczy Tankred. —• Zdaję się na ich sprawiedliwy sąd!

— Przystaję — orzeka patriarcha.

— Tankred praw! — grzmią jak jeden rycerze. — Tankred

praw!

— Słyszeliście?

- Słyszałem głos małej części obecnych, a wypowiedzieć się .mają wszyscy... Chrześcijanie! Znacnie sprawę. Kto ma słuszność?! Niech każdy rzeknie swe zdanie!

W tłumie poruszenie, gwar. Po raz pierwszy w dziejach władza odwołuje się do gawiedzi, do nieurodzonych, zapytuje o ich zdanie. Ich zdanie!... Są nieopisanie dumni i wdzięczni patriarsze. Bierze się do panów. Bogu dzięki! Co do lamp z meczetu es Sakra, oczywiście, że on ma rację.

Rycerze nabrali się wszystkiego aż nadto. Chwała Bogu, że któremuś część odbiorą...

I huczą jak jeden mąż:

— Patriarcha praw! Tankred niech odda! Niech odda!

Można nie lubić Arnulda de Rohes, lecz trzeba mu przyznać, że myśli o wszystkim. Cały dzień zajęty jest rozlicznymi sprawami, nocami siedzi układając statuty dla nowego państwa. Kanonikom, Rajmundowi d'Aguillers i Fou-cher de Chartres, kazał spisać wszelkie znane im ustawy, obowiązujące w kraju, i starannie wybiera z nich to, co uważa za odpowiednie dla tutejszych warunków. W ten sposób powstaje Księga Praw dla Królestwa Jerozolimskiego.

Według niej patriarcha jerozolimski ma władzę równą królowi, charakteru o tyle wyższego, o ile władza duchowna jest wyższa od ziemskiej. Obok patriarchy zasiądzie czterech metropolitów i siedmiu biskupów, a przy królu — rada utworzona z dwunastu urodzonych i szlachejnych parów, zwanych „wysokimi ludźmi”. Te dwie równorzędne władze zgodnie i jednomyślnie rządzą poddanym im krajem. Od ich wyroku nie ma odwołania. Ustrój rycerski, feudalny, który w macierzystej Europie zaczyna już chybiać i pruć się na szwach, zostaje tutaj utrzymany w całej nieskażonej pełni. Nie łagodzą go istniejące w starym kraju odwieczne prawa zwyczajowe, zamierzchłe echo swobód kmiecych. Jest zwarty i twardy jak pięść w żelaznej łuskowej rękawicy. Świat dzieli się na ludzi urodzonych, którym wszystko wolno, i nie-

urodzonych, podludzi, zrównanych wobec prawa z gadziną *domową*.

Toteż gdy Księga Praw dla Królestwa Jerozolimskiego została odczytana publicznie wszem wobec, Walter Bez Mienia i Piotr Eremita przychodzą do Godfryda, strażnika Grobu Świętego, prosić o posłuchanie.

Zrazu straż ich nie wpuszcza. Miłościwy Pan modli się. Czekają długo, wytrwale, milcząco, gotowi czekać choćby cały dzień. Nie mówią do siebie nic. O czym by mieli mówić? e zostali oszukani? Wiedzą to aż nadto dobrze.

Na ko-niec Godfryd ich przyjmuje. Twarz mizerna. Oczy patrzące jakby zza świata.

- Miłościwy Panie — zaczyna Walter bez wstępu — wczoraj odczytano ludowi nowe prawa, mające rządzić tym krajem. Ukazano nam pod nimi Waszą Miłościwą pieczęć...

- Tak jest, byłem przecież przy tym. O co wam chodzi?

- Miłościwy Panie! Nieurodzonym znowu nie przyznano żadnych praw! Żadnej ochrony, swobody! Plebs imbellis po dawnemu nie istnieje, nie ma głosu!

- Jak to? Wszakże powiedziane jest kilkakrotnie, że odpowie ciężko wobec Boga, kto po ojcowsku sprawować rządów nie będzie i nadużyje swej władzy.

- Odpowie wobec Boga!... — śmieje się Walter.

- Jakaż odpowiedzialność jest cięższa, a kara groźniejsza? — pyta Godfryd urażony.

- Wiera, ale kto się grzechu boi? Mało zbójów po świecie chodzi, nie stojąc o karę wieczystą? Tylko odpowiedzialność doczesna ma u powszechności znaczenie!...

- Ależ w kraju jest tak samo, czegoż zatem chcecie?...

- W kraju jest źle! Źle! Nie do wytrzymania! Wybraliśmy was, Miłościwy Panie, sądząc, że odmieni się dola nieszczęsna! Że pisząc nowe ustawy, wspomnicie o nas, biedakach! Że ukrzywdzony poddany będzie miał gdzie dobijać się sprawiedliwości!... Takeśwa sądzili znając was jako chrześcijańskiego pana... A ot, co się pokazało...

Przerażony Piotr Eremita ciągnie Waltera za suknię, lecz Godfryd nie myśli się gniewać ani wołać straży, by zatrzymała zuchwalca. Spuszcza głowę, opanowany niepojętym wstydem. Walter ma słuszość. Zawinił, srodze zawinił! Pozwolił spisać ustawy, ani się zatroszczywszy, czy są lepsze niż w kraju. A wszakże niegdyś był inny. Jak staranny gospodarz i ojciec rządził księstwami Bouillon i Lotaryngii, dobrymi miastami Metz, Toul i Yerdun. Modlitwa nie przeszkadzała mu zajmować się sprawami żywych ludzi, współczuć im, pamiętać o ich potrzebach. A cóż się z nim teraz stało?

Ach, bo wówczas sądził, że ciężka droga życia, jaką wybrał, jest dobra, miła Bogu, korzystna dla niego i drugich. Obecnie przekonanie to załamało się w nim beznadziejnie, gruntownie. Nie wie już nic. Nie jest zdolny do niczego. Sądził, że nie można czuć się nieszczęśliwszym niż on w roli króla, a oto nie przewidział jeszcze jednego cierpienia: słusznego żalu ludzi, co w nim położyli zaufanie...

Prawy rycerz Godfryd, książę lotaryński, marzył o świętości, miłował Boga nad wszystko, pragnął żyć tylko dla Niego, nie myślał nigdy o sobie. Lecz widno szatan, nieprzyjaciel rodzaju ludzkiego, wkraść się nocą do mieszkania i przemieszał losy, że wszystko dobro obróciło się na zło. Poświęcenie zostawiło w

ustach cierpki smak. On sam zawiódł i skrzywdził wszystkich, co w niego wierzyli.....Gontrana... Baldwin... ci oto ludzie... Tankred, prawy, dobry rycerz, co wzburzony, rozżalony, przeklinający, wyjechał do Antiochii... Wszyscy... ..Cokolwiek by teraz czynił, zła już nie odrobi... Tkwił pogrążony w tych niewesołych rozmyślaniach i wtedy, gdy oznajmiono mu przybycie poselstwa z Edessy. Wspaniałe, iście królewskie poselstwo. Na jego czele stał Pankracy de Sourdeval, zmieniony do niepoznania. Zdawał się uosobieniem mocy i pewności siebie. Przywoził dwa listy. Jeden braterski, ściśle osobisty, drugi . urzędowy, opatrzony majestatyczną pieczęcią. Poślanie do króla jerozolimskiego od króla Edessy. Godfryd z pośpiechem rozerwał i czytał pierwszy. Miiy bracie — pisał Baldwin. — Z największą radością dowie- , działem się o nowym zasłużonym wyniesieniu naszego rodu. Bóg nam pobłogosławił, co i nie dziwota, bośmy tego najgodniejsi. Przypuszczam, że Rajmund St. Gilles i inni pękali z zazdrości. Donieś mi, miły bracie, czyś zastrzegł przy obiorze, że tron musi być dziedziczny? Jeżeli tego poniechał, co przy twoim zakonnym usposobieniu możliwe, musisz koniecznie naprawić to jak najprędzej. Ty wprawdzie potomka nie masz j lecz ja będę miał. Moja małżonka Orianta już w ciąży i spodziewam się, że syna szczęśliwie urodzi. O dziedzica się nie kłopotcz zatem, a myśl o swoim obowiązku względem rodu... Godfryd odsunął niecierpliwie list i sięgnął po drugi, urzędowy. Zawierał zapewnienia radości z powodu odzyskania

Grobu Świętego i warunki korzystnego chrześcijańskiego przymierza między oboma państwami. Gdy skończył, de Sourdeval wyciągnął po niego rękę.

— Wasza Królewska Mość raczy mi oddać...

— Nie jestem królem, jedno niegodnym strażnikiem Grobu Świętego.

De Sourdeval uśmiechnął się i skłonił dając do zrozumienia, że szanuje dziwactwo, choć ono stanu rzeczy nie zmienia.

— Racście mi oddać pismo, Miłościwy Panie, wręczę je wam powtórnie na oficjalnym przyjęciu.

- Oszalałeś, de Sourdeval!... Jakie oficjalne przyjęcie? Odpowiedź napiszę jutro...

Pankracy nie odrzekł nic, poszedł jednak wprost do pa-iriarchy. Porozumieli się łatwo. W następstwie, tegoż jeszcze wieczoru Arnuld odwiedził Godfryda. Przedkładał mu z żywością, że posła należy przyjąć jak najuroczyściej. Najwspaniałej, Wojsko, trąby, dzwony, bębny, szeleszczące tkaniny, połyskujące klejnoty, wszelka możliwa parada. Nie byle to przecież rzecz! Pierwsze poselstwo jednego pana chrześcijańskiego do drugiego! Edessa do Jerozolimy! Taką chwilę trzeba uświetnić, upamiętnić...

- Wszystko to, jest śmieszne kłamstwo — odparł Godfryd. — Biada nam, jeśli przestaniemy być tym, czym nas Pan uczynił: prawymi, prostymi wojami, strzegącymi Grobu Świętego.

Arnuld de Rohes wzruszył ramionami.

- Jesteście w błędzie, Miłościwy Panie. Prostota nie wyklucza wspaniałości. Tę musimy okazać. Na uroczystość zjeździe się tłum ludzi. Niech patrzą, niech podziwiają... Nie wolno nam zapominać, że przedstawiamy latyńską moc, latyńską potęgę... Jeśli jej nie okazem, co o nas pomyślą? Że Grób Pana naszego wyzwoliły dziady, żebraki... To ujma dla Chrystusa Pana. Skromność, skądinąd chwalebna, w tym wypadku staje się grzechem... Bierzcie przykład z króla Baldwina, Miłościwy Panie. Opowiadał mi poseł, że nie ukazuje się inaczej niż odziany w królewskie szaty i przyjął za znak swój złotego ^{ot}1aA książę Tarentu?! Pono roztoczył niebywały przepych... Ten umie władać! Na kiedy naznaczymy uroczystość posłuchania? Najskładniej w niedzielę po nabożeństwie...

- Róbcie, co chcecie — jęknął Godfryd ściskając udręczoną głowę dłońmi.

Rozdział czternasty

ŚLADY BOGA

Cela mała, niedawno bielona. Krzyż na ścianie. Klęcznik pod krzyżem. Wąski tapczan. Na tapczanie człowiek, papież Urban II. U wezłowania śmierć.

Gromnica płacze warkoczami wosku. Wiatr wieje przez szpary okna. Blask pełga niepewnie po ścianach. Płomień chyli się i chwieje. Może kołysze nim wiatr, może śmierć szatą powiewa, może z zaświata płynie świeży dech.

Papież jest sam. Zakonnik, który czuwa i modli się przy konającym, zasnął jak Apostołowie w Ogrójcu.

Leżąc na wznak na twardym tapczanie Urban błądzi oczami po pułapie, myśli posławszy daleko. W ostatniej minucie życia spodziewa się jeszcze czegoś... Oczekuje... Nasłuchuje...

Wysłani z Jerozolimy rycerze Rajnold de Chartres i Gaston de Beziers śpieszą, jak mogą. Przyptłynęli stosunkowo szybko, wiatr mając pomyślny. Gdy wysiedli na ląd w Neapolu, dowiedzieli się, że Ojciec święty bardzo chory, dni jego są policzone. Więc śpieszą tym bardziej, poganiając konie.

Koło jednego punktu krążą ustawicznie myśli papieża Ur- . bana. Wielka krucjata, bryła, którą pchnął

ramieniem i posłał na Wschód, nie przestaje być osią jego uczuć i rozważań. Chciałby już odejść i zasnąć, a odejść nie może. Musi się wprzód dowiedzieć i czeka... czeka...

Przez ostatnie lata towarzyszył nieustannie myślą krzyżowcom. Zbierał chciwie wszystkie wiadomości, jakie mógł zebrać. Były" szczupłe, a przeważnie mało ściśle. Kupcy powtarzali niejasni wieści przeinaczone, zaczerpnięte z drugich lub trzecich ust. Jedyne dokładne dane pochodziły od Szczepana de Blois, z którym Ojciec święty długo i wyczerpująco rozmawiał. W przeciwieństwie do ogółu wierzył temu, co mówił

zbieg. Nie podawał zeznań jego w wątpliwość, choć obraz, wyłaniający się z tych opowieści, był tak okropny i daleki od powszechnego pojęcia. Potem za pośrednictwem Bizancjum przyszły wiadomości o cudownym ocaleniu Antiochii. Basileus Aleksy Komnenos pisał do papieża skarżąc się na Boemunda i żądając, by Ojciec święty zmusił zuchwalca do oddania ziem stanowiących dawną własność cesarstwa greckiego. Urban II uśmiechnął się na te żądania, odpowiadając, że nie może wyrokować w sprawach, których nie zna i o których nie wie, jak się w rzeczywistości działy. Potem otrzymano jeszcze wiadomości o śmierci Ademara, a na koniec Genuńczycy, uchodzący z Joppy przed nadejściem starego rozbójnika Guy-nemera, donieśli o tym, że zdziesiątkowane wojska krzyżowe stoją pod Jerozolimą. Pono nie ma ich nawet dwadzieścia tysięcy, nie mają wody, giną z upału. Nie posiadają machin oblężniczych... Chyba cud mógł im pomóc do zdobycia grodu!

- ...Ojciec święty dożywa ostatnich godzin — mówią spotkani przechodnie śpieszącym rycerzom. — Nie zastaniecie go żywym.

Więc Rajnold de Chartres i Gaston de Beziers pędzą, wiele tchu w koniach. Zmieniają je co parę godzin, powiadając ludziom: — Jerozolima wyzwolona!!!... Grób Święty wolny! Jedziemy z tą wiadomością do Ojca świętego!

— Bierzcie nasze konie — odpowiadają im wszędzie — a śpieszcie, by się uradował tą wieścią przed zgonem...

Niecałe dwadzieścia tysięcy!... A Europę opuściło prawie pół miliona. Straszliwa ofiara ludzka! Zali osiągniesz swój 'cel?...

...Czy dobrze zrobił, pchając te masy w objęcia śmierci? Czy nie poginęli w grzechu, przeklinając go w chwili przedśmiertnej?... Czy dojdą? Czy się swoim trudem nadludzkiem podniosą?!

Jak żywy stanął w oczach Ademar, druh ukochany. Rozmowę, zaczęłą niegdyś na wieży zamku biskupiego w Cler-mont w chłodną noc listopadową, skończą niebawem, spo- tkawszy się Tam. ...Który z nich miał wówczas słusność, który trafniej widział przyszłość?...

Dobro czy zło przyniesie wielka krucjata?!

- -Wiarołomstwo, grzech, zbrodnia, swarnia, grabież! —

powiedział Szczepan de Blois — człowiekowi przychodzi wstydzić się, że jest człowiekiem! Nikt o Chrystusie nie myśli!...

Tak mówił i to było niewątpliwą prawdą. Wspominając te gorzkie słowa papież poczuł ogarniającą go rozpacz, smutek bez granic i dna, żal, co nie pozwoli umrzeć spokojnie, bunt nieukojonny przeciw marności człowieczej.

...Ściemniały oczy moje ze zgryzoty, wyschły kości z utrudzenia... Jak pisklę jaskółcze w rękę ptasznika swiergocę, jak gołąb jęczę, nie mogąc pojąć, czemuś, o Boże, człowieka stworzył tak, a nie inaczej!...

...Władco, który światy trzymasz swym oddechem, Stworzycielu, coś wszystko powołał z niczego!

...Dlaczego płód niewiasty, owoc nasienia męskiego, jest słabszy i kruchszy niż trawa? Więdnie jak ziele, usycha jak badyl jesienią... Przecz stworzyłeś go nikczemnym, tak wiele się po nim spodziewając?!

Dlaczego go wielmożysz, podobieństwa w nim swego szukasz, wydawszy równocześnie bezbronno na łup życiu?

...Lew nie gruchocze kości, jak życie gruchocze człowieka... Każesz mu walczyć, gdy z góry wiadomo, że w oczach Twoich nie usprawiedliwi się żaden z żyjących?...

...Dlaczego?...

...Dałeś mu pojęcie grzechu i pojęcie cnoty, dostateczne, by zatruć szczęśliwość zwierzęcą, a nie dałeś dosyć sił, by pójść za Twym głosem...

...Trzeba ich było raczej zostawić w bydlęcym bezczuciu, w bezrozumnym bytowaniu nie znającym winy, kary i odpowiedzialności. Odebrałeś ludzkości spokój, którego nigdy, przenigdy nie zazna... Czuje się bękartem świata, wydziedziczonym pasierbem królestwa wiecznego, chce i nie może, i nie wie, czego właściwie od niej żadasz? Czemuś ją taką uczynił? Czy świat ten jest jedynym Twoim warsztatem? Jeśli masz ich więcej, czy każdemu dałeś inną zagadkę bytu do rozwiązania, bez której nie ma zbawienia? Czy lubujesz się w tajemnicach?... Co mają począć pyłki ludzkie, mniejsze w obliczu Twoim niż proch w

obliczu niebosiężnej góry?...

Udręczone oczy, pociemniałe od zgryzot, napotykJają w udręce swej krzyż. Czernił się na białej ścianie swym kojącym kształtem. Jak niegdyś Ademar nad rzeką Sakarą, Urban II uczepia się Jego ramion niby ostatniej nadziei. Z dreszczem

przerażenia myśli, co by się stało ze światem, gdyby nie zeszedł nań — Chrystus.

...Jak żyli ludzie przed Jego nadejściem?... Iście pogrążeni w otchłani oczekiwania, suchocie adwentu... W grozie niepojętego oblicza Stwórcy, w oddaleniu, w niewiedzy niezrozumiałych żądań Boga Wszechwładnego...

...Lecz Tyś przyszedł, Zbawicielu! Stanałeś boskim łącznikiem, tłumaczem pełnym litości, Słowem Bożym, dotychczas nie pojętym, wyrażonym w mowie dostępnej i zrozumiałej... Ze strasznego ogromu Wszechświata wydzieliłeś cząstkę wystarczającą dla słabości ludzkiej... Z oceanu potężnego pozwoliłeś zaczerpnąć w mały kubek i sprawiłeś, że zawartość kubka jest jednym z treścią oceanu... O, dzięki Ci za to, żeś jest, jedyna otucho, ucieczko, zbawienie!

...Gdy zadyszani rycerze wjeżdżają do wsi, ludzie powiadają im:

- Opóźniliście się. Dzwonnicy stoją na wieżach, gotowi dzwonić na śmierć, gdy tylko z tamtych kopców dadzą ogniem znak, że papież umarł... Był tu wczoraj posłaniec z Rzymu i mówił, że nie dożyje wieczora...

- Dzwonicie tymczasem nam na radosną wieść — odpowiadają rycerze. — Jerozolima wolna!

Po drodze wszędy przyłącza się do nich młodzież i pędzą razem wielką już gromadą. — Jerozolima wolna! Okrzyk leci nad Italią, ponad górami, przeleci wskroś Europy...

Udręczone oczy nie widzą już ramion krzyża, jeno jednostajną, ciemną, długą równinę. Bóg zsyła dziwne widzenie Oto nieskończona droga zarosła cierniem, zavalona kamieniami... Kiedyś, kiedyś Bóg szedł tędy, pozostawiając ślady swoich stóp... Za tym śladem, trudnym do uchwycenia, za ledwie z rzadka widocznym, dąży od wieków ludzkość... Wyrabuje przejście, rozmywa je łzami^wydrapuje pazurami. Stosunek ludzkiej gromady do ogromu drogi jest stosunkiem mrówki leśnej do gwiazdzistego przestworza... Od tysięcy lat już kroczą, a są ledwo na początku... Jak poganin Syzyf cofają się o dwa kroki, uszedłszy jeden w przód... Jednakże idą...

Urban II widzi krzyżowców na czele idących... Krucjata sunie jak splatany kłęb, jak pięść zaciśnięta, taran krwawiący cierpieniem, bluzgający ropą grzechu... sunie i toruje drogę... Wymoszczony trupami, zamieciony wichrem namiętności,

szlak jej, Via Dolorosa ludzkości, jest jednak Drogą, jest stąpaniem w przód...

Nagłym ruchem papież podnosi się na łożu, wydaje mu się bowiem, że słyszy bijące spieszenie, niecierpliwie dzwony... Odległa jeszcze wrzawa uderza wyostrzony przedśmiertnie umysł. Gasnące oczy rozwierają się szeroko. ...Już wie!... Już wie!... Grób Święty wolny!... O, dzięki Ci, Boże!...

Drzwi skrzypnęły. Nieśmiało wsunął się młody brat zakonny, sekretarz Jego Świątobliwości. Śpiący zakonnik obudził się i poderwał zawstydzony.

Papież obrócił na wchodzącego oczy rozblysłe szczęściem. - Powiedz, bracie, posłom -- szepnął wyraźnie — że ich błogosławię i raduję się...

— Nie ma żadnych posłów — odparł braciszek rozglądając się z trwogą.

— Będą zaraz... Rzeknij im, że już wiem i błogosławię... ...A teraz ostawcie mnie w spokoju...

Panie, w ręce Twoje...

Zamknął oczy przechodząc z jednego bytowania do drugiego. Na ustach miał uśmiech pogodny. Obaj zakonnicy stali nie śmiejąc się poruszyć. Gwałtowne, spieszne kołatanie rozległo się nagle u bram...

Rozdział piętnasty GDY POWRÓCIŁ...

— Bywajcie w zdrowiu!... Bywajcie!... — wołał Jastrzębiec skręcając ze swymi ludźmi na lewo. Bela de Kolosyar pozostał już dawno na Węgrzech. Imbram ciągnął teraz sam z Beni-tem, Chebdą i kilkoma najemnikami prowadzącymi wozy. Nie

silił się na rozplatanie własnych uczuć, gdy tak z każdą godziną zbliżał się do ojcowizny. Nie była to radość ani pośpiech, jeno jakieś bezbrzeżne zdumienie, zadziwiające stwierdzenie, że wszystko tu jest, jak było. Nie zmieniło się w kraju nic, prócz niego samego...

Dopóki jechali razem z Jastrzębcem, niepokojące uczucie zdumienia nie mogło ogarnąć go całkowicie, gdyż Ostój ciągle coś mówił, gorączkował się, pośpieszał, nie mogąc doczekać się chwili przyjazdu do domu.

— Co będziecie robić po przyjeździe? — zapytywał. Imbram spoglądał nań wahająco. Co będzie rotoił? Będzie

żył...

- Ja nie po to zjeżdżiłem tyli kawał świata — oświadczał Jastrzębiec — by w tynie siedzieć, niedźwiedzia tylko lub tura widując... Na dwór książęcy pojedę... Może będę kaj postował... Naszych wielmożów pchnę, żeby też kapkę z lasu wyjrżeli... A przede wszystkim oporządę zdrajcę, przezdrajcę Sieciecha... Lepiej mu było nie rodzić się... Pomszczę moją krzywdę, o pomszczę! Obaczy ten podły gad! Obaczy... Zrazu nic po sobie nie pokażę, aż się rozejrzę po kraju... Co się święci... Z kim warto iść... Dopieroż o mnie posłyszycie... Potem Sieciecha zgniótny, wypadnie panów skrzyknąć i rumor zrobić... Królestwo przywrócić... Warto choć zamieć podnieść, ale po dawnemu na przodzie narodów iść, a nie w ognie!

- Hej, królestwo przywrócić! — wzdychał Imbram. Wspo-unał, jak tylekroć, czasu swego wędrowania, żalowali, że są sami, rzuceni garścią, garsteczką, pozbawieni własnego króla, potężnego pana... Baczcie — zapalał się Jastrzębiec — że wszystkie za

nami pójda... Pomną przecie, co się działo przed naszym wyjazdem... Na nas czeka ta robota... Nie ma w kraju nikogo, co by tyle znał i widział, wiele my...

— Ja tam już nic nie wiem... — odpowiadał Imbram z góry zniechęcony.

— Próżne gadanie... Rycerz z was przedni... Sam widziałem, jak ubiliście słonia Kerbogi, czego nikt prócz nas dwóch nie považył się uczynić... Ino wytchniecie doma, przyjeżdżajcie ku mnie... Razem dokonamy wielkich rzeczy...

Imbram słuchał kiwając głową tak mało obiecująco, że Jastrzębiec się zniecierpliwił.

- By wasz brat żył, nie potrzebowałbym mu tego dwa razy powtarzać! To był gorący rycerz!

...Brat!... Imbrama aż zakłuło w sercu. Ten brat, wróg, tak strasznie nienawidzący, zali tu przyszedł, jak groził, upiorem, czy też obezwładniony, z piersią przebitą kołem, pozostał w dalekiej Azji?... Jak się dowiedzieć? Jak się dowiedzieć, o Boże!...

Krakowskie wzgórza zostały za nimi. Jadącego ogarnęły puszcze śląskie. Rodzone, swoje. Był początek marca- i konary stały nagie, a między pniami leżały wielkie płaty brudnego, chropawego śniegu. Na dębach szeleściły zeszlóroczne suche liście, lecz w przerwach między borami nad bielnią mokrych łąk krzyczały już czajki. Dziki, bobrujące w kupach zbutwiałej podścieli igieł, i listowia, fukały gniewnie na widok jadących. Z dala między pniami drzew, sterczących gankami lub wielkich niby pół tarczy, stały byki zubrzej, złośliwej brodaczej, grzebiące racicami zeszlę, sterczące ze śniegu paprocie. Imbram jechał patrząc na nie niewidzącym okiem. Nie dostrzegając szczegółów brał w siebie zapomnianą rodzinną całość, chłonał, zanurzał się w niej. Nigdzie nie skręcając dążył prosto na zachód drożyna wydeptana może przez bartników i smolarzy, może wygniecioną po prostu przez zdążające do wodopoju zubry lub dziki. Nie dbał, czy gdzie z rozwidlenia drzewa nie łypie nań zdradziecko ryś ślepiem zielonym lub leśny dziad, lichy od rysia złośliwszej — czerwonym. Nie nadkładał drogi, by ominąć z dala siedlisko utop-ców i wił, skręcając konia, dopiero gdy zaczynał lgnąć.

Rude leśne mrówki przebiegały chyżo po zbrukanej bieli śniegu, rozsuwającej się bezsilnie .pod końskim kopytem. Powierzchnia zbitych płatów starych zasp była podziurawiona jak rzeszoto, a dołem ciurkała z nich pośpiesznie woda. Poza

lasem, na świecie, na otwartym, dał silny wiosenny wiatr. Wiatr buczał i szumiał przeciągle w górze drzew, chwilami zapadając w bór głęboko, do dna, do gruntu. Zmarzły śnieg wypełniał spróchniałe kadłuby pni, bezpieczne schronienie wiewiórek. Przy szarej białości tych ostatnich zimy pień widział się czarny jak agat. Połyskujące wilgocią bezlistne gałęzie płatały się w misterny wzór, podobny do arabskiego pisanja. Cierpko-gorzka woń przedwiośnia biła w nozdrza. Przenikliwy, chłód nie był już w niczym podobny do niedawnych zimowych odrętwień. Pobudzał do ruchu, pędził krew w żyłach a soki w drzewach. Mgła, spadająca wraz z mrokiem na leśne barzyny, otulała myśli, znieczulając je na wszystko, co się nie łączyło z odnową. Spieszne, ruchliwe obłoki przepływały nisko po niebie rozwieszając na wierzchołkach drzew bure kłaki mokrego podbrzusza. Chwilami zza chmur wyzierało jarzące słońce, zupełnie inne niżli azjatyckie, promieniste, życiodajne, ponad wszystko drogie, przez całą przyrodę oczekiwane. Słońce szyło w czarnobrunatny, wilgotny gąszcz lasu pękami złocistych strzał jak bożek pogański Apollo, którego wyobrażenie, miotającego takie właśnie promieniste strzały,

widniało na murach Antiochii. Złote strzały przenikały zimowe kryjówki duchów puszczańskich, borutów, rokitów, dziadów leśnych i mamunów, zmuszając je do ucieczki w głębsze uroczyska. Im dłużej Imbram jechał pod sklepieniem pierwoboru, szlakiem coraz bardziej bliskim i znajomym, tym uporczywiej rosło w nim poczucie, że grzęźnie w jakąś pierwotność plemienną, obrasta korą jak drzewo, wplątuje się duchowo w pnącze zeszlóroczne jeżyn. Wszystko, co przeżył i doznał, co widział, słyszał i czuł, opadało z niego jak zeschnięta skorupa i, rzecz dziwna, zdał się bliższym chwili, w której wraz z braćmi tą samą puszcza jechał spod Kruszwicy, niż wypadków ostatnich miesięcy, niedawnej morskiej podróży na genueńskiej galerze.

Dzień za dniem, godzina za godziną zbliżał się do domu opuszczonego przed pięcioma laty. Teraz już znał każdy zakręt drogi, każde bajoro, wykrot lub wypalenisko. Witał je wzrokiem pozornie nieczułym, ciągle pod wpływem wrażenia, że jego powrót jest zwałceniem jakiegoś prawa, zdarzeniem nadprzyrodzonym, przeciwnym naturalnemu porządkowi rzeczy. Zbyłut chciał wrócić, lecz on, Imbram, zabił zmarłego sam powraca na jego miejsce. Żywyż jest czy umarły? Tak długo był w innym świecie, a wszakże z innego świata nikt

bezkarnie nie powraca. Dlaczego ludzie boją się powrotu zmarłych? Bo byli już poza światem... Jak on...

Rozmyślał nad tym mętnie i bezosobowo, w poczuciu, że wolna wola jest- zwidem nieistniejącym, a człowiek bezradnym stworem, rzucającym, kędy los zechce. Darmo się z Dolami spierać. Cokolwiek byś czynił, zawiodą cię tam, gdzie zechcą.

Z zazdrością myślał o Jastrzębcu, który z takim pośpiechem i gorączką wracał, snuł dalekie zamiary, kipiał chęcią czynu. Zazdroszcząc jednak, nie czuł w sobie możliwości naśladowania towarzysza. Usposobienia ich były zgoła różne. Jastrzębiec był zuchwały, porywczy, pełen wewnętrznej pasji i śmiałości. Nęciły go przygody i zasadzki życia, z którymi można było wziąć się za bary jak z niedźwiedziem w boru; Imbram, miękki, uczuciowy, wrażliwy Słowianin, brał udział w wypadkach tylko o tyle, o ile został wciągnięty w nie mimo woli. I teraz zbliżał się do ojcowizny raczej bezwolnie, nie wiedząc, czy pośpieszyć, czy zwalniać kroku. Wrażenie snu, nie-rzeczywistości, zadanego uroku, podwajało się, rosło... Rozglądał się półprzytomnie po drzewach znanych jak sprzęty rodzone, po nowinie, którą Głowacz przed ich wyjazdem karczować kazał, po polach, pokrytych oziminą. Młode pióra żyta, zielone z niebieskim nalotem, mieniły się pod słońce niby skrzydło kraski. W koleinach drogi stały kałuże wody odbijając w sobie ruchliwe marcowe niebo. Jeszcze jeden zakręt i oczom jezdnych ukazał się dom. Stare rodowe dworzyszczce... Czaszki końskie bielejące ona częstokole. Zarówno dwór, jak stojący przy nim kościół, połączony z piętrem domu drewnianym gankiem —• kościół o niekształtnej, krągłej absydzie i wąskich jak strzelnice oknach — wydały się rycerzowi zmniejszone, inne, dalekie od znanej poprzednio wspaniałości i rozmiarów. Patrzy nie mogąc pojąć, co się w nich zmieniło? Bra- . ma wjazdowa zamknięta, jak przystało. Brama, od której odwrócił się kiedyś wołając, że wrócą rychło... Chebda biegnie otwierać ją drżącymi ze wzruszenia rękami. Wie dobrze, gdzie trzeba wsunąć palce, by wyciągnąć skobel. Brama skrzypi jak dawniej. Po grudzie biega źrebiec, cztero- może pięciolatek. Piękny, wysokiej krwi. Rzy rozgłośnię na widok obcych koni, puszy się, rozwiewa ogon. Psy, te same, płowe brzechuny, wylatują z głośną wrzawą.

Krzyżowiec zsiada z konia i otwiera drzwi, święte drzwi starego domu. Wielka sień, idąca na przestrzał, pełna jak zwykle dymu kołującego chmurą pod pułapem. Na ścianach

siecie i wszelaki sprzęt łowiecki. Dokoła ławy. Na prawo od wejścia, w uczciwym kącie, gdzie ława szersza i suto kozuchem zasłana, coś chrzypi, coś się porusza, podnosi skudlony łeb. Starzyk, Dominus, pradziad... Żywię jeszcze!?! Oczy starego wiciądza zasnutę są bielmem, niewidzące, słyszy coś jednak, bo obraca się ku wejściu i gada niezrozumiałe...

Lecz Imbram nie może jeszcze wejść w progi domowe. Wprzód grzebie ręką za pazuchą, wyciąga woreczek z ziemią, ziemią- spod progu, zabraną pięć lat temu przed wyjazdem. Wysypuje ją ostrożnie, starannie w to samo miejsce, skąd wziął. Progu dotyka trzykroć dłonią pozdrawiając go w ten sposób i wreszcie wchodzi do wnętrza. Bardziej niż kiedykolwiek zda mu się być pogrążonym w śnie nierzeczywistym. We śnie słyszy w sąsiednich izbach bieganie i gwar. Boczne drzwi uchylają się ostrożnie. Dziewczyńskie ciekawe głowy. Zaglądają i cofają się szybko, spłoszone. Głowaczowe córki

chyba?... Ależ porośły!... Za drzwiami znany szelest kiecek i śmiało wkracza Bogucha, bratowa. Nie zmieniła się ani na włos. Jest czujna, uważna i bronna jak zawsze. Twarz ma zaczepno-wyczekującą, boć nie wiadomo, kto przybył: swój czy wróg?

Na widok przybyłego, stojącego wciąż przy wejściu nieruchomo, zatrzymuje się jak wryta, opuszcza ręce bezwładnie wzdłuż bioder. Patrzą na siebie w milczeniu. Bogucha się nie zmieniła, lecz Imbram spostrzega dopiero, jak bardzo sam musiał się zmienić. Bratowa go nie poznaje!

— Imko, tyżes to? — pyta na koniec niepewnie.

- Jam jest.

- Kaj mój ostał?

- Pomarł temu trzy roki...

- Oj, lelum! Lelum! Tom wdowa! A Zbylut?

- Pomarł takż.

- A inni?! Zawory, Nogodziec, Oświaty?!

- Nie żywie żaden. Jam powrócił samojeden...

Milczą znowu. Starzyk mierzwi się na swej ławie. Coś porusza się za spódnicą Boguchy, Imbram dopiero teraz zauważa, że przyszedł z nią chłopak pięciolatek, wyzierający ciekawie zza żywej szerokiej tarczy.

- Myśleliśwa — mówi Bogucha wolno — jako już nigdy nie wróćcie... Żeśta ze wszystkim przepadli... Kajżeście byli?...

- We świcie...

znów cisza. Bogucha patrzy na dziewczera nieufnie. On, on? Czy, nie daj Boże, nie wrócił odmieńcem? Nie gada

nic, nie wita się, Boga nie pochwali, jeno stoi jak jakiś kołowaty...

— A toż twój chłopak! — woła nagle, wyciągając zza siebie niedolatka. Wcale niespłoszony dzieciak patrzy śmiało na obcego rycerza. Nie na twarz, lecz na miecz, na łuskowatą kolczugę i pas. Ma konopną czuprynę, spadającą na ramiona, oczy jak chabry w czerstwej opalanej twarzyczce.

— Mój... — powtarza Imbram i czuje, że już dalej nie wytrzyma. Wyrzuci z siebie pytanie, które go dławi i dusi.

- ...Gdzie jest... Ofka?... Bogucha macha ręką niedbale.

— Pomarła także już dawno... Niedługo będzie dwa roki... Nie z bolenia, jeno z tęsknicy, bo choroby żadnej nie miała, tylko tak ją w sobie żarło... Pewnikiem przez to, że się do żadnej roboty nie brała... Może mówić śmiało, bo Imbram nie słucha, co dalej... Pomarła!... Jużćie, to proste... Inaczej nie mogło być... Jakże by ją zastał?... Pomarła... Pomarła... z tego, że ją zwolił zczarować... Albo też upiór ją wyssał.

— Ady popatrz na małego — mówi z urazą Bogucha wysuwając go ku ojcu. Z dziwną nieśmiałością Imbram chce ująć chłopca za rękę. Tenże sam to, którego unosił do góry podtrzymując ostrożnie maleńką główkę, by się nie chybnęła na szyjce kruchej jak łodyga?... Cfrika patrzyła przez szparę w radnie... Powiadała, że jej mgło od szczęścia... Pomarła...

...Pomarła...

Wyciąga dłonie do synka, lecz chłopiec na niego nie patrzy. Całą uwagę skupił na widnych przez otwarte drzwi ludziach i koniach, i wozach. W bystrych oczkach pali się ciekawość, Nie mogąc wydzierzeć dłużej, polotnym Ofczynym ruchem wyskakuje za próg.

— Ciota! — krzyczy z zachwytem. — Ciota! Patrzajcie!

Sąsiedzi i krewniacy, przyjeżdżający mimo wiosennych roztopów na Strzegoniowe dworzyszczce, by zobaczyć i posłuchać krzyżowca, odjeżdżali zawiedzeni, gdyż Imbram opowiadał mało-wiele. Robert flandryjski, nieboszczyk Momot Zawora byłiby rozmowniejsi od niego. Zapytany, odpowiadał skąpo i jakby niechętnie. Nie mówił nigdy sam z siebie, woląc słuchać samemu bezładnego gładzenia starzyka o Chrobrowicach, co nagłą śmiercią pomarli. Przyczyna tej niechęci tkwiła nie tylko w nieustającym poczuciu winy, w załamaniu duchowym rycerza, lecz i w trudności wysłowienia się. Przez ubiegłe lata przywykł mówić wyłącznie po łacinie, a także myśleć w tym

języku, bogatym, giętkim, posiadającym nazwanie na każdą, rzecz i każdy stan duszy. Wróciwszy teraz do przyrodzonej polskiej mowy, twardej, ubogiej w wyrazy i pojęcia, nie wiedział, jak sobie poradzić z niewyraźnym bogactwem minionych przeżyć. Nie wypowie ich chyba nigdy, nikomu...

Jeden opat Gwido byłby go zrozumiał i słuchał z rozkoszą, lecz przed nim właśnie Imbram krył się najstaranniej ze swoją doskonałą znajomością zachodniego języka. Bał się przenikliwego wzroku opata, jego bystrej wszechwiedzy. Bał się, że w toku powieści potrafi niebaczenie o Alochę lub Zbyluta i śmierć

tegoż.

Natomiast z bolesną, zachłanną uwagą słuchał wszystkiego, co mu opowiadano o zdarzeniach domowych w tym czasie zaszłych. Wieczorami leżał na ławie opodal starzyka patrząc w strzelający skrami ogień. W ścianach ćwierkały świerszcze, to rozlegały się jakieś stapania, szelesty, trzeszczenia. Dziady obchodziły dwór... W sąsiedniej komorze ktoś niby płakał, niby się śmiał... Bogucha w zgrzebnych rańtuchach zawita po oczy, jak przystało wdowie, przędła z córkami, opowiadając rzeczowo, ściśle dokładną kronikę domową. W głosie jej brzmiała wyższość stale odczuwana, obecnie wzmożona odkryciem, że obcy, wielki świat, ciągnący się gdzieś het, precz — świat, którego ona nigdy nie widziała — nie jest ani ciekawszy, ani mędrszy od tutejszego, puszczańskiego, boć wszakże Imko był w nim kilka lat i .nie ma co opowiadać, a jej, Bogusze, na wiele jeszcze wieczorów wys'tarczy! Ileż tu zdarzyło się rzeczy ważnych, niezmiernie ciekawych, związanych z życiem domu, chudobą, żywiną, służbą! Przede wszystkim zbrojny napad Sieciechowych, szukających nieobecnych rycerzy wnet po ich wyjeździe. Dwór został wtedy ograbiony, konie zabrane, wszystkie zapasy, znajdujące się w spiżarni, zjedzone. Jedynie dzielność Boguchy, broniącej nieustępliwie mężowskiego dobra, wstrzymała chciwców od zupełnego rozgromu. Przeszło rok trwały ciągle niepokoje i utarczki, aż przysła pono do Krakowa wiadomość z Francji, że nieobecni wzięli krzyż, za czym książe kazał ich poniechać w spokoju. W dalszym ciągu opowiadała o chorobie małego, któremu zęby trudno się wyrzynały, o wypadku klaczą, która złamała nogę na grudzie, o stratach spowodowanych w owczarni przez wilki, o złym cieleniu się krów, .cieczce dwóch przypisańców, biegusów obmierzłych... Tyl-Ofce nie opowiadała nigdy ani on pytał, jak gdyby z-
Wiązali się jakaś tajemną umową.

Czasami zatrzymywała się zmęczona mówieniem.

— Ać, gadajże teraz ty...

I opuszczała wrzeciono. Głowaczowe dziewczęta przestawały furkać również, patrząc wyczekująco w twarz stryjca.

— O czym mam mówić? — uśmiechał się blado Imbram. Istotnie, o czym miał mówić, jak?

Niewiastom, których

stopy znały tylko glinianą polepę, opowiadać, że chodził po posadzce, naśladowującej do złudzenia wodę zmarszczoną wietrzykiem w drobnutki fale, z prześwitującym dnem i pływającymi w niej rybkami?

Mieszkańcom cienistej, wilgotnej puszczy prawić o .spalonej, bezwodnej pustyni? Przecież nie rozumieją ani nie uwierzą.

Trzeba by od początku opowiadać dzień za dniem, krok za krokiem, a na to nie miał sił ni odwagi.

Chował się za milczenie niby za szaniec obronny, zadowolony, iż pomału przestają go nękać pytaniami. Z żalem stwierdzali, że widno nic ciekawego w swojej wędrowce nie widział, skoro nic nie opowiada. Nie tak posłowie, co niegdyś, przed dwudziestu blisko laty, jeździli z Płocka do grobu świętego Idziego, by potomka dla niepłodnej księżnej Judyty uprosić! Dotąd o swojej pielgrzymce opowiadają, coraz barwniej, coraz szczegółowiej!...

Prawdę rzekłszy, gdyby nie przywiezione przez Imbrama skarby, owe wory monet syryjskich i greckich, owe kosztowne zbroje, tarcze sadzone koralem, złote łańcuchy, klejnoty, naczynia ze srebra i kryształu, gdyby nie te cenności, schowane starannie w górnej izbie, by chciwości niczyjej nie budzić — zarówno Bogucha, jak przyjeżdżający sąsiedzi, gotowi byli przypuszczać, że daleka podróż była wymysłem, a Imbram przesiedział cały ten czas u jakiegoś węgierskiego pana.

Chebda i Benito nie byliby z pewnością naśladowali powściągliwości rycerza i opowiadali, nie szczędząc szczegółów, ., gdyby nie to, że Benito niewiele umiał po polsku. Poza tym czuł się rozgoryczony i pokrzywdzony. W ostatnich c/asach podróży spoufalił się z Imbramem uważając się za giermka raczej .niż pachołka. Bogucha położyła temu kres. Nie lubiła „obcego cudaka”, pędziła go do ciężkiej roboty, aż stękał. Życie na dworzyszczu wydawało mu się przerażające. Wzdychał i pytał Imbrama, czy długo tu pozostaną?

Imbram spoglądał na pytającego ze zdumieniem.

— Kajbym miał jechać? Na zawsze ostanę.

— Na zawsze?... — powtarzał Benito. — Wasza Miłość, w tej puszczy, na zawsze?...

I odchodził markotny. Z Chebda było jeszcze gorzej. Bogucha nie mogła darować Imbramowi, że go zrobił wolnym, i przy każdej sposobności wykazywała bezrozumność podobnego postępku. Chebda wiedział o tym, a znając miękkie usposobienie swego pana, obawiał się, że pod naporem bratowej gotów przyznany skarb wolności cofnąć. Wszakże Bogucha rządziła wszystkim. W pierwszych dniach wprawdzie usunęła się od zarządu na korzyść dziewierza, zaznaczała, że on jest panem i że wszyscy mają się zgłaszać po

rozkazy do niego: widząc jednak, że Imbram wciąż chodzi jak kołowaty, poczyna opacznie, pozwala ludziom na wszystko, co zachcą, a z rozchodem gospodarskim się nie liczy, ujęła ponownie wszystko w garść. Ku jej cichemu zdziwieniu Imbram się o to nie gniewał ani upominał. Et, odmieniec był, odmieniec ' został! Wiadomo przecież, że go maleńkim boginka chciała wykraść.

Furcząc co wieczór wrzecionem myślała z goryczą o tym, że tamci dwaj dorzeczni męże polegli, a ten, prawie że przy-głupek, ostał. Patrzyła na niego spod oka. Choć niedorajda, chłop był rośły, przystojny co się zowie. Z podróży przywiózł pewną nie znaną tu przedtem pańskość obejścia. Ruszał się, mówił inaczej niż wszyscy.

Wrzeciono upadało na ziemię. Nić się urywała. Bogucha zaciskała wargi. W ostatnich czasach była ustawicznie rozdrażniona, niespokojna. Pukała jak dzik na córki i czeladź. Zapominała o rozpoczętej robocie. Spoglądała na Imbrama wyczekująco, milkła w pół słowa. Niezwyczajne to były objawy u mądrej, zrównoważonej Boguchy.

Dnia przybywało każdej doby wielkimi skokami, słońce grzało coraz silniej, gdy Benito przyszedł do Imbrama prosić o pozwolenie ruszenia w świat.

Cisnął czapkę w garści, w głosie miał nie udany żal. Był szczerze przywiązany do swego pana, ale wytrzymać dłużej

e mógł, naprawdę nie mógł! Na całe życie ostać tu, w tych isach?! Dla Boga! Jeżeli pan zezwoli, pójdzie do Krakowa rybałtować albo do rycerza Jastrzębca, albo gdziekolwiek indziej...

Idź z Bogiem — odparł Imbram. Pożegnał chłopca ser-wnie i zaopatrzył w niezgorszy mieszek denarów, ku oburzeniu Boguchy.

— Krzyżowcy t. III/IV

> . -

Samo odejście pachotka przyjęła ona z żywym zadowoleniem. Dobrze, że tego cudaka nie będzie...

Zgoła inaczej skończyło się z Chebdą. Ten, ustawicznie drżący o swą wolność, uciekł pewnej nocy, po prostu uciekł. Wziął na wóz rodzinę, dobytek i odjechał nie wiadomo dokąd.

— To twoja wina! — krzyczała rozszokowana Bogucha do Imbrama. — Twoja wina! Obatożyć takiego łotra, a nie wolność darować! Slijże teraz za onym, slij!...

— Nie będę słał. Mógł odjechać, jeśli chciał. Wolny jest.

- Mógł odjechać! Wolny jest! — przedrzeźniała. — Woty i wóz mógł wziąć?! Niedoczekanie! Jak mi oczy miłe, odbiorę wszystko, co zabrał!...

- Nic nie odbierzesz. Rzekłem: wolny jest. Nie pozwalam za nim posyłać — powiedział stanowczo Imbram.

Bratowa załamała rękę.

•— Oj, lelum! — zawiodła. — By Głowacz żył, ten by ci dał!... Własne dobro samochcąc marnować! Jeszcze o takich porządkach nigdy nie słyszała...

— Wiele jest rzeczy na świecie, o których nigdy nie słyszałaś, Bogucho,

Oburzenie ją zatknęło. Skorzystawszy z tego, Imbram odszedł nie czekając nowego wybuchu wymowy. Szedł drogą ku oraczom, przygotowującym rolę pod zasiew prosa, i myślał, że oto nie ma już ani Benita, ani Chebdy, ostatnich świadków podróży. Świadców, co mogliby stwierdzić, że doznane przeżycia nie były złudą, snem nocnym. Że się działy rzeczywiście... Może to lepiej, tak, stanowczo lepiej... Mocniej niż kiedykolwiek wydało mu się, że wrasta w glebę jak drzewo, zalewa się korą, wplata w gałęzie krzewiny. Dziwne uczucie, nie wiedzieć, miłe czy złe...

Zzuł ciężmy i szedł boso po roli, z przyjemnością czując pod stopami ciepłą, nagrzaną słońcem ziemię.

Odsunął od pługa młodego Pobiedę, syna szafarza, i sam ujął widły sochy. Poczul nagłą ulgę tak wyraźną, jakby w błogosławionym zajęciu siewcy lub oracza kryła się tajemnica pogody duchowej. Pobieda kroczył za nim patrząc podejrzliwie, czy pan nie zapomniał orać, i Imbram, czując ten wzrok, skierował całą uwagę na prawidłowe odkładanie skiby. W ten sposób przeszedł pole do końca, raz, drugi i trzeci. Czuł się dobrze. Z uśmiechem jął przypominać, kiedy to ostatni raz prowadził sochę. W domu chyba, przed wyjazdem?... Ależ nie!... Pod Antiochią!-Pod Antiochią!...

Przypomnienie tej chwili i wynikłych z niej zdarzeń uderzyło go tak nagle, że puścił pług i odstąpił. Niech Pobieda kończy. On zawrócił ku domowi ślaniając się niby chory... Błękitna suknia pod lasem!... Błękitna suknia pod lasem!... Nie ukaże się już nigdy, nie...

...Nie wywoła jej żaden cud... Nie wskrzesi błaganie...

Żal za zmarłą, umiłowaną, zdradzoną żoną, żal tłumiony, guszony, spychany^ buchnął gwałtownie, przerodził się w rozpacz. Niezdolny uporać się z nią, włókł się jak skazaniec. Co parę kroków przystawał, opierając czoło o drzewo przydrożne, i łkał suchym, wewnętrznym łkaniem. Czemu wrócił? Czemu wrócił? Wolej sto razy zginąć niż żyć tutaj bez niej! Wolej było uschnąć na pustyni z pragnienia, w Antiochii z

głodu, spłonąć pod murami Jerozolimy na wieży, polec w boju, niżli żyć tu — bez niej, ze świadomością, że on jej śmierć spowodował!...

Wrzeczona szumiały zgodnie jak co dnia. Świerszcze grały. Starzyk drzemał. Małego nie było przy boku ciotki. Poszedł już spać do komory w wielkim łożu Boguchy. Jak zwykle Imbram powitał tę nieobecność z ulgą. Miłował synka, lecz widok jego sprawiał mu ból dotkliwy. Każdy ruch, każde odezwanie się chłopca przypominało Ofkę. Lekkość chodu, wdzięczna dziecinna przymilność, oczy jak kwiecie bławatu... wszystko to było z niej, z niej...

Niezdolny słowa przemówić, usiadł daleko od ognia. Sądził, że Bogucha zacznie znów wypominać Chebdę, lecz ona milczała również. Szeroka, kanciasta jej twarz, oświetlona wyraziście blaskiem płomienia, wyrażała niezłomne postanowienie wykonania czegoś dawno już obmyślanego. Zamykała mocno usta, jak gdyby gotując się zawczasu do odparcia spodziewanego sprzeciwu. Wrzeczono wirowało szybciej, ostrzej niż zwykle.

Czas mijał. Czeladź odeszła. Dziewczęta również. Imbram nie ruszał się ze swego kąta. Bogucha nie przestawała prząść. Stary spał mruczając niezrozumiale przez sen.

Praw mi, jak było, kiej Ofka pomarła... — rzekł nagle Imbram schrypniętym, nłeswoim głosem.

Opuściła wrzeczono. Odsunęła prząslicę, jakby zbierając się do dłuższej rozmowy.

Dyć już mówiłam — odparła z pewnym zniecierpliwie-- Chorości nie miała żadnej, tylko się gryzła... O nic nie stała... Małego ja wychowałam... Sprawiedliwie powiadam, że ja... Beze mnie byłaby go zmarnowała ta białka szalona, co umiała tylko śmiać się i płakać... Sam widzisz, że prawy z niego rośnie rycerz... Krzepki jest, prosty... Nie boi się niczego... Nie płacze, choć go uderzyć... Strzela już z łuczku, siedzi dobrze na koniu... To wszystko ja! Ja!

— Wiem o tym... Wždy praw mi o niej...

— Co mam rzec?... Po twoim odjeździe płakała ino, a płakała... Dziw, że oczu nie wypłakała... Łaziła jak śnięta... Nieraz roboty tyle było, że strach, czy to pranie, czy pieczenie, a ją poniosło kajś na gościniec, na drogę patrzeć, jakby nie znała, że robota doma...

— ...Czekała...

- Ciebie, dobrego woja, krzywdziła lękając się ustawicznie, że ją dla innej zabędziesz, że ją porzucisz... Krzyczałam o to na nią, a ona precz swoje... Ni krzty rozumu nie miała...

- Nie mów tak o niej... — szepnęła błagalnie.

— Ostawię, kiej ci niemiło... Przeca musisz znać, że ona nic dla ciebie >nie zrobiła, bo ze słów pociechy nijakiej nie ma — jeno ja... Ja! Żróbka ci skryłam, kiej Sieciechowe nadeszły... Wszystkie konie zabrali, a jego nie... Taki koń!... W smolarń go trzymałam... Dobytku pilnowałam, że umniejszenia w nim nie ma...

— Iście, Bogucho, nie każdy mąż dałby sobie radę jak ty... Ale mi dalej praw o niej...

— Powiem kiej indziej... Nie uciecze... Ninie... Przełknęła ślinę. Złożyła ręce na kolanach. Mimo pozorów

pewności była zakłopotana, a nawet strwożona. Patrzyła na niego prosząco. Pierwszy raz widział ją taką.

— ...Ninie rada bym wiedzieć, co dalej? Spojrzał nie rozumiejąc.

— Ożenisz się pewnikiem, a ja co? Ostawił rnie mój bez zaopatrzenia... Na szafarkę zejde?... Kaj się podzieję...

— Nie ożenię się — zapewnił.

— To jakoż mamy żyć pod jednym dachem? Na osławie. chcesz podać mnie i moje dziewczęta?!

— Trudno ci dogodzić — uśmiechnął się. Spuściła oczy i gładząc dłonią rańtuch szepnęła:

— Czy nie widzi ci się, Imbramie, godnym i przystojnym poślubić mnie, bo gdyby nie ja, nie zastałbyś w domu ni syna, ni dobytku, i żyłbyś jak żebrak?

Imbram otworzył usta i spojrzał na nią z przerażonym osłupieniem.

— Jestem krzepka — dodała spieszenie — przyrodzenie niewieście mam młode i mogę jeszcze rodzić dzieci...

Ciemna zasłona opada na głowę rycerza. Wirują migające szybko obrazy. ...Ofka czuła jego zdradę... Umarła.....On ma

się żenić z Boguchą... Wydało mu się, że znów odpowiają pusty wieczór jak pod Doryleą, lecz umarłym jest on, Imko... nie Głowacz, nie Zbylut, lecz Imko...

- Poślubię cię, Bogucho — rzekł głośno. — Zrękowiny możem ogłosić choćby jutro...

- Oszalałeś! — wykrzyknęła powracając mimowolnie do zwykłego szorstkiego tonu. — Pokory po Głowaczu jeszcze nie skończyłam!

ZAKOŃCZENIE

Czytelnikowi, który cierpliwie przeczytał niniejsze dzieje do końca, należy się od autorki parę słów objaśnienia i uzupełnienia. Pierwszym pytaniem byłoby zapewne: wiele w tej opowieści jest prawdy? Sumiennie odpowiedzieć mogę, że prawie wszystkie fakty oraz olbrzymia większość występujących w niej osób są historyczne i autentyczne, oparte na źródłach wyszczególnionych w tomie I.

Wprawdzie udział rycerzy polskich w pierwszej wyprawie krzyżowej nie zostawił po sobie śladu w żadnej kronice ni dokumencie. Nie wiemy, jakie rody śląskie czy małopolskie uczestniczyły w wielkiej międzynarodowej eposie, w jakiej sile i jak się ten udział odbił na ich życiu. Lecz wiemy, że byli. Świadczy o tym zachowana w dosłownym brzmieniu mowa papieża Urbana II wygłoszona w Clermont, w której wśród innych narodów błogosławi krzyżowców-Polaków.

Pytanie drugie: czy dzieje te były istotnie tak straszne? Odpowiem znowu najszczerzej. Rzeczywistość była znacznie gorsza od mojej narracji. Nie mając w usposobieniu sadyzmu starałam się cieniować, przemilczać szereg zdarzeń nieopisanie okrutnych i odrażających. Wielka krucjata nie była sielanką, o nie! Była, jak to ujrzał Urban II przed śmiercią, spletanym kłębem cnoty i zbrodni, taranem krwawiącym, bluzgającym ropą grzechu — była straszliwym skrótem ogólnych dziejów ludzkości. Jednakże cel osiągnęła. Skutki jej okazały się dla Europy błogosławione i trwałe. Odbiły się na wszystkich przejawach życia zbiorowego. Długoletni kontakt ze Wschodem, dotychczas prawie nie znanym, pchnął Europę w przód o trzysta lat co najmniej.

Jakie były dalsze losy wyprawy i głównych jej bohaterów?

Po odjeździe większości baronów, w Ziemi Świętej nie pozostało więcej niż ośmiuset Latynców i muzułmanie mogli z łatwością powetować swoje klęski. Lecz postrach, jaki Frankowie wzbudzili w wyznawcach Proroka, był tak wielki, że nie ośmielono się uderzyć na nich. Panowało ogólne mniemanie, że liczba gjaurów nic nie znaczy, mogą oni bowiem dwoić się i troić według woli. Zresztą potroili się istotnie niezadługo. Wicher zapału nie przestawał dąć ponad Europą. Nowe gromady rycerskie, nowe rzesze tłumów płynęły nieustannie na Wschód. Każde zdarzenie niecodzienne tłumaczono jako zachętę niebios do dalszej krucjaty. Szarańcza, która w roku zniszczyła Saksonię i Bawarię, była poczytana za symbol pielgrzymów. Niezliczone odpisy prawdziwych lub zmyślonych listów, przysyłanych rzekomo przez krzyżowców z Ziemi Świętej, krążyły wśród ludności niecąc zapału ogólny. Nowemu państwu nie zabrakło materiału ludzkiego do obrony granic oraz wznoszenia licznych kościołów i zamków, których resztki zdumiewają po dziś dzień wspaniałością i ogromem. Królestwo Jerozolimskie przetrwało dwieście lat. Wprawdzie Jerozolima wpadła w ręce pogan już w roku , lecz trzymały się inne grody, istniało państwo. Pierwsza europejska kolonia, stanowiąca zbawienny odpływ dla nadmiaru energii, niewyczerpane źródło bogactw kulturalnych i materialnych. Dopuszczenie do upadku tej placówki było jednym z największych błędów wiecznie krótkowzrocznej i skłóconej Europy.

Wracajmy jednak do roku.

Godfryd de Bouillon, pożałowania godny król wbrew woli, umarł w rok po swym obiorze. Następcą jego został Baldwin z Edessy. Ten nie wzdragał się przed tytułem króla. Był energicznym władcą, łączył w swych rękach dwa państwa. Znany jest w historii jako Baldwin I.

Arnuld de Rohes nie cieszył się długo uzyskanym dostojemstwem. Stolica Apostolska przysłała jako patriarchę Daimberta, arcybiskupa z Pizy. Niefortunną politykę Daimberta, uparte spory z Baldwinem przypisywano temu, że zatrzymał Arnulda jako doradcę.

Rajmund St. Gilles osiadł z żoną w Tripoli. Umarł w pięć lat później z tęsknoty za ukochaną Tulużą. Kilkakrotnie Prowansalczyki przyjeżdżali prosić go, by wrócił do kraju. Dobry rycerz nie chciał jednak złamać złożonego ślubowania.

Robert normandzki skończył mniej górną. Pozbawiony Przemysłnego kapelana, porywcy i ograniczony, wprędce po Powrocie do kraju wpadł w pułapkę zastawioną przez brata i uwięziony przez niego przebył w zamku Cardiff dwadzieścia osiem lat! Wyszedł z więzienia starym, zapomnianym, niepotrzebnym nikomu człowiekiem.

Boemund rządził Antiochią i, jak obiecał, zatruwał życie basileusowi ustawicznymi najezdami. Pomimo tego uczona Anna Porfirogenetka, spisując dzieje panowania swego ojca, poświęciła osobie księcia Tarentu życzliwie ciepłe słowa, odbijające od tła ostrej niechęci, jaką cesarzówna grecka żywiła ku Latynom.

Można by z tego wnioskować, że uczucie wywołane przezeń było głębsze...

Po śmierci Boernunda rządy Antiochii objął Tankred.

Robert flandryjski był jedynym z pozostałych przy życiu baronów, który się nie wykoleił. Jego szlachetny, doskonale zrównoważony charakter, niedostatecznie uwypuklony w powieści, pozwolił mu przeżyć tragiczne lata wędrówki bez załamania. Powróciwszy do Flandrii upamiętnił pięknie swoje panowanie nadaniem ludowi nowych liberalnych praw.

Cóż więcej?

Gwoli dobrym obyczajom literackim powinnam w tym miejscu umieścić zestawienie bibliograficzne dzieł, źródeł, kronik, opracowań, monografii, historyj, studiów, szkiców foliałów, tomów, z których czerpałam dane historyczne lub obyczajowe. Choć podobne zestawienie dodaje książce powagi i podnosi autorytet pisarza, rezygnuję zeń, uważając za niemożliwość przypomnienie sobie i spisanie bodaj połowy tych książek, z którymi miałam sposobność zetknąć się przez ostatnie sześć lat, szukając w nich prawdy o krzyżowcach. Zresztą istotnie ważne są jedynie źródła współczesne wyprawie, te zaś podałam powyżej.

Na zakończenie pozostaje mi wyrazić serdeczne i gorące podziękowanie Tym Wszystkim, którzy pomogli mi w pracy — w pierwszym rzędzie Mężowi memu, mjr dypl. Zygmuntowi, Szatkowskiemu — a bez których pomocy lub poparcia książka ta nie zostałaby w ogóle napisana.

Do Czytelnika należy sąd, czy winien im być za to wdzięczny, czy nie.